

Robert Ludlum

Program Hades

Tytuł oryginału THE HADES FACTOR.

Przekład Jerzy Kozłowski

Copyright © 2000 by Robert Ludlum & Gayle Lynds

All rights reserved

For the Polish edition

Copyright by Wydawnictwo Amber Sp. z o. o. 1999

ISBN 83-7245-336-5

Program Hades

Tytuł oryginału THE HADES FACTOR.

Przekład Jerzy Kozłowski

Copyright © 2000 by Robert Ludlum & Gayle Lynds

All rights reserved

For the Polish edition

Copyright by Wydawnictwo Amber Sp. z o. o. 1999

ISBN 83-7245-336-5

Prolog.

19.14, Piątek, Październik,

Boston, Massachusetts

Mario Dublin przedzierał się przez zatłoczone ulice śródmieścia z jednym dolarem zaciśniętym w drżącej dłoni. Szedł chwiejnym krokiem, z determinacją człowieka, który dokładnie wie, dokąd zmierza. Ręką, w której nie trzymał banknotu, uderzał się po głowie.

Zataczając się, wkroczył do taniej drogerii z obu witrynami oblepionymi ogłoszeniami o przecenach.

Trzęsąc się, podsunął banknot sprzedawcy.

— Advil. Aspiryna rozwała mi żołądek. Poproszę Advil.

Sprzedawca pogardliwie wykrzywił wargi na widok zarośniętego faceta w podartym wojskowym mundurze. No cóż, klient nasz pan. Sięgnął do półki z lekami przeciwbólowymi i zdjął najmniejsze opakowanie advilu.

— Do tego dolara musisz dołożyć jeszcze trzy.

Dublin zostawił banknot na ladzie i sięgnął po pudełko. Sprzedawca złapał je.

— Słyszałeś, koleś? Jeszcze trzy dolce. Nie ma forsy, nie ma towaru.

— Nie mam więcej...łeb mi pęka. — Ze zdumiewającą szybkością Dublin przechylił się nad ladą i chwycił pudełeczko.

Sprzedawca próbował je wyrwać, ale Mario trzymał mocno. Szarpiąc się, przewrócili słoik cukierków i zrzucili na podłogę gablotę z witaminami.

— Daj spokój, Eddie! — krzyknął z zaplecza aptekarz i sięgnął po telefon. — Niech sobie weźmie! Aptekarz dzwonił po policję.

Sprzedawca puścił Maria.

Dublin z zapamiętaniem rozerwał tekturowe opakowanie, pospiesznie zdjął zakrętkę i wysypał tabletki na rękę. Kilka spadło na podłogę. Wpakował je sobie do ust, krztusząc się, próbował połknąć wszystkie na raz. Nagle powalony bólem osunął się na podłogę. Ścisnął

skronie i szlochał. Chwilę później przed sklepem zatrzymał się wóz patrolowy. Aptekarz gestem ponaglał policjantów, żeby weszli do środka. Pokazywał Dublina skulonego na podłodze w starym wojskowym mundurze.

— Zabierajcie stąd tego śmierdzącego draba! Zobaczcie, co nawyprawiał! Oskarżę go o napaść i

rabunek!

Policjanci wyciągnęli pałki. Zauważyli drobne szkody i rozsypane tabletki, wyczuli też alkohol.

Młodszy pomógł Dublinowi podnieść się.

— No dobra, Mario, przejedziemy się.

Drugi policjant chwycił go za ramię. Bez trudu wyprowadzili go do wozu patrolowego.

Starszy otworzył drzwi samochodu, jego kolega położył rękę na głowie Dublina, wypychając go do środka.

Mario krzyknął i wymknął się spod ręki, która uciskała jego pulsującą z bólu głowę.

— Trzymaj go Manny! — zawołał młodszy gliniarz.

Manny chwycił Dublina, ale pijak zdołał się wyrwać. Młodszy policjant przygniótł go do ziemi, a Manny dołożył mu pałką. Dublin krzyknął. Gwałtowne konwulsje skręciły jego ciało.

Policjanci zbledli i spojrzeli po sobie.

— Nie uderzyłem go aż tak mocno — zaprotestował Manny.

— Jezus Maria. On tu zaraz wykituje! — młodszy usiłował podnieść Dublina.

— Ładuj go do samochodu!

Przerażeni możliwością oskarżenia o nadużycie siły podnieśli charczącego Maria i wepchnęli na tylne siedzenie wozu. Manny pędził ciemnymi ulicami miasta z włączoną syreną. Z piskiem opon zatrzymał wóz przed izbą przyjęć. Błyskawicznie wyskoczył zza kierownicy i wpadł do szpitala, wołając o pomoc.

Drugi policjant okrążył biegiem samochód i otworzył drzwi od strony Dublina.

Kiedy lekarze i sanitariusze pojawili się z łóżkiem na kółkach, młodszy policjant stał bez ruchu, wpatrzony w tylne siedzenie wozu. Mario Dublin leżał w kałuży krwi, która spływała ciurkiem na podłogę.

Lekarz wciągnął głęboko powietrze i wsunął się do samochodu. Zbadał puls, przyłożył ucho do klatki piersiowej i wycofał się, kręcąc głową.

— Nie żyje.

— Niemożliwe! — Głos starszego policjanta załamał się. — Prawie nie tknęliśmy sukinsyna!

Nie damy się w to wrobić.

Ponieważ w sprawę zamieszana była policja, już cztery godziny później szpitalny patolog przygotowywał się w kostnicy w podziemiach szpitala do sekcji zwłok zmarłego Maria Dublina, adres zamieszkania nieznany.

Podwójne drzwi prowadzące do sali otworzyły się na oścież.

— Walter! Nie otwieraj go!

Doktor Walter Pecjic podniósł wzrok.

— Coś się stało, Andy?

— Może nic — odparł nerwowo doktor Andrew Wilks — ale ta krew w wozie patrolowym nie podoba mi się. Zespół ostrych zaburzeń oddechowych nie powinien prowadzić do krwotoku z ust. Taki krwotok widziałem tylko raz w Afryce, w przypadku gorączki krwotocznej. Byłem tam z Korpusem Pokoju. Ten gość miał przy sobie inwalidzką legitymację weterana. Może stacjonował w Somali albo gdzieś tam w Afryce.

Doktor Pecjic popatrzył na zwłoki mężczyzny, które miał za chwilę rozkroić.

Odłożył skalpel na tackę.

— Może lepiej zawiadomić dyrektora?

— I zadzwoń do Instytutu Chorób Zakaźnych — dodał Wilks.

Pecjic przytaknął. W jego oczach pojawił się strach.

19.55, piątek, 10 października

Atlanta, Georgia

Rodzice i przyjaciele aktorów zgromadzeni w szkolnym audytorium siedzieli cicho. Na jasno oświetlonej scenie, przed dekoracją przedstawiającą knajpę z *Przystanku autobusowego* Williama Inge'a, stała śliczna dziewczyna. Poruszała się niezgrabnie, a jej głos, zwykle swobodny i naturalny, teraz wydawał się sztuczny.

Ale dla pulchnej kobiety w pierwszym rzędzie nie miało to znaczenia. Ubrana w srebrnoszarą sukienkę z przypiętym bukietem róż wyglądała jak matka panny młodej na ślubie córki. Jej twarz promieniała szczęściem. Kiedy sztuka dobiegła końca przy umiarkowanym aplauzie, ona klaskała najgłośniej.

Po ostatnim spuszczeniu kurtyny zerwała się z miejsca i biła brawo na stojąco. Potem podążyła ku

wyjściu, którym wychodzili dwójkami i trójkami aktorzy, dołączając do rodziców, swych chłopaków i dziewczyn. Było to ostatnie przedstawienie przygotowanego przez uczniów corocznego spektaklu, więc aktorzy promienieli triumfem i z wypiekami na twarzach spieszyli się na przyjęcie, które miało potrwać do późna w nocy.

— Tak bym chciała, żeby ojciec mógł cię dzisiaj oglądać, Billie Jo — powiedziała dumna matka, kiedy szkolna piękność wsiadała do samochodu.

— Ja też, mamó. Jedźmy do domu.

— Do domu? — Kobieta nie kryła zdziwienia.

— Położę się na chwilę, a potem przebiorę na przyjęcie, dobrze?

— Źle wyglądasz. Matka popatrzyła na nią badawczo, zanim włączyła się do ruchu. Billie Jo już od tygodnia pociągała nosem i kaszłała, ale uparła się, żeby wystąpić.

— To tylko przeziębienie — odparła dziewczyna z irytacją w głosie.

W drodze do domu Billie Jo zaczęła trzeć oczy i pojękiwać. Na palczkach pojawiły się dwie czerwone plamy. Przerazona matka otworzyła drzwi domu i wpadła, żeby zadzwonić na pogotowie. Usłyszała, że ma zostawić dziewczynę w samochodzie i zapewnić jej ciepło i spokój.

Nadjechali trzy minuty później.

W karetce pędzącej ulicami Atlanty na sygnale dziewczyna jęczała i wiała się na noszach. Nie mogła złapać powietrza. Matka ocierała rozpaloną twarz córki i zalewała się łzami.

W szpitalnej izbie przyjęć pielęgniarka wzięła ją za rękę.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, pani Pickett. Jestem pewna, że córka niedługo wyzdrowieje.

Dwie godziny później z ust Billie Jo buchnęła krew i dziewczyna umarła.

17.12, Fort Irwin, Barstow Kalifornia

Na początku października pogoda na kalifornijskiej pustyni była tak niepewna i zmienna, jak pierwsze rozkazy świeżo upieczonych podporucznika wydawane plutonowi. Tego dnia na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Kiedy Phyllis Anderson zaczęła przyrządzać obiad w kuchni ładnego piętrowego domu w najlepszej części osiedla Państwowego Centrum Szkoleniowego, poczuła przypływ optymizmu. Dzień był gorący a jej mąż Keith uciął sobie długą drzemkę. Od dwóch tygodni męczyło go ciężkie przeziębienie, a Phyllis miała nadzieję, że słońce i ciepło poradzą sobie z chorobą raz na zawsze.

Za oknami kuchni, na trawniku wśród długich popołudniowych cieni pracowały spryskiwacze. Na klombach rozkwitały jesienne kwiaty jakby na przekór surowym, szarzielonym, ciernistym meskitom, jukkom i kaktusom, rosnącym dziko między czarnymi skałami na beżowej pustyni.

Pani Anderson nuciła pod nosem, wstawiając do mikrofalówki makaron. Nasłuchiwała kroków męża. Dziś major miał nocne ćwiczenia. Głośny tupot oznajmił jednak nadejście zbiegającego po schodach Keitha juniora, ucieszonego perspektywą wyjścia do kina. Obiecała to dzieciom, skoro ojciec wychodził do pracy. W końcu zaczynał się weekend.

— Przestań hałasować! — zawołała.

Ale to nie był Keith junior. Do ciepłej kuchni wtoczył się jej mąż, w niekompletnym pustynnym drelichu. Ociekał potem i ścisnął głowę, jakby miała zaraz pęknąć.

— ...szpital... pomocy — wydyszał.

Na jej przerażonych oczach mocno runął na podłogę, łapiąc z trudem powietrze.

Phyllis znieruchomiała, a potem wybiegła z kuchni, szybko i zdecydowanie jak żona wojskowego. Bez pukania wpadła do kuchni sąsiedniego domu.

Kapitan Paul Novak i jego żona Judy osłupieli.

— Phyllis? Novak zerwał się. — Co się stało?

— Paul, jesteś mi potrzebny Judy, zajmij się dziećmi. Szybko! — Żona majora nie traciła czasu. Obróciła się na pięcie i wybiegła z kuchni, tuż za nią kapitan Novak z żoną. Żołnierz wezwany do działania nie zadaje pytań. W kuchni Andersonów Novakowie od razu zrozumieli, co się stało.

— Pogotowie? — Judy Novak sięgnęła po telefon.

— Nie ma czasu! — krzyknął Novak.

— Jedziemy naszym wozem! — zawołała Phyllis.

Judy Novak pobiegła na górę do dzieci, które szykowały się do kina. Phyllis i Novak podnieśli

duszącego się majora. Z nosa popłynęła mu krew. Jęczał, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Przenieśli go przez trawnik do zaparkowanego samochodu. Novak usiadł za kierownicą.

Phyllis z tyłu, przy mężu. Tłumiąc szloch, wsparła głowę majora na swoim ramieniu i tuliła go do siebie. Patrzył na nią, w męczarniach walcząc o oddech. Novak popędził przez bazę, naciskając klakson. Pojazdy rozstępowały się jak kompania piechoty, która przepuszcza czołgi. Kiedy dotarli do szpitala wojskowego w Weed, major Keith Anderson był już nieprzytomny.

Trzy godziny później zmarł.

W przypadku nagłego, niewyjaśnionego zgonu w stanie Kalifornia należy obowiązkowo przeprowadzić sekcję zwłok. Ze względu na niezwykle okoliczności śmierci ciało majora pospiesznie przeniesiono do kostnicy. Gdy wojskowy patolog otworzył jamę klatki piersiowej, trysnęła obficie krew, spryskując lekarza.

Jego twarz zrobiła się biała. Odskoczył, szybkim ruchem zdjął gumowe rękawice i pobiegł do swego gabinetu.

Podniósł słuchawkę.

— Połączcie mnie z Pentagonem i Wojskowym Instytutem Chorób Zakaźnych. Natychmiast!

Sprawa najwyższej wagi!

Część 1

Rozdział 1

14.55, niedziela, 12 października,

Londyn

Zimny październikowy deszcz zacinał ostro na Knightsbridge, tam gdzie Brompton Road przecina Sloane Street. Niekończący się strumień trąbiących samochodów, taksówek i czerwonych piętrowych autobusów sunął na południe, co chwila przystając, w stronę Sloane Square i Chelsea. Choć padał deszcz, a biura firm i instytucji rządowych w czasie weekendu nie pracowały, ruch na ulicach nie zmniejszał się. Gospodarka światowa stała nieźle, sklepy były pełne, a laburzyści nie zamierzali organizować nowej rewolucji. Turyści przyjeżdżali teraz do Londynu przez okrągły rok, więc tego niedzielnego popołudnia samochody posuwały się jak każdego dnia w prawdziwie żółtym tempie.

Zniecierpliwiony podpułkownik armii amerykańskiej, doktor medycyny, Jonathan ("Jon") Smith, wyskoczył lekko z sunącego powoli staromodnego autobusu linii dziewiętnaście — dwie przecznice przed przystankiem, na którym miał wysiąść. Deszcz w końcu ustał. Smith ruszył na piechotę mokrym chodnikiem i po chwili zostawił autobus za sobą.

Wysoki, szczupły, choć muskularny mężczyzna tuż po czterdziestce miał ciemne, zaczesane gładko do tyłu włosy i szeroką twarz. Ciemnoniebieskie oczy automatycznie obserwowały pojazdy i przechodniów. Nie było w nim nic nadzwyczajnego, kiedy tak szedł w tweedowej marynarce, bawełnianych spodniach i płaszczu przeciwdeszczowym, ale kobiety oglądały się za nim. Zauważał to od czasu do czasu i uśmiechał się, nie zwalniając kroku.

Przy Wilbraham Place umknął mżawce, skręcając foyer eleganckiego, "Wilbraham Hotel".

Instytut wynajmował mu tam pokój, ilekroć wysyłano go na konferencję do Londynu.

Przeskakując po dwa stopnie naraz, szybko dotarł do pokoju na pierwszym piętrze. W walizce poszukał raportu terenowego o epidemii, która wybuchła wśród amerykańskich żołnierzy w Manili. Obiecał go pokazać doktorowi Chandra Uttamowi z Sekcji Chorób Wirusowych Światowej Organizacji Zdrowia.

Znalazł papiery pod stertą brudnych ubrań, wciśniętych do większej walizki. Westchnął i uśmiechnął się do siebie. Nie pozbył się wcale nawyków z czasów kiedy pracował w szpitalu polowym — mieszkał wtedy w namiotach, przerzucany z jednego zapalnego punktu do drugiego.

Kiedy zbiegł na dół, wracając na obrady konferencji epidemiologicznej Światowej Organizacji Zdrowia, zatrzymał go recepcjonista.

— Pułkowniku? Mam dla pana list. Napisano, że pilny.

— List? Kto miałby pisać do niego tutaj? Zerknął na zegarek, który pokazywał nie tylko godzinę, lecz także dzień tygodnia. W niedzielę?

— Przyniósł go posłaniec.

Zaniepokojony wziął kopertę i rozerwał ją. W środku znalazł pojedynczą kartkę białego papieru z wydrukowanym tekstem bez nagłówka i bez adresu zwrotnego: *Smithy, Spotkajmy się w poniedziałek o północy przy młynie Pierce Mill w parku Rock Creek.*

To pilne. Nie mów nikomu.

B.

Smith poczuł ucisk w klatce piersiowej. Tylko jedna osoba nazywała go Smithy: Bill Griffin.

Poznał Billa w trzeciej klasie podstawówki w Council Bluffs w stanie Iowa. Szybko się zaprzyjaźnili i razem przeszli przez gimnazjum, liceum i college na Uniwersytecie Stanu Iowa, a potem studia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Ich drogi rozeszły się dopiero wtedy, gdy Smith uzyskał tytuł doktora medycyny, a Bill obronił doktorat na psychologii.

Obydwaj zrealizowali chłopięce marzenia o wstąpieniu do wojska, z tym że Bill służył w wywiadzie wojskowym. Utrzymywali kontakt, lecz liczne wyjazdy i obowiązki sprawiły, że nie widzieli się od ponad dziesięciu lat.

Ze zmarszczonymi brwiami Smith stał bez ruchu w stylowym holu i wpatrywał się w tajemniczy tekst.

— Coś się stało, sir? — zagaił uprzejmie recepcjonista.

Smith rozejrzał się.

— Nie, nic. Muszę lecieć, jeśli chcę zdążyć na następne seminarium.

Wcisnął list do kieszeni płaszcza i wyszedł na przesycone wilgocią popołudniowe powietrze.

Skąd Bill wiedział, że Smith jest w Londynie? I to właśnie w tym zacisznym hotelu? I po co ta cała maskarada, łącznie z użyciem dziecięcego przezwiska, które znał tylko Bill?

Bez adresu zwrotnego, bez telefonu.

Tylko inicjał, żeby zidentyfikować nadawcę.

Dlaczego o północy?

Smith lubił myśleć, że jest zwykłym człowiekiem, ale wiedział, że prawda jest zgoła inna.

Świadczyła o tym jego kariera. Pracował jako lekarz wojskowy w szpitalach polowych, a teraz zajmował się pracą naukową. Miał na, swoim koncie krótką współpracę z wywiadem wojskowym, czasami też dowodził oddziałem. Wieczna pogoń za nowymi wrażeniami stała się jego drugą naturą — do tego stopnia, że przestał ją nawet zauważać.

Rok temu odkrył, że spokój i skupienie, jakich nigdy wcześniej nie zaznał, dają mu prawdziwe szczęście. Nie chodziło tylko o trudną i fascynującą pracę w Instytucie. Przede wszystkim on,

zatwardziały kawaler, zakochał się. Po same uszy. Skończył się szczeniacki okres, kiedy kobiety pojawiały się i znikwały jak na scenie. Sophia Russell była dla niego wszystkim: koleżanką-naukowcem, partnerką w pracach badawczych i jasnowłosą piękną.

Czasami odrywał wzrok od mikroskopu elektronowego po to tylko, żeby na nią popatrzeć.

Nie przestawał się dziwić, jak w tak delikatnej i ślicznej główce może mieścić się tyle inteligencji i stalowej woli. Wystarczyło, że o niej pomyślał, żeby do niej tęsknić. Chciał wylecieć z lotniska Heathrow nazajutrz rano. Miałby wówczas wystarczająco dużo czasu, żeby przyjechać do domu i zjeść z Sophią śniadanie przed wyjściem do laboratorium.

A tutaj ta dziwna wiadomość od Billa Griffina.

Wewnętrzne urządzenia alarmowe ostrzegały go głośnym wyciem. Jednocześnie dostrzegł w tym szansę. Uśmiechnął się gorzko. Najwyraźniej niespokojny duch, który w nim tkwił, jeszcze się nie wyszumiał.

Machając na przejeżdżające taksówki, układał w głowie plan.

Przełoży lot na poniedziałek i o północy pójdzie na spotkanie z Billem Griffinem. Znali się zbyt długo, żeby mógł mu odmówić. W takim razie do pracy wróci dopiero we wtorek, o dzień później. A to z kolei oznacza, że Kielburger, generał kierujący Instytutem, znów się wścieknie.

Delikatnie rzecz ujmując, generał nie tolerował nieposłuszeństwa i braku dyscypliny Smitha.

Żaden problem. Smith umiał sobie z nim radzić.

Wczoraj wcześniej rano zatelefonował do Sophii, żeby usłyszeć jej głos. W trakcie rozmowy dostała wiadomość z poleceniem natychmiastowego stawienia się w laboratorium — z Kalifornii nadszedł jakiś wirus i trzeba go było zidentyfikować. Pewnie pracowała bez przerwy przez następne szesnaście godzin lub nawet całą dobę. Być może została w laboratorium do późna w nocy i jutro rano nie wstanie na wspólne śniadanie. Westchnął z rezygnacją. Dobrze chociaż, że będzie zbyt zapracowana, żeby się o niego martwić.

Mógłby równie dobrze zostawić jej wiadomość na sekretarce w domu, że przyjedzie dzień później, żeby się nie niepokoiła. Mogła zawiadomić o tym generała Kielburgera albo nie, jej wola.

Zmiana planów dawała mu pewne korzyści. Wyleci z Londynu nie rano, tylko w nocy. To zaledwie kilka godzin różnicy, lecz dla niego cała wieczność. Tom Sheringham kierował

brytyjskim zespołem mikrobiologów, który pracował nad szczepionką przeciw wszystkim hantawirusom. Wieczorem nie tylko weźmie udział w seminarium Toma, lecz również namówi go na późną kolację z alkoholem. Wyciśnie z niego wszystkie poufne szczegóły o postępach najnowszych badań, których Tom nie był jeszcze gotów ujawnić publicznie. Wyłudzi też od niego zaproszenie do ośrodka Porton Down, gdzie wstąpi jutro przed odlotem do Stanów.

Kręcąc głową i uśmiechając się do siebie, Smith przeskoczył kałużę i otworzył tylne drzwi czarnej

londyńskiej taksówki, która zatrzymała się przed nim. Podał taksówkarzowi adres obrad konferencji Światowej Organizacji Zdrowia.

Lecz kiedy opadł na siedzenie, uśmiech zniknął mu z twarzy. Wydobył z kieszeni list od Billa Griffina i ponownie go przeczytał, mając nadzieję, że trafi na jakiś trop, który wcześniej przeoczył. Najbardziej intrygujące było jednak to, co nie zostało powiedziane. Zmarszczka między brwiami Smitha pogłębiła się. Wracał pamięcią do minionych lat, usiłując dociec, co skłoniło Billa do skontaktowania się z nim w tak dziwaczny sposób.

Gdyby Bill potrzebował porady lub jakiegokolwiek pomocy z Instytutu, postarałby się o nią drogą oficjalną. Bill był teraz agentem specjalnym FBI i szczylił się tym. Jak każdy pracownik FBI mógł poprosić dyrektora Instytutu o kontakt ze Smithem.

Z drugiej strony, gdyby chodziło tylko o sprawę osobistą, Bill nie urządzałby takiej maskarady. Zostawiłby wiadomość w hotelu z numerem telefonu, żeby Smith mógł oddzwonić.

W chłodnej taksówce Smith zadrżał pod ciepłym płaszczem. To spotkanie było nie tylko nieoficjalne, ale tajne. Bardzo tajne. Co oznaczało, że Bill działa poza FBI, poza Instytutem, poza wszelkimi instytucjami rządowymi... a wszystko najwyraźniej po to, żeby wciągnąć także Smitha w jakąś tajemniczą aferę.

Rozdział 2

8.37, niedziela, 12 października

Fort Detrick, Maryland

Baza Fort Detrick we Frederick, małym miasteczku położonym wśród zielonych wzgórz zachodniego Maryland, była siedzibą Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych. USAMRIID — United States Army Medical Research Institute for Infectious Diseases — albo po prostu Instytut, stał się obiektem gwałtownych ataków w latach sześćdziesiątych. Cieszył się wtedy złą sławą jako rządowa agenda do produkowania i testowania broni chemicznej i biologicznej. Kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym prezydent Nixon przerwał realizowane tam programy, Instytut przestał interesować media i przeistoczył się w ośrodek medycznych badań naowych.

Nadszedł rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty. Okazało się, że mały zdychający podczas kwarantanny w ośrodku w Reston w Wirginii są zakażone zaraźliwym wirusem Ebola.

Natychmiast sprowadzono wojskowych i cywilnych specjalistów z Instytutu, żeby powierzyć im zadanie powstrzymania czegoś, co mogło zamienić się w tragiczną w skutkach światową epidemię.

Ważniejsze jednak od powstrzymania epidemii były badania, które dowiodły, że choć wirus Reston tylko minimalnie różni się od niebezpiecznych odmian Ebola Zair i Ebola Sudan, jest nieszkodliwy dla ludzi. To niezwykle odkrycie sprawiło, że naukowcy z Instytutu znowu stali się obiektem

zainteresowania mediów. Nagle Fort Detrick znalazł się na ustach wszystkich, lecz tym razem jako czołowa amerykańska placówka wojskowa, zajmująca się badaniami medycznymi.

Siedząc w swoim Calvinecie, doktor Sophia Russell wracała myślami do chwalebnej przeszłości Instytutu, z nadzieją, że spłynie na nią natchnienie. Niecierpliwie czekała na rozmowę telefoniczną z człowiekiem, który swoimi informacjami mógł pomóc im w zażegnaniu kryzysu i powstrzymaniu potężnej epidemii.

Sophia była doktorem biologii specjalizującym się w badaniach komórek, jednym z ważniejszych trybów maszyny wprawionej w ruch po śmierci majora Keitha Andersona. W

Instytucie pracowała od czterech lat i podobnie jak naukowcy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku stanęła w obliczu sytuacji kryzysowej wywołanej pojawieniem się nieznanego wirusa. Tym razem jednak wirus zabijał ludzi. Zanotowano trzy zgony. Wszystkie ofiary — major i dwie osoby cywilne — zmarły nagle na skutek zespołu ostrych zaburzeń oddechowych w odstępie kilku godzin.

Ani czas, ani przyczyna zgonów nie przykuły uwagi Instytutu; w ciągu roku na całym świecie zespół ostrych zaburzeń oddechowych zabijał miliony osób.

Ale nie młodych osób. Ani zdrowych osób. Nie bez wcześniejszych problemów z układem oddechowym i innych ważnych objawów. Poza tym choroba nie objawiała się ostrym bólem głowy i krwotokiem z ust.

Tymczasem w ciągu jednego dnia zmarły trzy osoby z identycznymi objawami choroby, każda w innej części kraju: major w Kalifornii, nastolatka w Georgii i bezdomny w Massachusetts.

Dyrektor Instytutu, generał brygady Calvin Kielburger, nie był skłonny wszczynać ogólnoswiatowego alarmu po trzech przypadkach zgłoszonych poprzedniego dnia. Nie chciał bez powodu wywoływać zamętu lub wyjść na panikarza. A przede wszystkim nie chciał dzielić się zasługami z innymi laboratoriami, zwłaszcza z największym rywalem Instytutu, Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych w Atlancie.

Mimo to atmosfera w Instytucie zrobiła się napięta, a Sophia, kierująca zespołem naukowców, pracowała bez przerwy.

Pierwsza próbka krwi dotarła do niej przed trzecią nad ranem w sobotę. Sophia natychmiast wzięła ją do laboratorium, żeby przeprowadzić badania. W niewielkiej szatni zdjęła ubrania, zegarek i pierścionek zaręczynowy od Jona Smitha. Przystanęła na chwilę, uśmiechnęła się i pomyślała o Jonie. W myślach ujrzała jego przystojną twarz — niemal indiańskie rysy z wydatnymi kośćmi policzkowymi i bardzo ciemnymi niebieskimi oczami. Oczami, które od początku ją oczarowały. Czasem wyobrażała sobie, jak cudownie byłoby zanurzyć się w ich głębi. Uwielbiała jego płynne ruchy dzikiego zwierzęcia z dżungli, które poddało się udomowieniu z własnej woli. Uwielbiała sposób, w jaki się z nią kochał: ogień i podniecenie. Ale przede wszystkim po prostu nieodwracalnie i nieprzytomnie kochała jego.

Musiała przerwać rozmowę, którą prowadzili przez telefon, żeby tu przybiec.

— Kochanie, muszę kończyć. Na drugiej linii miałam laboratorium. Coś pilnego.

— O tej godzinie? Nie mogą poczekać do rana? Musisz przecież odpocząć.

Zachichotała.

— To ty zadzwoniłeś. Już odpoczywałam, a właściwie spałam, kiedy zadzwonił telefon.

— Ale ja wiedziałem, że chcesz ze mną rozmawiać. Nie możesz mi się oprzeć.

Roześmiała się.

— Jasne. Chcę z tobą rozmawiać o każdej porze dnia i nocy. Tęsknię za tobą bez przerwy, odkąd jesteś w Londynie. Cieszę się, że wyrwałeś mnie z głębokiego snu, żebym mogła ci to powiedzieć.

Tym razem to on się roześmiał.

— Ja też cię kocham, skarbie.

Sophia westchnęła, zamknęła oczy i odpędziła myśl o Jonie. Czekala ją praca. I to pilna.

Szybko ubrała się w sterylny zielony kitel. Z trudem otworzyła drzwi do strefy drugiej, mocując się z ciśnieniem ujemnym, które zatrzymywało czynniki skażające w strefie drugiej, trzeciej i czwartej. Minęła boso kabinę suchego natrysku i dotarła do łazienki, gdzie trzymano czyste białe skarpety.

W skarpetach na nogach szybkim krokiem przeszła do sali przygotowawczej w strefie trzeciej. Założyła lateksowe rękawice chirurgiczne i szczelnie połączyła je z rękawami kitla. Tę samą procedurę powtórzyła ze skarpetami i nogawkami spodni. Potem ubrała się w swój osobisty jasnoniebieski skafander, którego woń przypominała nieco wnętrze plastikowego kubła.

Sprawdziła, czy nie ma żadnych perforacji. Na głowę nałożyła plastikowy hełm, zasunęła suwak uszczelniający między hełmem i skafandrem i wyciągnęła ze ściany żółty przewód powietrzny.

Podłączyła przewód. Powietrze z cichym sykiem napełniło potężny skafander. Była prawie gotowa. Odłączyła przewód powietrzny i posuwając się ociężale, przeszła przez drzwi z nierdzewnej stali do śluzy powietrznej strefy czwartej, gdzie znajdował się szereg dysz doprowadzających wodę i chemikalia do kąpieli odkażającej.

Wreszcie otwarta drzwi do strefy czwartej, zwanej gorącą strefą.

Teraz nie mogła już robić niczego w pośpiechu. Stawiając każdy krok w pancerzu kilku ochronnych warstw, musiała bardziej uważać. Jedyłą bronią, jaką dysponowała, była sprawność ruchów. Im sprawniej się poruszała tym bardziej zyskiwała na szybkości. Zamiast więc wciskać się na siłę w

parę ciężkich żółtych butów, z wprawą zgięła pod odpowiednim kątem i wsunęła do gumowego buta najpierw jedną, a potem drugą stopę.

Najszybciej jak mogła, doczłapała wąskim betonowym korytarzem do laboratorium. Tam wsunęła na ręce trzecią parę lateksowych rękawiczek, ostrożnie wyjęła z lodówki próbki krwi i tkanek i przystąpiła do pracy nad wyizolowaniem wirusa.

Przez cały dzień nie pamiętała o śnie i jedzeniu. Zamieszkała wręcz w laboratorium, gdzie badała wirusa pod elektronowym mikroskopem. Ku swemu zdziwieniu przekonała się, że nie jest to ani Ebola, ani Marburg, ani żaden inny filowirus. Jej zespół potwierdził ten wynik. Jak większość wirusów miał on typowy kształt pierzastych kulek. Biorąc pod uwagę fakt, że przyczyną śmierci był zespół ostrych zaburzeń oddechowych, od razu pomyślała o hantawirusie, który zabił młodych sportowców w rezerwacie Navajo w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Instytut specjalizował się w hantawirusach. Jeden z jego najlepszych pracowników, Karl Johnson, wyizolował i zidentyfikował pierwszą odmianę hantawirusa już w latach siedemdziesiątych.

Pamiętając o tym, porównała nieznaną patogen ze zgromadzonymi w zamrażarce próbkami krwi ofiar różnych znanych hantawirusów z całego świata. Bez rezultatu. Zaintrygowana przeprowadziła polimerazową reakcję łańcuchową, żeby zidentyfikować sekwencję genetyczną nowego wirusa. Nie przypominała żadnego znanego hantawirusa. Wtedy zapragnęła, żeby Jon był przy niej, a nie na konferencji w dalekim Londynie.

Zdenerwowana brakiem konkretnej odpowiedzi zmusiła się do opuszczenia laboratorium.

Każdy przecież potrzebuje snu. Już wcześniej odesłała swój zespół, a teraz i ona musiała przejść tę samą procedurę: zdjąć skafander, poddać się odkażeniu i założyć własne ubranie. Wszystko, co miała sobie podczas pracy w laboratorium, zostawiła do odkażenia.

Po czterogodzinnej drzemce w Instytucie — próbowała sobie wmówić, że dłużej spać nie musi — pobięła do gabinetu, żeby obejrzeć wyniki badań. Kiedy pozostali członkowie zespołu obudzili się, wysłała ich do laboratoriów.

Bolała ją głowa i zaschło jej w gardle. Z małej lodówki wyjęła butelkę wody i wróciła do biurka. Na ścianie wisiały w ramkach trzy fotografie. Sophia popijała wodę i przyglądała im się, pochylona jak ćma, zwabiona kuszącym światłem. Na pierwszym zdjęciu Jon i ona byli w strojach kąpielowych — zrobili je zeszłego lata na Barbados. Jakże wspaniale się bawili podczas jedyne go jak dotąd wspólnego wyjazdu. Drugie przedstawiało Jona w galowym mundurze w dniu, kiedy został mianowany podpułkownikiem. Trzecie ukazywało Jona sprzed kilku lat, młodego kapitana o zwichrzonych czarnych włosach, brudnej twarzy i przenikliwych niebieskich oczach. Stał w zakurzonym mundurze polowym przed namiotem szpitala polowego gdzieś na irackiej pustyni.

Tęskniła za Jonem i potrzebowała jego pomocy, sięgnęła więc po telefon, żeby do niego zadzwonić. Ale ręka znieruchomiała w powietrzu. Przecież do Londynu wysłał go generał. A dla generała wszystko musi odbyć się zgodnie z regulaminem. Każde zadanie trzeba doprowadzić do końca — ani dnia później, ani dnia wcześniej. Na Jona musi poczekać jeszcze kilka godzin.

Teraz pewnie leci samolotem, a jej nie będzie w domu, kiedy wróci. Odpędziła od siebie uczucie rozczarowania.

Poświęciła się nauce, ale gdzieś po drodze napotkała ogromne szczęście. Nigdy nie przypuszczała, że wyjdzie za mąż. Zakocha się, niewykluczone, ale że postanowi wyjść za mąż?

Nie. Niewielu mężczyzn chciałoby mieć żonę — pracoholiczkę. Ale Jon rozumiał ją. Zresztą cieszył się, że Sophia potrafi barwnie, plastycznie widzieć i opisać mu każdą komórkę. Ją z kolei pociągała jak ożywczy powiew jego nieograniczona ciekawość. Jak dwoje dzieci w przedszkolu znaleźli w sobie ulubionych towarzyszy zabaw. Byli dobrze dopasowani nie tylko pod względem zainteresowań, ale i temperamentu. Oddani i wrażliwi, kochali siebie i życie.

Nigdy wcześniej nie poznała szczęścia. Zawdzięczała je Jonowi.

Niecierpliwie pokręciła głową i wróciła do komputera i wyników badań, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczyła. Nie znalazła nic godnego uwagi.

Lecz gdy z laboratorium nadeszły wyniki trzeciej serii badań krwi dziewczyny z Atlanty, Sophia odniosła dziwne wrażenie.

Gdzieś już widziała tego lub bardzo podobnego wirusa.

Wysilała umysł, grzebała w pamięci, sięgała w przeszłość.

Nic nie przychodziło jej do głowy. Wreszcie przeczytała raport jednego z członków jej zespołu, który sugerował, że nowy wirus może być związany z Machupo, pierwszą odkrytą również przez Karla Johnsona gorączką krwotoczną.

Afryka nie przypominała jej niczego. Może Boliwia...?

Peru, Studencka wyprawa antropologiczna...

Victor Tremont!

Tak się nazywał. Był biologiem. Podczas wyprawy do Peru zbierał rośliny i minerały do potencjalnych lekarstw dla...jakiej firmy? Farmaceutycznej... Blanchard Pharmaceuticals!

Odwróciła się do komputera i weszła do Internetu. Szybko znalazła informacje o Blanchardzie.

Firma miała siedzibę w Long Lake w stanie Nowy Jork, a Victor Tremont był teraz jej dyrektorem i szefem operacyjnym! Sięgnęła po telefon i wybrała numer.

Była niedziela rano, lecz w wielkich korporacjach telefony są czasem odbierane przez cały weekend. Tak było u Blancharda. Ktoś odezwał się po drugiej stronie i kiedy Sophia poprosiła o rozmowę z Victorem Tremontem, kazano jej poczekać. Bębniła palcami o blat biurka, usiłując zapanować nad swoim niepokojem i niecierpliwością.

Po serii trzasków i przerw znów ktoś się odezwał. Tym razem głos był obojętny, bezosobowy.

— Czy mogę spytać o pani nazwisko i w jakiej sprawie chce pani rozmawiać z doktorem Tremontem.

— Nazywam się Sophia Russell. Proszę przekazać, że chodzi o wyprawę do Peru, podczas której się poznaliśmy.

— Chwileczkę. — Znów cisza. — Łączę z panem Tremontem.

— Pani... Russell? — Najwyraźniej odczytał nazwisko, z podsuniętej mu kartki. — Czym mogę służyć? — Miał niski i przyjemny, lecz władczy głos. Głos człowieka, który przyzwyczał się do wydawania poleceń.

— Właściwie teraz już doktor Russell — poprawiła go delikatnie. — Nie pamięta pan mojego nazwiska, doktorze Tremont?

— Niestety nie. Ale wspomniała pani o Peru, a wyprawę do Peru pamiętam. Jakieś dwanaście, trzynaście lat temu, prawda? — Dał jej do zrozumienia, dlaczego z nią rozmawia, ale niczego nie ułatwiał, na wypadek, gdyby okazało się, że szuka pracy albo cała sprawa jest jakąś mistyfikacją.

— Trzynaście, i ja doskonale pana pamiętam. — Próbowwała utrzymać rozmowę w lekkim tonie. — Interesuje mnie nasz pobyt nad rzeką Caraibo. Byłam tam wtedy z grupą studentów antropologii na wyprawie terenowej z Symcuse, a pan zbierał surowce lecznicze. Chciałabym porozmawiać o wirusie, którego znalazł pan w jednym z tych dzikich plemion, nazywanym przez innych plemieniem "Pijących małpią krew".

Victora Tremonta siedzącego w wielkim narożnym gabinecie ogarnęła panika. Opanował się szybko. Obrócił fotel przy biurku, spojrzał na jezioro. W porannym świetle połyskiwało jak rtęć.

Na drugim brzegu aż do wysokich gór w oddali ciągnął się gęsty sosnowy las.

Był zły, że zaskoczyła go wspomnieniami. Powoli obrócił fotel.

— Teraz sobie przypominam. — Starał się zachować życzliwy ton głosu. — Pełna entuzjazmu blondynka, która miała bzika na punkcie nauki. Zastanawiałem się czasem, jak potoczą się pani losy. Została pani antropologiem?

— Nie, uzyskałam tytułu doktora biologii molekularnej. Dlatego potrzebuję pańskiej pomocy. Pracuję w wojskowym ośrodku badawczym w Fort Detrick. Trafiliśmy na wirusa, który bardzo przypomina tego z Peru. Nieznany typ. Wywołuje bóle głowy, gorączkę i zespół ostrych zaburzeń oddechowych. Może zabić zdrowe osoby w ciągu kilku godzin i doprowadzić do ciężkiego krwotoku płuc. Czy to panu coś przypomina, doktorze Tremont?

— Proszę mówić do mnie Victor, a o ile pamiętam, pani ma na imię Susan... Sally... coś jak...

— Sophia.

— Oczywiście. Sophia Russell. Fort Detrick — powtórzył, zapisując dane. — Miło mi słyszeć, że pozostała pani wierna nauce. Czasem żałuję, że zamieniłem laboratorium na kierowniczy stołek. Ale co się stało, to się nie odstanie. — Roześmiał się.

— Przypomina pan sobie tego wirusa?

— Nie. Niestety nie. Po powrocie z Peru zająłem się sprawami handlowymi i pewnie dlatego cały ten incydent wyleciał mi z głowy. Jak mówię, minęło już tyle lat. Z tego jednak, co wiem o biologii molekularnej, sugerowana przez panią wersja jest mało prawdopodobna. Myśli pani zapewne o kilku różnych wirusach, o których słyszeliśmy podczas tej wyprawy. Nie brakowało ich. Tyle to pamiętam.

Rozdrażniona przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha.

— Nie, jestem pewna, że w plemienu "Pijących małpią krew" odkryto tylko jednego. Wtedy niezbyt się tym interesowałam. Ale przecież nie przypuszczałam, że zostanę biologiem, w dodatku molekularnym. Sprawa była jednak na tyle niezwykła, że zapadła mi w pamięć.

— Plemię "pijących małpią krew"? Dziwne. Jestem pewien, że zapamiętałbym taką barwną nazwę.

W głosie Sophii zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

— Doktorze Tremont, proszę mnie uważnie posłuchać. To sprawa życia i śmierci. Wręcz krytyczna. Właśnie odnotowaliśmy trzy przypadki wirusa. Tamten był do niego podobny.

Indianie znali lekarstwo, które działało niemal w osiemdziesięciu procentach przypadków.

Wypijali krew pewnego gatunku małpy. Pamiętam, że ten fakt bardzo pana zdziwił.

— Zdziwiłby mnie i dzisiaj — przyznał Tremont. Cóż za irytująca dobra pamięć! —

Prymitywne plemię Indian zna lekarstwo na śmiertelną chorobę? Ależ nie przypominam sobie niczego — skłamał gładko. — Chociaż z pani słów wynika, że powinienem. A co mówią pani koledzy? Niektórzy pewnie też pracowali w Peru.

Westchnęła.

— Najpierw chciałam skonsultować się z panem. Mieliśmy już wystarczająco dużo fałszywych alarmów, a pobyt w Peru i mnie wydaje się dość odległy w czasie. Ale jeśli pan nie pamięta... — Jej głos załamał się. Była potwornie rozczarowana. — Jestem pewna, że był taki wirus. Może skontaktuję się z Peru. Muszą mieć spis niekonwencjonalnych środków leczniczych stosowanych przez Indian.

Jeszcze tego mu potrzeba!

— Nie musi pani — powiedział lekko zmienionym głosem. — Podczas wyprawy prowadziłem

dziennik. Robiłem notatki o roślinach i ludowych farmaceutykach. Może zanotowałem też coś o pani wirusie.

Sophia przyjęła propozycję z entuzjazmem.

— Tak mi na tym zależy, żeby go pan odszukał! Już teraz.

— Chwileczkę! Tremont roześmiał się dobrotliwie. — Dzienniki trzymam gdzieś w domu.

Pewnie na strychu. Albo w piwnicy. Skontaktuję się z panią jutro.

— Będę panu ogromnie wdzięczna, doktorze. A być może również cały świat. Proszę zadzwonić jutro z samego rana. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo może to być ważne. Podała mu swój numer telefonu.

— Oczywiście, wiem — zapewnił ją. — Zadzwonię najpóźniej jutro rano.

Odłożył słuchawkę i znów obrócił się w fotelu, żeby wyrzeć na roziskrzone jezioro i wysokie góry, które nagle wydały mu się bliskie i złowogie. Wstał i podszedł do okna. Był to wysoki mężczyzna średniej budowy ciała z charakterystyczną twarzą, któremu natura spletała jeden ze swych figli. Z młodzieńca o wydatnym nosie, wielkich uszach i chudych policzkach wyrósł na przystojnego mężczyznę. Teraz, kiedy przekroczył pięćdziesiątkę, jego rysy wyszlachetniały. Gładka twarz o arystokratycznych rysach, prosty i mocny nos, teraz o idealnym rozmiarze, nadawały mu bardzo angielskiego wyglądu. Zwracał uwagę ciemną karnacją i gęstymi, szpakowatymi włosami. Wiedział jednak, że ludzi pociąga nie tyle jego pełen godności widok, lecz pewność siebie. Emanowała z niego siła, która tak bardzo urzeka słabszych.

Wbrew obietnicy złożonej Sophii Russell Victor Tremont nie poszedł do domu. Patrzył

niewidzącymi oczyma na góry i próbował się uspokoić. Był zdenerwowany i poirytowany.

Sophia Russell. Mój Boże, Sophia Russell!

Kto by to pomyślał? Nie poznał nawet jej nazwiska. Zresztą nie rozpoznałby nazwiska ani jednego członka tamtej nic nie znaczącej grupki studentów. Nie przypuszczał, że oni zapamiętają jego. Oprócz tej Russell. Jaki trzeba mieć umysł, żeby zapamiętać taki szczegół? Najwyraźniej zwracała uwagę na drobiazgi. Pokręcił głową zdegustowany. Nie była wprawdzie problemem, tylko irytującą przeszkodą, którą należało usunąć. Otworzył zamkniętą na klucz szufladę w rzeźbionym biurku, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

Tak? — odezwał się beznamiętny głos z lekkim akcentem.

— Musimy porozmawiać — powiedział Tremont. — W moim gabinecie za dziesięć minut.

Zakończył rozmowę, odłożył telefon do szuflady, zamknął ją na klucz i podniósł słuchawkę zwykłego służbowego telefonu. — Muriel? Połącz mnie z generałem Casparem w Waszyngtonie.

Rozdział 3.

9.14, poniedziałek, 13 października

Fort Detrick, Maryland

W poniedziałek rano Instytut lotem błyskawicy obieżyła wiadomość o bezowocnych próbach zidentyfikowania i zneutralizowania nowego zabójczego wirusa. Prasa nie wywęszyła jeszcze tej historii, a biuro dyrektora wydało zakaz jakichkolwiek kontaktów z mediami. Nikomu nie wolno było rozmawiać z dziennikarzami i tylko pracownicy laboratorium znali szczegóły żmudnych badań.

Tymczasem Instytut musiał funkcjonować jak co dnia. Trzeba było wypełniać formularze, naprawiać sprzęt, odbierać telefony. W biurze starszej sierżant Helen Daugherty technik czwartej grupy Hideo Takeda sortował przy swoim biurku pocztę. Jeden z listów nosił nadruk Departamentu Obrony.

Przeczytał list dwa razy po czym wychylił się przez ściankę oddzielającą jego stanowisko pracy od biurka koleżanki, technik piątej grupy: Sandry Quinn.

— Przenoszą mnie na Okinawę — wyznał podnieconym szeptem.

— Chyba żartujesz.

— A już straciliśmy nadzieję. - Uśmiechał się. Jego dziewczyna, Miko, stacjonowała na Okinawie.

— Lepiej od razu powiedz szefowej — poradziła mu Sandra. — Będzie musiała teraz nauczyć kogoś nowego, jak użerać się z naszymi roztrzepanymi profesorkami. Wkurzy się.

Człowieku, przecież oni wszyscy dzisiaj odchodzą od zmysłów przez tego nowego wirusa.

— Mam ją w dupie — specjalista Takeda zaklął radośnie.

— No, pięknie. Starsza sierżant Helen Daugherty stała w drzwiach swego gabinetu.

— Zechce pan łaskawie pofatygować się do mnie, Takeda? — powiedziała z przesadną uprzejmością. — A może wolisz, żebym cię tutaj znokautowała?

Starsza sierżant — okazała blondyna, ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, z ramionami usuwającymi w cień wszelkie inne wypukłości — uśmiechnęła się jak pirania, spoglądając na niewielkiego Takedę. Technik wyskoczył zza biurka, pozorując nerwowy strach, choć nie był on do końca udawany. Z tą Daugherty, jak na dobrego starszego sierżanta przystało, nigdy nic nie wiadomo.

— Zamknijcie drzwi, Takeda. I siadajcie.

Takeda wykonał polecenie.

Daugherty wbiła w niego świdrujące spojrzenie.

— Od jak dawna wiesz o tym przeniesieniu, Hideo?

— Od dzisiaj. Sam jestem zaskoczony. List otworzyłem przed chwilą.

— A podanie złożyliśmy... kiedy? Prawie dwa lata temu?

— Co najmniej półtora roku temu. Od razu, kiedy wróciłem z urlopu. Proszę posłuchać, sierżancie, jeśli pani chce, żebym tu jeszcze trochę został, mogę...

Daugherty pokręciła głową.

— Chyba nie mogłabym cię zatrzymać, nawet gdybym chciała. Postukała palcem w kartkę na biurku.
— Dostałam tę wiadomość e-mailem z Departamentu Armii mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ty otwierałeś list. Twoja następczyni już jest w drodze. Przylatuje z dowództwa wywiadu w Kosowie. Siedziała w samolocie, zanim ten list tutaj dotarł. Daugherty zamyśliła się nad czymś.

— To znaczy, że będzie tu jeszcze dzisiaj?

Helen zerknęła na zegar stojący na biurku.

— Tak, za parę godzin.

— O rany, ale tempo.

— No właśnie — zgodziła się. — Twoja podróż też już jest zaplanowana. Masz dzień na to, żeby opróżnić biurko i uporządkować stanowisko pracy. Odlatujesz jutro rano.

— Jutro?

— Lepiej zabieraj się do pracy. I powodzenia, Hideo. Dobrze mi się z tobą pracowało.

Dołączę pozytywną opinię do twoich akt.

— Tak jest, pani... sierżancie. Dziękuję.

Nieco oszołomiony Takeda opuścił gabinet zamyślonej starszej sierżant Daugherty. I kiedy z zapalem porządkował swoje biurko, ona obracała między dłońmi ołówki i wpatrywała się w przestrzeń. Hideo z trudem powstrzymywał się od okrzyków zwycięstwa. Bardzo tęsknił za Miko i był już zmęczony samotnością, a zwłaszcza zwariowaną pracą w Instytucie. Przeżył tu wiele sytuacji kryzysowych, ale ta ostatnia wszystkich naprawdę zaniepokoiła. A nawet przestraszyła.

Cieszyło go, że zostawia to wszystko w diabły.

Trzy godziny później technik czwartej grupy Adele Schweik stała na baczność w tym samym gabinecie przed starszą sierżant Daugherty. Była drobną brunetką o niemal czarnych włosach, prostej sylwetce i czujnych szarych oczach. Na nieskazitelnym mundurze dwa rzędy baretek mówiły o jej służbie w wielu krajach i udziale w licznych kampaniach. Wśród odznaczeń był nawet medal bośniacki.

— Spocznij.

Schweik wykonała rozkaz.

— Dziękuję sierżancie.

Daugherty przejrzała jej papiery i odezwała się, nie podnosząc wzroku.

— Trochę szybkie to przeniesienie, prawda?

— Kilka miesięcy temu poprosiłam o transfer do Waszyngtonu. Z powodów osobistych.

Dowiedziałam się od pułkownika, że w Detrick powstaje wakat, więc skorzystałam z okazji.

Daugherty spojrzała na nią.

— Pani kwalifikacje są chyba za wysokie na tak skromne stanowisko? Tu się tak mało dzieje, nie ma wyjazdów zagranicznych.

— Wiem tylko, że zostałam przeniesiona do bazy w Detrick. Nie wiem, czym mam się tu zajmować.

— Czyżby? - Daugherty uniosła jasną brew. Ta Schweik wydała jej się trochę za bardzo opanowana.

— Znajdujemy się w Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych. Prowadzone są tutaj badania naukowe. Wszyscy nasi oficerowie to lekarze, weterynarze lub technicy medyczni.

Mamy tu także cywilów. Bez broni, bez poLilyonów, bez wojennej chwały.

Schweik uśmiechnęła się.

- To prawdziwa sielanka, sierżancie. Miła odmiana po Kosowie. Słyszałam kiedyś, że w instytucie prowadzi się zaawansowane badania nad bardzo niebezpiecznymi chorobami. To może być ciekawe.

Starsza sierżant podniosła głowę.

— Owszem, dla lekarzy. Ale my mamy tylko rutynową pracę biurową. Administrujemy tą placówką. Od weekendu mamy tutaj stan pogotowia. Proszę nie zadawać żadnych pytań. To nie powinno pani interesować. I jeśli skontaktuje się z panią jakiś dziennikarz, proszę go odesłać do rzecznika prasowego. To rozkaz. No dobrze, pani stanowisko sąsiaduje ze stanowiskiem technik Quinn. Proszę

się przedstawić, zainstalować, a Quinn we wszystko panią wprowadzi.

Schweik stanęła na baczność.

— Dziękuję, sierżancie.

Daugherty znów zaczęła obracać ołówek między dłońmi, wpatrując się w drzwi, które zamknęły się za nową pracownicą. Westchnęła. Nie była z nią całkiem szczerą.

Wprawdzie jej praca miała przede wszystkim charakter rutynowy, zdarzały się chwile — tak jak teraz — kiedy wszystko stawało na głowie. Wzruszyła ramionami. Widziała już dziwniejsze rzeczy od nieoczekiwanej roszady personalnej, która uszczęśliwiła obie strony. Przez interkom poprosiła Quinn o filiżankę kawy i odpędziła natrętne myśli o kryzysie w laboratorium i dziwnych przetasowaniach osobowych. Miała przecież mnóstwo pracy.

O siedemnastej trzydzieści dwie starsza sierżant Daugherty zamknęła na klucz drzwi do swego gabinetu, szykując się do wyjścia z opustoszałego biura. Ale biuro nie było całkowicie puste.

— Chciałabym zostać dłużej, żeby się ze wszystkim zapoznać — powiedziała Adele Schweik.

— W porządku. Powiadomię ochronę. Ma pani klucz do biura? Świetnie. Proszę zamknąć drzwi na klucz, kiedy pani skończy. Nie będzie pani sama. Przez tego nowego wirusa nasi doktorzy świrują. Przypuszczam, że niektórzy zostaną w Instytucie przez całą noc. Jeśli to potrwa dłużej, będą nie do wytrzymania. Nie lubią tajemniczych chorób, które zabijają ludzi.

— O tym też słyszałam. Drobną brunetką pokiwała głową i uśmiechnęła się. — Jak widać, w Fort Detrick nie jest aż tak sielankowo.

Daugherty roześmiała się.

— Myślałam, że da się pani nabrać — odparła i wyszła z biura.

Specjalistka Schweik jeszcze przez pół godziny czytała i robiła notatki przy biurku w opuszczonym pomieszczeniu — na wypadek, gdyby starsza sierżant albo ochrona próbowała ją sprawdzić. Otworzyła neseser, który wniosła podczas pierwszej przerwy na kawę. Kiedy rano wylądowała w bazie lotniczej Andrews, neseser czekał już na nią w podstawionym samochodzie.

Z neseseru wyjęła schemat instalacji telefonicznej w budynku Instytutu. Główna skrzynka, zawierająca gniazda wszystkich numerów wewnętrznych i linii wychodzących na zewnątrz, znajdowała się w piwnicy. Studiowała schemat długo, żeby zapamiętać położenie skrzynki.

Odłożyła go wreszcie, zamknęła neseser i wyszła z nim na korytarz.

Z niewinnym, ciekawym wyrazem twarzy rozejrzała się ostrożnie dookoła.

Strażnik przed głównym wejściem coś czytał. Nie wolno jej było zwrócić na siebie uwagi.

Odetchnęła parę razy, żeby się uspokoić i prześlizgnęła się bezszelestnie korytarzem do wejścia do piwnicy.

Odczekała chwilę. Strażnik nie wykonał żadnego ruchu, nie wydał żadnego dźwięku. Instytut zaliczano wprawdzie do budynków pod ścisłym nadzorem, dotyczyło to jednak bardziej ochrony społeczeństwa przed niebezpiecznymi toksynami, wirusami, bakteriami i innymi groźnymi preparatami naukowymi, które badano w Instytucie. Więc choć strażnik był dobrze wyszkolony, brakowało mu agresywnej czujności żołnierza, broniącego dostępu do laboratorium, w którym pracuje się nad tajną bronią.

Odetchnęła z ulgą — strażnik nie oderwał się od lektury — i spróbowała otworzyć ciężkie metalowe drzwi. Były zamknięte. Wyjęła z neseseru pęk kluczy. Trzecia próba zakończyła się sukcesem. Bezszelestnie zeszła po schodach i zaczęła kluczyć między ogromnymi maszynami, które ogrzewały i chłodziły budynek, doprowadzały do laboratoriów sterylne powietrze i podciśnienie, kierowały potężnym systemem wentylacyjnym, doprowadzały wodę i roztwory chemiczne do pryszniców odkażających i zaspokajały wszelkie inne potrzeby ośrodka badawczego.

Zanim zlokalizowała główną skrzynkę, spociała się. Postawiła neseser na ziemi i wyjęła z niego mniejszą torebkę z narzędziami, przewodami, kolorowymi złączkami, przyrządami pomiarowymi, przełącznikami, urządzeniami podsłuchowymi i miniaturowymi urządzeniami nagrywającymi.

Był już wieczór i w piwnicy panowała cisza, nie licząc sporadycznych trzasków bulgotów i szumów dochodzących z rur i szybów wentylacyjnych. Nie przestawała jednak nasłuchiwać, chcąc się upewnić, czy nikt nie nadchodzi. Ze zdenerwowania czuła na skórze dreszcze.

Rozglądała się czujnie. Wreszcie otworzyła główną skrzynkę i przystąpiła do pracy nad całym mnóstwem połączeń.

Dwie godziny później po powrocie do biura sprawdziła telefon, podłączyła do niego miniaturowe słuchawki z głośnikiem, wcisnęła przycisk na ukrytym w szufladzie biurka urządzeniu sterowniczym i zaczęła nasłuchiwać.

— ...Tak, obawiam się, że zejdzie mi tu jeszcze ze dwie godziny. Przepraszam, kochanie, ale nic na to nie poradzę. Ten wirus to prawdziwa zagadka. Cały personel się nad nim głowi. Dobrze, postaram się wrócić, zanim dzieciaki pójdą spać.

Zadowolona z wyników, wyłączyła urządzenie i wybrała numer zewnętrzny. Odezwał się męski głos, który wczoraj skontaktował się z nią i podał jej instrukcje.

— Tak?

— Instalacja założona. Jestem podłączona do rejestratora wszystkich rozmów, a mój aparat zawiadomi mnie o każdym połączeniu z biur, którymi jest pan zainteresowany. Jestem przygotowana do przechwytywania rozmów.

— Nikt nic nie widział? Nikt niczego nie podejrzewa?

Schweik szczyliła się doskonale wyczulonym słuchem i znała wszystkie główne języki, nie licząc tych mniej popularnych. Głos należał do osoby wykształconej, której angielski był dobry, lecz nie doskonały. Obca wymowa, drobny ślad akcentu ze Środkowego Wschodu. Na pewno nie Izrael, Iran ani Turcja. Być może Syria lub Liban, a najprawdopodobniej Jordania lub Irak.

Zapamiętała tę informację na przyszłość.

— Oczywiście — odpowiedziała.

— Doskonale. Proszę uważnie śledzić wszelkie postępy w badaniach związanych z nieznanym wirusem, nad którym pracują. Proszę monitorować wszystkie rozmowy telefoniczne z biurami doktor Russell, podpułkownika Smitha i generała Kielburgera.

To zadanie nie mogło trwać długo. Stałoby się zbyt ryzykowne. Choć prawdopodobnie ciało prawdziwej technik czwartej grupy Adele Schweik nigdy nie zostanie odnalezione. Schweik nie miała krewnych i przyjaźniła się z niewielką garstką osób spoza armii. Z tych powodów wybór padł na nią.

Ale obecna Schweik wyczuła, że starsza sierżant Daugherty coś podejrzewa. Nagłe pojawienie się Adele nieco ją zaniepokoiło.

Jeśli będą jej się przyglądać, może zostać zdemaskowana.

— Jak długo mam tu zostać?

— Tak długo, jak będzie trzeba. Proszę działać dyskretnie. Odłożył słuchawkę.

Schweik pochyliła się nad biurkiem, żeby zapoznać się z charakterem pracy w biurze starszej sierżant. Podsluchiwała również rozmowy telefoniczne pracowników Instytutu i sprawdzała, czy na aparacie nie zapala się lampka, która miała ją zawiadamiać o rozmowach doktor Russell.

Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego doktor Russell jest tak ważna, ale szybko powściągnęła ciekawość. O niektórych rzeczach lepiej nie wiedzieć. Tak jest bezpieczniej.

Rozdział 4

24.00, Waszyngton

Wspaniały waszyngtoński park Rock Creek jest oazą dzikiej przyrody w samym sercu miasta. Ciągnie się wąskim łukiem na północ od rzeki Potomac niedaleko Kennedy Center, a dalej przechodzi w szeroki leśny pas w północno-zachodniej części miasta. Park poprzecinany jest licznymi szlakami — pieszymi, rowerowymi i konnymi — nie brakuje też terenów rekreacyjnych i zabytków. Jedną z owych historycznych atrakcji jest Pierce Mill przy skrzyżowaniu Tilden Steet i Beach Drive. Stary młyn zbudowano przed wojną secesyjną: wówczas nad zatoką stał ich cały rząd. Teraz mieściło się w nim muzeum parku narodowego. W

świecie księżycy młyn wyglądał jak upiorna pozostałość po dawno minionych czasach.

Na północny zachód od młyna, gdzie gęste zarośla nikły w cieniu wysokich drzew, czekał

Bill Griffin z czujnym dobermanem na napiętej smyczy. Było wprawdzie chłodno, ale Griffin pocił się. Rozglądał się przezornie. Lśniący pies wachał powietrze, a jego postawione uszy obracały się, usiłując zlokalizować źródło dźwięku.

Z prawej strony ktoś zbliżał się do młyna. Pies wychwycił cichutki szmer deptanych liści na długo, zanim odgłos stał się słyszalny dla Griffina. Na dźwięk kroków Griffin puścił zwierzę. Pies posłusznie pozostał na miejscu, czekając w pogotowiu z napiętymi, rozdygotanymi mięśniami.

Griffin dał mu bezgłośny sygnał ręką.

Doberman zniknął w ciemności jak czarna zjawa, okrążając szerokim łukiem młyn, niewidzialny wśród groźnych cieni drzew.

Griffinowi potwornie zachciało się palić. Czuł napięty każdy nerw. W krzakach za nim przemknęło z szelestem coś małego i dzikiego. Gdzieś w parku rozległo się pohukiwanie sowy.

Ale on nie zwracał uwagi ani na leśne odgłosy, ani na swoje zdenerwowanie. Był doskonale wyszkolonym prawdziwym profesjonalistą, czatował więc dalej, czujny i nieruchomy. Oddychał

płytko, żeby obłoczki białej pary w zimnym nocnym powietrzu nie zdradziły jego obecności. I trzymał nerwy na wodzy. Był wkurzony i zmartwiony.

Kiedy podpułkownik Jonathan Smith wreszcie pojawił się w polu widzenia, maszerując przez parkowy trawnik w srebrnoniebieskim świetle księżycy, Griffin nadal nie dawał znaku życia. Po drugiej stronie trawnika doberman przywarł do ziemi i stał się niewidzialny. Ale Griffin wiedział, że zwierzę tam jest.

Jon Smith zatrzymał się.

— Bill? — zapytał ochryplym szeptem.

Z mroku wśród drzew Griffin nie przestawał lustrować okolicy. Przysłuchiwał się ruchowi

ulicznemu na pobliskiej szosie i dalszym odgłosom miasta. Nic nie zwróciło jego uwagi. W tej części ogromnego parku nikogo nie było. Odczekał chwilę, żeby się przekonać, czy pies potwierdzi jego przypuszczenia. Ale doberman też był najwyraźniej zadowolony i wznowił swój obchód.

Griffin westchnął. Wyszedł z cienia na skraj zalanego księżycową poświatą trawnika.

— Smithy. Tutaj — odezwał się cichym, zdenerwowanym głosem.

Jon Smith odwrócił się z duszą na ramieniu. Widział tylko zamazany kształt majaczący w księżycowej poświacie. Ruszył w jego stronę, czując się dziwnie bezbronny i odsłonięty, choć nie wiedział przed czym.

— Bill? — wychrypiał. — To ty?

— Persona non grata — zażartował Griffin i znów zanurzył się w cień.

Smith poszedł w jego ślady. Zamrugał, żeby szybko przyzwyczać oczy do ciemności.

Wreszcie zobaczył przyjaciela, który uśmiechał się do niego. Bill Griffin miał tę samą okrągłą, nijaką twarz jak niegdyś. Ale schudł jakieś pięć kilo — nie miał już pyzatych policzków i był

szczuplejszy w pasie, przez co jego ramiona wydawały się masywniejsze. Brązowe włosy opadały miękko i niesfornie na kark. Krępy i dobrze zbudowany, był niższy od Smitha o jakieś pięć centymetrów.

Ale Smith nieraz widział, jak Bill Griffin przeistacza się w szarego człowieka, który albo wraca właśnie z pracy w fabryce komputerów albo w miejscowym barze smaży kotlety. Taka twarz i sylwetka przydawały się w wywiadzie wojskowym i w FBI, gdzie kierował tajnymi operacjami — pod nijaką powłoką krył się bystry umysł i żelazna wola.

Dla Smitha stary przyjaciel zawsze był kimś w rodzaju kameleona, ale nie tej nocy. Tej nocy Jon znów zobaczył gwiazdę szkolnej drużyny piłkarskiej i starego uparciucha. Wyrósł na uczciwego, porządnego i odważnego człowieka. Prawdziwy Bill Griffin.

Griffin wyciągnął rękę.

— Cześć, Smithy. Miło cię widzieć po tylu latach. Najwyższy czas. Kiedyśmy się widzieli po raz ostatni? Hotel "Drake" w Des Moines?

— Tak. Knajpy i piwo Potosi. — Ale Jon Smith nie uśmiechnął się do tych wspomnień, gdy ścisnął dłoń Griffina. — Co za pomysł, żeby się tutaj spotykać? W co się wpakowałeś? Masz kłopoty?

— Można tak powiedzieć — przytaknął Griffin, choć ton jego głosu pozostawał beztroski.

— Ale na razie dajmy temu spokój. Jak ci się żyje, Smithy?

— W porządku — odparł Smith niecierpliwie. — Ale mówmy o tobie. Skąd wiedziałeś, że jestem w

Londynie? — Zaśmiał się cicho. — Mniejsza z tym. Głupie pytanie, co? Ty wszystko wiesz. Dobra, po co...

— Słyszałem, że się żenisz? Wreszcie znalazł się ktoś, kto ujarzmił kowboja? Chcesz kupić dom na przedmieściach, wychowywać dzieci i strzyc trawnik w ogródku?

— Nigdy w życiu. Smith uśmiechnął się szeroko. — Sophia też jest kowbojem. Jeszcze jednym łowcą wirusów.

— Ach, tak. Teraz rozumiem. Niezły duecik. Griffin kiwnął głową i odwrócił wzrok. Jego oczy był równie niespokojne i czujne jak oczy niewidocznego teraz dobermana. Zupełnie jakby za chwilę park miał stanąć w płomieniach. — A propos, jak wam idzie z wirusem?

— Jakim wirusem? Mamy ich w Detrick sporo.

Bill Griffin wciąż omiatał wzrokiem ciemny park, jak artylerzysta, który namierza cel. Nie zważał na pot, który ociekał pod ubraniem.

— Z tym, nad którym pracujecie od soboty.

Smith zdziwił się.

— Od wtorku byłem w Londynie. Przecież wiesz. — Zaklął głośno. — Cholera jasna! Więc to w tej sprawie wezwano Sopię do laboratorium, kiedy rozmawialiśmy! Muszę wracać... —

Przerwał, marszcząc brwi. — Skąd wiesz, że w Detrick mają nowego wirusa? A więc o to chodzi? Myślisz, że kiedy byłem w Londynie, o wszystkim mnie powiadomiono, a teraz chcesz ze mnie coś wyciągnąć?

Twarz Griffina nie zdradzała niczego. Badał wzrokiem okolicę.

— Spokojnie, Jon.

— Spokojnie? Smith nie wierzył własnym uszom. — Ten wirus tak bardzo zainteresował

FBI, że kazali mnie przemaglować? Co za idiotyzm. Twój szef może zadzwonić do mojego szefa.

Tak się załatwia te sprawy.

Griffin spojrzał wreszcie na niego.

— Nie pracuję już dla FBI.

— Nie...?

— Smith utkwiał wzrok w oczach starego przyjaciela, ale nie wyczytał z nich nic.

Oczy Billa Griffina i w ogóle cała nijaka twarz, straciły jakikolwiek wyraz. Zniknął stary Bill Griffin i Smith poczuł krótki ucisk w dołku. Ogarnął go gniew. Zdobyta w wojsku i pracy naukowej intuicja podpowiadała mu, że musi się mieć na baczności.

— Co jest takiego niezwykłego w tym nowym wirusie? I dla boga te informacje? Pewnie dla jakiegoś szmatławego brukowca?

— Nie pracuję dla żadnej gazety.

— Więc dla jakiejś komisji parlamentarnej? Chcą obciąć wydatki na badania naukowe i zatrudnili byłego agenta FBI — Smith wziął głęboki wdech.

Nie poznawał człowieka, którego kiedyś uważał za najlepszego przyjaciela. Coś odmieniło Billa Griffina, a Griffin nie zamierzał powiedzieć co. Wyglądało na to, że chce wykorzystać starą przyjaźń dla prywatnych celów.

Smith pokręcił głową.

— Nie, Bill, nie mów mi, dla kogo pracujesz. Nie jestem ciekaw. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o jakimś wirusie, zrób to drogą oficjalną. I nie dzwoń do mnie więcej, chyba że jako mój przyjaciel i nikt inny.

Zniesmaczony odwrócił się.

— Poczekaj, Smithy. Musimy porozmawiać.

— Idź do diabła, Bill.

— Jon Smith szedł dalej w stronę światła księżyca.

Griffin zagwizdał cicho.

Przed Jonem wyrósł nagle wielki doberman. Stał i warczał. Smith zamarł. Pies, gotowy do skoku, podniósł pysk i wydał z siebie przeciągły, głęboki charkot. Jego białe, wilgotne zęby były tak ostre, że jednym chwytem mogły rozerwać człowiekowi gardło.

Smith usłyszał łomot serca w piersiach. Patrzył na psa, nie ruszając się z miejsca.

— Przepraszam — usłyszał za sobą niemal smutny szept Griffina. — Pytałeś mnie o kłopoty.

Rzeczywiście chodzi o kłopoty, ale nie moje.

Pies nadal wydawał z gardła ostrzegawcze pomruki, a Smith stał nieruchomo. Jego twarz wykrzywił grymas pogardy.

– Chcesz powiedzieć, że ja mogę mieć jakieś kłopoty? Daj spokój.

— Tak. Griffin kiwnął głową. — Właśnie to ci chcę powiedzieć, Smithy. I dlatego poprosiłem cię o spotkanie. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć. Grozi ci niebezpieczeństwo.

Prawdziwe niebezpieczeństwo. Jak najszybciej wyjedź z miasta. Nie pojawiaj się w laboratorium.

Wsiądź do samolotu i...

— Co ty wygadujesz? Doskonale wiesz, że tego nie zrobię. Mam uciec z pracy? Cholera, co się z tobą dzieje, Bill?

Griffin zignorował pytanie.

— Posłuchaj! Zadzwoń do Detrick. Powiedz generałowi, że potrzebujesz urlopu. Długiego urlopu. Za granicą. Zrób to teraz i zwiewaj stąd jak najdalej. Jeszcze dzisiaj!

— To mi nie wystarczy. Powiedz, co jest takiego szczególnego w tym wirusie? Jakie niebezpieczeństwo mi grozi? Jeśli chcesz, żebym to zrobił, muszę wiedzieć dlaczego.

— Na litość boską! — Griffin tracił cierpliwość. — Próbuję ci tylko pomóc. Wyjedź! I to szybko! Zabierz ze sobą tę twoją Sophie.

Zanim skończył, warczący doberman raptownie obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni na południe. Chyba zauważył coś po drugiej stronie parku.

— Mamy gości, piesku? — zapytał cicho Griffin.

Dał znak ręką i pies pognał w stronę drzew.

Griffin odwrócił się do Smitha.

— Uciekaj stąd, Jon! Natychmiast! — wyrzucił z siebie.

Ruszył za dobermanem jak cień, poruszając się z niewiarygodną prędkością.

Mężczyzna i pies znikli wśród gęstych drzew mrocznego parku.

Jon był oszołomiony. Bill bał się o niego czy o samego siebie? A może o obu? Jego stary przyjaciel dużo ryzykował, żeby go ostrzec i spróbować namówić do czegoś, co dawniej uznaliby za nedorzeczność: do porzucenia pracy i odpowiedzialności.

Żeby posunąć się tak daleko, musiał już nie mieć odwrotu.

W co, na litość boską, wdepnął Griffin?

Smitha przeszedł zimny dreszcz. Czuł krew pulsującą w skroni. Bill miał rację. Jonowi groziło

niebezpieczeństwo, przynajmniej tu, w tym ciemnym parku. I nagle jakby stare ubrania same okryły go jak dawno nie noszona peleryna. Zmysły wyostrzyły się. Okiem zawodowca zlustrował drzewa i trawniki.

Ruszył biegiem wzdłuż ciemnej linii drzew, nie przestając analizować sytuacji. Przedtem sądził, że Bill odnalazł go dzięki FBI, ale powiedział, że nie pracuje już dla FBI.

O pobycie Smitha w "Wilbraham Hotel" wiedziała tylko jego narzeczona, szef i urzędnik z Fort Detrick, który zajmował się rezerwacją. Nie było mowy, żeby któraś z tych osób zdradziła miejsce jego pobytu obcej osobie, choćby i przekonującej.

Więc jakim cudem Bill — człowiek, który twierdził, że nie pracuje już dla rządu — zdołał

dowiedzieć się, że gdzie Smith będzie mieszkał w Londynie? W cieniu starego młyna, przy wejściu do parku Rock Creek, od strony Tilden Street przyczała się czarna limuzyna z wyłączonymi światłami. Tylnie siedzenie zajmował samotnie Nadal al — Hassan, wysoki mężczyzna o ciemnej twarzy i ostrych, jakby wyciętych toporem rysach. Słuchał relacji swego podwładnego, Steve'a Madduksa, który pochylał się nad oknem samochodu.

Maddux biegł, więc jego twarz była czerwona i spocona.

— Jeśli Bill Griffin jest w tym parku, panie al — Hassan, to musi być chyba jakimś pieprzonym duchem. Widziałem tylko doktorka na spacerze.

Oddychał ciężko, usiłując złapać oddech.

Ostre wypukłości kości policzkowych i zapadłą twarz wysokiego mężczyzny siedzącego wewnątrz luksusowego samochodu szpeciły głębokie dzioby, znak, że jako jeden z niewielu przeżył budzącą niegdyś śmiertelny strach czarną ospę. Czarne, zapadnięte oczy patrzyły zimno i bez wyrazu.

— Mówiłem ci już, Maddux: skoro pracujesz dla mnie, nie możesz bluźnić.

— No tak, przepraszam. W porządku? Jezu Chr...

Ręka wysokiego mężczyzny zaatakowała jak kobra. Długie palce zacisnęły się na gardle Madduksa.

Maddux pobladł i wydał z siebie stłumiony dźwięk: bluźnierstwo ugrzęzło mu w gardle, nie wypowiedziane słowa zawisły w złowroziej ciszy. Wreszcie dłoń na gardle rozluźniła chwyt. Z

czoła Madduksa spływał pot.

Oczy w samochodzie były jak zwierciadła — lśniące, nieprzeniknione powierzchnie. Głos brzmiał zwodniczo spokojnie.

— Chcesz umrzeć tak młodo?

— Przecież pan jest muzułmaninem — wychrypiał przerażony mężczyzna. — Co w tym złego...

— Wszyscy prorocy są święci. Abraham, Mojżesz i Jezus. Wszyscy!

— No już dobrze, dobrze. Jez... — Maddux zadygotał, kiedy palce znów zacisnęły się na jego krtani.

— Skąd to miałem wiedzieć?

Wysoki mężczyzna jeszcze przez chwilę trzymał go za gardło, wreszcie puścił. Cofnął rękę.

— Może masz rację. Za wiele wymagam od tępych Amerykanów. Ale teraz już wiesz i nie zapomnisz.

Nie było to pytanie.

— Ma się rozumieć, panie al-Hassan, oczywiście — wycharczał Maddux.

Al-Hassan przyjrzał mu się zimnymi, lustrzanymi oczami.

— Ale Jon Smith tam był.

Cofnął się w mrok wnętrza samochodu. Mówił cicho, jakby do siebie.

— Nasz człowiek w Londynie dowiadyuje się, że Smith przełożył lot i na cały dzień zniknął.

Twoi ludzie namierzają go na lotnisku Dullesa, ale nie jedzie do domu w Maryland, tylko przyjeżdża tutaj. W tym samym czasie nasz szacowny kolega wymyka się z hotelu. Śledzę go, a tu udaje mu się zgubić mnie. Nie znalazłeś go w parku, ale nie sądzisz, że to bardzo dziwny zbieg okoliczności? Po co przyjechał tutaj współpracownik doktor Russell, jeśli nie na spotkanie z naszym panem Griffinem?

Maddux milczał. Wiedział, że większość pytań szef wypowiada na głos do jakiejś niewidzialnej części samego siebie. Pozwolił, żeby cisza przeciągnęła się. Park wokół limuzyny i obu mężczyzn zdawał się żyć własnym życiem.

W końcu al-Hassan wzruszył ramionami.

— Może się mylę. Może to rzeczywiście zbieg okoliczności i Griffin nie ma nic wspólnego z obecnością pułkownika Smitha w parku. To chyba nie ma żadnego znaczenia. Twoi ludzie zajmą się pułkownikiem Smithem, tak?

— Załatwione.- Maddux kiwnął głową na potwierdzenie swych słów. - Nie uda mu się wydostać z Waszyngtonu.

Rozdział 5

01.34, wtorek, 14 października

Fort Detrick, Maryland

Sophia Russell zapaliła lampkę na biurku w swoim gabinecie i opadła na fotel, zmęczona i sfrustrowana. Rano zadzwonił Victor Tremont i poinformował ją, że w dziennikach z Peru nie znalazł żadnej wzmianki o dziwnym wirusie i indiańskim plemieniu "pijących małpią krew".

Wiązała z nim ogromne nadzieje, była więc zrozpaczona, że nie mógł jej pomóc.

Choć cały zespół mikrobiologów w Detrick pracował okrągłą dobę, nie zdołano wyeliminować zagrożenia, które stwarzał wirus. Każda cząsteczka nowego wirusa miała ten sam kulisty kształt z włoskowatymi wypustkami niektórych białek — tak jak wirus grypy. Lecz ten był o wiele prostszy od każdej mutacji wirusa grypy i o wiele bardziej niebezpieczny.

Kiedy nie udało się znaleźć odpowiednika wśród hantawirusów, ponownie sprawdzono wirusy Marburg, Lassa i Ebola. Nowy wirus nie wykazywał podobieństwa do tej zabójczej rodziny. Sprawdzono wszystkie inne znane gorączki krwotoczne. Sprawdzono dur brzuszny, dżumę dymieniczną, dżumę płucną zapalenie opon i tularemię.

Bez rezultatów. Po południu Sophia zażądała, aby generał Kielburger ujawnił istnienie wirusa i poprosił o pomoc Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych i inne ośrodki medyczne na świecie. Generał ościągł się, zanotowano przecież tylko trzy przypadki. Z drugiej strony wszystko wskazywało na to, że wirus jest zupełnie nieznan, szalenie niebezpieczny i jeśli generał nie podejmie odpowiednich kroków, może zostać obarczony odpowiedzialnością za wybuch pandemii.

Chcąc nie chcąc, ustąpił wreszcie i rozesłał szczegółowe raporty i próbki krwi do Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych, Sekcji Badania Patogenów Światowej Organizacji Zdrowia, Porton Down w Wielkiej Brytanii, Uniwersytetu Antwerpskiego w Belgii, Instytutu im. Bernarda Nocha, Instytutu Pasteura we Francji i wszystkich ważniejszych ośrodków badawczych na całym świecie.

Teraz nadchodziły pierwsze raporty z innych laboratoriów. Wszyscy zgodni co do tego, że nowy wirus przypomina hantawirusa, ale nie znaleźli żadnego odpowiednika w swoich bankach danych. Raporty z Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych i zagranicznych laboratoriów nie posunęły sprawy ani o krok. Zawierały tylko rozpaczliwe, choć bardzo profesjonalne, domysły.

Śmiertelnie zmęczona Sophia odsunęła fotel od biurka. Pomasowała skronie, próbując odpędzić ból głowy. Zerknęła na zegarek i przeraziła się. Dobry Boże — dochodziła druga nad ranem.

Czoło pokryły jej bruzdy. Gdzie się podziewa Jon? Gdyby zgodnie z planem przyjechał do domu ubiegłej nocy, dzisiaj przyszedłby do pracy w laboratorium. W ciągu dnia w szalonym tempie pracy nie myślała o jego nieobecności. A i teraz, mimo zmęczenia, bólu głowy i niepokoju, uśmiechnęła się wbrew sobie. Jej czterdziestojednoletni narzeczon był ciekawy świata i impulsywny jak dwudziestolatek. Wystarczyło pomachać mu przed nosem jakąś medyczną zagadką, żeby zupełnie stracił głowę. Musiał odkryć coś fascynującego i dlatego się spóźniał.

Ale powinien przynajmniej zatelefonować. Wkrótce minie doba, odkąd powinien wrócić.

Może Kielburger wysłał go gdzieś w tajemnicy i Jon nie mógł zadzwonić. To podobne do generała. Cóż z tego, że była narzeczoną Jona. Jeśli Kielburger gdzieś go wysłał, dowie się o tym z resztą personelu, kiedy generał uzna to za stosowne.

Wyprostowała się na krześle. Personel naukowy harował przez całą noc, generał też. Nigdy nie przepuścił okazji, żeby zrobić dobre wrażenie. Ogarnęła ją nagle złość. Pełna obaw o Jona ruszyła do gabinetu dowódcy.

Generał brygady, doktor Calvin Kielburger, był jednym z tych wielkich, silnych facetów o donośnym głosie i ptasim mózdzku, których armia uwielbia awansować do rangi pułkownika, ale nie wyżej. Ludzie ci są czasem twardzi, zawsze małostkowi, nie mają talentów dyplomatycznych i nie potrafią dogadywać się z innymi. Zwykle nazywa się ich "bykami" lub "niedźwiedziami".

Oficerowie o takich przezwiskach czasem awansują wyżej, ale z reguły są to niewysocy, zادیorni faceci o potężnych szczękach.

Zdobywszy jeden stopień wyżej od tego, czego mógł się w granicach rozsądku spodziewać, generał brygady Kielburger porzucił badania medyczne dla upajającej wizji awansu do stopnia pełnego generała i objęcia stanowiska dowódczego w terenie. Ale na dowódców szukano inteligentnych oficerów, którzy potrafią dobrze współpracować także z cywilnymi pracownikami.

Kielburger był zbyt zajęty promowaniem własnej osoby, żeby dostrzegać konieczność korzystania z inteligencji i taktu. W rezultacie kierował niesforną bandą wojskowych i cywilnych naukowców, z których większość nie uznawała rozkazów, zwłaszcza od takich nadętych kretynów jak Kielburger.

Z tego niesubordinowanego towarzystwa najbardziej rozwydrzony, swawolny i irytujący okazał się podpułkownik Jon Smith. Toteż w odpowiedzi na pytanie Sophii Kielburger ryknął:

— Nigdzie nie wysłałem pułkownika Smitha do jasnej cholery! Gdybyśmy mieli jakieś delikatne zadanie do wykonania, na pewno nie wysłałbym jego! Właśnie przez takie numery!

Sophia była równie opanowana, jak Kielburger wściekły.

— Jon nie robi żadnych numerów.

— A kto spóźnia się o cały dzień, kiedy jest nam tutaj potrzebny!

— Jeśli pan do niego nie dzwonił, skąd miał wiedzieć, że jest tu potrzebny? Nawet ja nie zdawałam sobie sprawy, że sytuacja jest tak poważna, póki nie zaczęłam badać wirusa. Od tej pory prawie nie wychodziłam z laboratorium. Pracowałam. Chyba pamięta pan, co to znaczy.—

Prawdę mówiąc, wątpiła, czy generał zachował jakiekolwiek wspomnienia o trudnej i fascynującej pracy w laboratorium. Słyszała bowiem, że nawet wtedy wolał grzebać w papierach i krytykować osiągnięcia innych naukowców. — Musi być jakiś powód spóźnienia Jona. Pewnie zatrzymało go coś ważnego.

— Na przykład co, pani doktor?

— Gdybym wiedziała nie marnowałabym pańskiego cennego czasu. Ani swojego. Ale to do niego niepodobne, żeby nie zawiadomić mnie o spóźnieniu.

Na rumianą twarz Kielburgera wypłynął szyderczy uśmiezek.

— A moim zdaniem bardzo podobne. Przeklęty pirat który bez przerwy szuka skrzyni ze skarbem. On się już nie zmieni. Pewnie trafił na jakiś "interesujący" problem medyczny albo lekarstwo, albo obie rzeczy naraz i nie zdążył na samolot. Niech pani spojrzysz prawdzie w oczy, to przeklęty rozlaży cywil. Kiedy się pobierzecie, to pani będzie musiała sobie z tym radzić. Nie zazdroszczę.

Sophia zacisnęła usta. Walczyła z silnym pragnieniem powiedzenia generałowi, co o nim myśli.

Patrzył na nią i rozbierał ją w myślach. Zawsze podobały mu się blondynki. Podniecał go sposób, w jaki spinała jasne włosy. Zastanawiał się, czy wszędzie jest blondynką.

Ponieważ nie odpowiadała, ciągnął dalej bardziej pojednawczym tonem.

— Proszę się nie martwić, doktor Russell. Na pewno wkrótce się zjawi. W każdym razie mam taką nadzieję, bo potrzebujemy każdej pary rąk do badań nad tym wirusem. Przypuszczam, że nie ma pani nic nowego do zameldowania?

Sophia pokręciła głową.

— Szczerze mówiąc, zaczynają mi się kończyć pomysły, tak jak i reszcie zespołu. Inne laboratoria też się mocno głowią. Na razie nikt nie przesłał nic konkretnego.

Kielburger bębnił palcami z niezadowoleniem. Był przecież generałem, musiał działać.

— Mówi pani, że takiej odmiany wirusa jeszcze nie widziano?

— Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Generał jęknął. Ta sprawa mogła zniweczyć szanse na wyrwanie się z medycznego getta i objęcie dowództwa w terenie.

Sophia przyglądała mu się.

— Czy mogę coś zaproponować, generale?

— Czemu nie? — odparł gorzko.

— Trzy przypadki, które znamy, wystąpiły w różnych rejonach geograficznych. Dwie ofiary są mniej więcej w tym samym wieku, trzecia jest dużo młodsza. Dwaj mężczyźni, jedna kobieta.

Żołnierz w czynnej służbie, weteran i cywil. Jak się zarazili? Co było źródłem infekcji? Gdzieś musi być jej ognisko. Szanse na zarażenie się tym samym nieznanym wirusem w miejscach odległych o tysiące kilometrów w ciągu jednej doby są minimalne.

Generał jak zwykle nie zrozumiał.

— Do czego pani zmierza?

— Jeśli nowe przypadki nie pojawią się w jednym z tych trzech miejsc, musimy się dowiedzieć, co łączy te trzy ofiary. Musimy przeanalizować ich życiorysy. Może na przykład sześć miesięcy temu zamieszkali w tym samym hotelu w Milwaukee. Może wtedy cała trójka została zainfekowana. - Przerwała na chwilę. - Powinniśmy przestudiować dokumentację medyczną w tych trzech rejonach, może trafimy na ślady dawnych infekcji, które mogły wytworzyć antygeny.

Byłby to przynajmniej jakiś pozytywny krok. Kielburger znów sprawiałby wrażenie aktywnego i zdecydowanego.

— Natychmiast wydam odpowiednie rozkazy. Poleci pani z pułkownikiem Smithem z samego rana do Kalifornii, żeby porozmawiać z ludźmi, którzy znali majora Andersona. Czy to jasne?

— Całkowicie, generale.

— Świetnie. Proszę mnie zawiadomić, kiedy Smith raczy wrócić do pracy. Dobiorę mu się do tyłka!

Sophia była tak zdenerwowana, że nie bawiło jej przedstawienie Kielbergera, który odgrywał rolę bohaterskiego twardziela rodem z Hollywood. Wstała i wyszła z gabinetu.

Na korytarzu spojrzała na zegar ścienny: pierwsza pięćdziesiąt sześć. Ogarnęła ją nowa fala niepokoju. Może Jonowi coś się stało? Gdzież on się podziewa!

14.05, Waszyngton

Jadąc małym triumphem przez miasto, Jon wałkował w myślach słowa Billa Griffina, próbując zrozumieć nawet to, co nie zostało powiedziane.

Bill oświadczył, że nie pracuje już dla FBI. Odszedł sam czy został wyrzucony?

W każdym razie miał jakiś niejasny związek z nowym wirusem, który przesłano do Instytutu — prawdopodobnie w celu zidentyfikowania i określenia najlepszej metody leczenia. Wyglądało to na rutynowe zadanie, jedno z typowych zleceń dla zespołu z Fort Detrick.

Mimo to Griffin twierdził, że Smithowi grozi niebezpieczeństwo.

Wytresowany doberman mówił więcej o stanie ducha Billa niż słowa. Griffin ewidentnie bał się nie tylko o Jona, ale i o siebie.

Gdy się już rozstali, Jon ostrożnie przemknął pogrążonymi w ciemności parkowymi ścieżkami. Od czasu do czasu przystawał i sprawdzał, pod ostoją drzew, czy nikt go nie śledzi.

Przy odremontowanym triumfie rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt osiem rozejrzał się uważnie. Wyjechał z parku kierując się na południe. Oddalał się od Maryland i od domu, czego ewentualny prześladowca nie mógł przewidzieć. Mimo późnej godziny ruch na ulicach był spory.

Dopiero około czwartej nad ranem ruchliwa metropolia usypiała i jej główne ulice pustoszały.

Początkowo wydawało mu się, że ktoś za nim jedzie. Kluczył, przyspieszał, zwalniał, póki nie dotarł do Dupont Circle i Foggy Bottom, skąd znów ruszył na północ. Krążył po mieście jeszcze przez godzinę, ale teraz był pewien, że nikt nie depcze mu po piętach.

Nie tracąc czujności, znów skręcił na południe, tym razem na Wisconsin Avenue. Ruch był

tam niewielki, lampy rzucały na ziemię szerokie, żółte kałuże światła. Westchnął ciężko. Boże, jak bardzo chciał zobaczyć Sophię. Teraz mógł już chyba bezpiecznie do niej jechać. Przetnie rzekę. Aleją George'a Washingtona dotrze do autostrady numer 495, i dalej, na północ, do Maryland. Do Sophii. Na myśl o niej uśmiechnął się. Im dłużej się nie widzieli, tym bardziej za nią tęsknił. Nie mógł się już doczekać, kiedy znów weźmie ją w ramiona.

Zbliżał się do rzeki długą ulicą dzielnicy Georgetown, mijając modne butiki, eleganckie księgarnie, popularne restauracje, bary i kluby, gdy nagle zauważył, że olbrzymia, głośna ciężarówka zrównała się z lewej strony z jego małym wozem.

Sześciokołowa lora, jakich pełno na obwodnicach i autostradach wokół każdego miasta od Wschodniego do Zachodniego Wybrzeża, przez chwilę obudziła jego ciekawość. Dostawy do restauracji i sklepów zaczną się dopiero za trzy, cztery godziny. Co ciekawe, ani na kabinie, ani na

białej platformie towarowej nie widać było nazwy firmy, adresu, logo, sloganu reklamowego, numeru telefonu — niczego, co zdradzałoby, jaki wiezie towar i dla kogo.

Rozmyślając nadal o Sophii, nie zastanawiał się nad dziwną anonimowością ciężarówki.

Wydarzenia tej nocy obudziły w nim jednak zmysł zagrożenia, tak wyostrzony w latach pracy na linii frontu, gdzie walki mogły wybuchnąć w każdej chwili, śmierć była czymś realnym i bliskim, a choroba czaiła się zza każdego krzaka. A może to jakiś ruch czy dźwięk w ciężarówce zwrócił

jego uwagę?

Cokolwiek to było, na ułamek sekundy przed tym, jak potężny wóz wysunął się do przodu i zaczął skręcać, żeby zagrozić drogę sportowemu samochodowi, Smith wiedział, co się stanie.

Wstrząsnął nim przyływ adrenaliny. Poczul ścisnięcie w gardle. Błyskawicznie ocenił

sytuację. Kiedy ciężarówka zagradzała mu drogę, skręcił raptownie w prawo. Samochód podskoczył na krawężniku i wtoczył się pusty chodnik. Nie jechał szybko — zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na godzinę — ale jazda chodnikiem, nawet szerokim, przy tej prędkości była szaleństwem.

Nie miał jednak innego wyjścia. Ciężarówka ryczała tuż obok, a on starał się zapanować nad samochodem. Z głośnym trzaskiem skosił skrzynkę pocztową i kosz na śmieci, strącił stragan.

Mijał w pędzie zamknięte, ciche drzwi sklepów barów i klubów. Zaciągnięte okna migaly jak mrugające do niego niewidome oczy. Spocony zerknął w lewo. Wielka ciężarówka cały czas jechała równolegle i czekała na okazję, żeby przycisnąć go do muru i zmiażdżyć jak robaka.

Podziękował w duchu Bogu za to, że chodnik jest pusty.

Omijając pojemniki na śmieci, zauważył, że okno ciężarówki od strony pasażera opuszcza się, a znad szyby wystaje lufa, wymierzona prosto w niego. Przez chwilę ogarnęło go przerażenie: zepchnięty na chodnik, z ciężarówką blokującą powrót na jezdnię, nie mógł się ani ukryć, ani wymknąć. I nie był uzbrojony. Bez względu na to, jakie wcześniej mieli wobec niego plany, teraz zamierzali go zastrzelić.

Wcisnął hamulec i lekko skręcił. Bandyta w szoferce zaczął walczyć z karabinem, jakby próbował odnaleźć uciekający cel.

Pot zalewał Smithowi czoło. I nagle przez chwilę pojawiła się nadzieja. Zobaczył przed sobą skrzyżowanie. Zacisnął pobielające ręce na kierownicy niemal popychając triumpha.

I właśnie w chwili, gdy przyspieszył, broń wypaliła. Rozległ się potworny huk, lecz kula spóźniła się. Drasnęła tylko tył samochodu i roztrzaskała sklepowe okno. Szkło rozprysło się w powietrzu, a Smith odetchnął głęboko. Mało brakowało.

Spojrzał z niepokojem na lufę, podskakującą w otwartym oknie ciężarówki. Na szczęście z każdą chwilą zmniejszała się odległość dzieląca go od skrzyżowania. Na jednym rogu stał bank, na

pozostałych trzech sklepy.

Nie miał już czasu. Skrzyżowanie było tuż, tuż. To mogła być jego jedyna szansa. Wciągnął głęboko powietrze, dokładnie oszacował odległość i wdepnął hamulec. Samochodem zatrzęśło, a wtedy Smhh skrzyknął ostro w prawo. Miał tylko parę sekund, żeby zobaczyć, co stało się z ciężarówką, ale wszystko poszło według planu. Ciężarówka — ofiara własnej prędkości — pomknęła prosto i znikła z pola widzenia.

Coś w nim krzyczało z radości, wcisnął gaz do dechy, znów zahamował i skrzyknął, tym razem w zieloną ulicę szeregowych domów. Jechał dalej. Kluczył ulicami, cały czas zerkając w lusterko, choć wiedział, że długa ciężarówka nie mogła zawrócić pomimo niewielkiego ruchu.

Dysząc z wysiłku, zatrzymał wreszcie samochód w ażurowym cieniu rozrośniętej magnolii na ciemnej willowej ulicy. Zaparkowane tam mercedesy, BMW i inne drogie zabawki wskazywały, że to jedno z ekskluzywnych osiedli w Georgetown. Z trudem zdjął ręce z kierownicy i przyjrzał się dłoniom. Drżały, ale nie ze strachu. Już dawno nie miał takich kłopotów — poważnych kłopotów, których nie przewidział i nie chciał. Odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy. Odetchnął głęboko. Dziwił się — jak zawsze w takich sytuacjach — że wszystko może się tak szybko zmienić. Nie lubił kłopotów... choć dawna część jego osoby rozumiała je i dobrze się z nimi czuła. Sądził wcześniej, że związek z Sophią położył kres temu wszystkiemu.

Przy niej — tak mu się przynajmniej wydawało — nie były mu potrzebne niebezpieczeństwa, które w przeszłości utwierdzały go w przekonaniu, że żyje pełnią życia.

Ale teraz nie miał wyboru.

Mordercy z ciężarówki musieli mieć jakiś związek z tym, przed czym próbował go ostrzec Bill Griffin. Wróciły wszystkie pytania, które nie dawały mu spokoju od nocnego spotkania z przyjacielem.

Co jest takiego niezwykłego w tym wirusie?

Co Bill przed nim ukrywał?

Pełen złych przeczuć wrzucił pierwszy bieg i ruszył dalej. Nie znał odpowiedzi, ale może Sophia mu ich udzieli. Poczł ucisk w klatce piersiowej. Zaschło mu w gardle, strach zmroził żyły.

Jeśli próbowali zabić jego, być może ją też chcieli załatwić.

Zerknął na zegarek: druga cztery.

Musi do niej zadzwonić, ostrzec ją, ale komórkę zostawił w domu. Nie widział żadnych sensownych powodów, żeby zabierać ją do Londynu. Teraz powinien szybko znaleźć telefon.

Największe szanse miałby na Wisconsin Avenue, ale nie chciał ryzykować kolejnego spotkania z ciężarówką.

Musi dostać się do Fort Detrick. I to natchmiast!

Wcisnął pedał gazu i pomknął w stronę O Street. Wysokie drzewa rozmazywały się w pędzie. Stare wiktoriańskie rezydencje z ozdobnymi ślimacznicami i ostro zakończonymi dachami majaczyły nad chodnikami jak zjawy. Dojeżdżał do skrzyżowania zalanego srebrnoszarym światłem lamp. Nagle ujrzał przed sobą reflektory samochodu — jasne punkciki pośród ciemnej nocy. Samochód dojeżdżał do tego samego skrzyżowania, lecz z przeciwnej strony i dwa razy szybciej.

Smith zaklął i spojrzał na pasy. Na jezdnię wszedł, kuląc się przed zimnym nocnym wiatrem, samotny pieszy. Bez pośpiechu posuwał się w stronę drugiego krawężnika i śpiewał fałszywie pijacką pieśń. Wymachiwał przy tym rękami jak ołowiany żołnierz. Smith zaniepokoił się.

Mężczyzna zmierzał nieświadomie wprost pod koła rozpędzonego samochodu.

Pijany pieszy nie patrzył na boki. Zapiszczały hamulce. Smith patrzył bezradnie, jak pędzący samochód uderza błotnikiem w pieszego, a ten odbija się i z rozpostartymi ramionami pada na wznak. Bezwiednie wstrzymał oddech.

Zanim pijak wylądował w rynsztoku, nacisnął na hamulec. Kierowca, który spowodował wypadek, zwolnił na chwilę, jakby zakłopotany, lecz zaraz popędził dalej i zniknął za rogiem.

Jon wyskoczył z wozu i podbiegł do leżącego mężczyzny. Nocne odgłosy ucichły. Sztuczne oświetlenie skrzyżowania tworzyło długie i grube cienie. Przyklęknął, żeby zbadać ofiarę. Wtedy usłyszał, że zbliża się następny samochód. Rozległ się pisk hamulców i wóz zatrzymał się.

Odetchnął z ulgą. Podniósł głowę i pomachał ręką, żeby wezwać pomoc. Z samochodu wyskoczyli dwaj mężczyźni i ruszyli w jego kierunku. Ranny poruszył się.

Smith spojrzał na niego.

— Jak się pan czuje... Nie dokończył. Osłupiał.

Facet nie tylko taksował go czujnym, trzeźwym spojrzeniem, lecz także trzymał wycelowany w niego samopowtarzalny glock z tłumikiem.

— Chryste, strasznie trudno cię sprzątnąć. Jesteś niezły jak na doktorka.

Rozdział 6

3.32, Waszyngton

Do Jona Smitha wróciła przeszłość. Przypomnił sobie o Bośni i tajnym zadaniu w Niemczech Wschodnich, jeszcze przed runięciem muru. Cienie, wspomnienia, niespełnione marzenia, drobne zwycięstwa i wieczny niedosyt. Sądził, że ma to wszystko za sobą.

Za to teraz, gdy znów zetknął się z przemocą, doskonale wiedział, co ma robić.

Dwaj nieznajomi biegli do niego przez oświetlone skrzyżowanie z wyciągniętą bronią. Smith chwycił leżącego przy nim bandytę za nadgarstek i ramię. Zanim mężczyzna zdążył zareagować.

Jon wykonał kilka mistrzowskich ruchów, czując, że ścięgna i stawy przeciwnika posłusznie poddają się jego woli.

Usłyszał chrupnięcie. Bandyta krzyknął, zatrzęsł się, pobladła twarz wykrzywił spazm bólu.

Tracąc przytomność, upuścił glocka na jezdnię. Wszystko to trwało kilka sekund. Smith uśmiechnął się ponuro. Na szczęście nie musiał go zabijać. Jednym ruchem podniósł broń, przeturlał się na bok i przyklęknął z odbezpieczonym pistoletem. Wystrzelił. Broń z tłumikiem wydała tylko puknięcie.

Jeden z biegnących mężczyzn runął do przodu i wił się z bólu na zimnej nawierzchni jezdni.

Trzymał się za udo w miejscu, gdzie trafiła go kula. Drugi padł na ziemię obok niego. Leżał na brzuchu z podniesioną głową, jakby był na strzelnicy i mierzył do nieruchomego celu. Ale przeliczył się. Smith wiedział dokładnie, co zamierza przeciwnik. Zrobił unik i kula napastnika śmignęła mu koło skroni.

Teraz nie miał już wjścia. Zanim drugi mężczyzna zdążył poprawić strzał, wystrzelił po raz drugi. Kula przeszła przez prawe oko napastnika, tworząc czarny krater, z którego trysnęła krew.

Padł na twarz bez ruchu. Smith był pewien, że nie żyje.

Czuł silne pulsowanie w skroniach. Ostrożnie wstał i podszedł do leżących. Nie chciał

nikogo zabijać i był wściekły, że sytuacja go do tego zmusiła. Powietrze wciąż wibrowało od strzałów. Rozejrzał się szybko wokół siebie. Przed żadnym domem nie zapaliło się światło.

Późna godzina i tłumiki sprawiły, że wszystko otaczała tajemnica.

Wyjął beretę z bezwładnej dłoni mężczyzny któremu przestrzelił oko, i bez wielkiej nadziei sprawdził mu puls. Tak, nie żył. Potrząsnął głową, czując niesmak i żal, gdy odbierał broń obu rannym mężczyznom. Facet ze złamanym łokciem był nadal nieprzytomny, ten drugi rzucał pod adresem Smitha przekleństwa i wbił w niego pełne nienawiści spojrzenie.

Jon nie zwracał na niego uwagi. Pośpiesznie wrócił do samochodu. Nagle nocą wstrząsnął

huk nadjeżdżającej potężnej ciężarówki. Smith odwrócił się. W stronę skrzyżowania pędziła biała, nieoznaczona, sześciokołowa lora. W jakiś sposób zabójcy znowu go znaleźli, a przecież powinien być już bezpieczny daleko stąd.

Ale jak?

Podczas bitwy czasem trzeba stanąć do walki, a czasem uciekać, gdzie pieprz rośnie. Jon pomyślał o Sophii i pobiegł wzdłuż szeregu tonących w mroku wiktoriańskich domów. Gdzieś na podwórzu zaszczekał samotny pies. Natychmiast odezwał się inny. Psia rozmowa odbijała się echem w starej dzielnicy. Gdy ujadanie ucichło, Smith wtopił się w cień dwupiętrowej wiktoriańskiej rezydencji z wieżyczkami, kopułami i szerokim gankiem. Od skrzyżowania dzieliło go co najmniej sto metrów. Przykucnął i obejrzał się za siebie. Zapamiętał zaparkowane samochody i skoncentrował uwagę na ciężarówce. Z szoferki wyskoczył niski, tęgi mężczyzna i pochylił się nad trzema ciałami. Smith nie znał go, ale ciężarówkę pamiętał doskonale.

Mężczyzna machnął niecierpliwie ręką. Z kabiny wyskoczyło jeszcze dwóch. Podbiegli, żeby przetransportować rannych kolegów, a grubas podniósł harmonijkowe drzwi z tyłu platformy. Z

ciężarówki wysypało się sześciu zbirów. Czekali na rozkazy i rozglądali się po okolicy. Nawet w mdłym świetle księżyca Smith dostrzegł, że twarz grubasa, który wydawał rozkazy, błyszczała od potu.

Dwóch rannych i zwłoki przeniesiono do samochodu, który zatrzymał się nieopodal Smitha, a teraz odjechał szybko na północ. Wielka ciężarówka ruszyła na południe, w stronę rzeki.

Przywódca bandy rozesłał ludzi dwójkami, żeby przeczesali okolicę. Przy odrobinie szczęścia Jon mógł liczyć na to, że nie bacząc na świadectwo dwóch pozostałych przy życiu towarzyszy, zlekceważą takiego jak on przeciwnika: flegmatycznego naukowca po czterdziestce, wymoczka przez przypadek ubranego w mundur, któremu dopisało szczęście. Wielu popełniło już ten błąd.

Nasłuchiwał z ukrycia. Nadchodziło dwóch zbirów. Przeszukiwali właśnie teren, na którym się schronił, więc musiał ich jakoś unieszkodliwić. Odwrócił się i dał susa w głębszy cień. Starał

się, żeby go usłyszeli. Połknęli haczyk i ruszyli za nim. Coraz bardziej oddalali się od towarzyszy. Przemykał przez ciemne podwórza, rozglądając się na wszystkie strony, z nerwami napiętymi jak struny. Cztery przecznice za skrzyżowaniem znalazł wreszcie to, czego szukał. Na końcu krótkiego podjazdu wznosiła się biała nieoświetlona rezydencja w stylu kolonialnym, a obok niej stała altanka — prawie niewidzialna pod osłoną nocy i gęstych drzew, i krzewów.

Chrząkał i szurał butami po podjeździe, żeby prześladowcy usłyszeli go i pomyśleli, że zamierza tam się ukryć. Wreszcie wślizgnął się do altanki. Dobrze to wykombinował: przez drewnianą kratkę doskonale widział okolicę. Położył glocka i berettę na ławce; nie miał zamiaru ich użyć, chyba że do zastraszenia przeciwników. Nie, to zadanie musi wykonać cicho i sprawnie.

Minęła jedna długa minuta.

Czyżby przejrżeli jego plany i wezwali resztę grupy? W tej chwili może właśnie zachodzili go od tyłu? Przesunął dłonią po czole, ocierając pot. Serce łomotało mu w piersi.

Dwie minuty... Trzy minuty...

Spomiędzy drzew wyłonił się jakiś cień, a ktoś biegł w stronę wielkiego domu, okrążając go z lewej strony.

Drugi cień pobiegł na prawo.

Smith odetchnął. Zachowanie zbirów wojskowych czy cywilnych daje się zawsze przewidzieć. Pozbawieni wyobraźni, stosują prymitywną taktykę: bezpośrednio natarcie jak szarża byka albo prosty fortel szkolnego futbolisty, który patrzy w jedną stronę, a kopie piłkę w przeciwnym kierunku.

Ci dwaj, którzy go ścigali, byli wyjątkowo rozgarnięci, ale podobnie jak generał Custer pod Little Big Horn w czasie bitwy z Indianami czy baron Chelmsford pod Isandhlwana w starciu z Zulusami poszli mu na rękę i rozdzielili się, żeby mógł zająć się każdym z osobna. Na to właśnie liczył.

Odważniejszy z nich okrążył rezydencję z prawej strony, między budynkiem a altaną. Smith tylko na to czekał. Ukradkiem podszedł go od tyłu. Nadepnął gałązkę. Trzask był cichy ale zaalarmował przeciwnika.

Jon działał błyskawicznie. Potężny cios w gardło prawą pięścią sparaliżował struny głosowe bandyty. Zamaszty ruch prawą nogą i but rozmiar czterdzieści sześć zdzielił go w skroń.

Osunął się cicho na ziemię.

Smith wrócił bezszelestnie do altany.

Jedna... dwie minuty.

W kałuży księżycowego światła między altaną a leżącym zmaterializował się jego bardziej ostrożny towarzysz. Starczyło mu rozwagi, żeby okrążyć partnera bokiem. Ale zasoby jego wyobraźni szybko się wyczerpały. Przypadł do nieprzytomnego kolegi.

— Jerry? O Jezu, co... – Smith uderzył w tył pochylonej głowy przywłaszczoną beretką.

Zaciągnął obydwie ciała do altany. Przykucnął nad nimi i dysząc ciężko, nasłuchiwał

odgłosów nocy. Jedyнным rozpoznawalnym dźwiękiem był pomruk odległego samochodu jadącego na południe. Z ulgą opuścił altanę. Biegł susami w cieniu domów i drzew tym samym szlakiem, którym dotarł do rezydencji. Gdy zbliżył się do skrzyżowania, gdzie został

zaatakowany, zwolnił i znów nasłuchiwał. Jedyнным odgłos wydawał ten sam samochód. Tym razem jechał w przeciwnym kierunku, na północ.

Smith podczołgał się bliżej skrzyżowania. W obu rękach trzymał broń. Układ zaparkowanych samochodów nie zmienił się, jego triumph czekał przy krawężniku — tam, gdzie go zostawił, gdy spieszył na pomoc fałszywej ofierze. Nie widział nikogo.

Niemożliwe, żeby sześciokołowa lora znalazła go przypadkowo najpierw na Wisconsin Avenue, a później tutaj. Nikt nie miał takiego szczęścia. A jednak ciężarówka, samochód i pijak zastawili pułapkę, żeby go zabić.

Musieli dokładnie wiedzieć, gdzie go szukać.

Odczekał jakiś czas. Księżyc schodził coraz niżej, mrok gęstniał, wśród drzew polowała duża sowa, a odległy samochód kontynuował swą kapryśną podróż — na południe, na północ i znów na południe — powoli zbliżając się do skrzyżowania.

Upewniwszy się, że nikt na niego nie czyha, Smith wstał i podbiegł do triumphu. Wyjął ze schowka latarkę i wpełzł pod tył samochodu. Miał rację. Co za brak wyobraźni i oryginalności!

Jasny słup światła ujawnił obecność nadajnika wielkości paznokcia. Był przytwierdzony do podwozia za pomocą silnego magnesu. Czytnik urządzenia naprowadzającego znajdował się pewnie w ciężarówce albo miał go przy sobie grubas.

Zgasił latarkę, włożył ją do kieszeni i odczepił nadajnik. Podziwiał pomysłowość, z jaką wyprodukowano to maleńkie cacuszko. Kiedy wyczołgiwał się spod wozu, zauważył, że samochód, który słyszał od pewnego czasu, zbliża się do skrzyżowania. Kucnął przy samochodzie i obserwował go. Wóz sunął powoli, kierowca przez otarte okno rzucał gazety na trawniki i podjazdy okolicznych domów.

Samochód zawrócił.

Smith wstał i zagwizdał. Podbiegł do otwartego okna furgonetki, gdy zwolniła na skrzyżowaniu.

Mogę kupić gazetę?

— Jasne. Mam parę dodatkowych egzemplarzy.

Smith sięgnął do kieszeni po drobne. Upuścił monetę, schylił się, żeby ją podnieść i z szelmowskim uśmiechem przyczepił mikronadajnik do podwozia samochodu.

Wyprostował się. Odebrał gazetę i skinął głową.

— Wielkie dzięki.

Samochód pojechał dalej, a Jon wskoczył do triumphu. Ruszył w drogę z nadzieją, że uda mu się dotrzeć do Sophii, zanim przeciwnicy odkryją fortel. Ale skoro próby zabójstwa miały związek z ostrzeżeniem Billa Griffina, mordercy musieli wiedzieć, kim jest i gdzie go mogą znaleźć. I gdzie mogą znaleźć Sophię.

4.07, Fort Detdck, Maryland

Raport z Instytutu Medycyny Tropikalnej Księcia Leopolda w Belgii był trzecim dokumentem, który przeczytała Sophia, gdy znów rzuciła się w wir pracy. Wszyscy już wyszli, ale ona była zbyt niespokojona, żeby zasnąć. Jeśli ten przeklęty generał ma rację i Jon zajął się jakimś medycznym odkryciem, zapominając o bożym świecie, powinna być wściekła. Z drugiej strony chciała, żeby Kielburger miał rację — wtedy nie miałyby powodów do obaw.

Wróciła do lektury raportów, ale dopiero, kiedy wpadł jej w ręce list z Instytutu Księcia Leopolda, odżyła w niej iskierka nadziei: doktor Rene Giscours przypomniał sobie doniesienie, które czytał wiele lat temu, gdy kierował szpitalem w głębi boliwijskiej dżungli nad Amazonką.

W tym czasie borykał się z epidemią nowego wirusa Machupo, która wybuchła niedaleko miasteczka Sañ Joaquin, tam gdzie Karl Johnson, Kuns i MacKenzie jako pierwsi odkryli jego występowanie wiele lat wcześniej. Nie miał głowy do tego, żeby zajmować się niesprawdzoną pogłoską z odległego Peru, zrobił więc tylko notatkę i zapomniał o sprawie.

Ale wiadomość o nieznanym wirusie pobudziła jego pamięć. Przejrzał dokumenty i odnalazł

tamtą notatkę, choć sam raport gdzieś przepadł. W każdym razie w zapiskach zwrócił uwagę na połączenie symptomów hantawirusa i gorączki krwotocznej, a także wspomniał, że choroba ma jakiś związek małpami.

Sophię ogarnęło poczucie gniewnej satysfakcji. A jednak! Gdy okazało się, że Victor Tremont nie może jej pomóc, zwątpiła w siebie. Teraz raport Giscoursa potwierdzał, że pamięć nie spletała jej figla. Czy Instytut ma tam teraz swoich ludzi? Jeśli się nie myliła, od tamtej pory nie odnotowano nawet niewielkich epidemii choroby. Co oznaczało, że wirus nadal ogranicza się do niewielkiego obszaru w głębi peruwiańskiej dżungli.

W dzienniku pracy zapisała uwagi o raporcie z belgijskiego instytutu, a także przytoczyła to, co zapamiętała o dziwnym wirusie w trakcie wyprawy studenckiej i z dwóch rozmów z Victorem Tremontem.

Zapisała też kilka sugestii, co do tego, jak mogło dojść do wydostania się wirusa z obszaru peruwiańskiej dżungli. Drzwi uchylły się. Kto to? W jej serce wstąpiła nadzieja.

Uszczęśliwiona obróciła się na krzesło.

— Jon? Kochanie. Gdzieś ty...

Przez ułamek sekundy, zanim jej głowa eksplodowała bólem i serią barw zobaczyła wokół siebie czterech mężczyzn. Żaden z nich nie był Jonem. A potem nastąpiła ciemność.

Nadal al-Hassan przebrany w strój laboranta metodycznie przetrząsał biurko doktor Sophii Russell. Czytał każdy dokument, raport i notatkę. Przystudiował wszystkie akta. Choć chroniły go gumowe rękawiczki, zadanie napawało go wstrętem. Wprawdzie podobne rzeczy zdarzają się w jego własnym, a także w wielu innych muzułmańskich, a nawet arabskich krajach, ale nie zmniejszało to jego obrzydzenia. Pozwalanie kobietom na naukę i pracę razem z mężczyznami było nie tylko herezją, ale też bezcześciło godność mężczyzny i czystość kobiety. Dotykanie tych samych przedmiotów, które przedtem trzymała w rękach ta kobieta, kalało go.

Przeszukanie jej biura było jednak koniecznością, więc prowadził je skrupulatnie, niczego nie omijając. Dwa dokumenty znalazł niemal od razu. Pierwszym był leżący na biurku raport z Instytutu Księcia Leopolda, od doktora Rene Giscoursa, drugim — sporządzony przez nią comiesięczny spis rozmów telefonicznych, czego najwidoczniej wymagał od pracowników dyrektor Instytutu.

Następnie znalazł dziennik, w którym doktor Russell spisała uwagi na temat sprawozdania Belgów. Na szczęście nowy wpis zajmował tylko jedną stronę, zapisaną od góry do dołu. Z małej skórzanej walizki wyjął osty jak brzytwa nożyk kreślarski w kształcie ołówka. Ostrożnie i delikatnie wyciął kartkę. Upewnił się, czy nacięcie nie zostawiło śladów, i schował kartkę do kieszeni fartucha. Później nie znalazł już nic godnego uwagi.

Jego ludzie — także w laboratoryjnych fartuchach — kończyli przegląd segregatorów.

— Znalazłem nową notatkę w teczce o Peru — powiedział jeden.

— W paru starych dokumentach była mowa o Południowej Ameryce — rzucił drugi.

Trzeci tylko pokręcił głową.

— Przeczytaliście wszystkie dokumenty? — warknął al-Hassan. — Wszystkie akta?

Zajrzeliście do wszystkich szuflad?

— Tak jak pan kazał.

— Niczego nie przeoczyliście?

— Nie jesteśmy kretynami.

Al-Hassan miał co do tego poważne wątpliwości. Przekonał się, że większość Amerykanów to osoby leniwe i niekompetentne. Ale bałagan w gabinecie świadczył o tym, że dobrze się sprawili.

— Doskonale. Teraz zatrzyjcie ślady. Wszystko ma wrócić na swoje miejsce.

Z kwaśnymi minami wrócili do pracy, a on założył drugą, grubszą parę białych, gumowych rękawiczek. Ze skórzanej walizki wydobyl mały metalowy pojemnik ze szklaną fiolką w środku.

Wyjął ostrożnie strzykawkę, napełnił ją zawartością szczelnie zamkniętej fiołki i zrobił Sophii zastrzyk, wbijając igłę w żyłę na kostce lewej nogi.

Sophia poruszyła się i jęknęła.

Trzej mężczyźni odwrócili się. Ich twarze przybrały popielaty kolor.

— Zabierajcie się do roboty — zażądał surowo al-Hassan.

Odwrócili wzrok, głośno przetykali ślinę. Gdy skończyli porządki, al-Hassan wsunął zużytą strzykawkę do plastikowej torebki, zamknął ją szczelnie, odłożył z powrotem do walizki i jeszcze raz rozejrzał się po gabinecie. Był zadowolony. Kazał wszystkim wyjść. Po raz ostatni rzucił

okiem na nieruchomą Sophię i zauważył, że ciało ma mokre od potu. Jęknęła. Uśmiechnął się i wyszedł za nimi.

Rozdział 7.

5.14, Thurmont, Maryland

Lekki wiatr szumiał w drzewach i krzewach, niósł ze sobą woń gnijących na ziemi jabłek.

Piętrowy dom Jona Smitha stał przy wzgórzu Catoctin. Nie paliło się nawet światło przed wejściem. Sophia nie wróciła jeszcze z pracy. Musiał się jednak o tym upewnić.

Przyczał się za furgonetką stojącą przecznicę dalej i obserwował dom, dziedziniec i ulicę.

Dostrzegł niepokojące znaki. Pień starej jabłoni był za gruby — ktoś krył się za nią. Czarny mercedes niemal całkowicie zasłonięty przez dwa wysokie dęby stał na podjeździe sąsiadów.

Smith wiedział, że sąsiedzi mają buicka le sabre 2000 i zawsze trzymają go w garażu.

Biorąc pod uwagę szybkość, z jaką jechał do domu z Georgetown niemal pustą autostradą, nikt nie mógł przyjechać tu przed nim. Co oznaczało, że ma do czynienia z drugim zespołem obserwacyjnym, a to poważnie go niepokoiło.

Człowiek przed domem miał widok na podjazd i drzwi do garażu. Ktoś prawdopodobnie pilnował domu od tyłu. Ale Smith podejrzewał, że nikt nie obserwuje garażu z boku.

Strach sprawił, że poczuł znane każdemu żołnierzowi uczucie pustki w żołądku, ale także gorący przypływ adrenaliny. Przemknął się chodnikiem i okrążył dom od tyłu, niewidoczny dla prześladowców. Znow zaczął się pocić. Przedarł się przez kępę figowców i podszedł do bocznej ściany garażu. Przez ostatnie pięć metrów czołgał się.

Nasłuchiwał. Zza domu nie dochodziły żadne dźwięki. Podniósł się, żeby zajrzeć przez okno.

Odetchnął z ulgą. W środku nie było starego zielonego dodge'a Sophii. A więc była w Fort Detrick. Nie mogła odsłuchać jego wiadomości, co tłumaczyło brak światła przed domem.

Odetchnął głęboko. Poczuł się lepiej.

Tą samą drogą wrócił z powrotem do triumpha i podjechał do budki telefonicznej o pół

kilometra dalej. Nie mógł się już doczekać, kiedy usłyszy jej głos. Wybrał numer. Po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka: "Nie ma mnie w gabinecie. Proszę zostawić wiadomość. Oddzwonię jak najszybciej. Dziękuję".

Pogodny ton jej silnego głosu sprawił, że zatęsknił do niej jeszcze mocniej. Wywołał też uczucie, którego nie potrafił zdefiniować. Samotności?

Znow wybrał numer. Głos w słuchawce był rzeczowy. Podziało to na niego uspokajająco, szczególnie w tych okolicznościach.

— Baza wojskowa Fort Detrick. Ochrona.

– Mówi podpułkownik Jonathan Smith z Instytutu Chorób Zakaźnych.

— Pański numer identyfikacyjny, pułkowniku?

Podał dane.

Nastąpiła chwila przerwy.

— Dziękuję, pułkowniku. Jak mogę panu pomóc?

— Proszę mnie połączyć z wartownikiem w Instytucie.

Trzaski, piknięcia i nowy głos.

— Wojskowy Instytut Chorób Zakaźnych. Ochrona. Mówi Grasso.

— Grasso, tu Jon Smith. Słuchaj...

– Witam, pułkowniku, wrócił pan. Wszystko w porządku? Doktor Russell pytała...

— Wszystko w porządku, Grasso. Dzwonię właśnie w sprawie doktor Russell. Nie odbiera telefonu. Gdzie ją mogę znaleźć?

— Kiedy zacząłem wartę, miała nocny dyżur. Nie widziałem, żeby wychodziła.

— Od której pracujesz?

— Od północy. Pewnie jest w laboratorium i nic nie słyszy.

— Smith zerknął na zegarek: piąta dziesięć.

— Mógłbyś sprawdzić?

— Jasne, pułkowniku. Oddzwonię.

Smith podał mu numer telefonu w budce.

Każda sekunda ciągnęła się, z każdą minutą coraz trudniej było mu oddychać. Chłodna noc wydawała mu się duszna. Czuł, że zaraz się udusi.

Kiedy telefon wreszcie zadzwonił, prawie podskoczył.

— Tak?

— Nie ma jej, pułkowniku. Biuro i laboratorium zamknięte.

— Zauważyłeś coś podejrzanego?

— Nie.

Wszystko jest na miejscu i w całkowitym porządku. — Grasso przekonywał go trochę zbyt gorliwie. — Niech mnie drzwi ścisną, nie mogłem jej przegapić. Musiała wyjść jakimś innym wyjściem. — Niech pan porozmawia z wartownikami przy bramie.

— Dzięki, Grasso. Przełączysz mnie?

— Chwileczkę, doktorze.

— Odezwał się inny i bardzo zaspany głos.

— Fort Detrick. Brama. Schroeder.

— Mówi podpułkownik Jonathan Smith z Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych.

Schroeder, czy doktor Russell opuszczała w nocy bazę?

— Nie wiem, pułkowniku. Nie znam doktor Russell. Niech pan porozmawia z wartownikiem w Instytucie.

— Smith zaklął pod nosem. Cywilni wartownicy ciągle się zmieniali i mieli potwornie długie dyżury. Często zdarzało się, że drzemali. Bariierka zatrzymywała wozy wjeżdżające do bazy, a jeśli nie, na pewno zbudziłyby ich hałas. Ale wyjeżdżających nie zatrzymywał nikt.

Odwiesił słuchawkę. Pewnie Sophia była zbyt zmęczona, żeby jechać aż do Thurmont.

Prawdopodobnie mógł ją teraz znaleźć w jej mieszkaniu we Frederick. Niedawno je sprzedała, ale jeszcze się całkowicie nie wyprowadziła. Mógłby do niej zadzwonić, tyle że nic by mu to nie dało. Zawsze gdy pracowali dłużej, wyłączali telefon, żeby przespać się choć kilka godzin.

Pędził samochodem, a w głowie kołatały mu się myśli. Była tak zmęczona że wyszła z laboratorium jednym z bocznych wyjść, nie chcąc nikogo spotkać. Logiczne. Właśnie tak by zrobiła. Wartownik przy bramie nie pamiętał jej, bo pewnie spał. Pojechała do mieszkania.

Niedługo wślizgnie się do łóżka, ona przez sen wyczuje jego obecność. Uśmiechnie się, mruknie, przytuli do niego. A on poczuje ciepło jej ciała. Uśmiechnie się, pocałuje ją leciutko w ramię i będzie patrzył na nią, jak śpi, dopóki sam nie zaśnie. Później...

Niewiele przewodników turystycznych wymienia Fort Detrick wśród atrakcji historycznego miasta Frederick. Fort Detrick jest bazą wojskową pod umiarkowanym dozorem, położoną w samym środku osiedla mieszkaniowego. Ma ogrodzenie z siatki i jedną budkę wartowniczą przy głównej bramie. Mieszkanie Sophii znajdowało się pięć przecznic dalej. Smith zaparkował w pewnej odległości, lecz nie zauważył, żeby ktoś obserwował blok. Wysiadł z triumpha, zamknął

cicho drzwi i nasłuchiwał. Usłyszał odległe pokasywania śpiących ludzi. Od czasu do czasu śmiech i głos podniesiony w pijackim ferworze. Pisk opon skręcającego samochodu. Bezustanny szum miasta.

Ale żadnych tajemniczych dźwięków i ruchów, które niosłyby zagrożenie.

Otworzył kluczem drzwi wejściowe trzypiętrowego bloku i przeszedł wyłożony dywanem i boazerią hol. O tej porze wszystkie windy były puste.

Na trzecim piętrze ostrożnie wysunął się z windy z glockiem w ręku. Pusty korytarz odbijał echo jego kroków jak komnaty starego grobowca. Pod drzwiami Sophii znów zaczął

nasłuchiwać. W mieszkaniu było cicho. Przekręcił klucz. Delikatny odgłos otwieranego zamka wybuchł w jego głowie jak eksplozja.

Cicho uchylił drzwi i padł płasko na dywan w przedpokoju.

W mieszkaniu było ciemno. Nic się nie poruszyło. Przesunął ręką po warstewce kurzu, która zebrała się na stoliku przy drzwiach.

Wstał i prześlizgnął się przez mroczny salon do krótkiego korytarza, który prowadził do dwóch sypialni. Obydwie były puste — łóżka nie używane. W kuchni nic nie wskazywało na to, żeby ktoś ostatnio w niej jadł czy choćby robił sobie kawę. Zlew był suchy, a wyłączona przed dwoma tygodniami lodówka milczała.

Sophii nie było.

Smith popadł w otępienie. Przeszedł do salonu jak robot. Zapalił światło. Szukał śladów walki czy choćby rewizji.

Nic. Mieszkanie było czyste i nietknięte jak muzealny eksponat.

Jeśli ją zabili lub porwali, to nie tutaj.

Nie było jej w laboratorium. Nie było jej w domu w Thurmont. Nie było jej tutaj. I nic nie wskazywało na to, że w którymś z tych trzech miejsc coś jej się stało.

Potrzebował pomocy, wiedział o tym.

Przede wszystkim musi zawiadomić bazę o jej zniknięciu. Później policję i FBI. Sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Detrick.

Ręka zawisała w powietrzu. Z korytarza dobiegł go odgłos kroków.

Zgasił światło i odłożył telefon na stół. Przyklęknął za sofą i wymierzył pistolet w drzwi.

Ktoś chwiejnym krokiem zbliżał się do mieszkania Sophii, zataczając się na ściany. Co chwila przystawał i znów ruszał. Pijak wracający nad ranem do domu?

Kroki ucichły, coś uderzyło mocno o drzwi. Smith usłyszał urywany oddech i nieporadne próby włożenia klucza do zamka.

Znieruchomiał. Drzwi otworzyły się z impetem.

W snopie światła stała Sophia. Miała podarte i pobrudzone ubranie, jakby tarzała się w rynsztoku.

Smith doskoczył do niej.

— Sophia!

— Zatoczyła się, lecz zanim upadła, zdążył ją przytrzymać. Otwierała szeroko usta, nie mogąc złapać powietrza. Twarz płonęła gorączką.

Popatrzyła na niego czarnymi oczami i próbowała się uśmiechnąć.

— Wróci... łoś, kochanie. Gdzie... byłeś?

— Przepraszam, Soph. Zostałem dzień dłużej. Chciałem...

Podniosła rękę, żeby mu przerwać. Mówiła jak w maLilynie.

— ...laboratorium... ktoś... uderzył...

Straciła przytomność i osunęła się w jego ramiona. Na policzkach płonęły dwie purpurowe plamy. Piękną twarz wykrzywiał grymas bólu. Bardzo cierpiała. Co się stało? To nie wyglądało na zwykłe wyczerpanie.

— Soph? Soph! Kochanie!

Nie odpowiadała. Nie odzyskała świadomości.

Wstrząśnięty i przerażony przywołał całą swą wiedzę medyczną. Przecież był lekarzem.

Wiedział, co trzeba robić. Położył ją na sofie, chwycił telefon i zadzwonił po pogotowie, sprawdzając jednocześnie jej puls i oddech. Puls był słaby i szybki. Oddychała z trudem, ciężko.

Była rozpalona. Objawy zespołu ostrych zaburzeń oddechowych i wysoka gorączka.

— Ostre zaburzenia oddechowe — krzyknął do słuchawki. — Cholera jasna, mówi doktor Jonathan Smith. Przyjeżdżajcie. Natychmiast!

Niemal niewidoczna w cieniu drzew nieoznaczona furgonetka stała przed blokiem, w którym mieszkała Sophia Russell. Anemiczne światło ulicznej lampy ledwie przenikało mrok, zapewniając

pasażerom to, czego chcieli — ciemność i kamuflaż. Bill Griffin obserwował

karetkę pogotowia z migającym niebiesko-czerwonym kogutem, która czekała przy wejściu do trzypiętrowego rozświetlonego bloku po drugiej stronie ulicy.

Nadal al-Hassan o ostrej twarzy odezwał się z fotela kierowcy.

— Nie powinna być w stanie o własnych siłach wyjść z laboratorium i dotrzeć aż tutaj.

— Ale zrobiła to. — Okrągła twarz Griffina miała obojętny wyraz. W ciemności jego brązowe, sięgające ramion włosy przybrały hebanową barwę. Barczyste i muskularne ciało sprawiało wrażenie odprężonego. Był teraz twardszy i chłodny, całkiem inny niż mężczyzna, który rozmawiał ze swym przyjacielem Jonem Smithem zaledwie kilka godzin wcześniej w waszyngtońskim parku Rock Creek.

— Ja w każdym razie wypełniłem rozkaz — powiedział al-Hassan. — Tylko w ten sposób można ją było wyeliminować, nie wzbudzając podejrzeń.

Griffin milczeniem maskował wewnętrzną rozterkę. Nagłe i niespodziewane wejście Jona w całą sprawę zupełnie go zaskoczyło. Próbował ostrzec przyjaciela, ale al-Hassan posłał za nim Madduksa, zanim Jon zdążył nawet pomyśleć o ucieczce. Smith wprawdzie przekonał się, że ostrzeżenie było prawdziwe, ale teraz, gdy zaatakowali jego kobietę, już się nie wycofa. Jak u licha ma ocalić starego przyjaciela?

Griffin i al-Hassan czekali, aż Smith znów zostanie namierzony. To właśnie wtedy na telefon komórkowy al-Hassana zadzwoniła ich wtyczka z Instytutu, podstawiona technik czwartego stopnia Adele Schweik. Zaalarmował ją czujnik ruchu, który zainstalowała w Gabinetcie Sophii Russell. Gdy włączyła ukrytą kamerę wideo, zobaczyła, jak Sophia wychodzi z Gabinetu, ledwo trzymając się na nogach. Natychmiast popędziła do Fort Detrick, ale zanim tam dotarła, doktor Russell zniknęła.

— W tym stanie nie mogła prowadzić — zapewniała al-Hassana Schweik — zajrzałam do jej akt i dowiedziałam się, że niedaleko bazy ma mieszkanie.

Od razu tam pojechali, ale przed blokiem zastali karetkę pogotowia. Zamieszanie obudziło wszystkich mieszkańców. Nie mogli niepostrzeżenie dostać się do środka.

— Tak czy inaczej — powiedział Bill Griffin — jeśli Smith dowie się czegoś od niej, szef nie będzie zadowolony. Popatrzcie.

Czterej sanitariusze pchali łóżko na kółkach przez główne wejście. Obok szedł pochylony Jon Smith i trzymał dziewczynę za rękę. Nie zwracał na nic uwagi i bez przerwy coś do niej mówił.

Al-Hassan przeklął po arabsku.

— Powinniśmy wiedzieć o tym mieszkaniu.

Griffin robił wszystko, żeby al-Hassan znenawidził go jeszcze bardziej. Miał nadzieję, że w ten

sposób skłoni Araba do popełnienia jakiegoś błędu.

— Ale nie wiedzieliśmy, a teraz oni ucinają sobie pogawędkę. Ona żyje. Pokpiłeś sprawę, al-Hassan. Dostanie ci się za to. Co teraz robimy?

— Jedziemy za nimi do szpitala — odpowiedział cicho al-Hassan. — Tam dopilnujemy żeby przeniosła się na tamten świat. On też.

— Wbił wzrok w Griffina.

Bill wiedział, że al-Hassan obserwuje jego reakcję, żeby sprawdzić, czy propozycja zlikwidowania Jona robi na nim choćby najmniejsze wrażenie. Nieznaczne zeszywnienie, mrugnięcie okiem, ledwie zauważalny dreszcz.

Ale Griffin wskazał tylko na ambulans. Miał lodowaty wyraz twarzy.

— Może ich też trzeba będzie kropnąć. Nie wiadomo, czy czegoś nie podsłuchali. Mam nadzieję, że jesteś na to przygotowany. Chyba teraz nie stchórzysz, nie rozkleisz się, co?

Al-Hassan zdenerwował się.

— Nie pomyślałem o sanitariuszach. Oczywiście, że ich zabijemy, jeśli będzie to konieczne.

— Przerwał, mrużąc oczy. — Całkiem możliwe, że Jon Smith rozmawia teraz z trupem. Miłość ogłupia nawet najbardziej inteligentnych. Zobaczymy, czy ta Russell wyzionie ducha bez naszej pomocy. Jeśli tak, zostanie nam tylko Jon Smith. To ułatwi zadanie, prawda?

Rozdział 8

5.52, Frederick, Maryland

Sophia leżała na zamkniętym oddziale intensywnej terapii. Dali jej tlen, ale i tak oddychała z trudem. Podłączona do nowoczesnych szpitalnych urządzeń, była zdana na łaskę obojętnych maszyn, których nie obchodziło, kim jest i co jej dolega. Smith ścisnął jej rozpaloną rękę i chciał

do nich krzyknąć: — To jest Sophia Russel. Rozmawiamy. Śmiejemy się. Pracujemy razem.

Kochamy się. Żyjemy! Na wiosnę mamy się pobrać. Sophia wyzdrowieje i za kilka miesięcy weźmiemy ślub. Będziemy żyć ze sobą, aż się zestarzejemy. Wtedy też będziemy się kochać.

Przysunął się do niej.

— Soph, kochanie, wyjdiesz z tego — zapewniał ją z przekonaniem. Tak samo pocieszał

wielu młodych żołnierzy, którzy leżeli w wojskowym szpitalu gdzieś na froncie. — Wkrótce wyzdrowiejesz. Wstaniesz i poczujesz się dużo lepiej. — Nigdy nie dopuszczał do głosu strachu i niepokoju. Musiał podtrzymywać ich morale; zawsze w końcu była jakaś nadzieja. Ale teraz to była Sophia i jak nigdy dotąd musiał zmagać się z sobą, żeby ukryć rozpacz. — Trzymaj się, skarbie. Proszę cię — szeptał. — Trzymaj się.

Gdy odzyskiwała przytomność, próbowała się do niego uśmiechać, łapiąc jednocześnie oddech. Ścisnęła go słabo za rękę. Gorączka i walka o tlen wycieńczały ją.

Mimo wszystko uśmiechnęła się.

— ...gdzie... byłeś...

Czule położył jej palec na ustach.

— Nic nie mów. Musisz oszczędzać siły. Śpij, kochanie. Odpoczywaj, moja najpiękniejsza.

Zamknęła oczy, jakby powieki były kurtyną, która opada po zakończeniu przedstawienia.

Wydawało się, że jest skupiona i zbiera wszystkie zasoby sił do walki z atakującym przeciwnikiem. Patrzył na jej jasną skórę, piękny kształt twarzy, uroczy zarys brwi. Jej twarz miała tę subtelną urodę, która staje się jeszcze bardziej pociągająca dzięki inteligencji. Lecz teraz Sophię trawiła gorączka — wydawała się wątła i słaba na tle białej szpitalnej pościeli.

Skóra była niemal przezroczysta. Rozpalona twarz przerażająco błyszczała.

Pod nosem z lewej strony pojawiła się strużka krwi.

Zaskoczony Smith przyłożył jej do nosa chusteczkę i skinął na pielęgniarkę.

— Proszę powstrzymać to krwawienie.

Pielęgniarka sięgnęła po pudełko z tamponami.

— Biedactwo, musiała jej pęknać włośniczka.

Nie odpowiedział. Przeszedł między urządzeniami i mrugającymi światełkami do miejsca, gdzie doktor Josiah Withers, specjalista od chorób płuc, konsultował się półszepem z doktorem Ericiem Mukogawą, internistą z Fort Detrick, i kapitanem Donaldem Gherinim, najlepszym wirologiem z Instytutu. Spojrzeli na niego z zatroskanymi minami.

— I co?

— Zastosowaliśmy wszelkie możliwe antybiotyki, które, naszym zdaniem, mogłyby jej pomóc — poinformował go doktor Withers. — Ale wygląda na to, że mamy do czynienia z wirusem. Wszystkie próby złagodzenia objawów nic nie dały. Pacjentka nie reaguje.

Smith zaklął.

— Wymyślcie coś. Niech jej się przynajmniej nie pogarsza!

— Jon... — Kapitan Gherini położył dłoń na ramieniu Smitha. — ...zdaje się, że to ten sam wirus, nad którym pracujemy od soboty. Wszystkie najlepsze laboratoria świata badają go, lecz jak dotąd nie mamy pojęcia, jak to leczyć. Wygląda jak hantawirus, ale nie jest nim. W każdym razie my nie znamy takiego hantawirusa. — Skrzywił się i pokręcił głową ze smutkiem. Musiała się jakoś zarazić...

Smith spojrzał na Gheriniego.

— Sądysz, że popełniła błąd w laboratorium, Don? W gorącej strefie?

— Bzdura! Nie przy jej kwalifikacjach, do cholery!

— Robimy wszystko, co w naszej mocy, pułkowniku — powiedział cicho internista wojskowy. — Więc róbcie więcej! Lepiej! Wymyślcie coś, na litość boską!

— Panie doktorze! Pułkowniku!

Pielęgniarka stała nad łóżkiem. Ciało Sophii wygięło się w agonalny łuk, jakby próbowała odetchnąć głęboko jeszcze tylko jeden, ostatni raz.

Smith odepchnął lekarzy i podbiegł do niej.

— Sophia!

Próbowała się do niego uśmiechnąć.

Wziął ją za rękę.

— Kochanie?

Zamknęła oczy, rozluźniła uścisk.

— Nie! — krzyknął.

Leżała tak, jakby chciała odpocząć po długiej podróży. Klatka piersiowa znieruchomiała. Po długich zmaganiach z oddechem nagle zapadła nieodwołalna cisza. I zanim się zorientował, z nosa i ust buchnęła jej krew.

Nie dowierzając własnym oczom, Smith podniósł głowę, żeby spojrzeć na monitor. Na ekranie ciągnęła się zielona płaska linia. Linia graniczna. Śmierć.

— Reanimacja! — zawołał.

Pielęgniarka, tłumiąc szloch, podała mu elektrody.

Walczył z paniką. Przywołał chwile, gdy leczył rannych w krwawych starciach, we wszystkich zapalnych rejonach świata. Był dobrym lekarzem. Ratował życie. Na tym polegała jego praca. W tym był najlepszy. Musi uratować życie Sophii. Potrafił to zrobić.

Wpatrując się w monitor, zaaplikował pierwszy wstrząs. Ciało Sophii wygięło się cicho i opadło.

— Jeszcze raz!

Próbował pięć razy, za każdym razem zwiększając natężenie prądu. Parę razy wydawało mu się, że ją odzyskał. Był niemal pewien, że przynajmniej raz zareagowała. Nie mogła umrzeć. To niemożliwe.

Kapitan Gherini dotknął jego dłoni.

— Jon?

— Nie!

Znów przyłożył elektrody. Monitory błyszczały obojętnie, milcząco. To pomyłka. Wszystko mu się przyśniło. To tylko zły sen. Sophia żyje. Piękna jak letni dzień, błyskotliwa. Uwielbia, kiedy się z nią droczy...

— Jeszcze raz! — zażądał.

Doktor Withers objął go ramieniem.

— Jon, oddaj elektrody.

Smith spojrział na niego.

— Co?

Oddał jednak przyrządy i Withers wziął je od niego.

— Bardzo mi przykro, Jon. Wszyscy ci współczujemy — powiedział doktor Mukogawa, internista. — To straszne. Niewyobrażalna tragedia. — Skinął na pozostałych. — Zostawimy cię samego. Potrzebujesz trochę czasu.

Wyszli. Wokół łóżka Sophii spuszczone zasłone i niewysłowiony ból opadł mu na serce.

Drżał. Osunął się na kolana i przycisnął czoło do jej bezwładnego ramienia. Było jeszcze ciepłe.

Wmawiał sobie, że Sophia żyje. Chciał, żeby się poruszyła, żeby usiadła i roześmiała się, żeby powiedziała, że to wszystko kiepski żart.

Po policzku spłynęła mu łza. Otarł ją ze złością. Odsunął namiot tlenowy, żeby dobrze ją widzieć. Wyglądała wciąż jak żywa, miała różową, wilgotną skórę. Usiadł na łóżku obok niej.

Wziął jej dłonie i trzymał w swoich. Całował palce.

Pamiętam, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz. Ślicznie wyglądałaś. Suszyłaś głowę biednemu laborantowi za to, że źle odczytał wyniki. Jesteś wielkim naukowcem, Sophio. Moim najlepszym przyjacielem. I jedyną kobietą którą kiedykolwiek kochałem... Siedział i przemawiał

do niej w myślach. Przelewał w nią swą miłość. Czasem ścisnął jej rękę, jak wtedy, gdy chodzili razem do kina. Zobaczył, że łzy zamoczyły prześcieradło. To było dużo wcześniej, nim po raz ostatni powiedział: "Zegnaj, kochanie".

W szpitalnej poczekalni długa noc dobiegała wreszcie końca, lecz poranna krzątanina nie rozpoczęła się jeszcze na dobre. Smith siedział apatycznie w fotelu, pogrążony w rozpacz.

Gdy Sophia po raz pierwszy zjawiła się w laboratorium Instytutu, zaczęła mówić, zanim zdążył odwrócić wzrok od mikroskopu.

— Randi strasznie cię nienawidzi — oznajmiła mu na wstępie. — Nie bardzo wiem dlaczego. Sposób, w jaki wzięłaś całą winę na siebie, i twoja skrucha spodobały mi się. Byłaś przynajmniej szczery i widać, że naprawdę jest ci przykro.

Wtedy odwrócił się. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby upewnić się, dlaczego chciał ją sprowadzić do Fort Detrick. Po raz pierwszy zobaczył ją w laboratorium Narodowych Instytutów Zdrowia, gdzie karcila nieuwważnego laboranta. Ku jego zdumieniu znów się spotkali — u jej siostry. Te dwa spotkania wystarczyły, żeby go przekonać, iż to z nią chce spędzać czas. Siedział

tam pod gniewnym spojrzeniem Randi i podziwiał Sophię. Miała długie włosy koloru pszenicy, związane z tyłu, i szczupłe, kształtne ciało.

Zauważyła jego zainteresowanie. Pierwszego dnia w laboratorium Instytutu oznajmiła:

— Zajmę tamto wolne stanowisko. Zabieram się do roboty, a ty przestań się na mnie gapić.

Wszyscy mówią że jesteś wspaniałym lekarzem polowym. Szanuję to. Ale jako naukowiec jestem od ciebie o niebo lepsza, i musisz się do tego przyzwyczaić.

— Będę pamiętał.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

— A swoje klejnoty trzymaj w spodniach, dopóki ci nie powiem, że masz je wyjąć.

Kiwnął głową i uśmiechnął się.

— Jestem cierpliwy — odparł.

Szpitalna poczekalnia była wyspą na oceanie czasu. Przebywał teraz w innym świecie.

Po głowie krążyły najdziwniejsze wspomnienia. Chyba zwariował. Będzie musiał odwołać ślub. Wszystkich powiadomić. Bankiet, limuzyna...

Boże, co się ze mną dzieje?

Pokręcił gwałtownie głową. Próbował się skupić. Był w szpitalu. Promienie wschodzącego słońca zabarwiały na różowo i żółto budynki po drugiej stronie ulicy. Odświętny mundur znów trafi do szafy między naftalinowe kulki.

Co robiła przez ostatnie tygodnie? Powinien być przy niej. Niepotrzebnie ściągnął ją do Instytutu.

Ile osób zaprosili na ślub? Musi napisać do wszystkich. Osobiście. Powiadomić, że ona nie żyje... nie żyje...

Zabił ją. Zabił Sophię. To przez niego podjęła pracę w Instytucie. Postarał się, żeby oferta była nie do odrzucenia. Zabił ją. Pragnął jej od chwili, gdy spotkali się u Randi. Próbował

tłumaczyć Randi, jak jest mu przykro, że jej narzeczony nie żyje, ale ona była zbyt rozgniewana, żeby go słuchać. Sophia zrozumiała go. Widział to w jej oczach — w czarnych oczach o tak intensywnym spojrzeniu, pełnych życia... Musi powiadomić jej rodzinę. Ale Sophia nie miała rodziny. Oprócz Randi. Musi powiadomić Randi.

Wstał z fotela i chwiejnym krokiem ruszył na poszukiwanie telefonu. Nagle wróciły do niego wspomnienia z Somali. Pracował na statku szpitalnym w czasie niewielkiej operacji wojskowej, która miała przywrócić porządek i zapewnić ochronę obywatelom amerykańskim w kraju rozdartym konfliktem między dwoma dygnitarzami wojskowymi, który podzielił Somali na Magadisiz i resztę. Wezwali go w głąb buszu, żeby zajął się pewnym majorem, złożonym gorączką. Wyczerpany po dwudziestoczterogodzinnym dyżurze zdiagnozował malarię, ale później okazało się, że jest to mało

znana i o wiele groźniejsza gorączka Lassa. Major zmarł, zanim zdążono skorygować diagnozę i zmienić leczenie.

Armia nie postawiła mu żadnych zarzutów. Podobne błędy zdarzały się i będą się zdarzać wielu bardziej doświadczonym lekarzom, którzy nie specjalizowali się w wirologii. Zresztą choroba Lassa zabija nawet przy najlepszej opiece. Nie ma na nią lekarstwa. Ale Smith wiedział, że zachował się arogancko i wezwał pomoc dopiero wtedy, gdy było już za późno. Winił za to siebie. Do tego stopnia, że nalegał, aby armia przeniosła go do Fort Detrick, gdzie mógłby zostać specjalistą z zakresu wirologii i mikrobiologii.

Kiedy zrozumiał, jak rzadko w porównaniu z malarią spotyka się chorobę Lassa, uznał

wreszcie, że jego błąd wiązał się z ryzykiem, które zawsze niesie medycyna polowa w odległych, nieznanych krajach. Ale major był narzeczonym Randi Russell, a Randi nigdy nie wybaczyła Smithowi, nigdy nie przestała winić go za śmierć ukochanego. Teraz musiał jej powiedzieć, że zabił drugą osobę, którą kochała.

Opadł na fotel.

Sophia. Soph. Zabił ją. Kochana Sophia. Mieli się pobrać na wiosnę, ale ona nie żyje. Nie powinien był sprowadzać jej do Detrick. Nigdy!

— Pułkowniku Smith?

Jon słyszał głos, lecz wydawało mu się, że jest na dnie mrocznej laguny, a dźwięk przebija się przez kilometry wody, ujrzał najpierw mglisty zarys, potem twarz. wypłynął na powierzchnię i zamrugał w jaskrawym świetle.

— Smith? Co się z panem dzieje? Stał nad nim generał brygady Kielburger.

Powrót do rzeczywistości zmroził go do szpiku kości. Sophia nie żyje.

Wyprostował się.

— Muszę wziąć udział w sekcji! Jeśli...

— Spokojnie. Jeszcze nie zaczęli.

Smith spojrzał groźnie.

— Czemu, do diabła, nie zawiadomiono mnie o nowym wirusie? Wiedział pan cholernie dobrze, gdzie jestem.

— Wypraszam sobie ten ton, pułkowniku! Nie skontaktowano się z panem, ponieważ początkowo sytuacja nie wydawała się groźna: mieliśmy tylko jeden przypadek wojskowego z Kalifornii. Kiedy zameldowano nam o dwóch kolejnych przypadkach, miał pan i tak wrócić następnego dnia. Gdyby przyleciał pan zgodnie z rozkazem, dowiedziałyby się pan. I być może...

Żołądek Smitha zacisnął się w wielką pięść, a dłonie poszły za jego przykładem. Czy Kielburger sugerował, że mógł ją uratować, gdyby wrócił wcześniej? Znow opadł na oparcie fotela. Generał nie musiał go wyręczać. Im dłużej siedział w poczekalni, choć wstawał już świt, tym bardziej obwiniał się za jej śmierć.

Wstał gwałtownie.

— Muszę zadzwonić.

Poszedł do telefonów przy windach i wybrał numer do Randi Russell. Po dwóch sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Usłyszał precyzyjną lakoniczną wiadomość: "Randi Russell. Nie mogę rozmawiać. po sygnale proszę zostawić wiadomość... Dziękuję".

"Dziękuję" zostało wypowiedziane z oporami, tak jakby wewnętrzny głos podpowiedział jej, że nie może być zbyt oficjalna. Cała Randi.

Zadzwonił do jej biura w Ośrodku Informacyjnym Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w którym zajmowano się analizą problemów międzynarodowych. Wiadomość była jeszcze bardziej zdawkowa: "Russell. Zostaw wiadomość". Tym razem bez "dziękuję", i to bez wahania.

W przyływie rozgoryczenia chciał zostawić równie zdawkową wiadomość: "Mówi Smith.

Złe nowiny. Sophia nie żyje. Przykro mi".

Ale po prostu odłożył słuchawkę. Nie umiał w ten sposób powiedzieć jej o śmierci siostry.

Spróbuję zadzwonić później, bez względu na to, jak bardzo go to bolało. Jeśli do jutra nie skontaktuje się z nią, powie jej szefowi, co się stało, i poprosi, żeby Randi zadzwoniła do niego.

Co innego mógł zrobić?

Randi zawsze była nieuchwytna, często wyjeżdżała za granicę, i to na długo. Więc rzadko widywała się z Sophią. W miarę jak ich związek się umacniał, dzwoniła coraz rzadziej i ani razu nie przyjechała z wizytą.

Po powrocie do poczekalni natknął się na Kielburgera, który siedział w fotelu i machał niecierpliwie nogą w wypolerowanym bucie i idealnie wyprasowanej nogawce.

Smith usiadł w fotelu obok generała.

— Co wiemy o tym wirusie? Gdzie się pojawił? Jaki to rodzaj? Kolejna gorączka krwotoczna jak Machupo?

— I tak, i nie — odparł Kielburger. — Major Anderson zmarł w piątek wieczorem w Fort Irwin na

zespół ostrych zaburzeń oddechowych, ale nie był to typowy zespół. Nastąpił potężny krwotok z płuc z wylewem do jamy klatki piersiowej. Zawiadomił nas o tym Pentagon.

Dostaliśmy próbki krwi i tkanek w sobotę rano. Do tego czasu zanotowano dwa kolejne zgony w Atlancie i w Bostonie. Pana nie było, więc badania zleciłem doktor Russell. Jej zespół pracował

dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy przeprowadziliśmy badanie DNA, okazało się, że nowy wirus nie przypomina żadnego znanego wcześniej wirusa. Nie reagował na przeciwciała innych wirusów. Powiadomiłem Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych i największe ośrodki badawcze na świecie, ale do tej pory nic nie osiągnięto. To nowy, śmiertelnie niebezpieczny wirus.

Korytarzem przeszedł szpitalny patolog, doktor Lutfallah, w asyście dwóch sanitariuszy, którzy pchali wózek z przykrytym prześcieradłem ciałem. Doktor skinął na Smitha.

Generał nie przerywał.

— Chciałbym, żeby pan...

Smith zignorował go. Nie miał teraz głowy do spełniania zachcianek Kielburgera. Wstał i ruszył za konduktem w stronę sali, gdzie przeprowadzano sekcje zwłok.

Sanitariusz Emiliano Coronado wymknął się w ustronne miejsce za szpitalem, żeby zapalić papierosa. Dumny z odwagi i sławy swego dalekiego przodka, stał wyprostowany, ze skrzyżowanymi ramionami, i w wyobraźni omiatał spojrzeniem wyżynę Kolorado cztery wieki temu w poszukiwaniu "złotych miast".

Nagle poczuł ostry ból w szyi. Papieros wypadł mu z ust, a wizja chwały rozwiała się wśród porzucanych dookoła śmieci. Z szyi, gdzie przyłożono mu nóż, popłynęła strużka krwi.

Ostrze zagłębiało się w ranę.

— Ani słowa.

— Ktoś odezwał się za jego plecami.

Przerażony Emiliano jęknął.

— Powiedz mi o doktor Russell. W ramach zachęty Nadal al-Hassan, przycisnął mocniej ostry jak brzytwa nóż. — Żyje?

Coronado próbował przełknąć ślinę.

— Umarła.

— Powiedziała coś przed śmiercią?

— Nie... nikomu nic nie powiedziała.

Nóż zatapiał się coraz głębiej.

— Na pewno? Nawet narzeczonemu, pułkownikowi Smithowi? Czy to możliwe?

Emiliano był zrozpaczony.

— Była nieprzytomna.

Jak miała rozmawiać?

— To dobrze.

Nóż dokończył dzieła. Emiliano Coronado upadł nieprzytomny. Gdy konał, jego krew wsiąkała w zaśmieconą ziemię.

Al-Hassan rozejrzał się uważnie. Zostawił sanitariusza, obszedł budynek i dotarł do czekającej na niego furgonetki.

— I co? — zapytał Bill Griffin, gdy al-Hassan wsiadał do środka.

— Sanitariusz twierdzi, że nic nie mówiła.

— Więc może Smith nic nie wie.

Może dobrze się stało, że Maddux nie zlikwidował go w Waszyngtonie. Dwa morderstwa pracowników Instytutu zwiększyłyby ryzyko, że ktoś zacznie węszyć.

— A ja żałuję, że go nie załatwił. Nie byłoby tej rozmowy.

— Ale skoro Maddux nie zabił go, zastanówmy się, czy to w ogóle konieczne.

— Nie wiemy na pewno, czy nie powiedziała mu czegoś w mieszkaniu.

— Chyba że przez cały czas była nieprzytomna.

— Kiedy wchodziła do bloku, nie była nieprzytomna — odparł al-Hassan. — Szef będzie wściekły, jeśli opowiedziała mu o Peru.

— Muszę powtórzyć jeszcze raz — rzekł Griffin — że zbyt wiele zgonów w niewyjaśnionych okolicznościach może przyciągnąć uwagę. Zwłaszcza jeśli Smith wygadał już komuś, co go spotkało w Waszyngtonie. To jeszcze mniej spodobałoby się szefowi.

Al-Hassan zawahał się.

Nie ufał Griffinowi, ale były agent FBI mógł mieć rację.

— Niech sam zdecyduje, jaka wersja najmniej mu się podoba.

Bill Griffin poczuł, jak kamień spada mu z serca. Nie do końca, ponieważ dobrze znał

Smithy'ego. Jeśli Jon podejrzewa, że śmierć Sophii nie był przypadkowa, nie wycofa się. Miał

jednak nadzieję, że jego uparty przyjaciel uwierzy, iż Sophia popełniła jakiś błąd, a jego przygody w Waszyngtonie nie miały związku z jej śmiercią. Jeśli ataki ustaną, on też da sobie spokój. Wtedy przestanie mu grozić niebezpieczeństwo, a Griffin nie będzie musiał martwić się o niego.

Sala sekcyjna szpitala we Frederick połyskiwała glazurą i nierdzewną stalą. Smith podniósł

wzrok i spojrzał na patologa Lutfallaha, który odszedł już od stołu. Zimne powietrze przesycone było ostrą wonią formaldehydu. Obydwaj mężczyźni mieli zielone kitle.

Lutfallah westchnął.

— Nie ma żadnych wątpliwości, Jon. Śmierć nastąpiła w wyniku potwornej infekcji wirusowej, która zniszczyła jej płuca.

— Co to za wirus? — zapytał zza maski Smith, choć dobrze znał odpowiedź na swoje pytanie.

Lutfallah pokręcił głową.

— A tym to już zajmujcie się wy, geniusze z Detrick. Właściwie zaatakowane są tylko płuca, nic innego, wykluczam jednak zapalenie płuc i gruźlicę. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Wirus jest szybki i zabójczy.

Smith kiwnął głową. Ogromnym wysiłkiem woli wypierał z myśli fakt, kto leży pocięty na stalowym stole z kanalikami, do których spływała krew. Razem z lutfallahem przystąpił do ponurego zadania zbierania próbek krwi i tkanek.

Gdy sekcja zwłok dobiegła końca, gdy już zdjął zielony czepek, maskę, rękawiczki i fartuch i usiadł na długiej ławce przed salą — rozplakał się.

Za długo czekał. Pogoń za nowinkami naukowymi i medycznymi po całym świecie sprawiała, że zbyt często się z nią rozstawał. Wmawiał sobie, że przy Sophii przestanie być kowbojem. Nieprawda. Nawet wtedy, gdy się jej oświadczył, nie zrezygnował ze swoich nawyków i wjazdów. Tego straconego czasu już nie odzyska.

Żal sprawiał mu ból gorszy od fizycznych tortur. W ostatecznym wysiłku spróbował

pogodzić się z faktem, że nigdy nie będą razem. Pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Tak za nią tęsknił. Przez palce przeciekły grube łzy. Żal. Poczucie winy. Tęsknota. Wstrząsał nim cichy szloch. Sophia umarła, a on pragnął raz jeszcze wziąć ją w ramiona. O niczym innym nie mógł

myśleć.

Rozdział 9.

9.18, Bethesda, Maryland

Wiele osób sądzi, że Narodowe Instytuty Zdrowia (NIH) to jedna gigantyczna organizacja, co nie jest prawdą. Położone na trzystu żyznych hektarach w Bethesda, zaledwie piętnaście kilometrów od kopuły Kapitolu, NIH składają się z dwudziestu czterech oddzielnych instytutów, ośrodków i oddziałów, które zatrudniają szesnaście tysięcy osób. Wśród nich imponująca sześćtysięczna grupa ma tytuł doktora. Takim skupiskiem naukowców nie może się pochwalić żaden z uniwersytetów, a nawet niejedno państwo.

Główna archiwistka Lily Loewenstein myślała o tym wszystkim, wyglądając przez okno gabinetu na ostatnim piętrze jednego z siedemdziesięciu trzech budynków kompleksu. Błądziła wzrokiem po klombach z kwiatami, rozległych trawnikach, parkingach ogrodzonych przyciętymi żywopłotami i biurówcach, w których pracowało tylu wykształconych i inteligentnych ludzi.

Szukała odpowiedzi tam, gdzie jej nie było.

Jako dyrektor Federalnego Archiwum Dokumentów Medycznych Lily była doskonale wykształconą i wykwalifikowaną profesjonalistką. Wyglądała przez okno, lecz nie widziała ani ludzi, ani budynków, ani niczego innego. Myślała tylko o swoim problemie, który przez wiele lat niemal niepostrzeżenie się rozrastał, aż wreszcie przygniótł ją jak tonowy głaz.

Lily była nałogową hazardzistką. Uzależniała się od hazardu w dowolnej formie. Początkowo spędzała urlopy w Las Vegas. Później, gdy podjęła pracę w Waszyngtonie, jeździła do Atlantic City, bo miała blisko. Grywała tam w weekendy i święta, a w ostatnich latach — nałóg pogłębiał się, a długi rosły — spędzała tam nawet noce.

Gdyby skończyło się na wizytach w kasynie i sporadycznych wycieczkach na wyścigi w Pimlico i Arlingtonie — sprawa nie byłaby zbyt groźna. Nałóg nadal by ją irytował, pochłaniał

dość dużą pensję, wywoływał rodzinne kłótnie. Dalej odwoływałyby wizyty i zapominała o prezentach dla siostrzeńców i siostrzenic z okazji Bożego Narodzenia i urodzin. Zniechęciłby do niej większość przyjaciół, ale nigdy nie zamieniłby się w przerażającą bestię, której teraz musiała stawić czoło.

Robiła zakłady u bukmacherów przez telefon, w barach i pożyczka pieniądze od tych, którzy wspomagali udęczone, bezimienne dusze takie jak ona. Teraz jej dług wynosił ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dziesięć minut temu zadzwonił do niej jakiś człowiek. Nie chciał

się przedstawić. Powiedział tylko, że skupił wszystkie jej długi i chciałby porozmawiać o rozliczeniu. Czują, jak po plecach przebiegają jej lodowate dreszcze. Ręce drżały, jakby miała Parkinsona. Był grzeczny, lecz w jego słowach pobrzmiwała groźba. Miała spotkać się z nim punktualnie o dziewiątej trzydzieści w barze, który znała aż nadto dobrze. Przyjmowano tam zakłady.

Przerażona zastanawiała się, co ma zrobić. Nie miała złudzeń. Oczywiście mogła pójść na policję,

ale wtedy wszystko wyjdzie na jaw. Straci pracę, prawdopodobnie trafi do więzienia: ominęła paru pośredników przy zakupie materiałów biurowych i zgarnęła różnicę. Podbierała też pieniądze z kasy. Tak zachowywali się nałogowi hazardziści.

Nie miała już przyjaciół ani krewnych, którzy pożyczyliby jej pieniądze, nawet gdyby chciała wyjawić im swój problem. Jeden z jej dwóch samochodów, beemer, został

skonfiskowany, hipoteka domu obciążona. Mąż odszedł. Zalegała z opłatami za szkołę syna, którymi dzielili się z mężem. Wyzbyła się akcji, obLilyacji, nieruchomości. Nie mogła oczekiwać pomocy od nikogo nawet od lichwiarzy spod ciemnej gwiazdy. Już nie.

Nie mogła nawet uciec. Praca była jedynym źródłem jej dochodów. Bez pracy nie miałyby nic. Byłaby nikim.

Bill Griffin obserwował z głębi sali kobietę, która weszła do baru. Wyglądała mniej więcej tak, jak sobie wyobrażał. Przedstawicielka klasy średniej w średnim wieku, oficjalna, wręcz nijaka. Kilka centymetrów wyższa, niż myślał — jakieś metr siedemdziesiąt pięć. Kilka kilogramów grubsza. Ciemne włosy brązowe oczy trójkątna twarz, drobny podbródek. Ubranie charakteryzowała wymowna niedbałość: garsonka była podniszczona i nie leżała tak, jak przystało kierownicze wielkiej rządowej instytucji. W postrzępionych włosach pojawiały się siwe odrosty. Prawdziwa hazardzistka.

Zachowywała się wyniośle, gdy tak stała w drzwiach i czekała, aż ktoś do niej podejdzie — poza biurokraty średniego szczebla.

Griffin odczekał chwilę, żeby spokorniała.

W końcu wstał od stolika, przechwycił jej spojrzenie i kiwnął głową. Ruszyła sztywno między stolikami w jego stronę.

— Pani Loewenstein — powiedział.

Lily przytaknęła, starając się nie wpaść w panikę.

— A pana godność?

— To nieistotne. Proszę usiąść.

Usiadła. Była zdenerwowana i zaniepokojona, więc przystąpiła od razu do ofensywy.

— Skąd pan wiedział o moich długach?

Bill Griffin uśmiechnął się blado.

— Przecież to pani nie obchodzi, pani Loewenstein, prawda? Kim jestem, jak wykupiłem długi i dlaczego. To wszystko nie ma żadnego znaczenia, racja? Patrzył na jej drżące policzki i usta.

Zorientowała się, że jest obserwowana i jej twarz skamieniała. Ucieszył się w duchu. Była przerażona, a więc otwarta na różne propozycje. — Mam pani kwity. — Patrzył, jak niespokojnie wodzi brązowymi oczami po sali. — Spotkaliśmy się, bo proponuję pani wyjście z tego dołka.

Prychnęła szyderczo.

— Wyjście z dołka?

Żaden hazardzista nie dba o długi. To hazard jest nałogiem i chorobą, a długi jedynie kłopotliwym ciężarem. Nie przejmują się nimi, dopóki wystarcza im gotówki, żeby grać dalej.

Griffin wiedział, że Lily codziennie stara się wysupłać tyle, by móc przy stoliku postawić więcej niż pięć dolarów.

Wyciągnął więc kość, do której miała zamerdać ogonem.

— Może pani zacząć od nowa. Likwiduję wszystkie długi. Nikt się niczego nie dowie, a ja zapewnię pani sporą sumkę na dobry początek. Chyba to niezła propozycja?

— Zacząć od nowa? — Twarz nad kołnierzykiem pani Loewenstein poczerwieniała z przejęcia. Oczy rozblęły, choć równie szybko zmarszczyła brwi. Miała kłopoty, ale nie była idiotką.

— Wszystko zależy od tego, co będę musiała zrobić.

Kiedy Griffin pracował dla wywiadu wojskowego, należał do najlepszych agentów werbujących współpracowników za żelazną kurtyną. Kusił ich korzyściami osobistymi, zasadami moralnymi i słuszością sprawy tak długo, aż ulegali. A później, jeśli nie chcieli wykonać jakiegoś rozkazu, wystawiał przynętę, zaciskał pętlę i ciągnął za sznur. Nie lubił tej strony swojej pracy, ale był w tym dobry. Właśnie nadszedł czas, żeby zacisnąć pętlę wokół tej kobiety.

— Nie — odpowiedział o wiele chłodniejszym tonem. — To od niczego nie zależy. Nie może mnie pani spłacić i nie może się pani skompromitować. Jeśli sądzi pani co innego, proszę odejść. I nie marnować mojego czasu.

Lily poczerwieniała ze złości.

— Posłuchaj mnie, ty arogancki...

— Wiem — przerwał jej. — Jest pani ciężko. Kieruje pani innymi, ale teraz ja wydaję polecenia. Albo jutro straci pani pracę i szansę zdobycia innej. W każdym razie nie w instytucji rządowej, nie w tym stanie, a prawdopodobnie nigdzie.

Lily poczuła, jak żołądek zamienia jej się w kamień, a chwilę później w miazgę. Rozpłakała się. Nie! Nie będzie płakać! Nigdy nie okazywała emocji. Zajmowała wysokie stanowisko...

— W porządku — powiedział Griffin. — Proszę popłakać. Dobrze to z siebie wyrzucić. Jest pani ciężko, a będzie jeszcze ciężiej. Niech się pani porządnie wypłacz.

Z im większym współczuciem do niej mówił, tym gwałtowniej szlochała. Przez łzy dostrzegła, że jest swobodniejszy, wygodniej się rozsiadł. Skinął na kelnerkę i pokazał na szklanę. Nie zapytał Lily, czy czegoś sobie życzy. To nie było spotkanie towarzyskie; mieli interes do omówienia. Nagle zdała sobie sprawę, że to nie on ją szantażuje. Był tylko pośrednikiem. Wykonywał zadanie. Obojętnie. Osobiście nic do niej nie miał.

Kiedy kelnerka przyniosła mu piwo, Lily odwróciła głowę, wstydząc się czerwonych oczu i łez. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z takim człowiekiem, nie była w takiej sytuacji.

Poczuła się potwornie osamotniona.

Griffin popijał piwo. Nadszedł czas, żeby znów wyciągnąć przynętę.

— No dobrze, już lepiej? Może nie jest tak źle? Proszę pomyśleć o w ten sposób: topór i tak musiał spaść któregoś dnia. Będzie pani miała czyste konto, a ja dam pani coś ekstra powiedzmy pięćdziesiąt tysięcy, żeby mogła pani zacząć od nowa. A wszystko to za parę godzin pracy. Może nawet mniej, jeśli jest pani tak dobra, jak słyszałem. Więc chyba nie jest tak źle, prawda?

Czyste konto... pięćdziesiąt tysięcy... Te słowa zabrzmiały jak najśłodsza muzyka. Zacząć od nowa. Koniec koszmaru. I pieniądze. Przecież mogła zacząć wszystko od nowa. Zapisać się na terapię. Już nigdy nie wpakuje się w takie kłopoty. Nigdy!

Przetarła oczy. Nagle zapragnęła ucałować tego mężczyznę, uściskać go.

— Co... co mam zrobić?

— No proszę, jest pani rzeczowa — pochwalił ją Griffin. — Wiedziałem, że z pani inteligentna kobieta. To mi się podoba. Do tego zadania potrzebny jest ktoś inteligentny.

— Proszę mi nie schlebiać. Nie w tej sytuacji.

Griffin roześmiał się.

— I do tego porywcza. Odzyskała pani humor? Do diabła, nikomu nawet włos nie spadnie z głowy. Chodzi tylko o wykasowanie kilku dokumentów. I będzie pani mogła pójść do domu.

Dokumenty? Wykasować? Jej dokumenty? Nigdy. Zadrżała, ale szybko się opanowała. A czego się spodziewała? Do czego by jej potrzebowali? Była archiwistką. Dyrektorem Federalnego Archiwum Dokumentów Medycznych. Oczywiście, że chodziło im o dokumenty.

Griffin nie spuszczał z niej oka. Nadszedł krytyczny moment. Pierwszy szok świeżo zwerbowanego współpracownika, który dowiaduje się, czego od niego wymagają. Zdrady kraju.

Zdrady pracodawcy, rodziny, zaufania. Patrzył, jak toczy ze sobą wewnętrzną walkę. Opanowała się.

Pokiwał głową.

— To najtrudniejszy moment. Później będzie już lepiej. Jest pewien raport, który wysłano do Fort Detrick, Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych i prawdopodobnie wielu innych miejsc na świecie. Musi zniknąć ze wszystkich archiwów. Wyparować, zdematerializować się. Trzeba usunąć wszystkie kopie, jakby go nigdy nie było. To samo należy zrobić ze wszystkimi raportami Światowej Organizacji Zdrowia na temat epidemii wirusowych w Iraku w ciągu ostatnich dwóch lat. I wszystkie ślady paru rozmów telefonicznych. Chyba to wykonalne?

Była zbyt wstrząśnięta, żeby się odezwać. Skinęła tylko głową.

— Jest jeszcze jeden warunek. Trzeba to zrobić do południa.

— Do południa? Teraz? W godzinach pracy? Ale jak...

— To już nie nasz problem.

Mogła tylko jeszcze raz pokiwać głową.

— Doskonale. Griffin uśmiechnął się. — A może napije się pani czegoś?

Rozdział 10.

13.33, Wojskowy Instytut Chorób Zakaźnych,

Fort Detrick, Maryland

Smith pracował gorączkowo w laboratorium, walcząc ze zmęczeniem. Jak doszło do śmierci Sophii? Wciąż dźwięczało mu w głowie ostrzeżenie Billa Griffina, pamiętał też o próbach zlikwidowania go w Waszyngtonie. Nie wierzył w przypadkowość jej śmierci. Mimo to ustalono bez cienia wątpliwości, jak doszło do zgonu: zespół ostrych zaburzeń oddechowych wywołany śmiertelnym wirusem.

Lekarze w szpitalu kazali mu pójść do domu i przespać się. Generał polecił mu zastosować się do rady lekarzy. On jednak, nic nikomu nie mówiąc, pojechał prosto do Fort Detrick. Kiedy mijał główną bramę, wartownik zsalutował mu ze smutną miną. Zaparkował tam, gdzie zwykle, przy monolitycznym, żółtym budynku Instytutu z cegły i betonu. Z dysz wylotowych na dachu płynął niekończący się strumień silnie przefiltrowanego powietrza z laboratoriów trzeciej i czwartej strefy.

Pokazał identyfikator wartownikowi przy drzwiach. On też pokiwał głową ze współczuciem.

Smith poruszał się jak w transie, wywołanym rozpaczą i wyczerpaniem. Niósł schłodzone próbki krwi i tkanek z sekcji zwłok. Szedł jak zaprogramowany robot, jak w niejasnym śnie mijał

dryfującą płataninę zakrętów, drzwi i grubych okien szczelnie zamkniętych laboratoriów.

Zatrzymał się przy Gabinetce Sophii i zajrzał do środka.

Poczuł drapanie w gardle. Przełknął ślinę i ruszył do strefy czwartej, gdzie przebrał się w skafander.

Analizował tkanki i krew Sophii, pracując samotnie w laboratorium gorącej strefy, wbrew radom, rozkazom i zasadom bezpieczeństwa. Powtórzył te same badania, które przeprowadziła Sophia na próbkach pochodzących od trzech pozostałych ofiar: wyizolował wirusa, obejrzał go pod mikroskopem elektronowym i przeprowadził testy z próbkami różnych wirusów z całego świata. Ten, który zabił Sophię, nie reagował na nic. Przeprowadził jeszcze jedną polimerazową reakcję łańcuchową, żeby zidentyfikować sekwencję genetyczną nowego wirusa. Później przesłał

dane do komputera w swoim gabinecie i po siedmiominutowym prysznicu odkażającym w śluzie powietrznej, zdjął skafander i ubrania do odkażenia.

Ubrał się i wrócił do swojego gabinetu, gdzie porównał wyniki z rezultatami badań Sophii.

Wreszcie zapatrzył się w przestrzeń. Wirus, który zabił Sophię, nie był podobny do żadnego znanego. Owszem, wykazywał pewne podobieństwa do innych typów, ale był to odmienny wirus.

Ten sam, nad którym pracowała.

Choć myśl o śmierci Sophii wyparła wszystkie inne, nagle przeraziło go zagrożenie, jakie stwarzał ten nowy, śmiertelny wirus dla całego świata. Cztery ofiary mogły być początkiem epidemii.

Jak się zaraziła?

Gdyby miała bezpośredni kontakt z nowym wirusem, natychmiast by o tym zameldowała.

Tego wymagał od niej regulamin i szaleństwem byłoby niezastosowanie się do niego. Patogeny w gorącej strefie są śmiertelnie niebezpieczne. Nie ma na nie szczepionek ani lekarstw. Szybka hospitalizacja w celu wzmocnienia układu odpornościowego i utrzymania organizmu w najlepszym zdrowiu oraz normalna procedura medyczna stosowana przy wszystkich zakażeniach wirusami uratowała jednak życie wielu osobom.

W Detrick znajdował się specjalny zamknięty oddział szpitalny, gdzie lekarze wiedzieli wszystko o leczeniu wirusów. Mogli ją uratować i Sophia dobrze o tym wiedziała.

Do tego była naukowcem. Gdyby wydało jej się, że być może zaraziła się wirusem, na pewno chciałaby, żeby przebieg choroby został zarejestrowany i zanalizowany. W ten sposób przyczyniłaby się do pogłębienia wiedzy, co być może pomogłoby uratować innych.

Zameldowałyby o wszystkim. O każdym szczególe.

Pomyślał o niebezpiecznym incydencie w Georgetown i mógł wyciągnąć tylko jeden wniosek: jej śmierć nie była przypadkowa.

Słyszał zduszony głos: "...laboratorium, ...ktoś... uderzył...".

Wykrztuszone z trudem w chwili szoku słowa wtedy nic mu nie mówiły, lecz teraz nie dawały spokoju. Czy ktoś wtargnął do laboratorium i zaatakował ją, podobnie jak jego?

Wzburzony zaczął znów wertować jej notatki, uwagi i raporty w poszukiwaniu śladu, który podpowie mu, co się naprawdę stało. Na początku przedostatniej zapisanej strony w dzienniku Sophii dostrzegł starannie wykaligrafowany numer. Sophia szczegółowo opisywała w dzienniku każdy dzień pracy nad nieznanym wirusem. Zapis był następujący: IKL — 53-99.

Znał stosowane przez nią symbole. Pod skrótem IKL kryła się nazwa Instytutu Księcia Leopolda w Belgii. W ten sposób Sophia oznaczała raport z innego laboratorium, z którego korzystała przy badaniach. Numer odnosił się do konkretnego eksperymentu, toku rozumowania lub porządku chronologicznego. Coś jednak przykuło jego uwagę: Sophia zawsze — zawsze wpisywała symbol z numerem pod notatką.

Na końcu.

A ten widniał u góry strony. Przed komentarzem, w którym zastanawiała się, dlaczego trzy ofiary wirusa zmarły z identycznymi objawami w tym samym czasie, choć różniły się wiekiem, płcią, zyciorysem, miejscem zamieszkania i nikt inny z sąsiedztwa nie został zarażony.

W tym komentarzu nie powoływała się na żadne raporty, musiała więc wpisać oznaczenie w złym miejscu.

Dokładnie obejrzał dwie ostatnie strony i rozłożył kartki, żeby zbadać rowek, gdzie papier łączy się z grzbietem notesu. Pod szkłem powiększającym nie stwierdził niczego.

Zastanowił się i umieścił otwarty dziennik pod wielkim mikroskopem. Przesunął rowek pod soczewkę i zajrzał do okularu.

Na widok tego, co zobaczył, wciągnął gwałtownie powietrze — nacięcie było tak proste i delikatne jakby zostało wykonane laserowym skalpelem. Lecz prawdy nie dało się ukryć przed silnie powiększającym mikroskopem: ostrze noża było nieznacznie ząbkowane.

Jedną kartkę wycięto.

Generał brygady Calvin Kielburger stanął w otwartych drzwiach gabinetu Jona Smitha.

Ze splecionymi z tyłu rękami, rozstawionymi szeroko nogami, mięsistą twarzą zastygłą w surowym wyrazie, wyglądał jak Patton podczas kampanii w Ardenach z wizytą u żołnierzy z

"czwartej pancerniej".

– Wydałem panu rozkaz udania się do domu, pułkowniku. Na nic się pan nie przyda w takim stanie. Do tej pracy potrzebujemy wypoczętego, trzeźwo myślącego zespołu. Zwłaszcza teraz, gdy zabrakło doktor Russell.

Smith nawet na niego nie spojrział.

— Ktoś wyrwał kartkę z dziennika.

— Proszę wracać do domu, pułkowniku.

Smith podniósł wreszcie głowę.

— Nie słyszał pan? W jej notatkach brakuje jednej kartki. Dlaczego?

— Pewnie sama ją wyrwała.

— Odkąd pana awansowali, zapomniał pan chyba, co to są badania naukowe. Nie niszczy się notatek z badań. Wiem, że wyrwana kartka dotyczyła jakiegoś raportu z Instytutu Księcia Leopolda w Belgii. Nie znalazłem go w jej papierach.

— Pewnie jest w komputerowej bazie danych.

— Właśnie tam zamierzam teraz zajrzeć.

— Zrobi to pan nieco później. Teraz chciałbym, żeby pan odpoczął, a potem poleciał do Kalifornii zamiast doktor Russell. Trzeba porozmawiać z rodziną, przyjaciółmi i wszystkimi osobami, które znały majora Andersona.

— Nie! — Niech pan wyśle kogo innego. — Powinien powiedzieć Kielburgerowi o tym, co go spotkało w Waszyngtonie. Przekonałby go w końcu, że musi wyjaśnić, w jakich okolicznościach Sophia zaraziła się wirusem. Ale generał będzie chciał wiedzieć, co właściwie robił w Waszyngtonie, skoro miał wrócić do Detrick. I będzie musiał mu powiedzieć o spotkaniu z Billem Griffinem. Nie może zdradzić starego kumpla, dopóki nie dowie się czegoś więcej. A to oznacza, że trzeba w inny sposób przekonać generała, żeby pozwolił mu węszyć dalej.

— Na pewno wiem, że za śmiercią Sophii coś się kryje. I zamierzam dowiedzieć się co.

Generał stracił cierpliwość.

— O nie, nie na służbie. Mamy tu większy problem od śmierci jednej pracownicy Instytutu, pułkowniku, bez względu na to, kim była.

Smith zerwał się z miejsca jak koń zaatakowany przez grzechotnika.

— No to odchodzę z wojska!

Kielburger na chwilę zamarł z zaciśniętymi pięściami i oczyma, rzucającymi wściekłe spojrzenie. Jego twarz przybrała barwę buraka. Miał ochotę powiedzieć Smithowi, żeby się wynosił do diabła. Dość już tej niesubordynacji.

Ale opanował się. To będzie źle wyglądało w przebiegu służby — oficer nie potrafi zjednać sobie

lojalności podkomendnych. W porządku, za arogancję i niesubordynację ukarze Smitha kiedy indziej. Nie teraz.

Zmusił się do przybrania swobodnej miny.

— No dobrze, właściwie w tej sytuacji nie powinienem na pana krzyczeć. Niech się pan dalej zajmuje sprawą doktor Russell. Do Kalifornii wyślę kogo innego.

14.02, Bethesda, Maryland

Mimo pośpiechu zlecone przez nieznanego zadanie zajęło cały ranek. Teraz Lily Loewenstein kończyła zasłużony lunch w ulubionej restauracji w centrum Bethesda. Popijała drugie daiquiri. Za szybą wysokie budynki miasta, w których odbijało się ostre październikowe słońce, znów przypominały jej Dallas w miniaturze.

O dziwo, wejście do sieci komputerowej Światowej Organizacji Zdrowia okazało się wyjątkowo proste. Nikt nie uznał za konieczne zablokować dostępu do sieci z informacjami dotyczącymi działalności naukowej i humanitarnej. Wykasowanie z baz danych Światowej Organizacji Zdrowia wszystkich raportów dotyczących ofiar i osób, które przeżyły dwie niewielkie epidemie wirusowe w Bagdadzie i Basrze, było dziecinnie proste.

Iracki system komputerowy był przestarzały od pięciu lat, więc włamanie się do niego i usunięcie oryginałów tych samych raportów u źródła było równie łatwe. Lily odkryła zresztą ze zdziwieniem, że większość oryginalnych informacji w Iraku została już wykasowana przez reżim Saddama Husseina. Najwidoczniej nie chcieli zdradzać żadnej ze swych słabości.

Usunięcie belgijskiego raportu z pamięci głównego serwera NIZ, z baz danych Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych, Centrum Kontroli i wszystkich innych archiwów na całym świecie pochłonęło znacznie więcej czasu. Najtrudniejszym zadaniem okazało się usunięcie zapisów telefonicznych z Fort Detick. Musiała skorzystać z pomocy wysoko postawionych znajomych z firmy telekomunikacyjnej, którzy winni jej byli przysługę.

Próbowała zrozumieć, jakie powody stały za żądaniami szantażystów, ale wykasowane dane nie miały ze sobą wiele wspólnego — tyle tylko że większość dotyczyła jakiegoś wirusa. W

zakamarkach sieci elektronicznej między ośrodkami badawczymi na całym świecie krążyły setki podobnych raportów, ale szantażyści nie interesowali się nimi.

W każdym razie jej misja zakończyła się powodzeniem. Nie nakryto jej, nie zostawiła żadnych śladów, wkrótce jej problemy finansowe skończą się na dobre. Obiecała sobie, że już nigdy nie wpakuje się w takie bagno. Z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w gotówce może pojechać do Las Vegas lub Atlantic City i odbić sobie wszystko, co straciła. Z błogim uśmiechem szybko postanowiła, że na początek postawi tysiąc dolarów na drużynę Capitalsów.

Uśmiechała się nadal, gdy wyszła z restauracji i ruszyła w stronę baru, gdzie przesiadywał jej ulubiony bukmacher. Intuicja podpowiadała jej, że nie może przegrać. Nie tym razem. Już nigdy.

Usłyszała za sobą krzyki, pisk opon i zgrzyt metalu. Odwróciła się i zobaczyła wielką czarną furgonetkę, pędzącą chodnikiem prosto na nią. Szeroki uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Wciąż na niej gościł, gdy samochód uderzył w Lily, zjechał na ulicę i zostawił martwą na chodniku.

15.16, Wojskowy Instytut Chorób Zakaźnych,

Fort Detrick, Maryland

Smith oderwał wzrok od ekranu. Znalazł pięć raportów z Instytutu Księcia Leopolda, ale żaden z nich nie nadszedł ani wczoraj, ani dzisiaj rano. Wszystkie mówiły tylko o dalszych niepowodzeniach prób sklasyfikowania nieznanego wirusa.

Gdzieś jednak musiał być raport z najnowszymi wiadomościami. A przynajmniej z jedną, która skłoniła Sopię zeszłej nocy do zapisania całej strony dziennika. Przeszukał bazy danych w Detrick i Centrum Kontroli, a potem podłączył się do centralnego serwera armii, żeby przeszukać wszystkie najważniejsze ośrodki badawcze świata z Instytutem Księcia Leopolda włącznie.

Nic nie znalazł.

Z rozczarowaniem wpatrywał się w ekran nieprzychylnego komputera. Albo Sophia się pomyliła, wstawiając zły symbol do swojego oznaczenia i raport ten w ogóle nie istniał, albo...

Albo został wykasowany ze wszystkich baz danych na świecie, łącznie ze źródłem.

Było to wykonalne, choć mało prawdopodobne, żeby ktoś tak zapamiętał zacierając ślady wirusa, skoro wszystkim powinno zależeć na rozwiązaniu tej tajemnicy. Pokręcił głową, próbując odpędzić myśl, że na brakującej stronie znajdowało się coś ważnego. Bezskutecznie. Kartka została wycięta.

Przez kogoś, kto dostał się i wyszedł z bazy niepostrzeżenie. A może jednak ktoś go widział?

Znów sięgnął po telefon, by dowiedzieć się, kto jeszcze przebywał tej nocy w laboratorium, ale mimo rozmowy z całym personelem i starszą sierżant Daugherty nie zbliżył się ani o krok do odpowiedzi. Przed osiemnastą biuro opuścili wszyscy pracownicy sierżant Daugherty. Personel naukowy, nie wyłączając Kielburgera, pracował w Instytucie do drugiej w nocy. Później Sophia została sama.

Dowódca nocnej warty Grasso nie zauważył niczego, nawet wyjścia Sophii, o czym Smith już wiedział. Wartownicy przy bramie przysięgali, że po drugiej nie widzieli nikogo, ale ponieważ nie zauważyli Sophii, która opuściła bazę pieszo, ich zeznanie nie miało większego znaczenia. Poza tym uważał, że ktoś, kto potrafił tak precyzyjnie wyciąć kartkę z dziennika, nie zwróciłby na siebie uwagi.

Tak więc znalazł się w ślepym zaułku.

I wtedy przypomniał sobie słowa Sophii. Zamknął oczy i znów zobaczył jej piękną twarz wykrzywioną grymasem bólu nie do zniesienia. Słaniała się na nogach i z trudem łapała powietrze, ale udało jej się wydusić: "...laboratorium... ktoś... uderzył...".

17.27, kostnica, Frederick, Maryland

Doktor Lutfallah był zniecierpliwiony.

— Nie wiem, czego pan jeszcze chce, pułkowniku Smith. Sekcja zwłok nie pozostawia żadnych wątpliwości. Sprawa jest jasna. Niech pan da spokój. Dziwię się, że pan w ogóle może funkcjonować. Musi się pan przespać...

— Pójdę spać, jak się dowiem, co się jej stało — warknął Smith. — Nie kwestionuję tego, co ją zabiło, tylko jak.

Już wcześniej patolog niechętnie wyraził zgodę na ponowne spotkanie ze Smithem w szpitalnej kostnicy. Był zły, że oderwano go od wyborczego martini.

— Jak? Brwi doktora Lutfallaha uniosły się do góry. Tego było za wiele. Nie próbował nawet ukryć zjadliwego sarkazmu w głosie.

— Śmiem twierdzić, że tak, jak zabija każdy śmiertelny wirus, pułkowniku.

Smith nie zwracał na niego uwagi. Pochylony nisko nad stołem usiłował zachować zimną krew w obliczu bladego i nieruchomego ciała Sophii, które jeszcze tak niedawno tętniło życiem.

— Proszę zbadać każdy centymetr skóry, doktorze. Może coś przeoczyliśmy.

Wciąż poirytowany lekarz przystąpił do oględzin. Pracowali w ciszy przez godzinę. Doktor Lutfallah chciał już dać wyraz najwyższemu zniecierpliwieniu, gdy nagle wydał zza maski chirurgicznej stłumiony okrzyk.

— A co to?

Smith uniósł głowę zaalarmowany.

— Co? Co pan ma? Proszę mi pokazać.

Ale tym razem doktor Lutfallah nie odpowiedział. Przyglądał się lewej kostce Sophii.

Wreszcie zadał pytanie.

— Czy doktor Russell chorowała na cukrzycę?

— Nie. Co pan tam ma?

— Przyjmowała jakieś lekarstwa dożylnie?

— Nie.

Doktor Lutfallah pokiwał głową. Podniósł wzrok.

— A substancje odurzające, pułkowniku?

— Czyli narkotyki? Nie, skądże.

— No to proszę tu spojrzeć.

Smith przeszedł na drugą stronę stołu i stanął obok patologa. Razem pochylili się nad kostką.

Ślad był doskonale widoczny — zaczerwienienie i spuchnięcie tak małe, że nikt go przedtem nie zauważył. A może po prostu go nie było, późny objaw wirusa, który ujawnił się dopiero teraz. W

samym środku zaczerwienienia widać było maleńki ślad od igły. Zastrzyk wykonano po mistrzowsku, z taką samą wprawą, z jaką wycięto kartkę z dziennika.

Smith wyprostował się gwałtownie. Ogarnęła go wściekłość. Zaciskał mocno pobielające pięści, dudniło mu w głowie. Jego podejrzenia sprawdziły się.

Sophia została zamordowana.

20.16, Wojskowy Instytut Chorób Zakaźnych,

Fort Detrick, Maryland

Jon Smith zatrzasnął za sobą drzwi i przypadł do biurka w swoim gabinecie. Nie usiadł. Nie mógłby usiedzieć w miejscu. Chodził po pokoju jak dzikie zwierzę miotające się w klatce. Mimo fizycznego zmęczenia jego umysł był wyostrzony jak diament. Skoncentrowany do granic możliwości. W tej chwili, nie bacząc na potrzeby całego świata, miał tylko jeden cel: odnaleźć zabójcę Sophii.

Dobrze, skup się. Prawdopodobnie odkryła coś tak niebezpiecznego, że musiała zginąć, a wszystkie fizyczne dowody jej odkrycia zostały zniszczone. Co robią naukowcy w trakcie badań zakrojonych na światową skalę? Rozmawiają ze sobą.

Chwycił za słuchawkę.

— Proszę z szefem ochrony.

Bębnił palcami po blacie jak dobosz wzywający niegdyś żołnierzy do walki.

— Mówi Dingman. W czym mogę pomóc, pułkowniku?

— Prowadzicie rejestr rozmów telefonicznych Instytutu?

— Niezupełnie, ale możemy sprawdzić, kto telefonował do bazy i z bazy. O jakie rozmowy konkretnie panu chodzi?

— Wszystkie rozmowy doktor Russell od soboty, także telefony do niej.

— Ma pan pozwolenie?

— Proszę zapytać Kielburgera.

— Skontaktuję się z panem, pułkowniku.

Piętnaście minut później Dingman oddzwonił, podając listę rozmów Sophii. Było ich niewiele: badania nad wirusem zamknęły Sophię i resztę zespołu w laboratorium. Pięć telefonów z Instytutu, w tym trzy z zagranicą i tylko cztery telefony do Instytutu. Zadzwoił pod podane numery. Wszystkie dotyczyły porażki w pracach nad wirusem.

Rozczarowany, odchylił się do tyłu na krześle, ale znów szybko zerwał się z fotela. Pobiegł korytarzem do Gabinetu Sophii, gdzie znów przejrzał wszystkie papiery na biurku. Sprawdził szuflady. Miał rację — zaginął również miesięczny spis rozmów telefonicznych, o który tak bardzo upominał się Kielburger.

Wrócił do siebie i znów zadzwonił.

— Pani Curtis? Czy Sophia oddała wcześniej październikowy spis rozmów telefonicznych?

Nie? Na pewno? Dziękuję.

A więc spis zabrali mordercy. Ale dlaczego? Dlatego że Sophia przeprowadziła rozmowę, która mogła naprowadzić na ich trop. Zatarli ślady, tak samo jak w przypadku raportu Instytutu Księcia Leopolda. Byli sprawni i inteligentni. A on napotkał mur nie do przebicia, próbując dowiedzieć się, co skłoniło kogoś do podjęcia decyzji, że trzeba zabić Sophię. Co takiego zrobiła, o czym wiedziała?

Postanowił, że dotrze do prawdy inną drogą: zbada przeszłość ofiar wirusa. Te osoby musiało coś łączyć, zanim zmarły. Coś tragicznego i śmiertelnie niebezpiecznego.

Znów podniósł słuchawkę.

— Mówi Jon Smith. Generał jest u siebie, pani Curtis?

— Oczywiście, pułkowniku. Chwileczkę.

Melanie Curtis pochodziła z Missisipi i lubiła go. Ale dziś nie miał głowy do tradycyjnego flirtu.

— Dziękuję.

— Tu generał Kielburger.

— Czy nadal pan chce, żebym jutro poleciał do Kalifornii?

— Zmienił pan zdanie? Co się stało?

— Może zmańdrzałem. Światu grozi epidemia. Trzeba się tym natychmiast zająć.

— Pewnie — prychnął z niedowierzaniem Kielburger. — No dobrze, żołnierzu. Wylatuje pan z Andrews jutro o ósmej rano. Proszę być w moim biurze o siódmej. Przekażę panu instrukcje.

Rozdział 11

17.04, Adirondack Park, Nowy Jork

Wbrew rozpowszechnionej w świecie opinii dwie trzecie Nowego Jorku to nie drapacze chmur, zatłoczone przejścia podziemne i zimne centra finansowe. Victor Tremont, dyrektor operacyjny firmy Blanchard Pharmaceuticals, stał na tarasie swojej rezydencji na terenie parku stanowego Adirondack i spoglądał na zachód. Oczami wyobraźni widział stan Nowy Jork, rozciągający się od Vermont na wschodzie do jeziora Ontario na zachodzie, od Kanady na północy niemal do Albany na południu.

Około sześciu milionów żyznych hektarów państwowych i prywatnych ziem leżało nad rwącymi rzekami i tysiącami jezior, między czterdziestoma sześcioma szczytami, które wznosiły się na tysiąc dwieście metrów nad dolinami Adirondack.

Tremont wiedział to wszystko, ponieważ miał ten rodzaj chłonnego umysłu, który wychwytuje, zapamiętuje i wykorzystuje ważne informacje. Park Adirondack podobał mu się nie tylko dlatego, że tworzyły go przepiękne lasy, ale również ze względu na niską gęstość zaludnienia w tym rejonie. Lubił opowiadać gościom przy kominku dykteryjkę o urzędniku skarbowym, który kupił w tej okolicy leśny domek. Kiedy uznał, że płaci hrabstwu za wysokie podatki, postanowił zbadać sprawę. Wtedy — i tu Tremont zaśmiewał się serdecznie — wpadł na trop gigantycznej afery korupcyjnej. Urzędnik wniósł odpowiedni pozew, ale sprawa nie trafiła na wokandę. Powód? Hrabstwo liczyło tak niewielu stałych mieszkańców, że wszyscy albo byli bezpośrednio zamieszani w aferę korupcyjną, albo spokrewnieni z podejrzanymi. Nie można więc było zebrać niezależnej ławy przysięgłych.

Tremont uśmiechnął się. Odosobnienie i korupcja czyniły z tego miejsca leśny raj. Dziesięć lat temu przeniósł Blanchard Pharmaceuticals do kompleksu z czerwonej cegły, który kazał

wybudować w lesie niedaleko miejscowości Long Lake. A to leśne ustronie nad innym jeziorem wybrał dla siebie na rezydencję.

Tremont stał więc teraz na osłoniętej dachem werandzie, a słońce niczym ognista pomarańczowa kula zachodziło za drzewami. Podziwiał, jak znika za poszarpanymi sylwetkami gór, i upajał się swoim bogactwem, władzą i smakiem, których oznaką był ten widok, rezydencja i styl życia.

Dom stanowił część jednego z wielkich kompleksów wypoczynkowych, wybudowanych przez bogaczy pod koniec dziewiętnastego wieku. Siedlisko obłożone taką samą drewnianą licówką jak posiadłość Vanderbildtów w Great Camp Sagamore nad pobliskim jeziorem Raquette było jedynym ocalałym budynkiem dawnego kurortu. Dom osłonięty od góry baldachimem wielkich drzew i oddzielony od jeziora gęstym lasem był całkowicie niewidoczny z zewnątrz.

Tremont tak zresztą zaplanował remont, żeby pozwolić roślinności na bujny rozrost. Na drodze nie było strzałki z adresem, a nad jeziorem przystani, które zdradzałyby obecność rezydencji. Nie zapewniono do niej dostępu, gdyż goście nie byli tu mile widziani. O jej istnieniu wiedział tylko Victor Tremont, kilku zaufanych partnerów z programu Hades i lojalni naukowcy którzy, pracowali w

prywatnym nowoczesnym laboratorium na pierwszym piętrze.

Październikowe słońce opadało coraz niżej, a chłodne powietrze szczypało Tremonta w policzki i przenikało przez kurtkę i spodnie. Mimo to nie spieszyło mu się do środka. Delektował

się grubym cygarem i smakiem pięćdziesięcioletniej whisky Langavulin. Rozgrzewała go i przyjemnie piekła w gardle. Langavulin to prawdopodobnie najlepsza whisky na świecie, lecz jej dojrzały torfowy smak i niezrównany aromat nie były znane poza Szkocją. Tremont co roku wykupywał całą produkcję whisky z wyspy Islay.

Ale kiedy tak pławił się w ostatnich złocistych promieniach zachodzącego słońca, na jego patrycjuszowskie wargi wyszedł uśmiech, wywołany raczej dziką urodą natury niż smakiem whisky. Prastare jezioro tylko krótki przenos kajaków dzielił od przeludnionych terenów nad Raquette. Wysokie sosny kołysały się lekko, sycząc powietrze silną wonią. W oddali nagi szczyt wysokiej na tysiąc sześćset dwadzieścia dziewięć metrów góry Marcy lśnił jak palec wskazujący na Boga.

Góry pociągały Tremonta już wtedy, kiedy był jeszcze niesfornym nastolatkiem w Syracuse.

Jego ojciec, wykładowca ekonomii na miejscowym uniwersytecie, nie umiał go nadzorować, podobnie jak teraz tłusty prezes Blancharda. Obydwaj twierdzili zawsze, że są rzeczy, których nie można osiągnąć, i podkreślali, że nie można mieć wszystkiego. Nie rozumiał takiej ciasnoty umysłu. Jakie są bowiem granice poza ograniczeniami wyobraźni, zdolności i odwagi?

Program Hades był tego przykładem. Gdyby od początku wiedzieli, co wymyślił, obydwaj przekonywaliby go, że to niewykonalne. Że nikt nie może tego dokonać.

Prychnął z odrazą. Byli małutkimi ludźmi o ciasnych horyzontach. Za kilka tygodni program okaże się wielkim sukcesem. On sam odniesie wielki sukces. Później latami będzie zbierał jego owoce.

Może dlatego, że program Hades znajdował się w końcowej fazie realizacji, Tremont od czasu do czasu pozwalał sobie na marzenia. Wracał wspomnieniami do dawno zmarłego ojca.

Dziwnym zrządzeniem losu był on jedyną osobą, którą darzył szacunkiem. Staruszek nie rozumiał swego jedynaka, ale zawsze brał jego stronę.

W dzieciństwie Tremonta zafascynował film "Jeremiah Johnson". Widział go kilkanaście razy. Pewnego dnia w samym środku mroźnej zimy wybrał się w góry i postanowił prowadzić życie na łonie natury tak jak Johnson: żywić się leśnymi jagodami i korzonkami, polować, walczyć z Indianami, zmierzyć się z żywiołami. Niewielu miało tyle odwagi i wyobraźni, by podjąć wyzwanie.

Ale doświadczenie nie okazało się udane. Ustrzelił dubeltówką ojca dwa jelenie poza sezonem łowieckim, przez pomyłkę zranił i niemal zabił kilkoro turystów, rozchorował się ciężko po zjedzeniu leśnych jagód i mało brakowało, a zamarzłby na śmierć. Na szczęście ojciec zauważył brak dubeltówki, parki i plecaka, a pamiętając fascynację chłopca filmem, domyślił się, gdzie go trzeba szukać. Gdy służby leśne chciały zaniechać poszukiwań, ojciec wpadł w furję i wykorzystał wszystkie swoje znajomości wśród profesorów i polityków. W rezultacie, acz niechętnie,

kontynuowano akcję i w końcu odnaleziono go załamane go i przemarzniętego w jaskini na śnieżnych stokach Marcy.

Mimo to zaliczał tę przygodę do najważniejszych w życiu. Górską wyprawę nauczyła go, że natura jest twarda, nieubłagana i nie sprzyja ludziom. Odkrył również, że wysiłek fizyczny mało go nęci: zbyt łatwo można przegrać. Lecz największą nauką była krytyczna analiza powodów, dla których Johnson ruszył w góry. Victor sądził przedtem, że chodziło o walkę z naturą, z Indianami, o udowodnienie męskości. Błąd. Chodziło o pieniądze. Ludzie z gór byli traperami i wszystkie ich działania podporządkowane były jednemu celowi: żeby się wzbogacić.

Nie zapomniał o tym nigdy. Jasność i prostota tego celu ukształtowały go na całe życie.

Gdy tak stał zamyślony na werandzie, uświadomił sobie, że żałuje, iż ojciec nie może być świadkiem finalizacji programu Hades. Staruszek wreszcie przekonałby się, że człowiek może osiągnąć wszystko, jeśli nie brakuje sprytu i wytrwałości. Czy byłby z niego dumny? Pewnie nie.

Roześmiał się głośno. Tym gorzej dla niego. Matka byłaby dumna, ale to nie miało znaczenia.

Kobiety się nie liczyły.

Coś wyrwało go z zamyślenia. Podniósł głowę, nasłuchując. Coraz głośniejszy warkot helikoptera. Tremont dopił whisky, ułożył cygaro w dużej, krętej popielniczce, żeby tam samo się wypaliło i wrócił do olbrzymiego, wysokiego salonu. Ze ścian spoglądały szklane oczy trofeów myśliwskich. Skórzane meble z Adirondack, rozstawione na ręcznie tkanych dywanach otaczały wysoki kominek. Tremont obszedł ogień trzaskający w kominku i wyszedł do holu, gdzie rozchodził się zapach pieczonych w kuchni ciastek.

Z drugiej strony rezydencji wyszedł na chłodne wieczorne powietrze. Śmigłowiec Bell S-92

C Helibus lądował właśnie w odległości stu metrów.

Wysiedli z niego czterej mężczyźni. Mogli mieć po czterdzieści pięć, pięćdziesiąt parę lat —

tak jak Tremont. W przeciwieństwie do Tremonta, noszącego luźne, szyte na miarę spodnie, szarą sportową koszulę, kurtkę z goreteksu i zawieszony na plecach kapelusz safari z szerokim rondem, ubrani byli w drogie, doskonale skrojone garnitury, symbol eleganckich, wytwornych przedstawicieli uprzywilejowanej klasy.

Wirniki z helikoptera hałasowały nadal. Tremont witał przybyłych szerokim uśmiechem i energicznym, przyjacielskim uściśnięciem dłoni. Ze śmigłowca wyskoczył pilot, żeby wylądować bagaże. Tremont zaprosił gości gestem do rezydencji i poprowadził za sobą.

Kilka chwil po tym, gdy Helibus zniknął w mroku wieczornego nieba, do lądowania podszedł mniejszy 206B-3 JetRanger III. Dwaj mężczyźni, którzy z niego wyskoczyli, różnili się bardzo od pasażerów pierwszego helikoptera. Mieli na sobie zwykłe, gotowe garnitury, za którymi nikt by się nie obejrzał. Pierwszy z nich, wysoki, śniady, w granatowym garniturze, miał

dziobatą twarz o ciężkich powiekach i zakrzywionym jak bułat, ostrym nosie. Drugi, o okrągłej twarzy, nijakim wyglądzie, szerokich barach i cienkich brązowych włosach, nosił szary garnitur.

Żaden z nich nie miał bagażu. Ale nie tylko proste ubrania i brak walizek różniły ich od tamtych. Coś w sposobie, w jaki się poruszali... jakaś oswojona drapieżność, sprawiały, że każdy, kto zna się na tych sprawach, poczułby grożące niebezpieczeństwo.

Obydwaj ze schyłonymi głowami przeszli pod obracającym się śmigłem JetRangera i ruszyli za pozostałymi w stronę domu.

Victor Tremont nie obejrzał się ani razu, ale czterej pasażerowie pierwszego helikoptera zauważyli przybyszy i patrzyli po sobie niespokojnie, jakby już skądś ich znali.

Nadal al-Hassan i Bili Griffin nie zwracali uwagi ani na obojętność Tremonta, ani na zaniepokojenie pozostałej czwórki. W milczeniu omiętli czujnym wzrokiem okolicę i weszli do rezydencji innymi drzwiami.

Przy długim stole bankietowym Victor Tremont i jego czterej goście spożywali posiłek, który mógłby mieć miejsce w Walhalli — dzika kaczka nadziewana grzybami shitake, gotowany pstrąg z jeziora, dziczyzna upolowana przez samego Tremonta, duszona endywia, ziemniaki dauphin i sos reński. Zarumienieni i syci zasiedli potem w miękkich fotelach w przestronnym salonie.

Przyszedł czas na koniak, Remy Martin Cordon Bleu, i kubańskie cygara, produkowane specjalnie dla Tremonta. Kiedy już usadowili się wokół paleniska, Tremont dokończył

sprawozdanie na temat projektu, który przez ostatnie dwanaście lat angażował ich wyobraźnię, nadzieje i czas.

— ...zawsze sądziliśmy, że mutacja wystąpi u amerykańskich obywateli rok później niż u obcokrajowców. Kwestia ogólnego stanu zdrowia, żywienia, sprawności fizycznej i genetyki.

Cóż...

Zrobił dramatyczną przerwę, chciał też przyjrzeć się twarzom zebranych. Byli z nim od chwili, gdy wszystko się zaczęło rok po jego powrocie z Peru z nieznanym wirusem i małą krwią. Pierwszy z prawej siedział George Hyem. Wysoki i rumiany, był wówczas młodym księgowym, który od razu dostrzegł finansowe możliwości projektu. Teraz zajmował stanowisko głównego księgowego u Blancharda, przy czym faktycznie pracował dla Tremonta. Obok niego siedział Xavier Becker, ostatnio przybierający na wadze geniusz komputerowy, który skrócił

badania nad wirusem i szczepionką o pięć lat. Naprzeciwko rozsiadł się Adam Cain, wybitny specjalista w dziedzinie wirusologii, który po zapoznaniu się z liczbami przedstawionymi przez George'a, związał swoją przyszłość z Tremontem i firmą Blanchard, opuszczając Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych. Udało mu się wyizolować zmutowanego wirusa i utrzymać go w stanie stabilnym przez tydzień. Na prawo od Beckera siedział szef ochrony Blancharda, Jack McGraw, który od

samego początku osłaniał wszystkim tyłki.

Czterej tajni partnerzy z niecierpliwością czekali na owoce swojej pracy.

Tremont przedłużył przerwę jeszcze o jedną chwilę.

— Wirus wypłynął w Stanach. Wkrótce pojawi się na całym świecie. Państwo po państwie.

Epidemia. Prasa jeszcze o nim nie wie, ale to tylko kwestia czasu. Nic ich nie powstrzyma.

Wirusa też nie. Rządy będą miały tylko jedno wyjście: zapłacić naszą cenę.

Becker roześmiał się. Pozostali trzej też uśmiechali się szeroko. Ich oczy zamieniły się w błyszczące monety, ale było w nich coś jeszcze: triumf, duma, oczekiwanie i zapal. Każdy z nich miał na koncie sukcesy zawodowe. Teraz przyszedł czas na sukces finansowy, będą nieprzyzwoicie bogaci, osiągną szczyt "amerykańskiego marzenia".

— George? — Tremont oddał głos księgowemu.

Jego twarz gwałtownie zmieniła wyraz. Wyglądał teraz na smutnego, przygnębionego.

— Symulacja zysków dla akcjonariuszy jest dostępna w każdej chwili. Zawahał się. —

Niestety, prognozy nie są tak optymistyczne, jak zakładaliśmy. Tylko jakieś pięć, najwyżej sześć... miliardów dolarów. I roześmiał się hałaśliwie z własnego żartu.

Xavier, surowym zmarszczeniem brwi wyrażając dezaprobatę dla braku powagi George'a, nie czekał, aż dojdzie do głosu.

— A co z tajnym audytem, który odkryłem?

— Jack twierdzi, że tylko Haldane widział jego wyniki — zapewnił ich Tremont — a Haldanem zajmę się przed dorocznym posiedzeniem rady. Co jeszcze, Xavier? — Mercer Haldane, o którym wspominał, był prezesem Blanchard Pharmaceuticals.

— Manipulując danymi komputerowymi, wykazałem, że pracowaliśmy nad serum przez dziesięć lat. Po uzyskaniu patentu bez przerwy ulepszaliśmy produkt i po zakończeniu ostatnich testów przedstawiliśmy lek do akceptacji przez Inspektorat Żywności i Leków. Dane komputerowe wykazują teraz, że wydaliśmy na badania astronomiczne sumy. W głosie Xaviera pobrzmiwało podniecenie.

— Podaż wynosi kilka milionów dawek i rośnie.

Cain roześmiał się.

— Nikt niczego nie podejrzewa. A jeśli nawet, to nikt nie znajdzie żadnych dowodów. Jack McGraw, szef ochrony, zatarł z zadowoleniem ręce.

— Czekamy tylko na twój sygnał! — zawołał George.

Tremont uśmiechnął się i podniósł rękę.

— Nie martwcie się, opracowałem szczegółowy plan działań. Wszystko zależy teraz od tego, jak szybko zorientują się, że mają do czynienia z epidemią. Przed posiedzeniem rady wezmę się za Haldane'a.

Mężczyźni popijali alkohol, a przyszłość z każdą sekundą wydawała się im jaśniejsza.

Tremont odstawił kieliszek. Zasepił się. Znow podniósł rękę, żeby ich uciszyć.

— Niestety, jest pewien problem, który może stworzyć większe zagrożenie niż audyt. Jak duże jest to niebezpieczeństwo i czy w ogóle nam grozi, tego jeszcze nie wiem. Podjąłem pewne kroki zaradcze. Ale nie martwcie się, wszystko jest pod kontrolą i problem zostanie pomyślnie rozwiązany.

Jack McGraw nachmurzył się.

— Jaki to problem, Victorze? Czemu nic o tym nie wiem?

Tremont spojrzał na niego przenikliwie.

— Bo nie chcę, żeby Blanchard był choćby w najmniejszym stopniu zamieszany w tę sprawę. Spodziewał się tego, że Jack będzie chciał zmonopolizować sprawy bezpieczeństwa, ale to on podejmował decyzje. — To po prostu jedno z tych zdarzeń, których nie można przewidzieć.

Podczas wyprawy do Peru, kiedy odkryłem wirusa i potencjalną szczepionkę, spotkałem grupę studentów na praktykach antropologicznych. Poza wymianą zwykłych uprzejmości nie rozmawialiśmy, interesowały nas różne dziedziny. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Trzy dni temu zadzwoniła do mnie jedna z tych studentek. Kiedy się przedstawiła, z trudem przypominałem sobie dziewczynę, którą bardzo ciekawiła moja praca. Została biologiem molekularnym. Teraz jest pracownikiem Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych, który bada pierwsze przypadki zgonów. Jak przypuszczaliśmy, nie udało im się rozpoznać wirusa.

Niezwykłe zestawienie objawów choroby sprawiło jednak, że przypomniła sobie o wyprawie do Peru sprzed lat. Pamiętała moje nazwisko i zadzwoniła do mnie.

— Chryste! — rumiana zwykle twarz George'a pobladała.

— Skojarzyła wirus z tobą? — jęknął Jack McGraw.

— Z nami! — wybuchnął Xavier.

Tremont wzruszył ramionami.

— Wszystkiemu zaprzeczyłem. Przekonałem ją, że się myli, że nie było takiego wirusa. Ale nie mogliśmy ryzykować, więc wysłałem Nadala al-Hassana i jego ludzi, żeby ją zlikwidowali.

W olbrzymim salonie nastąpiło ogólne rozluźnienie. Napięcie zelżało i wszyscy odetchnęli z ulgą.

Nie po to pracowali ciężko ponad dziesięć lat, stawiając wszystko na jedną kartę, żeby teraz stracić fortunę, która znajdowała się niemal w zasięgu ręki.

— Niestety — mówił dalej Tremont — nie udało się wyeliminować jej narzeczonego i współpracownika. Uciekł nam, a niewykluczone, że coś mu powiedziała przed śmiercią.

Jack McGraw wreszcie zrozumiał.

— Dlatego wezwałeś al-Hassana. Wiedziałem, że coś się święci.

Tremont pokręcił głową.

— Nie wyolbrzymiaj sprawy. Wezwałem go, żeby zrelacjonował ostatnie wydarzenia. Ja mam najwięcej do stracenia, ale siedzimy w tym wszyscy.

Cisza, która wkrótce zapadła w pokoju, była głośniejsza od poprzedniego hałasu.

Przerwał ją Xavier.

— Dobrze. Zobaczmy, co ma do powiedzenia.

Ogień przygasł, węgle jarzyły się jeszcze i błyskało kilka jasnych płomyków. Tremont podszedł do kamiennego kominka. Nacisnął przycisk na rzeźbionym obramowaniu. Do przestronnego pokoju wkroczył najpierw Nadal al-Hassan, a za nim Bili Griffin. Al-Hassan podszedł do Tremonta stojącego przy kominku, Griffin pozostał skromnie w głębi salonu.

Al-Hassan opowiedział o telefonicznej rozmowie Sophii Russell z Tremontem, o jej śmierci i usunięciu wszelkich śladów, które mogłyby skojarzyć wirus z programem Hades. Opisał reakcje Jonathana Smitha, szantaż na Lily Loewenstein i wykasowanie wszystkich elektronicznych dowodów.

— Nie pozostało nic, co łączyłoby nas ze śmiercią Russell lub z wirusem. Pod warunkiem — dodał na zakończenie al-Hassan — że pułkownik Smith niczego nie podejrzewa.

— To cholernie niebezpieczna niewiadoma — warknął Jack McGraw.

— Też tak sędzę — zgodził się al-Hassan. — Coś podpowiedziało Smithowi, że śmierć doktor Russel nie była przypadkowa. Prowadzi na własną rękę energiczne dochodzenie, zaniedbując prace nad wirusem.

— Może nas znaleźć? — zapytał nerwowo księgowy.

— Można znaleźć wszystko, jeśli się szuka odpowiednio długo i sumiennie. Dlatego uważam, że powinniśmy go zlikwidować.

Victor Tremont spojrział w głąb pokoju.

— Griffin, ty się z tym nie zgadzasz?

Wszyscy odwrócili głowy, żeby popatrzeć na byłego agenta FBI, który stał z tyłu oparty o ścianę. Bill myślał o Jonie. Zrobił wszystko, żeby ostrzec przyjaciela. Wykorzystując stare powiązania z FBI, dowiedział się, że Jon wyjechał służbowo, a potem krok po kroku —

zdobywał kolejne informacje: na jaką konferencję go wysłano i gdzie się zatrzymał w Londynie.

Kiedy więc zobaczył wpatrującą się w niego piątkę, zrobił to, co musiał zrobić, żeby się nie narazić, próbując jednocześnie oddalić niebezpieczeństwo od Jona. Wzruszył obojętnie ramionami.

— Smith z takim zapałem próbował dowiedzieć się, co naprawdę przytrafiło się doktor Russell, że chyba nie powiedziała mu ani o Peru, ani o nas. Inaczej pukałby już do drzwi pana Tremonta, żeby z nim porozmawiać. Tymczasem nasza wtyczka w Instytucie twierdzi, że Smith przestał się interesować okolicznościami śmierci narzeczonej i powrócił do badań zespołu. Jutro wylatuje do Kalifornii, żeby przeprowadzić rutynowe rozmowy z rodziną i przyjaciółmi majora Andersona.

Tremont pokiwał głową w zamyśleniu.

— Al-Hassan?

— Według naszej wtyczki w Detrick generał Kielburger kazał Smithowi polecieć do Kalifornii, ale on odmówił. Dopiero później zgłosił się na ochotnika, a to już zupełnie inna sprawa. Uważam, że będzie szukał w Kalifornii potwierdzenia tego, co już podejrzewa.

— Jest lekarzem, więc uczestniczył w sekcji zwłok powiedział Griffin. Ale niczego nie znaleźli. Nic podejrzanego. Już ty się o to postarałeś.

— Nie wiemy, co odkrył podczas sekcji — odparł al-Hassan.

Griffin skrzywił się.

— No to zabij go. Rozwiążemy problem. Ale z każdym kolejnym morderstwem sprawa będzie budziła coraz większe podejrzenia, szczególnie gdy zginie narzeczoną i współpracownik doktor Russell. A już na pewno, jeśli powiedział generałowi Kielburgerowi o tym, co się stało w Waszyngtonie.

— Będziemy żałować, że długo zwlekaliśmy — al-Hassan upierał się przy swoim.

Cisza w salonie była tak głęboka, że mogłaby pochłonąć całą rezydencję. Spiskowcy spoglądali po sobie, a potem utkwili pełne obaw spojrzenia w swym arystokratycznym przywódcy.

Tremont chodził powoli tam i z powrotem przed kominkiem, marszcząc w zamyśleniu czoło.

Wreszcie podjął decyzję.

— Griffin ma chyba rację. Nie możemy sobie pozwolić na kolejne morderstwo w Detrick.

Znów spojrzeli po sobie. Tym razem pokiwali głowami.

Nadal al-Hassan obserwował to milczące głosowanie. Przeniósł wzrok na Billa Griffina, ledwie widocznego w mroku salonu.

— No dobrze — uśmiechnął się Tremont — sprawa załatwiona. Pora spać. Czeka nas pracowity dzień, mamy podjąć ostatnie ustalenia. Kiedy wychodzili z okazałego salonu, Tremont każdemu serdecznie uściśnął dłoń, wspaniały gospodarz i przywódca.

Al-Hassan i Griffin wychodzili jako ostatni.

Tremont przywołał ich ruchem ręki.

— Nie wolno wam spuścić Smitha z oka. Macie wiedzieć wszystko, łącznie z tym, kiedy, gdzie i jaką maszynką się goli. Spojrzał na rozjarzone węgle, jakby chciał wyczytać z nich przyszłość. Nagle podniósł głowę. Al-Hassan i Griffin właśnie zamierzali wyjść, ale zatrzymał

ich.

Kiedy podeszli bliżej, odezwał się ściszym, surowym głosem.

— Proszę mnie dobrze zrozumieć. Jeśli doktor Smith okaże się kłopotliwy, musimy się go pozbyć. Życie to balansowanie między ryzykiem i bezpieczeństwem, między zwycięstwem i porażką. Niewykluczone, że powstrzymując go przed wyjawieniem okoliczności śmierci doktor Russel, zyskamy dużo więcej, niż byśmy stracili przez kilka wścibskich pytań, dotyczących zgonów dwójga naukowców.

— Chyba że naprawdę przestał węszyć.

Tremont wbił przenikliwy wzrok w Billa Griffina.

— Chyba. To twoje zadanie, żeby się dowiedzieć, Griffin. W jego głosie zadźwięczał zimny, ostrzegawczy ton. — I nie rozczaruj mnie.

Rozdział 12

10.12, środa, 15 października

Fort Irwin, Barstow, Kalifornia

Samolot transportowy C-130 z bazy lotniczej Andrews wylądował na lotnisku zaopatrzeniowym pod

Victorville o dziesiątej dwanaście. Dzień był ciepły, ale wietrzny. Na lotnisku czekał na Smitha funkcjonariusz żandarmerii, sierżant Hunwee.

— Witamy w Kalifornii przywitał go. Otworzył przed nim drzwi wozu i odebrał torbę.

— Dziękuję, sierżancie. Do Irwin jedziemy samochodem?

— Nie, tylko do rejonu lądowania helikopterów. Czekają tam na pana śmigłowiec z Irwin.

Kierowca wrzucił bagaż Smitha na tylne siedzenie, wskoczył za kierownicę i ruszył przez płytę lotniska. Wielki bojowy wóz podskakiwał, przejeżdżając przez wyboje i koleiny, aż dotarł

do helikoptera sanitarnego z emblematem Jedenastego Pułku Kawalerii Pancерnej — stojącym dęba czarnym ogierem na czerwono-białym tle. Wirnik helikoptera już się obracał. Maszyna była gotowa do startu.

Spod długich łopat wyłonił się starszy mężczyzna ze złotym listkiem majora i medycznym kaduceuszem na mundurze. Wyciągnął rękę.

— Doktor Max Behrens — krzyknął. — Ze szpitala wojskowego w Weed.

Torbę Smitha załadowano do środka i obydwaj wsiedli do rozedrganego helikoptera sanitarnego. Maszyna wystartowała i przechyliła się przy ostrym zakręcie nisko nad pustynią.

Smith patrzył w dół, przelatywali nad dwupasmowymi szosami i budynkami małych miast.

Wkrótce potem polecieeli nad szeroką, czteropasmową autostradą międzystanową numer 15.

Doktor Behrens przysunął się do Smitha i próbował przekrzyczeć wiatr i hałas.

— Prowadziliśmy ścisłą obserwację wszystkich jednostek w bazie i nie wykryliśmy żadnych nowych przypadków wirusa.

— Pani Andersen i inni są zawiadomieni? — zawołał głośno Smith.

— Tak jest. Rodzina, przyjaciele, wszyscy są do pańskiej dyspozycji. Pułkownik z OPFOR-u powiedział, że mamy spełnić wszelkie pańskie życzenia i sam chętnie się z panem spotka, jeśli uzna pan to za konieczne.

— Z OPFOR-u?

Behrens uśmiechnął się szeroko.

— Przepraszam, zapomniałem, że od dawna siedzi pan w Detrick. Tak nazywa się naszą misję — Siły Nieprzyjaciela. Zadaniem "jedenastej pancерnej" jest odgrywanie roli wroga przed wszystkimi pułkami i brygadami, które przechodzą tutaj szkolenie. Nieźle dajemy im w kość. Dla nas to dobra zabawa, a oni dzięki temu stają się lepszymi żołnierzami.

Helikopter skręcił znad czteropasmowej autostrady i poleciał w głąb skalistej pustyni.

Wreszcie Smith dostrzegł w dole szosę, napis "WITAMY", a na szczycie wzgórza kopczyk z wymalowanymi kolorowymi emblematami jednostek, które stacjonowały lub przejeżdżały przez Fort Irwin w ostatnich latach.

Lecieli dalej nad kolumnami szybkich pojazdów, które wzbijały tumany kurzu. Smith ze zdziwieniem zauważył, że zmodyfikowane amerykańskie pojazdy przypominają wozy bojowe rosyjskiej piechoty zmotoryzowanej BMP-2 i BRDM-2 oraz czołgi T-80 z dywizji pancernych.

Śmigłowiec przeleciał nad głównym posterunkiem i osiadł na pustynnym podłożu w chmurze pyłu. Na Jona czekał komitet powitalny, który uświadomił mu, po co tutaj przyleciał.

Phyllis Anderson była wysoką tęgawą kobietą, jakby jadała zbyt często w zbyt wielu bazach.

Siedzieli na paczkach w cichym salonie ładnego domu. Na pełnej twarzy malował się smutek.

Przestraszone oczy Smith widział u wielu stosunkowo młodych wojskowych wdów. Co teraz pocnie? Od ślubu żyli na walizkach, przemieszczali się z jednego obozu do drugiego, z jednej bazy do drugiej, mieszkali w tymczasowych kwaterach. Teraz nie było takiego miejsca, które mogłaby nazwać domem.

— Dzieci? powtórzyła, odpowiadając na pytanie Smitha. — Wysłałam je do moich rodziców. Są za małe, żeby się temu przyglądać. Zerknęła na spakowane rzeczy. — Za kilka dni do nich dołączę. Musimy znaleźć jakiś dom. To małe miasteczko. Niedaleko Erie w Pensylwanii.

Muszę znaleźć pracę. Nie wiem tylko, jaką...

Zamilkła. Smith czuł, że zachowuje się brutalnie, wracając do głównego tematu.

— Czy major chorował przedtem?

Kiwnęła głową.

— Miewał czasem wysoką gorączkę. Trzymała go kilka godzin i przechodziła. Raz gorączkował całą dobę. Lekarze byli zaniepokojeni, ale nie znaleźli przyczyny, a on zawsze wracał do zdrowia bez żadnego problemu. Kilka tygodni temu zaczęło się u niego ciężkie przeziębienie. Chciałam, żeby wziął kilka dni wolnego, a przynajmniej nie wychodził na szkolenie, ale Keith nie chciał o tym słyszeć. Mówił, że wojen i bitew nie przerywa się z powodu przeziębienia. Pułkownik twierdzi, że Keith może przetrzymać każdego w terenie. Spuściła wzrok na pogniecioną chusteczkę, którą międlila w rękach. — Mógł.

— Przypomina pani sobie coś, co może mieć jakiś związek z wirusem, który go zabił?

Na dźwięk tego słowa wzdrygnęła się, ale nie mógł inaczej zadać pytania.

— Nie. Podniosła wzrok. Krył się w nich ten sam ból, który odczuwał i on. Musiał bardzo się starać,

żeby nie dostrzegła go w jego oczach. — Tak szybko było po wszystkim — ciągnęła. —

Wydawało mi się, że przeziębienie ustępuje. Uciał sobie długą popołudniową drzemkę. A kiedy się obudził, był już umierający. Zagryzła dolną wargę, żeby stłumić szloch.

Smith poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

— Tak mi przykro. Wiem, jak jest pani ciężko.

— Czyżby?

W jej głosie brzmiał smutek, ale i powątpiewanie. Obydwoje wiedzieli, że nie można wskrzesić jej męża, ale może jest magiczny lek, który ukoji nieznośny, przejmujący ból, przesywający każdą komórkę jej ciała?

— Tak — odpowiedział cicho. — Wirus zabił też moją narzeczoną.

Popatrzyła na niego wstrząśnięta. Dwie łzy spłynęły równo po policzkach.

— To straszne, prawda?

Odchrząknął. Palilo go w piersiach i miał wrażenie, jakby w żołądku obracała się zawartość betoniarki.

— Straszne — zgodził się. — Możemy kontynuować? Chcę dowiedzieć się jak najwięcej o tym wirusie, żeby powstrzymać epidemię.

W głębi ducha pozostała żoną żołnierza, dla której działanie jest pociechą.

— Co jeszcze chce pan wiedzieć?

— Czy major Andersen był ostatnio w Atlancie lub w Bostonie?

— W Bostonie nie był chyba nigdy, a Atlanty nie odwiedzaliśmy całe lata, odkąd wyjechaliśmy z Bragg.

— Gdzie jeszcze służył major oprócz bazy w Bragg?

— A więc... Wyrecytowała nazwy baz położonych od Kentucky do Kalifornii. — No i oczywiście w Niemczech. Keith stacjonował z "trzecią pancerną".

— Kiedy to było?

Gorączka krwotoczna Marburg, bliska kuzynka Eboli, została odkryta właśnie w Niemczech.

— Od osiemdziesiątego dziewiątego do dziewięćdziesiątego pierwszego.

— Z "trzecią pancerną"? Więc później brał udział w "Pustynnej Burzy"?

— Tak.

— Był jeszcze gdzieś za granicą?

— W Somali.

Właśnie tam Smith po raz pierwszy zetknął się z chorobą Lassa. Była to niewielka operacja, ale przecież nie wiedział wszystkiego, co się tam wydarzyło. Nieznany wirus mógł czaić się głęboko w dżungli, na pustyni lub w górach tego nieszczęsnego kontynentu.

Naciskał dalej.

— Rozmawialiście o Somali? Chorował tam? Choćby krótko? Na jedną z tych nagłych gorączek, które szybko przechodziły? Miał bóle głowy?

Pokręciła głową.

— Nic takiego nie pamiętam.

— A podczas "Pustynnej Burzy"?

— Nie.

— Był narażony na działanie broni chemicznej lub biologicznej nieprzyjaciela?

— Nie sędzę. Ale kiedyś powiedział, że wysłano go do szpitala polowego z niewielką raną.

Lekarze twierdzili, że szpital może być zaatakowany bronią biologiczną. Zaszczepili wszystkich po kolei.

Smith poczuł ucisk w żołądku, ale starał się, żeby głos nie wyrażał niczego.

— Majora też? Uśmiechnęła się blado.

— Powiedział, że była to najgorsza szczepionka w jego życiu. Naprawdę bolało.

— Nie pamięta pani przypadkiem numeru tego szpitala?

— Przykro mi, ale nie.

Wkrótce potem zakończył przesłuchanie. Stanęli w cieniu na ganku, rozmawiając o błażostkach. Znajdowali ukojenie w zwykłych czynnościach dnia codziennego.

— Pan jest ostatni, pułkowniku? — zapytała go zmęczonym głosem, gdy schodził z ganku.

— Powiedziałam już chyba wszystko. Smith odwrócił się.

— Ktoś jeszcze wypytywał o majora?

— Major Behrens ze szpitala w Weed, pułkownik, patolog z Los Angeles i ci straszni lekarze federalni, którzy zadzwonili w sobotę i zadawali te straszne pytania: jakie miał symptomy, jak długo żył, jak wyglądał w...

Zadrzała.

— W sobotę? Smith zdziwił się. Jaki lekarz federalny dzwoni w sobotę? W Detrick i Centrum Kontroli zaledwie rozpoczęto badania nad wirusem. — Powiedzieli, dla kogo pracują?

— Nie, powiedzieli, że są lekarzami federalnymi.

Podziękował jeszcze raz i odszedł. W oślepiającym słońcu i silnym pustynnym wietrze szedł

na następną rozmowę. Zastanawiał się nad tym, czego się dowiedział. Może major Anderson zaraził się wirusem w Iraku — albo tam go zainfekowano i przez następne dziesięć lat wirus był

uśpiony, nie licząc niewyjaśnionych łagodnych gorączek. W końcu zaatakował, wywołując najpierw objawy zwykłego przeziębienia, a potem... śmierć.

Nie znał żadnego wirusa, który tak się zachowywał. Ale przecież nie znano wirusa, który zachowywałby się jak HIV-AIDS, dopóki choroba nie eksplodowała z serca Afryki i zalała cały świat.

I kim byli ci "lekarze federalni", którzy zadzwonili do Phyllis Anderson, zanim ktokolwiek spoza Centrum Kontroli i Instytutu wiedział o istnieniu nowego wirusa?

20.22, Adirondack Park, Nowy Jork

Kongresman Benjamin Sloat potarł dłonią łysiejącą głowę i pociągnął kolejny łyk whisky Victora Tremonta. Siedzieli w ciemnym pokoju, z którego roztaczał się widok na taras i trawnik.

Gdy rozmawiali, na taras weszła wielkooka sarna, jakby była tu gospodynią. Victor Tremont uśmiechnął się. Kongresman Sloat już dawno temu pogodził się z faktem, że nigdy nie zrozumie Tremonta, zresztą nie było takiej potrzeby. Tremont zapewniał mu kontakty, fundusze na kampanię i znaczną porcję udziałów w Blanchard Pharmaceuticals — kombinacja nie do pobicia w czasach zdominowanych przez pieniądze i politykę.

— Cholera jasna, Victor — narzekał kongresman czemu nie dałeś mi znać wcześniej?

Mogłem powstrzymać Smitha. Wysłać jego i tę jego kobietę za granicę. Nie musielibyśmy teraz tuszować morderstwa, a ten cholerny detektyw nie myszkowałby nam w szafie.

Tremont poruszył cygarem ze swego fotela.

— Jej telefon tak mnie zaszokował, że myślałem tylko o jednym: jak się jej pozbyć. Dopiero teraz wiemy, że była o krok od prawdy. Ona i ten Smith.

Sloat popijał whisky ze skwaszoną miną.

— Czy nie możemy go po prostu zlekceważyć? Do licha, ta kobieta zostanie wkrótce pochowana i zapomniana, i wygląda na to, że Smith nie wywęszył za dużo. Może wszystko rozejdzie się po kościach.

— Chcesz ryzykować? — Tremont przyglądał się spoconemu przewodniczącemu komisji do spraw sił zbrojnych.

— Wkrótce na całym świecie rozpęta się prawdziwe piekło, a my będziemy tymi, którzy przybędą na ratunek. Chyba że ktoś natknie się na coś kompromitującego i nas zdemaskuje.

Z mroku najdalszego z kątów odezwał się Nadal al-Hassan.

— Doktor Smith przebywa teraz w Fort Irwin. Może dowiedzieć się o naszych "lekarzach federalnych".

Tremont zapatrzył się w gruby popiół cygara.

— Smith zaszedł już bardzo daleko. Nie tak daleko, żeby nam zaszkodzić, ale wystarczająco blisko, aby go obserwować. Jeśli podejdzie za blisko, Nadal zlikwiduje go i dopilnuje, żeby nie powiązano jego śmierci z nami ani ze śmiercią Sophii Russell. To będzie coś innego. Na przykład tragiczny wypadek, prawda, Nadal?

— Samobójstwo — zaproponował Arab. — Na pewno rozpacza po stracie narzeczonej.

— Nieźle, jeśli dobrze wszystko zaaranżujesz zgodził się Tremont. Tymczasem trzeba mu uniemożliwić dochodzenie. Zatrzymać w laboratorium. Przenieść gdzieś. Cokolwiek.

— Zadzwoń do generała Salonena. On będzie wiedział, z kim się skontaktować —

postanowił Sloat. — Przecież sprawa wirusa musi być trzymana w tajemnicy. Należy działać z najwyższą ostrożnością. Smith jest tylko lekarzem, amatorem, a śledztwo to robota dla zawodowców.

— Właśnie.

Sloat dopił whisky, cmoknął, pokiwał głową z uznaniem i wstał.

— Natychmiast zadzwonię do Salonena. Ale nie stąd. Skorzystam z budki telefonicznej w Long Lake.

Po wyjściu kongresmana Tremont nadal palił cygaro. Odezwał się, nie patrząc na Nadala al-Hassana.

— Powinniśmy wyeliminować Smitha. To ty masz rację, nie Griffin.

— Być może. A może ze swojego punktu widzenia miał rację.

Tremont odwrócił się.

— Jak to?

— Zastanawiałem się, dlaczego doktor Smith od razu był czujny wobec naszych ataków. Co robił w parku tak późno w nocy z dala od domu w Thurmont? Dlaczego od razu zaczął

podejrzewać morderstwo?

Tremont przyglądał się Arabowi.

— Myślisz, że Griffin go ostrzegł? Dlaczego? Jeśli zostaniemy zdemaskowani, Griffin straci tyle samo, co reszta. Zamyślił się. — Chyba że nadal pracuje dla FBI?

— Nie, sprawdziłem to. Griffin jest niezależny, to pewne. Ale może w przeszłości miał jakieś związki z doktorem Smithem. Moi ludzie badają tę sprawę.

Zasepiona twarz Victora Tremonta rozpogodziła się nagle.

— Jest pewne rozwiązanie powiedział. Eleganckie rozwiązanie. Badajcie nadal ich przeszłość, ale jednocześnie powiadom swojego partnera, pana Griffina, że zmieniłem zdanie.

Chcę, żeby osobiście odnalazł Smitha... i zlikwidował go. Tak, żeby szybko go sprzątnął.

Pokiwał głową i się uśmiechnął. — W ten sposób przekonamy się, wobec kogo jest lojalny pan Griffin.

Rozdział 13

9.14, czwartek, 16 października

Wojskowy Instytut Chorób Zakaźnych,

Fort Detrick, Maryland

Reszta wczorajszych rozmów w Fort Irwin nie wniosła nic nowego. Wszystkiego już wcześniej dowiedział się od Phyllis Anderson. Po ostatnim spotkaniu odleciał z Victorville i po starcie zapadł w niespokojny sen. Wylądowali w Andrews, a potem pojechał prosto do Fort Detrick. Nie zauważył żadnych podejrzanych samochodów, które śledziłyby go lub czekały na niego w Detrick. Raporty o wywiadach z rodzinami i przyjaciółmi pozostałych ofiar już nadeszły.

Przeczytał, że bezdomny z Bostonu i nieżyjący ojciec zmarłej dziewczyny z Atlanty również służyli w wojsku podczas wojny w Zatoce. Zbadał przebieg służby wszystkich trzech.

Sierżant Harold Pickett walczył podczas operacji "Pustynna Burza" w 1-502 batalionie piechoty Drugiej Brygady Sto Pierwszej Dywizji Desantowo-Szturmowej. Był ranny i leczony w szpitalu polowym numer sto sześćdziesiąt siedem. Technik czwartej grupy Mario Dublin był

sanitariuszem w szpitalu polowym numer sto sześćdziesiąt siedem. Żadne dokumenty nie ujawniały, czy porucznik Keith Anderson trafił do tego samego szpitala, lecz jednostki "trzeciej pancerniej" stacjonowały w pobliżu, na granicy iracko-kuwejckiej.

Jeszcze raz sięgnął po telefon. Zadzwoił do Atlanty.

— Pani Pickett? Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Mówi podpułkownik Jonathan Smith z Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych. Czy mogę zadać pani kilka pytań?

Kobieta była bliska hysterii.

— Znowu? Błagam, pułkowniku. Ludzie, czy wy...

Smith nie przestawał naciskać.

— Wiem, że jest pani bardzo ciężko, pani Pickett, ale nie chcemy dopuścić, żeby inne młode dziewczyny, takie jak pani córka, zginęły w ten sam sposób.

— Błagam...

— Dwa pytania.

Cisza przedłużała się. Smith pomyślał, że jego rozmówczyni po prostu odeszła od telefonu.

Ale po chwili znów usłyszał cichy i apatyczny głos.

— Proszę.

— Czy córka miała kiedyś transfuzję krwi i czy dawcą był pani mąż?

Teraz za ciszą krył się strach.

— Skąd... skąd pan wie?

— Musiało być coś takiego. Ostatnie pytanie: czy w sobotę dzwoniли do pani "lekarze federalni" i wypytywali o sprawy związane ze śmiercią córki?

Wyobraził sobie, jak kiwa głową.

— Oczywiście. Byłam wstrząśnięta. To jacyś szakale. Rzuciłam słuchawką.

— Powiedzieli tylko, że są "lekarzami federalnymi", nic więcej?

— Tak. I mam nadzieję, że wylejecie ich wszystkich.

Rozmowa była krótka, ale miał to, czego szukał.

Wszyscy trzej żołnierze niemal na pewno zostali zaszczepieni przeciw "ewentualnemu zakażeniu w wojnie bakteriologicznej" w tym samym szpitalu polowym przy granicy iracko-kuwejckiej dziesięć lat temu.

Wybrał numer wewnętrzny do generała Kielburgera, żeby podzielić się z nim wnioskami.

— "Pustynna Burza" Kielburger niemal pisał z niepokoju. Jest pan pewien?

— Całkowicie? Niczego nie jestem teraz pewien tak, jak tego.

— Do licha! Po tych wszystkich aferach medycznych i sprawach sądowych związanych z wojną w Zatoce, ci z Pentagonu chyba wybuchną. Proszę z nikim o tym nie rozmawiać, dopóki wszystkiego nie sprawdzę. Ani słowa. Zrozumiano?

Smith odłożył słuchawkę z obrzydzeniem. Polityka!

Poszedł na lunch, żeby zastanowić się, co dalej, i postanowił, że teraz musi namierzyć

"federalnych lekarzy". Ktoś kazał im przeprowadzić te rozmowy, ale kto?

Po czterech długich godzinach bezowocnych poszukiwań to Smith był bliski wybuchu, kiedy powtarzał do słuchawki:

— ...tak, chodzi o lekarzy, którzy dzwonili do Fort Irwin w Kalifornii, do Atlanty i prawdopodobnie do Bostonu. Wypytywali brutalnie o okoliczności śmierci ofiar wirusa. Rodziny są oburzone, a ja też zaczynam się wkurzać!

— Wykonuję tylko swoją pracę, doktorze Smith. W głosie kobiety po drugiej stronie linii zabrzmiało zniecierpliwienie. — Nasza szefowa zginęła wczoraj w wypadku i mamy tu prawdziwy kocioł. Proszę jeszcze raz podać nazwisko i miejsce zatrudnienia.

Wciągnął głęboko powietrze.

— Podpułkownik Jonathan Smith. Z Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych w Fort Detrick.

Zapadła cisza. Pewnie zapisywała jego dane. Odezwała się wreszcie.

— Proszę chwilę zaczekać.

Gotowało się w nim. Od kilku godzin spotykał się z tą samą biurokratyczną drobiazgowością. Tylko Centrum Kontroli potwierdziło, że nie dzwoniło do rodzin ofiar. Biuro lekarza naczelnego kazało mu złożyć prośbę na piśmie. Liczne oddziały Narodowych Instytutów Zdrowia odsyłały go do ogólnodostępnych źródeł, a jeden z rozmówców wyznał, że otrzymał

zakaz jakichkolwiek rozmów na temat zgonów. Nie pomogło tłumaczenie, że to właśnie on prowadzi badania. Nic nie wskórał.

Kiedy odprawiono go z kwitkiem z ministerstw marynarki, lotnictwa oraz zdrowia i opieki społecznej, doszedł do wniosku, że ma do czynienia z celową obstrukcją. Ostatnie nadzieje wiązał z Federalnym Archiwum Dokumentów Medycznych w Narodowych Instytutach Zdrowia.

Wszelkie inne możliwości zostały wyczerpane.

— Wicedyrektor Aronson z FADM. W czym mogę pomóc, pułkowniku?

Starł się mówić spokojnie.

— Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać. Podobno jakiś zespół lekarzy federalnych zainteresował się wirusem w Fort Irwin, w Atlancie, i...

— Marnuje pan tylko czas, pułkowniku. Wszystkie informacje o incydencie w Fort Irwin zostały utajnione. Musi pan zdobyć pozwolenie.

Smith wybuchnął wreszcie.

— Przecież to my pracujemy nad tym wirusem! Wszelkie informacje pochodzą z naszego Instytutu. Chcę tylko...

Usłyszał sygnał.

Co to do diabła znaczy? Wygląda na to, że jakiś idiota zablokował wszelkie informacje związane z wirusem. Nic się nie uzyska bez pozwolenia. Ale od kogo? I dlaczego?

Wybiegł na korytarz. Kipiąc ze złości, wpadł do biura Kielburgera, minął Melanie Curtis i wtargnął do jego gabinetu.

— Co się dzieje, generale? Usiłuję się dowiedzieć, z czyjego polecenia ci "lekarze federalni" zadzwonili do Fort Irwin i Atlanty. Wszędzie słyszę: "ściśle tajne" i nikt nie chce puścić pary z ust.

Kielburger rozsiadł się wygodnie w fotelu. Splótł grube palce na muskularnej klatce piersiowej.

— Nie prowadzimy już tej sprawy, Smith. Całe dochodzenie przeszło w inne ręce. Teraz my jesteśmy ściśle tajni. Robimy badania, a o ich wynikach informujemy lekarza naczelnego kraju, wywiad wojskowy i Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Kropka. Koniec dochodzenia.

— Ale tutaj my jesteśmy detektywami.

— Niech pan o tym przekona Pentagon.

A więc trzy godziny bezskutecznych prób zaczęły nabierać sensu. To nie była zwykła biurokracja. Za wiele instytucji wchodziło w grę. I to właśnie wydawało się nielogiczne. Nie odbiera się dochodzenia tym, którzy wiedzą, co jest grane. Na pewno nie w przypadku dochodzenia naukowego. Jeśli istniał jakiś zespół "lekarzy federalnych", nie było powodu, żeby trzymać ich działalność w tajemnicy przed nim i całym Instytutem.

Chyba że to nie byli lekarze federalni.

— Niech pan posłucha, generale. Moim zdaniem...

Generał przerwał mu, zirytowany.

— Słuch panu odjęło, pułkowniku? Nie rozumie pan rozkazów? Wycofujemy się. Sprawą śmierci doktor Russell zajmą się zawodowcy. Proponuję, żeby udał się pan do laboratorium i zajął wirusem.

Smith wciągnął głęboko powietrze. Teraz był już nie tylko wściekły, ale i przerażony.

— Coś mi tu nie gra. Albo ktoś bardzo wpływowy manipuluje wojskiem, albo samo wojsko coś kręci. Chcą przerwać dochodzenie. Chcą utajnić istnienie wirusa, a przez to może umrzeć cholernie dużo ludzi.

— Zwariował pan? Jest pan żołnierzem. I właśnie dostał pan rozkaz!

Smith patrzył na Kielburgera oczyma pełnymi wściekłości. Przez cały dzień tłumił rozpacz.

Odpędzał od siebie myśli o Sophii. Rozklejał się, gdy wzrok padał na coś, co do niej należało — ulubione pióro, zdjęcia na ścianie w gabinecie, buteleczkę perfum, którą trzymała na biurku. Miał ochotę upaść na kolana i wyć do nieuchwytnych morderców Sophii. I miał ochotę ich zabić.

— Odchodzę — burknął Smith. — Papiery dostanie pan jutro.

Teraz nerwy puściły Kielburgerowi.

— Nie może pan się zwolnić w samym środku tego cholernego przypadku! Postawię pana przed sądem wojskowym!

— Dobrze. W takim razie biorę nie wykorzystany miesiąc urlopu. Od jutra!

— Żadnego urlopu! Albo stawi się pan jutro w laboratorium, albo zamelduję o samowolnym oddaleniu!

Obydwaj mierzyli się wzrokiem nad biurkiem Kielburgera. W końcu Smith usiadł.

— Oni ją zamordowali, generale. Zabili Sophię.

— Zamordowali? — powtórzył z niedowierzaniem Kielburger. — Co za bzdury. Raport z sekcji zwłok był jasny. Zabił ją wirus.

— Owszem, zabił ją wirus, ale nie zaraziła się przez przypadek. Początkowo umknęło to naszej uwagi, a może zaczerwienienie pokazało się dopiero po kilku godzinach. W każdym razie kiedy dokonaliśmy oględzin po raz drugi, zauważyliśmy ślad po igle na kostce. Wstrzyknęli jej wirusa.

— Ślad po igle na kostce? — Kielburger zmarszczył czoło. Jest pan pewien, że to nie...

Oczy Smitha wyglądały jak dwa granatowe agaty.

— Jedynym powodem iniekcji mogło być umyślne zakażenie jej wirusem.

— Na litość boską, Smith, dlaczego? To nie ma sensu.

— Owszem, ma, jeśli weźmiemy pod uwagę kartkę wyciętą z dziennika. Wiedziała lub podejrzewała coś, czego nie chcieli ujawnić. Pozbyli się jej notatek, ukradli spis rozmów telefonicznych, a ją zamordowali.

— Kto?

— Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

— Smith, jest pan zdenerwowany. Rozumiem to. Ale mamy do czynienia z nowym niebezpiecznym wirusem. Może wybuchnąć epidemia.

— Nie jestem wcale pewien. Odnotowaliśmy trzy odosobnione przypadki, które nie doprowadziły do dalszych zakażeń. Czy słyszał pan o epidemii wirusowej, która atakuje tylko jedną osobę w danej społeczności?

Kielburger zastanowił się nad pytaniem.

— Ja nie, ale...

— Ani nikt inny — zapewnił go Smith. Ciągłe odkrywamy nowe wirusy, natura cały czas nas czymś zaskakuje. Ale skoro ten wirus jest tak niebezpieczny, jak nam się wydaje, dlaczego w żadnym z trzech stanów nie zanotowano dalszych ofiar? W najlepszym razie oznacza to, że wirus nie jest bardzo zaraźliwy. Rodziny ofiar i ich sąsiedzi nie chorują. Ani nikt z personelu medycznego. Nie zaraził się nawet patolog, który został spryskany krwią. Jedyną osobą, która na pewno zaraziła się od kogoś innego, jest mała Pickett z Atlanty. Przed laty miała transfuzję krwi.

Dawcą był jej ojciec. Wskazuje to na dwa fakty: po pierwsze, wirus ten, tak jak HIV, prawdopodobnie pozostaje w stanie uśpionym w organizmie ofiary i atakuje nagle po kilku latach.

Po drugie, żeby się zarazić, trzeba go wstrzyknąć w stanie uśpionym lub nie bezpośrednio do krwi. Nie ma powodu, żeby obawiać się epidemii.

— Chciałbym, żeby miał pan rację Kielburger skrzywił się. — Ale tym razem grubo się pan myli. Już mamy kolejne przypadki. Ludzie chorują i umierają. Ten szalony wirus może nie jest wysoce zaraźliwy normalną drogą, ale wciąż się rozprzestrzenia.

— W południowej Kalifornii? W Atlancie? W Bostonie?

— Nie, nie tam. W innych rejonach świata: w Europie, Ameryce Południowej, Azji.

Smith pokręcił głową.

— Więc cały czas coś tu nie gra. Przerwał. Sopię zamordowano. Rozumie pan, co to znaczy?

— No cóż...

Smith wstał i pochylił się nad biurkiem.

— To znaczy, że ktoś trzyma nieznanego, śmiertelnego wirusa w probówce. Wirusa, którego nikt nie jest w stanie zidentyfikować. Ktoś jednak wie, co to za wirus i skąd pochodzi. Ktoś go ma.

Mięsista twarz generała poczerwieniała.

— Jak to? Ale...

Smith walnął pięścią w biurko.

— Mamy do czynienia z ludźmi, którzy zarazili wirusem innych! Między innymi Sophie.

Chcą posłużyć się nim jak bronią!

— Mój Boże — Kielburger nie spuszczał z niego wzroku. Dlaczego?

— Kto i dlaczego, tego właśnie musimy się dowiedzieć!

Potężne ciało Kielburgera dygotało ze wzburzenia. Nagle wstał. Jego rumiana twarz pobladła jak nigdy dotąd.

— Skontaktuję się z Pentagonem. Proszę napisać raport o tym, co mi pan powiedział i jakie działania zamierza pan podjąć.

Muszę pojechać do Waszyngtonu.

— W porządku. Niech pan robi, co chce. Wydam odpowiednie rozkazy.

— Tak jest. Smith wycofał się z ulgą, nieco zdziwiony, że tak gładko zdołał przekonać tępego Kielburgera. Może generał nie był aż tak uparty i głupi, jak przypuszczano. Przez chwilę poczuł nawet przyływ sympatii do tego wyjątkowo irytującego człowieka.

Wybiegając na korytarz, usłyszał, jak Kielburger podnosi słuchawkę.

— Połącz mnie z biurem naczelnego lekarza kraju i z Pentagonem. Tak, z obydwoma. Nie, wszystko jedno z kim najpierw!

Technik czwartej klasy Adele Schweik wcisnęła przełącznik przy telefonie, jednocześnie nasłuchując, czy starsza sierżant Daugherty nie wychodzi z gabinetu.

— Biuro naczelnego lekarza kraju — skłamała gładko do słuchawki. — Nie, generale Kielburger, nie ma go w biurze. Gdy tylko wróci, poproszę, żeby do pana zadzwonił.

Schweik rozejrzała się. Na szczęście Sandra Quinn była czymś zajęta, a starsza sierżant nie wychodziła z gabinetu. Biuro Kielburgera znów dzwoniło.

— Pentagon. Proszę czekać — odpowiedziała zmienionym głosem.

Szybko wybrała numer z listy, którą trzymała w górnej szufladzie.

— Poproszę z generałem Casparem. Tak, generał Kielburger dzwoni w pilnej sprawie z Instytutu. — Zwolniła przycisk "HOLD", wróciła na własną linię i wybrała kolejny numer.

Mówiła cicho, ale szybko. Odłożyła słuchawkę i wróciła do pracy.

17.50, Thurmont, Maryland

Smith kończył pakowanie w pustym domu pod zboczem Catoctin. Nie czuł się dobrze, zresztą wcale go to nie dziwiło. Zewsząd otaczały go ślady Sophii: od butelki wody w kuchni po jej zapach w łóżku. Pękało mu serce. Pustka panująca w domu przytłaczała go. Dom był teraz grobem, grobem jego nadziei, w którym rozbrzmiewały echa marzeń i śmiechu Sophii. Nie mógł

tu zostać. Nie mógł dłużej mieszkać w tym miejscu.

Ani w tym domu, ani w mieszkaniu Sophii. Nie mógł nawet myśleć o miejscu, gdzie chciałby zamieszkać. Wiedział, że będzie musiał zmierzyć się z tym problemem, ale nie teraz.

Jeszcze nie teraz. Najpierw musi odnaleźć morderców. Dopaść ich, rozerwać na strzępy, zamienić w krwawą masę.

Po rozmowie z Kielburgerem napisał i wydrukował raport, a potem okrężną drogą wrócił do siebie, co chwila zerkając w lusterko. Nikt go nie śledził po drodze do wielkiego domu, w którym tyle szczęśliwych miesięcy spędził z Sophią. Kiedy skończył pakowanie, upychając ubrania na każdą pogodę, naładował służbową beretkę, zabrał paszport, notes i komórkę, założył mundur i czekał na telefon od Kielburgera z rozkazami z Pentagonu.

Ale Kielburger nie zadzwonił.

Robiło się ciemno. Koło osiemnastej Smith ruszył z powrotem do Fort Detrick. Przy biurku nie było sekretarki Melanie Curtis, a pusty gabinet generała nie sprawiał wrażenia posprzątanego.

Bardzo dziwne. Zerknął na zegarek: osiemnasta dwadzieścia siedem. Pewnie zrobili sobie przerwę na kawę. Ale oboje w tym samym czasie?

Nie było ich w barze.

Biuro Kielburgera wciąż stało puste.

Smith tłumaczył sobie, że Pentagon wezwał Kielburgera do Waszyngtonu, a on zabrał

Melanie Curtis.

Ale Kielburger przecież powiadomiłby go.

Nie. Jeśli otrzymał zakaz z Pentagonu.

Zaniepokojony, nikomu nic nie mówiąc, wrócił do sfatygowanego triumpha. Za zgodą Pentagonu czy bez, zamierzał pojechać do Waszyngtonu. Nie był w stanie spędzić jeszcze jednej nocy w domu w Thurmont. Włączył silnik i przejechał przez bramę. Nikt go nie obserwował, ale żeby mieć pewność, przez godzinę kluczył ulicami miasta. Zjechał w końcu na 1-270 i ruszył na południe do stolicy. Krążył myślami wokół Sophii. Wspominanie dobrych czasów przynosiło mu ulgę. Bóg jeden wie, że

tylko to mu pozostało.

Ostatniej nocy wreszcie po trzech dniach porządnie się wyspał. Żeby się upewnić, czy nikt nie depcze mu po piętach, zjechał raptownie z autostrady w Gaithersburgu i obserwował szosę.

Nikogo nie zauważył. Zadowolony zjechał przed hotel "Holiday Inn" i zameldował się pod fałszywym nazwiskiem. W barze wypił dwa piwa, zjadł w restauracji kolację i wrócił do pokoju, żeby obejrzeć wiadomości CNN. Zadzwoił do Kielburgera w biurze i w domu, ale nikt nie odbierał telefonu.

Nagle usiadł sztywno, oszołomiony. To była trzecia wiadomość w dzienniku. "Biały Dom donosi o tragicznej śmierci generała brygady Calvina Kielburgera, kierownika Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych w Fort Detrick w stanie Maryland. Generała i jego sekretarkę znaleziono martwych w ich domach. Prawdopodobnie padli oni ofiarą nieznanego wirusa, który w Stanach Zjednoczonych zabił już cztery osoby, między innymi naukowca prowadzącego badania w Fort Detrick. Biały Dom podkreśla, że przypadki zakażenia są odosobnione i na razie nie ma niebezpieczeństwa epidemii".

Smith usiłował szybko zebrać myśli: Kielburger i Melanie Curtis nie pracowali w "gorącej strefie" nad wirusem. Nie mieli z nim bezpośredniego kontaktu. Nie zarazili się ani przez przypadek, ani w wyniku naturalnego rozprzestrzeniania się choroby. To było morderstwo...

kolejne dwa morderstwa! Generała powstrzymano przed wizytą w Pentagonie, a Melanie Curtis przed wyjawieniem zamiarów generała.

I co się stało z całkowitą dyskrecją, którą mieli zachować wszyscy, którzy pracowali nad wirusem? Teraz wiedział o nim cały kraj. Ktoś gdzieś dokonał pełnego zwrotu, ale dlaczego?

"...w związku z tragicznymi zgonami w Fort Detrick władze wojskowe zwracają się z prośbą do wszystkich lokalnych posterunków policji o zatrzymanie podpułkownika Jonathana Smitha, który samowolnie oddalił się z Detrick".

Smith zamarł przed telewizorem. Miał wrażenie, jakby ściany zacisnęły się wokół niego.

Pokręcił głową. Musiał to sobie wyraźnie powiedzieć: miał potężnych wrogów, którzy zamordowali Sophię, generała i Melanie Curtis. A teraz zaczęli się na niego. Szukała go też, policja.

Był zdany tylko na siebie.

Część 2

Rozdział 14

9.03, piątek, 17 października,

Biały Dom, Waszyngton

Prezydent Samuel Adams Castilla sprawował urząd od trzech lat i rozpoczął już kampanię wyborczą przed drugą kadencją. W Waszyngtonie ranek był chłodny i szary i prezydent liczył na sporą frekwencję podczas śniadania przedwyborczego zorganizowanego dla sponsorów w Mayflower Hotel. Musiał jednak odwołać imprezę, został bowiem wezwany na niespodziewane spotkanie.

Poirytowany i zaniepokojony wstał zza ciężkiego sosnowego stołu, który służył mu w Gabinetcie Ovalnym za biurko, i podszedł do skórzanego fotela przy kominku, gdzie zebrali się wszyscy. Jak zawsze wystrój Gabinetu odzwierciedlał upodobania prezydenta. Castilla ani myślał

zatrudniać jakiegoś wymoczkowatego dekoratora wnętrz ze Wschodniego Wybrzeża. Sprowadził

za to meble w stylu rancza z południowego zachodu ze swojej gubernatorskiej rezydencji w Santa Fe, a artysta z Nowego Meksyku zestawiał czerwono-żółte nawahijskie koce z żółtym dywanem, ręcznie plecioną niebieską pieczęcią prezydencką, wazonami, koszami i indiańskimi nakryciami głowy. Był to najbardziej etniczny Gabinet Ovalny w historii Stanów Zjednoczonych.

— A więc — powiedział — według CNN wirus zabił już u nas sześć osób. Proszę mi powiedzieć, z jakim zagrożeniem naprawdę mamy do czynienia.

Mężczyźni i kobiety zebrani wokół prostego sosnowego stolika do kawy byli poważni, ale też cechował ich ostrożny optymizm. Naczelny lekarz kraju Jesse Oxnard, który siedział obok sekretarz zdrowia i opieki społecznej, odpowiedział jako pierwszy.

— Mamy już piętnaście zgonów wywołanych nieznanym wirusem, który został wykryty w zeszłym tygodniu. Oczywiście, mówię tylko o Stanach Zjednoczonych. Niedawno dowiedzieliśmy się, że spośród sześciu pierwszych zarażonych osób, trzy przeżyły. Jest więc jakaś nadzieja.

— Światowa Organizacja Zdrowia donosi, że za granicą zaraziło się jakieś dziesięć —

dwanaście tysięcy osób. Kilka tysięcy zmarło — dodał szef sztabu Charles Ouray.

— Sądzę, że sytuacja na razie nie wymaga żadnych działań specjalnych z naszej strony.—

Tym razem przemówił szef połączonych sztabów, admirał Steven Brose. Stał oparty o ramę kominka pod wielkim górskim pejzażem pędzla Bierstadta.

— Ale wirus może się rozprzestrzenić jak ogień — ostrzegła sekretarz zdrowia Nancy Petrelli. — Nie wiem, czy możemy z czystym sumieniem beczynnie czekać, aż Centrum Kontroli lub Fort Detrick wynajdą jakieś środki zaradcze. Musimy zwrócić się do sektora prywatnego, poprosić o radę i pomoc wszystkie korporacje medyczne i farmaceutyczne. —

Spojrzała ostro na prezydenta. — Sytuacja pogorszy się, panie prezydencie. Jestem o tym przekonana.

Kilka osób zaczęło protestować, lecz prezydent uciszył ich.

— Czego do tej pory dowiedzieliśmy się o wirusie? Proszę o szczegóły.

Naczelnny lekarz kraju Oxnard skrzywił usta.

— Ani w Detrick, ani w Centrum Kontroli nigdy dotąd nie spotkano się z takim typem.

Jeszcze nie wiemy, jaką drogą przebiega zakażenie. Wszystko wskazuje na to, że jest to wyjątkowo niebezpieczny wirus, skoro trzy osoby, które pracowały nad nim w Detrick, już nie żyją. Umieralność w pierwszych sześciu przypadkach wyniosła pięćdziesiąt procent.

— Dla mnie trzy zgony na sześć przypadków, to wystarczające zagrożenie — oznajmił posepnie prezydent. — Straciliśmy zatem trzech naukowców w Fort Detrick? Kogo?

— Jedną z ofiar jest szef ośrodka, generał Calvin Kielburger.

— Dobry Boże. Prezydent pokręcił głową ze smutkiem. — Pamiętam go. Rozmawiałem z nim zaraz na początku mojej kadencji. Co za tragedia.

Admirał Brose przytaknął ze smutkiem.

— Dlatego sprawa wyszła na jaw. Po pierwszych czterech zgonach utajniłem ją. Generał

Caspar zameldował mi, że wirusem zainteresowało się zbyt wielu amatorów. Chciałem zapobiec wybuchowi paniki. Przerwał, czekając na przyznanie mu racji. Wszyscy kiwali zgodnie głowami, nawet prezydent. Generał odetchnął z ulgą. — Ale kiedy znaleziono generała i jego sekretarkę martwych, wezwano policję. Lekarze stwierdzili, że zaatakował ich ten sam wirus, który zabił

pierwszą ofiarę z Instytutu. W ten sposób temat trafił do mediów. Musiałem odtajnić sprawę, ale dziennikarze wiedzą, że mogą uzyskać informacje tylko w Pentagonie. To wszystko.

— Niezłe posunięcie — zgodziła się Nancy Petrelli. — Podobno jakiś naukowiec oddalił się bez pozwolenia z Detrick. To też mnie martwi.

— Zaginął? Wiadomo dlaczego?

— Nie, panie prezydencie — powiedział Jesse Oxnard. — Ale okoliczności są podejrzane.

— Zniknął tuż przed śmiercią Kielburgera i jego sekretarki — wyjaśnił szef połączonych sztabów. — Zawiadomiliśmy już wojsko, FBI i policję. Znajdą go. Póki co, mówimy tylko, że chodzi o przesłuchanie.

Prezydent pokiwał głową.

— To rozsądne. I zgadzam się z Nancy. Zobaczmy, co ma do zaproponowania sektor prywatny. Tymczasem proszę mnie o wszystkim informować. Śmiertelny wirus, o którym nikt nic nie wie, napędził mi stracha. Państwu chyba też.

Rozdział 15

9.22, Waszyngton

Adams-Morgan, to tętniąca życiem, wielonarodowa dzielnica z mnóstwem usytuowanych na dachach wieżowców restauracji, z których ogląda się miasto z lotu ptaka. Jej główne arterie komunikacyjne — Columbia Road i Osiemnasta Ulica — oferują żywą mieszankę ulicznych kafejek, barów i klubów, księgami, antykwariatów, sklepów muzycznych, sklepów z używaną odzieżą i modnych butików. Egzotycznie ubrani przybysze z Gwatemali, Salwadoru, Kolumbii, Ekwadoru, Jamajki, Haiti, Konga, Kambodży, Laosu i Wietnamu dodają kolorytu i tak malowniczej okolicy.

W kawiarni niedaleko Osiemnastej Ulicy, przy stole w głębi sali, na którym zaschnięte okrągłe ślady po kubkach z kawą pamiętały chyba czasy pierwszych kolonizatorów, agent specjalny FBI Lon Forbes czekał na spotkanie z podpułkownikiem Jonathanem Smithem.

Niewiele o nim wiedział, tyle tylko, że — jak sam twierdził — był przyjacielem Billa Griffina.

Informacja ta zainteresowała, ale też zaniepokoiła Forbesa.

Nie miał czasu, żeby dokładnie zbadać przeszłość Smitha, dowiedział się tylko, że prowadził

badania naukowe w bazie Fort Detrick. Zaproponował więc, żeby spotkali się w tym obskurnym lokalu. Przyszedł wcześniej i z drugiej strony ulicy obserwował spóźnionych amatorów śniadania. Wtedy zauważył Smitha.

Podpułkownik w ciemnozielonym wojskowym mundurze przystanął na zewnątrz, żeby się rozejrzeć, od drzwi przyjrzał się wnętrzu i w końcu wszedł do środka. Agent FBI zauważył

imponującą sylwetkę pułkownika, który sprawiał wrażenie, jakby tłumiał nadmiar energii.

Przynajmniej na pierwszy rzut oka Smith nie wyglądał i nie zachowywał się jak jajogłowy naukowiec, specjalista w arcytrudnej dziedzinie biologii molekularnej i mikrobiologii.

Smith popijał kawę, wyraził zdziwienie, że pogoda jest nadzwyczaj ciepła, jak na tę porę roku, zapytał, czy Forbes chce ciastko — Forbes odmówił — i stukał butem pod miniaturowym stolikiem. Forbes patrzył i słuchał. Podpułkownik miał silną, szeroką twarz o lekko indiańskich rysach i czarne, zaczesane gładko do tyłu włosy. Granatowe oczy miały w sobie jakiś mrok, który nie miał jednak nic wspólnego z ich kolorem. Forbes wyczuł w nim tłumiony gniew, który w każdej chwili mógł wybuchnąć. Ten człowiek był nie tylko rozdrażniony, lecz doprowadzony do ostateczności.

— Muszę się skontaktować z Billem — oznajmił wreszcie Smith.

— Dlaczego?

Smith zamyślił się. Postanowił, że zaryzykuje i ujawni część prawdy. W końcu przyszedł

tutaj, żeby poprosić o pomoc.

— Kilka dni temu Bill skontaktował się ze mną i zaaranżował potajemne spotkanie w parku Rock Creek. Ostrzegł, że grozi mi niebezpieczeństwo. Rzeczywiście, jestem w niebezpieczeństwie i muszę dowiedzieć się, skąd o tym wiedział i co jeszcze wie.

— To oczywiste. — Powie mi pan, o jakie niebezpieczeństwo chodzi?

— Ktoś chce mnie zabić.

— Nie wiadomo kto?

— Z grubsza biorąc, nie.

Forbes rozejrzał się po pustej kawiarni.

— Może mi pan podać jakieś szczegóły, to, co nazywamy okolicznościami niebezpieczeństwa?

— Wolałbym tego nie robić. Po prostu chcę znaleźć Billa.

— FBI to ogromna instytucja. Dlaczego właśnie ja?

— Bili mówił, że był pan jego jedynym przyjacielem. Jedynym, któremu by zaufał. Nie opuściłby go pan w biedzie.

Co zresztą było prawdą, o czym Forbes wiedział. Kolejny plus dla Smitha. Bili powiedziałby o tym tylko zaufanej osobie.

— Dobra. Opowiedz mi o was.

Smith opisał wspólne dzieciństwo, szkołę i studia, a Forbes porównywał jego wersję z tym, co słyszał od Griffina, i z tym, czego się sam dowiedział, zaglądając do teczki Griffina po jego zniknięciu. Wyglądało na to, że wszystko się zgadza.

Forbes wypił łyk kawy. Pochylił się nad stolikiem sennej kawiarni i zapatrzył w swoje dłonie splecione wokół kubka. Gdy się odezwał, jego głos był cichy i poważny.

— Bili uratował mi życie. Nie raz, dwa razy. Byliśmy partnerami, przyjaciółmi i nie tylko.

Łączyło nas dużo, dużo więcej. Spojrzał na Smitha. — Jasne?

Smith próbował wyczytać coś z jego oczu. Za słowem "jasne" opatrzonym znakiem zapytania mogło kryć się miliony znaczeń. Może mieli na swoim koncie rzeczy, o których nie wiedziało FBI? Może razem łamali przepisy? Jeden drugiego krył? Naginali prawo? "Były pewne sprawy, jasne? Nie zadawaj pytań. Żadnych szczegółów. Powiedzmy, że jeśli chodzi o Griffina, możesz mi zaufać. Tobie też można zaufać?"

— Wiesz, gdzie on teraz jest? — spróbował Smith.

— Nie.

— Potrafisz się z nim skontaktować?

— Może. Forbes wychylił łyk kawy, głównie po to, by zyskać na czasie. — Nie pracuje już dla FBI. Pewnie o tym nie wiedziałeś.

— Wiedziałem. Powiedział mi w parku. Nie wiem tylko, czy powinienem mu wierzyć. Może wykonuje jakąś tajną misję.

— Nie. Forbes zawahał się. — Przyszedł do nas z wywiadu wojskowego, gdzie nikt nie przejmuje się regulaminem. A w FBI reguły rządzą wszystkim. Wypytyją cię o każdy krok bez względu na rezultaty twojej pracy. Każdą czynność trzeba wpisać do formularza. Bili był zbyt niezależny, a nasi twardogłowi nie znoszą nadmiaru własnej inicjatywy. Nie mówiąc już o potajemnej inicjatywie. W FBI oczekuje się od agentów, że o każdym swoim oddechu będą meldować na piśmie w trzech egzemplarzach. Billowi nigdy to nie odpowiadało.

Smith uśmiechnął się.

— Wyobrażam sobie.

— Narobił sobie kłopotów. Brak subordynacji. Nieumiejętność pracy w zespole. Sam miałem z tym problemy. Ale Bili posunął się dalej. Omijał przepisy i nie zawsze potrafił

wytłumaczyć się ze swoich działań i wyliczyć się z pieniędzy. Oskarżono go o sprzeniewierzenie funduszy. Kiedy zakończył pewną sprawę, nie uznano jego wydatków na opłacenie różnych podejrzanych typów. Rzucali mu kłody pod nogi i wreszcie Bill miał tego dość.

— Odszedł?

Forbes

sięgnął

do

kieszeni

po

chusteczkę.

Smith

zauważył

wielkiego

dziesięciomilimetrowego browninga zawieszono w kaburze na ramieniu. FBI nadal sądzi, że agenci powinni mieć ogromne spluwy. Forbes otarł twarz. Był najwyraźniej zaniepokojony. Ale martwił się nie o siebie, tylko o Billa Griffina.

— Niezupełnie — odparł. — Kiedy zajmował się oszustwami podatkowymi, poznał

pewnego wpływowego i nadzianego gościa. Nigdy nie dowiedziałem się, kto to jest. Bill przestał przychodzić na spotkania, a między zadaniami w ogóle nie pojawiał się w Gmachu Hoovera.

Kiedy wysyłano go do pracy w terenie, czasem nie dawał znaku życia przez kilka dni. Wreszcie spartolił zadanie, a poza tym zaczęły dochodzić sygnały, że żyje ponad stan. Dyrektor znalazł

dowody, że Bill potajemnie pracuje dla tego gościa od oszustw podatkowych, a jego działania często balansowały na krawędzi prawa — zastraszanie, posługiwanie się odznaką do wywierania presji i inne rzeczy. W FBI uważa się, że ktoś, kto pracuje dla Biura, reprezentuje Biuro. I tyle.

Wylali go. Zaczął dla kogoś pracować. Wydawało mi się, że dla tego samego gościa od oszustw podatkowych. Pokręcił głową z żalem. — Nie widziałem się z nim od ponad roku.

Smith próbował obserwować ulicę za oknami, ale brudną szybę oklejono licznymi ogłoszeniami.

— Mogę zrozumieć, co go zniechęciło do pracy w FBI, dlaczego miał dość. Ale żeby pracować dla kogoś takiego? Zastraszać ludzi? To do niego niepodobne.

— Możesz to nazwać, jak chcesz: zniechęceniem, wstrętem, zdradą przekonań. Forbes wzruszył ramionami. — Bili widział to tak: nikomu w FBI nie zależy na sprawiedliwości.

Wszystko kręci się wokół przepisów. Prawa. A poza tym pewnie skusiły go pieniądze i władza.

Nikt nie zmienia poglądów tak łatwo, jak wierzący, który stracił wiarę.

— I to ci nie przeszkadza?

— I tak, i nie. Tak chciał Bill, a ja nie zadawałem żadnych pytań. Będzie moim kumplem, choćby nie wiem co.

Smith rozważył wszystko. Jego sytuacja była podobna do tej, w której znalazł się Bill. Tyle że zdradziło go nie FBI, a wojsko. Też stawał się czarnym charakterem. W oczach Pentagonu już pewnie nim był. Samowolnie oddalił się z jednostki. Czy miał więc prawo oceniać Billa? Czyżby ten facet z FBI był lepszym przyjacielem Billa niż on?

Kwestie moralne nie zawsze są tak jednoznaczne, jakbyśmy tego chcieli.

— Nie wiesz, gdzie teraz jest? Albo kim jest człowiek, dla którego lub z którym pracuje?

— Nie wiem. Nie wiem nawet, czy pracuje dla tego samego faceta. Tak mi się tylko wydaje.

Zresztą nigdy nie wiedziałem, kto to jest.

— Ale możesz skontaktować się z Billem? Forbes zamrugał oczami.

— Powiedzmy, że tak. Co mam mu powiedzieć? Smith już to sobie przemyślał.

— Że posłuchałem ostrzeżenia. Że żyję, ale zamordowali Sopię. Że wiem o wirusie. Ale nie wiem, co knują i muszę z nim porozmawiać.

Forbes przyglądał się silnie zbudowanemu żołnierzowi — naukowcowi. Kilka dni temu powiadomiono FBI o niepokojącej sytuacji w związku z nieznanym wirusem oraz o śmierci doktor Sopi Russell. Dziś rano wojsko przesłało wiadomość, że Smith samowolnie oddalił się z jednostki i może zaszkodzić śledztwu, którego szczegóły Biały Dom utajnił. FBI proszono o odnalezienie Smitha i odesłanie go pod strażą do Fort Detrick.

Ale Forbes ufał swojemu instynktowi. Całe lata uczył się oceniać ludzi, czasem w ciągu kilku sekund — od tego zależało jego życie. Smith nie był wrogiem. Jeśli cokolwiek mogło zaszkodzić śledztwu, to idiotyczny rozkaz odsuwający naukowców od dochodzenia. Pentagon nie chciał kolejnych nagłówek w prasie mówiących o wojnie biologicznej i jej ofiarach —

amerykańskich żołnierzach biorących udział w "Pustynnej Burzy". Jak zwykle chronili swoje tłuste tyłki.

— Jeśli się z nim skontaktuję, przekażę mu wiadomość, pułkownik. Forbes wstał. — Dam ci radę. Uważaj, z kim rozmawiasz i cokolwiek planujesz, działaj ostrożnie. Wydano na ciebie nakaz aresztowania — uznano cię za dezertera. Nie próbuj się ze mną więcej kontaktować.

Smith czuł ucisk w dołku. Nie był zaskoczony, ale potwierdzenie tego, co już wiedział, i tak było ciosem. Zdradzono go i sponiewierano, odkąd wrócił z Londynu. Najpierw stracił Sopię, a teraz pracę, karierę. Ta świadomość raniła go jak okruchy potłuczonego szkła.

Agent Forbes ruszył do wyjścia, a Smith rozejrzał się po kawiarni, w której nad kawą i herbatą pochylała się garstka klientów. Zdażył zobaczyć, jak Forbes pchnął drzwi i wprawnym okiem ocenił kłębiący się na ulicy tłum. Po chwili zniknął — jak para nad jego kawą. Smith zostawił pieniądze na stole i wymknął się tylnymi drzwiami. Na zewnątrz nie zauważył nikogo podejrzanego, żadnych ciemnych limuzyn z siedzącymi w nich ludźmi. Zdecydowanym krokiem szedł w stronę najbliższej stacji metra, a puls wybijał mu niespokojny rytm.

10.03, Waszyngton

Smith wysiadł z metra przy Dupont Circle. Poranne słońce zalewało jasnym i ciepłym blaskiem samochody tłoczące się wokół parku. Rozejrzał się ukradkiem i wmieszał w tłum urzędników i biznesmenów, którzy wyszli na poranną kawę. Nie przestając bacznie obserwować, przedzierał się przez labirynt ulic pełnych kawiarni, barów, księgami i butików. Sklepy były tutaj bardziej eleganckie niż w Adams-Morgan i choć był już październik, nie brakowało turystów, którzy wyłuskiwali banknoty i robili zakupy.

Kilka razy, gdy przyglądał się twarzom przechodniów, miał wrażenie déjà vu. Przez kilka radosnych chwil wydawało mu się, że właśnie mignęła mu przed oczami Sophia...

Nie umarła.

Żyje i jest zdrowa. Kilka kroków dalej.

Jakaś brunetka miała ten sam rozkołysany, zmysłowy chód. Musiał się powstrzymać, żeby jej nie dogonić. Jakaś blondynka czesała się w koński ogon — tak samo jak Sophia, kiedy nie chciała, żeby włosy przeszkadzały jej przy pracy. Minęła go inna kobieta, zostawiając za sobą zapach perfum, których używała Sophia. Poczul dojmujący ból.

Musisz wziąć się w garść.

Masz zadanie do wykonania. Zadanie, które może nada sens tragicznej śmierci Sophii.

Zaczerpnął powietrza i ruszył dalej. Cały czas pilnował, czy nikt nie depcze mu po piętach.

Ruszył na północ wzdłuż Massachusetts Avenue w stronę Sheridan Circle i Embassy Row. W

połowie drogi do Sheridan Circle wykonał jeszcze jeden manewr, żeby pozbyć się ogona. Wszedł

nagle głównym wejściem do niedawno otwartej galerii Phillips Collection, minął pospiesznie pustą o tej porze ekspozycję dzieł Renoira i Cezanne'a, kontrowersyjnych prac Rothki i O'Keefe'a i wymknął się wyjściem awaryjnym. Stał, oparł się o mur i obserwował przechodniów i samochody.

Wreszcie uspokoił się. Jeśli ktoś go śledził, musiał go zgubić. Wrócił na Massachusetts Avenue i dotarł do triumpha zaparkowanego przy bocznej ulicy.

Wczoraj, po obejrzeniu w telewizji wiadomości o Kielburgerze, Melanie Curtis i o liście gończym za nim samym wzmógł czujność. Obudził się w Gaithersburgu przed świtem z wyjąca w głowie syreną ostrzegawczą. Był zlany zimnym potem — całą noc śniła mu się Sophia. Zmusił

się do zjedzenia solidnego śniadania i obserwował poranny ruch gęstniejący na autostradzie. Z

góry kontrolowały ruch helikoptery drogówki. Wziął prysznic, ogolił się i przed siódmą, całkowicie zdecydowany, wyruszył w drogę.

Zadzwonił z budki do agenta Forbesa, przejechał przez Potomac i znalazł się w Waszyngtonie. Przez jakiś czas krążył bez celu, w końcu zaparkował wóz niedaleko Embassy Row. Na spotkanie z Forbesem pojechał metrem.

Teraz dojechał spokojnie do ruchliwej osiedlowej ulicy między Dupont i Washington Circle.

Znalazł się przed wąskim podjazdem otoczonym wysokim, rozrośniętym żywopłotem. U wlotu stała rzucająca się w oczy tablica:

TEREN PRYWATNY. AKWIZYTOROM, DOMOKRĄŻCOM, ŻEBRAKOM WSTĘP

SUROWO WZBRONIONY!

Smith zignorował ostrzeżenie i wjechał na podjazd. Za żywopłotem krył się biały, parterowy dom z czarnymi gzymsami. Zaparkował przy ceglany murze, który ciągnął się od podjazdu do drzwi frontowych.

Gdy tylko wysiadł, usłyszał mechaniczny głos.

— Stój! Podaj nazwisko i cel wizyty. Niezastosowanie się do polecenia w ciągu pięciu sekund zaktywizuje środki ochronne. Głęboki głos zdawał się dochodzić z nieba, od samego Boga.

Smith uśmiechnął się. Właściciel domu był geniuszem w dziedzinie elektroniki.

Powierzchnię podjazdu naszpikowano całą serią paskudnych pułapek, od dawki gazu łzawiącego po natrysk z cuchnącej cieczy. Gospodarza — starego przyjaciela Smitha, Marty'ego Zellerbacha

— wielokrotnie podawali do sądu rozwścieczeni akwizytorzy, pracownicy elektrowni, listonosze i kuśnierze.

Ale Marty miał dwa doktoraty i nieodmiennie sprawiał wrażenie osoby łagodnej, odpowiedzialnej, może tylko nieco naiwnej. Był też szalenie bogaty i zatrudniał najlepszych adwokatów, którzy bronili go zaciekle i przekonująco: poszkodowani nie mogli nie zauważyć tablicy ostrzegawczej. Musieli wiedzieć, że wkraczają na teren prywatny. To całkowicie zrozumiałe, że człowiek niepełnosprawny, mieszkający samotnie, domagał się od nich identyfikacji. I ostrzegł ich.

Środki ochronne, które stosował, nie stanowiły poważnego zagrożenia dla zdrowia, a tym bardziej życia. Marty wygrał wszystkie sprawy i po pewnym czasie policja zrezygnowała ze stawiania mu zarzutów. Radziła też poszkodowanym, żeby zadowolili się rekompensatą i przestali go nachodzić.

— Daj spokój, Marty — powiedział rozbawiony Smith — to ja, twój stary kumpel, Jonathan Smith.

Nastąpiło pełne zdziwienia wahanie.

— Podejdź do frontowych drzwi ceglana ścieżką. Tylko z niej nie schodź. Inaczej uruchomisz inne

środki ochronne. W mechanicznym głosie zabrzmiała prawdziwa troska.

— Ostrożnie, Jon. Wolałbym, żebyś nie śmierdział jak skunks.

Smith posłuchał wskazówki Marty'ego. Niewidzialne promienie laserowe penetrowały całą posiadłość. Krok poza ceglana ścieżkę lub próba wtargnięcia uruchomiłyby Bóg wie jakie przeszkody.

Dotarł do zadaszonego ganku.

— Odwołaj psy, Marty. Jestem przy drzwiach. Otwieraj. Ze środka usłyszał uprzejmy głos przyjaciela.

— Musisz postępować zgodnie z instrukcjami. Zaraz potem powrócił mechaniczny komunikat. — Stań przed drzwiami. Otwórz pokrywę z prawej strony i połóż dłoń na szklanej płytce.

— I co jeszcze? Jon uśmiechnął się.

Nad drzwiami uchyliła się groźnie para metalowych kłapek, ukazując ciemne rurki, z których można było wystrzelić wszystko, od kulek z farbą do rakiet balistycznych. Marty cieszył się jak dziecko z rzeczy, którymi większość z nas przestała się interesować po okresie dojrzewania.

Smith stanął odważnie przed drzwiami, otworzył metalową skrzynkę i położył dłoń na szklanej płytce. Znał ten mechanizm: aparat robił cyfrowe zdjęcie jego twarzy, a komputer Marty'ego natychmiast przetwarzał je na serię wartości cyfrowych. W tym samym czasie szklana płytka rejestrowała linie papilarne Smitha i grupę krwi. Później komputer porównywał zebrane dane z archiwizowanymi kodami kreskowymi wszystkich znanych Marty'emu osób.

— Nazywasz się Jonathan Jackson Smith — oznajmił sztuczny głos. — Możesz wejść.

— Dzięki, Marty — odparł z przekąsem. — Właśnie się zastanawiałem, jak się nazywam.

— Bardzo śmieszne, Jon.

Po całej serii dramatycznych trzasków, stuków i uderzeń obite drewnem stalowe drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Marty zawsze wolał teatralne efekty od konserwacji zawiasów. Smith wszedł do holu, niemal przeciętnego, gdyby nie jeden istotny szczegół — znalazł się w metalowej klatce. A że drzwi frontowe zamknęły się już za nim, poczuł się jak w więziennej celi.

— Cześć, Jon — powitał go wysoki głos niewidocznego Marty'ego. Słowa wypowiedziane były powoli i precyzyjnie. Drzwi klatki otworzyły się, a w progu ukazał się Marty. — Wejdz, proszę. Oczy błyszczały mu łobuzersko.

Drobny, pulchny człowieczek przemieszczał się tak, jakby nigdy nie nauczył się prawidłowo poruszać nogami. Smith poszedł za nim do ogromnego pokoju, w którym panował nieopisany bałagan. Prawie całe pomieszczenie zajmował wielki procesor "Cray" i komputery najróżniejszego rodzaju. Meble w szczątkowych ilościach przypominały odrzuty z Armii Zbawienia. Okna były zakratowane.

Prawa ręka Marty'ego poruszała się chaotycznie, lewą wyciągnął do Smitha na powitanie.

Odwrócił przy tym wzrok w lewo, w stronę ściany zastawionej sprzętem komputerowym.

— Kopę lat, Marty — powiedział Smith. — Cieszę się, że znów cię widzę.

— Dzięki, ja też. Marty uśmiechnął się nieśmiało. Roziskrzone zielone oczy spojrzały przez chwilę prosto w oczy Jona, ale szybko znów strzeliły w bok.

— Bierzesz leki?

— Oj, tak. Nie wyglądał na zbyt szczęśliwego z tego powodu. — Usiądź.

Przyniosę kawę i ciasteczka.

Martin Joseph Zellerbach, posiadacz dwóch doktoratów, był pacjentem wuja Smitha, Teda, psychiatry klinicznego, od czasów, gdy obaj chłopcy chodzili do podstawówki. Smith był dużo lepiej przystosowany społecznie, wziął więc Marty'ego pod swoje skrzydła. Chronił go przed okrucieństwem dzieci, a nawet niektórych nauczycieli. Marty nie był głupi. Przeciwnie, testy wykazywały, że od piątego roku życia miał cechy geniusza, a Smith zawsze uważał go za zabawnego, miłego i intelektualnie stymulującego. Z upływem lat inteligencja Marty'ego nadal rosła — a z nią jego samotność. W szkole nikt nie mógł mu dorównać w nauce, ale jednocześnie Marty nie rozumiał i nie przejawiał żadnego zainteresowania ludźmi i związkami między nimi, które są tak ważne dla dzieci i nastolatków.

Fascynowały go nowinki naukowe, potrafił o nich mówić godzinami. Znał wszystkie odpowiedzi na pytania nauczycieli, więc z nudów w czasie lekcji zajmował się dzikimi fantazjami i maniami. Nikt nie chciał uwierzyć, że ktoś tak inteligentny jak Marty przeszkadza i sprawia kłopoty nieumyślnie. Nauczyciele często posyłali go na dywanik do dyrektora. Później Smith musiał staczać prawdziwe boje z rozwścieżonymi kolegami, którzy sądzili, że Marty złośliwie wyraża się o nich lub ich dziewczynach.

Przyczyną tego zachowania był zespół Aspergera, rzadka choroba będąca łagodną odmianą autyzmu. W dzieciństwie zdiagnozowano u niego wszystko: od lekkiego autyzmu do zaburzeń w zakresie natręctw myślowych i czynności przymusowych i zaawansowanego autyzmu. Dopiero wuj Ted postawił właściwą diagnozę. Charakterystycznymi objawami choroby Marty'ego były obsesyjne zainteresowania, wysoka inteligencja, całkowita nieumiejętność życia w społeczeństwie i wybitny talent w jednej konkretnej dziedzinie — elektronice.

Osoby, u których choroba Aspergera występuje w łagodnej formie, opisywane są często jako

"aktywne, lecz zdziwaczałe" lub "autystycznie ekscentryczne". Marty był nieco cięższym przypadkiem. Specjaliści robili, co mogli, żeby wyrwać go z całkowitej izolacji, ale on — nie licząc kilku krótkich wizyt w sądzie przed laty — od piętnastu lat nie opuszczał domu, który z troską i miłością zamienił w komputerowy raj i miejsce, gdzie mógł realizować najbardziej ekscentryczne pomysły.

Choroba była nieuleczalna i dla ludzi takich jak Marty jedynym ratunkiem były lekarstwa, zwykle środki pobudzające centralny układ nerwowy: adderal, ritalin, cylert, a ostatnio —

mideral. Podobnie jak schizofrenikom leki pomagały Marty'emu stać obu nogami mocno na ziemi. Powstrzymywały jego fantazje i obsesje. Nie znosił ich, ale wiedział, że musi je zażywać, żeby móc wykonać "normalne" czynności — na przykład opłacić rachunki — lub gdy groziło mu, że całkowicie straci kontakt z rzeczywistością.

Pod wpływem leków, jak twierdził Marty, wszystko stawało się nudne, płaskie i odległe, a on w znacznym stopniu tracił kreatywność. Dlatego chętnie przyjął nowy lek, który uspokajał go bardzo szybko — jak większość pozostałych — ale działał najwyżej przez sześć godzin.

Oznaczało to, że mógł zażywać go częściej. Odseparowany od świata mógł odstawić leki na dłużej niż większość osób cierpiących na chorobę Aspergera.

Gdybyś ktoś szukał komputerowego geniusza, kogoś, kto wykona nielegalną hakerską robotę, Marty Zellerbach po odstawieniu leków byłby najlepszym kandydatem. Wystarczyło go wtedy kontrolować i w odpowiednim momencie ściągać na ziemię, żeby nie odleciał na własną orbitę.

I właśnie dlatego Smith znalazł się tutaj.

— Marty, potrzebuję pomocy.

— Domyślam się. Marty uśmiechnął się. Trzymał w dłoniach brudny kubek kawy. — Zaraz przyjdzie pora na leki. Daruję je sobie.

— Miałem nadzieję, że to powiesz. Smith opowiedział mu o tajemniczym raporcie z Instytutu Księcia Leopolda w Belgii, o rozmowach telefonicznych, które mogła przeprowadzić Sophia, choć zaginął po nich wszelki ślad. O konieczności uzyskania informacji związanych z nieznanym wirusem. — I jeszcze jedno. Chcę, żebyś namierzył Billa Griffina. Pamiętasz go ze szkoły. Zrelacjonował Marty'emu wyniki własnego śledztwa: trzy ofiary wirusa brały udział w wojnie w Zatoce i przewinęły się przez ten sam szpital polowy. — Może uda ci się czegoś dowiedzieć o tym wirusie w Iraku sprzed dziesięciu lat.

Marty odstawił kubek i przypadł do głównego procesora. Uśmiechał się entuzjastycznie.

— Wykorzystam moje nowe programy.

Smith wstał.

— Wrócę za godzinę.

— Dobra. Marty zatarł ręce. — Zapowiada się niezła zabawa.

Smith zostawił go przy klawiaturze, po której poruszał ślamazarnie i niezgrabnie palcami.

Wiedział, że wkrótce lekarstwa przestaną działać, a wtedy palce i umysł Marty'ego zaczną

odlatywać, aż osiągną orbitę okołozemską. Wtedy Marty będzie musiał zażyć mideral.

Jon wyszedł. Hałas ruchu ulicznego był tak wielki, że nie usłyszał helikoptera, który zawisł wysoko nad nim, zrobił szeroką pętlę i zrównał się z nim, gdy odjeżdżał w stronę Massachusetts Avenue.

Warkot wirnika i wiatr za otwartym oknem wprawiał maszynę w drżenie. Nadal al-Hassan przysunął mikrofon do ust.

— Maddux? Smith odwiedził właśnie dom niedaleko Dupont Circle. Zlokalizował miejsce na planie i opisał podjazd z wysokim żywopłotem.

— Dowiedz się, kto tam mieszka i czego chciał Smith.

Wyłączył mikrofon i spojrzał w dół na starego, klasycznego triumpha, który zbliżał się do Georgetown. Po raz pierwszy poczuł się nieswojo. Nie było to uczucie, o którym zameldowałby Tremontowi, ale zamierzał mieć Smitha na oku. Bill Griffin, nawet jeśli jest godny zaufania, może nie wystarczyć, by zlikwidować to zagrożenie.

Rozdział 17

10.34, Waszyngton

Bill Griffin był kiedyś krótko żonaty. Smith spotkał jego żonę dwukrotnie, zanim jeszcze się pobrali. Bawili się często w hałaśliwych nowojorskich barach, gdzie Bill spędzał czas w swym wojskowym okresie. Bill lubił głośne bary, może dlatego że w dalekich krajach, gdzie pełnił

służbę, każdy jego krok mógł być ostatnim, a każdy dźwięk oznaczać nadchodzącą śmierć. Smith prawie nie znał tej dziewczyny, niewiele wiedział o ich małżeństwie — tyle że trwało niecałe dwa lata. Słyszał, że mieszka w ich dawnym wspólnym mieszkaniu w Georgetown. Jeśli Billowi coś groziło, mógł się tam zaszyć. Niewiele osób wiedziałoby, gdzie go szukać, Strzał w ciemno, ale — oprócz Marty'ego — nie miał wielu możliwości.

Zajechał na miejsce i zadzwonił do niej z telefonu komórkowego.

— Marjorie Griffin — powiedziała krótko.

— Może mnie pani nie pamięta. Nazywam się Jonathan Smith, jestem...

— Pamiętam pana, kapitanie. A może jest już pan majorem albo pułkownikiem?

— Nie wiem, wszystko jedno, w każdym razie jeszcze wczoraj byłem pułkownikiem. Widzę, że zatrzymała pani nazwisko Billa.

— Kochałam Billa, pułkownika. Niestety, on bardziej kochał swoją pracę. Ale nie zadzwonił pan, żeby wypytywać o moje małżeństwo lub rozwód. Pewnie szuka pan Billa?

Smith był ostrożny.

— Cóż...

— W porządku. Mówił, że może pan zadzwonić.

— Widziała się z nim pani? Nastąpiła przerwa.

— Gdzie pan jest?

— Przed blokiem. W samochodzie.

— Zejdę do pana.

Marty Zellerbach przysunął się do ekranu komputera, wydał radosny okrzyk zwycięstwa i ryknął:

— Mam cię, ty zgroźliwa bestio!

Lekarstwa przestawały działać. Zielone oczy Marty'ego błyszczały, gdy czytał raport przesłany

poczta elektroniczną z Instytutu Księcia Leopolda do największych laboratoriów na całym świecie. Raport został później wykasowany u każdego odbiorcy i w centralnym komputerze samego Instytutu Księcia Leopolda. Tak przynajmniej miało się stać. Większość zwykłych hakerów, a nawet specjalistów od zabezpieczeń komputerowych poprzestałaby na tym.

Ale nie Marty. Zwracali się do niego różni czarodzieje cyberprzestrzeni ze swoimi problemami i prosili o zupełnie nowe rozwiązania. Nie miał żadnych tytułów — nie licząc doktoratu z fizyki kwantowej i matematyki oraz doktoratu z literatury — i nie był nigdzie zatrudniony. Jak ryba wyrzucona na ląd w normalnym świecie miotał się i dusił, budząc litość i drwiący śmiech. Ale w głębokich wodach cyberoceanu poruszał się zwinnie i bez trudu. Był tam królem — Neptunem — któremu zwykli śmiertelnicy składali hołd.

W dzisiejszych czasach najlepsi hakerzy potrafią wykraść niemal każde hasło, włamać się nawet do systemu komputerowego Pentagonu i śmigać po Internecie jak dawni bandyci na Dzikim Zachodzie. Nawet nowicjusz może kupić oprogramowanie, które umożliwi mu atakowanie systemów. Ale Marty sam tworzył programy i dzięki nim przechwytywał hasła, odnajdywał słabe strony systemów i przebijał się przez wszelkie zabezpieczenia. Każdy intruz zostawia za sobą ślady. Idąc po nich, Marty potrafił dotrzeć do winowajcy. Szyfry rzadko go powstrzymywały; programy, które sam zaprojektował, pozwalały mu włamać się do większości systemów. Jeśli po wykasowanych danych pozostawał choćby najmniejszy ślad, odnajdywał go i zwykle potrafił odbudowywać całą resztę.

Nikt nigdy dotąd nie przyłapał go. Zadanie zlecone przez Smitha nie było dziecięcą igraszką, ale też nie musiał wdrapywać się na Mount Everest. Szybko odnalazł ślady intruza w terminalu Instytutu. Trafił po nich do Narodowych Instytutów Zdrowia i terminalu, do którego dostęp miała tylko Lily Loewenstein, dyrektor Federalnego Archiwum Dokumentów Medycznych. Stamtąd ślady zaprowadziły go do Instytutu Księcia Leopolda, gdzie zlokalizował kopię raportu w zapasowym pliku ukrytym głęboko w systemie komputera.

Dlatego właśnie wydał z siebie radosny okrzyk Żabrołaka z powieści Lewisa Carrolla.

— Mam cie, ty zgroźliwa bestio!

Zaśmiał się radośnie i wywijając palcem jak fechtmistrz szpadą, skoczył na równe nogi.

Wcisnął polecenie "Drukuj". Wykonał koślawy piruet, w tym czasie drukarka wypłuła raport. Nic nie mogło mu sprawić większej satysfakcji niż zrobienie czegoś niewykonalnego dla innych.

Była to drobna rekompensata za samotne życie i w chwilach zadumy pocieszał się swoimi zwycięstwami.

Przecież nie czuł się gorszy od tak zwanych zwykłych ludzi, którzy oceniali go z

"normalnych" pozycji tych, którzy żyją w związkach. Absolutnie nie. Mimo choroby Aspergera, mimo zależności od leków, mimo iż w ciągu ostatnich piętnastu lat rzadko opuszczał cztery ściany swego domu, nawiązał więcej znajomości niż większość ludzi przez całe życie. Co ci idioci z zewnątrz wiedzieli naprawdę? Niby do czego jest e-mail? Tępaki!

Chwycił raport i pomachał nim wysoko jak głową pokonanego wroga.

— Potworny wirusie, nikt nie pokona paladyna. A ja jestem paladynem! Zwycięstwo należy do mnie!

Pół godziny później ślady z terminalu Federalnego Archiwum poprowadziły go prosto do anachronicznej sieci komputerowej rządu irackiego i serii raportów sprzed roku dotyczących przypadków zespołu ostrych zaburzeń oddechowych. Wydrukował je i znów zaczął grzebać w irackiej sieci w poszukiwaniu informacji o wirusie. Cofnął się aż do "Pustynnej Burzy". Ale nic nie znalazł.

Rozmowy telefoniczne Sophii Russell stanowiły większe wyzwanie. Nie znalazł śladów intruza w systemie telefonicznym we Frederick. Jeśli istniał zapis ewentualnej rozmowy telefonicznej Sophii Russell z abonentem zewnętrznym, został wymazany w samej centrali, a wszelkie ślady usunięto.

Próby odnalezienia Billa Griffina przez archiwa uniwersyteckie, ubezpieczeniowe czy jakiegokolwiek inne, dotyczące jego życia prywatnego i zawodowego, kończyły się tą samą wiadomością: adres nieznany. Marty zabrał się więc za system FBI, do którego włamywał się tyle razy, że jego komputer mógłby zrobić to sam. Czas dostępu był ograniczony. Biuro dysponowało jednym z najlepszych systemów namierzania hakerów. Zdążył jednak dowiedzieć się, że FBI zakończyło współpracę z Griffinem. Nie znalazł nic, co wskazywałoby na tajną działalność — żadnych zaszyfrowanych raportów, rachunków, haseł. Za to w pliku jego danych odkrył adnotację: adres nieaktualny, FBI stara się ustalić nowy.

Nieżyły numer z tego Griffina. Nawet FBI nie wie, gdzie go szukać.

Dużo cięższy do sforsowania był system wywiadu wojskowego. Kiedy Marty przedarł się już przez obronny mur zabezpieczeń, musiał jak najszybciej przeczytać plik Griffina i uciekać. Nie znalazł aktualnego adresu. Podrapał się po głowie i wykrzywił wargi. Griffin nie tylko rozplątał się we mgle, ale zrobił to z największym mistrzostwem. Szokujące.

Wyczyn godny szacunku. Musi mu to przyznać, choć nigdy specjalnie go nie lubił. Odchylił

się na krześle, założył ręce, uśmiechnął się i nie dotykał komputera przez całe trzydzieści długich sekund. W ten sposób okazywał szacunek Griffinowi.

Potem otworzył inny plik poświęcony Billowi. Marty nie był przyzwyczajony do porażek w cyberświecie. Denerwowały go i pobudzały jednocześnie. Bill zaś dał mu prztyczka w nos. Ale to jeszcze nie koniec. To dopiero początek! Nic nie cieszyło go tak bardzo, jak wyzwanie godnego przeciwnika, a Griffin udowodnił, że nim jest. Uśmiechał się. Podrapał się po brodzie i wyteżył

umysł przed kolejnym skokiem w stratosferę. Zamierzał znaleźć rozwiązanie w swojej rozigranej wyobraźni. Mógł to zrobić tylko wtedy, gdy lekarstwa przestawały działać — wtedy odlatywał.

Ale gdy już miał wpaść na nowy pomysł, aż podskoczył ze zdziwienia. Komputer wydawał z siebie

przenikliwy dźwięk, a na ekranie pojawił się migający, czerwony napis: INTRUZI! INTRUZI! INTRUZI!

Bardziej podekscytowany niż zaniepokojony Marty przycisnął klawisz. To mogło być zabawne. Ekran informował go:

S t r e f a A i X

Ochoczo wcisnął guzik i na ścianie nad nim ożyły dwa monitory wysokiej rozdzielczości. W

strefie A za domem dwaj mężczyźni szukali dogodnego miejsca, żeby przecisnąć się przez żywopłot. Był jednak zbyt gęsty, żeby go sforsować, i zbyt wysoki. Marty obserwował ich żalosne wysiłki, kwicząc ze śmiechu.

Inaczej miały się sprawy w strefie X. Przełknął ślinę i wlepił wzrok w ekran. Nieoznakowana szara furgonetka zatrzymała się na podjeździe. Wysiadło z niej dwóch muskularnych zbirów z dużymi pistoletami maszynowymi w rękach. Rozglądali się dookoła. Marty'ego przeszył strach, jego encyklopedyczny umysł sklasyfikował jeden pistolet jako kolta czterdziestkę piątkę 1911, a drugi jako dziesięciomilimetrowego browninga, typ używany przez FBI. Tych intruzów nie pozbędzie się tak łatwo.

Drobne, korpulentne ciało Marty'ego zadrżało. Nie znosił nieznanym i przemocy w jakiegokolwiek formie. Jego okrągła twarz, jeszcze kilka sekund temu rumiana i radosna, teraz była blada i skurczona. Obserwował ekran, gdy mechaniczny głos ostrzegał mężczyzn na podjeździe.

Tak jak przewidywał, postanowili zignorować ostrzeżenie. Podbiegli do drzwi frontowych —
atak.

Po chwili Marty'emu poprawił się nastrój. Przynajmniej przez krótką chwilę będzie miał

dobrą zabawę. Strzelił palcami i podskoczył w fotelu, gdy automatyczny system obronny wypuścił chmurę gazu łzawiącego. Obydwaj napastnicy ukryli twarze w dłoniach. Odskoczyli do tyłu, kaszląc i klnąc.

Marty roześmiał się.

— Następnym razem słuchajcie dobrych rad!

Druga para zbirów przeniosła pojemniki na śmieci z sąsiedniego podwórka i ustawiła je pod żywopłotem. Marty przyglądał im się bacznie. W odpowiednim momencie... gdy znaleźli się na szczycie żywopłotu... wcisnął klawisz.

Deszcz ciężkich gumowych kulek strącił ich na ziemię. Spadli ciężko po stronie sąsiadów.

Marty zdążył tylko zachichotać. Dwaj mężczyźni przed domem doszli już do siebie i przedarli się do frontowych drzwi.

— A teraz gwóźdź programu! — mruknął Marty.

Patrzył z zadowoleniem, jak strumień cieczy z otworów nad drzwiami zmusił intruzów do odwrotu. Klasnął w dłonie. Niższy i grubszy, który wyglądał na przywódcę, otrząsnął się i sięgnął ręką do klamki.

Marty pochylił się jeszcze bardziej do przodu. W klamce kryło się urządzenie ogłuszające.

Facet krzyknął i podskoczył, uderzony w rękę prądem.

Marty zachichotał i obrócił się na krześle, żeby sprawdzić, co poczyna druga para. Wykazali się pewną pomysłowością. Staranowali żywopłot samochodem i teraz zbliżali się do domu od tyłu, prześlizgując się pod omiatającymi teren laserami.

Marty uśmiechnął się na myśl o tym, co ich czeka. Urządzenia ogłuszające w drzwiach i oknach, klatki, do których wpadną, jeśli dostaną się do środka.

Ale wszystkie zabezpieczenia, choć piekielnie irytujące, nie stwarzały zagrożenia dla życia.

Marty był łagodnym człowiekiem i nie miał powodów, żeby spodziewać się poważnego niebezpieczeństwa. System obronny wymierzony był przeciw łobuzom i żartownisiom — tym, którzy zakłócali mu spokój. Wymyślił i skonstruował dziecianną sieć pułapek i tajnych przejść rodem z komiksu.

Żadna z nich nie była w stanie powstrzymać prawdziwych zabójców i Marty o tym wiedział.

Ogarnął go dławiący strach. Serce waliło jak młotem. Ale genialny umysł miał swoje zalety.

Kilkanaście lat temu zaplanował wyjście z tego typu sytuacji. Chwycił pilota i wydruki dla Jona i popędził do łazienki. Po wciśnięciu przycisku wanna przy ścianie uniosła się. Inny przycisk otworzył drzwi zapadowe ukryte pod wanną. Ze ściśniętym ze strachu sercem Marty zszedł po drabince do oświetlonego tunelu. Za pomocą pilota zamknął drzwi nad sobą i opuścił wannę.

Odetchnął z ulgą. Chwiejnym krokiem dotarł do następnej zapadni.

Kilka sekund później wyłonił się w prawie identycznym domu przy następnej ulicy. Dom był

pusty i nie zabezpieczony. Nikt w nim nie mieszkał. Obok stała wiecznie tablica z napisem "NA SPRZEDAŻ". W środku był tylko telefon. Zza żywopłotu dochodziły go przekleństwa i okrzyki bólu. Usłyszał też złowrogi odgłos tłuczonej szyby. Wiedział, że napastnicy wkrótce wtargną do jego domu i zaczną szukać tajnego przejścia.

Przerażony sięgnął po telefon i wybrał numer.

11.07, Waszyngton

Uniwersytet w Georgetown został założony przez jezuitów w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku jako pierwszy katolicki uniwersytet w Stanach Zjednoczonych. Piękne osiemnasto-i-dziewiętnastowieczne budynki stały wśród drzew i brukowanych uliczek, które pamiętały czasy, gdy niewiele wiedziano o wirusach. Jednak już wtedy widziano w nauce środek do rozwiązania problemów trapiących ówczesne społeczeństwo.

Smith myślał o tym, podziwiając stare miasteczko uniwersyteckie przez okno pokoju nauczycielskiego.— Więc tutaj pracujesz? — zapytał.

— Wykładałam historię. Marjorie Griffin wzruszyła smutno ramionami. — Bill pewnie nigdy ci nie powiedział, czym się zajmuję. Gdy się poznaliśmy, pracowałam na uniwersytecie w Nowym Jorku. Później przeniosłam się tutaj.

— Nie mówił dużo o życiu prywatnym — przyznał. — Zwykle rozmawialiśmy o pracy i naszej wspólnej przeszłości, o dawnych czasach. Z roztargnieniem mieszała łyżeczką w kubku herbaty.

— Kiedy ostatnio się z nim spotykałam, mówił jeszcze mniej. Coś się stało z Billem w ciągu ostatnich kilku lat. Zrobił się milczący, ponury.

— Kiedy go widziałas?

— Dwa razy w ciągu ostatnich kilku dni. Zjawił się u mnie we wtorek rano i wczoraj wieczorem. Upiła łyk herbaty. — Był zdenerwowany, rozdrażniony. Martwił się też o ciebie.

Wszedł do mieszkania i od razu podszedł do okna, żeby wyjrzeć na ulicę. Zapytałam, czego szuka, ale nie odpowiedział. Poprosił za to o herbatę. Przyniósł ze sobą rogaliki z francuskiej piekarni na M Street.

— Niezobowiązująca wizyta? Ale w jakim celu? Marjorie Griffin nie odpowiedziała od razu.

Zasepiła się. Patrzyła przez okno, za którym brukowaną ścieżką przemaszerowała grupka studentów.

— Może chciał się spotkać. Wolę nie myśleć, że to było pożegnanie. Ale chyba po to przyszedł. Spojrzała na Smitha. — Myślałam, że będziesz wiedział.

Zdał sobie sprawę, że jest piękną kobietą, i wywarło to na nim wielkie wrażenie. Nie, nie była podobna do Sophii. Miała łagodniejsze rysy. Był w niej jakiś spokój i zadowolenie z tego, kim jest. Nie wydawała się bierna, ale też nie była kimś bezustannie poszukującym. Ciemnoszare oczy, czarne włosy uczesane we francuski warkocz opadający na kark. W swobodnym stylu.

Wydatne kości policzkowe i silnie zarysowana linia szczęki. Nie była ani szczupła, ani tęga.

Smith poczuł ożywienie, zauroczenie, które szybko odpłynęło. Zgasło, zanim mogło zamienić się w coś więcej oprócz przelotnego błysku — nieoczekiwanego i niechcianego — po którym natychmiast nastąpiło ostre ukłucie żalu. Uderzenie bólu, którym była Sophia.

— Dwa dni temu, prawie trzy — powiedział — ostrzegł mnie, że coś mi grozi. Opowiedział

jej o spotkaniu w parku, o atakach na niego, o wirusie i śmierci Sophii. — Ktoś ma tego wirusa, Marjorie. Zabili nim Sophię, Kielburgera i jego sekretarkę.

— Wielki Boże. Na delikatnej twarzy odbiło się przerażenie.

— Nie wiem, kto to zrobił i dlaczego. Nie chcę, żebym się dowiedział. Bill pracuje z nimi.

Zakryła usta dłonią.

— Nie! To niemożliwe!

— Tylko dlatego mogł mnie ostrzec. Usiłuję ustalić, czy wykonuje tajną misję dla FBI, czy też jest jednym z nich. Zawahał się. — Jego najbliższy przyjaciel z FBI mówi, że na pewno nie pracuje dla Biura.

— Lonny Forbes. Zawsze lubiłam Lonny'ego. Zagryzła usta i pokręciła smutno głową. —

Bill zrobił się przykry, cyniczny. Podczas ostatnich dwóch wizyt naprawdę coś go gryzło.

Wydawało mi się, że chodzi o coś, z czego nie jest dumny, ale musi dalej to robić, bo tak już jest urządzony ten świat. Podniosła kubek. Był pusty, więc zapatrzyła się tylko w jego dno. — To tylko moje domysły. Już nigdy nie wyjdę za męża. Co jakiś czas widuję się z kimś miłym, ale na tym się kończy. To Bill był moją wielką miłością. A on najbardziej kochał pracę i zawiódł się.

Wiem, że czuje się zdradzony. Można powiedzieć, że stracił wiarę.

Smith zrozumiał.

— Uznał, że w świecie, w którym nie liczy się nic poza pieniędzmi, należy mu się jego działka. Nie on pierwszy. Za duże pieniądze można kupić naukowców. Walkę z chorobami, ratowanie ludzkiego życia przeliczają na forszę. Nie mają skrupułów.

— Ale ciebie nie może zdradzić — powiedziała Marjorie. — Więc pewnie jest wewnętrznie rozdarty.

— Już mnie zdradził. Sophia nie żyje.

Marjorie chciała zaprotestować, ale zadzwonił telefon komórkowy Smitha. Kilka osób w pokoju nauczycielskim odwróciło się z irytacją. Wyjął komórkę z kieszeni.

— Tak?

Dzwonił Marty, miał podniecony i jednocześnie przerażony głos.

— Jon, zawsze mówiłem, że świat to niebezpieczne miejsce. Przerwał, żeby złapać dech. —

Teraz to udowodniłem. Na własnej skórze. Mam tu całą zgraję intruzów. Czterech. Włamali się do domu. Jak mnie znajdą, to zabiją. Teraz ty jesteś fachowcem. Musisz mnie uratować!

Smith starał się mówić cicho.

— Gdzie jesteś?

— W drugim domu. Podał adres. Nagle jego głos załamał się. Drżał z przerażenia. —

Pospiesz się!

— Już jadę.

Smith przeprosił Marjorie, zapisał jej swój numer telefonu komórkowego i poprosił, żeby dała znać, jeśli Bill znów się zjawi. Wybiegł z pokoju.

Przejeżdżając obok domu Marty'ego, zauważył szarą furgonetkę zaparkowaną na podjeździe.

Wyglądała na pustą, a wysoki żywopłot i zasłony nie pozwalały zajrzeć do domu. Rozejrzał się dookoła, ale nie zauważył nic podejrzanego. Normalne odgłosy ruchu ulicznego. Cały czas miał

się na baczności i w każdej chwili spodziewał się kłopotów. Pojechał dalej, skręcił i stanął na podjeździe parterowego domu przylegającego od tyłu do domu Marty'ego. Na trawniku stała biała metalowa tablica z napisem "NA SPRZEDAŻ", pordzewiała na brzegach.

Za frontowym oknem przesunął się cień. Tuż nad parapetem wychyłała przerażona twarz Marty'ego.

Smith podbiegł do drzwi.

Marty otworzył je, przyciskając do piersi plik kartek i pilota.

— Wchodź szybko. Pospiesz się. Rzucił przestraszone spojrzenia za Smitha. — Gdybyś był

Florence Nightingale, już bym nie żył. Co tak długo?

— Gdybyś ty był Florence Nightingale, mnie by tu nie było. Żylibyśmy w innych stuleciach.

Smith zamknął drzwi na zamek i rozejrzał się po pustym pokoju. Marty wyglądał przez okno. —

Opowiadaj. Co się stało?

Marty opuścił storę w oknie, opisał czterech nieznajomych, ich broń i próby wtargnięcia do domu.

Smith chodził po domu, sprawdzał zamki w drzwiach i oknach, a on kuśtykał za nim chwiejnym krokiem. W pokojach z zasłoniętymi oknami było szaro, w powietrzu unosiły się pyłki kurzu. Pusty dom był zabezpieczony jak każdy przeciętny dom, czyli niezbyt dobrze.

Marty zakończył wreszcie swoją opowieść litanią różnych przypuszczeń.

— Masz rację — przyznał posepnie Smith — wkrótce zaczną przeszukiwać okolicę.

— Świetnie. Właśnie to chciałem usłyszeć. Marty uśmiechnął się słabo. Wyszedł mu makabryczny grymas, ale w każdym razie starał się.

Smith ścisnął ramię przyjaciela i postarał się, żeby w jego głosie nie zabrzmiało zdenerwowanie.

— Jak się o nas dowiedzieli? Mówiłeś coś komuś?

— Nigdy w życiu.

— Więc musieli śledzić mnie, ale nie wiem jak. Szybko przypomniał sobie wszystkie wysiłki, które podjął, żeby zgubić pogoń, odkąd wyjechał z Frederick. — Tym razem nie podczepili mi nadajnika.

I wtedy usłyszał... dźwięk unoszący się nad wszechobecnymi odgłosami miasta. Początkowo nie mógł go umiejscowić, ale po chwili wiedział już, co to było, i w jaki sposób go śledzono.

Poczuł, że gardło mu się zaciska. Podeszedł do okna, podniósł storę i spojrzał do góry.

— Cholera! Walnął pięścią w ścianę.

Marty stanął tuż za nim. Helikopter unosił się nisko nad szeregiem parterowych domów, potem zawrócił na południe i zaczął zbliżać się do domu. Smith przypomniał sobie, że gdy odjeżdżał spod domu Marty'ego, też słyszał warkot śmigłowca.

Zaklął i jeszcze raz walnął pięścią w ścianę. Już wiedział: to triumph. Dopóki nie zjechał z autostrady międzystanowej w Gaithersburgu, nikt go nie śledził: nie mogli mu też założyć w wozie pluskwy. Ale ile odremontowanych triumphów z sześćdziesiątego ósmego roku — i to z widocznymi śladami wydarzeń zeszłej nocy — jeździło w tej okolicy? Na autostradzie między Frederick i Waszyngtonem we wczesnych godzinach rannych? Na pewno niewiele. Śmigłowiec, który widział przy śniadaniu w Gaithersburgu i o którym myślał, że należy do drogówki, należał

do kogoś zupełnie innego. Wystarczyło, że przewidzieli, iż pojedzie do Waszyngtonu i obserwowali autostradę, wypatrując triumpha. Numer tablicy rejestracyjnej potwierdził

identyfikację.

Z Gaithersburga lecieli za nim aż do Waszyngtonu.

Zdradził go własny samochód. Niech to diabli!

Głos Marty'ego zabrzmiał surowo.

— Jon, nie ma czasu na złość. I nie życzę sobie żadnych dziur w ścianach, chyba że je sam wywiercę. Mów, co wymyśliłeś. Może będę mógł jakoś pomóc.

— Nie mamy czasu. Teraz ja jestem fachowcem, tak? Kiedyś miałeś samochód. Masz go jeszcze? W triumfie czuł się zbyt pewnie. Teraz jego wrogowie będą się czuli zbyt pewnie, licząc na to, że nie stracą go z oczu. Każdy ma swój słaby punkt.

Marty skinął głową.

— Trzymam go w garażu niedaleko Massachusetts Avenue. Ale dobrze wiesz, że nigdy nie wychodzę z domu. Poszedł do następnego pokoju i wyjrzał nerwowo przez okno. Nadal ścisnął

pilota i plik papierów jak talizmany, które mają go uchronić przed niebezpieczeństwem.

— A teraz wyjdiesz — stwierdził stanowczo Jon. — Wyjdziemy frontowymi drzwiami i...

— J-J-Jon! Spójrz! — Marty wskazywał pilotem na okno.

Smith przypadł do niego z berettą w ręku.

Dwaj intruzi sforsowali żywopłot i teraz skradali się do domu. Pochylali się nisko i biegli z ostrożnością i determinacją zawodowców. Byli uzbrojeni. Smith poczuł, jak wali mu serce.

Marty zeszywniał ze strachu. Smith położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął. Kucnął przy oknie.

Począł, aż napastnicy zbliżą się na odległość pięciu metrów. Uchylił okno, starannie wycelował i strzelił im w nogi. Przez całe lata nie używał broni, ale nie zapomniał, jak się nią posługiwać. Był jak dobrze naoliwiona maszyna, która nie poddaje się rdzy.

Mężczyźni padli na twarz, jęcząc z bólu. Podczołgali się pod dwa stare kasztanowce i tam znaleźli schronienie. Smith wrócił do salonu.

— Idziemy, Marty.

Marty trzymał się blisko niego. Obaj wyjrżeli przez okno. To, czego obawiał się Smith, spełniło się: od frontu nadciągali dwaj następni. W jednym rozpoznał grubasa, który dwa dni temu przygotował na niego zasadzkę w Georgetown. Na dźwięk strzałów tłuszcioch dał nura w trawę i wyciągnął z kurtki glocka. Padł ciężko na brzuch, nie wypuszczając pistoletu z ręki.

Drugi mężczyzna zareagował o trzydzieści sekund za późno. Wciąż stał w połowie drogi do budynku na ceglanej ścieżce z wielkim starym koltem kaliber czterdzieści pięć.

Smith nie trafił go w nogę. Ale zanim mężczyzna zdołał wycofać się na ulicę, drugi strzał

Jona ranił go w ramię i rozpląszczył na ziemi. Marty obserwował wszystko z niepokojem.

— Dobrze strzelasz. Jon.

Smith myślał szybko. Nieoczekiwane strzały wyeliminowały dwójkę na tyłach domu. Ale przed domem jeden nie był nawet ranny, a jego kompan został zaledwie draśnięty. Napastnicy wiedzieli już, że mają niebezpiecznych przeciwników i będą działali ostrożnie, ale nie odejdą.

A helikopter przyśle posiłki.

— Czy od tej strony też można zejść do tunelu? — zapytał Smith ściśniętym głosem.

Marty spojrzał na niego. Pokiwał głową. Wiedział, o co mu chodzi.

— Jasne. To chyba logiczne.

— No to idziemy!

W sypialni Marty przycisnęła guzik pilota. Łóżko odsunęło się cicho i ukazała się zapadnia.

Otworzyła ją kolejna elektroniczna komenda.

— Za mną. — Ściskając mocno pilota i plik kartek, Marty wsunął się po drabince do jasno oświetlonego szybu, który prowadził do betonowego podziemnego tunelu. Gdy tylko znalazł się na dole, zniknął z pola widzenia.

Kilka sekund później Smith stanął obok niego.

— To wspaniały pomysł.

— I pożyteczny. — Nacisnął przycisk na pilocie. — Zamknę zapadnię i ustawię wszystko na swoim miejscu.

Szybko przeszli na drugi koniec jasnego tunelu. Smith zdecydował, że wyjdzie pierwszy.

Gdy już dotarł do małej łazienki, doznał szoku: z holu do salonu przechodził piąty mężczyzna.

Puls tętnił jak oszalały. Smith nasłuchiwał. Nagle zrozumiał, że mężczyzna zmierza do łazienki.

Zeskoczył z powrotem do szybu.

— Zamykaj!

Z niepokojem na okrągłej twarzy Marty zamknął zapadnię. Wanna opadła na podłogę. Kilka sekund później usłyszeli, jak ktoś wchodzi do łazienki, a potem dobiegł ich odgłos wody spływającej do muszli klozetowej.

Smith szepnął Marty'emu, co ma zrobić.

Rozdział 19

Z przygotowaną do strzału berettą Smith wspiał się na najwyższy szczebel drabinki. Wzjął

głęboki wdech i podniósł pistolet. Drzwi zapadni były zatarasowane stojącą na swoim miejscu wanną. Gdy jednak wanna ruszyła do góry, zapadnia rozchyliła się szybko i w polu widzenia Smitha znalazła się cała łazienka oraz kawałek holu i salonu. Stłumił ponury śmiech. Sytuacja wyglądała lepiej, niż sądził.

Odwrócony tyłem mężczyzna stał przy muszli klozetowej. Patrzył w lustro. Oszłomił go widok unoszącej się wanny i białej zjawy, która zmaterializowała się za nim, nie tylko oszłomionym, lecz obnażonym. Nie miał nawet czasu zapiąć rozporka.

Był jednak zawodowcem. Z rozpiętym rozporkiem chwycił za broń, którą położył wcześniej na spłuczce, i odwrócił się.

— Świetnie, ale to nie wystarczy. — Smith potężnym ciosem rąbnął go berettą w kolano.

Usłyszał trzask kości. Mężczyzna upadł na podłogę, jęcząc i trzymając się za nogę. Broń upadła i potoczyła się pod drzwi.

Jon wyskoczył z szybu, chwycił pistolet i zabrał krótkofalówkę ze spłuczki. Teraz mężczyzna nie mógł ani strzelać, ani wezwać pomocy.

— Hej! — ryknął. Wąską twarz wykrzywił mu ból. Próbował się podnieść, ale zmiażdżone kolano sprawiło mu nieznośny ból i upadł z powrotem na podłogę.

— O matko — powiedział Marty, gdy już wygramolił się z tunelu. Minął pospiesznie rannego.

Smith wyszedł za nim i zamknął łazienkę.

— Nie zastrześliłeś go? Smith pchnął Marty'ego.

— Wystarczyło go unieszkodliwić. Będzie musiał przejść trzy, cztery operacje, żeby złożyć to kolano. W tym stanie nie może nam zrobić krzywdy i nigdzie się nie ruszy. Idziemy, Marty.

Naprawdę musimy się spieszyć.

Gdy przechodzili przez pokój komputerowy, Marty zatrzymał się na chwilę i westchnął ze smutkiem. Podszedł za Smithem do klatki przy frontowych drzwiach, w której przestrelono zamek.

Smith uchylił lekko drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Szara furgonetka wciąż stała na podjeździe.

Kusiło go, żeby uruchomić ją "na styk" — nauczył się tego w dzieciństwie od Billa Griffina —

ale helikopter ciągle krążył nad domami.

— Idziemy na Massachusetts Avenue do twojego samochodu. Weź leki.

— Nie podoba mi się to. Marty wrócił do biurka, zabrał małą skórzaną saszetkę i dołączył do Smitha. — W ogóle mi się to nie podoba. Zadrżał. — Świat jest pełen obcych!

Smith nie zwracał uwagi na lamente przyjaciela. Teraz Marty bał się nieznajomych, ale Jon wiedział, że o wiele bardziej bał się śmierci.

— Trzymaj się blisko budynków, kryj się pod drzewami, szukaj kryjówek. Nie biegnij, bo zwrócisz na siebie uwagę. Jeśli dopisze nam szczęście, helikopter nas nie zauważy. W

przeciwnym razie będziemy musieli go zgubić, zanim dotrzemy do twojego samochodu. Na wszelki wypadek spróbuję unieruchomić furgonetkę.

Marty podniósł palec. Uśmiechał się od ucha do ucha.

— Ja się tym zajmę!

— Stąd? Ale jak?

— Puszczę z dymem jego komputer.

Smith zawsze wierzył Marty'emu w sprawach dotyczących elektroniki.

— Zobaczymy, co potrafisz.

Marty przeszukał szuflady biurka i wyjął skórzane pudełko wielkości dużego aparatu fotograficznego. Wysunął je przez drzwi w stronę bocznej burty furgonetki. Otworzył wieczko, pokręcił gałkami i wcisnął przycisk.

— Już po wszystkim.

Smith popatrzył na niego podejrzliwie.

— Nie widziałem, żeby coś się stało.

— Naturalnie. Za pomocą KIE zniszczyłem komputer odpowiedzialny za pracę silnika.

— Co to jest u diabła KIE?

— Krótkotrwały impuls elektromagnetyczny. Działa na częstotliwości radiowej. Coś jak elektryczność statyczna, tylko że mocniejsze. Sam to zbudowałem. Jest lepszy od przeciętnych urządzeń tego typu. Rosjanie sprzedają wersję przemysłową. Mieści się w walizce i kosztuje jakieś

sto tysięcy dolarów.

Jon był pod wrażeniem.

— Zabieraj to i idziemy. — Wyszedł na zewnątrz.

Marty stanął nieruchomo tuż za progiem. Rozejrzał się, oszołomiony błękitem nieba, zielenią trawy i ruchem ulicznym. Wyglądał na zdruzgotanego.

— To już tyle lat — bąknął i zadrżał.

— Uda ci się — powiedział Smith. Marty przełknął ślinę i przytaknął.

— No dobrze, jestem gotów.

Ze Smithem na przedzie pobiegli do wysokiego żywopłotu i dalej wzdłuż niego, do miejsca, gdzie łączył się z innym. Jon precyzyjnie przeszedł między krzakami, a za nim Marty. Na ulicy szli obok siebie szybkim krokiem. Byli po prostu dwoma rozbawionymi przyjaciółmi, zmierzającymi w stronę odległej o dwie przecznice Massachusetts Avenue.

Helikopter wisiał nad bliźniaczymi domami. Przed nimi widać było ruchliwą ulicę. Smith miał nadzieję, że gdy już tam dotrą, zmieszają się z tłumem przechodniów skuszonych pięknem Embassy Row i innych zabytków między Dupont i Sheridan Circle.

Nie zdążyli. Gdy dochodzili do drugiej przecznicy, warkot helikoptera nasilił się. Smith obejrzał się. Śmigłowiec leciał w ich stronę.

— O, matko! — Marty też go zobaczył.

— Szybciej! — rozkazał Smith.

Biegli boczną ulicą, a helikopter leciał za nimi tak nisko, że niemal kosił wierzchołki drzew.

Popychały ich podmuchy z potężnego wirnika. Rozległy się strzały. Marty krzyknął cicho. Kule wzbijały piasek i beton wokół nich, świstały w powietrzu.

Smith chwycił Marty'ego za ramię.

— Nie zatrzymuj się! — krzyknął.

Pędzili dalej, Marty poruszał się jak skrzyżowanie robota ze szmacianą lalką. Helikopter minął ich i próbował zawrócić.

— Szybciej! — Smith zaczął się pocić. Ciągnął za sobą Marty'ego.

Helikopter wykonał zwrot i podlatywał ku nim.

— Nie zdąży! — krzyknął z radością Smith. Wpadli na Massachusetts Avenue i wmieszali się w tłum. Było piątkowe popołudnie, ludzie wracali z restauracji, planowali weekend i spieszyli na umówione wizyty.

— O, Boże — Marty opierał się o Smitha, ale szedł dalej. Rozglądał się na wszystkie strony i przyglądał rozszerzonymi oczami ludzkiej masie.

— Świetnie ci idzie — zapewnił go Smith. — Wiem, że było ciężko, ale na razie jesteśmy bezpieczni. Gdzie twój samochód?

— Przy następnej przecznicy — odpowiedział Marty, dysząc z trudem. Smith patrzył na helikopter, który zawrócił już i krążył nad strumieniem przechodniów. Przesuwał się powoli, próbując wyłowić ich z tłumu. Smith przyjrzał się Marty'emu ubranemu w brązową kurtkę, niebieską koszulę i workowate spodnie.

— Zdejmij kurtkę i zawiąż ją sobie na biodrach.

— Dobra. Ale i tak mogą nas wypatrzeć. A wtedy nas powystrzelają.

— Będziemy dla nich niewidzialni. Kłamał, ale w tych okolicznościach kłamstwo wydawało się najmądrzejszym wyjściem. Maskując strach, rozpiął bluzę munduru i zdjął ją, cały czas idąc.

Owinał ją wokół czapki i wcisnął zawiniątko pod pachę. Nie było to wiele, ale mogło zmylić prześladowców, którzy usiłowali wypatrzeć ich wśród ludzi.

Minęli kolejną przecznicę, helikopter zbliżał się coraz bardziej. Smith zerknął na okrągłą, spoconą i nieszczęśliwą twarz Marty'ego. Marty posłał mu wymuszony uśmiech. Odpowiedział

tym samym, choć cały aż drżał ze zdenerwowania.

Helikopter zbliżał się. Był już prawie nad nimi.

Głos Marty'ego brzmiał podnieceniem.

— To tutaj! Poznają ulicę. Skręcamy!

Smith spojrzał na helikopter,

— Jeszcze nie. Udawaj, że zawiązujesz sznurowadło. Marty kucnął i poruszał palcami przy swoich tenisówkach. Smith pochylił się i zaczął strzepywać ze spodni niewidzialny brud.

Niektórzy przechodnie rzucali w ich stronę poirytowane spojrzenia. Tamowali ruch.

Helikopter odleciał dalej.

— Teraz. Smith przecisnął się przez tłum, torując drogę Marty'emu. Po kilku metrach znaleźli się w wąskim zaułku. Marty szedł w kierunku trzypiętrowego budynku z żółtej cegły z szeroką garażową bramą. Widać było stróżówkę, ale żaden samochód nie wjeżdżał, ani nie wyjeżdżał. Smithowi nie podobał się płaski dach. Mógł tam wylądować helikopter.

Marty wylegitymował się zdumionemu strażnikowi, który najwyraźniej jeszcze nigdy nie widział właściciela garażowanego samochodu.

— Na jak długo zabiera pan wóz, panie Zellerbach?

— Nie wiemy dokładnie — odpowiedział Smith, ratując Marty'ego przed rozmową z nieznajomym.

Strażnik jeszcze raz obejrzał dokumenty Marty'ego i zaprowadził ich na drugie piętro, gdzie pod brezentowymi pokrowcami stał rząd zaparkowanych samochodów.

Gdy zsunął pokrowiec z przedostatniego wozu, Smith wytrzeszczył oczy.

— Rolls-royce?

— Należał do ojca — Marty uśmiechał się nieśmiało.

Trzydziestoletni silver cloud lśnił tak samo, jak w dniu, w którym wyszedł spod rąk dawno zapomnianych rzemieślników. Strażnik uruchomił wóz i ostrożnie wyjechał. Oryginalny silnik rolls-royce'a mruczał cicho. Smith zastanawiał się, czy w ogóle pracuje. Żadnych zgrzytów, stuknięć i trzasków.

— Proszę bardzo, panie Zellerbach — powiedział z dumą strażnik. — To najpiękniejsza limuzyna w naszym garażu. Cieszę się, że wreszcie gdzieś wyjeżdża.

Smith odebrał kluczyki i kazał Marty'emu usiąść z tyłu. Nie włożył bluzy, a tylko czapkę, żeby upodobnić się trochę do szofera. Usiadł za kierownicą i przyjrzał się drewnianej tablicy rozdzielczej, przyrządom pomiarowym i regulatorom. Z podziwem wrzucił pierwszy bieg i wyjechał elegancką maszyną na ulicę. Prawie w całym kraju rolls-royce rzucałby się w oczy tak samo jak triumph. Ale nie w Nowym Yorku, Los Angeles i Waszyngtonie. Tutaj była to jedna z wielu drogich limuzyn, którymi wożono ambasadorów, zagranicznych dygnitarzy, ważne osobistości i dyrektorów firm.

— Podoba ci się, Jon? — zapytał Marty z tylnego siedzenia.

— Prowadzi się jak latający dywan — powiedział Smith. — Jest piękny.

— Dlatego go zatrzymałem. Marty uśmiechnął się z zadowoleniem i rozsiadł jak tusty kot.

Zamknięta przestrzeń samochodu działała na niego kojąco. Położył obok siebie papiery, czarną saszetkę z lekami i zachichotał. — Wiesz, ten gość w łazience powie reszcie o podziemnym przejściu, ale nie będą wiedzieli jak je otworzyć.

Podniósł triumfalnie pilota.

— Kurczę! Mają przechlapane!

Smith roześmiał się i zerknął w lusterko. Helikopter krążył bezradnie przecznicę dalej.

Wspaniała maszyna sunęła Massachusetts Avenue. Mimo dużego ruchu w limuzynie było prawie cicho.— Wydrukowałeś to, o co cię prosiłem?

— Tak. Mam dobrą i złą wiadomość.

Przejechali Dupont Circle, ruszyli na północ przez miasto w stronę autostrady 1-95 i wjechali na Beltway. Marty opowiadał o swoich poszukiwaniach w cyberprzestrzeni, a Smith przez cały czas zachowywał czujność i sprawdzał, czy nikt ich nie śledzi. Nie opuszczało go przeczucie, że w każdej chwili mogą być znów zaatakowani.

Ze zdziwieniem spojrzął w lusterko.

— Naprawdę udało ci się ściągnąć raport z Instytutu Księcia Leopolda? Marty kiwnął głową.

— I raporty z Iraku.

— Niesamowite. Dziękuję. A co z Billem Griffinem i rozmowami telefonicznymi Sophii?

— Niestety, kłapa. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

— Wiem. Lepiej przeczytam, co tam dla mnie masz.

Dojeżdżali do zjazdu na Connecticut Avenue przy parku Rock Creek w Maryland. Smith zjechał z autostrady, wjechał do parku i zatrzymał rolls-royce'a przy zacisznej łące otoczonej gęstymi drzewami.

— Zostały wykasowane przez szefową Federalnego Archiwum Dokumentów Medycznych w Narodowych Instytutach Zdrowia — powiedział Marty, podając mu wydruki.

— Cholerni urzędnicy! — zaklął Smith. — Za tym wszystkim kryje się ktoś z rządu albo z wojska. Albo ludzie, którzy są potężniejsi, niż myślałem.

— Boję się, Jon — powiedział Marty.

— Ja też i dlatego musimy przekonać się, o co w tym wszystkim chodzi.

Mrucząc pod nosem, przeczytał najpierw raport z Instytutu Księcia Leopolda.

Doktor Rene Giscours opisywał sprawozdanie z prac terenowych, które wpadło mu w ręce wiele lat temu, gdy pracował w szpitalu w boliwijskiej dżungli nad Amazonką. Borykał się wtedy z epidemią gorączki Machupo i nie miał głowy do tego, żeby zajmować się niesprawdzoną pogłoską z odległego

Peru. Ale zapamiętał informację o nieznanym wirusie, więc przejrzał

papiery i odnalazł starą notatkę, choć samo sprawozdanie gdzieś przypadło. Zanotował wtedy, że wirus wywołuje jedyną w swoim rodzaju kombinację symptomów hantawirusa i gorączki krwotocznej i ma jakiś związek z małpami.

Smith zastanowił się nad tym. Co zainteresowało Sopię w tym raporcie? Niewiele w nim faktów, nic oprócz niejasnego wspomnienia o dawnym wydarzeniu, gdzieś daleko w interiorze.

Czy chodziło o Machupo? Ale Giscours nie widział tu żadnego związku, a przeciwnie Machupo nie reagowały na nowego wirusa. Sugerował za to, że nowy nieznaną wirus rzeczywiście istnieje w naturze, ale badacze zakładali ten fakt. Może chodziło o Boliwię. A może o Peru. Tylko dlaczego?

— Coś ważnego? — dopytywał się Marty. Chciał jakoś pomóc.

— Jeszcze nie wiem. Daj mi przeczytać resztę.

Były jeszcze trzy raporty — wszystkie z irackiego Ministerstwa Zdrowia. Pierwsze dwa dotyczyły trzech zgonów wywołanych zespołem ostrych zaburzeń oddechowych, które zdarzyły się przed rokiem w rejonie Bagdadu. Przypisano je hantawirusowi przenoszonemu przez pustynne myszy, przygnane do miasta brakiem pokarmu na polach ściągają do miasta. Trzeci raport donosił o kolejnych trzech przypadkach zespołu ostrych zaburzeń oddechowych w Basrze, ale tym razem chorzy przeżyli. Wszyscy trzej w Basrze. Smitha zmroziło. Tyle samo osób zmarło, co przeżyło. Kontrolowany eksperyment? Czy trzy ofiary w Stanach też były jego częścią?

Przeczytał o związku pierwszych trzech amerykańskich ofiar z "Pustynną Burzą".

Poczuł, jak z serca spada mu ciężar. Miał wreszcie jaśniejszy obraz sytuacji. Musi polecieć do Iraku. Chciał dowiedzieć się, kto zmarł, kto przeżył... i dlaczego.

— Marty, jedziemy do Kalifornii. Mieszka tam pewien człowiek, który może nam pomóc.

— Ale ja nie latam.

— Teraz już tak.

— Ale Jon... — zaprotestował Marty.

— Daj spokój. Jesteś na mnie skazany. Poza tym w głębi ducha wiesz, że lubisz zwariowane rzeczy. Pomyśl, że to jeden z twoich szalonych pomysłów.

— Myślenie pozytywne w tym wypadku chyba nie wystarczy. Może mi odbić. Nie chcę tego, rozumiesz? Nawet Aleksander Wielki miał ataki.

— Epilepsji. Ty masz chorobę Aspergera i leki łagodzące objawy. Marty zmarł.

— Jest mały problem. Nie mam leków.

— Nie wzięłeś saszetki?

— Oczywiście, że wzięłem. Ale została mi tylko jedna dawka.

— Kupimy je w Kalifornii. — Marty skrzywił się, a Smith uruchomił rolls-royce'a i wjechał z powrotem na autostradę. — Przydadzą nam się pieniądze. Wojsko, FBI, prawdopodobnie policja i ci od wirusa będą sprawdzać moje konta bankowe i karty kredytowe. Ale nie twoje.

Przynajmniej na razie.

— Masz rację. — Cenię sobie życie, więc przypuszczam, że muszę się z tym zgodzić.

Dobrze. — Potraktuj to jak darowiznę. — Myślisz, że dwadzieścia pięć tysięcy dolarów wystarczy?

Smith zdumiał się, słysząc o takiej sumie. Ale kiedy zastanowił się nad tym, pomyślał, że pieniądze nie mają dla Marty'ego żadnego znaczenia.

— Wystarczy — odpowiedział.

Próbując przekrzyczeć warkot śmigłowca i szum strumienia zaśmigłowego, Nadal al-Hassan wydierał się do mikrofonu.

— Zgubiliśmy ich. Wydawało się, że ciemne okulary na spiczastym nosie są czarnymi dziurami, które pochłaniają światło.

Victor Tremont zaklął w swoim biurze nad jeziorem w Adirondack.

— Cholera! — Kim jest ten Marty Zellerbach? — Dlaczego Smith zwrócił się do niego?

Al-Hassan zakrył drugie ucho, żeby lepiej słyszeć.

— Dowiem się. — A co z wojskiem i FBI?

— Smith jest oficjalnie uznany za dezertera i łączy się go ze śmiercią Kielburgera i tych dwóch kobiet, wszystkich troje widział żywych jako ostatni. Wojsko i policja prowadzą poszukiwania. — Odległy ryk helikoptera w słuchawce sprawiał, że też chciał krzyczeć, jakby siedział obok al-Hassana. — Jack McGraw kontroluje sytuację dzięki swoim ludziom w FBI.

— Świetnie. W domu Zellerbacha jest dużo sprzętu komputerowego. Bardzo nowoczesnego.

Możliwe, że właśnie dlatego Smith go odwiedził. Dowiemy się, czego szuka, jeśli sprawdzimy, co przed ucieczką robił Zellerbach.

— Wyślę Xaviera do Waszyngtonu. — Niech twoi ludzie obserwują szpitale, do których przyjęto

ofiary, zwłaszcza te, które przeżyły. — Jak dotąd rząd nie ujawnił, że były przypadki wyzdrowienia, ale robi to. — Gdy Smith dowie się o tym, pewnie będzie chciał do nich dotrzeć.

— Już się tym zająłem.

— Świetnie. Gdzie jest Bill Griffin?

— Nie wiem. — Nie meldował się dzisiaj.

— Znajdź go!

Rozdział 20

19.14, Nowy Jork

Mercer Haldane, prezes Blanchard Pharmaceuticals Inc., z trudem wymusił uśmiech na widok pani Pendragon, która przyniosła mu porządek jutrzejszego posiedzenia zarządu. Rzucił jej też — jak to miał w zwyczaju — pogodne "dobranoc". Znów został sam. Ubrany w elegancki smoking siedział w fotelu zatopiony w myślach. Wieczorem czekała go kwartalna uroczysta kolacja dla członków zarządu. Ale on musiał najpierw rozwiązać pewien bardzo trudny problem.

Haldane był dumny z firmy — z jej historii i przyszłości. Założyli ją w garażu w Buffalo w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku Ezra i Elijah Blanchardowie. Zamierzali wytwarzać mydło i krem do twarzy według oryginalnych receptur ich matki. Firma pod okiem Blanchardów rozwijała się i poszerzyła asortyment o produkty fermentacyjne. Podczas drugiej wojny światowej Blanchard był jednym z niewielu zakładów, które wytypowano do produkcji penicyliny, co dało im status firmy farmaceutycznej. Po wojnie nastąpił szybki rozwój i w latach sześćdziesiątych przy hucznych fanfarach weszli na giełdę. Dwadzieścia lat później, na początku lat osiemdziesiątych, ostatni potomek rodziny Blanchardów przekazał kierownictwo Mercerowi Haldane'owi. Jako dyrektor wykonawczy Haldane wprowadził Blancharda w lata dziewięćdziesiąte. Dziesięć lat temu objął też stanowisko prezesa zarządu. Teraz była to już jego firma.

Jeszcze dwa dni temu przyszłość Blancharda wyglądała tak różowo, jak jego przeszłość.

Victor Tremont był odkryciem Haldane'a — doskonałym biochemikiem z predyspozycjami kierowniczymi i instynktem twórczym. Haldane powoli szkolił go i zapoznawał ze wszystkimi stronami działalności. Przynosił Victora, żeby kiedyś przejął od niego pałeczkę. Cztery lata temu awansował go nawet na stanowisko dyrektora operacyjnego, ale nie przestał sprawować faktycznej kontroli nad firmą. Wiedział, że Victor nie może się doczekać, kiedy przejmie ster.

Ale Haldane cieszył się z tego. Ambitny pracownik, który marzy o kierowniczym stanowisku, nie traci ducha współzawodnictwa.

Jednak tego wieczora Mercer Haldane kipiał z gniewu.

Rok temu nowy audytor doniósł, że księgowanie wydatków na badania i rozwój wydaje mu się dziwne. Audytor był zaniepokojony, a nawet zdenerwowany. Nie można było wytłumaczyć operacji finansowych związanych z wieloma projektami. Haldane doszedł wtedy do wniosku, że niepokój kontrolera wynika z faktu, że nie zna się na zawiłościach procesu badań i rozwoju w przemyśle farmaceutycznym. Ale Haldane był osobą przezorną, więc zatrudnił drugą firmę audytorską, żeby zajęła się sprawą bardziej dogłębnie.

Rezultaty były zatrważające. Dwa dni temu Haldane otrzymał raport. W ciągu ponad dziesięciu lat — drogą zawiłych operacji, ledwie zauważalnych nieprawidłowości, drobnych nadwyżek i deficytów, manipulacji dokumentami, pożyczek, nadmiernych wydatków na zaopatrzenie i konserwację, podkradania i wycieków — z budżetu na badania i rozwój zniknął

prawie miliard dolarów. Miliard dolarów! Podobną sumę wydano na tajemniczy program badawczy,

o którym Haldane nigdy nie słyszał. Dokumentacja sprawy była szalenie skomplikowana i audytorzy przyznali, że nie są całkowicie pewni swych rewelacji. Z całą pewnością stwierdzili za to, że powinien zgodzić się na dalsze dochodzenie.

Haldane podziękował im, obiecał, że będzie w kontakcie, i natychmiast pomyślał o Victorze Tremencie. Ani przez sekundę nie wierzył, że można stracić miliard dolarów przez drobne małwersacje i że Victor mógłby ukraść taką sumę. Było za to całkiem możliwe, że jego ambitny zastępca zorganizował tajny program badawczy i chciał ukryć go przed Haldanem. Tak, w to gotów był uwierzyć.

Nie zareagował od razu. Umówił się z Victorem w nowojorskim gabinecie przed kolacją, którą co kwartał wydawał dla członków zarządu. Skonfrontuje Victora z tym, czego się dowiedział, i zażąda wyjaśnień. Tak czy inaczej okaże się, czy tajny program rzeczywiście istnieje. Jeśli tak, będzie musiał go zwolnić. Ale może warto ocalić projekt. Jeśli nie istnieje żaden tajny program, a Victor nie będzie w stanie wytłumaczyć utraty miliarda dolarów, też z miejsca go zwolni.

Haldane westchnął. Sprawa Victora była przygnębiająca, ale jednocześnie czuł, że krew szybciej krąży mu w żyłach. Choć posuwał się w latach, perspektywa walki wciąż go cieszyła.

Zwłaszcza jeśli wiedział, że ją wygra.

Na dźwięk wjeżdżającej na górę windy wstał i przeszedł przez luksusowy gabinet z południową wystawą i widokiem na całe miasto, aż do Battery i zatoki. Nalał sobie kieliszek koniaku XO i wrócił do biurka. Otworzył pudełko, wybrał cygaro, zapalił je i zaciągnął się głęboko. Winda zatrzymała się. Wyszedł z niej ubrany w smoking Tremont.

Haldane odwrócił się do niego.

— Dobry wieczór, Victorze. Nalej sobie brandy.

Tremont przyjrzał się Haldane'owi, który siedział za wielkim biurkiem i palił cygaro.

— Wyglądasz dzisiaj bardzo poważnie, Mercer. — O co chodzi?

— Przynies sobie brandy, zaraz o tym porozmawiamy.

Tremont napełnił kieliszek starym koniakiem, poczęstował się cygarem, zasiadł w wygodnym skórzanym fotelu naprzeciw Haldane'a i założył nogę na nogę.

Uśmiechnął się.

— Nie traćmy więc cennego czasu. — Przed kolacją muszę wstąpić po pewną damę. — Co narozrabiałem?

Haldane zirytował się. Victor go prowokował. Postanowił niczego nie owijać w bawełnę i od razu pokazać Victorowi, gdzie jest jego miejsce.

— Podobno w niewyjaśniony sposób straciliśmy miliard dolarów. Co zrobiłeś: ukradłeś te pieniądze czy przeznaczyłeś je na jakiś prywatny program?

Tremont sączył brandy, odwrócił cygaro, żeby przyjrzeć się popiołowi. Pokiwał głową, jakby spodziewał się oskarżenia. W świetle lampy na długiej arystokratycznej twarzy kryły się cienie.

— Tajny audyt. — Myślałem, że chodzi o to. — Odpowiedź jest prosta... i tak, i nie. —

Rzeczywiście wydałem te pieniądze na własny projekt. — Nie ukradłem ich.

Haldane stłumił złość.

— Jak długo to trwa?

— Już jakieś dziesięć lat. Zacząłem parę lat po powrocie z wyprawy do Peru, na którą mnie wysłałeś, gdy pracowałem w głównym laboratorium. — Pamiętasz?

— Dziesięć lat! — To niemożliwe! — Nie mogłeś zwodzić mnie tak długo. — Co naprawdę...

— Ależ mogłem i robiłem to. — Nie działałem sam, rzecz jasna. — Zorganizowałem zespół

z pracowników firmy. — Z najlepszych ludzi, jakich mamy. — Dostrzegli korzyści finansowe płynące z mojego pomysłu i dołączyli do mnie. — Trochę twórczego księgowania, pomoc ochrony, kilku doskonałych naukowców, własne laboratorium, wiele poświęcenia, współpraca z rządem federalnym, wojskiem i voila!: program Hades. Wymyślony, zaplanowany, opracowany i gotowy do realizacji. Tremont uśmiechnął się i machnął cygarem jak czarodziejską różdżką. —

Za kilka tygodni, najwyżej parę miesięcy, mój zespół i Blanchard zarobią miliardy. —

Prawdopodobnie setki miliardów. — Będziemy bogaci: ja, mój zespół, zarząd, akcjonariusze, no i oczywiście... ty.

Cygaro Haldane'a zastygło w powietrzu.

— Jesteś szalony. Tremont roześmiał się.

— Nie. — Jestem po prostu dobrym biznesmenem, który wymyślił sposób zrobienia gigantycznej fortuny.

— Jesteś szalony i wylądujesz w więzieniu! — krzyknął Haldane.

Tremont podniósł rękę.

— Uspokój się, Mercer. — Nie chcesz się dowiedzieć, na czym polega program Hades? —

W jaki sposób zapewni nam wszystkim, razem z twoją niewdzięczną osobą, nieprzyzwoite bogactwo?

Mercer Haldane zawahał się. Tremont przyznał, że wydał pieniądze firmy na tajne badania.

Trzeba będzie go wyrzucić i sprawę skierować do sądu. Ale Victor był też doskonałym chemikiem i w świetle prawa jego projekt należał do Blancharda. Być może zapewni firmie duże korzyści. Jako prezes i dyrektor wykonawczy musiał dbać o zyski.

Haldane uniósł siwą głowę.

— Wprawdzie niczego to nie zmieni, ale powiedz, co to za genialny pomysł.

— Trzydzieści lat temu wysłałeś mnie do Peru i tam w głębokiej dżungli odkryłem dziwnego wirusa. — Bardzo niebezpiecznego, śmiertelnego w większości przypadków. — Jedno z plemion potrafiło leczyć chorobę: pili oni krew pewnego gatunku małp, nosicielei wirusa. — Sprawa zaciekała mnie, więc sprowadziłem do kraju kolonie wirusa i krew kilku gatunków małp. —

To, co odkryłem, było zdumiewające, a równocześnie elegancko logiczne.

Haldane przyglądał się Tremontowi.

— Mów dalej.

Victor pociągnął długi łyk koniaku, cmoknął z uznaniem i uśmiechnął się do szefa znad krawędzi kieliszka.

— Małpy były nie tylko nosicielkami wirusa, ale też chorowały. I tu pojawiła się dziwna sprawa. Wirus nie ujawnia się latami, podobnie jak HIV przed przemianą w AIDS. Czasem może wystąpić gorączka, ból głowy, nagłe, lecz krótkie bóle, aż w końcu — najwyraźniej spontanicznie — wirus przechodzi mutację, przez dwa tygodnie wywołuje objawy ciężkiego przeziębienia lub łagodnej grypy, a w końcu powoduje natychmiastową śmierć. Zarówno u ludzi, jak u małp. Lecz u małp — i tu leży klucz do mojego odkrycia — wirus atakuje wcześniej i dużo łagodniej. Wiele małp zdrowieje, a w ich krwi roi się od antygenów zmutowanego wirusa.

Przypuszczam, że Indianie drogą prób i błędów odkryli uzdrawiającą moc małpiej krwi. W

większości przypadków wracali do zdrowia, o ile oczywiście wypili krew odpowiedniej małpy.

Tremont pochylił się do przodu.

— Piękno tej symbiozy polega na tym, że bez względu na rodzaj mutacji, a może ona przybierać różne formy, zmutowany wirus zawsze najpierw atakuje małpy, dzięki czemu zawsze można uzyskać antygeny do każdej mutacji. To prawdziwy dar natury.

Zadziwiające — przyznał oschle Haldane. — Ale w twojej anegdocie nie widzę żadnych finansowych możliwości. — Czy ten wirus wystąpił gdzieś, gdzie nieznane jest antidotum?

— Udało się ustalić, że nie. — Na tym właśnie opiera się program Hades.

— Oświeć mnie, proszę. — Nie mogę się doczekać.

Tremont roześmiał się.

— Kpisz sobie ze mnie. Powoli dojdziemy do wszystkiego, Mercer. Wstał i podszedł do barku. Dolał sobie wybornego koniaku prezesa. Znów usiadł i założył nogę na nogę. — Nie byłoby dobrym pomysłem sprowadzanie milionów małp i zabijanie ich, żeby zdobyć krew.

Zresztą nie wszystkie małpy mają antygeny, a krew i tak szybko by się popsowała. Najpierw więc musieliśmy wyizolować wirusa i antygeny we krwi. Potem trzeba było ustabilizować antygeny, ustalić bezpieczną metodę produkcji na dużą skalę i uzyskać odpowiednio szerokie spektrum, które pomieści kilka spontanicznych mutacji.

— Chcesz powiedzieć, że dokonałeś tego wszystkiego?

— Tak. Wyizolowaliśmy wirusa i po roku byliśmy gotowi do produkcji. Reszta zajęła więcej czasu. Prace nad szczepionką zakończyliśmy dopiero w zeszłym roku. Teraz miliony dawek czekają na transport. Uzyskaliśmy patent na lek przeciw małpiemu wirusowi, nie wspominając oczywiście o nieznanym wirusie atakującym ludzi. Ma to wyglądać na szczęśliwy zbieg okoliczności. Zawyżyliśmy wydatki, żeby zażądać wyższej ceny i ubiegamy się o akceptację Inspektoratu Żywności i Leków. Haldane nie dowierzał własnym uszom.

— Nie macie jeszcze akceptacji Inspektoratu?

— Po wybuchu pandemii natychmiast ją dostaniemy.

— Pandemii? Tym razem Haldane roześmiał się szyderczo. — Jakiej pandemii? Chcesz powiedzieć, że na razie nie ma epidemii wirusa i wasza szczepionka nikomu nie jest potrzebna?

Mój Boże...

Tremont uśmiechnął się.

— Ale będzie.

Haldane wytrzeszczył oczy.

— Będzie?

— W Stanach odnotowano niedawno sześć przypadków, z których trzy zostały wyleczone dzięki naszemu serum. Pojawia się coraz więcej chorych, a za granicą są ich już tysiące. Za kilka dni cały świat dowie się o wiszącej nad nim groźbie. To nie będzie przyjemne.

Mercer Haldane siedział nieruchomo przy biurku. Zapomniał o koniaku, cygaro spadło z popielniczki i przypalało blat. Tremont czekał z przyklejonym do gładkiej twarzy uśmiechem.

Szpakowate włosy i opalona skóra jaśniały w świetle lampy. Gdy Haldane wreszcie przemówił, nawet Tremont spojrział na niego z przykrością.

Głos miał jednak opanowany.

— Jest pewien aspekt tego programu, o którym mi nie mówisz.

— Być może — odparł Tremont.

— Mianowicie?

— Nie chciałbyś o tym wiedzieć.

Haldane zastanowił się.

— To się nie uda. Trafisz do więzienia, Victorze. Już nigdy nie będziesz pracował.

— Zaufaj mi. Poza tym siedzisz w tym równie głęboko, jak ja. Białe brwi Haldane'a uniosły się ze zdziwienia.

— Ale...!

Tremont roześmiał się.

— Do diabła, nawet głębiej. Ja jestem kryty. Każde zlecenie, każde zamówienie, każdy wydatek został przez ciebie zaaprobowany i podpisany. Mamy na wszystko twoją zgodę na piśmie. Większość podpisów jest autentyczna, bo gdy wpadasz w zły humor, podpisujesz wszystkie dokumenty, żeby się ich pozbyć z biurka. Podsuwałem ci je, a ty składałeś podpis i wyganiałeś mnie z gabinetu jak uczniaka. Pozostałe podpisy są sfalszowane, ale nikt tego nie rozpozna. Jeden z moich ludzi zatrudnił specjalistę.

Jak stary lew Haldane stłumił wściekłość wywołaną przebiegłością Tremonta. Przyglądał się swemu protegowanemu, oceniając wartość tego, co mu wyjawiał. Choć niechętnie, musiał

przyznać, że zyski mogły być astronomiczne, a on powinien zadbać o własną działkę. Ale równolegle usiłował wykryć jakąś usterkę, błąd, który mógłby doprowadzić wszystkich do upadku. Znalazł ją.

— Rząd będzie chciał produkować twoje lekarstwo na masową skalę. Ofiarować je światu.

Odbiorą ci wynalazek dla dobra ogółu.

Tremont pokręcił głową.

— Nie. Nie wyprodukują szczepionki, jeśli nie dostarczymy im formuły. Ale nie zechcą nam jej odebrać. Przede wszystkim nie będzie na to czasu, zwłaszcza że mamy już odpowiednie zapasy. Po

drugie, żaden rząd nie odmówi nam godziwego zysku. Przecież tego uczymy cały świat. Żyjemy w kapitalistycznym społeczeństwie, a my po prostu uprawiamy zdrowy kapitalizm. Żeby ocalić ludzkość, pracowaliśmy dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc zasługujemy na nagrodę. Co prawda, zawyżyliśmy koszty badań, ale nikt nie będzie szperać tak głęboko. Osiągniemy imponujące zyski.

Haldane skrzywił się.

— A więc wybuchnie pandemia. Chyba jedyną pociechą w tym wszystkim jest to, że masz lekarstwo. Może straty nie będą zbyt duże.

Cynizm miał ukryć to, że Haldane próbuje zmusić się do kapitulacji. Jak zwykle Tremont dobrze przewidział jego reakcję. Teraz rozglądał się powoli po gabinecie prezesa, jakby próbował zapamiętać każdy szczegół.

Potem skupił wzrok na swym byłym mentorze, przybrał chłodny, surowy wyraz twarzy.

— Ale żeby wszystko zadziało, ja muszę przejąć ster. Więc na jutrzejszym posiedzeniu zarządu podasz się do dymisji. Przekażesz firmę mnie. Będę dyrektorem wykonawczym, przewodniczącym komitetu wykonawczego, pełna kontrola. Ty możesz pozostać prezesem zarządu, jeśli chcesz. Możesz nawet mieć większy kontakt z codziennymi operacjami niż inni członkowie. Ale za rok przejdziesz na emeryturę z bardzo wysoką odprawą, a wtedy ja zostanę prezesem.

Haldane osłupiał. Wojowniczy stary lew zaczynał tracić ducha. Tego nie przewidział. Nie docenił Tremonta.

— A jeśli się nie zgodzę?

— Nie możesz. Patent otrzymała grupa, której jestem głównym akcjonariuszem. Licencję udzielono Blanchardowi za duży procent w zyskach. Sam zaakceptowałeś ten układ kilka lat temu, więc wszystko jest jak najbardziej legalne. Ale nie martw się. Blanchard dobrze zarobi i znajdzie się duża premia dla ciebie. Zarząd i akcjonariusze oszaleją ze szczęścia, nie mówiąc już o sławie. Będziemy bohaterami, którzy ocalą świat przed apokaliptyczną katastrofą gorszą od dżumy.

— Ciągłe podkreślasz to, ile zarobię pieniędzy. Nie widzę żadnego powodu, żeby odchodzić.

Sam wszystko przeprowadzę i dopilnuję, żebyś i ty nie poczuł się poszkodowany.

Tremont zachichotał. Delektował się wizją odegrania roli zbawcy i zrobienia fortuny równej skarbowi Midasa. Potem spojrzał pośepnie na Haldane'a.

— Program Hades odniesie oszołamiający sukces, największy w historii Blancharda. Ale mimo iż na papierze zaakceptowałeś wszystko, nic o nim nie wiesz. Jeśli spróbujesz mi go wykraść, w najlepszym razie wyjdiesz na idiotę. W najgorszym ujawnisz swój całkowity brak kompetencji. Wszyscy pomyślą, że chciałeś przywłaszczyć sobie owoce mojej pracy. Wtedy namówię zarząd i akcjonariuszy, żeby od ręki cię wykopali.

Haldane wciągnął głęboko powietrze. Takiego scenariusza nie przewidział w najgorszych snach. Wydarzenia zamknęły go w żelaznym uścisku. Stracił nad nimi kontrolę. Ogarnęło go poczucie bezsilności, czuł się jak ryba schwytana w sieć, z której nie ma ucieczki. Nie wiedział, co powiedzieć. Tremont miał rację. Tylko głupiec walczyłby w tej sytuacji. Lepiej przyjąć reguły gry i zgarnąć forszę. Gdy tylko podjął decyzję, poczuł się zdecydowanie lepiej. Nie dobrze —
lepiej.

Wzruszył ramionami.

— No, to chodźmy na kolację. Tremont roześmiał się.

— Oto Mercer, którego znam. Rozchmurz się. Będziesz sławny i bogaty.

— Już jestem bogaty, a na sławie nigdy mi nie zależało.

— Przyzwyczajaj się. Zobacysz, będzie fajnie. Pomyśl tylko o wszystkich byłych prezydentach, z którymi będziesz mógł grać w golfa.

Rozdział 21

16.21, piątek, 17 października San Francisco

Późnym piątkowym popołudniem Smith i Marty Zellerbach wylądowali na międzynarodowym lotnisku w San Francisco. Przylecieli wynajętym samolotem, za który zapłacili kartą kredytową Marty'ego. Pamiętając o konieczności wykupienia leków, Smith natychmiast wypożyczył samochód, pojechał do śródmieścia i znalazł aptekę. Aptekarz zadzwonił do lekarza Marty'ego w Waszyngtonie, żeby uzyskać od niego potwierdzenie, ale lekarz chciał koniecznie porozmawiać z Martym. Smith przysłuchiwał się rozmowie z drugiego aparatu.

Lekarz zachowywał się sztucznie i zadawał dziwaczne pytania. W końcu zapytał Marty'ego, czy jest z nim pułkownik Smith.

Smith wyrwał przyjacielowi słuchawkę i przerwał połączenie.

— Twój lekarz próbował cię tu zatrzymać — tłumaczył cicho Marty'emu, a aptekarz przyglądał im się zza szyby. — Póki nie przyjedzie FBI lub wojsko i aresztuje mnie. Albo bandyci, którzy się do ciebie włamali. Obydwaj wiemy, co z nami zrobią.

Marty wybałuszył oczy ze strachu.

— Aptekarz podał nazwę i adres apteki. Teraz mój lekarz wie, gdzie jesteśmy!

— No tak. On i ci, którzy podsłuchiwali. Zabierajmy się stąd.

Wybiegli. Lek Marty'ego przestawał działać, musieli jednak zachować ostatnią dawkę na jutro, przed długą podróżą, która ich czekała. Marty pojękiwał cicho i trzymał się blisko Smitha.

Przecierpiał wizyty w sklepach, gdzie zaopatrzyli się w ubrania i niezbędne drobiazgi, a potem z niechęcią zjadł kolację we włoskiej restauracji w North Beach. Smith pamiętał ją z krótkiego pobytu w Presidio, gdzie niegdyś mieściła się baza wojskowa. Geniusz komputerowy robił się coraz bardziej drażliwy i gadatliwy.

O zmroku wynajęli pokój w "Mission Inn" na Mission Street. Mgła kłębiła się wokół stylowych latami i snuła nad oknami.

Marty nie dostrzegał uroku tego miejsca ani zalet małego motelu.

— Chyba nie zamierzasz zamknąć mnie w tej średniowiecznej sali tortur. Kto na litość boską byłby na tyle głupi, żeby spędzić noc w tym ohydny lochu? W pokoju wyczuwało się zapach mgły. — Pojedźmy do "Stanford Court". Przynajmniej jakoś wygląda i od biedy można w nim przenocować. Mówił o jednym z najbardziej luksusowych hoteli w San Francisco.

Smith zdziwił się.

— Byłeś tam kiedyś?

— Och, tysiące razy! — odparł Marty z przesadną emfazą, która ostrzegła Smitha, że przyjaciel traci kontrolę nad sobą.

— Wynajmowaliśmy tam apartament, gdy ojciec zabierał mnie do San Francisco. Byłem oczarowany. W holu bawiłem się w chowanego z bojami hotelowymi.

— I wszyscy wiedzą, że tam się zatrzymujesz w San Francisco?

— Oczywiście.

— Jeśli chcesz, żeby nasi porywcy przyjaciele cię znaleźli, możesz tam pojechać.

Marty natychmiast zmienił zdanie.

— Masz rację. Pewnie już są w San Francisco. Jesteśmy tu bezpieczni?

— O to chodzi. Motel znajduje się na uboczu i zameldowałem nas pod fałszywymi nazwiskami. Zostaniemy tylko na jedną noc.

— Nie zmrużę tu oka. Marty nie zgodził się rozebrać przed spaniem. — Mogą zaatakować w każdej chwili. Nie zamierzam biegać po ulicy w nocnej koszuli, gdy te potwory albo FBI będą mnie gonić.

— Musisz się wyspać. Jutro czeka nas długa podróż.

Marty nie chciał o niczym słyszeć. W czasie, gdy Smith golił się i mył zęby, podstawił krzesło pod drzwi. Zgniół po kolei wszystkie strony gazety i ułożył papiery przed drzwiami.

— Teraz nas nie zaskoczą. Widziałem coś takiego w filmie. Detektyw położył też pistolet na szafce przy łóżku, żeby móc po niego sięgnąć w każdej chwili. Zrobisz to samo ze swoją beretką?

— Jeśli dzięki temu masz się lepiej poczuć... — Smith wyszedł z łazienki i wycierał twarz.

— Kładźmy się spać.

Wsunął się pod kołdrę. Marty położył się w ubraniu na drugim łóżku. Patrzył szeroko otwartymi oczami w sufit. Nagle spojrzał na Smitha.

— Po co przyjechaliśmy do Kalifornii?

Smith zgasił lampkę nocną.

— Żeby spotkać się z kimś, kto może nam pomóc. Mieszka w górach Sierra Nevada niedaleko Yosemite.

— No tak. Góry Sierra. Kraina plemienia Modok! Znasz historię o kapitanie Jacku i Lava Beds? Był wybitnym wodzem Modoków. Modokowie zostali zamknięci w tym samym rezerwacie, co ich śmiertelni wrogowie, plemię Klamatów. — W ciemnościach pokoju Marty zagłębiał się w niespokojne marzenia. — W końcu Modokowie zabili kilku białych, więc ruszyła na nich armia Stanów Zjednoczonych z armatami! Było ich może dziesięciu, a przeciw nim cały pułk. I...

Opowiedział szczegółowo o krzywdzie wyrządzonej niewinnemu wodzowi Modoków przez wojsko. Potem zaczął snuć opowieść o wodzu Josephie i jego plemieniu Nez Perce w stanach Waszyngton i Idaho, o ich szalonej walce o wolność z połową armii Stanów Zjednoczonych.

Cytował właśnie rozdzierającą serce ostatnią mowę Josepha, gdy nagle gwałtownie odwrócił się do drzwi.

— Są na korytarzu! Słyszę ich! Jon, bierz broń!

Smith zerwał się, chwycił beretkę i próbował bezszelestnie przedostać się przez zmięte gazety, co było niemożliwe. Nasłuchiwał przy drzwiach. Serce waliło mu w piersi.

Czuwał przez pięć minut.

— Na pewno coś słyszałeś, Marty?

— Jestem absolutnie pewien. Na sto procent. Zatrzepotał rękoma w powietrzu. Siedział sztywno wyprostowany, a jego okrągła twarz drżała.

Smith przykucnął, chcąc ulżyć zmęczonemu ciału. Nasłuchiwał jeszcze przez pół godziny.

Na korytarzu ludzie wchodzili i wychodzili. Ktoś rozmawiał, ktoś roześmiał się od czasu do czasu. Smith pokręcił głową.

— Nie słyszę nic podejrzanego. Kładź się spać. Wrócił po szeleszczących gazetach do łóżka. Marty potulnie zamilkł i położył się. Dziesięć minut później zaczął z werwą opowiadać kolejno historię wszystkich wojen z Indianami od czasów króla Filipa w siedemnastym wieku począwszy.

Nagle znów usłyszał kroki.

— Ktoś jest pod drzwiami, Jon! Zastrzel ich. Zastrzel ich! Zanim się włamią! Zastrzel ich!

Jon błyskawicznie znalazł się pod drzwiami. Nie dochodził zza nich żaden dźwięk. Miarka się przebrała. Marty przez całą noc będzie co chwila wszczynał alarm i opowiadał o indiańskich wojnach. Wejdzie na swoją orbitę i jeśli nie zażyje lekarstwa, sytuacja będzie się pogarszać.

Smith wstał.

— Słuchaj, Marty, lepiej weź ostatnią dawkę. Uśmiechnął się dobrotliwie. — Miejmy nadzieję, że gdy jutro zajedziemy do Petera Howella, zdobędziemy lekarstwa. Tymczasem potrzebujesz snu. Ja też.

Marty'emu huczało i błyskało w głowie. Słowa i obrazy pojawiały się i znikwały w niewiarygodnym tempie. Głos Jona docierał do niego z daleka, jakby dzielił ich cały kontynent.

Skoncentrował się i zobaczył starego kumpla i jego uśmiech. Jon chciał, żeby połknął lekarstwo, ale on buntował się przeciwko opuszczeniu tego fascynującego świata, gdzie życie toczy się szybko i dramatycznie.

— Marty, tu jest twoje lekarstwo. Jon stał przy nim ze szklanką wody w jednym i znenawidzoną pigułką w drugim ręku.

— Wolałbym raczej przejechać się na wielbłądzie po gwieździstym niebie i popijać niebieską lemoniadę. A ty nie? Nie chciałbyś posłuchać wrózek grających na złotych harfach?

Nie chciałbyś porozmawiać z Newtonem i Galileuszem?

— Marty? Słyszysz mnie? Proszę, połknij pigułkę.

Marty patrzył na Jona, przykucniętego przy nim z poważną i zmartwioną miną. Lubił go z wielu powodów, ale żaden nie miał w tej chwili znaczenia.

— Wiem, że mi ufasz, Marty — powiedział Jon. — Uwierz, za długo nie bierzesz leków.

Czas, żebyś wrócił.

Marty mówił szybko i ze skargą w głosie.

— Nie lubię tych pigułek. Nie jestem po nich sobą. Nie ma mnie! Nie mogę myśleć, bo nie ma komu myśleć!

— Wiem, że ci ciężko — powiedział ze współczuciem Smith. — Ale nie chcemy, żebyś przekroczył granicę. Jeśli zbyt długo nie bierzesz proszków, trochę ci odbija.

Marty pokręcił głową ze złością.

— Próbowali mnie uczyć, jak być "normalnym" w relacjach z innymi ludźmi, tak jak się uczy kogoś gry na fortepianie! Miałem uczyć się normalności na pamięć! "Patrz w oczy, ale nie gap się. Gdy witasz się z mężczyzną, wyciągnij rękę, a gdy to kobieta, poczekaj, aż pierwsza wyciągnie dłoń". Co za idiotyzm! Czytałem, że pewien facet powiedział: "Możemy nauczyć się udawać, że zachowujemy się jak wszyscy inni, ale naprawdę nie wiemy po co". Ja też nie wiem po co. Jon. Nie chcę być normalny!

— I ja nie chcę, żebyś był normalny. Podoba mi się twoja błyskotliwość. Bez tego nie byłbyś Martym, którego znam. Ale chcę, żebyś był zrównoważony, żebyś nie odleciał tak daleko, że nie będzie cię można ściągnąć z powrotem. Jutro u Petera pozwolimy ci odstawić pigułki.

Marty wytrzeszczał oczy. Liczby i algorytmy śmigały mu w głowie. Żał mu było rozstawać się ze swobodą nieskrępowanych myśli, ale wiedział, że Jon ma rację. Nadal jeszcze panował nad sobą, choć z najwyższym trudem. Nie chciał ryzykować całkowitego zerwania z rzeczywistością.

Westchnął.

— Jesteś mistrzem. Przepraszam. Daj mi tę przeklętą pigułkę. Dwadzieścia pięć minut później obydwaj smacznie spali.

12.06, sobota, 17 października

międzynarodowy port lotniczy w San Francisco

Nadal al-Hassan po nocnym locie z Nowego Jorku wysiadł z samolotu DC-10 i poszedł do głównego terminalu. Tęgi mężczyzna w wyświechtanym garniturze, który do niego podszedł, nie znał go, ale żaden inny pasażer z Nowego Jorku nie odpowiadał podanemu mu rysopisowi.

— Pan al-Hassan?

Al-Hassan zmierzył go wzrokiem z niesmakiem.

— Jesteś z agencji detektywistycznej?

— Zgadza się.

— Co masz do zameldowania?

— FBI przed nami dotarło do gościa z apteki, ale i tak niewiele można z niego wyciągnąć.

Wie tylko, że było ich dwóch, i że odjechali taryfą. Sprawdzamy przedsiębiorstwa taksówkowe.

Gliny i FBI też to robią. Hotele, motele, zajazdy, wypożyczalnie samochodów, apteki. Jak na razie nic. Policji i FBI nie idzie lepiej.

— Zatrzymam się w hotelu "Monaco" niedaleko Union Square. Jeśli czegoś się dowiecie, natychmiast dzwońcie.

— Mamy węszyć całą noc?

— Aż ich znajdziecie. Wy albo policja.

Niechlujny mężczyzna wzruszył ramionami.

— Wy płacicie.

Al-Hassan pojechał taksówką do świeżo odnowionego hotelu w centrum San Francisco z niewielkim, eleganckim holem i jadalnią, której wystrój wystylizowano na lata dwudzieste. Gdy tylko został sam w pokoju, zadzwonił do Nowego Jorku i zdał relację ze wszystkiego, czego dowiedział się od zaniechanego detektywa.

— Nie może skorzystać ze środków wojskowych — donosił al-Hassan.

— Obserwujemy wszystkich przyjaciół Smitha i Zellerbacha i wszystkie osoby powiązane z ofiarami wirusa.

— Zatrudnij inną agencję detektywistyczną, jeśli będziesz musiał — rozkazał ze swojego pokoju hotelowego w Nowym Jorku Victor Tremont. — Xavier dowiedział się, co ten Zellerbach robił dla Smitha. Wymienił, co odkryto w komputerze Marty'ego. — Wszystko wskazuje na to, że Zellerbach odnalazł raport Giscoursa i informacje o wirusie w Iraku. Smith pewnie się domyślił, że mamy wirusa, i teraz chce się dowiedzieć, co z nim zamierzamy zrobić. Nie jest już potencjalnym zagrożeniem, lecz prawdziwą groźbą.

Głos al-Hassana tchnął optymizmem.

— Nie na długo.

— Kontaktuj się z Xavierem. Ten Zellerbach próbował wytropić rozmowę telefoniczną Russell ze mną. Podejrzewamy, że ponowi próbę. Xavier pilnuje komputera Zellerbacha. Jeśli z niego skorzysta, Xavier zatrzyma go na tyle długo, żeby namierzyć jego telefon za pośrednictwem miejscowej policji w Long Lake.

— Zadzwoń do Waszyngtonu i podam mu numer mojej komórki.

— Znalazłeś Billa Griffina?

Al-Hassan nie odpowiadał zakłopotany.

— Odkąd zleciliśmy mu zlikwidowanie Smitha, z nikim się nie kontaktował.

Głos Tremonta zabrzmiał jak trzaśnięcie z bicia.

— Dotąd nie wiesz, gdzie się podziewa? Nie do wiary! Jak mogłeś zgubić jednego ze swoich ludzi!

Al-Hassan starał się nie podnosić głosu i okazywać szacunek. Victor Tremont był jednym z nielicznych pogan w tym bezbożnym kraju, których szanował. Zresztą miał rację. Powinien lepiej pilnować byłego agenta FBI.

— Szukamy go. Znalezienie Griffina to sprawa mojego honoru. Tremont milczał, próbował się uspokoić. Odezwał się wreszcie.

— Xavier poinformował mnie też, że Zellerbach szukał aktualnego adresu Griffina, niewątpliwie dla Smitha. Miałeś rację, coś ich łączy. Teraz mamy na to dowód.

— Ciekawe, że Griffin nie próbował się skontaktować ani spotkać z Jonem Smithem.

Chociaż z drugiej strony Smith wczoraj odwiedził w Georgetown byłą żonę Griffina.

Tremont zamyślił się.

— Prawdopodobnie Griffin gra na dwa fronty. Może się okazać, że jest naszym najgroźniejszym wrogiem albo naszą najlepszą bronią. Znajdź go!

7.00, San Francisco, Mission District

Marty i Smith obudzili się i przed siódmą wyjechali z motelu. Przed ósmą minęli błyszczącą w słońcu zatokę San Francisco i pojechali na wschód autostradą I-580. Za Lathrop skręcili na południe. Szosą numer 99 prowadzącą wśród żyznych pól dotarli do Merced, gdzie zatrzymali się na późne śniadanie. Znow skręcili na wschód i trasą numer 140 zbliżali się do Yosemite. Dzień był chłodny, ale słoneczny, Marty nadal spokojny. Im wyżej wjeżdżali, tym błękit nieba wydawał

im się czystszy.

Wjechali na niemal tysięczmetrowy szczyt Mid Pines, dotarli do rwącej rzeki Merced i w El Portal przekroczyli granicę parku Yosemite. Marty wyglądał spokojnie przez okno. Jechali wzdłuż opadającej gwałtownie rzeki i znaleźli się w słynnej dolinie. Górskie widoki zapierały dech w piersiach.

— Chyba brakowało mi przestrzeni — stwierdził. — Jest przepięknie.

— I ludzie nie psują krajobrazu.

— Jak ty mnie dobrze znasz.

Minęli potężny wodospad Bridal Veil, spowity mgłą pyłu wodnego, i nagie skały El Capitan.

W oddali widać było legendarną skałę Half Dome i potrójny wodospad Yosemite. Na rozwidleniu dróg skręcili ostro na północ i dalej jechali drogą Big Oak Flat Road do skrzyżowania z wysoko położoną Tioga Road, zamkniętą dla ruchu od listopada do maja, a często nawet do czerwca. Podążali dalej na wschód wśród śniegu, we wspaniałej scenerii gór. W

końcu po wschodniej stronie pasma zaczęli zjeżdżać. Ziemia robiła się coraz bardziej sucha i szara.

Marty śpiewał stare kowbojskie piosenki. Lekarstwa przestawały działać. Kilka kilometrów przed skrzyżowaniem Tioga Road z główną autostradą 395, przed miasteczkiem Lee Vining, Smith skręcił w asfaltową szosę. Po jej obu stronach ciągnęły się wyschnięte stoki, na których ogrodzenia z drutu kolczastego wyznaczały tereny prywatne. Bydło i konie pasły się pod drzewami. Czarne sylwetki zwierząt rysowały się wyraźnie na tle złocisto-aksamitnych gór.

Marty rozśpiewał się na dobre.

— Dom, dom na ranczo, gdzie sarny i jelenie hasały! Gdzie złe słowo rzadko pada, a niebo bez chmur jest dzień cały!

Smith manewrował samochodem na krętych drogach, przejechał kilka rozklekotanych drewnianych mostków nad strumieniami i zatrzymał na krawędzi głębokiego wąwozu z szeroką rzeką ryczącą w dole. Nad wąwozem rozpięta była wąska stalowa kładka, która prowadziła na polanę, gdzie wśród

wysokich sosen i cedrów stała drewniana chata. W oddali na wysokości czterech tysięcy metrów wznosił się jak wieża ośnieżony szczyt Mount Dana.

Smith zaparkował. Marty nadal bujał w obłokach, pobudzony pięknem pejzaży — oceanu, gór, pastwisk. Nagle uświadomił sobie, że muszą już być blisko celu i że każą mu tu zostać.

Spać. A może nawet przez jakiś czas mieszkać.

Smith obszedł wóz i otworzył drzwi. Marty wysiadł niechętnie. Na widok kołyszącej się na wietrze kładki wzdrygnął się. Pod nią był głęboki na dziesięć metrów wąwóz.

— Moja noga nie postanie na tej lichej prowizorce.

— Nie patrz w dół. No chodź, idziemy — nalegał Smith.

Marty przez całą drogę nie puszczał poręczy.

— Co my w ogóle robimy na tym odludziu? Tam stoi tylko jakaś stara buda.

— I w niej właśnie mieszka nasz człowiek — wyjaśnił Jon, gdy zaczęli iść w stronę chaty.

Marty zatrzymał się.

— Po to przejechaliśmy tyle kilometrów? Nie zostanę w tym prymitywie. Na pewno nie ma bieżącej wody. I elektryczności, no i komputera. Chcę do komputera!

— Nie ma tu zabójców — podkreślił Smith. I pamiętaj, że pozory mylą. Marty prychnął.

— Wytarty banał.

— Idziemy dalej.

Dotarli do sosen, pochłonał ich cień gęstych gałęzi. Powietrze przesycone było sosnowym aromatem. Wśród wysokich drzew stała chata. Marty kręcił głową z obrzydzeniem za każdym razem, kiedy na nią spojrzał.

Głośnie warczenie zatrzymało ich w bezruchu.

Z gałęzi zeskoczyła dorosła puma i przyczaiła się w odległości trzech metrów. Walila długim ogonem o ziemię, mierząc ich żółtymi oczami.

— Jon! — zawołał Marty i ruszył do ucieczki. Smith chwycił go za ramię.

— Czeka!

Gdzieś z góry odezwał się głos z angielskim akcentem.

— Nie ruszajcie się, panowie. Nie podnoście broni, a nic wam nie zrobi. Ja może też.

Rozdział 22

13.47, okolice Lee Vining, Sierra Nevada, Kalifornia

Z cienia nisko zadaszonego ganku wyszedł szczupły, drobny mężczyzna. Trzymał w ręku brytyjski karabin samoczynny typu "bullpup" enfield.

— Nie wspominałeś, że przywieziesz kogoś ze sobą, Jon. Nie lubię niespodzianek. Mówił do Smitha, lecz nie spuszczał wzroku z Marty'ego Zellerbacha.

— Z przyjemnością stąd odjadę — szepnął Marty.

Smith zignorował go. Peter Howell to nie Marty Zellerbach. Jego zabezpieczenia były śmiertelnie niebezpieczne i należało traktować je poważnie. Przemówił spokojnie do uzbrojonego mężczyzny.

— Zabierz stąd tego kota, Peter, i odłóż broń. Znam Marty'ego dłużej od ciebie, a w tej chwili potrzebuję was obu.

— Ale ja go nie znam — odparł równie spokojnie mężczyzna. — W tym cały problem.

Twierdzisz, że wiesz o nim wszystko i że jest czysty?

— Czyścusięńki, Peter.

Przez minutę Howell przyglądał się Marty'emu bladoniebieskimi oczami. Jego spojrzenie było chłodne i przenikliwe jak rentgen. W końcu wydał z siebie dziwny dźwięk — coś pomiędzy gwizdem a kasznięciem.

— *Ouisz*, Stanley. Dobry kociak. Zmykaj — powiedział cicho do zwierzęcia.

Puma odwróciła się i podreptała za chatę. Od czasu do czasu odwracała głowę, jakby miała nadzieję, że zostanie wezwana z powrotem.

Szczupły mężczyzna opuścił karabin.

Marty'emu mocno błyszczały oczy. Odprowadził wzrokiem wielkiego kota.

— Nigdy nie słyszałem o oswojonej pumie. Jak to zrobiłeś? Ma nawet imię. To urocze!

Wiecie, że afrykańscy królowie szkolili lamparty do polowania? A w Indiach tresowano gepardy...

Howell przerwał mu.

— Porozmawiamy w domu. Nigdy nie wiadomo, kto podsłuchuje. Dał znak karabinem, żeby weszli do środka i odsunął się, by ich przepuścić. Mijając Smitha, uniósł brew i wskazał na Marty'ego. Smith uspokajająco pokiwał głową.

W środku chata wydawała się większa i całkiem inna, niż wskazywałby prymitywny wygląd na

zewnątrz. Znaleźli się w doskonale urządzonym salonie, którego wystrój poza wielkim kamiennym kominkiem nie przypominał wnętrza typowych dla amerykańskiego Zachodu.

Umeblowanie składało się z wygodnych antyków z angielskiej rezydencji wiejskiej, skórzanych klubowych foteli i pamiątek z większości wojen dwudziestego wieku. Miejsca na ścianach, których nie zajmowały strzelby, flagi pułkowe i oprawione zdjęcia żołnierzy, wypełniały ogromne malowidła ekspresjonistów: DeKooninga, Newmana i Rothki. Musiały być warte majątek.

Pokój zajmował całą szerokość chaty, ale jej skrzydło, niewidoczne od frontu, ciągnęło się dalej między wysokimi sosnami. Chata miała kształt litery L i skrzydło stanowiło jej większą część. Drzwi z korytarza za salonem prowadziły do pokoju z nowoczesnym komputerem PC.

Marty krzyknął z radości. Peter patrzył, jak podbiega do komputera, zapomniawszy o całym świecie. — Co mu jest? — zapytał cicho.

— Zespół Aspergera — wyjaśnił Smith. — To geniusz, zwłaszcza w dziedzinie elektroniki, ale wśród ludzi czuje się jak w piekle.

— Nie wziął leków?

Smith przytaknął.

— Z Waszyngtonu musieliśmy wyjechać w pośpiechu. Daj mi minutę, zaraz porozmawiamy.

Howell bez słowa wrócił do salonu. Smith zastał Marty'ego przy komputerze.

— Dlaczego nie powiedziałeś, że tu jest generator? Marty spojrzał na niego z wyrzutem.

— Przez tę pumę jakoś mi to wyleciało z głowy. Marty pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Kot Stan to puma. Wiesz, że w Chinach szkolili tygrysy syberyjskie do...

— Później o tym pomówimy. Smith wcale nie był pewien, że są bezpieczni, choć wcześniej próbował to wmówić Marty'emu. — Sprawdź jeszcze raz, czy Sophia przeprowadziła jakieś rozmowy telefoniczne. I postaraj się zlokalizować Billa Griffina, dobrze?

— Właśnie chciałem to zrobić. Muszę tylko dostać się do mojego komputera i oprogramowania. Jeśli sprzęt twojego kumpla nie jest tak prymitywny, jak otoczenie tego domu, za parę minut zabiorę się do roboty.

— Nikt nie robi tego lepiej. — Smith poklepał go po plecach i wyszedł. Marty pochylił się nad klawiaturą, wchodził w swój własny komputerowy świat.

— Taka niepozorna maszynka, a tyle ma mocy — mruczał pod nosem. — Nieważne. Coraz bardziej mi się tu podoba.

Smith zastał Howella w salonie przed kominkiem. Czyścił czarny metalowy pistolet maszynowy.

Ogień trzeszczał, strzelając pomarańczowymi płomykami. Sielski obrazek, gdyby nie broń w rękach Anglika.

Peter odezwał się, nie podnosząc wzroku.

— Usiądź. Ten stary skórzany fotel jest bardzo wygodny. Odkupiłem go od klubu, gdy doszedłem do wniosku, że jestem już w kraju spalony i dobrze byłoby prysnąć tam, gdzie mnie nie znają i gdzie mogę lepiej o siebie zadbać.

Mimo stu osiemdziesięciu dwóch centymetrów wzrostu Howell wydawał się trochę za szczupły w ciemnej niebieskozielonej flanelowej koszuli w kratę i ciężkich wojskowych spodniach khaki wpuszczonych w czarne wysokie buty. Wąska twarz ogorzała na wietrze i słońcu. Zmarszczki wokół przenikliwych i czujnych oczu tworzyły głębokie bruzdy. Bardzo gęste czarne włosy mocno już posiwiały, ręce przypominały zakrzywione brązowe szpony.—

Opowiedz mi o tym swoim przyjacielu.

Smith rozsiadł się w fotelu i w skrócie opowiedział o wspólnym dzieciństwie, problemach małego Marty'ego i odkryciu, że cierpi na zespół Aspergera.

— To zmieniło wszystko w jego życiu. Lekarstwa dały mu niezależność. Dzięki nim mógł

skończyć szkołę, a potem ciężko pracować, by uzyskać swoje doktoraty. Pod wpływem leków jest w stanie wykonywać nudne codzienne czynności. Wymienia żarówki, pierze i gotuje. Ma oczywiście mnóstwo forsy i mógłby zatrudnić pomoc, ale obcy ludzie denerwują go. Zresztą i tak musi zażywać lekarstwa, więc może zająć się i sobą.

— Wcale mu się nie dziwię. Mówiłeś, że nie wziął leków.

— Tak. Można to poznać na przykład po tym, że nie mówi, tylko krzyczy. Właśnie to słyszałeś. Poucza innych, bez przerwy trajkocze, nie chce spać i doprowadza wszystkich do szału. Jeśli pozostanie w tym stanie zbyt długo, zamknie się w swoim świecie, straci nad sobą kontrolę. Może być wtedy niebezpieczny dla siebie i innych.

Howell pokręcił głową.

— Chciałbym, żebyś dobrze mnie zrozumiał. Żal mi chłopaka.

Smith roześmiał się.

— I odwrotnie. Marty'emu żal jest i ciebie, i mnie. Współczuje nam, bo nigdy nie poznamy tego, co on. Nie potrafimy objąć umysłem jego pomysłów. Szkoda, że tak się wyizolował i skoncentrował wyłącznie na komputerach. Choć, o ile wiem, konsultują się z nim informatycy z całego świata. Ale nigdy osobiście. Zawsze przez pocztę elektroniczną.

Howell nadal czyścił broń: pistolet heckler&koch MP5 sprawiał wrażenie śmiertelnie niebezpiecznego i rzeczywiście był.

— Jeśli po lekach jest powolny i apatyczny, a bez nich ma odlot, to jak udaje mu się cokolwiek osiągnąć? — zapytał.

— Nauczył się wykorzystywać czas, gdy leki przestają działać, a on nie odlatuje jeszcze na całego. Trwa to kilka godzin dziennie i wtedy czuje się wspaniale. Nowe pomysły przychodzą mu do głowy z prędkością światła. Jest szybki, inteligentny i na wpół szalony. Niepokonany.

Howell podniósł znad pistoletu pooraną zmarszczkami twarz. Jego bladoniebieskie oczy rozbłysły.

— Niepokonany komputerowiec? To coś nowego. Znów zajął się pistoletem. Kilka lat temu wybrały go do swego uzbrojenia brytyjskie specjalne służby powietrzne — SAS — i prawdopodobnie wciąż się nim posługują.

— Zawsze przy gościach czyścisz broń? Smith zamknął oczy. Był zmęczony długą podróżą z San Francisco.

Howell parsknął.

— Czytałeś kiedyś *The White Company* Conan Doyle'a? W dzieciństwie wydawała mi się dużo ciekawsza od Sherlocka Holmesa. Dziwna historia. Przez chwilę zamyślił się. — No, w każdym razie jedną z postaci jest pewien stary łucznik, Czarny Simon. Pewnego dnia bohater pyta go, dlaczego ostrzy miecz, skoro nie czeka ich walka. Czarny Simon odpowiedział mu, że przed bitwami pod Crecy i Poitiers przyśniła mu się ruda krowa. Przyśniła mu się też zeszłej nocy, więc przygotowuje się do bitwy. Oczywiście tego samego dnia, jak przewidywał Simon, zaatakowali Hiszpanie.

Smith roześmiał się i otworzył oczy.

— Chcesz powiedzieć, że kiedy ja się pojawiam, ty spodziewasz się kłopotów?

Ogorzała twarz Howella zmarszczyła się w uśmiechu.

— Właśnie.

— Jak zwykle masz rację. Potrzebuję pomocy i to może być niebezpieczne.

— Do czego innego nadaje się stary żołnierz i pustynny szczur, taki jak ja?

Smith poznał Petera podczas operacji "Pustynna Tarcza", kiedy szpital z dnia na dzień beczynn timer czekał na rozpoczęcie działań. Ale Howell nie narzekał na nudę. Prawdę mówiąc, Peter i specjalne służby powietrzne same wkroczyły do akcji. Nigdy nie powiedział, co właściwie robili, ale pewnej nocy pojawił się w szpitalu jak zjawą, która powstała z piasków. Miał wysoką gorączkę i był bardzo osłabiony. Niektórzy lekarze przysięgali, że tej nocy słyszeli helikopter lub mały pojazd na pustyni, ale nikt nie był pewien tego na sto procent. Jak do nich dotarł i kto go sprowadził, pozostało tajemnicą.

Smith natychmiast stwierdził, że nieznanemu pacjentowi w brytyjskim mundurze maskującym bez dystynkcji został ukąszony przez jadowitego gada. Natychmiastowa pomoc ocaliła mu życie.

Później, gdy Peter przechodził rekonwalescencję, poznali się lepiej i zaczęli wzajemnie darzyć szacunkiem. Smith dowiedział się, że major Howell należy do specjalnych służb powietrznych i że uczestniczył w jakiejś tajnej misji na terenie Iraku. Więcej Peter nie powiedział. Nie mógł być zwykłym komandosem — wykluczało to jego wiek, więc za historią musiało się kryć coś więcej.

Minęło wiele lat, zanim Smith wycisnął z niego resztę, ale i tak sprawa pozostała dość zagadkowa.

Krótko mówiąc, Peter był jednym z tych niespokojnych angielskich awanturników, którzy w ciągu ostatnich dwustu lat pojawiali się po każdej stronie barykady podczas każdego — małego lub wielkiego — konfliktu. Kształcił się w Cambridge i Sandhurst, był znakomitym lingwistą, a w czasie wojny w Wietnamie wstąpił do specjalnych służb powietrznych. Gdy konflikt wygasł, został agentem MI6 i wywiadu zagranicznego. Od tamtej pory prowadził działalność szpiegowską, pracując — w zależności od tego, czy wojny były zimne, czy gorące — dla jednej lub drugiej agencji, a czasem dla obydwu naraz. Po latach jedna agencja uznała, że jest za stary, a druga, że jego przydatność wyczerpała się.

Teraz po przejściu na zasłużoną emeryturę, zamieszkał w odludnych i dzikich górach Sierra Nevada. Tak przynajmniej to wyglądało. Smith sądził w duchu, że "emerytura" Petera jest równie podejrzana, jak reszta jego życia.

Jon, uznany za dezertera, potrzebował teraz pomocy, którą mogły mu zapewnić MI6 i SAS.

— Muszę dostać się do Iraku. I zdobyć kontakty. Howell zaczął składać pistolet.

— To nie jest niebezpieczne, chłopcze. To jest samobójstwo. Mowy nie ma. Jankes lub Angol nie mają tam czego szukać. Wiesz, co się teraz dzieje. Niemożliwe.

— Zamordowali Sopię. Muszę tam pojechać.

Howell wydał z siebie dźwięk podobny do tego, którym odwołał pumę Stanleya.

— Ot tak? Po prostu? A możesz mi wyjaśnić, co to za zamieszanie z dezercją?

— Wiesz o tym?

— Staram się być na bieżąco. Sam kilka razy samowolnie się oddaliłem. Zawsze towarzyszyła temu jakaś ciekawa historia.

Smith opowiedział, co się działo od śmierci majora Andersena w Fort Irwin.

— Kimkolwiek są, są bardzo potężni, Peter. Mogą manipulować wojskiem, FBI, policją, a może nawet rządem. Cokolwiek planują, są gotowi zabijać ludzi. Muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi i dlaczego zabili Sopię.

Howell wyczyścił już, naoliwił i złożył pistolet. Sięgnął brązowymi palcami do pudełka z tytoniem. Nabił fajkę. Z głębi domu dochodziły okrzyki Marty'ego, który szalał przy komputerze i wrzeszczał coś w podnieceniu do siebie.

Howell zapalił fajkę i pykał powoli.

— Tym wirusem — powiedział cicho — jeśli nie ma na niego lekarstwa ani szczepionki, mogą zaszantażować cały świat. To musi być ktoś pokroju Saddama Husajna lub Kadafiego.

Albo Chiny.

— Pakistan, Indie, jakiś kraj słabszy od Zachodu. Smith przerwał na chwilę. — A może nie chodzi o politykę. Może chodzi o pieniądze. Aromat tytoniu unosił się w pokoju. Peter zamyślił

się. — Przerzucenie cię do Iraku będzie kosztować więcej niż moje życie. Ceną może być likwidacja całego podziemia. W Iraku opozycja jest słaba, ale istnieje. Nasze kraje próbują wzmocnić irackie podziemie, które czeka na swoją chwilę. Jeśli ich poproszę, przyjmą cię, ale nie będą narażać siatki. Kiedy wpadniesz w tarapaty, zostaniesz sam. Amerykańskie embargo rujnuje życie wszystkim oprócz Saddama i jego popleczników. Zabija dzieci. Nie możesz oczekiwać wiele od opozycjonistów, a już w ogóle nie możesz liczyć na zwykłych Irakijczyków.

Smith poczuł ucisk w dołku. Wzruszył ramionami. — Muszę podjąć to ryzyko. Howell nadal palił fajkę.

— Więc ci pomogę. Zorganizuję najlepszą możliwą ochronę. Żałuję, że nie mogę ci towarzyszyć, ale byłbym kulą u nogi. Znają mnie tam aż za dobrze.

— Lepiej, jeśli pojedę sam. Zresztą dla ciebie mam zadanie tutaj.

Howell ożywił się.

— Gadaj. Zaczęło mi się trochę nudzić. Spowszedniało mi karmienie Stanleya.

— Jeszcze jedno — dodał Smith. Marty musi dostać leki, inaczej będzie do niczego. Mogę ci dać puste opakowania, ale kontakt z jego lekarzem w Waszyngtonie jest niemożliwy.

Howell zabrał fiolki i zniknął w korytarzu, mijając pokój, w którym szalał Marty. Smith siedział sam i słuchał jego gadania. Na dworze wiatr szumiał wśród majestatycznych sosen. Był

to kojący dźwięk, jakby ziemia oddychała. Jon pozwolił sobie na chwilę odpoczynku w fotelu.

Przestał myśleć o Sophii, o tym, czy odnajdzie w Iraku to, czego szuka, a jeśli tak, czy przeżyje.

Tylko Peter mógł go przeszmułować do tego nieszczęsnego kraju. Wiedział na pewno, że właśnie w Iraku znajdzie odpowiedź na dręczące go pytania — jeśli nie wśród zeszłorocznych ofiar wirusa, to wśród tych, którzy przeżyli.

17.05, Waszyngton

W dużym pokoju komputerowym Marty'ego Zellerbacha w jego parterowym domu niedaleko Dupont Circle ekspert komputerowy Xavier Becker obserwował z zapartym tchem, jak Zellerbach za pośrednictwem swego domowego procesora szpera w pamięci komputerów firmy telefonicznej z delikatnością i wyczuciem chirurga.

Hakerskie oprogramowanie Zellerbacha było czymś, czego Xavier nie widział jeszcze nigdy w życiu. Piękno i wdzięk tego genialnego tworu wyobraźni sprawiły, że niemal zapomniał o swoich obowiązkach.

A miał wodzić Zellerbacha za nos, podsuwając mu fałszywe tropy, żeby jak najdłużej zatrzymać go przy komputerze. W tym czasie policja w Long Lake namierzała Zellerbacha w labiryncie przekaźników na całym świecie. Martwił się, że Zellerbach zmieni sekwencję linii przekaźnikowych, a wtedy policja go zgubi. Ale nie robił tego. Xavier nie mógł zrozumieć, jak geniusz mógł się tak zapomnieć. Zupełnie jakby nie dbał o to, że mogą go namierzyć, więc nie pomyślał o zmianie ścieżki.

— Jeszcze kilka minut — Xavier usłyszał w słuchawkach spięty głos. — Przytrzymaj go, Xavier.

Po głosie Jacka McGraw w Long Lake można było poznać, że poci się tak samo, jak Xavier.

Już dwa razy prawie mieli Zellerbacha, gdy próbował zlokalizować Billa Griffina i gdy sprawdzał w komputerze Instytutu postępy prac nad wirusem, a Xavier zwodził go fałszywymi danymi. Za każdym razem poruszał się zbyt szybko, żeby można go było namierzyć. Ale nie tym razem. Może fałszywe dane Xaviera były teraz lepsze, a może Zellerbach zmęczył się i tracił

koncentrację. W każdym razie jeszcze dwie, trzy minuty i...

— Mam go! — zawołał triumfalnie Jack McGraw. — Korzysta z komputera niedaleko małej miejsciny Lee Vining w Kalifornii. Al-Hassan jest pod Yosemite. Zaraz go zawiadomimy.

Xavier rozłączył się. Nie udzieliła mu się radość szefa ochrony, gdy patrzył, jak Zellerbach nadal podąża fałszywym tropem, który miał go doprowadzić do informacji o rozmowie telefonicznej Tremonta z doktor Russell. Kreatywność Zellerbacha była czymś zbyt pięknym, by padła ofiarą jego własnej nieuwagi. Ogarnął go smutek i zażenowanie. Wyglądało na to, że Zellerbacha zgubił entuzjazm i pewnego rodzaju naiwność, która kazała mu zapomnieć o istnieniu na tym świecie Xavierów Beckerów i Victorów Tremontów.

14.42, okolice Lee Vining, Sierra Nevada, Kalifornia

Smith wszedł do pokoju komputerowego. Frustracja Marty'ego sięgała zenitu.

— Cholera, cholera, cholera! Gdzie jesteś, chimero! Nikt nie może pokonać Marty'ego Zellerbacha, słyszysz? Wiem, że tam jesteś! Pieprzona, cholerna...

— Marty? — Smith nigdy nie słyszał, żeby jego przyjaciel przeklinał. To kolejny znak, że traci kontrolę. — Marty! Przestań. Co się dzieje?

Marty dalej kłął. Walił w klawiaturę, nieświadomy słów Smitha i jego obecności w pokoju.

— Marty! — Smith chwycił go za ramię.

Obrócił się jak dzikie zwierzę z obnażonymi zębami. Zobaczył Smitha. Nagle skulił się i opadł bez sił. Popatrzył na Jona zbolałym wzrokiem.

— Nic! Nic. Nic nie znalazłem. Nic!

— Nie szkodzi, Marty — Smith próbował go uspokoić. — Czego nie znalazłeś? Adresu Billa Griffina?

— Nie ma nawet śladu. Byłem tak blisko, Jon. I nic. To samo z rozmowami telefonicznymi.

Siedzę w swoim komputerze, korzystam z własnego programu. Jeszcze jeden krok. Wiem, że to tam jest! Tak blisko...

— Wiedzieliśmy, że mamy nikłe szanse. A co z wirusem? Coś nowego w Fort Detrick?

— Ach, na to wystarczyło mi parę minut. Oficjalnie zanotowano piętnaście zgonów i trzy przypadki wyzdrowienia tutaj w Ameryce. Smith zeszywniał.

— Kolejne zgony? Gdzie? Ktoś wyzdrowiał? Jak? Jakie zastosowano leczenie?

— Żadnych szczegółów. Musiałem pokonać nowe zabezpieczenia, żeby zdobyć te informacje. Pentagon utajnił wszystkie dane, ale nie przede mną. Zachichotał. — Informacje mają być udostępniane tylko przez wojsko.

— Dlatego nie słyszeliśmy o tych, którzy przeżyli. Możesz ich zlokalizować?

— Ani słowa o tym, kim są i gdzie mieszkają. Przykro mi.

— Ani w Detrick, ani w Pentagonie?

— Nigdzie. To straszne. Podejrzewam, że ci bandyci z Pentagonu nie wprowadzają informacji do systemu!

Smith zebrał szybko myśli. Najpierw trzeba odnaleźć tych, którzy przeżyli, i porozmawiać z nimi. To chyba najłatwiejsza, najprostsza droga...

Rząd prawdopodobnie utajnił informacje, żeby uniknąć paniki — standardowa procedura operacyjna — wszystko wskazywało na to, że na piętnastu zgonach się nie skończy. Przed ujawnieniem czegokolwiek, trzeba dokładnie przebadać osoby, które wyzdrowiały. Oznaczało to, że zastosowane zostaną wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa — ludzkie i technologiczne.

Westchnął. Ani on, ani nawet Peter Howell nie przebiją się przez ten mur.

Poza tym wywiad wojskowy, FBI i mordercy będą oczekiwać, że spróbuje dotrzeć do tych, którzy wyzdrowieli. Będą na niego czekać. Wciągnął powietrze i kiwnął głową. Nie miał

wyboru. Tylko w Iraku mógł skontaktować się z pozostałymi przy życiu ofiarami wirusa. Nie spodziewano się go w tym niegościnnym kraju i nie dysponowano nowinkami technicznymi, z których korzysta rząd amerykański. Żeby szybko dowiedzieć się, o co chodzi, musiał tam pojechać — to była jego jedyna nadzieja.

— Niech to! Prawie cię miałem! Jeszcze minuta — pieklił się Marty.

Smith otrząsnął się z zamyślenia i zobaczył, jak rozhisteryzowany Marty, przysuwa się do monitora jak myśliwy na widok odległej o kilka metrów ofiary.

Strach ścisnął go za gardło. Nagle pojął, co się kryje za nieudanymi próbami.

— Ile czasu korzystasz z komputera w Waszyngtonie? — zapytał.

W drzwiach pojawił się Howell. Jego szczupłe ciało zeszywniało.

— Podłączył się do własnego komputera?

— Ile czasu, Marty? — powtórzył Jon w napięciu.

Marty wyszedł z delirycznego transu. Zamrugał powiekami i spojrzał na zegar na ekranie.—

Jakąś godzinę albo dwie. Ale spokojnie. Łączę się przez serię przekaźników na całym świecie, tak jak trzeba. Poza tym to mój własny komputer...

Smith zaklął.

— Przecież wiesz, gdzie jest twój komputer! W tej chwili mogą być u ciebie w domu, przy twoim komputerze i bawić się z tobą w kotka i myszkę! Czy ślad prowadził przez firmę telefoniczną, jak wtedy, gdy węszyłeś za pierwszym razem?

— Nie! Zlokalizowałem nową ścieżkę. Znalazłem też nowy trop Billa Griffina, ale prowadził donikąd. Ciągłe otwierają się nowe ścieżki. Wiem, że mogę...

Głos Petera Howella brzmiał szorstko.

— Mają swoich ludzi w Kalifornii?

— Założę się, że tak — odpowiedział Smith.

— Lekarstwa są już w drodze. Howell odwrócił się na pięcie. — Wasi mordercy mogą trafić przez linię telefoniczną do Lee Vining i do mnie. Oczywiście nie mieszkam tu pod prawdziwym nazwiskiem. Będą musieli zlokalizować dom, znaleźć drogę i dojechać tutaj. W najgorszym wypadku zajmie im to godzinę. Może dwie, jeśli dopisze nam szczęście. Mamy niecałą godzinę, żeby się zwinąć.

Rozdział 23

18.51, Nowy Jork

Victor Tremont poprawił garnitur i wyprostował krawat przed lustrem w apartamencie hotelu "Waldorf-Astoria". Za nim w zmiętej pościeli leżała na łóżku Mercedes Donoso. Była piękna — same krągłości i delikatna, złocista skóra.

Utkwiła ciemne oczy w jego odbiciu.

— Wolałabym, żebyś nie odwieszał mnie do szafy jak jeden ze swoich garniturów do czasu, gdy znów będę ci potrzebna, Victorze.

Tremont zmarszczył brwi. Ta wysoka kobieta — ani cierpliwa, ani dyskretna — z kaskadą rudych włosów opadających na piersi była pomyłką. Tremont znał się na kobietach. Właściwie tylko raz dokonał złego wyboru. Tamta popełniła samobójstwo, gdy oświadczył, że się z nią nie ożeni.

— Mam spotkanie. Gdy wrócę, pójdziemy na kolację. Stolik w "Le Cheval", tam gdzie lubisz, jest już zarezerwowany. Jeśli ci to nie odpowiada, możesz odejść.

Mercedes nie należała do kobiet, które mężczyźni mogą doprowadzić do samobójstwa. Była Chilijką, właścicielką rozległych winnic i znanej na całym świecie winiarni w dolinie Maipo, członkinią rad nadzorczych dwóch kopalni, a także parlamentarzystką. W przeszłości piastowała stanowisko ministra w chilijskim gabinecie i zamierzała wrócić do rządu. Ale jak wszystkie kobiety chciała z nim spędzać za dużo czasu i prędzej czy później zechce wziąć z nim ślub.

Żadna z nich nie rozumiała, że nie potrzebuje i nie chce mieć towarzyszkę życia.

— Tak? Nie przestawała mu się przyglądać. — Żadnych obietnic? Nie ma kobiet niezastąpionych. Wszystkie jesteście dla ciebie ciężarem. Victor może kochać tylko Victora.

Irytowała go.

— Nie powiedziałbym...

— Oczywiście, że nie — przerwała — musiałbyś najpierw zrozumieć. Siadła na łóżku, spuściła długie nogi na podłogę i wstała. — Chyba jestem tobą zmęczona, doktorze Tremont.

Przestał poprawiać krawat i z niedowierzaniem patrzył, jak Mercedes zaczyna się ubierać, ani razu na niego nie spoglądając. Nieoczekiwanie poczuł przypływ złości. Za kogo się uważa? Co za obrzydliwa arogancja. Wysiłkiem woli stłumił gniew. Znów zajął się krawatem.

Uśmiechnął się do niej w lustrze.

— Nie dramatyzuj, kochanie. Idź do baru i zamów sobie koktajl. Załóż tę zieloną suknię, w której tak ci do twarzy. Spotkamy się w "Le Cheval" za godzinę. Najwyżej za dwie.

Ubrana w czarną garsonkę od Armaniego, przy której jej rude włosy zdawały się płonąć, roześmiała się.

— Ale z ciebie żałosny człowiek, Victorze. I do tego głupiec.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wyszła z sypialni, cały czas się śmiejąc.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi.

Wściekłość porwała go jak górską lawina. Zauważył, że aż się trzęsie. Ruszył w stronę otwartych drzwi sypialni. Nikt nie może się śmiać z Victora Tremonta. Nikt! A tym bardziej kobieta. On ją... on ją...

Twarz płonęła mu jak w gorączce. Zaciskał pięści jak mały chłopiec.

Nagle roześmiał się. Głupia baba.

Zwolniła go z przykrego obowiązku naprawienia błędu. Myślał, że jest inteligentna, ale jak się okazuje, żadna z nich nie grzeszy mądrością. Z ulgą zdał sobie sprawę, że nie będzie dramatycznych i łzawych scen rozstania. Nie będzie musiał wydawać pieniędzy na kosztowne pożegnalne podarunki. Odeszła z niczym. Więc kto jest głupi?

Z szerokim uśmiechem na twarzy wrócił do lustra, ułożył wreszcie krawat, wygładził

garnitur, ocenił swoje odbicie po raz ostatni i odwrócił się, żeby wyjść na spotkanie. Zanim doszedł do drzwi, zadzwonił telefon komórkowy. Miał nadzieję, że to al-Hassan z wiadomościami o Smithie i Zellerbachu.

— I co?

Głos Araba brzmiał uspokajająco.

— Zellerbach podłączył się do własnego komputera, żeby szukać rozmowy Russel z panem.

Xavier przytrzymał go wystarczająco długo i MacGraw namierzył go w Lee Vining w Kalifornii.

Nastąpiła pełna zadowolenia przerwa. — Jestem tu teraz.

— Gdzie na litość boską leży Lee Vining?

— Po wschodniej stronie gór Sierra Nevada niedaleko Parku Narodowego Yosemite.

— Skąd wiedziałeś, że trzeba tam pojechać?

— Agenci FBI znaleźli motel, w którym nocowali, a później dowiedzieli się, gdzie wypożyczyli

samochód. Smith poprosił o mapę pomocnej Kalifornii i pytał o pewną drogę przez Yosemite. Wjechaliśmy na teren parku, a gdy McGraw skontaktował się z nami, po prostu pojechaliśmy dalej do Lee Vining. Są u jakiegoś Nicholasa Romanova. To na pewno fałszywe nazwisko. Właśnie tam jedziemy.

Tremont odetchnął, zadowolony.

— Świetnie. Coś jeszcze? Nareszcie mógł przestać się martwić o podpułkownika Jona Smitha.

Arab jeszcze bardziej ściszył głos — konfidencjonalnie. W jego słowach brzmiała duma.

— Tak, mam bardzo dobrą wiadomość. Coś, co się panu może bardzo spodobać i bardzo nie spodobać. Dochodzenie w sprawie Smitha wykazało, że Marty Zellerbach jest jego szkolnym kolegą. Tak jak Bill Griffin.

Tremont jęknął,

— A więc Griffin ostrzegł jednak Smitha w Rock Creek!

— I bez wątpienia nie ma zamiaru go zabijać. Co nie znaczy, że nas zdradził.

— Myślisz, że nadal zależy mu na pieniądzach?

— Wszystko na to wskazuje. Tremont kiwał głową w zamyśleniu.

— Może uda się nam wykorzystać go do naszych celów. Dobrze, rozpraw się z Jonem Smithem i jego kolegą. W głowie zaczynał mu świtać pewien plan. Tak, dobrze wiedział, co ma zrobić. — Ja zajmę się Griffinem.

Cztery osoby zebrane w prywatnym pokoju w Harvard Club na 44 Ulicy były zdenerwowane. Znali się od lat. W przeszłości od czasu do czasu reprezentowali przeciwne obozy i rozbieżne interesy, ale teraz wszystkich łączyła ta sama żądza pieniędzy i władzy i widoki na przyszłość, które lubili nazywać "obiecującymi".

Najmłodszy z całej czwórki, generał major Nelson Caspar, zastępca szefa połączonych sztabów prowadził cichą rozmowę z kongresmanem Benem Sloatem, który kilkakrotnie gościł w ustroniu Victora Tremonta w Adirondack. Generał Caspar zerkał co kilka sekund w stronę drzwi.

Nancy Petrelli, sekretarz zdrowia i opieki społecznej, w kremowej garsonce od St. Johna, chodziła tam i z powrotem pod zasłoniętymi oknami. Emerytowany generał porucznik Einar Salonen, główny lobbysta amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego, siedział w fotelu z książką w ręku, ale jej nie czytał. Generałowie nie mieli na sobie mundurów. Na to tajne spotkanie ubrali się w zwykłe, lecz drogie garnitury.

Wszystkie głowy równocześnie odwróciły się ku otwieranym drzwiom.

Victor Tremont energicznie wkroczył do pokoju.

— Przepraszam panów i panią — uklonił się lekko pani sekretarz — ale zatrzymała mnie pewna sprawa związana z pułkownikiem Smithem. Na szczęście ten problem będziemy mieli niedługo z głowy.

W pokoju rozszedł się szmer zadowolenia.

— Jak się udało posiedzenie zarządu Blancharda? — zapytał dudniącym głosem generał

Caspar. Wszyscy zadawali sobie to pytanie.

Tremont przysiadł na oparciu skórzanej sofy. W ciemnym garniturze i czarnym krawacie wyglądał bardzo elegancko. Emanował pewnością siebie i wydawało się, że przyciąga swych czterech znakomitych gości jak magnes. Podniósł arystokratyczny podbródek i roześmiał się.

— Teraz sprawuję kontrolę nad całą firmą.

— Gratulacje! Głos generała Salonena brzmiał najgłośniej.

— Wspaniała wiadomość, Victorze — zgodził się kongresman Sloat. — To nas stawia na silnej pozycji.

— Nie byłam pewna, czy ci się uda — przyznała sekretarz Petrelli.

— A ja nie miałem żadnych wątpliwości — uśmiechnął się generał Caspar. — Victor zawsze wygrywa. Tremont znów się roześmiał.

— Dziękuję wam. Dziękuję wam za wasze zaufanie. Ale muszę przyznać, że zgadzam się z generałem Casparem.

Teraz wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Nancy Petrelli. Ale w jej śmiechu niewiele było wesołości. Przeszła od razu do sedna sprawy.

— Powiedziałaś wszystko zarządowi?

— Ze szczegółami. Tremont założył ręce, uśmiechnął się i czekał. Drażnił się z nimi.

Napięcie w pokoju zaczęło iskrzyć. Wszyscy wbili w niego wzrok.

— I? — ponagliła w końcu Nancy Petrelli.

— Jak zareagował ten cholerny zarząd? — chciał wiedzieć generał Salonen.

Victor uśmiechnął się szeroko.

— Rzucili się na program Hades jak psy na kość. Rozejrzał się po spokojnych już twarzach.

Można było zobaczyć, jak w oczach błyszczą im dolary. — Wydawało mi się przez chwilę, że jestem w Las Vegas i mam przed sobą automaty do gry.

— Żadnych wątpliwości? — dopytywał się Sloat. — Nie musimy się martwić, że ktoś się rozmyśli, będzie miał wyrzuty sumienia?

Tremont pokręcił głową.

— Jak pamiętasz, starannie ich dobraliśmy. Wspólnymi siłami zgromadziliśmy osoby o właściwych predyspozycjach. — Największym problemem było uzyskanie aprobaty Haldane'a dla nowych nazwisk, gdy starzy członkowie zarządu przechodzili na emeryturę lub kończyła się ich kadencja. — Oczywiście pozostaje pytanie, czy dobrze ich oceniliśmy.

— Najwyraźniej dobrze — skomentował z satysfakcją kongresman Sloat.

— Właśnie — powiedział Tremont. — Trochę się zaniepokoił, gdy wspomniałem o szacowanych ofiarach wirusa bez naszej surowicy i że skutkuje ona tylko w osiemdziesięciu procentach. Wyjaśniłem, że z drugiej strony nie leczony wirus nie jest śmiertelny w stu procentach i zrozumieli, że liczba ofiar nie przekroczy miliona osób na całym świecie, jeśli rząd szybko zastosuje naszą surowicę.

— A jeśli rząd nie zapłaci naszej ceny? — zapytała wieczna pesymistka, Nancy Petrelli.

W pokoju zapanowała cisza, jakby na wszystkich spadł czarny całun. Odwrócili wzrok od sekretarz Petrelli. Wszyscy zadawali sobie to pytanie.

— No cóż — zaczął Tremont — od samego początku zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka.

Ale podjęliśmy je, a stawką były miliardy dolarów, które zarobimy. Wątpię, żeby nasz czy jakikolwiek rząd miał inne wyjście. Jeśli nie kupią surowicy, ludzie będą masowo umierać.

Odpowiedź jest prosta.

Generał Caspar pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Kto ryzykuje, wygrywa.

— A tak, hasło specjalnych służb powietrznych. Tremont skłonił się generałowi z uznaniem.

— Ale chciałbym wierzyć, że podejmujemy ryzyko dla znacznie większej i bardziej realistycznej nagrody niż kilka medali i klepnięcie po ramieniu przez królową.

Tremont założył nogę na nogę i obserwował, jak reszta próbuje ogarnąć ogrom czekającej ich nagrody. "Rozwaga czyni nas tchórzami". Słowa Szekspira kołatały mu w głowie. "Ale uzbroimy się w odwagę i zwyciężymy". Ani odwaga, ani Szekspir nie skłoniłyby ich do pogodzenia się z masakrą.

Nie na początku dwudziestego pierwszego wieku. Chodziło o władzę i bogactwo.

— Nikt z nas i nikt z naszych rodzin nie umrze. Mamy surowicę — stwierdził generał

Salonen.

Wszyscy o tym wiedzieli, ale tylko Salonen był na tyle odważny lub niewrażliwy, żeby powiedzieć to na głos. Tremont nie odzywał się.

— Kiedy to się zacznie? — zapytała Nancy Petrelli.

Tremont zastanowił się.

— Przewiduję, że za jakieś trzy, cztery dni wiadomość o pandemii obiegnie świat lotem błyskawicy.

Rozległ się szmer. Czy był oznaką litości, czy chciwości, trudno stwierdzić.

— Wtedy — ciągnął dalej Tremont — chciałbym, żeby każdy z was podkreślił, jakie niebezpieczeństwo czeka ludzkość. Podnieście alarm. A potem ogłosimy, że mamy surowicę.

— I przybędziemy na ratunek — zaśmiał się chrapliwie generał Caspar.

Wszystkie wątpliwości pierzchły, gdy przed czwórką konspiratorów roztoczyła się wizja sukcesu, o którym marzyli od dawna. Byli blisko celu. Bardzo blisko. Był tuż za horyzontem.

Przez kilka chwil zapomnieli o obawach związanych z przeszkodami, zdradą Billa Griffina i upartym dochodzeniem Jonathana Smitha.

— Pięknie — ktoś szepnął.

Rozdział 24

15.51, Sierra Nevada, Kalifornia

Patrz — zawołał Marty. — Jak tu pięknie! Zatrzymał się nagle na korytarzu, odwrócił i jego niezgrabne ciało wtoczyło się do mrocznego pokoju w głębi górskiej chaty Petera Howella.

Patrzył jak zaczarowany na ścianę, a zielone oczy jasno błyszczały.

Na ścianie na wysokości trzech metrów nad podłogą jarzyły się przezroczyste elektroniczne mapy. Każde państwo oznaczone było innym kolorem. Małe migające żarówki przesuwają się bezustannie po mapach. Rzędy wielokolorowych świateł świeciły przy każdej nazwie na tablicy obok map. Pod tym wszystkim stał przy ścianie sprzęt komputerowy najnowszej generacji. Na środku pokoju czekał fotel dowódcy ze stali i skóry. Z jednej strony stał wielki globus, z drugiej kartoteka.

Smith przyjrzał się mapom — Irak, Iran, Turcja i części tych trzech krajów, które historycznie należały do Kurdów. Był też Timor Wschodni, Kolumbia, Afganistan, południowy Meksyk i Gwatemala. Salwador. Izrael. Ruanda. Miejsca konfliktów plemiennych, walk etnicznych, buntów chłopskich, sporów religijnych i ogólnych niepokojów.

— Stanowisko kontrolne? — zapytał Petera.

Tak — przytaknął Howell. — Dobrze jest czymś się zająć.

Taki sprzęt przekraczał możliwości zwykłego obywatela. Najwyraźniej Peter Howell nadal dla kogoś pracował. Marty rzucił się na komputery.

— Wiedziałem, że twój PC ma zbyt wiele mocy jak na zwykły komputer. Musi być podłączony do tego olbrzyma. Rewelacja! Chcę mieć takie mapy u siebie w domu. Nadzorujesz działania w tych krajach? Masz bezpośrednią łączność z ośrodkami lokalnymi? Musisz mi pokazać, co robisz. Jak te mapy są połączone? Jak...

— Nie teraz, Marty — Jon próbował być cierpliwy. — Właśnie wyjeżdżamy. Ewakuujemy się, pamiętasz?

Marty skrzywił się załóżnie.

— Czy to takie pilne? Chciałbym zamieszkać w tym pokoju. Smutek znikł z jego okrągłej twarzy. Jaśniała teraz jak mapy na ścianie. — Zrobię tak! Tu jest idealnie. Cały świat do mnie przyjdzie. Nie będę musiał wychodzić...

— Wychodzimy, i to już — powiedział stanowczo Jon, popychając go w stronę drzwi. —

Pomożesz nam ładować rzeczy do wozu, dobrze?

— Skoro już tu jesteśmy, zabiorę akta — Peter chwycił plik brązowych teczek z kartoteki.

Wychodząc, przycisnął coś na futrynie. Jon usłyszał ciche kliknięcie. — Zabierzcie z kuchni tyle

jedzenia, żeby starczyło na dzień lub dwa. Przyda nam się broń, amunicja, no i oczywiście whisky.

Jon skinął głową.

— Mamy trochę rzeczy w naszym samochodzie. Jak to wszystko pomieścimy?

— Nie martw się.

Z pokoju kontrolnego dobiegło ich ciche zawodzenie. Marty wymknął się Jonowi i teraz siedział w fotelu Petera przed wielką konsolą. Kiwał się i wpatrywał w migające światelka na przezroczystych mapach. Zaczynał pojmować, co oznaczały i jak były ze sobą połączone. Był

zafascynowany. Czuł, że jego mózg pulsuje w tym samym rytmie, co światła...

Jon położył mu rękę na ramieniu.

— Marty?

— Nie! — Odsunął się jak oparzony. — Nigdy stąd nie wyjdę! Nigdy! Nigdy! Nig...

Jon próbował go przytrzymać, lecz on kopał i wyrywał się.

— Musi zażyć lekarstwo, i to szybko.

Rozwścieczony Marty wymachiwał pięściami i wykrzykiwał coś niezrozumiałego. Jon poddał się. Chwytał go od tyłu, podniósł i odsunął od konsoli, ale Marty nie przestawał wierzgać i krzyczeć.

Peter zmarszczył brwi.

— Nie mamy na to czasu. Podeszedł do Marty'ego i grzmotnął go w podbródek.

Marty wytrzeszczył oczy i padł nieprzytomny w ramiona Jona.

Żyłasty Anglik wyszedł na korytarz.

— Dawaj go.

Jon westchnął. Coś mu się wydawało, że Marty i Peter nie przypadną sobie do gustu.

Podniósł Marty'ego. Na jego okrągłej twarzy malował się teraz spokój. Zarzucił go sobie na plecy i ruszył za byłym komandosem SAS i agentem MI6 przez kuchnię do tylnego wyjścia i do pomieszczenia, które okazało się garażem.

W środku stał niewielki samochód turystyczny.

— Jest jeszcze jedna droga — pojął nagle Jon. — Jasne. Musi być. Nie zamieszkałbyś w miejscu, z którego nie ma ucieczki.

— Tak. Zawsze trzeba zostawić sobie awaryjną furtkę. To leśna droga. Nie ma jej na mapie i nie jest w zbyt dobrym stanie, ale poradzimy sobie. Ładuj Marty'ego.

Jon położył przyjaciela na jednej z trzech prycz w tyle wozu. Wnętrze samochodu było zwyczajne: kuchnia, kącik jadalny, łazienka — wszystko w miniaturze oprócz salonu. W nim mieściło się serce pojazdu: pomniejszona wersja pokoju kontrolnego z mapami, konsolą i maleńkimi kolorowymi światełkami, które rozblęły na oczach Jona.

— Doładowuję akumulatory — wyjaśnił Peter, gdy Jon wrócił do garażu. Anglik podłączył pojazd do domowej sieci.

Przez następną godzinę przenosili z domu żywność, whisky, broń i amunicję. Jon układał rzeczy, Peter zniknął w głębi domu. Marty jęknął na pryczy i machnął ręką. Jon usłyszał warkot nadlatującego samolotu.

Wyciągnął berettę i pobiegł do domu.

— Spokojnie — powiedział Peter.

Stanęli przed frontowymi drzwiami i spojrzeli na górskie niebo. Jednosilnikowa cessna zapikowała nisko i przeleciała z hukiem nad chatą. Na polanie spadła mała metalowa tubka.

— Lekarstwo dla naszego małego człowieczka.

Wróciwszy do samochodu, Jon kazał pojękującemu Marty'emu usiąść na pryczy, podał mu pigułkę i szklankę wody i dopilnował, żeby połknął lekarstwo. Marty nie przestawał zrzędzić. W

końcu zamilkł, położył się i wlepił wzrok w sufit. Rzadko się skarżył na swój los, ale czasem Jon przyłapywał go w chwilach nieuwagi, jak zastanawiał się, co myślą i czują inni ludzie, i czym jest naprawdę "normalne życie".

Peter wsunął głowę w drzwi. Był zmartwiony.

— Mamy towarzystwo.

— Nie ruszaj się, Marty. Jon poklepał przyjaciela i wyskoczył z samochodu.

Peter miał na szyi lornetkę, w jednym ręku trzymał wyczyszczony pistolet H&K MP5, drugą rzucił Smithowi enfielda. Jego poryta brudami, ogorzała twarz jarzyła się jakimś wewnętrznym blaskiem, jakby to, kim jest, co naprawdę lubi i co sprawia, że szybciej płynie w nim krew, nagle ożyło.

Jon wciągnął powietrze i poczuł dreszcz podniecenia i strachu, bez którego kiedyś nie mógł żyć. Może przybyli mordercy. Był gotów się z nimi zmierzyć. A właściwie nie mógł się już doczekać.

Przebiegli przez dom i zatrzymali się na ganku. Ukryci za krzakami, które rosły dookoła, obserwowali stalową kładkę przerzuconą przez głęboki wąwóz i pięć postaci po drugiej stronie, które przeszukiwały samochód Jona.

Peter patrzył przez lornetkę.

— Zastępcy szeryfa z hrabstwa. Dwaj są ubrani w ciemne garnitury i kapelusze. To oni chyba kierują akcją.

— Nie wyglądają na naszych morderców. Jon wziął lornetkę i nastawił ostrość. Trzej byli umundurowanymi policjantami, a dwaj pozostali wydawali rozkazy. Ci dwaj w ciemnych garniturach stali na uboczu i rozmawiali, nie zwracając uwagi na policjantów. Jeden z nich wskazał na chatę.

— FBI — stwierdził Jon. — Nie będą strzelać. Mam na sumieniu tylko samowolne oddalenie.

— Chyba że są w zмовie z twoimi bandytami. Poza tym sytuacja mogła się zmienić. Lepiej nie ryzykować. Pokażę im coś, co ich zastanowi.

Zostawił Jona i zniknął w głębi domu. Jon obserwował przez lornetkę agentów FBI, którzy instruowali policjantów, żeby szli za nimi. Cała piątka wyciągnęła broń i zbliżyła się do kładki.

Jeden z agentów miał ze sobą megafon.

Od mostu dzieliło ich już tylko kilka kroków, gdy wszyscy stanęli jak wryci, zaskoczeni. Jon zamrugał, nie dowierzając własnym oczom. W ciągu sekundy kładka znikła.

Usłyszał łoskot i z wąwozu wydobył się brązowo-biały obłok kurzu.

Intruzom opadły szczęki. Popatrzyli w dół, do góry i na drugą stronę. Dwóch policjantów podeszło ostrożnie na skraj wąwozu. Jon widział przez lornetkę, jak uśmiechają się i patrzą z uznaniem w dół strome go wąwozu. Zakpiono sobie z FBI. Wybuchnęli śmiechem.

Peter wrócił i przykucnął przy Jonie.

— Zaskoczyłem ich trochę?

— Na pewno. Co się stało?

— Mała sztuczka. Mostek ma po tej stronie diabelnie mocne zawiasy. Gdy zwalnię urządzenie, które podtrzymuje ją z tamtej strony, kładka opada, opiera się o stok i zwisa. Trzeba się trochę natrudzić, żeby znów ją umocować, ale załoga z Lee Vining zrobi to na moje życzenie.

Wstał. — To powinno ich zatrzymać na jakieś pół godziny. Wąwóz jest paskudnie stromy.

Idziemy.

Marty siedział na stopniach wozu — wyglądał na zmęczonego i zasmuconego. — Cześć, Jon.

— Sprawiałem kłopoty? Mówił wolno.

— Byłeś jak zwykle genialny, ale znów porzucamy nasze ubrania. Znaleźli nas agenci FBI.

Mają nasz samochód. Musimy zmykać.

— Co mam robić?

— Włóż do środka i czekaj.

Jon znów wyszedł z wozu. Peter siedział po turecku na usianej sosnowymi igłami ziemi pod drzewami. Przez gałęzie przebijało się słońce, pokrywając licznymi plamkami Petera i złocistą pumę, która siedziała na tylnych łapach przed Anglikiem.

— Przepraszam cię, Stanley, ale znów muszę wyjechać — mówił cicho Peter. — Wiem, że to denerwujące. Wracaj więc do żony i zatroszcz się o siebie przez ten czas. Pilnuj domu. Ani się obejrzysz, a będę z powrotem.

Wielki kot patrzył poważnie na Petera żółtymi oczami. Ogon leżał nieruchomo na ziemi.

Jonowi wydawało się, że zwierzę rozumie słowa Petera. Nie wiadomo, czy pod wpływem słów, brzmienia głosu czy języka ciała, kocisko wyciągnęło szyję i delikatnie trąciło nos Petera.

— Do widzenia, przyjacielu. Peter odpowiedział mu tym samym.

Wstał. Wymienili jeszcze raz spojrzenia i kot lekkim krokiem oddalił się w stronę drzew.

Peter podszedł do Jona.

— Nic mu nie będzie? — zapytał Jon. — Poradzi sobie sam?

— Stan jest na wpół dziki. Nie jest oswojony. Wątpię, czy można oswoić jakiegokolwiek kota, ale to temat do osobnej dyskusji. Stanley pilnuje mnie i domu, ale właściwie prowadzi podwójne życie. Ma własne terytorium, normalnie poluje, parzy się i ma młode, ale z jakiegoś powodu zaliczył mnie do swoich obowiązków. Przyjmuje ode mnie jedzenie, pewnie jako rekompensatę za czas, który mi poświęca, nie dlatego że tego potrzebuje. Poradzi sobie.

— Nie zaatakuję gliniarzy?

— Zrobiłby to, gdybym mu kazał. Normalnie jak każda puma unika ludzi, chyba że stwarzają zagrożenie. Ale będzie chronił domu przed innymi zwierzętami, na przykład przed niedźwiedziami, które by go zniszczyły. Podniósł nagle głowę i nadstawił uszu. — Są już w wąwozie i wspinają się do góry. Czas się ulotnić.

Kilka minut później samochód turystyczny Petera — załadowany i z pełnymi akumulatorami

— oddalał się wśród wysokich sosen, cedrów i nielicznych czarnych dębów. Z wnętrza chaty

dobiegła ich seria stłumionych wybuchów.

— Co to było? — Marty odwrócił głowę.

— Są już w domu. Cholera — zaklął Jon.

— Niezupełnie — wyjaśnił Peter. — Małe urządzenie awaryjne. Przecież nie mogę im zostawić pokoju komputerowego i kontrolnego. Właśnie eksplodowały. Zostaną całkowicie zniszczone, w przeciwieństwie do reszty domu, która pozostanie nietknięta. Sprytnie, co? Robota kolegi — sapera, specjalisty od elektroniki.

Zima przychodziła późno w górach Sierra Nevada. Między drzewami przebijały białe plamy śniegu po wczesnych opadach. Samochód trząsał się na wystających kamieniach i koleinach pozostałych po ulewach. Wóz kołysał się i podskakiwał na wybojach, ale poruszali się dosyć szybko krętą drogą.

— Załatwiłeś mi wyjazd do Iraku? — zapytał Jon.

Peter sięgnął do kieszeni kurtki, którą włożył na flanelową koszulę. Podał mu kopertę.

— W środku jest wydruk. Masz działać dokładnie według instrukcji, inaczej cała wyprawa weźmie w łeb, zanim zdążysz się zorientować. Pamiętaj o tym.

— Rozumiem.

— Mówiłeś o jakimś zadaniu dla mnie. Peter rzucił mu ukośne spojrzenie.

— A co ze mną, Jon? — zapytał z tyłu Marty.

— Wiecie, co trzeba zrobić — powiedział Jon. — Dowiedzieć się, skąd się wziął wirus, jak go leczyć, kto go ma, co planuje z nim zrobić i kto zabił Sophię.

— I jak ich powstrzymać — dodał ponuro Peter.

— Zwłaszcza tego. Wóz wjechał w głęboki dół, rzuciło nimi w fotelach. Jon przytrzymał się.

— Wszystkie największe ośrodki na świecie pracują nad ustaleniem metody leczenia, więc mamy pomoc z ich strony. Ale inne sprawy są niewyjaśnione. A właściwie jedna sprawa: kto ma wirusa? Pozostałe informacje mogą ułatwić uzyskanie odpowiedzi. Liczę na to, że w Iraku odkryję, skąd wziął się wirus i co mają zamiar z nim zrobić.

— Odpowiedź na pytanie, kto zabił Sophię, też może nam dużo powiedzieć — stwierdził

Peter. — To moje zadanie, tak?

— Tak, twoje i Marty'ego. Obejrzał się. — Cały czas próbuj dotrzeć do zaginionych rozmów

telefonicznych i Griffina. Ale tym razem nie siedź na tej samej linii zbyt długo. Zmieniaj ścieżki.

To są dwa najważniejsze cele.

— Tak mi przykro, Jon. Marty był pełen skruchy.

— Wiem. Urwał na chwilę. — Musimy kontaktować się w jakiś sposób.

— Przez Internet — zaproponował szybko Marty. — Ale nie pocztą elektroniczną.

— Masz rację — zgodził się Peter. — Może gdzieś będziemy mogli zostawiać wiadomości.

Jon uśmiechnął się.

— Tuż pod ich nosem, gdzie nie będą szukać. Skorzystamy z witryny zespołu Aspergera.

Marty pokiwał głową entuzjastycznie.

— Świetnie, Jon. Doskonale.

Przystąpili do omawiania szczegółów i ustalania kodu, gdy nagle Peter krzyknął.

— Trzymać się! Niebezpieczeństwo z lewej!

Samochód skręcił ostro w prawo, przechylając się tak bardzo, że przez moment jechał na dwóch kołach. Z lasu rozległa się seria strzałów. Z tylnej części wozu prysnęło szkło i kawałki metalu. Marty krzyknął.

— Marty? — Jon obejrzał się.

Marty siedział skulony na podłodze. Trzymał się za lewą nogę i starał się, żeby nie rzucało nim jak workiem mąki. Zakrwawionym workiem mąki. Jon dostrzegł powiększającą się czerwoną plamę na nogawce spodni. Marty uśmiechnął się słabo.

— Nic mi nie jest — powiedział drżącym głosem.

— Weź ręcznik — krzyknął Jon — złóż go i przyciśnij mocno do rany. Jeśli to nie powstrzyma krwawienia, krzycz.

Musiał zostać w kabinie. Tylko stąd mógł posłużyć się enfieldem Petera, gdyby któryś z napastników odciął im drogę.

Peter był zbyt zaabsorbowany prowadzeniem wozu, żeby użyć broni. Niebieskie oczy były lodowate. Niezniszczalny pojazd zjechał z drogi i przedzierał się wśród krzaków i drzew. Peter prowadził z precyzją astronauty lądującego na stacji kosmicznej. Dwukrotnie wóz przeciął

strumienie, rozbryzgując wodę i podskakując niepokojąco na leżących na dnie kamieniach.

Drogą biegli dwaj mężczyźni z karabinami, usiłując trafić uciekający samochód, ale nieprzewidywalne zwroty i podskoki wozu utrudniały im zadanie. Omijali drzewa i skakali przez kamienie. Szara furgonetka próbowała zawrócić na wąskiej drodze, żeby dołączyć do pościgu.

Napastnicy zostawali coraz bardziej w tyle. Jon zobaczył, że tuż przed nimi otwiera się głęboki wąwóz.

– Peter! Uważaj!

— Widzę! — Howell wcisnął hamulec i skręcił ostro. Wysoki pojazd o mało nie przewrócił się na bok podczas gwałtownego manewru, otarł się o dwa potężne głazy i wreszcie zatrzymał kilkadziesiąt centymetrów przed przepaścią.

Dwaj ścigający ich mężczyźni byli dość daleko, ale odległość ta zmniejszała się coraz bardziej. Furgonetce też niemal udało się zawrócić.

W wozie zrobiło się gorąco. Jon spojrzał na dno wąwozu i otarł pot z czoła.

— W drogę. Peter wdepnął gaz do dechy i wielki pojazd pomknął wzdłuż wąwozu w stronę drogi.

Jon obserwował napastników, którzy próbowali przeciąć drogę, biegnąc między drzewami.

— Są coraz bliżej!

Peter zerknął na ścigających. Wąwóz zakręcał ostro. Wyjechał spomiędzy drzew na trakt. Z

uśmiechem zadowolenia zakręcił i popędził dalej, wzbijając tumany kurzu. Rozległa się ostatnia seria strzałów — kule śmigły między drzewami wokół uciekającego wozu. Jon odetchnął

głęboko i rozluźnił uchwyt na broni. Zerknął w lusterko: do ścigającej dwójki dołączył trzeci mężczyzna. Stali na środku drogi wściekli i z opuszczoną bronią.

Jon rozpoznał grubasa.

— To oni — powiedział ze złością. — Ci sami, którzy próbowali mnie zabić. Spojrzał na Petera. — Gdzieś pewnie czeka reszta.

— Oczywiście. Peter patrzył przed siebie na wyboistą drogę, na której skakał i trząsał się wóz.

— Pomoże nam strategia unikowa, znajomość terenu i fakt, że przeciwnik przecenił element zaskoczenia.

Jon przedostał się do Marty'ego, który chwycił się wszystkiego, czego mógł się przytrzymać.

Rana na lewej nodze była powierzchowna. Jon zaaplikował antybiotyk i założył opatrunek. Jedno z

okien było przestrelone, a zewnętrzna blacha w trzech miejscach porysowana kulami. Ale nic ważnego nie zostało zniszczone, zwłaszcza komputer, który należał do standardowego wyposażenia wozu Petera.

Wrócił do kabiny i pięć minut później usłyszał odgłosy samochodów.

— Jak sądzisz — przyjrzał się drodze, która wiła się między drzewami — będą na nas czekać przy szosie?

— Albo wcześniej. Ale rozczarujemy ich. Peter uśmiechnął się rozmarzony.

Przed nimi od drogi odchodziła w lewo ścieżka. Węższa od tej, którą jechali, jeszcze bardziej wyboista, zaledwie kilka centymetrów szersza od samochodu. Ale można nią było jechać.

— Droga pożarowa — wyjaśnił Peter. — Pełno ich w lesie. Są tylko na mapach służb leśnych i straży pożarnej.

— Skręcamy w nią? — zapytał Jon.

— Będziemy podziwiać widoki — zaśmiał się Peter i skręcił w lewo.

Sosnowe gałęzie ocierały się i biły o metalowe boki pojazdu. Dźwięk był nie do zniesienia

— jak skrzyp paznokcia po tablicy. Piętnaście minut później, gdy Jon myślał już, że zwariuje, ukazał się koniec drogi.

— Już? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Naprawdę chcesz przerwać tę cudowną przejażdżkę? Peter wjechał w następną drogę pożarową.
— Zauważyłeś, że jedziemy w dół? Już niedługo — powiedział wesoło. — Głowa do góry, chłopie.

Droga była równie wąska, jak poprzednia, zwisające gałęzie nadal drapały o metal. Jon zamknął oczy i westchnął. Próbował pozbyć się gęsiej skórki. Przynajmniej Marty się nie skarżył. Lekarstwa działały. Dzięki Bogu chociaż za to.

Gdy w końcu dojechali do szosy, Jon stał się czujny. Peter zatrzymał wóz między drzewami na skraju drogi. Drapanie i skrzypienie ustało. Ciszę przepięknego lasu mącił tylko warkot silnika i szum przejeżdżających samochodów.

Jon rozejrzał się.

— Widać ich? Ruch na szerokiej dwupasmówce przed nimi był zaskakująco duży. — To nie jest trasa 120.

— To autostrada stanowa 395. Największa po tej stronie. Powinna wystarczyć. Widać, żeby ktoś się czaił?

Jon spojrział w jedną i drugą stronę.

— Nie.

— Świetnie. Ja też nikogo nie widzę. W którą stronę?

— Którędy szybciej dojedziemy do San Francisco?

— W prawo, z powrotem na 120 i przez Yosemite.

— Więc w prawo i na 120.

W bładoniebieskich oczach Petera pojawił się błysk.

— Krnąbrny chłopiec.

— Na pewno się nie spodziewają, że będziemy wracać drogą, którą przyjechaliśmy, a poza tym wszystkie samochody turystyczne wyglądają tak samo.

— Chyba że spisali nasze numery.

— Zdejmij tablice.

— A niech to, przyjacielu. Sam powinienem na to wpaść. Peter wyciągnął ze skrytki śrubokręt, parę tablic z numerami z Montany i wyskoczył z wozu.

Jon złapał za berettę i ruszył za nim. Stał na warcie, gdy Peter zdejmował stare i przykręcał nowe tablice. W lesie śpiewały ptaki i brzęczały owady.

Po paru minutach wskoczyli do wozu.

Marty siedział przy komputerze. Podniósł wzrok.

— Wszystko w porządku?

— Jak najbardziej — zapewnił go Jon. Peter wrzucił pierwszy bieg.

— Ruszamy w paszczę lwa — powiedział z zapałem.

Wtoczył ciężki pojazd na szosę i pomknął na południe. Na pierwszym skrzyżowaniu skręcił

w trasę numer 120 i znów jechali pod górę. Pół kilometra dalej minęli dwie furgonetki zaparkowane na skraju gęstego lasu po obu stronach drogi, która prowadziła do chaty Petera.

Przy jednym z wozów wysoki, dziobaty, ciemnooki mężczyzna w czarnym garniturze mówił

coś do krótkofalówki. Wyglądał na zdenerwowanego i z niepokojem spoglądał na szosę.

Zignorował podniszczony samochód turystyczny z numerami z Montany, który toczył się w stronę Yosemite.

— Arab — stwierdził Peter. — Wygląda groźnie.

— Też tak sędzę. Jon przyglądał się przejeżdżającym samochodom. Był poważny. —

Miejmy nadzieję, że dowiem się czegoś w Iraku, a wy zdołacie zlokalizować Billa Griffona i wyjaśnić okoliczności śmierci Sophii. Te wykasowane rozmowy telefoniczne mogą mieć decydujące znaczenie.

Jechali dalej. Peter włączył radio. Spiker czytał jednostajnym głosem wiadomości z nieświadomego świata, a nadchodzący zmierzch rzucał długie i groźne cienie na ośnieżone szczyty gór.

Część 3

Rozdział 25

20.00, wtorek, 21 października

Biały Dom, Waszyngton

Gazeta "Washington Post" leżała oskarżycielsko na wielkim owalnym stole w miejscu, gdzie zostawił ją prezydent. Żaden z siedzących wokół błyszczącego blatu sekretarzy stanu i żaden z ich asystentów, którzy wypełniali salę, nie patrzył na dziennik z wielkim nagłówkiem, ale wszyscy dobrze znali bolesną prawdę. Poranne gazety czekały na nich pod drzwiami. Podobnie jak setki milionów Amerykanów znaleźli w nich mrozące krew w żyłach tytuły. Przez cały dzień mówiono o tym w radiu. A w telewizji nie mówiono o niczym innym.

Od kilku dni naukowcy i wojsko informowali prezydenta i wysokich urzędników o rozwoju sytuacji, ale dopiero teraz, gdy wiadomość wstrząsnęła tak zwanym cywilizowanym światem, rząd w pełni uświadomił sobie, czym grozi rozprzestrzeniająca się epidemia.

ŚMIERTELNY WIRUS WYWOŁUJE ŚWIATOWĄ EPIDEMIE

W wypełnionej po brzegi sali narad sekretarz stanu Norman Knight poprawił na nosie okulary w metalowych oprawkach. Jego głos był poważny.

— Śmiertelne ofiary wirusa odnotowano w dwudziestu siedmiu krajach, łącznie ponad pół

milionu osób. We wszystkich przypadkach zaczynało się od symptomów ciężkiego przeziębienia lub

łagodnej grypy, a po dwóch tygodniach nagle pojawił się zespół ostrych zaburzeń oddechowych. Śmierć następowała w ciągu kilku godzin, czasem szybciej. Westchnął żałośnie.

— Czterdzieści dwa kraje donoszą o nagłych przypadkach przypominających łagodną grypę. Nie wiemy, czy nie jest to ten sam wirus. Ledwie zaczęliśmy liczyć ofiary, a już są ich miliony.

Dane podane przez sekretarza spotkały się z pełną przerażenia ciszą. W zatłoczonym pokoju wszyscy znieruchomieli.

Przenikliwy wzrok prezydenta Samuela Adamsa Castilli przesuwiał się powoli po ich twarzach. Szukał wskazówek. Musiał wiedzieć, na kogo może liczyć, kto nie straci głowy i wykaże się wiedzą, mądrością i chęcią działania, a kto wpadnie w panikę. Wiedza bez chęci działania jest bezużyteczna. Chęć działania bez wiedzy jest ślepa i chaotyczna. A jeśli ktoś nie ma nic do zaoferowania, musi być zwolniony.

Gdy przemówił, głos miał opanowany.

— Dobrze, Norman, ile przypadków stwierdzono w Stanach Zjednoczonych?

Nad pociągłą twarzą sekretarza stanu piętrzyła się biała grzywa niesfornych gęstych włosów.

— Poza dziewięćmioma przypadkami z początku zeszłego tygodnia Centrum Kontroli donosi o pięćdziesięciu zgonach i co najmniej tysiącu przypadków przypominających grypę. Wszyscy są teraz badani pod kątem nowego wirusa,

— Wygląda na to, że nie jest aż tak tragicznie — powiedział admirał Stevens Brose, szef połączonych sztabów. W jego głosie pobrzmiwał ostrożny optymizm.

Zbyt ostrożny i zbyt optymistyczny — pomyślał prezydent Castilla. To dziwne, ale zauważył, że wojskowi przejawiają zwykle najmniej chęci do szybkiego działania. Może dlatego że częściej niż większość ludzi widzieli oplakane skutki nieprzemyślanych decyzji.

— Na razie — przestrzegła złowrogo Nancy Petrelli, sekretarz zdrowia i opieki społecznej.

— Co nie oznacza, że nie zostaniemy zdziesiątkowani jutro.

— Właśnie — prezydent przyznał rację pani Petrelli, nieco zaskoczony jej pesymistycznym tonem. Zawsze sprawiała wrażenie optymistki. Prawdopodobnie uległa panice, którą nowy wirus wywołał wśród ludzi i rządów na całym świecie. Potrzebne jest działanie — przemyślane i mądre, żeby złagodzić poczucie bezradności i panikę, która mogła chwycić za gardło wszystkich.

Zwrócił się do naczelnego lekarza kraju.

— Czy wiadomo już, gdzie sześć pierwszych ofiar zaraziło się wirusem, Jesse? Czy coś ich łączy?

— Poza tym, że wszyscy brali udział w "Pustynnej Burzy" lub byli spokrewnieni z uczestnikami operacji, ani w Centrum Kontroli, ani w Instytucie nic nie wykryto.

— A za granicą?

— To samo — odparł naczelny lekarz kraju Jesse Oxnard. — Wszyscy naukowcy rozkładają ręce. Potrafią zidentyfikować wirusa, znają jego budowę. Ale nie ma on odpowiednika wśród znanych wirusów, więc mogą tylko spekulować, jak sobie z nim poradzić. Nie wiedzą, skąd przyszedł ani jak go leczyć. Mogą tylko zaproponować znane metody leczenia gorączek wirusowych i mieć nadzieję, że śmiertelność nie przekracza pięćdziesięciu procent, jak przy sześciu pierwszych przypadkach.

— To już coś — powiedział prezydent. — Możemy zmobilizować wszystkie służby medyczne w krajach uprzemysłowionych i rozesłać pomoc. I lekarstwa. Wszystko, co może pomóc. Prezydent zwrócił się do Ansona McCoya, sekretarza obrony. — Niech wojsko będzie do dyspozycji Jessego. Wszystko: transport, żołnierze, okręty, co tylko będzie potrzebne.

— Rozkaz, panie prezydencie — odparł Anson McCoy.

— Tylko w granicach rozsądku — ostrzegł admirał Brose. — Pewne kraje mogłyby wykorzystać fakt, że angażujemy w tę sprawę wszystkie środki. Możemy narazić się na atak.

— Jeśli tak dalej pójdzie, Stevens — odparł cierpko prezydent — nie będzie czego atakować ani bronić. Przyszedł czas na nowe myślenie. Stare odpowiedzi już nie wystarczą. Lincoln powiedział coś takiego dawno temu, podczas jednej z kryzysowych sytuacji. Niewykluczone, że i my mamy teraz do czynienia z taką sytuacją. Kenny i Norman od lat próbują nas o tym przekonać. Prawda, Kenny?

Sekretarz spraw wewnętrznych Kenneth ("Kenny") Dahlberg przytaknął.

— Efekt cieplarniany, degradacja środowiska, wyrąb lasów deszczowych, migracja ludności Trzeciego Świata. Przeludnienie. Wszystko to prowadzi do pojawiania się nowych chorób. A to oznacza śmierć wielu ludzi. Ta epidemia może być tylko wierzchołkiem góry lodowej.

— Dlatego musimy zrobić wszystko, żeby ją powstrzymać — powiedział prezydent. — My i wszystkie kraje uprzemysłowione. Kątem oka zauważył, że Nancy Petrelli otwiera usta, jak gdyby chciała zgłosić obiekcje. — Tylko mi nie mów, Nancy, ile to będzie kosztować. W tej sytuacji to nie ma znaczenia.

— Zgadzam się, panie prezydencie. Miałam zamiar zgłosić pewną propozycję.

— Proszę — prezydent usiłował zapanować nad zniecierpliwieniem. W myślach prowadził już działania zakrojone na wielką skalę. — Co masz nam do powiedzenia?

— To nieprawda, że wszyscy naukowcy nie widzą żadnych rozwiązań. Niecałą godzinę temu do mojego biura zadzwonił doktor Victor Tremont, prezes i dyrektor wykonawczy Blanchard Pharmaceuticals. Powiedział, że nie może być absolutnie pewny, bo nie prowadził testów z nowym wirusem, ale z opisu wynika, że bardzo przypomina małpi wirus, nad którym firma pracuje od wielu

lat. Zrobiła pauzę, żeby zwiększyć wrażenie.

— Opracowali surowicę, która skutkuje w większości przypadków.

Wiadomość wprawiła wszystkich w chwilowe osłupienie. Potem rozległ się hałas sprzecznych opinii. Nancy zasypano pytaniami. Odrzucali taką możliwość i jednocześnie podniecała ich myśl o potencjalnym leku.

Prezydent walnął w końcu pięścią w stół.

— Dość tego, do cholery! Uciszcie się!

Cisza, która zapadła w jednej chwili, aż dzwoniła w uszach. Prezydent rzucał piorunujące spojrzenia, dając im czas na opanowanie się. Napięcie aż iskrzyło, a tykanie zegara na kominku wydawało się głośnie jak grzmot.

Prezydent Castilla zwrócił w końcu wzrok na Nancy.

– Powiedz to jeszcze raz, krótko i zwięźle. Ktoś uważa, że ma lekarstwo na tę chorobę?

Gdzie? W jaki sposób?

Pani Petrelli patrzyła gniewnie na kolegów z rządu i doradców, którzy byli gotowi znów ją zaatakować.

— Jak już powiedziałam, panie prezydencie, ten ktoś nazywa się Victor Tremont. Jest dyrektorem wykonawczym i prezesem Blanchard Pharmaceuticals, dużej międzynarodowej firmy biomedycznej. Twierdzi, że zespół z Blancharda opracował lek na wirusa spotykanego u małp w Ameryce Południowej. Testy na zwierzętach przyniosły pozytywne rezultaty, przyznano im patent weterynaryjny i teraz produkt bada Inspektorat Żywności i Leków.

Oxnard zmarszczył brwi.

— Więc nie ma jeszcze zezwolenia Inspektoratu na podawanie go nawet zwierzętom?

— I nie testowano go na ludziach? — zapytał sekretarz obrony McCoy.

— Nie — przyznała sekretarz zdrowia — lek nie był przeznaczony dla ludzi. Doktor Tremont sądzi jednak, że nowy wirus może być identyczny z badanym przez nich małpim wirusem, którym teraz zarazili się ludzie. Biorąc pod uwagę okoliczności, sądzę, że popełnilibyśmy kardynalny błąd, nie interesując się tym.

— Po co ktoś opracowywał lek przeciw małpiemu wirusowi? — chciał wiedzieć minister handlu.

— Dla celów naukowych — wyjaśniła Nancy Petrelli. — Słyszeliście, co mówią Ken i Norman. Nowe wirusy stanowią coraz większe zagrożenie dla świata, teraz gdy uzyskaliśmy dostęp do jego najdzikszych zakątków. Dzisiejszy małpi wirus może jutro wywołać epidemię wśród ludzi.

Rozejrzała się dookoła ze źle skrywaną pogardą. — Może byśmy to wzięli pod uwagę? — Może powinniśmy rozważyć możliwość, że lekarstwo przeciw małpiemu wirusowi leczy także ludzi.

Znów podniósł się chór głosów.

— To zbyt niebezpieczne.

— Myślę, że Nancy ma rację. Nie mamy wyboru.

— Inspektorat Żywności i Leków nigdy się nie zgodzi.

— Co mamy do stracenia?

— Dużo. To może się okazać gorsze od samej choroby.

— Czy to nie dziwne? Zupełnie znikąd pojawia się lek na nieznaną chorobę?

— Daj spokój, Sam, pracowali nad tym od lat.

— Czysto naukowe badania, które na początku nie mają żadnego zastosowania, a tu nagle znajduje się zastosowanie.

Prezydent znów uderzył pięścią w stół.

— Dobrze! Jeszcze o tym porozmawiamy. Wysłucham wszystkich za i przeciw. Ale teraz niech Nancy i Jesse pojedą do Blanchard Pharmaceuticals i zbadają sprawę. Grozi nam katastrofa i chyba nie chcemy pogorszyć sytuacji. W tej chwili bardzo przydałby się cud. Miejmy nadzieję, że ten cały Tremont wie, o czym mówi. Módlmy się, żeby miał rację, zanim wirus zgładzi połowę ludzkości. Wstał. — Na tym skończymy. Wszyscy wiemy, co mamy robić. Do roboty!

Wyszedł z pokoju pewnym krokiem. W głębi ducha czuł się o wiele mniej pewnie. Miał małe dzieci i po prostu bał się.

Na tylnym siedzeniu długiej czarnej limuzyny, za dźwiękoszczelną przegrodą, Nancy Petrelli rozmawiała przez telefon komórkowy.

— Tak jak radziłeś, Victorze, odczekałam, żeby sytuacja wydała się jak najbardziej rozpaczliwa. I gdy wszyscy byli gotowi przyznać, że można już tylko rozdawać opatrunki i słowa pociechy, zrzuciłam naszą bombę. Było mnóstwo zgrzytania zębami, ale można powiedzieć, że prezydent jest gotów przyjąć każdą pomoc.

— Świetnie. Sprytnie. W odległym gabinecie nad spokojnym, cichym jeziorem w Adirondack Tremont uśmiechnął się. — Co Castilla ma zamiar zrobić?

— Wysyła mnie i naczelnego lekarza kraju na rozmowę z tobą.

— Jeszcze lepiej. Urządzimy Oxnardowi przedstawienie pod tytułem "Nauka i poświęcenie".

— Ostrożnie, Victorze. Oxnard jest podejrzliwy, paru innych też. Prezydent szuka pozytywnych rozwiązań, więc mogą tylko szemrać, ale jeśli zorientują się, że coś jest nie tak, podniosą rwetes.

— Nic nie znajdują, Nancy. Zaufaj mi.

— A co z Jonem Smithem? Już wyeliminowany?

— Możesz na to liczyć.

— Mam nadzieję, Victorze. Naprawdę.

Rozłączyła się. W ciemnej limuzynie bębniła zadbanymi paznokciami o oparcie. Cieszyła się, ale i bała. Cieszyła się, że wszystko szło zgodnie z planem, i bała się, że coś... jakiś drobiazg, o którym zapomnieli, który zignorowali... mogło im przeszkodzić.

Victor Tremont spoglądał na ciemne góry w oddali. Uspokajał Nancy Petrelli, ale sam nie umiał się uspokoić. Smith i jego dwaj przyjaciele wymknęli się al-Hassanowi w Sierra Nevada.

Cała trójka znikła. Miał tylko nadzieję, że się ukryli i nie będą stwarzać zagrożenia, że zostali zastraszeni i boją się o własne życie.

Ale on nie mógł ryzykować. Wszystkie informacje dotyczące Smitha świadczyły o tym, że nie jest to typ, który łatwo się poddaje. Tremont zamierzał kontynuować poszukiwania. Smith miał niewielkie szanse, żeby mu zaszkodzić ani w ogóle przeżyć, Victor pokręcił głową. Przeszył

go zimny dreszcz. Niewielkie szanse to za dużo: człowiekowi takiemu jak Smith lepiej nie zostawiać żadnych szans.

Rozdział 26

8.02, środa, 22 października Bagdad

Uważany kiedyś za kolebkę cywilizacji Bagdad rozciąga się na suchej równinie między Tygrysem a Eufratem. Metropolia kontrastów zdawała się pulsować w porannym świetle. Nad dachami egzotycznego miasta niesły się z turkusowych kopuł i minaretów zawodzenia muezzinów, którzy wzywali wiernych do modlitwy. Ubrane w długie abaje kobiety snuły się niczym czarne piramidy wzdłuż wąskich uliczek starego bazaru w stronę szklanych wieżowców nowego miasta.

Legendarne miasto na przestrzeni wieków było wielokrotnie celem najazdów — Hetytów, Arabów, Mongołów i Brytyjczyków — i za każdym razem wychodziło z nich zwycięską ręką. Po dziesięciu latach amerykańskich sankcji dawne triumfy odeszły w cień. Życie w zubożałym Bagdadzie Saddama Husajna było codzienną walką o rzeczy podstawowe: żywność, czystą wodę i lekarstwa.

Wysadzanymi palmami bulwarami toczyły się pojazdy. Słodkie pustynne powietrze zatruchiwał smog.

Jon Smith rozmyślał o tym, gdy jego taksówka mknęła szarymi ulicami. Zapłacił kierowcy i rozejrzał się po niegdyś bogatej dzielnicy. Nikt nie wykazywał specjalnego zainteresowania. Był

przebrany za pracownika ONZ z oficjalną opaską na ramieniu i plastikowym identyfikatorem wpiętym w kurtkę. Poza tym taksówki nie były rzadkością w tym ponurym, nękanym przez wrogów mieście. Prowadzenie taksówki było jednym z niewielu zajęć, które skłonni byli wykonywać należący do klasy średniej Irakijczycy. Większość z nich wciąż miała przynajmniej jeden sprawny samochód, a Saddam Husajn utrzymywał niską cenę benzyny: niecałe dziesięć centów za litr.

Kierowca odjechał. Smith jeszcze raz rozejrzał się i ostrożnie przeszedł przez ulicę do budynku, w którym kiedyś mieściła się ambasada amerykańska. Okna były powybijane, a sam budynek i teren wokół niego znajdowały się w opłakanym stanie. Miejsce to sprawiało wrażenie opuszczonego, ale Jon nie zatrzymywał się. Nacisnął dzwonek.

Stany Zjednoczone nadal miały swojego człowieka w Bagdadzie, ale był nim Polak. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym, pod koniec wojny w Zatoce, Polska przejęła kontrolę nad okazałym budynkiem amerykańskiej ambasady. Od tamtej pory, nawet gdy na miasto spadały amerykańskie bomby i pociski, polscy dyplomaci nie opuszczali gmachu.

Reprezentowali w Iraku nie tylko interesy swojego kraju, lecz także Ameryki. W wielkiej zniszczonej ambasadzie zajmowali się sprawami paszportowymi, śledzili miejscowe media i od czasu do czasu przekazywali poufne wiadomości między Waszyngtonem a Bagdadem. Tak jak podczas wszystkich wojen czasem nawet wrogowie muszą się porozumiewać i tylko dlatego Saddam Husajn tolerował Polaków. W każdej chwili mógł zmienić zdanie i uwięzić wszystkich.

Frontowe drzwi ambasady uchyliły się, ukazując wysokiego mężczyznę z zadartym nosem, gęstymi siwymi włosami i krzaczastymi brwiami osłaniającymi inteligentne brązowe oczy.

Pasował do opisu podanego mu przez Petera.

— Jerzy Domalewski? — zapytał Smith.

— We własnej osobie. Pan pewnie jest przyjacielem Petera. Drzwi uchyliły się szerzej i dyplomata zmierzył go wzrokiem. Miał około czterdziestu pięciu lat. Brązowy garnitur zwisał na nim, jakby rozciągnął się w praniu. Mówił po angielsku z polskim akcentem.

— Proszę do środka. Po co mamy robić z siebie lepszy cel, skoro i tak nim jesteśmy.

Zamknął za Jonem drzwi i zaprowadził przez marmurowy hol do dużego gabinetu. — Na pewno nikt pana nie śledził? Podobało mu się pewne spojrzenie ciemnoniebieskich oczu nieznanego i siła, którą emanował. W pełnym niebezpieczeństwie Bagdadzie przydadzą mu się obydwie te cechy.

Smith natychmiast wyczuł niepokój swego rozmówcy.

— MI6 wie, co robi. Nie będę zanudzał pana szczegółami, jak przemycili mnie do Iraku.

— Dobrze. Niech pan nie mówi — zgodził się Domalewski, zamykając drzwi gabinetu. —

Są tajemnice, o których nikt nie powinien wiedzieć. Nawet ja. Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. — Proszę spocząć. Jest pan pewnie zmęczony. Tamten fotel z poręczami jest wygodny. Ma jeszcze sprężyny. Jon usiadł. Domalewski podszedł do okna i przez szparę w żaluzjach wyjrzał na zewnątrz. — Musimy bardzo uważać.

Jon założył nogę na nogę. Rzeczywiście był zmęczony. Czuł jednak potrzebę niezwłocznego kontynuowania dochodzenia. Myślał o Sophii i jej tragicznej śmierci. Chwilami nie mógł znieść myśli, że już jej nie ma. We śnie i na jawie tęsknił za nią. Musiał dowiedzieć się, kto ma wirusa.

Kimkolwiek był ten człowiek, na pewno to on zabił Sophię. Ale dlaczego?

Trzy dni temu wcześniej rano wylądował na londyńskim lotnisku Heathrow, przebrany w nowe cywilne ubrania, które kupił w San Francisco. Był to początek długiej, wyczerpującej podróży. Na Heathrow agent MI6 przemycił go do wojskowego ambulansu, którym dostał się do bazy RAF-u we wschodniej Anglii. Stamtąd odleciał do Arabii Saudyjskiej. Na pustynnym lądowisku odebrał go bezimienny i małomówny kapral ze specjalnych służb powietrznych. Był

ubrany w długi beduiński strój i doskonale mówił po arabsku.

— Załóż to. Rzucił Jonowi galabiję. — Wykorzystamy postanowienia mało znanego przedwojennego porozumienia. Jak się okazało, mówił o iracko-saudyjskiej "strefie neutralnej", która umożliwiała wędrownym Beduinom korzystanie z historycznych szlaków handlowych.

Jon i kapral, przebrani w grube szaty, byli przerzucani z jednego obozu Beduinów do drugiego przez członków irackiego podziemia. Wreszcie dotarli do przedmieść Bagdadu. Tam kapral zaskoczył Jona, wręczając mu fałszywe dokumenty, irackie dinary, zachodnie ubranie, identyfikator i opaskę pracownika ONZ z Belize. Nazywał się teraz Mark Bonnet.

Kręcił głową zdumiony sumiennością MI6.

— Nie wspomniałeś mi o tym.

— Pewnie, że nie — odparł z oburzeniem kapral. — Nie wiedziałem, czy ci się uda. Po co marnować taki świetny kamuflaż na trupa? Uścisnął mu dłoń na pożegnanie. — Jeśli znów zobaczysz tego wariata, Petera Howella, powiedz mu, że jest nam winien przysługę.

Teraz Jon siedział w byłej ambasadzie amerykańskiej, ubrany jak typowy pracownik ONZ w brązowe bawełniane spodnie, koszulę z krótkimi rękawami, kurtkę zapinaną na suwak z opaską i identyfikatorem ONZ. W kieszeni miał pieniądze i dokumenty.

— Proszę nie obrazić się za te środki ostrożności — ciągnął dalej Domalewski, wyglądając cały czas na ulicę. — Nie można nas winić za to, że nie pomagamy panu z większym entuzjazmem.

— Oczywiście. Ale proszę mi wierzyć: podjęcie tego ryzyka może mieć szczególne znaczenie.

Domalewski pokiwał głową.

— Peter mówił mi o tym. Podał mi też listę lekarzy i szpitali, które chciałby pan odwiedzić.

— Polak odwrócił się od okna. Uniósł krzaczaste brwi i znowu otaksował spojrzeniem Smitha.

Jego stary przyjaciel Peter Howell powiedział, że Amerykanin jest lekarzem. Czy poradzi sobie, jeśli zostanie zaatakowany? To prawda, że z tą szeroką twarzą, silnymi ramionami i szczupłą talią bardziej przypominał snajpera niż chirurga. Domalewski uważał się za znawcę ludzi.

Wszystko wskazywało na to, że Peter miał rację co do tego przebranego Amerykanina.

— Zaaranżował pan spotkania? — zapytał Jon.

— Oczywiście. Na niektóre pana zawiozę. Na pozostałe sam będzie pan musiał dotrzeć. Głos dyplomaty przybrał ostrzegawczy ton. — Ale proszę pamiętać, że jeśli wpadnie pan w ich ręce, papiery z ONZ nie pomogą panu. To jest państwo policyjne. Wielu obywateli jest uzbrojonych, każdy może być szpiegiem. Prywatna policja Husajna, Gwardia Republikańska, jest tak potężna i brutalna, jak SS i gestapo razem wzięte. Bez przerwy polują na wrogów państwa, dysydentów lub tych, którzy po prostu im się nie podobają.

— Rozumiem, że mogą działać na oślep.

— A więc zna pan trochę Irak.

— Troszeczkę — Smith posepnie kiwnął głową. Domalewski uniósł głowę, nie przestając taksować spojrzeniem Amerykanina. Podszedł do biurka i wysunął szufladę.

— Czasem największym niebezpieczeństwem jest przypadkowość ich działań. Przemoc wybucha tu nagle, bez logicznych przyczyn. Peter powiedział, że to się panu przyda.

Usiadł w fotelu obok Jona i wyjął wojskową berettę.

Smith wziął ją od niego z radością.

— Peter myśli o wszystkim.

— Ja i mój ojciec przekonaliśmy się niegdyś o tym.

— Pracowaliście razem?

— Niejednokrotnie. I dlatego robię to dla niego.

Smith zastanawiał się przed chwilą, dlaczego Domalewski zgodził się mu pomóc.

— Dziękuję wam obu.

— Mam nadzieję, że będzie pan mógł nam dziękować jutro i pojutrze. Peter twierdzi, że potrafi się pan posługiwać berettą. Jeśli zajdzie taka potrzeba, niech pan z niej skorzysta bez wahania. Proszę

pamiętać, że każdy cudzoziemiec schwytyany z bronią jest aresztowany.

— Dziękuję za ostrzeżenie. Wolałbym uniknąć więzienia.

— To dobrze. Słyszał pan o Zakładzie Karnym pod al-Rashid?

Jona nie było w Iraku od czasu wojny w Zatoce i choć starał się śledzić wydarzenia, nie znał wszystkich szczegółów.

— Niestety, nie.

Domalewski ściszył głos, a jego słowa zdradzały strach.

— Dopiero niedawno potwierdzono jego istnienie. To sześć pięter pod ziemią. Proszę sobie wyobrazić: bez okien, przez które mógłby ktoś zajrzeć, i bez ścian, przez które słyszać byłoby krzyki torturowanych, żadnej nadziei na ucieczkę. Został wybudowany przez iracki wywiad wojskowy pod szpitalem niedaleko obozu wojskowego w al-Rashid na południe stąd. Podobno projekt i budowę nadzorował Qusai, szalony syn Saddama. Oficerowie wojskowi i urzędnicy, którzy narażają się Saddamowi, mają dla siebie całe piętro z salami tortur i komorami egzekucyjnymi. Innych więźniów można wysłać na poziom, gdzie oficjalnie przestają istnieć.

Nie wolno o nich pytać. Nie wolno wymieniać ich nazwisk. Ci biedacy znikają zawsze. Ale dla mnie najgorszą częścią budynku... najbardziej przerażającą i dziką... jest najniższy poziom. Tam Saddam ma nie tylko lochy, ale też pięćdziesiąt dwie szubienice.

Jon zadrżał.

— Pięćdziesiąt dwie szubienice? To przecież masowe egzekucje. To nie jest człowiek, tylko zwierzę!

— Ma pan rację. Lepiej skorzystać z broni, niż dać się z nią schwytać. W najlepszym przypadku zamieszanie da panu szansę ucieczki. Zawahał się. Klasnął w dłonie i spojrzał na Jona. Oczy pociemniały mu z niepokoju. — Jest pan tu nielegalnie, nieoficjalnie i bez ochrony.

Mogą pana aresztować i jeśli będzie pan miał szczęście, szybko zabiją.

— Rozumiem.

— Jeśli się pan nie rozmyślił, czeka pana duży rejon do objazdu. Musimy zaraz ruszać.

Przez krótki moment Jon Smith zobaczył w myślach udręczoną twarz Sophii walczącej o życie. Pot lśnił na zaczerwienionych policzkach... splątane jedwabiste włosy... drżące palce sięgały do gardła w rozpaczliwej próbie złapania oddechu. Cierpiała strasznie.

Patrzył na ponurą twarz Domalewskiego i myślał o jedynej kobiecie, którą kochał, i jej potwornej, niewyjaśnionej, niepotrzebnej, zbrodniczej śmierci. Dla Sophii mógł stawić czoło wszystkiemu. Nawet Irakowi i Saddamowi Husajnowi.

Wstał.

— Chodźmy.

Rozdział 27

10.05, Bagdad

Z tylnego siedzenia jedynej sprawnej limuzyny należącej do ambasady Jon patrzył na tętniące życiem miasto. Zauważył z obrzydzeniem, że wszędzie widać fotografie Saddama Husajna: na ogromnych billboardach, plakatach na murach, oprawione w ramki na obskurnych wystawach. Saddam z grubymi węsami i szerokim uśmiechem. Saddam z dzieckiem na rękach.

Saddam bohatercko stawia czoło nowemu amerykańskiemu prezydentowi. Saddam w gronie rodzinnym i wśród biznesmenów. Saddam dumnie salutuje defilującym żołnierzom.

W Bagdadzie, starożytnym centrum nauki i kultury, żelazne rządy Husajna były silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Zamienił wojnę w źródło swojej potęgi, a nieszczęście narodu w powód do patriotycznej dumy. Gdy miliony jego rodaków umierały z głodu — winił za to Narody Zjednoczone i ich embargo — al-hissar — on sam i jego poplecznicy opływali w bogactwa.

Oburzenie Jona doszło do zenitu, gdy dotarli do eleganckiej dzielnicy Jadiriya, w której dostatnio urządziło się wielu stronników i pochlebców Husajna i wojennych spekulantów. Mijali pretensjonalne rezydencje, eleganckie kawiarnie i szykowne butiki. Przy chodnikach stały wypolerowane mercedesy, BMW, ferrari. Drogich restauracji pilnowali portierzy w liberiach.

Miejsce powszechnej nędzy zajęła tam ludzka chciwość.

Smith pokręcił głową.

— Za to powinno się karać.

— Biorąc pod uwagę to, jak wygląda reszta Bagdadu, wjazd do Jadiriyi można porównać do lądowania na innej planecie. Bardzo bogatej planecie. Jak ci ludzie się nie wstydzą?

— Niepojęte.

— Racja. Domalewski zatrzymał samochód przed ładnym, pokrytym stiukami budynkiem z niebieską dachówką. — Jesteśmy na miejscu. Silnik zamilkł, Polak obejrzał się do tyłu przez ramię. Był poważny i skupiony. — Zaczekam. Chyba że zobaczę, jak wyprowadza pana Gwardia Republikańska. Nie sądzę, żeby tak się stało, ale jeśli tak — proszę się nie obrazić — zobaczy pan tylko spaliny z rury wydechowej.

Smith uśmiechnął się lekko.

— Rozumiem.

W domu z niebieską dachówką mieścił się gabinet doktora Husseina Kamila, wybitnego internisty. Rozglądając się ostrożnie, Smith ruszył szpalerem palm daktylowych, nieruchomych w upalnym powietrzu, do rzeźbionych drewnianych drzwi. W poczekalni było chłodno i pusto.

Obejrzał wzorzyste dywany, draperie i wyściełane meble. Popatrzył na zamknięte drzwi gabinetu,

zastanawiając się, czy jest bezpieczny i czy znajdzie tu odpowiedzi na nurtujące go pytania. Mimo zewnętrznych oznak bogactwa lekarzowi nie wiodło się chyba najlepiej. Izolacja gospodarcza Iraku i tutaj dawała o sobie znać. Draperie były wyblakłe, obicia na meblach wytarte. Kolorowe czasopisma na stolikach miały pięć, dziesięć lat.

W drzwiach stanął doktor. Był to mężczyzna średniego wzrostu, po pięćdziesiątce, ze śniadą cerą i nerwowymi, rozbieganymi oczami. Miał na sobie biały lekarski fartuch, spod którego wystawały wyprasowane szare spodnie. Pracował sam — bez pielęgniarki czy recepcjonistki.

Najwyraźniej chciał się spotkać ze Smithem bez świadków,

Jon przywitał się, podając fałszywe nazwisko Marka Bonneta.

Doktor pochylił uprzejmie głowę, ale odezwał się cichym, pełnym niepokoju głosem.

— Czy mogę zobaczyć pański dowód tożsamości? Mówił po angielsku z najlepszym brytyjskim akcentem.

Jon podał mu podrobione papiery. Doktora Kamila powiadomiono, że Jon jest członkiem międzynarodowego zespołu, który prowadzi dochodzenie w sprawie nowego wirusa. Lekarz zaprowadził go do gabinetu, gdzie obejrzał dokumenty tak dokładnie, jakby badał ślady raka na skórze.

Jon rozglądał się po gabinecie. Białe ściany, chromowane narzędzia, dwa drewniane stołki i pomalowany na biało stół, na którym w glinianej misce leżały resztki ołówków. Sprzęt medyczny nosił ślady wieloletniego użytkowania. Wszystko lśniło czystością, ale tam, gdzie powinny stać probówki, czekały puste podstawki. Białe prześcieradło na kozetce było cienkie i przetarte. Część przyrządów była przestarzała. To zresztą nie jedyny problem, z którym borykali się iraccy lekarze. Domalewski powiedział mu, że wielu z nich ukończyło najlepsze uczelnie medyczne na świecie. Nadal stawiali dobre diagnozy, ale ich pacjenci sami musieli zdobywać lekarstwa. Leki można było kupić głównie na czarnym rynku i nie za dinary, tylko za amerykańskie dolary.

Nawet elita miała problemy z ich zdobyciem, choć byli gotowi zapłacić astronomiczne sumy.

Lekarz oddał mu w końcu papiery. Nie zaproponował Jonowi, żeby usiadł, i sam też nie siadał. Stali pośrodku podniszczonego gabinetu. W końcu rozpoczęli pełną wzajemnej nieufności rozmowę.

— Co konkretnie chciałby pan wiedzieć? — zapytał lekarz.

— Zgodził się pan ze mną rozmawiać, doktorze. Co pan chce mi powiedzieć?

Doktor machnął ręką.

— Ostrożności nigdy za wiele. Jestem blisko naszego wielkiego przywódcy. Wielu członków Rady Rewolucyjnej to moi pacjenci.

Jon przyjrzał mu się. Wyglądał na kogoś, kto coś ukrywa. Ciekawe, czy uda się go nakłonić do

zwierzeń.

— Coś pana trapi, doktorze. Myślę, że to jakiś problem medyczny. Na pewno nie ma to nic wspólnego z Saddamem i wojną, więc możemy go spokojnie omówić. Może — dodał ostrożnie

— chodzi o śmiertelne ofiary nieznanego wirusa?

Kamil zagryzł dolną wargę. W czarnych jak heban oczach pojawił się strach. Potoczył niemal błagalnym spojrzeniem po gabinecie, jakby obawiał się, że zdradzą go same ściany. Był jednak wykształconym człowiekiem. Westchnął więc i przyznał:

— Rok temu leczyłem pacjenta, który zmarł na nagły atak zespołu ostrych zaburzeń oddechowych i krwotok z płuc. Dwa tygodnie wcześniej zapadł na ciężkie przeziębienie.

Jon stłumił dreszcz podniecenia. Te same objawy, co w Stanach Zjednoczonych.

— Był weteranem "Pustynnej Burzy"? W oczach lekarza zapłonął strach.

— Niech pan nie wymienia tej nazwy! — szepnął. — W szeregach Gwardii Republikańskiej miał zaszczyt walczyć w "chlubnej wojnie o wyzwolenie"!

— Czy jego śmierć mogła nastąpić wskutek użycia broni biologicznej? Wiemy, że Saddam dysponował taką bronią.

— To kłamstwo! Nasz wielki przywódca nigdy nie pozwoliłby na jej zastosowanie. Jeśli doszło do użycia bojowego środka biologicznego, to tylko przez nieprzyjaciela.

— No więc, czy jego śmierć mogła nastąpić wskutek użycia broni biologicznej przez nieprzyjaciela?

— Nie. Wykluczone.

— Ale pański pacjent zaraził się podczas wojny?

Lekarz przytaknął. Na jego smagłej twarzy nadal malował się niepokój.

— Widzi pan, to był stary przyjaciel rodziny. Co roku dokładnie go badałem. W tak zacofanym kraju nie można być zbyt ostrożnym, jeśli chodzi o zdrowie. Rozejrzał się z niepokojem po gabinecie; właśnie obraził swoją ojczyznę. — Po wojnie jego krew wykazywała obecność wirusa, którego przedtem tam nie było. Sprawdzamy takie rzeczy — wirusy, pasożyty, bakterie. Nigdy nie widziałem takiego wirusa, ale skoro nie wywoływał poważniejszych chorób, nie przejmowałem się. Przerwał i pokręcił głową z miną winowajcy. — Owszem, miał wiele razy napady gorączki i symptomy łagodnej grypy. Później wywiązało się ciężkie przeziębienie i nagle zmarł.

— Czy ten wirus zabił jeszcze kogoś w Iraku?

— Tak. Dwie osoby tu, w Bagdadzie.

— Też wojennych weteranów?

— O ile mi wiadomo, tak.

— Czy ktoś został wyleczony?

Doktor Kamil założył ręce i pokiwał smutno głową.

— Słyszałem jakieś pogłoski. — Nie patrzył na Jona. — Ale moim zdaniem ci pacjenci po prostu przeżyli zespół ostrych zaburzeń oddechowych. Poza nie leczonym wirusem wścieklizny żaden wirus nie zabija w stu procentach. Nawet Ebola.

— Ilu przeżyło?

— Trzech.

Znów trzy plus trzy. To kolejne dowody. Teraz Jon usiłował opanować nie tylko podniecenie, ale i przerażenie. Coraz więcej informacji wskazywało na to, że prowadzono eksperyment z ludźmi w roli królików doświadczalnych.

— Gdzie mogę ich znaleźć?

Doktor cofnął się.

— Tylko nie to! Nie chcę, żeby pan gdzieś jeździł. Później wykryją, że informacje pochodzą ode mnie.

Otworzył drzwi i wskazał drugie, na końcu korytarza.

— Proszę wyjść!

Jon nie ruszył się z miejsca.

— Coś sprawiło, że chciał pan ze mną rozmawiać, doktorze. Nie chodzi tylko o te trzy ofiary wirusa.

Przez chwilę lekarz wyglądał, jakby miał wyskoczyć ze skóry.

— Ani słowa więcej! Dostyc! Proszę wyjść! Nie jest pan ani z Belize, ani z ONZ! Podniósł głos. — Wystarczy jeden telefon na policję...

Jon zaniepokoił się. Przerażony lekarz sprawiał wrażenie, że zaraz eksploduje, a on nie mógł narazić się na konsekwencje tego wybuchu. Wymknął się bocznymi drzwiami i ruszył

chodnikiem. Z ulgą zauważył, że limuzyna z ambasady czeka.

Doktor Hussein Kamil trząsał się ze strachu i złości. Był wściekły, że dopuścił do takiej sytuacji, i bał się, że zostanie przyłapany. Paradoksalnie ta straszna sprawa dawała mu pewną szansę, jeśli tylko odważy się z niej skorzystać.

Pochylił głowę, założył ręce i próbował opanować drżenie. Miał na utrzymaniu dużą rodzinę, a jego ojczyzna rozpadała się na jego oczach. Musiał myśleć o przyszłości. Klepanie biedy zmęczyło go, a mógł odmienić swój los.

Podniósł w końcu słuchawkę. Wykręcił numer, ale nie był to numer policji.

Wciągnął powietrze.

— Tak, mówi doktor Kamil. Skontaktował się pan ze mną w sprawie pewnego mężczyzny.

Opanował głos. — Właśnie wyszedł z mojego gabinetu. Według dokumentów jest pracownikiem ONZ z Belize. Nazywa się Mark Bonnet. Jestem jednak pewien, że to ten, którego szukacie. Tak, wirus z "chlubnej wojny o wyzwolenie"... Pytał o to. Nie, nie mówił, gdzie się wybiera. Ale bardzo zainteresowali go pacjenci, którzy przeżyli. Oczywiście. Bardzo dziękuję. Pieniądze i antybiotyki odbiorę jutro.

Odłożył słuchawkę na widełki i opadł na fotel. Westchnął i poczuł się lepiej. Na tyle dobrze, że pozwolił sobie na słaby uśmiech. Ryzykował dużo, ale nagroda była tego warta. Dzięki tej rozmowie stanie się ewenementem w Bagdadzie. Będzie miał własny zapas antybiotyków.

Zatarł dłonie. Ogarnęła go fala optymizmu.

Bogaci będą przed nim się płaszczyć, gdy zachorują — oni albo ich dzieci. Obsypią go pieniędzmi. I to nie dinarami, bezużytecznymi w tym ciemnym kraju, w którym tkwił uwięziony, odkąd ci cholerni Amerykanie rozpoczęli wojnę i embargo. Nie, chorzy bogacze obsypią go dolarami. Wkrótce zbierze wystarczającą sumę, żeby opłacić ucieczkę swojej rodziny i zacząć nowe życie gdzie indziej. Gdziekolwiek, byle nie tutaj.

19.01, Bagdad

W Bagdadzie powoli zapadał zmierzch. Kobieta ubrana tradycyjnie od stóp do głów w abaję przemykała niczym czarny pająk wąską, brukowaną uliczką pod oknami i balkonami, w których paliły się świece. Podczas upalnych letnich dni balkony dawały cień mieszkańcom najstarszych części miasta. Ale teraz był chłodny październikowy wieczór i w wąskim prześwicie nad głową kobiety pojawiły się gwiazdy.

Zerknęła do góry tylko raz, skoncentrowana na dwóch czekających ją zadaniach. Wyglądała na starą. Była zgarbiona, prawdopodobnie ze starości, ale też z niedożywienia. Niosła postrzępioną płócienną sportową torbę. Spowita czarną abają, twarz miała dodatkowo zakrytą tradycyjnym białym puszi. Widać było tylko czarne oczy, które jednak nie były ani spuszczone

— jak nakazywał zwyczaj, ani nieruchome.

Mijała w pośpiechu okna — maszarabija — z rzeźbionymi drewnianymi okiennicami, które pozwalały wyglądać na ulicę, lecz szczelnie zakrywały wnętrze. Skręciła w krętą ulicę, oświetloną kiwającymi się na wietrze starymi lampami i wypełnioną wrzawą sklepikarzy, rozpaczliwie próbujących sprzedać swe nieliczne towary, potencjalnych klientów z resztkami dinarów i rozbieganych, rozkrzyczanych bosych dzieci. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Ludzie uwijali się, żeby zdążyć przed dwudziestą, tradycyjną godziną zamykania sklepów.

Znienacka pojawiła się trójka uzbrojonych funkcjonariuszy budzącej strach Gwardii Republikańskiej Saddama Husajna w charakterystycznych ciemnozielonych mundurach.

Zesztywniała na ich widok. Po lewej stronie wśród parujących w chłodnym wieczornym powietrzu straganów stał chłop. Zachwalał głośno świeże wiejskie owoce. Wokół zebrał się tłumek, ludzie klócili się, kto ma co kupić i za jaką cenę. Wyciągnęła z fałd abaji dinary, wmieszała się w tłum i dołączyła do tych, którzy głośno dopominali się o towary.

Serce waliło jej jak młotem, kątem oka śledziła muskularnych gwardzistów.

Cała trójka zatrzymała się, żeby popatrzeć. Jeden z nich coś powiedział, a dwaj pozostali odpowiedzieli. Czuli się bezpiecznie — mieli broń i zapewnioną dostatnią egzystencję. Chwilę potem wybuchli szyderyczym śmiechem.

Kobieta spociała się, ale nie przestawała błagać chłopca o owoce. Wokół niej inni oglądali się nerwowo przez ramię. Niektórzy ukradkiem odchodzili.

Gwardziści wypatrzyli ofiarę. Piekarz ze stertą bochenków chleba na rękach, skrywając za nimi twarz, wycofał się i szedł skrajem ulicy. Kobieta nie знаła go.

Gwardziści otoczyli mężczyznę i wyciągnęli pistolety. Jeden z nich wytrącił mu z rąk bochenki, drugi uderzył w twarz pistoletem.

W płóciennej torbie kobiety leżał karabin uzi. Każda cząsteczka jej ciała pragnęła wyciągnąć go i zabić gwardzistów. Ale gdyby to zrobiła, nie wykonałaby już zleconych zadań. Pod osłoną puszy twarz kobiety płonęła gniewem. Zagryzła wargę. Chciała działać.

Ale zbyt wielu ludzi zależało od niej. Nie mogła zwracać na siebie uwagi.

Na ruchliwej ulicy zrobiło się nagle cicho. Piekarz upadł, ludzie odwrócili wzrok i odsunęli się. Nieszczęście mogło spotkać każdego, policjanci byli nieprzewidywalni. Z twarzy pobitego płynęła krew. Krzyczał. Kobieta patrzyła, jak dwaj gwardziści chwytają go pod ramiona i odciągają. Może został aresztowany, a może po prostu pobity. Nie można tego ustalić. Jego rodzina na pewno zrobi wszystko, żeby go uwolnić.

Minęła minuta. Jak podczas ciszy przed burzą powietrze wydawało się ciężkie i groźne.

Świadomość, że policjanci wybrali kogo innego, była nikłym pocieszeniem do następnego razu.

Ale życie toczyło się dalej. Kręta uliczka znów rozbrzmiała głosami. Pojawili się ludzie.

Chłop wziął pieniądze od kobiety i podał jej pomarańczę. Drżącymi rękami wrzuciła ją do torby, obok uzi, i ruszyła dalej, rozglądając się niespokojnie. Wciąż miała przed oczami przerażoną twarz piekarza.

Skręciła w ulicę Sadoun, handlową arterię z wieżowcami wyższymi od minaretów na drugim brzegu Tygrysu. Sklepy na szerokim bulwarze oferowały niewiele towarów, a tych, którzy mogli sobie na nie pozwolić, było jeszcze mniej. Do Bagdadu nie przyjeżdżali już turyści. Hol nowoczesnego hotelu "King Sargon", gdzie weszła, był pusty. Imponujący niegdyś, bogaty wystrój został zaprojektowany przez zachodnich architektów, którzy pragnęli połączyć elementy starożytnej kultury z najnowocześniejszymi udogodnieniami z Zachodu. Teraz, w kiepskim świetle lamp, hol wydawał się nie tylko obskurny, ale i opuszczony.

Wysoki boj hotelowy z dużymi ciemnymi oczami i wąsem Saddama szeptał ze złością do znudzonego recepcjonisty.

— Co nasz wielki przywódca zrobił dla nas, Rashid? W jaki sposób geniusz z Tikrit zniszczył diabelskie siły Zachodu i wzbogacił nas wszystkich? Jestem tak bogaty, że mając tytuł

doktora, muszę nosić te zniszczone łachy — walnął się w pierś ze złością — w hotelu, do którego nikt nie przyjeżdża, a moje dzieci będą miały szczęście, jeśli przeżyją, choć i tak nie mają żadnej przyszłości!

— Poradzimy sobie, Balshazar — odpowiedział posępnie recepcjonista. — Zawsze sobie radziliśmy, a Saddam nie będzie żył wiecznie. W Bagdadzie wszyscy nazywali swego przywódcę Saddamem.

Zauważyli nagle przygarbioną staruszkę, która bezszelestnie pojawiła się przed nimi. Przez chwilę recepcjonista poczuł się nieswojo. Jak mógł ją przegapić? Nad zasłoną dostrzegł parę czarnych i

bystrych oczu. Kobieta szybko spuściła wzrok — jak przystało w obecności obcych mężczyzn.

Recepcjonista zmarszczył brwi.

Odezwała się po arabsku, uniżonym i przestraszonym tonem.

— Najmocniej przepraszam. Przysłano mnie z szyciem dla Sundus. Uspokojony już recepcjonista pogardliwie kiwnął głową na drzwi dla personelu.

— Nie wolno ci wchodzić do holu, kobieto. Następnym razem masz wejść od tyłu. Tam twoje miejsce!

Wyszeptała słowa przeprosin, opuściła wzrok. Idąc, otarła się o boja hotelowego z tytułem doktora, imieniem Balshazar. Niewidoczną spod abaji ręką wsunęła do kieszeni jego wystrzępionej liberii złożoną kartkę.

Boj nie dał nic po sobie poznać. Zwrócił się do wyniosłego recepcjonisty z pytaniem:

— A co z elektrycznością? O której jutro mają wyłączyć? — Bezwiednie zakrył kieszeń ręką.

Kobieta znikła za drzwiami dla personelu. Dochodziły do niej strzępy wznowionej rozmowy.

Odetchnęła z ulgą. Pierwsze zadanie wykonała. Ale to nie koniec niebezpieczeństw. Miała do załatwienia jeszcze jedną, bardzo ważną sprawę.

Rozdział 28

19.44, Bagdad

Ostry wiatr z pustyni hulał wieczorem po mieście i wysyłał do domów tych, którzy robili zakupy na ulicy Szejka Omara. W rześkim powietrzu wyczuwało się intensywny zapach kadzidła i kardamonu. Niebo było czarne, temperatura spadła. Zgarbiona staruszka w czarnej abaji, z twarzą zasłoniętą puszi — ta sama, która zaniósła wiadomość do hotelu "King Sargon" —

przeciskała się przez tłum przechodniów. Mijała stragany z używanymi rzeczami, przy których kłębili się ludzie ze smykałką do napraw. Te nędzne stragany prowadzili często zamożni niegdyś mieszkańcy Bagdadu. Sprzedawali wszystko, od ziół i gorących posiłków do używanych rur.

Gdy była już bliska celu, oniemiała ze zdumienia. Serce zabiło jak szalone. Nie dowierzała własnym oczom.

W tym miejscu tłum przerzedził się, wyróżniał się więc bardziej niż gdzie indziej. Wysoki, szczupły, muskularny, był jedynym Europejczykiem na ulicy. Miał te same ciemnoniebieskie oczy, kruczoczarne włosy i opanowaną twarz, które przypomniła sobie z bólem i złością.

Ubrany był w kurtkę i brązowe spodnie. Ale mimo iż miał na ramieniu opaskę ONZ, wiedziała, że wcale nie pracuje dla ONZ.

Gdyby był zwykłym Europejczykiem — a w Iraku jest to teraz niecodzienny widok — też by mu się przyjrzała. Ale ten mężczyzna nie był jej obcy i zanim weszła do sklepu, zatrzymała się na chwilę. Najbardziej doświadczone oko zauważyłoby w jej ruchach tylko lekkie wahanie, choć przeżyła prawdziwy wstrząs.

Co on robi w Bagdadzie? Był ostatnią osobą, którą chciałyby zobaczyć... lub wesprzeć.

Doktor medycyny, podpułkownik Jonathan Smith.

Jon rozejrzał się niespokojnie po ulicy pełnej tekturowych straganów i warsztatów. Przez cały dzień odwiedzał gabinety lekarskie i szpitalne archiwa, rozmawiał ze zdenerwowanymi lekarzami, pielęgniarkami i dawnymi sanitariuszami wojennymi. Potwierdzali, że w zeszłym roku u sześciu osób stwierdzono zespół ostrych zaburzeń oddechowych wywołany śmiertelnym wirusem, którym się zajmował. Nikt nie mógł jednak nic powiedzieć o trójce ozdowieńców.

Na ulicy odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje. Przyjrzał się badawczo oświetlonej ulicy z nędznymi straganami i mężczyznom w długich luźnych galabijach, którzy siedzieli przy porysowanych stołach, pili gorącą herbatę i palili nargile. Próbował zachować obojętny wyraz twarzy. Ale wydawało mu się dziwne, że spotkanie ze światowej sławy pediatrą i chirurgiem, doktorem Radah Mahukiem, ma się odbyć w tej starej dzielnicy.

Instrukcje Domalewskiego były jednak jasne.

Jon popadał w rozpacz. Ten znany lekarz był jego ostatnią nadzieją. Pozostanie w Bagdadzie przez kolejną dobę radykalnie pogorszyłoby jego sytuację. Każda z osób, z którymi rozmawiał, mogła

donieść na niego Gwardii Republikańskiej. Z drugiej strony następny informator mógł być tym, który wyjawia mu, skąd pochodzi wirus i jaki drań zainfekował Irakijczyków i Sopię.

Zatrzymał się przed sklepem. Po obu stronach niskich ciemnych drzwi wisiały na łańcuchach łysy opony. Domalewski kazał mu przyjść do tego mrocznego warsztatu. Według polskiego dyplomaty jego właścicielem był biznesmen, którego rozwijającą się firmę zrujnowały bezcelowe wojny Saddama Husajna.

Obskurny wygląd sklepu nie uspokoił Jona. Zerknął na zegarek. Był punktualny. Rozejrzał się po raz ostatni i wszedł do środka.

Za zniszczonym kontuarem stał niski, łysiejący mężczyzna. Miał szorstką skórę i tak jak wszyscy czarne wąsy. Czytał coś z kartki, którą trzymał w grubych palcach poplamionych smarem. W głębi kobieta w tradycyjnej czarnej sukni oglądała opony.

— Ghassan? zapytał Jon.

— Nie tutaj. Irakijczyk odpowiedział po angielsku z silnym akcentem i otaksował Jona bystrym spojrzeniem.

Jon ściszył głos i zerknął na kobietę, która podeszła bliżej, najwidoczniej po to, żeby obejrzeć inną kupę opon.

— Muszę z nim porozmawiać. Farouk al Dubq powiedział mi, że ma nowe opony Pirelli. —

Tak brzmiało hasło, które Domalewski przekazał Jonowi. Nie powinno wzbudzać zainteresowania, bo dawniej firma Ghassana na ulicy Rashida specjalizowała się w sprowadzaniu najlepszych opon z całego świata i wszyscy wiedzieli, że Ghassan jest prawdziwym znawcą.

Ghassan uniósł brwi z aprobatą. Uśmiechnął się lekko, zmiął kartkę w spracowanych dłoniach i odpowiedział serdecznie, dużo lepszą angielszczyzną.

— Ach, Pirelli. Doskonałe opony. Proszę za mną na zaplecze. Gdy odwrócił się, żeby poprowadzić Jona, wymamrotał coś po arabsku.

Jonowi zjeżyły się włosy. Zdążył zauważyć, że kobieta w długiej czarnej abaji wymknęła się jak cień przez frontowe drzwi.

Zmarszczył brwi. Intuicja podpowiadała mu, że coś nie gra.

— Kto...? — zaczął.

Ale Ghassan przerwał mu.

— Szybko, tędy — ponaglał.

Przebiegli przez łuk z ciężkimi zasłonami do mrocznego magazynu, gdzie stosy zużytych opon niemal tarasowały tylne wejście. Jeden stos sięgał sufitu. Na najniższej stercie na środku pokoju siedziała Arabka w średnim wieku z dzieckiem na rękach. Jej policzki i wysokie czoło były pokryte siateczką cienkich zmarszczek. Z zaciekawieniem zwróciła na Jona czarne jak węgiel oczy. Miała na sobie długą wzorzystą sukienkę, czarny sweter i biały szal owinięty wokół

głowy i szyi. Ale wzrok Jona spoczął na wilgotnej, rozpalonej twarzy dziecka. Podeszedł szybko do kwilącego niemowlęcia. Było najwyraźniej chore. Jako lekarz chciał mu pomóc, bez względu na to, czy była to pułapka.

Ghassan powiedział coś szybko po arabsku i Jon usłyszał, że wymienił jego nazwisko z fałszywych dokumentów. Kobieta zmarszczyła brwi i zaczęła zadawać pytania. Zanim Jon zdążył

podnieść dziecko, rozległ się głośny trzask od strony sklepu. Ktoś kopniakiem otworzył drzwi.

Jon zamarł. Usłyszał stukot butów i głos wołający coś po arabsku.

Poczuł w żyłach zastrzyk adrenaliny. Ktoś ich wsypał! Wyciągnął berettę i odwrócił się.

Ghassan wydobył ze stosu łysych opon Goodyear stary karabin AK-47.

— Gwardia Republikańska! — krzyknął. Posługiwał się bronią ze swobodą, która podpowiedziała Jonowi, że nie po raz pierwszy korzystał z tego potężnego karabinu w obronie własnej lub sklepu.

Jon ruszył w stronę sklepu. Ghassan zastąpił mu drogę. Z wściekłością wskazał ruchem głowy kobietę z chorym dzieckiem.

— Wydostań ich stąd. Resztę zostaw mnie. To mój sklep.

Nie czekał na reakcję Jona. Podbiegł do łuku, wsunął lufę karabinu między zasłony i otworzył ogień krótkimi seriami.

Hałas był ogłuszający. Ściany z dykty zadrzały.

Kobieta krzyknęła. Dziecko rozplakało się.

Jon podbiegł do nich z berettą w ręku. Kobieta z dzieckiem biegła już w stronę tylnych drzwi. Nagle do magazynu wdarł się deszcz kul z broni automatycznej. Ghassan cofnął się i ukrył

za stosem opon. Z rany na ramieniu sączyła mu się krew. Jon wciągnął kobietę z dzieckiem za inny stos. Kule wpadały do magazynu i lądowały z głuchym odgłosem w grubych oponach. W

powietrzu fruwały kawałki gumy.

Ghassan modlił się żarliwie za oponami.

— Allah jest wielki. Allah jest sprawiedliwy. Allah jest miłosierny...

Kolejna seria z broni automatycznej przeszła pokój. Kobieta pochyliła się nad dzieckiem, żeby je osłonić, a Jon pochylił się nad nimi. Kule trafiały w butelki i słoiki na półkach. Kawałki szkła rozprysły się po całym magazynie. Gwoździe, śruby i nakrętki śmigwały jak odłamki pocisków. Gdzieś samoistnie zeszła woda w toalecie.

Jon widywał to nieraz — bezmyślne przekonanie źle wyszkolonych żołnierzy, że wroga pokona się brutalną siłą ognia. W rzeczywistości taki atak nie szkodzi dobrze okopanemu lub ukrytemu przeciwnikowi. Przez cały czas Ghassan modlił się z przejęciem. Znow rozległy się strzały. Jon przykucnął na piętach i spojrzał z troską na kobietę, bladą ze strachu. Poklepał ją po plecach — nie umiał dodać jej otuchy w jej języku. Dziecko płakało i kobieta próbowała je zabawić, szczebiocząc uspokajająco.

Nagle zapadła cisza. Z jakiegoś powodu Gwardia Republikańska wstrzymała ogień. Jon szybko domyślił się dlaczego. Głośne kroki zdradziły, że zbliżali się do zasłoniętego łuku i zamierzali wtargnąć do magazynu.

— Chwała Allahowi! — Ghassan wyskoczył zza stosu opon. Uśmiechał się fanatycznie, a jego czarne oczy płonęły. Zanim Jon zdążył go powstrzymać, sforsował zasłonę i otworzył ogień z karabinu. Zza zasłony rozległy się krzyki i jęki. Odgłosy chaotycznego odwrotu. Potem zapadła nagle cisza.

Jon zawahał się. Powinien zabrać stąd kobietę z dzieckiem, ale może...

Podniósł się i podbiegł do zasłoniętego łuku.

W sklepie znowu rozpoczęła się strzelanina.

Padł na podłogę i podczołgał się do zasłony. Strzały ucichły. Wstrzymał oddech i wyjrzał

przez szparę pod zwisającą kotarą. W tej chwili ciszę rozdarła kolejna seria strzałów, jak krzyk na pustyni. Ghassan leżał za kontuarem. Nie poddawał się. Smith patrzył na niego z podziwem.

Wtedy zobaczył, że policjanci skradają się, żeby zaskoczyć Ghassana od tyłu. Było ich zbyt wielu i Irakijczyk nie miał szans. Jon chciał mu pomóc, może we dwójkę daliby sobie radę i umożliwili wszystkim ucieczkę.

Usłyszał, jak na wąskiej ulicy przed warsztatem zatrzymują się samochody.

Ściągnęli posiłki. To samobójstwo.

Obejrzał się na kobietę. Trzymała dziecko na rękach i czekała na jego decyzję. Ghassan prosił, żeby ją uratował. Narażał życie nie tylko po to, żeby bronić warsztatu, ale żeby pozwolić jej i dziecku na ucieczkę. Poza tym Jon miał misję do spełnienia. Misję, która mogła ocalić od strasznej śmierci

miliony ludzi. Westchnął i pogodził się z faktem, że nie uratuje Ghassana.

Nie zwlekał dłużej. Przy wtórze ogłuszających strzałów otworzył popękane tylne drzwi.

Krzyki rannych odbijały się echem po podziurawionym jak rzeszoto magazynie. Posłał kobiecie uspokajający uśmiech, wziął ją za rękę i wyrztał na ciemną uliczkę. Była tak wąska i głęboka, że nawet wiatr nie miał gdzie wiać. Pociągnął ją za sobą i wyszli na zewnątrz.

Kobieta z dzieckiem ruszyła za nim. Pobiegli w lewo, ale zatrzymali się.

Po obu stronach wąskiego przejścia stawały z piskiem opon wojskowe pojazdy. Wyskakiwali z nich żołnierze. Smith wpadł w pułapkę zastawioną przez Gwardię Republikańską.

Rozdział 29

1.04, Frederick, Maryland

Technik Adele Schweik wyrwał ze snu przenikliwy, irytujący sygnał. Czujnik podłożony w gabinecie doktor Russell w odległym o kilometr Instytucie Chorób Zakaźnych włączył alarm.

Natychmiast otrzeźwiała, uciszyła denerwujący sygnał, wyskoczyła z łóżka i włączyła kamerę, zainstalowaną w gabinecie.

Usiadła przy biurku w mrocznej sypialni i wpatrywała się w ekran. W gabinecie doktor Russell pojawiła się ubrana na czarno postać. Z niepokojem przyjrzała się intruzowi. On — lub ona — wyglądał jak przybysz z kosmosu, lecz poruszał się ze zwinnością kota i swobodą, która podpowiedziała Schweik, że nie po raz pierwszy włamał się do strzeżonego budynku. Miał na sobie przeciwodblaskowy kaptur z respiratorem i nowoczesną kamizelkę kuloodporną, która mogła zatrzymać kule z większości pistoletów i karabinów.

Wyprostowana w nocnej koszuli, jakby miała na sobie mundur, została przed rozjarzonym ekranem na tyle długo, by zorientować się w zamiarach intruza. Przeprowadzał dokładną rewizję w gabinecie. Potem wyskoczyła z koszuli nocnej, włożyła mundur i pobięła do samochodu.

W samochodzie turystycznym zaparkowanym o jedną przecznicę za wjazdem do Fort Detrick, Marty Zellerbach wpatrywał się posepnie w ekran komputera. Miał strapioną minę i zgarbił się na krześle, manifestując przesadną rozpacz. Lekarstwo zażył siedem godzin temu.

Gdy przestało działać, wymyślił genialny program, który automatycznie zmieniał ścieżki przekaźnikowe, dzięki czemu nikt już nie mógł namierzyć jego elektronicznych śladów.

Lecz ten sukces nie doprowadził go do dwóch głównych celów: nieujawnione rozmowy telefoniczne Sophii Russell, jeśli w ogóle istniały, pozostawały nadal niedostępne, a trop Billa Griffina został zbyt dobrze ukryty.

Musiał znaleźć jakieś twórcze rozwiązanie. W innych okolicznościach z radością przyjąłby takie wyzwanie, ale teraz niepokoił się. Miał mało czasu, a prawda była taka, że cały czas pracował nad dwoma problemami i nie zanotował żadnych postępów. Do tego bał się o Jona, który z własnej woli przedostał się do Iraku, kraju Saddama Husajna. No, a poza tym Marty —

choć generalnie nie ufał ludziom — nie chciał dopuścić do zagłady milionów, a taki czekał ich los, jeśli wirus nie zostanie powstrzymany.

Właśnie takich chwil unikał przez całe życie: wybijały egoizm ścierał się z czymś, co tkwiło na dnie jego serca.

Nikt nie wiedział, że w Martym drzemie altruista. Nigdy o tym nie wspominał i oczywiście nigdy się do tego nie przyznawał, ale z czułością myślał o niemowlętach, gderliwych staruszkach i dorosłych, którzy bezinteresownie prowadzą działalność charytatywną. Sam przeznaczał cały roczny dochód ze

swojego funduszu powierniczego na różne szczytne cele na całym świecie.

Codzienne wydatki pokrywał z pieniędzy, które dostawał za pomoc w rozwiązaniu problemów komputerowych od prywatnych osób, firm i instytucji rządowych. Miał też pokaźne konto, z którego wyciągnął dwadzieścia pięć tysięcy dla Jona.

Westchnął. Czuł rozdrażnienie i niepokój, co podpowiadało mu, że niedługo musi zażyć następną pigułkę. Ale jego umysł aż rwał się do tego, by uciec w nieznane, gdzie mógł być sobą

— wyzwolonym, niesamowitym sobą, i niczego się nie bać. Gdy o tym myślał, gdzieś daleko na horyzoncie rozbłyły jasne kolory, a świat zdawał się rozplływać w coraz wyższych falach nowych możliwości.

Zaczynał się dla niego najpłodniejszy okres, kiedy prawie tracił kontrolę nad sobą. Musiał

wymyślić, jak sprawdzić dokładność rejestru rozmów telefonicznych Sophii Russell i zlokalizować Billa Griffina.

Teraz przyszła na to pora!

Zadowolony odchylił się do tyłu, zamknął oczy i radośnie rzucił się w gwiazdzisty świat potężnej wyobraźni.

Nagle zaskoczył go zimny, surowy głos, który dochodził jakby z nikąd.

— Gdybym był wrogiem, już byś nie żył. Marty podskoczył.

— Peter! — ryknął. Odwrócił się. — Ty idioto! Jak będziesz się tak zakradał, dostanę zawału!

— Ależ z ciebie łatwy cel — powiedział z dezaprobatą Peter Howell i pokręcił posepnie głową. — Musisz bardziej uważać. Roziadł się w fotelu, ubrany wciąż w czarny strój komandosa ze specjalnych służb powietrznych. Szary kaptur przeciwodblaskowy położył sobie na kolanach. Wrócił właśnie z bezowocnej misji w Instytucie Chorób Zakaźnych i jak duch wśliznął się do samochodu.

Marty był zbyt zdenerwowany na zabawę w szpiegów. Chciał, żeby całe zamieszanie już się skończyło, żeby mógł wreszcie wrócić do swojego spokojnego domu, gdzie najbardziej podniecającym wydarzeniem dnia jest nadejście poczty.

Wykrzywił pogardliwie usta.

— Drzwi były na pewno zamknięte, kretynie. Jesteś zwykłym włamywaczem!

— Niezwykłym włamywaczem. Peter pokiwał głową, nie zwracając uwagi na pogardliwe spojrzenie Marty'ego. — Gdybym był przeciętnym rabusiem, ta pogawędka nie miałaby miejsca.

Od czasu, gdy zostawili Jona na lotnisku w San Francisco, zmieniali się przy kierownicy i żeby zyskać na czasie, spali i jedli w samochodzie. Peter wziął na swoje barki prowadzenie samochodu i

zakupy, żeby Marty miał mniej powodów do narzekania. Musiał też poduczyć Marty'ego jazdy, co wystawiło poważnie na próbę jego cierpliwość. Nawet teraz, patrząc na komputerowego geniusza, dziwił się, jak ten słaby człowieczek może czuć się lepszy od innych, skoro w codziennym życiu jest tak bardzo upośledzony. Poza tym był cholernie drażliwy.

— Mam nadzieję, że dowiedziałeś się więcej ode mnie — burknął Marty.— Niestety, nie — na ogorzałej twarzy Petera pojawił się grymas niezadowolenia. — Nie znalazłem nic ważnego.

Po dotarciu do Maryland postanowił, że najlepiej zacząć poszukiwania od samego źródła, czyli od laboratorium i gabinetu Sophii, żeby upewnić się, czy Jon niczego nie przeoczył. Zaparkował

więc samochód, włożył strój komandosa i dostał się niepostrzeżenie do Detrick. — Marty, mój przyjacielu — westchnął — obawiam się, że potrzebujemy twoich niezwykłych zdolności komputerowych, żeby pogrzebać w przeszłości tej nieszczęsnej dziewczyny. Możesz wyciągnąć jej akta osobowe z Detrick?

Marty rozchmurzył się, uniósł ręce nad głowę i strzelił palcami.

— Wystarczy, że poprosisz! Poruszając palcami z wielką prędkością, stukał w klawiaturę, obserwował monitor i kilka minut później odchylił się do tyłu, założył ręce i posłał Peterowi tajemniczy uśmiech. — Proszę bardzo! Akta osobowe doktor Sophii Lilian Russell. Mam je!

Peter obserwował go z ciemności. Martwił się, odkąd Marty zaczął mówić z wykrzyknikami.

Przeszedł przez samochodowy salon i pochylił szczupłe, żylaste ciało nad komputerem.

Według Jona coś kryje się za wykasowanym raportem z Instytutu Księcia Leopolda, który zwrócił uwagę Sophii — powiedział cicho. — Dlatego został wykasowany, a kartka z jej notatkami wycięta z dziennika. Spojrzał w roziskrzone zielone oczy Marty'ego. — Poszukajmy czegoś, co miałyby związek z tym raportem.

Marty podskoczył na krześle.

— Żaden problem! Wydrukuję cały plik. Elektryzująca energia zdawała się promieniować ze wszystkich komórek jego ciała, na twarz wypłynął uśmiech samozadowolenia. — Mam go! Mam go!

Peter zacisnął mu dłoń na ramieniu.

— Lepiej weź pigułkę. Przykro mi. Wiem, że ich nie cierpisz. Ale głowa do góry. Nasze mózgi czeka wyjątkowo mozolne zadanie. Ty przynajmniej możesz swój znieczulić.

Peter czytał głośno raport z Instytutu Księcia Leopolda, a Marty porównywał podane w nim informacje z danymi z akt Sophii. Marty analizował każdą linijkę, jego umysł pracował

metodycznie. Mideral był cudownym lekiem. Błyskawiczne działanie specyfiku sprawiło, że Marty mówił teraz wolniej i cierpliwie pracował nad żmudnym zadaniem. Zachowywał się jak wytworny,

choć nieco posępny dżentelmen.

Nadchodził świt, a oni nadal nie znaleźli ogniwa, które łączyłoby przeszłość Sophii z jej korespondencją w Instytucie.

— Dobra — zaproponował Peter. — Cofnijmy się jeszcze dalej. Gdzie prowadziła badania po uzyskaniu doktoratu? Marty przestudiował dane.

— Na Uniwersytecie Kalifornijskim.

— Którym?

Gdyby Marty nie zażył leku, załamałby rozpaczliwie ręce nad dyletanctwem Petera. Teraz tylko pokręcił głową.

— W Berkeley, rzecz jasna.

— Ach, tak. Podobno to my, Brytyjczycy, jesteśmy snobami. Włamiesz się do komputera tej nobliwej uczelni czy mamy jechać na Zachodnie Wybrzeże?

Marty uniósł brwi zde gustowany dowcipem Petera. Odpowiedział zrównoważonym, irytująco powolnym głosem.

— Powiedz mi, Peter, gdy lekarstwa nie działają, też tak bardzo się nie lubimy?

— Tak, mój przyjacielu. Oczywiście.

Marty zadarł dumnie głowę.

— Tak myślałem. Dziesięć minut później miał w rękach wyniki badań Sophii z Berkeley.

Peter jeszcze raz przeczytał raport z Instytutu Księcia Leopolda. Marty sprawdzał dane z Berkeley.

— Żadnych wspólnych nazw. Brak badań w terenie. Cały program badawczy poświęcony był genetyce człowieka, a nie wirusom. Oparł się, kartki zsunęły mu się z kolan. — To beznadziejne.

— Nonsens. Jak mówimy my, Brytyjczycy: "Walka jeszcze się nie zaczęła".

Marty zmarszczył brwi.

— Te słowa wypowiedział John Paul Jones, gdy walczył przeciw Brytyjczykom.

— Ale formalnie rzecz biorąc, wtedy był jeszcze Brytyjczykiem.

Marty uśmiechnął się złośliwie.

— Według ciebie ciągle jesteśmy waszą kolonią?

— Nigdy nie lubiłem tracić dobrych inwestycji. No dobrze, a gdzie skończyła studia doktoranckie?

— W Princeton.

— Zajrzyj tam.

Praca doktorska Sophii była zbyt obszerna i szczegółowa, żeby mogli z niej skorzystać. I nie miała związku z wirusami. Badała grupę genów, które odpowiadały za brak ogonów u kotów z wyspy Man.

— Często wyjeżdżała na wyprawy badawcze — zauważył Marty. — To może naprowadzić nas na trop.

— Zgoda. Wymieniono nazwisko jej promotora?

— Doktor Benjamin Liu. Na emeryturze. Prowadzi jeszcze od czasu do czasu wykłady i mieszka w Princeton.

— Dobra — odparł Peter. — Trzeba ruszyć tę kupę złomu. Jedziemy.

13.42, Princeton, New Jersey

Im dalej na północ, tym liście nabierały coraz bardziej jesiennych kolorów. Peter i Marty prowadzili i spali na zmianę. Przejechali przez most Delaware Memorial Bridge na południe od Wilmington i minęli autostradą Jersey Turnpike Filadelfię i Trenton. Gdy dotarli do Princeton, popołudniowe słońce świeciło jasno, a liście drzew mieniły się różnymi odcieniami czerwieni i złota.

Princeton to stare miasto, świadek bitwy podczas wojny o niepodległość. Tutaj mieli swoją kwaterę Brytyjczycy. Zachowały się wysadzone drzewami aleje, trawiaste łąki, stare domy i klasyczne budynki uniwersyteckie, a także atmosfera spokoju, sprzyjająca nauce i niespiesznemu stylowi życia. Słynny uniwersytet i miasto żyją w symbiozie i jedno bez drugiego nie poradziłoby sobie.

Doktor Benjamin Liu mieszkał przy bocznej uliczce wysadzonej klonami, których liście płonęły czerwienią. Stateczny, dwupiętrowy dom pokryty był gontami w typowym dla Wschodniego Wybrzeża kolorze drewna, pośrednim między ciemnobrązowym a ciemnoszarym.

Taka barwa powstaje po wielu latach opierania się żywiołom.

Sam doktor Liu o ogorzałej twarzy odbiegał od stereotypu skromnego, wiecznie kłaniającego się Chińczyka. Był wysoki i muskularny, miał oczy i białe zwisające wąsy ascetycznego mandaryna, lecz silną szczękę, pełne policzki i czerstwą cerę kapitana z Nowej Anglii. Był

wspaniałym przykładem wymieszania rasy żółtej i białej, a ściany gabinetu pomagały ustalić jego pochodzenie. Wisiały na nich dwa portrety — przypuszczalnie jego rodziców. Jeden ukazywał

wysoką, atletyczną blondynkę w marynarskiej czapce z wędką w ręku, drugi dystygowanego dżentelmena w tradycyjnych szatach mandaryna, siedzącego na dziobie jachtu. Po jednej stronie wisiała wypchana ryba, a po drugiej historyczne insygnia z chińskiego dworu.

Doktor Liu wskazał im, gdzie mają usiąść.

— W czym mogę panom pomóc? Wspominaliście przez telefon o Sophii Russell. Doskonale ją pamiętam. Świetna studentka. Nie mówiąc o tym, że piekielnie atrakcyjna. Przez nią i tylko przez nią rozważyłem nawet możliwość nawiązania romansu profesorsko-studenckiego. Zagłębił

się w fotel. — Co u niej słyhać?

Pod działaniem leków Marty przystąpił do powolnej, skrupulatnej odpowiedzi.

— No cóż, Sophia Russell...

Peter zniecierpliwił się.

— Ja to zrobię, Marty. Spojrzał przenikliwie na emerytowanego profesora. — Ona nie żyje.

Przepraszam, że walę prosto z mostu, ale mamy nadzieję, że może nam pan pomóc. Zabił ją ten nowy

wirus.

— Nie żyje? — Doktor Liu był wstrząśnięty. — Kiedy? Czy to możliwe? Przenosił wzrok z Petera na Marty'ego. Kręcił głową, najpierw wolno, potem energicznie. — Przecież była taka...

młoda. Zawahał się, jakby przypomniał sobie jej żywotność. Po chwili dotarła do niego reszta. —

Nowy wirus? Epidemia ogarnia cały świat! Mam wnuki i strasznie się o nie boję. Ta choroba może zgładzić połowę ludzkości. Co się robi, żeby ją powstrzymać? Czy ktoś może mi na to odpowiedzieć?

Peter powiedział uspokajająco:

— Wszyscy pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, profesorze. Doktor Russell też prowadziła badania.

— Badania? Więc tak się zaraziła?

— Być może. To jedna z rzeczy, które próbujemy ustalić.

Twarz profesora zastygła w ponurym wyrazie.

— Nie sądzę, żebym mógł jakoś pomóc, ale spróbuję. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

Peter podał profesorowi jednostronicowy raport.

— Z Instytutu Chorób Tropikalnych Księcia Leopolda. Proszę to przeczytać i powiedzieć, czy raport ma jakiś związek ze studiami doktor Russell w Princeton. Zajęcia, wyprawy terenowe, badania, przyjaciele, cokolwiek przyjdzie panu do głowy.

Profesor Liu kiwnął głową. Zaczął czytać, często przerywając, żeby się zastanowić i odnaleźć coś w pamięci. Stary zegar na kominku tykał głośno. Profesor przeczytał raport jeszcze raz. Potem jeszcze raz.

W końcu pokręcił głową.

— Nie widzę tu nic, co wiązałoby się z pracą i studiami Sophii. Zajmowała się genetyką i z tego, co wiem, nie była na żadnej wyprawie w Ameryce Południowej. Giscard nie studiował w Princeton, a Sophia nie studiowała w Europie. Nie widzę możliwości, żeby się spotkali. —

Zacisnął wargi i znów spojrzał na raport. Podniósł głowę. — Ale wiecie co, coś sobie przypominam... Tak, w czasie studiów magisterskich brała udział w jakiejś wyprawie. Ale nie chodziło o wirusy. Zawahał się. — Do diabła, wspomniała o niej mimochodem podczas przyjęcia w tym domu. Westchnął. — Chyba nic więcej nie będę wam w stanie powiedzieć.

Marty słuchał go uważnie. Nawet pod działaniem leków jego genialny umysł, choć nieco przytępiony, wciąż przewyższał inteligencją większość ludzi. Peter Howell denerwował go. Żeby mu udowodnić,

że potrafi to zrobić szybko, zadał pytanie.

— Gdzie studiowała?

Profesor spojrział na niego.

— W Syracuse. Ale wtedy nie studiowała biologii. Nie rozumiem, dlaczego ta wyprawa miałaby mieć związek z Giscoursem i jego raportem.

Peter otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Marty był szybszy.

— Oby miała. Przeszył go nagły dreszcz i spojrział na Petera.

Howell patrzył na niego ze zrozumieniem.

— To nasza ostatnia szansa.

Technik Adele Schweik siedziała w swojej małej hondzie i obserwowała dom. Obok niej w fotelu pasażera rozsiadł się gruby Maddux. Zobaczyła, jak ubrany na czarno intruz wymyka się z Fort Detrick i wsiada do zaparkowanego w pobliżu samochodu turystycznego. Przyjechała za nim do Princeton. Teraz musiała wracać na swój posterunek w Instytucie.

— To tamten wóz — powiedziała Madduksowi. — Facet wygląda na niebezpiecznego. Bądź ostrożny. Jest jeszcze jeden, ale z nim nie powinniście mieć żadnych problemów. Możecie ich zdjąć, gdy będą wychodzić.

— Zameldowałaś o tym panu al-Hassanowi?

— Nie miałam czasu.

Maddux kiwnął głową.

— Dobra, jedź już. Zajmiemy się nimi.

Wysiadł z hondy i podbiegł do swojej furgonetki. Adele odjechała, nie oglądając się ani na niego, ani na samochód turystyczny.

Rozdział 30

9.14, Long Lake, stan Nowy Jork

Górskie powietrze w parku Adirondack było słodkie i świeże, a wysokie sosny rzucały tego ranka cienie na rozległy kompleks Blanchard Pharmaceuticals. Naczelnym lekarz kraju Jesse Oxnard był pod wrażeniem. Razem z sekretarzem zdrowia Nancy Petrelli zakończyli obchód po laboratoriach i liniach produkcyjnych firmy, prowadzony osobiście przez Victora Tremonta.

Oxnard słyszał o Blanchard Pharmaceuticals, ale firma dbała o skromny wizerunek, toteż nie miał pojęcia o jej zasięgu i obecności na światowych rynkach.

Dwoje urzędników rządowych spotkało się przy kawie z personelem kierowniczym firmy.

Potem oboje dołączyli do Tremonta w jego imponującym, obitym drewnianą boazerią gabinecie.

Przez oszkloną ścianę rozciągał się widok na okolone lasem jezioro, od którego wzięła się nazwa miejscowości Long Lake. Zasiedli w fotelach przy kominku, ciepłym blaskiem płonęło drewno.

Słuchali uważnie Tremonta, który z entuzjazmem opowiadał o pochodzeniu obiecującej surowicy.

— ...nasi mikrobiologowie wystąpili do mnie z tą propozycją ponad dziesięć lat temu. —

Byłem wtedy szefem działu badawczo-rozwojowego. Przewidywali, że w związku z większym dostępem do krajów Trzeciego Świata i migracją ich ludności będzie się pojawiało coraz więcej chorób. Innymi słowy, będzie coraz mniej miejsc na tyle odizolowanych od reszty świata, by zapobiec epidemiom, które dotąd miały ograniczony zasięg. Kraje uprzemysłowione nie zdołają obronić się przed nimi, a choroby te mogły być straszniejsze w skutkach od AIDS. Moi pracownicy mieli nadzieję, że pracując nad najbardziej tajemniczymi wirusami, przyczynimy się nie tylko do rozwoju nauki, lecz opracujemy lekarstwa na nieuleczalne dotąd choroby. Jeden z wirusów, na którym się skoncentrowali, atakował pewien gatunek małp o kodzie genetycznym zbliżonym do ludzkiego. Opracowaliśmy surowicę przeciw temu wirusowi. Popatrzył na nich poważnie. — W tej sprawie właśnie telefonowałem do pani. Teraz okazuje się, że nasze ryzykowne przedsięwzięcie może pomóc światu. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Jesse Oxnard, duży, krzepki mężczyzna o silnie zarysowanej szczęce i grubych wąsach, nie był o tym przekonany. Zmarszczył czoło.

— Ale ten wynalazek... ta surowica... jest wciąż w fazie eksperymentów. Tak?

Na smagłą, arystokratyczną twarz Tremonta wypłynął wyrozumiały uśmiech. W jego błyszczących włosach odbijały się blaski ognia, gdy kręcił głową.

— Mamy już za sobą testy na zwierzętach i ssakach naczelnych. Wykazaliśmy, że surowica leczy zainfekowane wirusem małpy. Dlatego postaraliśmy się o patent, a teraz zwróciliśmy się do Inspektoratu Żywności i Leków o przyznanie nam zezwolenia na wykorzystanie surowicy w weterynarii.

Nancy Petrelli śledziła reakcję Oxnarda, a jednocześnie podziwiała swadę, z jaką Victor Tremont kłamię. O mało sama mu nie uwierzyła. A to przypomniało jej, że trzeba zabezpieczać sobie tyły, gdy się ma do czynienia z Tremontem. Nigdy nie dała się przekonać, że jest jej przyjacielem. Na początku potrzebował pieniędzy, które zainwestowała, później wykorzystywał

jej wpływy jako członka Kongresu i sekretarza zdrowia. Dlatego zawsze był dla niej taki miły.

Nancy była realistką. Swoje srebrne włosy ścinała krótko i wygodnie. Ubierała się w kobiece, lecz praktyczne garsonki od St. Johna. I nigdy nie ryzykowała, chyba że szansę wygranej były bardzo duże. Popierała Victora Tremonta i jego wielkie oszustwo, bo wierzyła, że mu się uda. Ale też zdawała sobie sprawę, że jeśli zostanie zdemaskowany, będzie na nim ciążyło oskarżenie o zbrodnię ludobójstwa. Postanowiła więc zdystansować się od wszelkich podejrzeń, jakoby miała coś wspólnego z jego działaniami. Jednocześnie oczekiwała, że Tremont odniesie sukces i uczyni ją bogatą.

— Małpy to nie ludzie, panie Tremont — wyręczyła Oxnarda, asekurując siebie. Victor rzucił jej zdziwione spojrzenie.

— To prawda — zgodził się. — Ale w tym przypadku układ odpornościowy małp jest bardzo podobny do ludzkiego.

— Zaraz, zaraz, czy ja dobrze rozumiem? Oxnard gładził się po wąsach. — W ogóle nie wiemy, czy ta surowica leczy ludzi?

— Oczywiście, że nie — odpowiedział poważnie Tremont. Nie dowiemy się tego, dopóki nie przeprowadzimy testów na ludziach. Ale jestem przekonany, że surowica okaże się pomocna.

Naczelnny lekarz kraju zmarszczył brwi.

— To wielka przeszkoda. Przecież może się okazać, że szczepionka nie pomaga, tylko szkodzi.

Tremont splótł dłonie i wbił w nie spojrzenie.

— Jedno mogę zagwarantować — oświadczył uroczyście, podnosząc wzrok — jeśli nie znajdziemy lekarstwa przeciw temu straszemu wirusowi, umrą miliony ludzi. Pokręcił głową, jak gdyby nie mógł podjąć decyzji. — Myślę państwo, że nie zastanawiałem się nad tym? Przez dwa dni wahałem się, czy skontaktować się z państwem. Musiałem poczuć w głębi serca, że postępuję słusznie. I odpowiedź brzmi: tak, jestem pewien, że nasza surowica pokona tę potworną epidemię. Ależ drugiej strony, jak mogę zagwarantować, że nie pogłębi cierpień?

Cała trójka zastanawiała się nad tym. Jesse Oxnard wiedział, że nie może zarekomendować surowicy Tremonta bez szczegółowych testów. Jednocześnie uświadamiał sobie, że uznają go za odważnego i zdecydowanego, jeśli surowica uratuje od śmierci miliony chorych na całym świecie.

Nancy Petrelli była zajęta własną osobą. Wiedziała, że surowica jest skuteczna, ale polityka nauczyła ją przezorności. Najlepiej przyjąć postawę sceptyczną i dołączyć do mniejszości, która

— była tego pewna — zostanie w końcu przegłosowana i Victor uzyska poparcie.

Victora Tremonta martwił Jon Smith i jego przyjaciele. Od czasu fiaska w górach Sierra Nevada al-Hassan nie miał o nich żadnych wiadomości. Ocknął się z zamyślenia.

Miał w zanadrzu śmiały gest, który — jak miał nadzieję — przekona naczelnego lekarza kraju, a za jego pośrednictwem prezydenta Castillę. Musiał jednak wybrać odpowiedni moment.

Spojrzał na chmurne i zamyślane twarze Nancy Petrelli i Oxnarda i wiedział, że moment nadszedł.

Musi przełamać impas. Jeśli nie przekona Oxnarda, możliwe, że wysiłki ponad dwunastu lat pracy pójdą na marne.

W głębi ducha wiedział, że nie może przegrać.

— Najlepiej przekonać się, przeprowadzając próbę na człowieku. Przysunął się do nich, mówił władczym i poważnym głosem. — Wyizolowaliśmy małą ilość śmiertelnej mutacji wirusa. Nie jest stabilny, ale możemy go utrzymać przez mniej więcej tydzień. Zawahał się, jakby stanął wobec wielkiego dylematu moralnego. — Jest tylko jedno wyjście. I proszę mnie nie powstrzymywać: stawka jest zbyt wielka. Musimy myśleć o wyższych celach, nie tylko o własnym bezpieczeństwie. Znów przerwał i wciągnął powietrze. — Wstrzyknę sobie tego wirusa...

Oxnard wzdrygnął się.

— Doprawdy, doktorze, nie musi pan. Tremont podniósł rękę.

— Nie, nie. Proszę dać mi dokończyć. Wstrzyknę sobie małpiego wirusa, a potem przyjmę surowicę. Może nie jest to dokładnie ten sam wirus, który teraz się rozprzestrzenia, ale chyba na tyle podobny, że gdy przyjmę surowicę, będziemy mogli ustalić wszelkie efekty uboczne. Wtedy będziemy wiedzieli.

— To absurd! — zawołała Nancy Petrelli, kontynuując przewrotną grę. — Nie możemy pozwolić, żeby narażał pan życie!

Jesse Oxnard zawahał się.

— Zrobiłby pan to?

— Oczywiście. Tremont energicznie kiwnął głową. — Skoro jest to jedyny sposób na przekonanie wszystkich, że nasza surowica może powstrzymać coś, co szybko zamienia się w pandemię.

— Ale... — zaczęła Nancy Petrelli, która wzięła na siebie rolę adwokata diabła.

Naczelnny lekarz kraju pokręcił głową.

Decyzja nie należy do nas, Nancy. Doktor Tremont składa nam wspaniałą humanitarną propozycję. Powinniśmy to przynajmniej uszanować i przedstawić ją prezydentowi.

Nancy zmarszczyła brwi.

— Jesse, nie mamy pewności, że te dwa wirusy i surowica będą współdziałały tak samo w ludzkim ciele. Zauważyła, że Tremont znów spogląda na nią ze zdziwieniem, jak gdyby nie wierzył własnym uszom. — Jeśli doktor Tremont zamierza odegrać rolę królika doświadczalnego, powinno się go zarazić prawdziwym wirusem. Trzeba też zbadać, czy oba wirusy są identyczne.

Tremont przytakiwał powoli. Zrozumiał, że Nancy Petrelli zmierza do podniesienia ryzyka.

— Pani sekretarz ma oczywiście rację. Tak będzie najlepiej. Ale porównywanie wirusów może niepotrzebnie opóźnić sprawę. Zapewniam państwa, że jestem gotów zarazić się prawdziwym wirusem. Nasza surowica wyleczy mnie. Jestem pewien.

— Nie. Naczelnny lekarz kraju klepnął się po kolanach. — Zanim pozwolimy panu na to, zapytamy rodziny zarażonych wirusem osób, czy pozwolą przetestować surowicę na chorych krewnych. W ten sposób dowiemy się wszystkiego, co trzeba, i może ocalimy komuś życie.

Tymczasem zlecę ośrodkom w Detrick i Centrum Kontroli, żeby porównano wirusy.

— Instytut nigdy się na to nie zgodzi — zaproponowała pani Petrelli.

— Zgodzi się, jeśli poprze nas prezydent.

— Dyrektor prawdopodobnie poda się do dymisji.

— Możliwe. Ale jeśli prezydent wyrazi zgodę na przetestowanie surowicy, tak się stanie.

Nancy Petrelli udała, że się zastanawia.

— Nadal jestem przeciwna zastosowaniu surowicy przed serią standardowych badań. Ale jeśli się zdecydujemy, rzeczywiście rozsądniej będzie poddać próbie kogoś, kto jest już zainfekowany.

Oxnard wstał.

— Skontaktujemy się z prezydentem i przedstawimy mu obydwie propozycje. Im szybciej zacznemy, tym więcej ludzi mamy szansę uratować. Gdzie mogę skorzystać z telefonu?

— Mam aparat w sali konferencyjnej. Za tamtymi drzwiami. Tremont skinął w stronę drzwi po prawej stronie.

— Nancy? — Oxnard zwrócił się do pani Petrelli.

— Wystarczy, że ty będziesz rozmawiał. Powiedz, że się zgadzam.

Gdy Oxnard zamknął za sobą drzwi, Victor Tremont obrócił się w fotelu i posłał sekretarz zdrowia i

opieki społecznej chłodny uśmiech.

— Kryjemy tyłek, co, Nancy?

— Musiałam stworzyć przeciwwagę dla Jessego — powiedziała pani Petrelli. — Ja mówię "nie", zgłaszam wątpliwości, a on koncentruje się na plusach i korzyściach.

Głos Tremonta nie zdradzał gniewu.

— Odwaliłaś dobrą robotę. Chociaż myślę, że jednocześnie próbujesz się asekurować.

— Masz mi to za złe?

— Oczywiście, że nie. Ale okazujesz szokujący brak wiary we mnie.

Pozwoliła sobie na nieznaczny uśmiech.

— Nie w ciebie, tylko w kapryśny los, Victorze. Nikt jeszcze nie przechytrzył losu.

Tremont przytaknął.

— Prawda. Ale przecież robimy wszystko, żeby się zabezpieczyć. Bierzemy pod uwagę wszelkie ewentualności. Zawsze jednak istnieje mały margines niepewności.

Dokąd zaprowadziłaby ich dalsza dyskusja, tego Nancy nie dowiedziała się nigdy. W

drzwiach sali konferencyjnej ukazał się naczelny lekarz kraju — wielki niedźwiedź z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

— Prezydent powiedział, że porozmawia z Instytutem, a tymczasem mamy zacząć szukać ochotników wśród chorych. Jeśli ich nie znajdziemy, przyjmujemy propozycję doktora Tremonta.

Prezydent jest optymistą. Tak czy inaczej, surowica zostanie przetestowana. Poradzimy sobie z tym przeklętym wirusem.

Victor Tremont roześmiał się. Śmiał się długo i głośno. Tak! Udało się. Będą bogaci, a to dopiero początek. Siedział przy biurku, palił kubańskie cygaro, popijał szkocką whisky i trząsał

się ze śmiechu. W dolnej szufladzie zadzwonił telefon komórkowy.

— Al-Hassan?

Krótkie opóźnienie wynikało z faktu, że rozmówca dzwonił z bardzo daleka. W końcu usłyszał zadowolony z siebie głos.

— Namierzyliśmy Jona Smitha.

To był jednak jego szczęśliwy dzień.

— Gdzie?

— W Iraku.

Ogarnęło go chwilowe zwątpienie.

— Jak dostał się do Iraku?

— Może pomógł mu ten Anglik z gór. Nie mogę się o nim niczego dowiedzieć.

Niewykluczone, że Howell to nie jest jego prawdziwe nazwisko, tak jak Romanov. Chyba ma dużo do ukrycia.

Tremont przytaknął ze złością.

— Oczywiście. Pewnie pracuje dla MI6. Jak zlokalizowałeś Smitha?

— Przez jednego z moich informatorów, doktora Kamila. Przewidziałem, że będzie próbował odnaleźć nasze obiekty doświadczalne, więc uprzedziłem wszystkich znanych mi lekarzy. Niewielu z nich nadal praktykuje w Bagdadzie. Kamil doniósł mi, że Smith chciał

wyciągnąć informacje o tych, którzy przeżyli.

— Cholera! Nie wolno dopuścić, żeby do nich dotarł.

— Nawet jeśli tak się stanie, nie ma to żadnego znaczenia. Nigdy nie wydostanie się z Iraku.

— Zdołał się tam dostać.

— Ale nie szukała go policja Saddama i Gwardia Republikańska. Gdy się dowiedzą, że mają u siebie amerykańskiego intruza, uszczelnią granice i wytropią go. Jeśli go nie zabiją, my to zrobimy.

— Do cholery, al-Hassan, tym razem dopilnuj sprawy!

Był zaniepokojony. Włączył telefon i zapatrzył się przed siebie. Potem przypomniał sobie o sukcesach mijającego dnia i uśmiechnął się. Bez względu na to, czego Jon Smith dowiedział się w Iraku, program Hades był realizowany według planu.

Pociągnął łyk whisky i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Teraz miał po swojej stronie nawet prezydenta.

20.02, Bagdad

Zgarbiona kobieta w czarnej abaji odeszła na odległość jednej przecznicy od sklepu z używanymi oponami, gdy usłyszała pierwsze strzały. Zatrzymała się przy starym żebraku, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na ulicy i wyciągał rękę. Spojrzała na niego niewidzącymi oczami. Przekonywała się w duchu, że wypełniła już obydwie misje i nie musi sprawdzać, co oznacza ta strzelanina.

Znów usłyszała huk wystrzałów.

Jej misja dobiegła końca w chwili, gdy wyszła ze sklepu. Dopilnowała, żeby amerykański lekarz nawiązał kontakt z wąłym irackim podziemiem. Potem — zgodnie z planem — wyszła, resztą zajął się Ghassan.

Strzelanina nie była częścią tego planu. Ani mężczyzna, którym okazał się amerykański lekarz. Zesztywniała. Może miała kilka wad, ale na pewno nie lekceważyła rozkazów i nie narażała się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Szczyciła się swoją pracą. Była dokładna, odpowiedzialna i można było na niej polegać.

Jeszcze raz spojrzała na żebraka. Wrzuciła mu do ręki kilka dinarów. Z łopoczącą wokół nóg abają pobiegła w stronę sklepu tak szybko, na ile pozwalało jej zgarbione ciało.

W wąskim przejściu ciemność była jedyną osłoną dla Smitha, kobiety i dziecka. Przyciągnął

ich blisko ściany, żeby byli jak najmniej widoczni. Strzały dobiegające z wewnątrz zagłuszały zwykłe miejskie odgłosy, lecz Jon mimo to nasłuchiwał i obserwował. Z cienia spoglądał na oba końce przejścia. Dostrzegł około dwunastu funkcjonariuszy Gwardii Republikańskiej. Zbliżali się ostrożnie, z wyciągniętą bronią. Poruszali się pewnie i cicho.

Uśmiechnął się uspokajająco do kobiety. W świetle księżycy widział jej zmartwioną twarz.

Zaraz wracam — szepnął. Wiedział, że go nie rozumie, ale miał nadzieję, że dźwięk jego głosu przywróci jej równowagę. Tuliła dziecko do piersi.

Przetoczył się w lewo i nacisnął klamkę przy pierwszych drzwiach. Były zamknięte. Potem sprawdził drugie. To samo.

Policjanci podchodzili coraz bliżej.

Zmienił kierunek i minął kobietę. Sprawdził trzecie drzwi. Też zamknięte.

Odciągnął ją od sklepu z oponami do sąsiedniego budynku i szarpnął za ramię, żeby przykucnęła obok niego przy murze stykającym się ze starym brukiem uliczki. Chciał, żeby byli jak najmniej widoczni. Nie wiedział, co jeszcze można zrobić. Zamierzał wszcząć walkę i spróbować uciec.

Mocniej chwycił berettę i obserwował skradające się cienie. Czuł, jak pod ubraniem po ciele spływa

mu pot, choć wieczorne powietrze było chłodne. Strzelanina w warsztacie ucichła.

Pomyślał o Ghassanie, z nadzieją, że udało mu się przeżyć, po czym odpędził wszystkie myśli i skoncentrował się wyłącznie na grożącym im niebezpieczeństwie.

Nasłuchiwał. Jedyным dźwiękiem był rytmiczny tupot butów zbliżających się żołnierzy.

Oddychał głęboko, żeby się uspokoić. Przypomnił sobie ostrzeżenie Domalewskiego — lepiej zaryzykować i strzelać, niż dać się złapać żywcem z bronią. Liczył się każdy strzał, zwłaszcza że chronił nie tylko siebie, ale też kobietę i dziecko. Zamierzał otworzyć ogień dopiero wtedy, gdy zabójcy podejną blisko i nie będzie mógł spudłować. Musiał zastrzelić jak najwięcej żołnierzy w jak najkrótszym czasie.

Żałował, że ma tylko jeden pistolet. Podniósł berettę. Dziecko jęknęło, za chwilę rozpłakało się na dobre. Rozdzierający płacz odbijał się echem w uliczce. Kobieta na próżno próbowała uspokoić niemowlę.

Teraz gwardziści wiedzieli, gdzie mają szukać. Serce zamarło Smithowi w piersi. W mur uderzyły kule. W powietrzu fruwały ostre jak igły drewniane drzazgi. Kobieta podniosła głowę, twarz poblądła jej ze strachu. Smith wysunął się przed krzyczące dziecko i zaczął półkolistnie strzelać w mrocznej uliczce.

Nagle rozległ się zduszony głos.

— Uwaga. Nie ruszajcie się, póki wam nie powiem! Był to głos kobiety mówiącej po angielsku z amerykańskim akcentem. Dobiegał z magazynu, gdzie podziurawione kulami drzwi zwisały na wpół otwarte na jednym zawiasie.

Zanim zdążył zareagować, z drzwi wysunęła się postać w czarnej abaji i rozplynęła w mroku.

Widać było tylko dwie białe dłonie z krótko obciętymi paznokciami, z wprawą trzymające karabin uzi. Kobieta z zasłoniętą twarzą sprawnie posługiwała się bronią. Nacisnęła spust i ostrzelała żołnierzy z Gwardii Republikańskiej z obu stron.

Odwróciła się w lewo, żeby skoncentrować ogień, a Jon przykucnął nisko, nie chcąc wejść w pole rażenia jej kul. Nadal chronił kobietę z dzieckiem. Potem odwrócił się w prawo i trafił z beretty dwóch biegnących zbirów. Zmieniali się w ten sposób, ostrzeliwując obydwie wyloty uliczki jednocześnie i po pięciu minutach wszyscy napastnicy leżeli na ziemi martwi, ranni lub śmiertelnie wystraszeni. W ciemnej uliczce odbijały się echa jęków i okrzyków. Ale nie słychać już było tupotu nóg i ustał wszelki ruch.

— Do środka! Oboje — warknęła ubrana w abaję kobieta.

Jej głos wydał mu się dziwnie znajomy.

Później się nad tym zastanowi. Wciągnął kobietę z dzieckiem z powrotem do magazynu z oponami. Pobiegli za zgarbioną kobietą, która przeszła przez poszarpaną zasłonę do sklepu. Krew zbryzgała

ściany i utworzyła kałuże na podłodze. Ghassan i czterej policjanci leżeli pod przeciwnymi ścianami. Wszyscy byli martwi. Powietrze przenikała metaliczna woń krwi i śmierci. Jon poczuł ścisnięcie w gardle. Ghassan zabił czterech żołnierzy, zanim sam nie otrzymał śmiertelnej rany w klatkę piersiową.

— Ghassan! — szepnęła Irakijka.

Nieznajoma zaczęła z nią rozmawiać szybko po arabsku, ściągając jednocześnie puszi i abaję. Zadawała pytania i w tym samym czasie zdjęła uprząż, która utrzymywała jej ciało w zgarbionej postawie. Z ulgą wyprostowała się. Jon ze zdziwieniem patrzył, jak zakłada opaskę ONZ na rękaw tweedowej kurtki, wygładza szarą spódnicę i wpycha puszi i abaję do przegrody ukrytej w podwójnym dnie sportowej torby. Zrobiła to wszystko w ciągu niespełna minuty, jednocześnie rozmawiając z drugą kobietą.

Ale jeszcze bardziej zdumiał go jej wygląd.

Miała takie same złociste włosy jak Sophia, choć krótkie i odgarnięte za uszy, identyczne, zmysłowe wargi, prosty nos, mocny podbródek, świetlistą porcelanową skórę i ciemne, zalotne spojrzenie czarnych oczu. Chociaż gdy zadawała Irakijce ostatnie pytanie, jej wzrok był

przenikliwy i błyszczący.

Smith wciągnął gwałtownie powietrze.

— Randi! Chryste, co ty tutaj robisz?

— Ratuję ci tyłek! — powiedziała Randi Russell, siostra Sophii, nawet nie spojrzawszy na niego.

Jon prawie jej nie słyszał. Miał wrażenie, że pęka mu serce. Nie pamiętał o tym, jak bardzo siostry były do siebie podobne. Widok Randi przyprawił go o drżenie, choć jednocześnie nie mógł oderwać od niej oczu. Wsparł się na kontuarze i czuł, jak skacze mu serce. Zamrugał

oczami. Musi szybko wziąć się w garść.

Kobieta z dzieckiem odpowiedziała na ostatnie pytanie i Randi odwróciła się do Smitha. Jej twarz była zimna jak marmur. Zupełnie inna od twarzy Sophii.

— W każdej chwili mogą sprowadzić posiłki. Wychodzimy frontowymi drzwiami. To niebezpieczne, ale bezpieczniejsze od przejścia od tyłu. Ona lepiej zna boczne ulice, więc nas poprowadzi. Schowaj berette, ale trzymaj ją pod ręką. Ja pójdę na końcu. Będą szukać jednego Europejczyka i dwóch Irakijek, jednej w abaji.

Jon z trudem zmusił się do powrotu. Zrozumiał.

— Niedobitki w przejściu zameldują o nas.

— Właśnie. Opiszą, co widzieli. Miejmy nadzieję, że moja transformacja wystarczy, żeby nie zaczęli

znovu strzelać. Nie znoszą Europejczyków, ale nie chcą też międzynarodowego skandalu.

Jon kiwnął głową. Był już opanowany.

Wymknęli się ze sklepu na ciemną ulicę. To kolejne zadanie, wmawiał sobie, a Randi jest kolejną profesjonalistką. Rozejrzał się fachowo po ulicy. Zauważył pojazd wojskowy zaparkowany na drugim końcu. Wyglądał jak rosyjski BRDM-2, samochód opancerzony z dwudziestopięciomilimetrowym działkiem, sprzężonymi karabinami maszynowymi i pociskami przeciwpancernymi. Drugi samochód opancerzony toczył się ulicą w ich stronę — niebezpieczne monstrum, wzbudzające strach przechodniów, którzy musieli ustępować mu z drogi.

— Szukają nas — jęknął Jon.

— Idziemy! — powiedziała Randi.

Kobieta z dzieckiem na rękach pośpieszyła ulicą i po kilku metrach wcisnęła się w przestrzeń między budynkami — tak wąską, że mieściła się w niej zaledwie jedna osoba. Jon biegł za nią wąskim przejściem, czuł na twarzy pajęczyny. Czujny i zdenerwowany, z przygotowaną do strzału beretką, oglądał się często na Randi, upewniając się, że wszystko jest w porządku.

Dotarli do końca przejścia i skręcili w następną uliczkę. Randi schowała uzi do torby, a Smith wsunął beretkę za pas pod kurtkę. Kobieta z dzieckiem szła przodem, a Jon i Randi w bezpiecznej odległości za nią. Wyglądało to naturalnie: dwójka pracowników ONZ na wieczornym spacerze. Jon czuł się dziwnie, tak jakby przeszłość mieszała się z teraźniejszością, budząc w nim tęsknotę i smutek. Próbował zwalczyć ból, który wywoływała myśl o śmierci Sophii.

— Co u diabła robisz w Bagdadzie? — warknęła Randi.

Jon skrzywił się. Randi wciąż była subtelna i wyrozumiała jak kobra.

— To samo, co ty, rzecz jasna. Pracuję.

— Pracujesz? — Jej jasne brwi uniosły się. — Nad czym? Nie słyszałam, żeby byli tutaj jacyś chorzy żołnierze chętni do wysłania przez ciebie na tamten świat.

— Są za to agenci CIA — powiedział. — Teraz wiem, dlaczego nigdy nie ma cię w domu i w twoim "biurze".

Randi rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Nie odpowiedziałeś, co robisz w Bagdadzie. Czy wojsko o tym wie, czy jest to kolejna z twoich nieudanych wypraw?

Zdecydował się na półprawdę.

— W Instytucie pracujemy nad nowym wirusem. Śmiertelnym. Doszły nas słuchy o przypadkach zachorowań w Iraku.

— I wojsko wysłało cię, żebyś to sprawdził?

— Lepszego kandydata nie mogli znaleźć — zażartował. Najwyraźniej nie słyszała o jego samowolnym oddaleniu się i o tym, że jest poszukiwany w sprawie śmierci generała Kielburgera.

Westchnął w głębi ducha. Pewnie nie słyszała też o śmierci Sophii.

Nie pora, żeby jej teraz o tym mówić.

Ulice znów zrobiły się wąskie, z okien bił żółty blask świateł. Sklepy na ciemnych uliczkach wyglądały jak kostki wpuśczone w grube, stare mury — na tyle niskie, że nie można było się w nich wyprostować, i na tyle szerokie, żeby dorosły człowiek mógł rozłożyć ramiona. W każdym wejściu siedział sprzedawca i zachwalał swe kiepskie towary.

Kobieta z dzieckiem weszła do zniszczonego, lecz nowoczesnego budynku — małego szpitala. Na łóżkach stojących pod ścianami na korytarzu i w salach po jego obu stronach spały lub pojękiwały dzieci. Kobieta z gorączkującym dzieckiem poprowadziła Jona i Randi przez zatłoczone sale, w których pacjentami były wyłącznie dzieci. Szpital pediatryczny, o ile Smith mógł się zorientować, był niegdyś nowoczesną i świetnie wyposażoną placówką. Teraz jednak znajdował się w opłakanym stanie, a sprzęt wymagał mniejszych lub większych napraw.

Może tu właśnie spotka się ze znanym pediatrą? Zajmowali się tak różnymi dziedzinami medycyny, że nie znał go osobiście. Odwrócił się do Randi.

— Gdzie jest doktor Mahuk? Ghassan miał mnie do niego zaprowadzić. To pediatra.

Wiem odparła cicho Randi. — Dlatego byłam w sklepie z oponami: żeby dopilnować, by Ghassan bezpiecznie skontaktował się z tajnym emisariuszem, czyli jak się okazało — z tobą.

Doktor Mahuk jest podporą irackiego podziemia. Planowaliśmy, że się spotkacie w magazynie Ghassana. Sądziliśmy, że tam będziecie bezpieczniejsi.

Kobieta z dzieckiem na ręku weszła do gabinetu z biurkiem i kozetką. Delikatnie położyła na niej dziecko. Niemowlę zakwiliło, a ona wzięła do ręki stetoskop, zwinięty na biurku. Jon wszedł

za nią, a Randi zatrzymała się i rozejrzała po obskurnym korytarzu. Po chwili też weszła do środka i zamknęła drzwi. W gabinecie były drugie drzwi, więc podeszła do nich szybko po wytartym linoleum. Otworzyła je ostrożnie. Dobięły ich dziecięce głosy i krzyki z innego oddziału. Ze smutną miną zamknęła i te drzwi.

Wyciągnęła uzi. Oparła się o drzwi z karabinem w rękach.

Jon widział, jak jej twarz przybiera surowy i czujny wyraz. Prawdziwa profesjonalistka.

Strzegła nie tylko Irakijkę i dziecko, ale też jego. Nie znał takiej Randi. Wiedział tylko, że jest

całkowicie niezależna i pewna siebie. Gdy poznał ją siedem lat temu, wydawała mu się piękna i intrygująca. Próbował rozmawiać z nią o śmierci narzeczonego, o swoim poczuciu winy, ale bez skutku.

Później, gdy wybrał się do jej mieszkania w Waszyngtonie, żeby przeprosić ją za śmierć Mike'a, zastał tam Sophię. Nigdy nie udało mu się złagodzić złości i żalu Randi, ale miłość do Sophii sprawiła, że stało się to mniej ważne. Teraz będzie musiał powiedzieć Randi o śmierci Sophii, choć wcale mu się to nie uśmiechało.

Westchnął w głębi ducha. Tak bardzo chciał odzyskać Sophię. Ilekroć spoglądał na Randi, pragnął tego jeszcze bardziej. Irakijka uśmiechnęła się do Jona, gdy pomagał jej odwinąć koc, w który opatulone było dziecko.

— Proszę mi wybaczyć tę maskaradę — odezwała się doskonałą angielszczyzną. — Gdy zostaliśmy zaatakowani, bałam się, że pana schwytają. Wtedy byłoby lepiej, żeby pan nie wiedział, kim jestem. Doktor Radah Mahuk to ja. Dziękuję panu za pomoc w ocaleniu tego maleństwa. Uśmiechnęła się do dziecka i pochyliła, żeby je zbadać.

Rozdział 32

21.02, Bagdad

Doktor Radah Mahuk westchnęła.

— Tak niewiele możemy zrobić dla tych dzieci. I w ogóle dla chorych w Iraku.

Osluchiwała dziewczynkę leżącą na sfatygowanej, zreperowanej gwoździami i taśmą kozetce.

Zbadała jej oczy, uszy, gardło i zmierzyła temperaturę. Jon przypuszczał, że dziecko ma około sześciu miesięcy, ale nie wyglądało na więcej niż cztery. Przyjrzał się drobnemu ciałku o przezroczystej rozpalonej gorączką skórze. Już wcześniej zauważył, że białka oczu mają barwę kości słoniowej i są pozbawione żyłek — oznaka niedoboru witamin. To dziecko nie dostawało wystarczającej ilości pokarmu.

Doktor Mahuk pokiwała głową, otworzyła drzwi i zawołała pielęgniarkę. Przekazała jej dziecko, pogładziła dziewczynkę po policzku i wydała polecenia po arabsku.

— Wykąp ją. Musi być czysta. Zrób to w chłodnej wodzie, żeby zbić gorączkę. Zaraz przyjdę. Pokryta zmarszczkami twarz lekarki była zmartwiona. Zmęczenie objawiło się cieniami pod dużymi ciemnymi oczami.

Randi, która zrozumiała polecenia, zapytała po angielsku:

— Co jej dolega?

— Między innymi biegunka — odparła lekarka.

Jon kiwnął głową.

— To normalne, zważywszy na warunki życia. Gdy ścieki dostają się do zbiorników wody pitnej, biegunka jest najłagodniejszą z dolegliwości.

— Ma pan oczywiście rację. Proszę usiąść. Biegunka to zjawisko powszechne, zwłaszcza w starszej części miasta. Jej matka ma w domu jeszcze trójkę dzieci, dwoje z nich cierpi na dystrofię mięśni. Wzruszyła ramionami ze znużeniem. — Powiedziałam jej, że zabiorę dziewczynkę, i zobaczę, co da się zrobić. Jutro rano przyjdzie po nią, ale nie ma pokarmu — za słabo się odżywia. Może do tej pory zdobędę dla dziecka trochę dobrego jogurtu.

Doktor Mahuk przysiadła na skraju kozetki. Spod prostej wzorzystej sukienki wystawały jej nogi w tenisówkach i białych skarpetkach. W Iraku większość ludzi prowadzi ubogie życie. Ta kobieta, której prace publikowano w wielu krajach i która niegdyś objechała cały świat, organizując konferencje pediatryczne, teraz musiała uciekać się do najbardziej prymitywnych metod leczniczych i jogurtu.

— Dziękuję, że zechciała pani zaryzykować spotkanie ze mną. Jon usiadł na chybotliwym krześle przy biurku, rozejrzał się po nędznym gabinecie. Konieczność działania w pośpiechu denerwowała

go. Mimo to przybrał łagodny wyraz twarzy i obojętny ton głosu. Był wdzięczny, że chciała mu pomóc i zmęczony wydarzeniami długiego dnia.

Wzruszyła ramionami.

— Muszę ryzykować. Tak trzeba. Odwinęła biały szal, spod którego rozsypały się długie czarne włosy. Gdy opadły jak chmura na ramiona, wydała się młodsza i bardziej gniewna. — Kto by pomyślał, że tak skończymy? Ciemne oczy rozbłyły. — Dorastałam w okresie, gdy do władzy doszła partia Baas. To były cudowne czasy, a Irak pełen nadziei. Baasiści wysłali mnie do Londynu na studia, a na praktykę do Columbia-Presbyterian Hospital. Po powrocie do Bagdadu założyłam ten szpital i zostałam jego pierwszym dyrektorem. Nie chciałabym być ostatnim. Ale gdy wybrali na prezydenta Saddama, wszystko się zmieniło.

Smith kiwnął głową.

— Prawie od razu wszczął wojnę z Iranem.

— Tak, to było straszne. Zginęło wtedy tylu naszych chłopców. Po ośmiu latach przelewu krwi i pustych sloganów podpisaliśmy układ, który dał nam prawo do przesunięcia granicy o kilkaset metrów od środka szlaku wodnego Szatt-el-Arab do wschodniego brzegu. Tyle ofiar pochłonął banalny konflikt o granice! Na domiar wszystkiego w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym oddaliśmy Iranowi te ziemie, żeby nie zaangażowali się w wojnę w Zatoce.

Szaleństwo. Skrzywiła się. — Po napaści na Kuwejt i wojnie w Zatoce przyszło embargo.

Nazywamy je "al-hissar", co oznacza nie tylko izolację, lecz również otoczenie przez wrogi świat. Saddam cieszy się z embarga, bo może je obwinić za wszystkie nasze problemy. To potężne narzędzie, dzięki któremu utrzymuje się przy władzy.

— A wy nie możecie zdobyć lekarstw — powiedział Jon.

Doktor Mahuk przymknęła oczy w poczuciu bezsilności.

— Niedożywienie, rak, biegunka, pasożyty, schorzenia nerwowo-mięśniowe... wszelkiego rodzaju choroby. Musimy karmić nasze dzieci, podawać im czystą wodę i szczepić je. W tym kraju każda choroba jest zagrożeniem dla życia. Musimy coś zrobić, inaczej stracimy następne pokolenie. Otworzyła ciemne oczy. Były wilgotne ze wzruszenia. — Dlatego działałam w podziemiu. Spojrzała na Randi.

— Jestem wam wdzięczna za pomoc. Musimy obalić Saddama, zanim nas wszystkich pozabija — szepnęła.

Zza drzwi, o które opierała się Randi, dochodziły ciche głosy lekarzy i pielęgniarek. Ich słowa pełne pociechy często były wszystkim, co mogli dać chorym i umierającym dzieciom.

Czuła współczucie dla dzieci i tego nieszczęsnego kraju.

Ale jednocześnie bała się. Zachowywała czujność, żeby ochronić ich przed kolejnymi atakami elitarnych formacji Saddama i przyglądała się zatopionej w rozmowie parze lekarzy.

Widziała umęczoną, śniadą twarz siedzącej na kozetce Radah Mahuk. Doktor Mahuk dowodziła zagrożoną grupą opozycyjną, którą finansowała CIA. Zadaniem Randi i innych agentów było jej wzmocnienie. Jonathan Smith siedział zgarbiony na niskim krześle. Sprawiał wrażenie odprężonego. Ale знаła go na tyle dobrze, by stwierdzić, że pod maską obojętności kryje się napięcie. Pomyślała o tym, co jej powiedział: przyjechał tutaj w sprawie jakiegoś wirusa.

A to znaczy, że Sophia musi być w jakimś stopniu wtajemniczona w tę sprawę. Randi uśmiechnęła się w duchu na myśl o siostrze. Zaraz po powrocie do Waszyngtonu zadzwoni do Sophii. Co za głupota, żeby przez Jona oddalać się od siebie.

Jej wzrok znów padł na niego. Sposepniała. Miał skłonności do nieodpowiedzialnego zachowania, co mogło narazić na niebezpieczeństwo doktor Mahuk, a przez nią ruch oporu.

Ogarnął ją niepokój, ścisnęła mocniej karabin.

— Dlatego zgodziła się pani ze mną rozmawiać? — zapytał Smith.

— Tak. Ale wszyscy jesteśmy obserwowani, stąd ten kamuflaż.

Jon uśmiechnął się posepnie.

— Im więcej kamuflażu, tym lepiej, jak sądzą ci z CIA.

Randi zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

— Im dłużej jesteście razem, tym gorzej dla wszystkich. Pytaj, o co miałeś pytać.

Jon nie zwracał na nią uwagi. Patrzył na doktor Mahuk.

— Wiem o trzech Irakijczykach, których w zeszłym roku zabił nieznany wirus. Pod koniec wojny w Zatoce przebywali w południowym Iraku lub na granicy z Kuwejtem.

— Tak, o ile mi wiadomo. Wirus nieznany w Iraku, co jest bardzo dziwne.

— Cała sprawa jest dziwna — powiedział Smith. — Według jednego z moich informatorów w zeszłym roku zanotowano również trzy przypadki wyzdrowienia. Czy wie pani o tym?

Tym razem trzeba było przynaglić doktor Mahuk.

— Pani doktor? — powiedziała Randi.

Doktor Mahuk zsunęła się z kozetki i podeszła do zamkniętych drzwi na korytarz. Otworzyła je

szybko. Na zewnątrz nikogo nie było. Spojrzała w lewo i w prawo. W końcu zamknęła drzwi i odwróciła się, cały czas nasłuchując z podniesioną głową.

— Nie wolno nawet wspominać o ofiarach tego wirusa — powiedziała spiętym głosem. —

Ale rzeczywiście, trzy osoby przeżyły. Wszystkie w Basrze, która, jak wiecie, leży na południu.

Blisko granicy z Kuwejtem. Myślę, że doszedł pan do takich samych wniosków, jak ja.

— To był eksperyment? — zasugerował Jon.

Lekarka przytaknęła.

— Te trzy osoby brały udział w wojnie i stacjonowały niedaleko granicy z Kuwejtem?

— Tak.

— Dziwne, że wszyscy zarażeni z Bagdadu zmarli, a ci z Basry przeżyli.

— Bardzo dziwne. Między innymi dlatego zainteresowałam się tą sprawą.

Randi obserwowała rozmówców. Prowadzili ostrożną dyskusję o sprawie, której niezupełnie rozumiała, ale wyczuwała, że to coś bardzo ważnego. Patrzyli na siebie w skupieniu, napięcie między wysokim Amerykaninem i drobną Irakijką było wręcz namacalne. Rozmawiając, zapomnieli o bożym świecie, stali się bezbronni. Randi wzmogła czujność.

— Czy może pani wyjaśnić, dlaczego ci z Basry przeżyli? — zapytał Jon.

— Tak się składa, że mogę. Pomagałam leczyć zarażonych wirusem w szpitalu w Basrze, gdy przyjechał zespół lekarzy z ONZ i zrobili każdemu zastrzyk. Stan chorych nie tylko się poprawił, cztery dni później znikły wszystkie symptomy wirusa. Całkowicie wyzdrowieli.

Przerwała na chwilę. — To było coś niezwykłego — dodała poważnie.

— Mało powiedziane.

— Tak. Objęła się ramionami, jakby przeszył ją dreszcz. — Nie uwierzyłabym, gdybym nie widziała tego na własne oczy.

Smith wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po gabinecie. Niebieskie oczy były zimne, błyszczące i wściekłe.

— Wie pani, co to oznacza? Że ten śmiertelny, nieznany wirus jest wyleczalny. Istnieje nie szczepionka, lecz surowica. Lek.

— To jedyne rozsądne wytłumaczenie.

— Lecznicze antygeny?

— Na to wygląda.

— Oznacza to, że surowicę mają ci, którzy podawali się za lekarzy z ONZ.

— Tak.

Słowa padały z ust Jona w błyskawicznym tempie.

— Surowica lecząca wirus, który najpierw ujawnił się w sześciu przypadkach w Iraku w zeszłym roku, a potem w tajemniczy sposób ponad tydzień temu w sześciu kolejnych przypadkach na drugim krańcu świata, w Ameryce. Każda z dwunastu ofiar odbywała służbę na granicy iracko-kuwejckiej podczas wojny lub miała transfuzję krwi od kogoś, kto tam służył.

— Tak — lekarka przytaknęła energicznie. W dwóch krajach, w których wirus nigdy nie istniał.

Oboje stali naprzeciw siebie, rozdzieleni głębokim milczeniem. Wzbraniali się przed wypowiedzeniem następnego zdania.

Ale nie Randi.

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, to żaden cud. Odwrócili się i patrzyli na nią, gdy wypowiadała słowa potwornej prawdy. — Ktoś celowo zaraził ich tym wirusem.

— I tylko połowie podano surowicę. Przeprowadzili kontrolowany, niebezpieczny eksperyment na ludziach, którzy nie byli niczego świadomi i nie wyrazili na to zgody —

powiedział Jon z oburzeniem.

Lekarka zbladła.

— To mi przypomina zdegenerowanych nazistowskich lekarzy, którzy wykorzystywali więźniów obozów koncentracyjnych jako króliki doświadczalne. To ohydne. Potworne!

Randi spojrzała na nią.

— Kto to był?

— Czy któryś z lekarzy z surowicą podał swoje nazwisko? — zapytał Jon.

— Nie przedstawili się. Powiedzieli, że pomagając chorym, mogą narazić się władzom i przełożonym w Genewie. Jestem przekonana, że kłamali. Nie mogli dostać się do Iraku i pracować w szpitalu wojskowym bez wiedzy rządu.

— Więc co? Łapówka?

— Przypuszczam, że duża łapówka w tej czy innej formie dla samego Saddama.

— Uważa pani, że wcale nie byli z ONZ? — zapytała Randi.

Lekarka pokręciła nerwowo głową.

— Powinnam wcześniej do tego dojść. Ale to teraz nasz wspólny problem. Życie jest walką, więc nie dostrzegamy pewnych rzeczy. Ale jeśli pani pyta, to tak, nie byli pracownikami ONZ

ani praktykującymi lekarzami. Zachowywali się jak naukowcy. Poza tym pojawili się natychmiast, jakby wiedzieli, kto i kiedy zachoruje.

Pasowało to do teorii Jona, że każda z dwunastu ofiar była częścią eksperymentu rozpoczętego pod koniec wojny w Zatoce w sto sześćdziesiątym siódmym szpitalu polowym.

Wspominali, skąd pochodzą?

— Powiedzieli, że z Niemiec, ale mówili podręcznikowym niemieckim i nie mieli na sobie europejskich ubrań. Przypuszczam, że byli Amerykanami, a rok temu przyjazd do Iraku bez zgody samego Saddama był jeszcze bardziej niebezpieczny.

Randi zmarszczyła brwi. Zacisnęła rękę na karabinie.

— Domyśla się pani, kto ich przysłał?

— Pamiętam tylko, że rozmawiali między sobą o jeździe na nartach. To mogło być gdziekolwiek.

Jon chodził po gabinecie, rozmyślając o amerykańskich naukowcach, którzy dysponowali surowicą do leczenia nowego wirusa. Nagle coś mu przyszło do głowy.

— Przez cały dzień wypytywałem o szóstkę, u której wykryto wirusa rok temu. Czy od tamtej pory zanotowano w Iraku kolejne przypadki?

Doktor Mahuk zacisnęła ponuro usta. Całe życie poświęciła leczeniu, a teraz nowa choroba ogarniała świat, nie kontrolowana przez nikogo. W jej głosie słychać było gniew, ból i oburzenie.

— W zeszłym tygodniu mieliśmy wiele nowych ofiar zespołu ostrych zaburzeń oddechowych. Zmarło co najmniej pięćdziesiąt osób. Nie znamy dokładnej liczby, sytuacja zmienia się z każdą godziną. Dopiero zaczynamy sprawdzać, czy to ten sam nieznaną wirus, ale ja nie mam wątpliwości. Te same symptomy: niegroźne gorączki, ciężkie przeziębienie lub łagodna grypa przez kilka tygodni, a potem nagle krwotok i śmierć w ciągu kilku godzin. Nikt nie przeżył. Jej głos załamał się. — Ani jedna osoba.

Smith przerwał nerwowy spacer po gabinecie. Duża liczba zgonów zaskoczyła go. Ogarnęło go współczucie. Wtedy zrozumiał... to mogła być odpowiedź.

— Czy i te ofiary brały udział w wojnie w Zatoce? W rejonie granicy z Kuwejtem?

Doktor Mahuk westchnęła.

— Niestety, odpowiedź nie jest taka prosta. Tylko kilka osób brało udział w wojnie i żaden z nich nie służył przy granicy.

— Mieli jakiś związek z sześcioma zmarłymi sprzed roku?

— Żaden. W jej głosie zabrzmiało zniechęcenie.

Jon pomyślał o Sophii, o generale Kielburgerze, Melanie Curtis i sto sześćdziesiątym siódmym szpitalu polowym sprzed dziesięciu lat.

— Ale jak jednocześnie i bez ich wiedzy zarażano pięćdziesiąt osób? Zwłaszcza w tak szczelnie zamkniętym kraju jak wasz? Czy pochodzili z tej samej okolicy? Podróżowali za granicę? Mieli kontakt z cudzoziemcami?

Doktor Mahuk nie odpowiedziała od razu. Oderwała się od swojego stanowiska nasłuchowego przy drzwiach. Wsunęła rękę do kieszeni i wyciągnęła coś, co wyglądało jak rosyjski papieros. Podeszła do stołu i zapaliła. Była zdenerwowana i spięta. Gabinet wypełniła gryząca woń rosyjskiego tytoniu.

W końcu odezwała się.

— Ponieważ pracowałam z ofiarami wirusa w zeszłym roku, poproszono mnie, żebym zbadała nowe przypadki. Przeanalizowałam wszelkie możliwe źródła infekcji, które pan wymienił. Ale nic nie odkryłam. Nie znalazłam też żadnych powiązań między zarażonymi. Byli przypadkową grupą przedstawicieli obydwu płci, różnych grup wiekowych, zawodowych, etnicznych i rejonów geograficznych. Zaciągnęła się i powoli wydmuchiwała dym, jak gdyby wciąż formułowała myśli. — Chyba nie zarazili się od siebie wzajemnie ani od swoich rodzin.

Nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie, ale to dziwne.

— Ale logiczne. Dotychczasowe badania wykazały, że zaraźliwość wirusa jest bardzo niska.

— Więc jak się zarazili? — Randi uważnie przysłuchiwała się ich rozmowie. Choć nie studiowała ani chemii, ani biologii, orientowała się w podstawach. Dwoje lekarzy niepokoiło się możliwością wybuchu epidemii. — I dlaczego dotyczy to tylko Iraku i Ameryki? — zapytała. —

Może to efekty wykorzystania ukrywanej w Iraku broni biologicznej podczas "Pustynnej Burzy"?

Doktor Mahuk pokręciła głową i podeszła do wyszczerbionego metalowego biurka w kącie.

Dym papierosowy snuł się za nią jak duch. Wyciągnęła z szuflady kartkę papieru i podała ją Jonowi.

Randi podeszła i odsunęła karabin, żeby móc nachylić się bliżej. Z przerażeniem przeczytali wydruk komputerowy pierwszej strony "Washington Post".

ŚMIERTELNY WIRUS WYWOŁUJE ŚWIATOWĄ EPIDEMIE

W artykule podano, że w dwudziestu siedmiu krajach liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła pół miliona. Wszystkie przypadki zaczynały się od przeziębienia lub grypy, po dwóch tygodniach następował zespół ostrych zaburzeń oddechowych, krwotok i śmierć. Poza tym w czterdziestu dwóch krajach notowano wielomilionowe zachorowania przypominające objawami ciężkie przeziębienie. Nadal nie było wiadomo, czy osoby te także są zarażone wirusem.

Jona ogarnął zimny strach. Pół miliona ofiar! Miliony chorych!

— Skąd pani to ma? — zapytał.

Doktor Mahuk zgasiła papierosa.

— Ukrywamy w szpitalu komputer. Najwyraźniej wirus nie ogranicza się do Iraku i Stanów ani do uczestników wojny w Zatoce. Nie widzę możliwości, żeby przyczyną tego wszystkiego było użycie broni biologicznej w moim kraju. Tak wysoka śmiertelność jest zatrważająca. Jej głos załamał się.
— Dlatego chciałam z panem rozmawiać.

Informacje z artykułu i rewelacje lekarki wstrząsnęły Jonem. Jeszcze raz szybko przebiegł

oczami stronę "Washington Post", przeanalizował to, czego sam się dowiedział. Doktor Mahuk wykluczyła ekspansję wirusa z Iraku; mimo to wywoływał on teraz światową epidemię. Jeszcze dwa tygodnie temu wszystkie ofiary żyły, nie licząc trzech pierwszych przypadków z Iraku sprzed roku. Szybkość, z jaką wirus się rozprzestrzenił, była niewyobrażalna.

Podniósł wzrok.

— Wirus wymyka się spod kontroli. Muszę wracać do Stanów. Jeśli w Ameryce ktoś naprawdę ma surowicę, muszę go znaleźć. Do tej pory moi przyjaciele też mogli się czegoś dowiedzieć. Nie ma czasu do stracenia...

— Zaczekaj — Randi zeszywniała nagle.

Podniosła uzi i podbiegła do drzwi, które wychodziły na korytarz. Smith błyskawicznie znalazł się przy niej z gotową do strzału berettą. Randi była niespokojna.

Z korytarza dobiegł ich chrapliwy głos pokrzykujący coś po arabsku. W odpowiedzi odezwały się cichsze, przestraszone głosy. Do małego gabinetu zbliżał się zdecydowany tupot ciężkich butów.

Jon spojrzał na doktor Mahuk.

— Gwardia Republikańska? — zapytał.

Przycisnęła drżące dłonie do ust i nasłuchiwała. W końcu pokręciła głową.

— Policja — wyszeptała. Jej ciemne, wyraziste oczy były teraz otchłaniami strachu.

Randi rzuciła się do drugich drzwi. Ze swoimi kręconymi blond włosami i wysmukłą sylwetką w obcisłej spódnicy i koszuli, wyglądała bardziej na modelkę niż agentkę CIA. Ale Jon widział już, jak ryzykowała życie i broniła ich podczas starcia z Gwardią Republikańską w przejściu za sklepem ze starymi oponami. Teraz emanowała z niej ta sama pełna inteligencji fizyczność.

— Gwardia czy policja, wszystko jedno. Będą chcieli nas zabić. Randi odwróciła się i spojrzeniem ciemnych oczu przywołała ich do siebie. — Musimy ewakuować się przez oddział.

Szybko! Otworzyła drzwi, obejrzała się i ruchem głowy pokazała, żeby Jon i doktor Mahuk wyszli pierwsi.

To był błąd. Umundurowani policjanci czekali już na nich. Zastawili pułapkę, a oni w nią wpadli.

Wyrwali Randi broń, zanim zdążyła zareagować. Trzej inni wymierzili w nich karabiny AK-47. Od strony korytarza dobiegło jeszcze dwóch. Rzucili się na Jona, gdy próbował podnieść berettę, i przygnietli go do podłogi. Mieli ich.

Rozdział 33

21.41, Bagdad

Doktor Radah Mahuk stała przy ścianie jak sparaliżowana. Była odważna, ale nie szalona. Jej praca polegała na pomaganiu chorym, a przecież martwa nie mogła tego robić. Nie przyda się też na nic swoim rodakom, jeśli zamkną ją w osławionym Zakładzie Karnym. Tak jak zabity Ghassan była bojownikiem świętej sprawy, ale nie miała broni i nie potrafiła walczyć. Jediną bronią, jaką dysponowała, był jej mózg i zaufanie, którym darzyli ją ludzie. Na wolności mogła nadal pomagać rodakom, a może nawet Amerykanom. Przylgnęła więc do ściany za stołem, żałując, że nie jest niewidzialna. Pot zrosił jej czoło.

Z korytarza weszło jeszcze dwóch umundurowanych policjantów. Rozglądali się przezornie na boki z przygotowanymi do strzału karabinami. Za nimi do gabinetu wkroczył drobny mężczyzna w doskonale skrojonym mundurze z pistoletem w ręku.

Przez chwilę nikt nie patrzył na doktor Mahuk. Nie była dla nich ważna, przynajmniej na razie. Z duszą na ramieniu wymknęła się na korytarz i jak najwolniej ruszyła w stronę telefonu.

Oficer w doskonale skrojonym mundurze uśmiechnął się do Jona.

— Pułkownik Smith, prawda? — zapytał po angielsku z lekkim akcentem. — Nareszcie.

Bardzo trudno było pana znaleźć.

Odwrócił głowę do Randi z przesadną grzecznością.

— A ta dama? Nie znam jej. Może z CIA? Podobno tak bardzo się nami fascynujecie, że musicie bez przerwy przysyłać tajnych agentów, żeby mierzyli temperaturę uczuć narodu do naszego przywódcy.

Jon poczuł ucisk w dołku. Byli nieostrożni. Cholera!

— Nie znam jej — skłamał. — Pracuje w szpitalu. Nawet w jego uszach nie brzmiało to przekonująco, ale warto było spróbować. Oficer roześmiał się z niedowierzaniem.

— Europejka, w tym szpitalu? Nie sędzę.

Randi rzuciła Jonowi zdziwione spojrzenie, wdzięczna za próbę uratowania. Była zła na siebie, niespokojna o przyszłość irackiego podziemia i zastanawiała się gorączkowo, co mają teraz zrobić.

Oficer przestał się uśmiechać. Machnął pistoletem. Nadszedł czas, żeby wyprowadzić więźniów. Rzucił rozkaz po arabsku i policjanci wypchnęli Randi i Jona na korytarz. Drzwi zamykały się cicho po obu stronach. Przerażeni pracownicy szpitala próbowali oddalić niebezpieczeństwo od siebie i małych pacjentów.

Randi szukała wzrokiem Radah Mahuk. Odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że ślad po niej zaginął. Jeden z policjantów przytknął jej mocno do pleców lufę karabinu, przypominając boleśnie, w jak niebezpiecznej są sytuacji. Oblał ją pot.

Policjanci wyprowadzili Amerykanów w gwiazdzistą noc. Na chodniku czekała kryta plandeką rosyjska ciężarówka z włączonym silnikiem. Z rury wydechowej starego pojazdu wydobywały się kłęby spalin i unosiły do góry w zimnym, srebrno-siwym blasku księżyca.

Nocne odgłosy miasta były bliskie i groźne. Policjanci opuścili tylną klapę ciężarówki, podnieśli plandekę i wepchnęli Amerykanów do środka.

Wnętrze przyczepy było ciemne, wilgotne i przesiąknięte smrodem oleju. Randi zadrżała i spojrzała z niepokojem na Jona. Odwzajemnił jej spojrzenie, próbując ukryć strach.

— I kto tu mówił o nieudanych wyprawach? — zapytał cierpko. Uśmiechnęła się słabo.

— Przepraszam. Następnym razem lepiej wszystko zaplanuję.

— Mam nadzieję. Ostrożnie rozejrzał się po wnętrzu przyczepy. — Jak sądzisz, jak nas znaleźli?

— Niemożliwe, żeby szli za nami od sklepu z oponami. Przypuszczam, że zdradził nas ktoś ze szpitala. Nie wszyscy Irakijczycy zgadzają się z rewolucyjnymi poglądami doktor Mahuk.

Poza tym tak to już jest w tym kraju, że ludzie zadenuncjują cię w nadziei, że zdobędą sobie przychyłność policji.

Dwaj gliniarze z Bagdadu wgramolili się pod plandekę. Wycelowali w Amerykanów wielkie kałasznikowy. Gestami rąk i pomrukiwaniami dali im do zrozumienia, że mają się cofnąć jak najdalej. Z udawaną rezygnacją Jon i Randi przesunęli się w głąb ciężarówki i usiedli na drewnianej ławce za kabiną. Policjanci zajęli miejsca po obu stronach klapy, strzegąc jedyne go wyjścia. Od więźniów dzieliły ich mniej więcej cztery metry — mieli ich w zasięgu ognia.

Oficer z wymierzonym w nich pistoletem stał przy klapie.

— *Au revoir*, kochani amerykańscy przyjaciele. Ucieszył się ze swojego żartu. Nie przestawał jednak mierzyć w nich groźnie z broni. Wydał rozkaz zamknięcia klapy.

— Gdzie nas zabieracie? — zapytał Jon.

— Na plac zabaw. Na piknik. Na wczasy, jeśli wolicie. Irakijczyk uśmiechał się pod nosem.

Potem zmrużył oczy i jego głos przybrał oziębły ton. — A tak naprawdę? Do Zakładu Karnego.

Jeśli będziecie posłuszni, może przeżyjecie.

Jon z trudem panował nad strachem. Pamiętał słowa Domalewskiego, który opisał mu sześciokondygnacyjny kompleks, gdzie torturowano i zabijano więźniów. Wymienił spojrzenia z Randi, siedzącą blisko niego z lewej strony. Jej twarz była obojętna, ale zauważył, że drży jej ręka. Też słyszała o tym więzieniu. Z tego przedśionka piekła z reguły nie wychodziło się.

Spuszczono plandekę. Dwaj strażnicy usiedli z wymierzoną w więźniów bronią. Słyszeli, jak oficer i

reszta policjantów wsiadają do kabiny.

Ciężarówka ruszyła. Jon nie mówił nic. Złapali Randi przez niego. Nie miał żadnych złudzeń co do tego, co czeka szpiega CIA, zwłaszcza kobietę. I jak przekaże do Instytutu i Pentagonu wiadomości o wirusie i lekarstwie?

— Musimy się stąd wydostać — powiedział cicho. Randi kiwnęła głową.

— Mnie też nie pociąga więzienie. Ale strażnicy są uzbrojeni. Nie mamy szans.

Popatrzył na ukrytych w mroku Irakijczyków. Na ich twarzach zastygł wyraz czujności.

Oprócz karabinów mieli w kaburach na biodrach pistolety.

Ciężarówka wjechała w uliczkę tak wąską, że burty samochodu ocierały się o kamienne mury.

Musieli działać szybko, zanim będzie za późno. Odwrócił się do Randi.

— Co? — zapytała.

— Prawda, że źle się czujesz? — powiedział.

Zacisnęła wargi i po chwili zrozumiała.

— Rzeczywiście, czuję, że potwornie zaczyna mnie boleć brzuch.

— Jęcz głośno.

— W ten sposób? Jęknęła i złapała się za brzuch.

— Hej! — zawołał do strażników. — Ona jest chora. Trzeba jej pomóc! Randi zgięła się wpół.

— Umieram! Pomóżcie mi! — krzyknęła po arabsku.

Strażnicy spojrzeli po sobie. Jeden z nich uniósł brwi. Drugi roześmiał się. Zasypali ich słowami, których Jon nie rozumiał. Randi znów jęknęła.

Jon wstał, pochylając się pod plandeką i zrobił krok w stronę strażników.

— Musicie...

Jeden z nich coś krzyknął, drugi strzelił. Kula świsnęła Jonowi blisko ucha. Poczuł, jak mózg przeszywa mu przenikliwy gwizd. Pocisk przebił brezentowy dach ciężarówki, dwaj strażnicy gwałtownymi gestami pokazywali mu, że ma się cofnąć.

Randi wyprostowała się.

— Nie uwierzyli.

— Żartujesz? — Jon padł na ławkę, przyciskając rękę do ucha. Dzwoniło mu w głowie. —

Co powiedzieli? — Zamknął oczy, usiłując odpędzić pulsujący ból.

— Że celowo spudłowali. Następnym razem oboje zginiemy. Jon kiwnął głową.

— Wierzę im.

— Przykro mi, Jon. Ale warto było chociaż spróbować.

Ciężarówka skręciła z jednej wąskiej uliczki w drugą, posuwając się zygzakowatym szlakiem. Od czasu do czasu ocierała się o mury. Randi słyszała głosy sprzedawców, którzy już dawno powinni zamknąć sklepy, ale mieli nadzieję na jeszcze jeden zakup — może jedyny w ciągu całego dnia. Czasem słychać było odległe, trzeszczące dźwięki starych odbiorników radiowych. Wszystko wskazywało na to, że nie opuścili starego miasta.

— Jadą zbyt wolno i trzymają się bocznych ulic — szepnęła. — Nie wiem, o co chodzi.

Bagdadzcy policjanci jeżdżą, gdzie chcą. Pokazywanie się na mieście to część ich pracy, ci tutaj unikają głównych arterii.

— Myślisz, że to nie są policjanci? — Opuścił rękę. Ból w uchu mijał.

— Mają mundury i rosyjską broń. Gdyby zostali zatrzymani i nie byłiby policjantami, groziłaby im śmierć. Nie wiem, kim są.

— Ale ja wiem.

Gdy wypowiadał te słowa, wróciły do niego wspomnienia minionego tygodnia i stało się coś, z czym walczył: miejsce Randi zajęła Sophia. Serce przepełniło mu uczucie miłości i każdą cząstką ciała radował się na jej widok. Piękne czarne oczy patrzyły na niego z gładkiej jasnej twarzy otoczonej długimi włosami koloru pszenicy. Pełne usta rozchyliły się w cudownym uśmiechu, ukazując drobne białe zęby. Jej nieuchwytnie piękno przekraczało wymiar fizyczny.

Promieniowało z jej wnętrza, uczciwości, witalności i intelektu, który zamieniał mechanikę w estetykę. Była niebiańsko piękna pod każdym względem.

W tej jednej chwili szaleństwa naprawdę uwierzył, że Sophia żyje. Wystarczyło, że wyciągnie rękę, a przytuli ją do siebie, poczuje zapach jej włosów i bicie serca. Sophia żyje.

Ogromnym wysiłkiem woli zebrał siły.

Zamrugnął oczami.

Potrząsnął głową, żeby oczyścić jaz szalonych myśli. Musi przestać okłamywać samego siebie. Patrzy na Randi.

Nie na Sophię.

Grozi im poważne niebezpieczeństwo. Musi stawić czoło prawdzie. Poczł pustkę w żołądku, jak podczas jazdy szybką windą. Możliwe, że nie uda im się przeżyć. Nie może dłużej zwlekać.

Musi jej powiedzieć o Sophii. Musi wypowiedzieć te słowa, w przeciwnym razie znajdzie się w innym świecie, w którym będzie mógł wiecznie udawać, że Randi to Sophia. Nie może pozwolić uczuciom na tę okrutną grę.

Stawką była przecież nie tylko jego przyszłość, ale przyszłość Randi i milionów osób, które mogły paść ofiarą wirusa. Słyszał głos Sophii: "Weź się w garść, Jon. To, że chcesz żyć, nie oznacza, że mnie nie kochasz. Masz zadanie do wykonania. Jeśli mnie kochasz, musisz je wypełnić".

Randi przyglądała mu się badawczo.

— Miałeś powiedzieć, kim według ciebie są ci ludzie.

Znów wciągnął powietrze. Pompował do ciała tlen, a razem z nim rozsądek.

— Początkowo nie zwróciłem na to uwagi. — Ale gdy nas zaatakowali, ich przywódca nazwał mnie prawdziwym nazwiskiem. Nie tym, którym posługiwałem się w Bagdadzie. Skąd miałby wiedzieć, że jestem pułkownikiem Jonem Smithem, jeśli on — a także inni — nie zostali nasłani przez ludzi od wirusa. Próbują przerwać moje dochodzenie od czasu, gdy...

Zmusił się do tego, żeby widzieć ją, a nie jej siostrę. Lecz w tym momencie jej twarz znieruchomiała, jakby zdała sobie sprawę, że zaraz usłyszy coś strasznego, coś, co ma związek bezpośrednio z nią. Jeszcze jedną rzecz, której nigdy mu nie wybaczy.

— Randi, mam okropną wiadomość — powiedział łagodnie. — Sophia nie żyje.

Zamordowali ją. Ci, którzy stoją za tym wszystkim.

Rozdział 34

Randi wyprostowała się. Przez chwilę Jon miał wrażenie, że usłyszała coś innego... nie to, co powiedział. Jej twarz zastygła w bezruchu, jakby mięśnie doznały paraliżu. Nic innego nie świadczyło o tym, że właśnie usłyszała tragiczną wieść o zabójstwie siostry.

W ciszy wywołanej szokiem, czuł każdy wstrząs i skręt ciężarówki. Zmusił się do zachowywania czujności — od tego zależało ich życie. Samochód zwiększył prędkość. Budynek, odgłosy ludzi i odbiorników radiowych oddalały się. Wjechali chyba na szerszą drogę.

Dochodziły go dźwięki ulicy i strzępy rozmów z kabiny, ale to wszystko.

Czuł w skroniach niespokojne pulsowanie.

— Randi?

Przez jej twarz przeszedł skurcz. Po policzkach spłynęły łzy, nadal siedziała sztywna i nieruchoma. Usłyszała jego słowa, ale nie rozumiała ich znaczenia. Przejmował ją ból. Sophia?

Nie żyje? Zamordowali ją? Nie dopuszczała tego do siebie. Niemożliwe. — Sophia nie żyje?

Przez łzy jej głos brzmiał obojętnie.

— Nie wierzę ci.

— To prawda. Przykro mi. Wiem, jak ją kochałaś. Ona też kochała ciebie.

Ogarnęło ją poczucie winy. Te słowa były jak uderzenia. "Wiem, jak ją kochałaś".

Od wielu miesięcy nie widziała się z Sophią. Była zbyt zajęta, zbyt zapracowana. Inni bardziej jej potrzebowali. Myślała, że później będą miały mnóstwo czasu, żeby znów być blisko siebie i cieszyć się swoim towarzystwem. Później — gdy już zrobią to, co muszą zrobić.

Później — gdy Jon Smith przestanie zajmować w życiu Sophii tak ważne miejsce.

Czuła, jak krwawi jej serce. Ze złością otarła łzy rękami.

— Randi?

Usłyszała jego głos. Usłyszała ciężarówkę... pod kołami rozległo się nagle dudnienie. Myśli przebyły długą drogę do rzeczywistości. Przejeżdżają przez most. Długi most, odgłosy ciężarówki odbijały się echem od powierzchni wody. Usłyszała szum powietrza na otwartej powierzchni. Dalekie okrzyki ludzi, którzy pewnie łowili w nocy ryby. Ryk osła.

I znowu atak bólu. Sophia. Skrzyżowała ramiona, usiłując wziąć się w garść. Spojrzała na Jona. Na jego twarzy malowało się cierpienie. Ten żal wydawał się tak głęboki, że aż niemożliwy do ukojenia.

Jego twarz nie kłamała: Sophia naprawdę umarła.

Sophia umarła.

Wciągnęła mocno powietrze, żeby się uspokoić. Twarz siostry wciąż stała jej przed oczami.

Jednocześnie patrzyła na Jona. A już myślała, że może mu zaufać. Chciała uwierzyć, że nie ma z tym nic wspólnego, ale podejrzenia same cisnęły się do głowy.

Ślepa arogancja Jona doprowadziła do śmierci Mike'a, którego leczył. Teraz być może zabił

jej siostrę, tak jak wcześniej zabił Mike'a.

— Jak to się stało? — zapytała. — Co jej zrobiłeś?

— Nie było mnie, kiedy to się stało. Byłem wtedy w Londynie. Opowiedział jej wszystko, od spotkania z Billem Griffinem do odkrycia brakującej kartki w dzienniku i śladu po igle na kostce Sophii. — To był ten sam wirus, który próbowała zidentyfikować i sklasyfikować. Ten sam, który zaprowadził mnie do Iraku. Ale śmierć Sophii nie była przypadkowa. Wirus nie jest aż tak zaraźliwy. Musiałaby być bardzo nieostrożna. Zarazili ją, bo coś odkryła. Zamordowali ją, Randi, a ja zamierzam dowiedzieć się, kim są i powstrzymać ich. Nie daruję im...

Randi zamknęła oczy na myśl o cierpieniach Sophii. Stłumiła szloch.

Jon mówił dalej cichym, poważnym głosem.

— ...zamordowali też naszego dyrektora i jego sekretarkę, bo wiedzieli ode mnie, że ktoś wyizolował wirusa i eksperymentuje na ludziach. Teraz mamy do czynienia ze światową epidemią. Nie wiem, jak zaraziły się nowe ofiary. Nie wiem też, jak udało się niektórym wyleczyć. Ale muszę się dowiedzieć...

Ciężarówka jechała coraz szybciej. Zostawili za sobą odgłosy miasta. Teraz wydawało się, że znajdują się na otwartej przestrzeni. Tylko od czasu do czasu słychać było warkot pojazdu mijanego na sąsiednim pasie.

Ogarnęła ją kolejna fala bólu. Jon objął ją ramieniem, lecz odepchnęła go. Otarła łzy rękawem.

Nie może płakać. Nie tutaj. Nie teraz.

— ...są potężni — ciągnął dalej Jon. — Oczywiście byli w Iraku. Może nadal tu są. Kolejny argument za tym, że to oni przysłali "policjantów". Wpływy tych, którzy mają związek z wirusem, sięgają chyba wszędzie. Ich ludzie są nawet w naszym rządzie i w wojsku. W samym Pentagonie.

— W wojsku? W Pentagonie? Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

— Jak inaczej wyjaśnić fakt, że Instytut został odcięty od informacji, a nasze śledztwo przerwane? Poza tym za pośrednictwem serwera Narodowych Instytutów Zdrowia wykasowano wszystkie dane. Za bardzo węszyłem i musieli mnie powstrzymać. Tylko w ten sposób można wyjaśnić śmierć Kielburgera. Miał pojechać do Pentagonu, żeby powiedzieć im o moich odkryciach, i wtedy zniknął. Wraz z sekretarką znaleziono go dopiero po kilku godzinach. Teraz szukają mnie. Oficjalnie wiadomo, że samowolnie oddaliłem się z jednostki, a poza tym chcą mnie przesłuchać w sprawie śmierci generała i jego sekretarki.

Randi powstrzymała się od złośliwego komentarza. Jon Smith, człowiek, który zabił jej wielką miłość, twierdzi, że armia amerykańska jest w jakiś sposób zamieszana w śmierć jej siostry, a on sam uciekł przed nimi, żeby kontynuować prywatne śledztwo. Jak mogła mu uwierzyć? Zaufać? Może cała ta historia była jakąś olbrzymią mistyfikacją.

Z drugiej strony każdy Amerykanin, który przybywał do Iraku, ryzykował życie. Widziała, z jaką odwagą bronił doktor Mahuk przed Gwardią Republikańską, a przecież nie wiedział jeszcze, że to ona. No i ten wirus. Mogłaby nie uwierzyć, gdyby on jej o nim powiedział. Ale lekarka potwierdziła informacje, a Randi miała zaufanie do Radah Mahuk.

Usłyszała, że ciężarówka przejeżdża przez następny most. Znow dało się słyszeć dudnienie odbijające się echem od wody.

Jakiej wody? Całkowicie otrzeźwiała.

— Ile przejechaliśmy mostów?

— O ile pamiętam, dwa. Między nimi było jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści kilometrów.

Ten był drugi.

— Dwa przytaknęła Randi. — Ja też tylu się doliczyłam. — Wkrótce powinien być trzeci.

Wciągnęła głęboko powietrze. I jeszcze raz. Wszyscy już odeszli: ojciec, matka, a teraz siostra. Najpierw rodzice zginęli w wypadku na łodzi u wybrzeży Santa Barbara dziesięć lat temu. A teraz Sophia. Znow otarła oczy. Czekali w ciszy, zjednoczeni w smutku.

Ciężarówka wjechała na trzeci most i Randi wróciła do rzeczywistości. Do bieżącej chwili.

Do pracy. Była teraz jej jedynym lekarstwem.

— W Bagdadzie musieliśmy przejechać przez Tygrys — szepnęła podekscytowana. — Drugi most był nad Eufratem. I trzeci też nad Eufratem. Nie jedziemy na południe, tylko na zachód.

Jeśli droga zacznie łagodnie się wznosić, to znaczy, że na pewno zmierzamy w stronę Pustyni Syryjskiej i Jordanu.

Jon spojrział na dwóch policjantów, którzy rozmawiali ze sobą po cichu. Karabiny spoczywały w ich ramionach z lufami wycelowanymi niedbale w stronę więźniów. Minęło sporo czasu, odkąd próbowali ich oszukać.

— Powiedz im, że zdrętwiałem — poprosił Randi. — Że chcę się rozprostować.

Zmarszczyła brwi ze zdziwieniem.

— Po co?

— Mam pewien pomysł.

Znowu przyjrzała mu się badawczo. W końcu kiwnęła głową.

— Dobrze. Przemówiła pokornie po arabsku do dwóch uzbrojonych strażników.

Jeden z nich odpowiedział warknięciem, a wtedy dorzuciła jeszcze parę słów.

Mówi, że się zgadza, ale tylko ty możesz wstać — poinformowała Jona. — Ja nie.

Uśmiechnęła się ponuro.

— Tak myślałem.

Wstał i wygiął plecy w łuk, jak gdyby zdrętwiały mu kończyny. Czuł na sobie badawcze spojrzenia policjantów. Gdy odwrócili się, znudzeni i śpiący, prawym okiem obejrzał długą szparę w plandece. Wyrzwał przez nią na zewnątrz.

Nagle odezwał się ostry głos jednego z policjantów.

— Siadaj, Jon — przetłumaczyła Randi. Widzą, co robisz. Smith opadł na ławkę, ale zobaczył już to, co chciał.

— Gwiazda polarna. Rzeczywiście jedziemy na zachód.

— Zakład Karny jest na południu.

— Tak słyszałem. Poza tym przejechaliśmy już wiele kilometrów. Nie wiozą nas do żadnego więzienia. Masz przy sobie jakąś broń, której nie znaleźli?

Uniosła brwi.

— Mały nóż przy udzie.

Spojrzał na jej skromną szarą spódnicę i kiwnął głową. Może szybko po niego sięgnąć.

Rosyjska ciężarówka zahamowała nagle. Rzuciło ich do przodu. Kolejny gwałtowny manewr ściągnął ich znów pod kabinę. Randi wpadła na Jona. Szybko się odsunęła. Wóz zatrzymał się.

Rozległy się zdenerwowane głosy. Usłyszeli, że ktoś wysiadł z kabiny, odszedł od ciężarówki.

Słysząc było rozmowę.

Z tyłu dwaj policjanci przykucnęli z karabinami gotowymi do strzału.

Randi podniosła głowę i przysłuchiwała się szybkim arabskim słowom.

— Zdaje się, że oficer i jeden z jego ludzi wysiedli z kabiny.

Jon potrząsnął ramionami, żeby złagodzić napięcie.

— Punkt kontrolny?

— Tak.

Cisza. Śmiech. Znowu śmiech i odgłos poklepywania się po plecach, kroki. Dwaj policjanci wsiedli z powrotem do kabiny. Kierowca wrzucił bieg i wóz ruszył do przodu, przyspieszając.

Głos Randi był cichy i zamyślony.

— Usłyszałam, że zatrzymała ich Gwardia Republikańska, ale nie mieli problemów z przekonaniem ich, że są autentycznymi policjantami. Strażnicy znali chyba nawet imię tego oficera.— Więc są prawdziwymi policjantami?

— Tak myślę, a to znaczy, że prawdopodobnie są na garnuszkę twoich amerykańskich przyjaciół. Jeśli oboje mamy rację, ten, kto stoi za tym wszystkim, ma nie tylko władzę, ale i duże pieniądze. W tej sytuacji możemy się tylko cieszyć, że nie wiozą nas do więzienia. Nie zmienia to faktu, że jest ich sześciu i są dobrze uzbrojeni.

Kącik ust Jona uniósł się w półśmiechu, lecz jego niebieskie oczy pozostały chłodne.

— Nie mają szans.

Randi zmarszczyła brwi.

— Co masz na myśli?

— Zanim Gwardia Republikańska zatrzymała ciężarówkę — szepnął — ci dwaj, którzy nas pilnują, prawie zasnęli. Przy odrobinie szczęścia monotonna jazda znów ich uspi. Udajmy, że też zasypiamy, to ich uspokoi.

— Nie możemy długo czekać. Nie wywieźli nas tak daleko, żebyśmy mogli delektować się pustynnym powietrzem.

Siedzieli w ciszy z zamkniętymi oczami i spuszczonej głowami. Symulowali sen. Od czasu do czasu zmieniali pozycję, tak jak to robią śpiący ludzie. Z kiwającą się głową Jon wydawał z siebie od czasu do czasu ciche chrapanie, ale cały czas obserwował spod oka strażników.

Pokonywali kolejne kilometry. Urywana rozmowa strażników stawała się coraz bardziej cicha i leniwa. Ciężarówka toczyła się przez noc. Smith i Randi też zrobili się senni. Rozległo się ciche chrapanie, ale to nie był Jon.

— Randi. Głos Smitha był matowy.

Jeden z policjantów oparł się o brezentową ściankę. Głowa drugiego opadła do przodu i kiwała się — próbował walczyć ze snem.

Wkrótce nadejdzie moment, na który czekali.

Jon przycisnął palec do ust i pokazał Randi, że ma podczołgać się z lewej strony, a on z prawej. Kiwnęła głową. Pochylili się i przyklękli. Ciężarówka nadal się kołysała, a oni posuwali się w mroku do przodu.

Nagle ciężarówka zakręciła ostro. Wszystkich rzuciło w prawo, gdy zjechała z drogi na —

jak się wydawało — wyboisty szlak. Ciężki wóz podskakiwał i trząsał się, przyprawiając ich o szczerkanie zębami. Smith znów oparł się o ścianę, a Randi szybko wróciła na miejsce.

Przebudzeni strażnicy narzekali na coś.

— Cholera — wymamrotała.

Ciężarówka zwolniła, ale ich plan wziął w łeb. Teraz nie mogli się już wymknąć obudzonym strażnikom.

Jon zaklął. Stracili najlepszą okazję. Być może ostatnią.

Ciężarówka po raz kolejny zahamowała gwałtownie i znów rzuciło ich do przodu. Gdy się zatrzymała, ktoś w kabinie krzyknął ze złością. Z zewnątrz dobiegła odpowiedź. Nagle rozległ się warkot innego pojazdu. Ciemność przeszyły reflektory i zatrzymały się na plandece ciężarówki, rozświetlając upiornym światłem wewnątrz. Jon i Randi nasłuchiwali. Rozmowa toczyła się po arabsku.

— Co mówią? — zapytał Jon.

— Mamy kolejnych gości. Randi przysłuchiwała się głosom. — Nasi policjanci nie są z tego specjalnie zadowoleni.

— Kto tym razem?

— Nie jestem pewna. Może znów Gwardia Republikańska. Może coś im się nie spodobało w punkcie kontrolnym i mają do nich nowe pytania.

— Świetnie. Więc wdepnęliśmy jeszcze gorzej. Jon otarł pot z twarzy.

— Ten ostatni głos! — szepnęła gorączkowo Randi. — Mówił dobrze po arabsku, ale to nie był iracki arabski.

Pod plandeką dwaj policjanci przykucnęli wyczekująco z podniesionymi karabinami. Byli czujni. Coś ich przestraszyło. Wymienili po cichu kilka słów i sięgnęli do plandeki, która zakrywała tył.

Odwrócili się plecami do więźniów.

— Teraz — wydyszał Jon bez wahania.

Rzucił się do przodu, ufając, że Randi zrobi to samo. Chwycił policjanta z lewej strony, szarpnął i zdzielił go pięścią w prawą skroń. Gdy padał nieprzytomny na podłogę, wyrwał mu karabin.

Randi zadarła spódnicę, chwyciła nóż i skoczyła na drugiego policjanta. W chwili, gdy obracał się, żeby pomóc przyjacielowi, zatopiła mu nóż w lewym ramieniu. Krzyknął, upuścił

karabin i przycisnął rękę do rany.

Randi uderzyła go kolanem w brodę. Głowa odskoczyła mu do tyłu i rozciągnął się na wznak, przygniatając drugiego policjanta.

Na zewnątrz rozległy się strzały, głośnie i niespodziewane jak grzmoty podczas burzy. Ciszę pustyni zakłóciły krzyki i jęki. Usłyszeli tupot biegnących nóg i kolejne strzały. Wywiązała s ię bitwa. Odgłosy zbliżały się coraz bardziej. Wkrótce mieli znaleźć się w samym jej środku.

Rozdział 35

18.32, Long Lake, stan Nowy Jork

Victor Tremont siedział przy biurku w swoim narożnym gabinecie. Odsunął raport, nad którym pracował, przetarł oczy i znów zerknął na zegarek. Zabębnił palcami o krawędź

ogromnego biurka. Był spięty i zdenerwowany. Nie otrzymywał wiadomości od Nancy Petrelli i Oxnarda, a ponadto minęło już ponad dziewięć godzin, odkąd ostatnio odezwał się al-Hassan.

Zbliżało się tryumfalne zakończenie dwunastu lat ryzykownej pracy, a on był już tylko o krok od stania się jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Nie mógł teraz przegrać.

Niespokojny i zmartwiony wstał od biurka i z założonymi z tym rękoma podszedł po miękkim dywanie do szklanej ściany. Dalekie jezioro przypominało w ostatnich promieniach słońca srebrny krater. Czuł niemal zapach otaczających je gęstych sosen, które ciemniały i zmieniały barwę z niebieskiej w fioletową, a teraz w czarną. Światła domów migotały jak ławica zapalających się gwiazd. Rozejrzał się po rozległym przemysłowym kompleksie, w którym mieściło się Blanchard Pharmaceuticals, jak gdyby chciał się przekonać, czy wszystko stoi na właściwym miejscu. Czy jest prawdziwe. I że jest jego.

Odezwał się interkom.

— Doktorze Tremont, przyjechał pan al-Hassan.

— Świetnie. Wrócił za biurko i przybrał odpowiedni wyraz twarzy. — Proszę go przysłać.

Dziobata twarz Nadala al-Hassana jaśniała triumfem.

— Złapaliśmy Smitha.

— Gdzie? — Tremonta przeszył dreszcz emocji. Al-Hassan zatrzymał się przed biurkiem.

Pochylił się nad nim jak chart przed skokiem na królika. Uśmiechnął się.

— W Bagdadzie. Aresztowali ich przekupieni policjanci.

— Ich? — Sytuacja przeszła jego oczekiwania. — Zellerbach i ten Anglik też tam są?

Uśmiech ulotnił się z twarzy al-Hassana.

— Niestety nie. Towarzyszyła mu agentka CIA. Podejrzewamy, że pracowała dla tamtejszego podziemia.

Tremont zaklął w duchu. Dodatkowa komplikacja.

— Teraz wie już wszystko, czego dowiedział się Smith. Zlikwidować ją. A co z pozostałą dwójką?

— Ich też wkrótce schwyjemy. Dziś rano nasza wtyczka w Instytucie odnalazła Zellerbacha i Anglika...

— Dziś rano? — Tremont rzucił mu groźne spojrzenie. — Dlaczego mi o tym nie powiedziano!

Al-Hassan spuścił wzrok.

— Nasza agentka w Detrick działała początkowo sama i była zbyt zajęta śledzeniem ich. Gdy do akcji wkroczył Maddux ze swoimi ludźmi, skoncentrowali się na utrzymaniu kontaktu z Howellem i nie mieli okazji zadzwonić. Pełen raport otrzymałem dopiero godzinę temu.

Zbeształem Madduksa i podkreśliłem konieczność informowania mnie o wszystkim. Al-Hassan opisał wizytę Petera Howella w Instytucie, ściągnięcie przez Marty'ego Zellerbacha danych komputerowych o Sophii i ich późniejszą podróż do Princeton. — Maddux donosi, że pojechali na północ i dojeżdżają do Syracuse.

Tremont chodził po gabinecie i rozmyślał. W końcu zrozumiał.

— Zellerbach i Howell badają przeszłość Sophii Russell — rzucił rozwścieczony. — Mogą się dowiedzieć o studenckiej wyprawie do Peru i o jej spotkaniu ze mną. Próbował stłumić gniew. Szczycił się znajomością ludzkiej natury i gdy spojrział na Araba, uzmysłowił sobie, że ten enigmatyczny człowiek z obcej ziemi jest jedynym, który może powstrzymać Jonathana Smitha i jego sprzymierzeńców. Tak, musi dopilnować, żeby al-Hassanowi udało się zniszczyć Smitha.

Nagle wpadł na pomysł. — Już dawno temu powinieneś ich powstrzymać. Zawiodłeś mnie.

Zgodnie z przewidywaniami al-Hassan skrzywił się. Stał nieruchomo w milczeniu, niezdolny wykrztusić słowa i Tremont wyczuwał jego zażenowanie, niemal upokorzenie, wywołane niepowodzeniem. Właśnie na taką reakcję liczył.

Głos al-Hassana był lodowaty.

— To już się nie powtórzy, doktorze Tremont. Wyprostował się.

Bił z niego szacunek. — Mam pewien plan. Wyszedł z gabinetu bezszelestnie jak śmierć.

20.21, okolice Syracuse, stan Nowy Jork

Peter, ubrany znów w czarny strój komandosa, lecz bez kaptura i pasa ze sprzętem, analizował wszystko jeszcze raz, siedząc za kierownicą wielkiego samochodu turystycznego, pędzącego ciemną autostradą w stronę odległych świateł Syracuse. Za nim Marty pracował w skupieniu przy komputerze. Nagła eksplozja wirusa na całym świecie przeraziła obu. Musieli znaleźć w Syracuse coś, co ujawni wagę raportu z Instytutu Księcia Leopolda. Marty musi znaleźć skasowane rozmowy telefoniczne Sophii i kryjówkę Billa Griffina.

Jon nie odzywał się do nich. Peter nie był tym specjalnie zdziwiony, ale niepokoił się.

Milczenie Jona mogło oznaczać, że wpadł w tarapaty i że nie wrócił do ambasady w Bagdadzie.

A mogło też nic nie oznaczać.

Wkrótce po wyjeździe z Princeton, Peter odniósł niejasne wrażenie, że są śledzeni. Żeby się upewnić, z New Jersey do stanu Nowy Jork jechał okrężnym szlakiem, wybierając drugorzędne drogi. Dopiero po jakimś czasie wjechał na autostradę. Doszedł do wniosku, że gdyby mieli

"ogon", do tej pory już by go zdemaskował lub zgubił. Ale niepokój nie opuszczał go. Ci ludzie byli doświadczeni i wyszkoleni.

Dwa razy zjechał na pobocze, żeby sprawdzić, czy do wozu nie podczepiono urządzenia namierzającego. Nic nie znalazł. Przeczucie wciąż nie dawało mu spokoju, a on już dawno nauczył się ufać instynktowi. Dlatego zjechał z autostrady i wybrał gorsze, ale mniej uczęszczane drogi do Syracuse.

Przez pierwsze osiem kilometrów widział za sobą niewiele świateł. Za każdym razem, gdy zjeżdżał na pobocze, samochody mijały go. Zmieniał kierunek jazdy wiele razy, przez jakiś czas jechał na zachód, potem na południe, na wschód, na północ i znów na zachód w stronę miasta.

Teraz przejeżdżał przez dalekie przedmieścia. Nie było żadnych dowodów inwigilacji, zaczynał się więc uspokajać.

Niebo było gwiazdziste i czarne, a ciemne chmury niskie i groźne z księżycem w tle. Po prawej stronie drogi rozciągał się park stanowy, którego drewniane ogrodzenie przypominało nocą upiorne połamane kości. Park wyglądał na gęsto zalesiony, na polanach ustawiono stoły i paleniska. O tej porze ruch na drodze był niewielki.

Nagle zupełnie znikąd pojawił się szary pikap, który wyprzedził ich z wielką prędkością.

Gdy znalazł się przed nimi, światła hamowania błysnęły krwawą czerwienią. Zwolnił, zmuszając Petera do wciśnięcia hamulca. Peter zerknął w lusterko wsteczne. Zobaczył wysokie przednie

światła, które zbliżały się szybko. Musiał to być drugi pikap lub furgonetka. Tuż za nimi.

— Trzymaj się, Marty! — zawołał.

— Co ty wyprawiasz? — Marty nie był zadowolony.

— Przed nami pikap. Z tyłu pikap lub furgonetka. Dranie myślą, że zamkną nas jak plasterek szynki w kanapce.

Okręła twarz Marty'ego poczerwieniała.

— Ojej. Wyłączył komputer, zapiął pasy i przezornie uczeplił się stołu przytwierdzonego do ramy wozu. Przygotował się na najgorsze i westchnął. — Zaczynam się już chyba przyzwyczajać do krytycznych sytuacji.

Peter wdepnął hamulec i skręcił raptownie w prawo. Lewe koła uniosły się lekko jak jacht na silnym wietrze. Marty wydał z siebie okrzyk zdziwienia. Samochód skręcił na dwóch pozostałych kołach, opadł ciężko i wjechał na oświetlony teren rekreacyjny. Usłyszeli za sobą pisk hamulców i opon. Ścigający ich wóz podskakiwał na trawie, staranował młode drzewko i krzaki i znów pojawił się na parkowej drodze. Szary pikap trzymał się blisko za nim.

Marty wyglądał przez okno. Serce kołatało mu ze strachu, choć był zafascynowany tym, co się działo. Anglik ustępował mu wprawdzie pod względem intelektualnym, ale był niezwykle uzdolniony we wszelkich dziedzinach związanych ze sprawnością fizyczną, a zwłaszcza z przemocą.

Droga przed nimi rozwidlała się. Peter skręcił w prawo. Pędził podskakującym i rozhuśtanym samochodem przez ciemność. Droga nagle zakreśliła z powrotem w stronę oświetlonego terenu rekreacyjnego.

— Cholera jasna! — zaklął. — Ta droga zawraca. Wóz z wysokimi światłami jechał za nimi, a szary pikap zbliżał się od przodu. — Znów jesteśmy w pułapce! Sięgnął za siedzenie po enfielda. Przejdź do tylnych drzwi i zrób z tego użytek!

— Ja? — Marty chwycił karabin rzucony przez Petera.

— Kiedy ci powiem, po prostu wyceluj i pociągnij za spust, przyjacielu. Wyobraź sobie, że to joystick.

Zmarszczki na ogorzałej twarzy Howella zamieniły się w głębokie kaniony niepokoju, lecz jego oczy błyszczały. Znów wdepnął hamulec, skręcił kierownicę i zjechał z drogi między drzewa, które ciągnęły się daleko w ciemność. Zatrzymał ciężki samochód, wyskoczył z siedzenia, wyciągnął pistolet H&K, zabrał dwa magazynki, podał amunicję Marty'emu i przypadł

ze swoją bronią i magazynkami do bocznego okna.

Przód samochodu znajdował się głęboko między drzewami, boczne drzwi też wychodziły na las. Oznaczało to, że pojazd jest dla nich solidną osłoną i jednocześnie mogą strzelać z tylnych drzwi i małych bocznych okienek.

Marty oglądał broń i mamrotał coś pod nosem.

— Wiesz już, jak to działa? — zapytał Peter. Ten irytujący człowieczek okazał się tak inteligentny, jak twierdził Smith.

— Są rzeczy, których nigdy nie chciałem się nauczyć. Marty podniósł wzrok i westchnął. —

Oczywiście, że mechanizm tej prymitywnej maszyny jest dla mnie zrozumiały. Dziecinnie prosty.

Samochód kryjący się za wysokimi światłami był dużą czarną furgonetką. Zatrzymał się na drodze. Szary pikap jechał powoli po trawie w ich stronę.

Peter przestrzelił przednie opony pikapa, który zatrzymał się na dziurawych gumach. Przez jakiś czas nikt się nie ruszał.

Nagle dwaj mężczyźni jak szmaciane lalki wypadli z pikapa i ukryli się pod nim. W tym samym czasie z furgonetki otworzono ogień, kule uderzyły w bok samochodu. Rozległ się głośny zgrzyt rysowanego metalu.

— Padnij! — krzyknął Peter, gdy samochód zakołysał się pod naporem ognia.

Marty przywarł do podłogi, a Peter przykucnął przy bocznej ścianie. Ogień ustał, Marty rozejrzał się.

— Gdzie są dziury po kulach? Powinniśmy wyglądać jak sito. Peter uśmiechnął się.

— Pokryłem ten wózek bardzo grubą blachą. Myślałem, że domyślisz się tego po naszych przejściach w górach. Nieźle, co?

O opancerzoną karoserię zadudniła nowa seria strzałów. Tym razem kule rozbiły okna i podarły zasłony. W powietrzu latały kawałki szkła i wbijały się w meble. Strzępy materiału opadały jak śnieg.

Marty zakrył rękami głowę.

— Powinieneś pomyśleć o blaszanych oknach.

— Spokojnie — odparł cicho Peter. — Niedługo im się znudzi i sprawdzą, czy jeszcze żyjemy. Wtedy pokrzyżujemy im nieco szyki.

Marty westchnął i próbował stłumić paraliżujący strach.

Minęła kolejna minuta silnego ognia, strzały umilkły. Cisza zdawała się tworzyć próżnię w oświetlonym parku. Ptaki nie śpiewały. W zaroślach nie biegały żadne zwierzątka. Twarz Marty'ego

była biała ze strachu.

— W porządku — powiedział pogodnie Peter. — Zobaczmy, co się dzieje.

Podniósł się, żeby wyrzeć przez rozbite okno. Dwaj mężczyźni z szarego pikapa kryli się za wozem z pistoletami Ingram M11 w rękach. Spoglądali przez pas oświetlonej trawy na samochód turystyczny. Peter widział, jak z furgonetki wysiadł niski, tęgi mężczyzna w tanim szarym garniturze. Twarz lśniła mu od potu. Miał ze sobą Glocka. Ruchem ręki pokazał, żeby następni dwaj dobrze uzbrojeni mężczyźni wyskoczyli na zewnątrz. Kolejnym gestem rozkazał im rozstawić się i podejść do samochodu turystycznego.

— W porządku — powtórzył Peter, tym razem z czułością. — Marty, zajmij się dwójką z prawej. Ja obsłużę tych z lewej. Wątpię, żeby któryś miał ochotę szarżować pod ostrzałem, więc nie martw się. Po prostu wyceluj, naciśnij spust i daj im popalić. Gotów?

— Moja demoralizacja postępuje.

— Jesteś rewelacyjny. No, zaczynamy.

Rozdział 36

W doskonale wyposażonym samochodzie Petera napięcie doszło do zenitu. Z odległości około dwudziestu metrów pięciu uzbrojonych mężczyzn z niskim, grubym dowódcą szybko zbliżało się do Marty'ego i Petera. Napastnicy posuwali się ostrożnie, cały czas rzucając wzrokiem na boki. Trzymali broń pewnie i z wprawą. Nawet z tej odległości ich ruchy wydawały się groźne.

— Teraz! — Peter wycelował starannie i strzelił do dowódcy. Marty'ego poniosło.

Jego kule rwały na strzępy liście i sosnowe igły, korę i małe gałęzie. Cel Petera jęknął, chwycił się za prawe ramię i padł na kolana. Marty nie przestawał strzelać na oślep. Hałas był ogłuszający.

— Marty, przestań! Wystarczy.

Echa wścieklej strzelaniny odbijały się w parku. Czterej mężczyźni i ranny rzucili się do bezładnej ucieczki, chowali się za paleniskami, ławkami, krzakami i drzewami. Z ukrycia znów otworzyli ogień. Kule ze świstem przelatywały przez otwarte okno nad głową Petera i z głuchym odgłosem wbijały się w przeciwległą ścianę. Tym razem strzelali do wybranego celu. Peter przykucnął.

— Nie zaryzykują kolejnej szarży ze względu na naszą siłę ogniową, ale też nie odejdą. W

furgonetce pewnie został kierowca. To tylko kwestia czasu, zanim jeden z nas zostanie trafiony,

skończy się amunicja i dopadną nas. Albo przyjedzie policja i aresztuje wszystkich.

Marty zadrżał.

— Fatalnie, nie możemy sobie pozwolić na spotkanie z policją. To nie byłoby wskazane.

Peter kiwnął głową i skrzywił się.

— Będą chcieli wiedzieć, co tu robimy z nielegalną bronią i stanowiskiem dowódczym w samochodzie. Jeśli powiemy im o Jonie, sprawdzą, odkryją, że jest poszukiwany, i wpakują nas do kicia, żebyśmy poczekali na przedstawicieli wojska i FBI. Jeśli nic nie powiemy, nic nie wyjaśnimy, zamkną nas razem z tymi bandziorami.

— Jasne. Co robimy?

— Musimy się rozdzielić.

— Nie dam się zostawić na pastwę rzezimieszków i morderców — powiedział stanowczo Marty.

Oczy Petera błysnęły w mroku. W czarnym stroju komandosa był prawie niewidzialny.

— Wiem, że twoim zdaniem nie jestem zbyt inteligentny, przyjacielu. Ale pamiętaj, że gdy ty byłeś dopiero irytującym błyskiem w oku swego ojca, ja w ten sposób zarabiałem na życie.

Plan jest taki: wymknę się niepostrzeżenie do lasu, a ty będziesz mnie osłaniał. Obejdę ich z lewej strony i narobię tyle hałasu, jakby uciekała cała brygada. Gdy będą pewni, że obaj opuściliśmy samochód, rzucą się za mną. Wtedy będziesz mógł zapalić tego gruchota i wziąć nogi za pas. Jasne?

Marty zacisnął usta. Jego krągłe policzki wydłużyły się.

— Jeśli zostanę w samochodzie, będę mógł sprawdzać, czy są wiadomości od Jona i szukać dalej Billa Griffina i rozmów telefonicznych Sophii Russell. Oczywiście muszę znaleźć jakąś kryjówkę dla samochodu. Gdy już ją znajdę, zostawię wiadomość na stronie zespołu Aspergera, tak jak ustaliliśmy.

— Bystry jesteś, przyjacielu. Są pewne aspekty obcowania z geniuszami, które mi się podobają. Daj mi minutę na zajęcie pozycji, a potem strzelaj aż do opróżnienia magazynka.

Pamiętaj: całą minutę.

Marty przyjrzał się surowym rysom jego ogorzałej twarzy. Przyzwyczał się do jej widoku.

Była środa. Obcowali ze sobą bez przerwy od soboty. W ciągu minionych pięciu dni przeżył więcej przerażających i niesamowitych chwil niż przez całe dotychczasowe życie. Ryzykował też dużo więcej. Przyzwyczał się do towarzystwa Petera. Przez chwilę poczuł coś dziwnego: żal.

Mimo wszystkich denerwujących wad Anglika wiedział, że będzie za nim tęsknił. Chciał mu

powiedzieć, żeby uważał na siebie.

— Było niesamowicie, Peter. Dzięki — wydusił w końcu.

Ich spojrzenia spotkały się, ale obaj szybko odwrócili wzrok.

— Wiem, przyjacielu. Ja też dziękuję. Mrugnął okiem, wycofał się do przedniej części samochodu i założył pas.

Marty uśmiechnął się przelotnie i zajął pozycję przy tylnych drzwiach. Usiłował przekonać samego siebie, że da sobie radę.

Napastnicy wstrzymali ogień, prawdopodobnie po to, żeby ustalić nowy plan działania. Gdy Peter wyslizgnął się z samochodu i rozpląnął w cieniu zalanego księżycową poświatą lasu, Marty odliczył w myślach jedną minutę. Zmusił się, żeby oddychać wolno i równomiernie. Minuta minęła. Marty zacisnął zęby, wychylił się i otworzył ogień z karabinu. Enfield wyrывał mu się z rąk i wstrząsał całym ciałem. Przestraszony, lecz zdeterminowany, raził nieprzerwanym strumieniem ognia noc i ciemne drzewa. Peter zaufał mu.

Napastnicy odpowiedzieli ogniem z ukrycia. Samochód zakołysał się pod gradem kul.

Na twarz Marty'ego wystąpił pot. Nie przestawał naciskać spustu, tłumiąc strach. Gdy już opróżnił magazynek, przycisnął karabin do piersi i ostrożnie wyjrzał zza drzwi. Nie dostrzegł

żadnego ruchu. Otarł dłonią czoło, usuwając warstwę potu i wydał z siebie długie westchnienie ulgi.

Minęła kolejna minuta i Marty niezdarnie wymienił magazynek. Usiadł. Minęły dwie minuty. Z napięcia dostał gęsiej skórki.

Nagle usłyszał dźwięki, jakby ktoś nieumiejętnie próbował przekradać się cicho wśród drzew po lewej stronie. Peter! Podniósł głowę i nadstawił uszu.

Dobiegł go ostrzegawczy głos jednego z napastników.

— Uciekają!

Niemal natychmiast silny ogień z dwóch lub trzech karabinów przeszył las po lewej stronie.

Peter powiedział, że tam właśnie pójdzie.

Mężczyźni z pikapa i furgonetki znów gorączkowo szukali kryjówki przed ostrzałem z nowego kierunku.

W końcu strzały ucichły. Dało się słyszeć odgłosy, jakby cała grupa uciekała przez las z lewej strony.

— Za nimi! — zabrzmiał inny głos.

Marty poczuł przyływ energii. O to chodziło. Odczekał, aż napastnicy znikną w lesie. Ktoś włączył silnik furgonetki, zawrócił i odjechał w lewo. Wszyscy rzucili się w pościg za Peterem, tak jak przewidział.

Marty wsiadł do kabiny samochodu. Czuł się winny. On był bezpieczny, a Peter odgrywał rolę ściganego przez myśliwych zająca. Mimo to wiedział, że Peter miał rację — to było jedyne wyjście z sytuacji.

Kluczyki czekały w stacyjce. Wziął głęboki wdech, żeby ukoić rozedrgane nerwy, i zapalił

silnik. Martwił się nie tylko o to, czy zdobędzie informacje, których potrzebował Jon. Większą niewiadomą było, czy uda mu się bezpiecznie wyjechać z parku. Moc potężnej maszyny przemówiła mu do wyobraźni i wpadł na pewien pomysł. Zamknął oczy i zapomniał o rzeczywistości. Nagle znalazł się na pokładzie statku kosmicznego, pilotując go samodzielnie przez niebezpieczną Czwartą Galaktykę. Była to świadomie podjęta podróż, bo mideral nadal działał. Mimo to gwiazdy, planety i asteroidy śmigają za oknami wśród tęczy światła. Nieznane kusiło go, ale nie tracił kontroli.

Otworzył oczy. Nie bądź głupi, skarcił się w myślach, oczywiście, że potrafisz prowadzić ten ziemski pojazd. Przecież to niemal obiekt muzealny.

Z nową wiarą w siebie wrzucił wsteczny bieg, wcisnął gaz, ruszył do tyłu i otarł się o drzewo. Nie zniechęcony obejrzał się za siebie przez jedno i drugie ramię, spojrział w lusterka i nikogo nie zobaczył. Zakręcił kierownicą, obrócił samochód i czmychnął z lasu. Cały czas wypatrywał, czy nic mu nie grozi, tak jak uczył go Peter. Błyszczącymi zielonymi oczami badał

cienie i przeszkody, sprawdzał, czy gdzieś nie kryją się napastnicy.

Ale w tej części parku było spokojnie. Z westchnieniem ulgi minął teren rekreacyjny i wjechał na autostradę prowadzącą do Syracuse.

Peter Howell przykucnął w betonowym rowie odpływowym na skraju parku z pistoletem gotowym do strzału. Na widok swojego samochodu, który popędził autostradą na pomoc, uśmiechnął się z podziwem. Ten nieznośny drań Marty znów stanął na wysokości zadania.

Potarł ręką po siwej brodzie i skupił się. Oddychał głęboko, wdychając zapach ziemi z wilgotnego rowu, lecz również woń drzew i niezliczonych zamieszkujących las stworzeń. Każdą cząsteczką ciała nasłuchiwał i obserwował. Zmysły miał czujne i wyostrzone. Słyszał i wyczuwał

ruchy napastników, którzy zbliżali się pieszo i furgonetką drogą przecinającą rów. Nadszedł czas, żeby im się wymknąć.

Odczepił z pasa dwa cylindryczne czarne pojemniki, ustawił je obok siebie na nasypie mostu i wyciągnął z kabury dziewięćmilimetrowego browninga. Z pistoletem w prawej ręce i karabinem w lewej uniósł się, żeby wyjrzeć na drogę.

Zbliżali się szerokim frontem. Furgonetka sunęła z tyłu. Jej reflektory oświetlały sylwetki beznadziejnie głupich napastników. Chciał, żeby podeszli bliżej. Gdy znajdowali się w odległości około piętnastu metrów, otworzył ogień. Przebiegał z miejsca w miejsce, żeby zasymulować obecność większej liczby osób.

Zauważyli, skąd dobiegają strzały i odpowiedzieli ogniem. Cofnął się, pozorując odwrot.

Zachęceni podbiegli bliżej w bardziej zwartym półkolu. Peter chwycił pojemniki i zaczął czołgać się w ich kierunku. Gdy zbliżyli się na odległość dziesięciu metrów, uniósł się i cisnął pierwszy pojemnik. Granat oszalał na bazie magnezu eksplodował z błyskiem i hukiem w samym środku półkola, o pół metra od nich.

Wszyscy padli na ziemię. Niektórzy krzyczeli i chwyтали się za głowę. Inni byli po prostu ogłuszeni i chwilowo wyeliminowani z dalszych działań. Peter tylko na to czekał.

Wstał i okrążył ich z lewej strony. Tysiące naboju wystrzelonych w bazie szkoleniowej specjalnych sił powietrznych podczas nauki precyzyjnego strzelania w biegu nie poszły na marne.

Dwoma szybkimi strzałami zniszczył światła furgonetki. Teraz rzucił drugi granat ogłuszający.

Napastnicy jeszcze nie otrząsnęli się po pierwszym ataku, więc granat tylko spotęgował szkody fizyczne i psychiczne. Po kilku minutach, gdy wciąż próbowali przyjść do siebie, Peter znajdował się sto metrów dalej i posuwał cicho, lecz szybko w stronę autostrady i Syracuse.

Marty zwolnił, zbliżając się do miasta. Szukał miejsca, gdzie mógłby ukryć samochód i siebie. Zaczynał dochodzić do wniosku, że tym razem przeliczył się. Gdzie można ukryć coś tak dużego i rzucającego się w oczy jak samochód turystyczny, zwłaszcza gdy ma on powybijane szyby i karoserię ze śladami po kulach? Za nim ciągnął się sznur samochodów. Ich trąbienie denerwowało. Rozglądał się niespokojnie w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia.

W końcu zjechał na pobocze, aby zablokowane samochody i ciężarówki minęły go z wściekłym rykiem. Był zmartwiony, ale znów ruszył w drogę i na poszukiwania. Miał przed sobą dziwny widok: po obu stronach autostrady rozłożyły się komisje samochodowe z jasno oświetlonymi salonami wystawowymi i parkingami. Było tam wszystko, od niedrogich dwudrzwiówek do luksusowych sedanów i samochodów sportowych. Parkingi ciągnęły się kilometrami. To podsunęło mu pewien pomysł. Wyciągał szyję, żeby lepiej widzieć. Może znajdzie...?

Tak! Stał się cud. Po prawej stronie zobaczył obszerny oświetlony plac. Sprzedawano tam nowe i używane samochody turystyczne i dokonywano napraw.

Pomyślał o dziecięcej zgadywance: gdzie można schować słonia?

Odpowiedź brzmi oczywiście: wśród innych słoni.

Chichocząc wesoło, skręcił w bramę i pojechał na sam koniec, gdzie znalazł wolne miejsce.

Zaparkował i wyłączył silnik. Było późno, więc właściciel będzie musiał wkrótce zamknąć. Przy odrobinie szczęścia nikt go tu nie znajdzie.

22.27, Syracuse, stan Nowy Jork

Emerytowany profesor Richard Johns mieszkał w odnowionym starym wiktoriańskim domu na South Crouse Avenue pod wzgórzem uniwersyteckim. W salonie urządzonej z pietyzmem przez żonę profesora meble pochodziły z tych samych czasów, co dom. Profesor przyglądał się człowiekowi, który zapukał do jego drzwi o tak późnej porze i chciał uzyskać informacje o Sophii Russell. W nieznanym było coś, co go niepokoiło. Intensywność. Tłumiona przemoc.

Żałował, że wpuścił go do środka.

— Nie wiem, co jeszcze mógłbym panu powiedzieć, panie...?

— Louden. Gregory Louden. Peter Howell z uśmiechem przypomniał profesorowi fałszywe nazwisko, które podał na początku rozmowy. — Doktor Russell miała o panu jak najlepsze zdanie — dodał. Ubrany był w kombinezon i trenz kupiony od zdziwionego kierowcy ciężarówki, który podwiózł go do Syracuse. Do domu profesora niedaleko uniwersytetu podjechał taksówką. Ale jak dotąd wizyta okazała się stratą czasu. Profesor był zdenerwowany i pamiętał tylko, że Sophia była świetną studentką i miała kilku bliskich przyjaciół, ale nie potrafił

podać ich nazwisk.

— Byłem tylko szefem katedry, w której studiowała. Uczęszczała na moje zajęcia. To wszystko. Słyszałem, że potem zmieniła specjalizację.

— U pana studiowała antropologię?

— Owszem. Była gorliwą studentką. Zdziwiło nas, że zmieniła kierunek.

— Dlaczego to zrobiła?

— Nie mam pojęcia. Johns ściągnął brwi. — Przypominam sobie, że na ostatnim roku zaliczyła absolutne minimum z antropologii. Zajęła się za to biologią. Za późno, żeby zmienić przedmiot kierunkowy, chyba że chciała studiować jeszcze przez rok lub dwa.

Peter przestał krążyć po salonie.

— Co wydarzyło się podczas studiów, że zainteresowała się biologią?

— Nie mam pojęcia.

Peter przypomniał sobie, że w raporcie z Instytutu Księcia Leopolda wspomniano o Boliwii i Peru.

— A studenckie wyprawy terenowe? Profesor zmarszczył brwi.

— Wyprawy terenowe? Skupił wzrok na Peterze, jak gdyby nagle coś sobie przypomniał. —

Oczywiście. Organizujemy letnie wyprawy dla studentów.

— Dokąd pojechała Sophia?

Zmarszczki na czole profesora pogłębiły się. Zamyślony odchylił się w fotelu. W końcu przypomniał sobie.

— Do Peru.

Bładoniebieskie oczy Petera rozblęły z podniecenia.

— Mówiła coś po powrocie?

Johns pokręcił głową.

— Nie przypominam sobie. Ale każdy uczestnik takiej wyprawy musi napisać sprawozdanie.

Wstał. — Powinienem mieć je gdzieś tutaj. Nie powiedział nic więcej i wyszedł z salonu.

Peterowi serce waliło z wrażenia. Wreszcie odnalazł coś, co może okazać się przełomem.

Zsunął się na krawędź fotela. Profesor mamrotał coś do siebie w drugim pokoju. Słysząc było otwieranie i zamykanie szuflad, w końcu triumfalne: "Aha!".

Peter wstał, Johns wrócił do salonu, kartkując spięty dokument.

— Jako szef katedry trzymam je wszystkie. To ciekawy zbiór prac, dzięki którym można zmotywować do nauki młodsze roczniki.

— Dziękuję panu. Te słowa nie wyrażały odpowiednio wdzięczności. Z trudem maskując niecierpliwość, Peter wziął sprawozdanie i usiadł w najbliższym fotelu. Zaczął czytać i... znalazł.

Zamrugnął, nie wierząc własnym oczom. Potem znów przeczytał, starając się zapamiętać każde słowo: "Natknęłam się na grupę tubylców nazywanych plemieniem "pijących małpią krew".

Badało ich kilkoro amerykańskich biologów. Wydaje się, że to fascynująca dziedzina nauki. W tropikach jest tyle chorób i pomaganie w ich leczeniu mogłoby zająć całe życie".

Żadnych nazwisk. Żadnych szczegółów dotyczących wirusa. Ale czy przypomniała sobie o Peru, gdy przekazano jej do zbadania nieznanego wirusa? Czy skontaktowała się z niewłaściwą osobą?

Peter wstał.

— Dziękuję panu, profesorze.

— Tego pan szukał?

— Możliwe — odparł. — Czy mogę to zatrzymać?

— Przykro mi bardzo. To sprawozdanie należy do mojego archiwum, wie pan, Peter przytaknął. Wszystko jedno; zapamiętał, co trzeba. Pożegnał się szybko i zniknął w ciemnej, zimnej nocy, która po raz pierwszy wydawała mu się przyjazna. Ruszył w górę, w stronę uniwersytetu, gdzie miał nadzieję znaleźć telefon.

Rozdział 37

00.06, środa, 22 października

Wadi al-Fayi, Irak

Na pustyni było zimno i cicho, a w pokrytej plandeką ciężarówce zapach oleju stawał się nieznośny. Przy tylnej klapie Jon i Randi czekali na kolejne strzały. Za nimi leżeli dwaj nieprzytomni policjanci, którzy wcześniej ich strzegli, na zewnątrz otoczyli ich jacyś nowi, nieznani napastnicy.

Spięty i czujny Smith przykucnął ze skonfiskowanym karabinem AK-47 w rękę. Pociągnął

Randi, żeby kucnęła obok niego. Ona też przygotowała swojego kałasznikowa do strzału.

Wyjrzeli na zewnątrz przez szpary między brezentową klapą a bokami ciężarówki.

— Widzę tylko błyski strzałów i biegające sylwetki — powiedział rozczarowanym głosem.

Twarc miał zlaną potem. Wydawało mu się, że czas biegnie potwornie wolno.

— Widzę to samo. Światła z drugiej ciężarówki są oślepiające.

— Cholera!

Opuścili klapę. Odgłosy strzelaniny nagle ustały. Zapadła złowroga cisza. Jedynym dźwiękiem był chrapliwy oddech dwóch irakijskich strażników, którzy leżeli nieprzytomni na podłodze w upiornym świetle reflektorów drugiej ciężarówki.

Jon spojrział na Randi, a ona na niego w tym samym momencie. Zmarszczył czoło. Randi pokręciła głową. W jej oczach zobaczył strach, ale zaraz odwróciła wzrok.

Poczuł ucisk w dołku. Tylko plandeka ciężarówki i kałasznikowy oddzielały ich od niebezpieczeństwa czającego się na zewnątrz.

— Otworzymy ogień — powiedział. — Nie mamy wyboru.

— Gdy tylko podejda odpowiednio blisko.

Z pustyni dobiegł ich rozkazujący głos.

— Wszyscy się poddali! Rzućcie broń i wyjdźcie z podniesionymi rękami!

Randi szybko przetłumaczyła to Jonowi.

— To chyba Gwardia Republikańska — dodała posepnie.

Smith kiwnął potakująco głową. Zmrużył oczy. Nie zamierzał tu siedzieć i czekać na egzekucję. Odchylił lekko brezent. Przez szczelinę zobaczył trzy czarne sylwetki z bronią wymierzoną w ciężarówkę, w której przycupnęli.

— Mogę zdjąć tę trójkę — powiedział. — To idealne cele. Problem tylko, kim są? I gdzie reszta?

Randi wyprostowała się i wyjrzała przez wąską szparę nad jego głową. Ciepło jej ciała ogrzało chłód wokół niego.

— I tak trzeba będzie ich zlikwidować — stwierdziła ponuro. — Informacje o wirusie muszą wydostać się z Iraku. Strzelaj w nogi. Czym jest kilka roztrzaskanych kości udowych w porównaniu z tym, co grozi światu?

Pokiwał poważnie głową i wysunął na zewnątrz czubek lufy AK-47. Dotknął palcem spustu, przygotował się do strzału i...

— Russell! — zadudnił nagle jakiś głos.

Jon i Randi zeszywnieli. Spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

— Jesteś tam, Russell? — zawołał ten sam głos po angielsku. Z silnym amerykańskim akcentem. — Jeśli unieszkodliwiłaś z tym gościem z ONZ strażników, krzyknij. W przeciwnym razie podziurawimy wam brzuszki jak rzeszoto!

Randi gorączkowo wciągnęła powietrze. Ścisnęła Jona za ramię.

— Dzięki Bogu, wiem, kto to jest. Podniosła głos. — Donoso? To ty, świński ryju?

— Nikt inny, panienko.

— Omal cię nie zabiliśmy, idioto!

— Nie mów, kim naprawdę jestem — szepnął nerwowo Jon. — Zostań przy dotychczasowym kamuflażu. Dał się nabrać, bo nie mówiłby o mnie w ten sposób. Jeśli armia dobierze się do mnie za samowolne oddalenie... Pozwolił, żeby słowa zawisły w powietrzu.

Wiedział, że Randi rozumie, czym to grozi: nie będzie już mógł ścigać ludzi, którzy zabili Sophie.

— Randi? Zrobisz to?

Zwróciła ku niemu gniewne, płonące spojrzenie.

— Jasne.

Musiał jej zaufać, a to go zaniepokoiło. Razem podnieśli brezent, który opadał na klapę. Jon rzucił w stronę Randi nerwowe spojrzenie, gdy do ciężarówki podszedł niski, smagły mężczyzna w pustynnym mundurze maskującym.

Miał twarz i postawę człowieka, która do treningu na siłowni podchodzi z religijną skrupulatnością. W rękę trzymał beretkę. Jego wzrok powędrował w głąb przyczepy i spoczął na rannych policjantach rozciągniętych na podłodze.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Dobra robota. Oszczędziliście nam trudu.

Smith i Randi zeskoczyli na ziemię. Randi uścisnęła dłoń Donosa.

— Jak zawsze miło cię spotkać, Donoso. To jest Mark Bonnet.

Jon odetchnął z ulgą.

Posłała mu uprzejmy uśmiech i odwróciła się do Donosa.

— Mark jest tutaj z misją medyczną. Mark, poznaj agenta Gabriela Donoso. Jak nas tutaj znalazłeś, Gabby?

— Gdy tylko was schwytali, zadzwoniła do nas doktor Mahuk. Potem jeden z informatorów zauważył ciężarówkę, która przejeżdżała przez Tygrys. Wodził wzrokiem po ciemnej pustyni. —

Bardzo bym chciał powspominać stare dzieje, ale ktoś mógł usłyszeć strzelaninę. Lepiej się stąd upłynnić. Spojrzał pytająco na Jona. — Misja medyczna ONZ, tak?

— CIA, jak przypuszczam — Jon uścisnął mu dłoń i uśmiechnął się. — Mój podziw dla CIA rośnie z każdą chwilą. Donoso pokiwał współczująco głową.

— Chyba najedliście się strachu.

Poprowadził ich dokoła ciężarówki. Jon zobaczył stary radziecki transporter BMP-1 z oznaczeniami Gwardii Republikańskiej na bokach. Koleiny wskazywały, gdzie się ustawił, żeby zablokować drogę. Teraz jego reflektory świeciły prosto na kryty brezentem policyjny wóz. Na ziemi siedzieli oparci o burtę samochodu policjanci z Bagdadu i ich oficer z krwawiącą raną na ramieniu, już bez pistoletu tariq. Pilnowali ich dwaj agenci CIA, którzy mogli uchodzić za Irakijczyków.

— Co chcieli z nami zrobić? — zapytał Smith.

— No. Wywieźć was na pustkowie, zabić i zakopać ciała tam, gdzie nie zapuszczają się nawet Beduini.

Jon uniósł brwi. Wymienił spojrzenia z Randi. Tak, jak myśleli.

— Te kałasznikowy będą mi potrzebne, panie Bonnet — powiedział Donoso. — Obydwa, panienko.

Oddali broń.

— Donoso to niepoprawny męski szowinista — wyjaśniła Randi. Nie jest aż tak głupi, ale po prostu nie zależy mu. Nazywa mnie panienką, dziewczątkiem lub cukiereczkiem czy innym upokarzającym mianem, jakich używano u niego na wsi.

Donoso uśmiechnął się szeroko.

— Ona nazywa mnie świńskim ryjem. Ma świetne nogi, ale mało wyobraźni. Idziemy. Do transportera.

— Mało wyobraźni? A kto ci uratował tyłek w Rijadzie? Gdzie twoja wdzięczność?

Uśmiechnął się niewinnie.

— Oj. Wyleciało mi z pamięci. Dorzucił kałasznikowy do stosu broni odebranej irakijskim policjantom. — Widzicie gdzieś tutaj swoje pukawki?

Jon szybko znalazł beretę, a Randi po chwili wyszperała uzi. Donoso kiwnął głową i wdrapał się do transportera. Smith i Randi ruszyli za nim.

Gdy wsiedli, Jon kiwnął głową w kierunku jeńców.

— Co zamierzacie zrobić z Irakijczykami?

— Nic — odparł Donoso. — Jeśli choćby wspomną, że samowolnie przyjechali tutaj policyjną ciężarówką, trafią w ekspresowym tempie na szubienice Saddama. Nie pisną słowa o tym, co się tutaj wydarzyło,

Smith zrozumiał.

— Czyli lepiej, żeby wrócili na posterunek z własną bronią. Donoso przytaknął.

— Właśnie.

Transporter zakręcił gaśnicami w suchej ziemi i ruszył z miejsca. Więźniowie patrzyli za nimi ponuro. Kierowca prowadził wielką maszynę środkiem wąskiej drogi, wiodącej w głąb surowej, skalistej pustyni. Księżyc chylił się ku zachodowi, a gwiazdy migotały jasno nad głowami. Daleko

przed nimi na horyzoncie odbijały się na tle ciemnego nieba suche faliste wzgórza.

Ale Jon oglądał się do tyłu. Irakijczycy podbiegli do sterty broni i do ciężarówki. Teraz, gdy znajdowali się poza zasięgiem ognia, mogli bezpiecznie uciekać. Kilka sekund później ich kryty plandeką pojazd zniknął, wzbijając grzybiaste kłęby kurzu. Popędzili z powrotem do Bagdadu z nadzieją, że utrzymają się przy życiu.

— Gdzie jedziemy? — chciała wiedzieć Randi.

— Do placówki wybudowanej przez Brytyjczyków podczas pierwszej wojny światowej —

odpowiedział Donoso bez wahania. — Teraz zostały już tylko ruiny. Parę walących się ścian i pustynne duchy. O świcie przyleci harrier i zabierze was do Turcji.

— Nie chcę, żebym tu została, świński ryju? — zapytała Randi. Donoso pokręcił głową z niesmakiem.

— Nie ma mowy, laleczko. Ta sprytna akcja skompromitowała ciebie i o mały włos nie naraziła na szwank całej operacji. Podniósł głos i rzucił gniewne spojrzenie na Jona. — Mam nadzieję, że było warto.

— Tak — zapewnił go Jon. — Ma pan rodzinę?

— Owszem, mam. A co?

— Przy odrobinie szczęścia prawdopodobnie właśnie uratował im pan życie. Sprawa jest bardzo poważna.

Agent spojrzął na Randi. Przytaknęła.

— No to się cieszę — powiedział. — Ale ty, dziecinko, będziesz musiała się sporo natłumaczyć w Langley.

— Na pewno harrier zabierze nas oboje? — zapytała Randi. Odpowiedź Donosa była rzeczowa.

— Czysty, bez pocisków, jeden pilot. Bez wygod, ale uda się.

Transporter nadal toczył się przez wietrzną pustynię, którą księżyc pokrył nieziemską srebrną poświatą. Wszyscy zachowywali czujność. Nie mówili o tym, lecz bacznie obserwowali okolice i wypatrywali kolejnych przeszkód.

Ruiny leżały po północnej stronie drogi. Smith przyjrzał im się z transportera. Pozostałości kamiennych murów wystawały z piasku pustyni jak stare, szare zęby. Pod niektórymi rosły suche krzewy, a kępa ciernistych tamaryszków wskazywała, że gdzieś pod słońcą powierzchnią tej ponurej okolicy płynęła woda.

Donoso kazał jednemu ze swoich ludzi stanąć na warcie w rosyjskim transporterze, reszta załogi

usadowiła się pod murami i owinęła w lekkie koce, żeby przeczekać noc. Suche powietrze pachniało alkalicznie, wszyscy byli znużeni. Niektórzy szybko zasnęli, ich ciche pochrapywania zagłuszał świszczący wiatr, który targał tamaryszkami i wzniecał miniaturowe wiry z pustynnego piasku. Randi i Jon nie spali.

Przyglądał jej się: leżała w cieniu starego muru. Z głową opartą o skałę obserwował, jak uczucia grają na jej twarzy jak na instrumencie muzycznym. Pamiętał, że Sophia też taka była. Co w sercu, to na twarzy. Sam nie był zbyt wylewny, więc spodobała mu się ta cecha. Randi była bardziej skryta niż Sophia, jako zawodowa agentka. Wyszkolono ją, żeby nie okazywała emocji przy pracy. Ale nie teraz. Widział, jak bardzo żałuje siostry i głęboko jej współczuł.

On też był smutny i czuł się samotny. Ze wzrokiem utkwionym w zimne odległe gwiazdy myślał o Sophii. Tęsknił za nią.

Randi zamknęła oczy. Oczyma wyobraźni widziała siostrę: delikatna twarz, nieco spiczasty podbródek i długie jedwabiste włosy związane w kucyk. Sophia uśmiechnęła się, a Randi z trudem opanowała łzy. Przepraszam cię. Tak mi przykro, że nie było mnie przy tobie.

Nagle z przeszłości wyłoniły się wspomnienia i Randi pobiegła ku nim ochoczo, z nadzieją, że przyniosą ukojenie. Najlepsze były śniadania. Poczowała znów kojący aromat kawy i usłyszała wesołą rozmowę rodziców, gdy razem z Sophia zbiegały do kuchni, żeby do nich dołączyć.

Wieczory to pikniki i malownicze zachody słońca nad Pacyfikiem. Był to tak piękny widok, że aż przeszywał duszę. Przypomniała sobie grę w klasy, lalki barbie, bez troskie żarty ojca i dobre ręce matki.

Dominującym elementem dzieciństwa było ich niesamowite podobieństwo. Ludzie zwracali na nie uwagę od najmłodszych lat, one zaś przyjmowały to za rzecz naturalną. Niezwykła kombinacja czynników genetycznych sprawiła, że obie były blondynkami, ale nie z niebieskimi, tylko z brązowymi oczami. Bardzo ciemnymi, prawie czarnymi. Ich matka uważała to za coś fascynującego. Żeby córki mogły podziwiać odpowiednik tego typu zestawienia kolorów w przyrodzie, posadziła przed ich domem w Santa Barbara w Kalifornii rudbekie. Każdego lata kwiaty o kremowych płatkach i ciemnych środkach eksplodowały zapachem i kolorami.

Wszystko to rozbudziło pierwsze zainteresowania Sophii nauką, a zapierające dech w piersiach widoki na Channel Islands i bezkresny Pacyfik rozbudziły w Randi ciekawość tego, co leży za horyzontem. Rodzice mieli dwa domy: jeden w Santa Barbara i drugi nad zatoką Chesapeake w Maryland. Ojciec, biolog, regularnie podróżował i od czasu do czasu zabierał ze sobą żonę i córki.

Kto wie, w którym momencie życie innych ludzi staje się ważne? Dla Randi zaczęło się od ciągłego odkrywania samej siebie, nie tylko podczas podróży od Wschodniego do Zachodniego Wybrzeża, lecz również na Morze Corteza, Morze Śródziemne i do innych odległych miejsc, które przykuwały pilną uwagę jej ojca. Wkrótce przyzwyczała się do badania nieznanego i poznawania obcych ludzi. Potem zaczęło jej to sprawiać przyjemność. W końcu nie mogła się bez tego obejść.

Zdolności językowe sprawiły, że trafiła na Uniwersytet Harvarda, gdzie skończyła iberystykę i wydział nauk politycznych, później na Uniwersytecie Columbia, gdzie studiowała stosunki międzynarodowe. Wszędzie uczyła się języków i w końcu biegle posługiwała się siedmioma.

Została zwerbowana do CIA jeszcze podczas studiów w Columbi. Była doskonałą kandydatką do pracy w Agencji: studiowała na najlepszych uniwersytetach i miała cygańskie zamiłowanie do włóczęgi. Okazało się jednak, że jako agentka nie wyróżnia się aktywnością i unika ciężkich zadań... do czasu, gdy w Somali umarł Mark.

Nietknięty przez kulę czy ostrze padł ofiarą niewidzialnego wirusa, który zgotował mu brzydki i bolesny koniec. Nawet teraz wspomnienie o tym wywoływało drapanie w gardle i dojmujący żal, że wszystko mogło potoczyć się inaczej.

Wtedy zaczęła dręczyć ją niesprawiedliwość życia. Gdzie tylko spojrzała, widziała głodnych, zagrożonych, okłamywanych i uciskanych ludzi. Doprowadzało ją to do wściekłości. Zamknęła się w sobie, praca stała się dla niej czymś najważniejszym. Po stracie Marka chciała tylko, by świat stał się lepszym i bezpieczniejszym miejscem.

Ale dla Sophii nie był wystarczająco bezpieczny.

Znów ogarnął ją żal. Wzięła oddech, żeby się uspokoić. Z trudem zebrała myśli. Miała teraz cel. Wiedziała, że nigdy nie polubi Smitha i prawdopodobnie nigdy mu nie zaufa, ale to już nie miało znaczenia.

Potrzebowała go.

Wstała cicho, owinięta kocem. Popatrzyła dookoła na śpiących mężczyzn. Z uzi w rękę podkradła się do miejsca, gdzie leżał Jon. Wyciągnęła się obok niego. Odwrócił się i spojrzał na nią.

— W porządku? — zapytał cicho. Zignorowała życzliwość w jego głosie.

— Wyjaśnijmy sobie jedno — szepnęła. — Rozsądek mówi mi, że nie chciałeś zabić Mike'a.

Na początku trudno odróżnić Lassę od malarii, zresztą i tak by go zabiła. Chyba że zdiagnozowałbyś ją na czas i posłał po pomoc.

— Randi!

— Ciii. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie ci wybaczyć. Byłeś zbyt pewny siebie.

Zarozumiały. Myślałeś, że pozjadałeś wszystkie rozumy.

— Zachowałem się arogancko, przyznaję. Ale to z niewiedzy. Gdy chodzi o rzadkie tropikalne choroby, większość wojskowych lekarzy jest ignorantami. Westchnął ciężko. —

Popełniłem błąd. Fatalny błąd. Ale nie dlatego, że mi nie zależało czy przez lekkomyślność. Po prostu nie znałem tej choroby. To nie jest wymówka, tylko wyjaśnienie. Nadal często myli się Lassę

z malarią. Próbowałem ci powiedzieć, że śmierć Mike'a była powodem, dla którego przenieśliem się do Instytutu. Chciałem zostać specjalistą od chorób zakaźnych. Tylko w ten sposób mogłem naprawić swój błąd — dopilnować, żeby nie popełnił go już żaden lekarz.

Strasznie mi przykro, że Mark umarł, i głęboko żałuję, że odegrałem w tym swoją rolę. Spojrzał na nią. — Śmierć jest piekielnie nieodwołalna, prawda?

Usłyszała ból w jego głosie i wiedziała, że znów myśli o Sophii. W głębi ducha chciała mu wybaczyć i zostawić to wszystko za sobą, ale nie mogła. Mimo skruchy i prób naprawienia szkody nadal był tym samym kowbojem galopującym nieuważnie przez życie w pogoni za przyjemnościami.

Ale teraz nie miało to znaczenia.

— Mam dla ciebie propozycję.

Skrzyżował ręce nad kocem i zmarszczył brwi.

— Dobrze. Słucham.

— Ja też chcę się dowiedzieć, kto zabił Sophię. Potrzebuję twojej wiedzy, aby wytropić ludzi, którzy mają związek z wirusem. Ty potrzebujesz moich kontaktów i innych umiejętności.

Razem stworzymy świetny zespół.

Przyjrzał się jej. Twarz i głos — identyczne jak u Sophii, lecz upór cechował tylko ją. Praca z nią była czymś pociągającym... i niebezpiecznym. Każde spojrzenie przypominało mu o Sophii i zalewało świeżą falą bólu. Wiedział, że musi żyć dalej, ale obecność Randi utrudniała to. Była tak bardzo podobna do siostry, że mogły być bliźniaczkami. Kochał Sophię. Nie kochał Randi. I praca z nią stałaby się źródłem nieskończonego cierpienia.

— Nie możesz mi pomóc — powiedział. — To nie jest dobry pomysł. Dziękuję, ale nie.

— Tu nie chodzi o mnie, czy o ciebie — odparła szorstko. — Tu chodzi o Sophię i śmiertelnie zagrożonych miliony ludzi.

— Właśnie że chodzi o mnie i o ciebie. Skoro nie potrafimy współpracować, niczego nie osiągniemy. Jeśli mam jakąś szansę odkrycia prawdy, to wyparuje ona pośród kłótni i niesnasek.

Ściszył głos. — Zrozum jedno — mruknął. — Nie obchodzi mnie ani trochę, co o mnie myślisz.

Zależy mi tylko na Sophii i powstrzymaniu jej zabójców. Możesz sobie przez resztę życia dźwigać ciężar nienawiści, jeśli chcesz. Ja nie mam na to czasu. Są ważniejsze rzeczy.

Zamierzam powstrzymać tę plagę i nie potrzebuję twojej pomocy.

Odjęło jej mowę. Milczała zdumiona, że jej niechęć do niego jest aż tak widoczna. Ogarnęło ją

poczucie winy, choć nie chciała się do tego przyznać.

— Mogłabym cię wydać. Nawet w tej chwili. Mogłabym pójść do Donosa, szepnąć mu słówko. Gdy będziemy lądować w Turcji, policja wojskowa już będzie na ciebie czekać. Nie patrz tak na mnie, Jon. Analizuję tylko różne możliwości. Mówisz, że mnie nie potrzebujesz, ale mylisz się. Prawda jest taka, że nie robię świństw ludziom, których szanuję, a szanuję cię za wszystko, co widziałam w Iraku. I nawet jeśli się nie dogadamy, nie powiem nic. Zawahała się.

— Sophia cię kochała. To jest ważne. Może nigdy nie pogodzę się ze śmiercią Mike'a, ale to nie znaczy, że nie możemy ze sobą współpracować. Na przykład, czy masz jakiś pomysł na to, co robić, gdy już sprowadzę nas do Stanów?

Smith podrapał się po brodzie. Nagle dostrzegł zalety współpracy z Randi.

— Możesz to zrobić?

— Jasne. To żaden problem. Dostanę transport, na przykład samolotem wojskowym, do kraju. Zabiorę cię. Ten twój kamuflaż pracownika ONZ jest idealny.

Kiwnął głową.

— Myślisz, że przed powrotem uda ci się dostać do komputera z modemem?

— To zależy. Na jak długo?

— Jeśli dopisze nam szczęście, na jakieś pół godziny. Muszę sprawdzić w Internecie pewną stronę, żeby dowiedzieć się, gdzie mam się spotkać z przyjaciółmi. Od mojego wyjazdu badają pewne sprawy. Zakładając oczywiście, że przeżyli.

— Oczywiście.

Patrzyła na niego, zadowolona i zaskoczona jego pragmatyzmem. Był o wiele bardziej skomplikowany, niż podejrzewała. I o wiele bardziej zdecydowany.

Miała niemal ochotę przeprosić go, lecz odezwał się pierwszy.

— Jesteś zmęczona. Widzę to po twojej twarzy. Prześpij się. Czeka nas jutro pracowity dzień.

Miał w żyłach lód zamiast krwi. Ale tego właśnie potrzebowała. Choć nie powiedział tego wprost, zgodził się na współpracę. Odwróciła się, zamknęła oczy i pomodliła cicho o to, żeby im się udało.

Rozdział 38

17.32, Waszyngton

Według ostatnich obliczeń na całym świecie zmarło już prawie milion osób. Niestety, u setek milionów ujawniły się symptomy ciężkiego przeziębienia, a to mogło być pierwszą fazą ataku śmiertelnego wirusa, który nie doczekał się jeszcze naukowej nazwy. Histeria niczym jeźdźcy Apokalipsy ogarnęła całą kulę ziemską. W Stanach Zjednoczonych szpitale przepełnione były chorymi i przerażonymi ludźmi. Nastroje społeczne odbiły się w ciągu ostatnich kilku dni na giełdzie, gdzie zanotowano szokujący spadek aż o pięćdziesiąt procent.

W prywatnym gabinecie prezydenta w Białym Domu na marmurowym kominku stał rząd laleczek kachina w pióropuszkach i skórzanych przepaskach. Wpatrzony w nie prezydent Castilla słyszał niemal ciężkie, rytmiczne stąpanie indiańskich stóp i znachorskie zaklęcia mające ocalić świat.

Schronił się w swoim gabinecie przed zgiełkiem zachodniego skrzydła Białego Domu.

Chciał dopracować ważne przemówienie, które miał wygłosić w przyszłym tygodniu w Chicago podczas uroczystej kolacji z liderami partyjnymi Środkowego Zachodu. Ale nie mógł pisać.

Wszystkie słowa wydawały mu się trywialne.

Czy któryś z nich dożyje do przyszłego tygodnia?

Sam odpowiedział sobie na pytanie: tylko jeśli jakiś cud powstrzyma szalejącą zarazę, która szerzy się na całym świecie. I nie pomogą tu — prawdziwe czy wymyślone — tańce i zaklęcia Indian.

Odsunął notes z zapisanymi w nim mało ważnymi słowami. Miał już wyjść z gabinetu, gdy usłyszał głośnie pukanie do zamkniętych drzwi.

Samuel Adams Castilla podniósł wzrok. Wstrzymał na chwilę oddech.

— Proszę.

Do gabinetu wszedł naczelny lekarz kraju Jesse Oxnard. Nie biegiem, ale bardzo szybkim krokiem. Za nim próbowała nadażyć sekretarz zdrowia Nancy Petrelli. Za nią wmaszerował szef sztabu w Białym Domu Charles Ouray. Orszak zamykał sekretarz stanu Norman Knight, który trzymał w ręku okulary do czytania w metalowych oprawkach, jakby właśnie zdjął je z nosa.

Sprawiał wrażenie poważnego i zaniepokojonego.

Silne szczęki Oxnarda aż drżały z radości.

— Niebezpieczeństwo zażegnane, panie prezydencie! Grube wąsy podnosiły się i opadały, w miarę jak mówił. — Surowica z Blancharda wyleczyła ochotników zarażonych wirusem.

Wszystkich, co do jednego!

— Szybko wracają do zdrowia, panie prezydencie. Wszyscy — oznajmiła triumfalnie Nancy Petrelli, ubrana w błękitną wełnianą garsonkę. Kiwnęła siwą głową. — To jakiś cud.

— Dzięki Bogu. Prezydent opadł na fotel, jakby zrobiło mu się słabo. — Jesteś tego absolutnie pewien, Jesse? Nancy?

— Tak, panie prezydencie — zapewniła Nancy Petrelli.

— Absolutnie — naczelny lekarz kraju był wniebowzięty.

— Jak wygląda sytuacja w Blanchardzie?

— Victor Tremont czeka na zamówienia.

— Czekają też na zezwolenie z Inspektoratu Żywności i Leków — dodał Charles Ouray. Szef sztabu przybrał złowieszczy ton. Założył ręce nad okrągłym brzuchem. — Dyrektor Cormano twierdzi, że zajmie im to co najmniej trzy miesiące.

— Trzy miesiące? Matko Boska. Prezydent sięgnął po telefon. — Zora, połącz mnie z Henrym Cormano z Inspektoratu Żywności i Leków. W tej chwili! Odłożył słuchawkę i wpatrywał się w nią z oburzeniem. — Czy wszyscy mamy zginąć przez własną głupotę?

Sekretarz stanu chrząknął.

— Inspektorat ma chronić nas przed błędami nadgorliwości i strachu, panie prezydencie. Po to został powołany.

Prezydent wykrzywił usta w grymasie irytacji.

— Trzeba wiedzieć, kiedy zagrożenie jest zbyt duże i realne, żeby myśleć o takiej ochronie, Norman. Kiedy przezorność jest bardziej niebezpieczna od ewentualnego błędu.

Zadzwonił telefon i prezydent Castilla chwycił słuchawkę.

— Cormano... — zaczął. Dyrektor Inspektoratu wyjaśniał mu swoje stanowisko, w gabinecie zapanowała nerwowa cisza. Prezydent niecierpliwie stukał butem. W końcu nie wytrzymał. —

Zaraz, Cormano, chwileczkę. Czy może stać się coś gorszego od tego, co się dzieje? Przecież rozpętało się prawdziwe piekło. Słuchał przez kolejną nerwową minutę. — Posłuchaj, Henry.

Posłuchaj uważnie. Reszta świata przyjmie surowicę, skoro wyleczyła ofiary wirusa. A tymczasem wy, naukowcy, nawet nie potraficie ustalić, skąd się wziął. Chcesz, żeby Amerykanie nadal umierali, gdy wy będziecie ich "chronić"? Tak, wiem, że to niesprawiedliwe, ale ludzie powiedzą wam dokładnie to samo i będą mieli rację. Wydajcie zezwolenie, Henry. Potem będziecie mogli napisać długi list, w którym wymienicie swoje zastrzeżenia i poskarżycie się, jakim jestem potworem.

Przerwał, żeby wysłuchać odpowiedzi. Po chwili zniecierpliwił się. —

Nie! — krzyknął. — Zróbcie to natychmiast!

Odłożył z trzaskiem słuchawkę i potoczył po wszystkich wściekłymi oczami. Jego wzrok zatrzymał się na naczelnym lekarzu kraju.

— Na kiedy mogą przygotować pierwszą dostawę? — warknął.

— Na jutro po południu — odparł Oxnard.

— Będą musieli opłacić swoje koszty — przypomniała Nancy Petrelli. — Oczekują też godziwego zysku z inwestycji. Już wyraziliśmy zgodę i myślę, że słusznie.

— Pieniądze zostaną przesłane jutro — zdecydował prezydent — gdy tylko pierwsza partia opuści laboratorium.

— A jeśli któryś kraj nie będzie mógł zapłacić? — zapytała Nancy.

— Kraje zaawansowane będą musiały pokryć koszty tych uboższych — oznajmił prezydent.

— To już zostało ustalone. Sekretarz stanu Knight nie krył oburzenia.

— Firma farmaceutyczna chce dostać pieniądze z góry?

— Myślałem, że działają pro publico bono — powiedział z dezaprobatą szef sztabu Ouray.

Naczelnym lekarz kraju pokręcił głową.

— Nikt nie produkuje szczepionek i surowic za darmo, Charley. Myślisz, że szczepionka przeciw grypie, którą co roku chcemy zaszczepić wszystkich, nic nie kosztuje?

— W Blanchardzie nie spodziewali się, że będą musieli wyprodukować tak dużo surowicy i to tak szybko. To był dla nich ogromny wysiłek finansowy, który grozi załamaniem — wyjaśniła Nancy Petrelli.

— No, nie wiem, panie prezydencie — powiedział Norman Knight. — Ja w każdym razie sceptycznie podchodzę do "cudów".

— Szczególnie, gdy trzeba za nie słono płacić — dodał Ouray z sarkazmem w głosie.

Prezydent walnął pięścią w stół, wstał i wyszedł na środek pokoju.

— Cholera jasna, Charlie, co się z tobą dzieje? Nie było cię tu przez parę ostatnich dni?

Wrócił do biurka i pochylił się nad nim, przodem do reszty. — Prawie milion osób nie żyje!

Każdego dnia mogą umrzeć kolejne miliony. A ty chcesz się wyklócać o dolary? O rzetelny zysk dla akcjonariuszy? W tym kraju? Głosimy przecież, że właśnie ta zasada ekonomiczna jest słuszna i sprawiedliwa, do cholery! Możemy w każdej chwili położyć kres potwornej pladze. W

jednej sekundzie. W porównaniu z tym, co każdego roku pochłania walka z grypą, rakiem, malarią i AIDS, mamy szansę załatwić sprawę szybko i tanio. — Obrócił się na pięcie i wyjrzał

przez okno, jakby rozciągał się z niego widok na całą planetę. — To cud, nie rozumiecie?

Czekali w milczeniu, uciszeni słusznym gniewem zwykle powściągliwego prezydenta.

Gdy znów się do nich odwrócił, zdążył już opanować złość. Jego głos brzmiał spokojnie i przekonująco.

— Nazwijcie to wolą boską, jeśli chcecie. Wy, cynicy i materialści, zawsze wątpicie w to, co nieznane, duchowe. A przecież więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się śniło waszym filozofom. Jeśli to dla was zbyt wydumane, to co powiecie na: "Nie zagłęda się darowanemu koniowi w zęby"?

— To niezupełnie będzie podarunek — powiedział Ouray.

— Na litość boską, daj spokój, Charley. To jest cud. Cieszymy się nim. Uczcijmy to. W

Adirondack, w siedzibie Blancharda, urządzimy wielką ceremonię przekazania pierwszej dostawy. Piękna sceneria. Ja też tam polecę. — Uśmiechnął się na myśl o korzyściach płynących z tego posunięcia. Wreszcie miał dobrą wiadomość i doskonale wiedział, jak ją wykorzystać.

Znów podniósł głos, tym razem z podniecenia i radości. — Właściwie za pośrednictwem telewizji w uroczystości mogliby uczestniczyć wszyscy najwięksi przywódcy świata. Przyznam Tremontowi Medal Wolności. Powstrzymamy tę epidemię i nagrodzimy tych, którzy nam pomogli. Uśmiechnął się chytrze. — Oczywiście nie zaszkodzi to naszym aspiracjom politycznym. W końcu musimy też myśleć o wyborach.

17.37, Lima, Peru

Wiceminister uśmiechał się do niego pośród złocień i marmurów swojego gabinetu.

— Każdy, kto wybiera się do Amazonii, musi uzyskać pozwolenie w waszym ministerstwie, czy tak?
— zapytał Anglik.

— Oczywiście — zgodził się wiceminister.

— Dotyczy to też wypraw naukowych?

— Przede wszystkim.

— Czy te dokumenty są ogólnie dostępne?

— Oczywiście. Mamy przecież demokrację.

— Jasne — zgodził się Anglik. — W takim razie chciałbym obejrzeć wszystkie zezwolenia przyznane dwanaście i trzynaście lat temu. Mam nadzieję, że nie będzie to kłopotliwe.

— Ależ skąd — odparł życzliwie wiceminister i znów się uśmiechnął. — Niestety, dokumenty z tych lat zostały zniszczone przez jeden z rządów.

— Zniszczone? Jak to się stało?— Nie wiem dokładnie. Wiceminister rozłożył ręce w przepaszającym geście. — Te dawne dzieje. Mało znaczące siły, dążące do przewrotu, spowodowały tu sporo zamieszania. Sendero Luminoso i inni. Rozumie pan.

— Nie bardzo. Anglik też się uśmiechał.

— Słucham?

— Nie przypominam sobie, żeby przypuszczono atak na ministerstwo spraw wewnętrznych.

— Może zniszczono je podczas kopiowania.

— Powinien zostać jakiś ślad. Wiceminister był niewzruszony.

— Jak powiedziałem, zrobił to inny rząd.

— Jeśli można, porozmawiam z ministrem.

— Oczywiście, ale niestety nie ma go w mieście.

— Naprawdę? To dziwne, bo jeszcze wczoraj wieczorem widziałem go na koncercie.

— Myli się pan. Jest na urlopie. O ile wiem, w Japonii.

— Więc pewnie to był ktoś inny.

— Minister jest człowiekiem o bardzo przeciętnej aparycji.

— No cóż, trudno. Anglik uśmiechnął się i skłonił lekko wiceministrowi, który uprzejmie odpowiedział tym samym. Anglik wyszedł.

Na szerokim bulwarze eleganckiego starego miasta, słynącego z kolonialnej architektury, Anglik Carter Letissier — zatrzymał taksówkę i podał adres domu w Miraflores. W taksówce uśmiech zniknął z jego twarzy. Oparł się wygodnie i zaklął.

Ten drań został przekupiony. I to niedawno. W przeciwnym razie nie miałby nic przeciwko temu, żeby Anglik marnował czas w archiwum i przekonał się, że dokumenty faktycznie zaginęły. Zapewne dokumentów jeszcze nie zniszczono. Letissier wiedział jednak, że znikną, zanim zdąży spotkać się z ministrem. Zerknął na zegarek. Ministerstwo kończyło pracę.

Zważywszy lenistwo i opieszałość peruwiańskich wiceministrów, dokumenty mogły zniknąć najwcześniej jutro rano.

Trzy godziny później przestronne biura Ministerstwa Spraw Wewnętrznych tonęły w mroku.

Uzbrojony w dziesięciomilimetrowego browninga Carter Letissier włamał się tam ubrany w czarny strój brytyjskiego komandosa służb antyterrorystycznych. Miał też na sobie czarne buty i przeciwodblaskowy kaptur z respiratorem. Kiedyś był kapitanem 22 pułku specjalnych służb powietrznych — chwalebny i pamiętny okres w jego życiu.

Podszedł prosto do szafki, która — jak dowiedział się wcześniej — zawierała dokumenty dotyczące Amazonii. Znalazł szufladę poświęconą zezwoleniom i wyciągnął dwie teczki z lat, o które mu chodziło. Wyprostował się i zapalił miniaturową latarkę. Otworzył teczki i sfotografował ich zawartość. Gdy skończył, odłożył wszystko na miejsce, zgasił światło i rozpląnął się w nocnych ciemnościach.

Letissier — obecnie znany importer sprzętu fotograficznego do Peru — wywołał film w prywatnej ciemni swojego domu w Miraflores. Po wysuszeniu negatywów zrobił duże zdjęcia.

Z uśmiechem na twarzy wybrał długi numer telefoniczny i czekał.

Tu Letissier. Mam nazwiska osób, które prowadziły wyprawy naukowe do wskazanych miejsc we wskazanych latach. Masz przy sobie kartkę i ołówek, Peter?

Rozdział 39

10.01, czwartek, 23 października

Syracuse, stan Nowy Jork

Stare przemysłowe miasto Syracuse położone jest w centralnej części stanu Nowy Jork, wśród wzgórz, teraz w jesiennych barwach. To kraina rozległych pól, szerokich rzek i niezależnie myślących ludzi, którzy lubią opuszczać bezpieczne miejskie domy i spędzać czas na łonie natury. Jonathan Smith wiedział o tym: w Syracuse mieszkali jego dziadkowie, odwiedzał ich co roku. Dziesięć lat temu przenieśli się na Florydę, gdzie mogli wędkować, uprawiać sporty wodne i hazard — do czasu, gdy babcia zmarła na atak serca, a trzy miesiące po niej dziadek. Zabiła go samotność.

Przez chwilę Jon znów odczuł brak Sophii. Z dojmującym uczuciem żalu wyjrzał przez okno wynajętego samochodu, Randi prowadziła. Zmieniła pas przed zjazdem z autostrady międzystanowej numer 81 na trasę numer 5 w kierunku wschodnim, gdzie mieli nadzieję odnaleźć Marty'ego. Stąd zobaczył znane mu budynki w centrum miasta — zabytkową ceglana Zbrojownię, Weighlock Building i Carrier Dome na terenie uniwersytetu. Cieszył się, że nadal tam stały. Potwierdzały, że w tym zmiennym świecie jest jakaś ciągłość.

Smith był zmęczony i spięty. Z pustyni w Iraku do Syracuse w stanie Nowy Jork podróż była długa. Zgodnie z obietnicą Gabriela Donoso odrzutowiec harrier zabrał ich do bazy lotniczej Incirlik w Turcji. Tam Randi zorganizowała im lot na pokładzie odrzutowca towarowego C-17.

W powietrzu wyprosiła od drugiego pilota laptopa i Jon otworzył w Internecie witrynę zespołu Aspergera o nazwie OASIS. W końcu znalazł wiadomość od Marty'ego: *Kaszlący Homerze Well,*

Zagadka: Kto to jest? Zaatakowany, rozdzielony, został w domu z pomyloną komedią Harta 5 dróg na wschód, ma zielony kolor jeziora lub cos w tym rodzaju, a jego listy zostały skradzione?

Edgar A.

— To jest ta wiadomość? — Randi przeczytała ją sceptycznie nad jego ramieniem. —

Przecież tu nawet nie ma twojego nazwiska. A już na pewno nie wymieniono żadnego

"Zellerbacha".

— "Kaszlący" odnosi się do mnie — wyjaśnił. — Pomyśl: krople na kaszel braci Smith. Mój wujek, który leczył Marty'ego, bardzo w nie wierzył. Marty i ja bez przerwy żartowaliśmy na ten temat. Czarny płyn o potwornym smaku. A co zostanie po skróceniu "Homerze Well"? —

Howell.

— Przewróciła oczami. — Niewiarygodne. Naprawdę trudno się domyślić.

Uśmiechnął się.

— Dlatego postanowiliśmy w ten sposób adresować do siebie wiadomości. Doszliśmy do wniosku, że korzystanie z poczty elektronicznej będzie zbyt przewidywalne, natomiast witryna zespołu

Aspergera dawała nam pewną swobodę, pod warunkiem, że wymyślimy jakiś prywatny szyfr. Dla Marty'ego i dla mnie, skoro wychowywaliśmy się razem, to żaden problem. Mamy mnóstwo wspólnych doświadczeń.

— Więc skomponował tę wiadomość ze wskazówek, które, jeśli dopisze wam szczęście, zrozumie tylko wasza trójka. Przykucnęła obok niego. Dobrze, zaciekawileś mnie. Tłumacz.

— Pierwsze dwie wskazówki są oczywiste, Marty i Peter zostali zaatakowani i musieli się rozdzielić. Ale Marty "został w domu". To znaczy, że ukrywa się gdzieś w samochodzie turystycznym i może nie wiedzieć, gdzie jest Peter.

— Jasne jak słońce — powiedziała z sarkazmem. — Więc gdzie jest pan Zellerbach i ten samochód?

— Oczywiście w Syracuse w stanie Nowy Jork.

Zmarszczyła brwi.

— Oświeć mnie.

— Pomyłona komedia Harta.

— Stąd wiesz, że jest w Syracuse?

— No jasne. Broadwayowski musical *Chłopcy z Syracuse* Rogersa i Harta był oparty na *Komedii omyłek* Szekspira. Więc Marty jest w samochodzie w Syracuse lub okolicy.

— A pięć dróg na wschód?

— Ach! Tu wykazał się szczególnym sprytem. Założę się, że znajdziemy go na autostradzie numer 5 po wschodniej stronie, jadąc w kierunku Syracuse.

Randi nie była tego taka pewna.

— Uwierzę, jak zobaczę.

Po wylądowaniu w bazie sił powietrznych Andrews pod Waszyngtonem złapali okazję do Dulles. Tam zjedli śniadanie, kupili nowe ubrania: zwykle ciemne spodnie, golfy i kurtki.

Wyrzucili wszystko, co nosili w Bagdadzie, i kupili bilet na samolot do Syracuse. Zachowywali czujność, bez przerwy pilnując, czy nie dzieje się nic podejrzanego. Przez całą podróż Jon próbował zmniejszyć napięcie między nimi. Otrząsnął się już z szoku wywołanego podobieństwem Randi do Sophii. Ale fakt pozostawał faktem: twarz, głos i ciało były tak podobne, że ból nie dawał mu spokoju. Był zdumiony, że ich współpraca układa się dobrze, i wdzięczny za pomoc w sprowadzeniu go do Stanów z Iraku.

Pół godziny temu wylądowali na międzynarodowym lotnisku Hancock na północny wschód od Syracuse. Tam Randi wynajęła samochód. Teraz jechali trasą numer 5 — autostrady numer 5

nie znaleźli — i rozglądali się w obie strony.

— Ma zielony kolor jeziora — przeczytał. — Coś przy tej szosie ma związek z kolorem zielonym i jeziorem. Coś, co się rzuca w oczy. Może to nazwa motelu.

— Jeśli dobrze zinterpretowałeś ten bełkot — oznajmiła Randi. — Możemy sto razy minąć coś takiego i nie zauważyć.

Pokręcił głową.

— Ja będę wiedział. Marty nie dałby nam takiej trudnej zagadki, skoro zaszliśmy już tak daleko. Jedź dalej.

Przejechali przez przedmieście Fayetteville i szukali miejsca, do którego mogłyby się odnosić wskazówki. Ogarniało ich zniechęcenie. Mijali restauracje, centra handlowe, salony, komisje samochodowe i wszelkie inne przejawy podmiejskiej działalności gospodarczej. Nic nie zwróciło ich uwagi.

Nagle Jon zamarł. Po chwili wyciągnął rękę.

— Patrz! Po lewej stronie, przed wjazdem do dużego parku, stał słup z napisem: "Stanowy Park Zielonych Jezior". — Mamy i "zielone", i jeziora" — powiedział gorączkowo. — Napisał też "lub coś w tym rodzaju", więc musiał się zaszyć gdzieś w okolicy.

Randi po mistrzowsku zmieniała pasy ruchu, żeby mogli utrzymać wolne tempo, a jednocześnie nie blokować ruchu.

— Wygląda na to, że jak do tej pory miałeś rację. Zobaczmy, czy ja będę mogła jakoś pomóc. Na koniec wspomina o liście, który został skradziony i podpisuje się "Edgar A".

Zabębniła palcami na kierownicy. — To mi się kojarzy ze Skradzionym listem Edgara Allana Poe. Pomogłam?

Zapatrzony w dal Jon próbował postawić się w położeniu Marty' ego. Marty był geniuszem komputerowym, lecz lubił również zagadki i gry słowne.

— O to chodzi! Gdzie najlepiej ukryć skradziony list? Między innymi listami, tam nikt go nie zauważy. Najlepiej ukryć coś na widoku.

— Czyli twój przyjaciel chce przez to powiedzieć, że ukrył się tam, gdzie go widać. Co to znaczy?

— Mówi nie o sobie, tylko o samochodzie. Zawróć, pojedziemy z powrotem tą samą drogą.

Poirytowana tą apodyktycznością Randi zjechała na pobocze, zawróciła i ruszyła drogą w stronę

Syracuse.

— Widziałeś coś wcześniej?

Niebieskie oczy Smitha błyszczały.

— Pamiętasz te komisje samochodowe przy drodze po drugiej stronie Fayetteville? Wśród nich był chyba komis z samochodami turystycznymi.

Randi zaczęła się śmiać.

— Co za dziwaczny pomysł, żeby tam się ukryć.

Jeszcze raz przejechali przez Fayetteville, rozglądając się dokładnie. Przedmieście wydawało się dłuższe, bardziej chaotyczne. Jon zaczął się niecierpliwić.

Wtedy zauważył coś.

— Jest. Po prawej stronie. Emocja ścisnęła mu gardło.

— Widzę — odparła.

Przed nimi rozciągał się olbrzymi parking zastawiony samochodami turystycznymi, nowymi i używanymi. Metaliczne pojazdy błyszczały w słońcu. Na terenie parkingu nie było sklepu, tylko drewniany kantor. Przed nim, w plastikowym fotelu czytał gazetę mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych i poliestrowym garniturze.

— Niewielki ruch. To może być dla nas szansa. Randi pojechała kawałek dalej, skręciła w boczną uliczkę i zaparkowała w cieniu dużego klonu o czerwonych liściach.

— Lepiej wejdźmy pieszo — zaproponował Jon.

Rozglądali się, sprawdzając, czy nie są obserwowani. Ruchliwą drogą pędziły dalej samochody i ciężarówki. Nikt nie czaił się w zaparkowanym wozie. Nieliczni piesi nie zwracali na nich uwagi. Nikt nie stał przy budynkach po drugiej stronie ulicy, udając, że na kogoś czeka.

Od mężczyzny, który siedział przed kantorem, dzieliło ich jakieś dwanaście metrów. Przewrócił stronę, pochłonięty lekturą.

Wszystko wyglądało normalnie.

Jon i Randi spojrzeli na siebie i spokojnie przeszli przez łańcuch ogradzający parking.

Prześlizgnęli się między dwoma samochodami i rozpoczęli poszukiwania. Mijali w szybkim tempie

kolejne rzędy przyczep kempingowych i samochodów turystycznych. Smith zaczął już przypuszczać, że Marty przyczaił się gdzie indziej. Doszli do ostatniego rzędu pojazdów, za którym rosły jawory, klony i dęby. Lekki wiatr szumiał wśród gałęzi i rozwiewał sterty opadłych kolorowych liści.

— Jezus Maria. Jon ze zdumienia westchnął głęboko. — Jest. Samochód turystyczny Petera stał na samym końcu długiego rzędu brudnych używanych pojazdów, które zostały chyba wystawione na sprzedaż bardzo dawno temu. Metalowe boki musiały być ostrzelane, a kilka szyb w oknach wybito.

— O rany. Teraz westchnęła Randi. — Co się stało?

Jon pokręcił głową. Był zmartwiony.

— Nie wygląda to dobrze.

W pobliżu nie było nikogo. Rozdzielili się i z bronią w ręku przeprowadzili rekonesans.

Nawet wśród drzew nie zauważyli nic podejrzanego, więc podeszli do zniszczonego pojazdu.

— Nie słyszę nikogo — szepnęła Randi.

— Może Marty śpi.

Wyciągnął rękę do drzwi, które otworzyły się natychmiast, jakby były zamykane w pośpiechu i zamek nie zatrzasnął się.

Odskoczyli z przygotowaną do strzału bronią. Drzwi kołysały się w niesamowitej ciszy. Nikt się nie zjawił. Po kolejnej minucie Jon wślizgnął się do salonu. Randi poszła w jego ślady.

Omiatała czarnymi oczami wnętrze samochodu i mierzyła dokoła z pistoletu.

— Marty? Peter? — nawoływał cicho Jon.

Nikt nie odpowiadał.

Jon przesunął się dalej w głąb zagraconego samochodu. Randi odwróciła się od niego i ruszyła w przeciwnym kierunku, w stronę kabiny kierowcy. Na kuchennym stole obok talerza stało opakowanie "Cheerios", ulubionych chrupek śniadaniowych Marty'ego. W talerzu, w resztkach skwaśniałego mleka, tkwiła łyżka. Ktoś korzystał z jednej pryczy. Ekran włączonego komputera pokazywał pasek zadań Pulpitu. Łazienka była pusta.

Wróciła Randi.

— W kabinie nikogo nie ma.

— Ani nigdzie — odparł Jon. — Ale Marty był tu jeszcze niedawno. Pokręcił głową. — Nie podoba mi się to. Nie lubi wychodzić i narażać się na kontakty z obcymi. Gdzie mógł się wybrać? I po co?

— A co z twoim drugim przyjacielem? Tym z MI6?

— Z Peterem? Ani śladu.

Zastanowili się nad ciszą i pustką panującą w samochodzie. Odnosili wrażenie, że wóz został porzucony. Jon był w kropce i martwił się o przyjaciół. Randi rozglądała się po wnętrzu pojazdu, patrzyła na ślady po kulach, które odłupały kawałki ścian i zniszczyły niektóre mapy.

Wygląda na to, że odbyła się tu niezła bitwa. Kiwnął głową.

— Peter chyba kazał opancerzyć wóz. Popatrz na ślady po kulach. Mogły się dostać do środka tylko przez okna.

— I strzelanina najwyraźniej nie miała miejsca tutaj. Inaczej zauważylibyśmy jakieś ślady na zewnątrz.

— Zgoda. Marty, Peter albo obydwaj uciekli samochodem i tutaj się ukryli.

— Rozejrzyjmy się dokładniej.

Jon usiadł przy komputerze, żeby zobaczyć, nad czym pracował Marty, ale Marty zastosował jakieś hasło, które zablokowało dostęp. Jon usiłował się przebić. Wpisał nazwę ulicy w Waszyngtonie, gdzie mieszkał Marty, datę urodzin, imiona rodziców, nazwę ulicy, przy której mieszkał w dzieciństwie, nazwę szkoły podstawowej. Były to tradycyjne źródła haseł i Marty nieraz korzystał z nich w przeszłości. Ale nie teraz.

Pokręcił głową ze zniecierpliwieniem. Nagle Randi krzyknęła. Odwrócił się szybko.

— Patrz! Teraz już wiemy, kto ma surowicę!

Siedziała na małej sofie. Jej długie nogi i jasne włosy przyciągały wzrok. Gdy się pochyliła, loki opadły jej na oczy. Pochłonięta lekturą, zagryzła różowe wargi. Nawet z drugiego końca salonu widział jej długie czarne rzęsy. Spodnie podciągnęły się nieco i nad tenisówkami ukazały się smukłe kostki. Pod obcisłym białym golfem wyraźnie odznaczały się krągłe piersi. Była piękna. Z zamyślonym wyrazem twarzy tak bardzo przypominała Sopię, że przez chwilę pożałował, że zgodził się z nią współpracować.

Wiedział jednak, że podjął słuszną decyzję. Musieli wykonać to zadanie razem.

— Co tam masz?

Randi przeglądała plik gazet na stoliku. Podniosła egzemplarz "New York Timesa", żeby mógł przeczytać nagłówek z pierwszej strony:

BLANCHARD PHARMACEUTICALS MA LEKARSTWO

Przemierzył salon w trzech długich susach.

— Znam tę nazwę. Co piszą w artykule?

Przeczytała go na głos.

"Wczoraj podczas specjalnej konferencji prasowej prezydent Castilla ogłosił, że po wstępnych testach z nową surowicą wyleczono dwanaście ofiar zarażonych nieznanym wirusem, który atakuje ludzi na całym świecie.

Surowicę opracowano pierwotnie do leczenia choroby wirusowej, na którą zapadały małpy w odległych rejonach Peru. Jest ona owocem dziesięcioletniego programu badawczego, który zajmuje się mało znanymi wirusami. Program jest realizowany w Blanchard Pharmaceuticals z inicjatywy jego dyrektora wykonawczego i prezesa, Victora Tremonta.

"Jesteśmy wdzięczni za zapobiegliwość, którą wykazał się doktor Tremont i firma Blanchard, podejmując badania nad nieznanymi wirusami", powiedział wczoraj prezydent. "Wierzimy, że dzięki wyprodukowanej przez nich surowicy będziemy mogli uratować życie wielu ludzi i powstrzymać potworną epidemię".

Zamówienia na surowicę złożyło już dwanaście państw. Oczekuje się, że pozostałe zrobią to wkrótce.

Prezydent Castilla zapowiedział, że dzisiaj o godzinie siedemnastej weźmie udział w uroczystości na cześć Tremonta i Blanchard Pharmaceuticals w siedzibie firmy w Long Lake.

Uroczystość będzie transmitowana przez telewizję na całym świecie..."

Jon i Randi spojrzeli po sobie.

— Według tego artykułu program trwał dziesięć lat — powiedział.

— Myślisz o "Pustynnej Burzy"?

— No pewnie — odparł ze złością. — Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy.

Może nie mieli nic wspólnego z zainfekowaniem dwunastu ofiar. Ten wirus występuje u małp i nie wiemy na pewno, czy chodzi o tego samego wirusa, nad którym pracowaliśmy, choć jak widać surowica działa też na niego. Ciekawe. Że też akurat teraz okazało się, że mają surowicę.

Co za zbieg okoliczności.

— Właśnie — zgodziła się Randi. — Tym bardziej, że w zeszłym roku wyleczono trzy osoby w Iraku, a w zeszłym tygodniu trzy osoby tutaj. A z tego, co wiemy, to inny wirus.

— Cholernie podejrzane.

Przyjrzała mu się. Siedział obok niej, wyprostowany, na małej sofie. W ciągu ostatniej doby, gdy uciekali z Iraku do Stanów Zjednoczonych, zdała sobie sprawę, że coraz bardziej go szanuje.

Próbowała sobie wmówić, że to było właśnie to — szacunek. Po raz pierwszy spędziła z nim więcej czasu i zaczęła rozumieć, dlaczego Sophia zainteresowała się nim.

— Ale ty nie wierzysz, że to inny wirus — powiedziała.

— Dla mnie, jako naukowca, jest to mało prawdopodobne. Do głowy przychodzi mi tylko jedno rozwiązanie: jakiś szaleniec z firmy wykradł wirusa i postanowił zabawić się w Boga. Albo w diabła, jeśli chcesz.

— Ale jak doszło do wybuchu epidemii? Co za niesamowity przypadek, że Blanchard ma surowicę, która leczy nie tylko małpy, ale najwidoczniej także ludzi. W jaki sposób ci z Blancharda czy ktokolwiek inny mogli przewidzieć, że epidemia wybuchnie teraz i że w ogóle wybuchnie? Skrzywił się.

— Też się nad tym zastanawiałem.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

Wtedy właśnie usłyszeli za samochodem cichy dźwięk. Trzask gałązki.

Randi podniosła uzi, Jon wyciągnął zza pasa wielką berettę. Nasłuchiwali uważnie z wnętrza zagraconego salonu. Nie trzasnęła już inna gałązka, słychać było tylko lekki szelest, jakby ktoś chodził po opadłych liściach.

To mógł być wiatr albo jakieś zwierzę, ale Randi nie wierzyła w to. Poczowała ucisk w dołku.

— Jeden — oszacowała. — Nie więcej. Jon zgodził się, ale z zastrzeżeniem.

— To może być zwiadowca, a reszta obserwuje z ukrycia. Może spomiędzy drzew, tam z tyłu.

— Albo chce nas zmylić i reszta czeka od przodu.

Szelest ucichł. Słychać było tylko odgłosy odległych samochodów na drodze.

— Pilnuj tyłu — rozkazał. — Ja zajmę się przodem.

Rozpłaszczył się przy ścianie pod oknem, przysunął do jego krawędzi i wyjrzał w stronę drzwi i rzędu używanych samochodów. Nie zauważył żadnego ruchu.

— Tutaj spokojnie — szepnęła Randi, obserwując drzewa, rosnące na skraju parkingu.

— Stąd za mało widać. Musimy wyjść.

Randi kiwnęła głową.

— Idź w lewo. Ja pójdę w prawo. Poprowadzę.

— Ja poprowadzę. Podniósł beretę i podszedł do otwartych na oścież drzwi.

Nagle za nimi rozległo się głośnie stuknięcie i tarcie drewna o drewno.

Obrócili się jak para pływaków synchronicznych podczas Olimpiady. W rękach trzymali gotową do strzału broń.

Ze zdumieniem patrzyli, jak unoszą się cztery kwadraty dużego geometrycznego wzoru na winylowej podłodze. Spod kwadratów wysunął się pistolet heckler&koch MP5.

Jon natychmiast rozpoznał broń.

— Peter! Z trudem rozluźnił palec na spuście. — Wszystko w porządku, Randi.

Zmarszczyła brwi i wpatrywała się podejrzliwie w poprzecinaną bruzdami, ogorzałą twarz Petera Howella, który wyłonił się do linii barków. Pod trenczem miał na sobie czarny strój komandosa.

Błyskawicznie wymierzył pistolet w Randi.

— Kto to?

— Randi Russel — odpowiedział Jon. Siostra Sophii. Z CIA. To długa historia.

— Opowiesz mi ją kiedy indziej — powiedział Peter. — Mają Marty'ego.

Rozdział 40

10.32, Lake Magua, stan Nowy Jork

Marty rozejrzał się po przesiąkniętym wilgocią piwnicznym pomieszczeniu bez okien, z jedną pryczą. Musiał wyteńczyć wzrok, żeby ją dostrzec. Siedział przywiązany cienkim nylonowym sznurkiem do krzesła, lecz jego umysł unosił się na świetlistej chmurze nad głowami zebranych — olśniewający, lekki i wszystkowiedzący. Uwielbiał to uczucie unoszenia się, jego ciężkie ciało wydawało się wtedy leciutkie jak piórko. Z jednej strony wiedział, że od przyjęcia ostatniej dawki mideralu minęło zbyt dużo czasu, a z drugiej wcale go to nie obchodziło.

Był poirytowany.

— Musicie zrozumieć, że w waszym wieku to jakaś kpina. Bawić się w policjantów i złodziei! Naprawdę! Zapewniam was, że mam dużo ważniejsze sprawy na głowie niż siedzenie tutaj i odpowiadanie na wasze głupie pytania. Żądam, żebyście natychmiast odwieźli mnie z powrotem do apteki!

Mówił stanowczym, lekko aroganckim głosem i stawiał dzielny opór swym prześladowcom w podziemiach wielkiej posiadłości Victora Tremonta. Ci ludzie go nie zastraszą! Za kogo go uważają? Do diaska, ci zbroje i tchórze wkrótce przekonają się, że zadzieranie z nim jest nierozsądne, a wręcz niebezpieczne!

— My się nie bawimy, panie Zellerbach — powiedział chłodnym tonem Nadal al-Hassan. —

Dowiemy się, gdzie jest Smith, i to zaraz.

— Nikt się nie dowie, gdzie jest Jon Smith! Ten świat jest za mały, żeby pomieścić jego lub mnie. Szybujemy w innym czasie, w innym kosmosie. Jesteśmy nieskończeni! Nieskończeni!

Marty spojrzał na dziobatego Araba. — Mój Boże, ale gęba. Koszmar. To wygląda na ospę.

Szczęście, że przeżyłeś. Wiesz, ile ofiar w ciągu stuleci pochłonęła ta potworna zaraza, jak długo trwało jej wyplenienie i jakim kosztem? Gdzieś zamrożono dwie lub trzy próbówki z zarazkami.

Dlaczego...

Marty rozprawiał dalej, zupełnie jakby siedział wygodnie w fotelu i dyskutował z grupą studentów o historii chorób wirusowych.

— A teraz wybucha epidemia jakiegoś nowego wirusa. Z tego, co mówi Jon, wynika, że jest śmiertelny. Jego zdaniem ktoś celowo zabija nim ludzi. Wyobrażacie sobie?

— Co jeszcze mówi Jon o tym wirusie? — zapytał życzliwie i z uśmiechem Victor Tremont.

— Bardzo dużo. Przecież jest specjalistą.

— Może wie, kto ma tego wirusa? I co planuje z nim zrobić?

— Zapewniam was, że... — Marty przerwał i zmrużył oczy. — Aha, chcecie mnie podejść!

Mnie! Głupcy, nie możecie przechytryć króla! Więcej nic nie powiem! Zacisnął mocno usta.

Wyprowadzony z równowagi al-Hassan wymamrotał pod nosem arabskie przekleństwo i uniósł pięść.

Victor Tremont wyciągnął rękę.

— Nie, jeszcze nie. Lekarstwo, które kupował w aptece, gdy znalazł go Maddux, to mideral.

Pochodzi z nowej rodziny środków pobudzających centralny układ nerwowy. Jego lekarz powiedział wam, że cierpi na chorobę podobną do autyzmu. Z jego zachowania wynika, że dawno nie brał leku. Zachowuje się irracjonalnie.

— Więc nie wyciągniemy z niego, gdzie jest Jonathan Smith? — zapytał al-Hassan.

— Przeciwnie. Podaj mu mideral. Za dwadzieścia minut uspokoi się i wróci do rzeczywistości. Jeśli choruje na zespół Aspergera, może być wyjątkowo inteligentny. Ale mideral spowolni go i trochę oszołomi. Jednocześnie zda sobie sprawę, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Wtedy powinniśmy wyciągnąć z niego to, co chcemy.

Marty zaśpiewał głośno. Prawie nie zauważył, że al-Hassan odwiązał mu jedną rękę i podał

pigułkę ze szklanką wody. Przerwał na chwilę śpiew, żeby połknąć lekarstwo. Al-Hassan znów go związał.

Popisy wokalne Marty'ego stopniowo ucichły, wyprężone dumnie ciało zwiotczało, a rozgorączkowane oczy uspokoiły się.

— Teraz już chyba możesz go przesłuchać — powiedział Tremont. Na twarz al-Hassana wrócił wilczy uśmiech. Podeszedł do Marty'ego.

— No, to zacznijmy jeszcze raz, panie Zellerbach, dobrze?

Marty podniósł wzrok na szczupłego, groźnego Araba. Skulił się w krześle. Ten człowiek stał za blisko i źle patrzyło mu z oczu. Inny mężczyzna — ten wysoki — stał przy nim z drugiej strony. Też był za blisko i też wyglądał groźnie.

Marty czuł ich zapach. Byli obcy. Z trudem oddychał. Chciał, żeby odeszli i zostawili go samego.

— Gdzie jest twój przyjaciel. Jon Smith?

Marty zadrzał.

— W... w Iraku.

— Dobrze. Był tam. Ale wrócił już do Ameryki. Gdzie możemy go znaleźć?

Marty zamrugał oczami, gdy zaciekawieni pochylili się nad nim. Przypomniał sobie wiadomość, którą zostawił Jonowi w Internecie. Może Jon już ją znalazł i jechał na parking samochodów turystycznych. Miał gorącą nadzieję, że tak się stało.

Zacisnął zęby. Nie! Nic im nie powie.

— Nie... nie wiem.

Arab wymamrotał kolejne przekleństwo i zamierzył się do ciosu. Marty krzyknął ze strachu.

Poczuł w głowie eksplozję bólu, zatopiła go wielka czarna fala.

— Cholera — Victor Tremont zacisnął pięści. — Stracił przytomność.

— Przecież nie uderzyłem go aż tak mocno — zaprotestował al-Hassan.

— Będziemy musieli poczekać, aż przyjdzie do siebie, i spróbować czegoś mniej drastycznego — powiedział zdenerwowany Tremont, rzucając wściekłe spojrzenie.

— Są różne sposoby.

— Ale z nim trzeba delikatnie, żeby go nie zabić. Widziałeś, jaki jest pobudliwy.

Patrzyli na cichego, związanego Marty'ego z pochyloną bezwładnie do przodu głową.

— Chyba że... — Victor Tremont uśmiechnął się lekko. W jego bystrym umyśle wyklarował się nowy pomysł. — Jest dużo lepszy sposób, żeby dowiedzieć się tego, co chcemy. Pokiwał głową. — Tak, dużo lepszy pomysł.

10.35, Syracuse, stan Nowy Jork

Peter Howell zrzucił trencz, spod którego wyłonił się czarny strój komandosa. Wodził

bladymi oczami po wnętrzu samochodu, zdemolowanym przez strzelaninę. Na jego pooranej bruzdami twarzy przelotnie odbił się smutek, ale szybko ustąpił trzeźwemu szacowaniu strat.

— Co się stało z Martym? Jon patrzył na Anglika z fotela kierowcy. — Wiesz, gdzie go schwytali?

— Zauważyli go w aptece kilka przecznic dalej. Było ich trzech. Żyłaste ciało Petera emanowało energią. — Dowodził ten niski grubas, którego widzieliśmy na drodze w Sierra Nevada.

— To znaczy, że schwytali go ci od wirusa? — zapytała Randi.

— Na to wygląda. Jon skrzywił się. — Biedny Marty.

— Wyda was? — chciała wiedzieć Randi.

— Gdyby tak się stało, byliby już tutaj — powiedział Peter.

— Ale zrobi to? — Nie jest zbyt silny — przyznał Smith. Opisał jej zespół Aspergera.

— Ten mały człowieczek jest o wiele twardszy i bardziej przebiegły, niż można się spodziewać powiedział Peter. — Znajdzie jakiś sposób, żeby im się oprzeć.

— Nie na długo. Niewiele osób to potrafi. Musimy go stamtąd wydostać.

— Wiemy, gdzie jest? — zapytała Randi. Peter pokręcił głową.

— Niestety, byłem pieszo i nie mogłem ruszyć w pościg za samochodem, którym go wywieźli.

— Skąd wiedziałeś, gdzie go szukać? — zapytał Jon.

— Jakąś godzinę temu zlokalizowałem samochód dzięki wiadomości, którą zostawił. Peter zrelacjonował im wszystko: zastał samochód pusty, tak jak oni, ale znalazł też sfalszowaną na brudno receptę wydrukowaną z komputera. — Marty musiał sfalszować receptę na mideral.

Pigułki skończyły mu się już wczoraj, gdy się rozdzieliliśmy. Opowiedział o strzelaninie w parku.

Jon pokręcił głową.

— Jak im się udało was znaleźć?

— Chyba śledzili nas cały czas od Detrick i czekali na najbardziej dogodny moment do ataku. Myślałem, że zgubiłem ich, ale wygląda na to, że są nieźli. Jego wzrok spoczął na dziurach po kulach, które poszarpały mapę państw Trzeciego Świata, i znów pokręcił głową. —

Postanowiłem zajrzeć do najbliższych aptek i gdy zbliżałem się do trzeciej, Marty właśnie wychodził. Wtedy ci trzej porwali go.

— Na samochodzie nie było żadnych znaków, które wskazywałyby, kim są?

— Niestety nie.

— Jedynym sposobem dotarcia do Marty'ego jest odnalezienie porywaczy.

— Racja. To poważna sprawa. Może mam pewne rozwiązanie, ale najpierw opowiedz mi szybko o Iraku.

Smith streścił najważniejsze wydarzenia z pobytu w Bagdadzie do ataku Gwardii Republikańskiej na sklep z oponami.

Zmarszczki na twarzy Anglika rozciągnęły się w szerokim uśmiechu skierowanym do Randi.

Popatrzył na nią z uznaniem.

— Widzę, że CIA szkoli coraz lepszych agentów. Co za wspaniała odmiana w porównaniu z tymi smutasami w trzyczęściowych garniturach. To tylko opinia starego zrzędy, proszę nie zwracać na mnie uwagi.

— Dziękuję. Pan też nie jest najgorszy. Randi uśmiechnęła się. — Postaram się powtórzyć pańską pochwałę dyrektorowi.

— Proszę bardzo. Peter zwrócił się do Jona. — Co się stało później? Jego twarz spoważniała, gdy Jon opowiadał mu, czego dowiedzieli się od doktor Mahuk w szpitalu pediatrycznym, jak zostali schwytani przez bagdadzką policję, przekupioną przez ludzi związanych ze sprawą wirusa.

— Więc w Iraku też wyleczono trzy osoby? — Anglik zaklął. — Piekielny eksperyment.

Dzięki pieniądзом i władzy można tam uzyskać wszystko. Twoja wyprawa potwierdziła, że początek problemu wirusa tkwi w "Pustynnej Burzy". Przerwał. — Moja kolej. Zdobyłem pewną informację, która rzuca sporo światła na tę paskudną sprawę. Chyba wiem, co zainteresowało Sopię w raporcie Giscoursa z Instytutu Księcia Leopolda.

Jon wstrzymał oddech. Był podniecony.

— Co to było?

— Peru. Cały czas chodziło o Peru. Peter opowiedział o wyprawie Sopi przed dwunastu lat, gdy studiowała jeszcze antropologię w Syracuse. Dowiedziawszy się o tym, poprosił byłego współpracownika z Limy, żeby zdobył listę naukowców, którzy w tym czasie zapuścili się w głąb peruwiańskiej Amazonii.

— Masz tę listę? — zapytał Smith.

Na brązowej, ogorzalej twarzy Petera pojawił się uśmiech zadowolenia.

— A czy lis znajduje drogę do kurnika? Za mną, dzieci.

Wszedł do kuchni i wydobył spod czarnego stroju komandosa dwie złożone kartki. Rozłożył je i zapalił górne światło. Cała trójka pochyliła się, żeby przeczytać nazwiska.

— W tym samym roku było ich dużo więcej, ale nie w tym samym czasie, co Sophia — wyjaśnił Peter.

Jon i Randi zwrócili uwagę na czternaste nazwisko.

— Jest! — powiedziała Randi. — Victor Tremont.

Smith pokiwał posępnie głową.

— Dyrektor wykonawczy i prezes Blanchard Pharmaceuticals. Dzisiaj prezydent zamierza wręczyć mu medal za ocalenie świata. Wielki dobroczyńca. Tyle lat prowadził prace nad surowicą! Teraz chce ją sprzedać tylko po kosztach produkcji.

— Cholera jasna. Peter pokręcił przecząco głową. — Uwierzę w to, jeśli wy uwierzycie, że Brytyjczycy zdobywali kolonie, żeby nieść kulturę tubylcom.

— Wiedzieliśmy, że firma Blanchard opracowała surowicę — powiedziała Randi, przypominając sobie artykuł z gazety. — Teraz wygląda na to, że Tremont sam sprowadził

wirusa z Peru.

Jon przytaknął.

— A że jest naukowcem, mógł ocenić szansę wyprodukowania surowicy przeciw tak niebezpiecznemu wirusowi i zaraził nim jakoś kilka osób podczas "Pustynnej Burzy". Musiał

bardzo dobrze wiedzieć, że wirus nie jest wysoce zaraźliwy, że rozwija się powoli i przez całe lata drzemie w organizmie jak HIV.

— Dobry Boże szepnął Peter. — Czyli dziesięć lat temu w Iraku przeprowadził w tajemnicy testy na ludziach, choć nie miał jeszcze gwarancji, że opracuje surowicę? To potwór!

— Może to jeszcze nie wszystko. Co za zbieg okoliczności, że epidemia wybuchła właśnie teraz. Niebieskie oczy Jona były lodowate. — Udało mu się jakoś wywołać epidemię, żeby wypuścić lekarstwo i zrobić na nim majątek.

W samochodzie zapadła pełna zgrozy cisza. Smith powiedział to, czego nie chcieli usłyszeć.

Ale była to prawda, której znaczenie wisiało w powietrzu jak ostry topór przed spadnięciem na szyję.

— Ale jak? — zapytała w końcu Randi.

— Nie wiem — przyznał Jon. — Musimy dostać się do dokumentów Blancharda. Cholera, szkoda, że nie ma z nami Marty'ego.

— Może ja będę go mógł zastąpić — powiedział Peter. — Komputer nie jest mi obcy, a poza tym przez kilka dni obserwowałem, jak korzysta ze swoich specjalnych programów.

— Już próbowałem, ale Marty korzystał z hasła.

Peter uśmiechnął się ponuro.

— O tym też wiem. Jest typowe dla jego dziwaczego poczucia humoru. Brzmi: "Kot Stanley".

10.58, Blanchard Pharmaceuticals Inc.,

Long Lake, stan Nowy Jork

W głębi swojej z gruntu uczciwej duszy Mercer Haldane podejrzewał to, do czego Victor Tremont nigdy się nie przyznał: w jakiś sposób wywołał epidemię, która teraz siała spustoszenie na całym świecie. Wyjrzał przez okno gabinetu na scenę i gigantyczny ekran telewizyjny, które ustawiano na popołudniową ceremonię, i doszedł do wniosku, że nie może dłużej milczeć.

Uroczystość przekazania pierwszej partii surowicy miał uświetnić sam prezydent, zupełnie jakby Blanchard i Victor byli Matką Teresą, Gandhim i Einsteinem w jednej osobie.

Od kilku dni toczył ze sobą moralną bitwę.

Kiedyś był człowiekiem uczciwym i szczyił się swoją prawością. Ale gdy tworzył z Blancharda farmaceutycznego giganta światowej klasy, gdzieś po drodze się zgubił. Teraz zdał

sobie z tego sprawę. W rezultacie Tremont miał niedługo otrzymać Medal Wolności za najpodlejszy czyn, jaki widział świat.

Mercer Haldane nie mógł tego znieść. Nieważne, co się z nim stanie... prawdopodobnie będzie musiał wziąć na siebie część winy... ale niech tam. Musi powstrzymać tę farsę. Są rzeczy ważniejsze od pieniędzy i sukcesu.

Sięgnął po telefon.

— Pani Pendragon? Proszę mnie połączyć z biurem naczelnego lekarza kraju w Waszyngtonie. Chyba ma pani jego numer.

— Oczywiście, proszę pana. Już łączę.

Mercer Haldane oparł się w swoim dyrektorskim fotelu i czekał. Poczł na szyi chłodne skórzane obicie i zakrył oczy dłońmi. Ogarnęła go kolejna fala zwątpienia. Zrozumiał, że może trafić do więzienia.

Straci rodzinę, pozycję, majątek. Skrzywił się.

Z drugiej strony, jeśli nic nie powie, Victor zarobi dla nich wszystkich ogromne pieniądze.

Wiedział o tym.

Pokręcił siwą głową. Zachowuje się jak głupiec. Gorzej, jak stary sentymentalny głupiec.

Co go obchodzą miliony anonimowych ludzi? Umrą tak czy inaczej. A świat jest już tak urządzony, że w większości nie będzie to śmierć naturalna — zabiją ich choroby, głód, wojny, rewolucje, trzęsienia ziemi, tajfuny, wypadki albo zazdrośni kochankowie. Zresztą i tak ludzi jest za dużo, szczególnie w Trzecim Świecie, i z każdym rokiem przeludnienie rośnie w postępie geometrycznym.

Natura i tak zareaguje — jak zawsze — gnębiąc ludzi klęskami głodu, zarazami, wojnami i kosmicznymi katastrofami.

Jakie to ma znaczenie, że razem z Victorem wzbogaci się na śmierci milionów?

Westchnął — ale nie było mu to obojętne.

Każdy powinien być panem swojego losu. Przypomniał sobie, co mówili Prusacy: człowiek staje się wartościowy dopiero wtedy, gdy jest gotów umrzeć za swoje zasady.

Mercera Haldane'a wychowano na zasadach. Kiedyś uważał je za świętość. Mógł jeszcze ocalić duszę, ale był na to tylko jeden sposób — powstrzymać Victora Tremonta.

Haldane nadal bił się z myślami. Zamknął oczy, wspierał szyję na skórzanym oparciu. Coraz bardziej czuł się słaby i nieszczęśliwy. Ale w końcu podjął decyzję. Powie naczelnemu lekarzowi wszystko. Musi. Zapłaci każdą cenę za świadomość, że postąpił słusznie.

Na dźwięk otwieranych drzwi otworzył oczy i obrócił się w fotelu.

— Nie może się pani połączyć, pani Pendragon?

— Tracimy głowę, Mercer?

W gabinecie stał Victor Tremont w drogim garniturze i wypolerowanych butach. Gęste, stalowosiwe włosy połyskiwały w świetle, a twarzy o orlim nosie i nieco wyniosłym wyrazie spoglądały groźnie przenikliwe oczy. Emanowała z niego pewność siebie, która pozwalała mu panować nad

podwładnymi ze swobodą wielkiego dyrygenta światowej sławy orkiestry.

Haldane podniósł stare oczy na byłego protegowanego.

— Odnalazłem swoje sumienie, Victorze. I dla ciebie nie jest jeszcze za późno. Pozwól mi porozmawiać z naczelnym lekarzem kraju.

Tremont roześmiał się.

— To chyba Szekspir napisał, że sumienie robi z nas tchórzy. Ale mylił się. Robi z nas ofiary. Frajerów. A ja nie mam zamiaru być ani jednym, ani drugim. Przerwał i spojrzał na Haldane'a ze złością. — Człowiek jest albo wilkiem, albo sarną, a ja nie chcę być pożarty.

Haldane podniósł dłonie.

— Na litość boską, Victorze, mamy pomagać ludziom. Naszym celem jest przynoszenie ulgi w cierpieniu. Nie możemy działać na ich szkodę. Powinniśmy zajmować się leczeniem.

— Do diabła z tym — odparł surowo Tremont. — Powinniśmy zajmować się robieniem pieniędzy. Zyskami. Nic innego się nie liczy.

Haldane nie mógł tego dłużej wytrzymać.

— Jesteś egoistą i do tego wariatem! — krzyknął. — Potworem! Powiem Oxnardowi o wszystkim.. Zrobię...

— Nic nie zrobisz — przerwał mu Tremont. Ta rozmowa nigdy nie dojdzie do skutku. Pani Pendragon wie, kto tu rządzi. Wsunął rękę pod marynarkę i wyciągnął ciemnego dziewięciomilimetrowego glocka. — Al-Hassan!

Stare serce Mercera Haldane'a waliło jak młotem. Zlał go nagle pot. Do gabinetu wszedł wysoki, dziobaty Arab. On też trzymał w ręku duży pistolet.

Sparaliżowany strachem Mercer patrzył na jednego i drugiego, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

Rozdział 41

11.02, Lake Magua, stan Nowy Jork

Przestronny salon w rezydencji Victora Tremonta przesycony był świątecznym zapachem sosnowych igieł. Za oknami krystalicznie niebieskie jezioro mieniło się pośród gęstego zielonego lasu. Przy gigantycznym kominku, w którym strzelały wysoko płomienie, w klubowym, obitym skórą fotelu siedział Bill Griffin. Sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego. Jego cienkie, brązowe włosy jak zwykle opadały niesfornie na kołnierz marynarki. Założył nogę na nogę i zapalił papierosa.

Uśmiechnął się leniwie do Victora Tremonta i Nadala al-Hassana.

— Problem polega na tym — wyjaśnił spokojnie — że źle się zrozumieliśmy. Odkąd daliście mi rozkaz zlikwidowania Jona Smitha, obserwowałem trzy miejsca jednocześnie dom w Thurmont, mieszkanie doktor Russell we Frederick i Fort Detrick. Nic dziwnego, że mieliście problemy, żeby się ze mną skontaktować.

Kłamał. Ukrywał się w mieszkaniu w Greenwich Village, które należało do starej przyjaciółki z Nowego Jorku. Ale gdy zobaczył w wiadomościach, że prezydent zgodził się na współpracę z Blanchard Pharmaceuticals i że wpływają zamówienia na surowicę, postanowił, że musi wrócić i upomnieć się o należną mu część zysków.

Sprawa Smitha pozostała nierozwiązana.

— Chciałem sprzątnąć Smitha, gdy wyjeżdżał z Detrick — wyjaśnił — ale nie miałem dobrej okazji. Potem już się nie pokazał w żadnym z tych miejsc. Jakby rozpułnął się w powietrzu.

Może dał sobie spokój albo wziął urlop. A może wyjechał gdzieś, gdzie mógł rozpaczać po stracie swojej kobiety. Miał nadzieję, że to prawda, ale znał Jona na tyle, żeby w to wątpić.

Victor Tremont stał przy panoramicznym oknie i patrzył na drzewa. Słońce rozsiewało po tafli prawie niewidzialnego jeziora eksplozje światła. W końcu odezwał się zamyślonym głosem.

— Nie, nie wyjechał, żeby rozpaczać.

Chuda postać Nadal al-Hassana przycupnęła na oparciu wysokiej sofy, stojącej przed kominkiem.

— Zresztą, to już nie ma żadnego znaczenia. Wiemy, gdzie jest, i wkrótce przestanie być dla nas problemem.

Kolejny uśmiech wypłynął na twarz Griffina.

— Co za ulga. I dodał jakby od niechcienia: — Maddux się tym zajął? Tremont odszedł od okna i pochylił się nad pudełkiem z cygarami. Poczęstował nimi Griffina, ale on podniósł

papierosa i pokręcił głową. Nadal al-Hassan jako gorliwy muzułmanin nie palił.

Tremont zapalał cygaro i jednocześnie mówił zza zasłony aromatycznego dymu.

— Maddux złapał jednego z przyjaciół Smitha. Komputerowego świra, który nazywa się Martin Zellerbach. Wkrótce skłonimy Zellerbacha, żeby nam wyjawiał, gdzie w Syracuse ukrywa się Smith.

— Smith jest w Syracuse? — Griffin sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Spojrzał oskarżycielsko na al-Hassana. — Jest aż tak blisko? Jak mu się to do diabła udało?

Al-Hassan odpowiedział łagodnym głosem.

Badał przeszłość doktor Russell. Studiowała w Syracuse.

— Z tego samego uniwersytetu pojechała na wyprawę do Peru?

— Niestety tak.

— No to musi wiedzieć o nas!

— Nie sędzę. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Griffin podniósł głos. — Ale dowie się, do cholery. Ja go powstrzymam. Tym razem... Przerwał mu Tremont.

— Nie musisz się o niego martwić. Mam dla ciebie inne zadanie. Jack McGraw ma urwanie głowy z przygotowaniem ochrony dla prezydenta. Popołudniowa ceremonia jest dla nas oczywiście wielkim zaszczytem, ale zawiadomiono nas w ostatniej chwili. Wszyscy się dwoją i troją. A jeszcze trzeba się zająć przedstawicielami mediów. Nie chcemy żadnych nieproszonych gości. Jako były agent FBI masz doświadczenie, więc powinieneś zająć się współpracą z tajnymi służbami.

Griffin był zmieszany.

— Oczywiście. Pan jest tutaj szefem. Ale jeśli Smith nadal nie daje wam spokoju...

— To nie będzie konieczne. Głos al-Hassana był stanowczy. — Już się tym zajęliśmy.

— Tak? W jaki sposób? Griffin z powątpiewaniem patrzył na Araba, lecz w głębi serca martwił się.

— Generał Caspar podrzucił Smithowi agentkę CIA. To siostra doktor Russell, która go szczerze nienawidzi za jakąś dawną krzywdę. Powiedziano jej, że Smith stanowi poważne zagrożenie dla kraju. Zlikwiduje go bez skrupułów. Al-Hassan przyjrzał się Griffmowi. — To zadanie możemy uważać za wykonane. Dla nas Smith już nie żyje.

Wyraz twarzy Griffina nie zmienił się. Zaciągnął się papierosem i kiwnął głową, udając zadowolenie z domieszką sceptycyzmu. Konsekwentnie zachowywał tę samą postawę od momentu, gdy odkrył, że przyjacielowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Podejrzewali go, odkąd próbował ostrzec Jona. Fakt, że nie udało mu się go zabić, jeszcze bardziej pogłębił ich nieufność. Schwytali Zellerbacha, którego pamiętał ze szkoły jako geniusza, ale osobę słabą i bojaźliwą. Prędzej czy później Marty złamie się i zdradzi Jona. No i wysłali siostrę Sophii Russell, Randi. Kiepska sprawa. Jon mówił mu

o jej nienawiści. Nie cofnie się przed zabójstwem. Każdy agent CIA musi to umieć.

Tak więc dzięki schwytaniu Marty'ego i wysłaniu Randi Russell Tremont i al-Hassan rozwiązali swoje problemy. Albo tak tylko im się wydawało.

Griffin — krępy mężczyzna o nijakiej twarzy — wstał.

— No, to wiem już, co mam robić. Od razu się tym zajmę.

— Świetnie — Tremont skinął mu głową na pożegnanie. — Weź cherokee. My z al-Hassanem pojedziemy land-roverem, gdy wszystko tu załatwimy. Dziękuję, że wpadłeś, Bill.

Martwiliśmy się o ciebie. Miło było się z tobą spotkać.

Lecz gdy Griffin wychodził, twarz Tremonta zmieniła wyraz. Patrzył zimnymi oczami, jak zdrajca znika za drzwiami. Bili Griffin zjechał z drogi i zaparkował jeepa między gęsto rosnącymi bukami i brzoźami. Gdy zbierał gałęzie, żeby zamaskować wóz, w głowie kłębiły mu się sprzeczne myśli. Musi jakoś dostać się do Jona i powiedzieć mu o Randi i o Martym. A le jednocześnie nie chciał stracić tego, na co pracował przez dwa lata od poznania Tremonta i przyłączenia się do programu Hades.

Jak wszyscy złodzieje, którzy rządzą światem, miał prawo do swojej porcji dobrobytu. Tym bardziej, że przez tyle lat służył oszustom i kłamcom, którzy kierowali FBI i krajem.

Ale nie dopuści, by zabili Jona. Tak daleko się nie posunie.

Przyczał się między drzewami i obserwował wiejską posiadłość otoczoną budynkami gospodarczymi. Brzęczały owady. Powietrze pachniało wonią nagrzanego słońcem ściółki leśnej.

Serce biło mu w szalonym tempie.

Po piętnastu minutach usłyszał land-rovera. Limuzyna minęła jego kryjówkę i znikła za drzewami na południowym wschodzie. Griffin odetchnął z ulgą. Kilka kilometrów dalej Tremont i al-Hassan dotrą do szosy i pojedą do Long Lake przygotować się do ceremonii. Nie miał wiele czasu.

Czuł, że musi się spieszyć. Wrócił do domu Tremonta, zaparkował za skrzydłem dla personelu i pobiegł do ogrodzonej siatką zagrody na skraju lasu, niewidocznej z rezydencji.

Otworzył furtkę i cicho zagwizdał. Z drewnianej budy wyłonił się bezszelestnie duży doberman.

Jego brązowa sierść lśniła w górskim słońcu. Skierował spiczaste uszy do przodu i nie spuszczał inteligentnych oczu z Griffina.

Griffin pogłaskał psa za uszami.

— Gotowy? — powiedział cicho. — Czas do pracy.

Wyszedł z zagrody, a wielki pies podreptał za nim. Zamknął furtkę, ruszyli szybko w stronę rezydencji. Bill rozglądał się na wszystkie strony. Trzej ochroniarze na zewnątrz budynku nie powinni stanowić problemu, zwłaszcza że go znali. Wolał jednak nie ryzykować. Przy bocznych drzwiach rezydencji odetchnął głęboko i jeszcze raz rozejrzał się. Otworzył drzwi i wszedł z dobermanem do środka. W domu było cicho jak w wielkiej drewnianej trumnie. Prawie wszyscy

— poza kilkoma pracownikami laboratorium na piętrze — wyjechali na uroczystość w siedzibie Blancharda w Long Lake. Ale Tremont nie mógł ukryć więźnia na piętrze laboratoryjnym.

Pozostała część domu powinna być pusta, nie licząc Marty'ego i być może uzbrojonego strażnika. Pochylił się nad dobermanem.

— Przeszukaj teren, piesku.

Doberman zniknął w korytarzu, cichy jak mgła opadająca na wrzosowiska. Griffin czekał na niego i słuchał pogaduszek dwóch ochroniarzy, którzy zatrzymali się pod oknem.

Po dwóch minutach doberman wrócił. Zaczął krążyć wokół Billa i koniecznie chciał go gdzieś zaprowadzić. Griffin ruszył za zwierzęciem. Za drzwiami po obu stronach korytarza kryły się pokoje gościnne, które kiedyś były azylem dla dziewiętnastowiecznych bogaczy bawiących się w powrót na łono natury. Ale pies nie zatrzymywał się. Minął lśniąca, dziwnie cichą i pustą kuchnię — kucharze i pomywaczki dostali wolne popołudnie, żeby wziąć udział w uroczystościach w Long Lake.

W końcu zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

Ze zdenerwowania ścierpła mu skóra. W wielkim pustym domu każdy stałby się nerwowy, a w dodatku Griffin miał otworzyć drzwi, za którymi nigdy nie był. Rozejrzał się na boki i wyciągnął z kieszeni małą saszetkę, z której wydobył cienkie wytrychy. Z wprawą wypróbował

trzy, ale dopiero czwarty otworzył zamek z cichym kliknięciem.

Griffin wyciągnął pistolet i nacisnął klamkę. Drzwi z dobrze naoliwionymi zawiasami otworzyły się bez hałasu. W środku załatywało lekko pleśnią. Pomacał ścianę i znalazł

przełącznik. Włączył światło. Górna lampa oświetliła schody, które znikły w piwnicy. Griffin dał psu znak ręką i zamknął drzwi. Doberman pomknął po schodach, stukając pazurami po drewnianych stopniach.

Bill wpatrywał się z niepokojem w ciemność. Po kilku sekundach pies wrócił i dał do zrozumienia, że ma iść za nim.

W połowie drogi Griffin znalazł następny przełącznik. Ten z kolei włączył kilka lamp, które oświetliły dużą piwnicę z otwartymi magazynami pełnymi tekturowych pudeł. Każde z nich było starannie oznaczone — nazwy akt, źródła, daty, cała historia naukowca i biznesmena. Pies jednak wykazywał zainteresowanie jedynymi zamkniętymi drzwiami. Krążył niezmordowanie przed nimi.

Z wyciągniętą bronią Griffin przytknął ucho do drzwi. Nic nie usłyszał. Spojrzał na psa.

— Dziwne, co, piesku?

Pies podniósł pysk, jakby się z nim zgadzał. Teraz był ostrożny i czujny, ale gdyby Griffin zażądał, natychmiast zamieniłby się w krwiożerczą bestię.

Griffin przekręcił wytrychem zamek, ale nie otwierał drzwi. Piwnica wyglądała jak grobowiec, co tylko pogłębiało jego niepokój. Czuł, że musi szybko działać, ostrożność jednak nauczyła go, że zawsze należy oczekiwać niespodzianek. Nie wiedział, co go czeka po drugiej stronie drzwi — uzbrojona brygada, szaleniec czy po prostu nicość. Lepiej być przygotowanym na wszystko.

Znów przytknął ucho do drzwi. W końcu odłożył wytrych, ścisnął mocniej broń i nacisnął klamkę.

Po drugiej stronie znajdowała się ciemna cela bez okien. Z korytarza sączył się do środka trójkąt światła. Przed nim na jedynym meblu — wąskiej pryczy ustawionej pod przeciwległą ścianą — leżała skulona postać. Na podłodze stało otwarte naczynie, z którego rozchodziła się nieprzyjemna woń moczu. W celi panowała ciężka atmosfera grozy. Griffin dał znak dobermanowi, żeby pilnował drzwi, a sam podszedł szybko do łóżka. Pod wełnianym kocem spał

drobny, pulchny mężczyzna.

— Zellerbach? — szepnął. Marty otworzył oczy.

— Co? Kto? Mówił wolno i poruszał się sztywno.

— Dobrze się czujesz? Jesteś ranny? — Griffin pomógł mu usiąść na pryczy. Przez chwilę wydawało mu się, że Marty jest ranny. Potem pomyślał, że jest odurzony snem. Gdy jednak Marty potrząsnął głową i przetaił oczy, Griffin zobaczył Zellerbacha, jakiego pamiętał ze szkoły.

Był drugim bliskim przyjacielem Jona — zwariowanym waśniakiem, który wiecznie wplątywał Jona w bójkę i kłótnie. Później okazało się, że nie jest ani szalony, ani arogancki, lecz chory.

Jakiś rodzaj autyzmu.

Zaklął pod nosem. Może dowie się od niego czegoś?

— Bill Griffin. Pamiętasz mnie, Marty? — spróbował. Marty zeszywniał w mroku. Prycza zatrzeszczała.

— Griffin? Gdzieś ty się podziewał? Wszędzie cię szukam. Jon chce z tobą mówić.

— A ja z nim. Jak długo tu jesteś?

— Nie wiem. Myślę, że bardzo długo.

— Co im powiedziałeś?

— Powiedziałem? Marty przypomniał sobie wszystkie pytania, cios w głowę i ciemność. —

To było straszne. Ci ludzie są jakimiś zбочeńcami. Zadawanie bólu sprawia im przyjemność.

Straciłem.. przytomność. Serce waliło mu, wrócił pamięcią do bolesnego doświadczenia. Miał

wrażenie, że stało się to przed chwilą: wspomnienie było świeże jak otwarta rana. Ale jednocześnie czuł się skołowany, a myśli toczyły się w żółtym tempie. Potrząsnął głową, żeby rozjaśnić umysł. Wiedział, że to przez lekarstwa. — Chyba nic im nie powiedziałem.

Griffin kiwnął głową.

— Też mi się tak wydaje. Gdyby to zrobił, schwytaliby lub zabili Jona. Może zresztą zginął

już z rąk tej Russell. — Zamierzam cię stąd wydostać. Zaprowadzisz mnie do Jona.

— Nie jestem pewien, gdzie teraz jest — powiedział Marty z wyrazem cierpienia na twarzy.

Griffin zaklął.

— Chwileczkę. Pomyśl, gdzie może być. Na pewno gdzieś się umówiliście. Przecież jesteś podobno geniuszem. Geniusze zawsze znajdują jakieś wyjście.

Marty'ego ogarnęły nagle podejrzenia.— Jak mnie znalazłeś? Nigdy nie lubił Griffina. W

szkolnych czasach Bill był głośnym i zarozumiałym chłopakiem, mimo iż przynajmniej w opinii Marty'ego — całkiem przeciętnym. A poza tym rywalizował z nim o przyjaźń Jona. Marty oparł się o ścianę. — Możesz być jednym z nich!

— Jestem. Jon o tym wie. Ale grozi mu dużo większe niebezpieczeństwo, niż sądzi, a ja nie chcę, żeby zginął. Muszę mu pomóc.

Marty też chciał pomóc Jonowi i dlatego wydawało mu się, że powinien zaufać Griffinowi.

Ale czy na pewno?

Griffin przyjrzał się Marty'emu.

— Słuchaj, zamierzam zabrać cię stąd w bezpieczne miejsce. Wtedy mi uwierzysz? Powiesz, gdzie miałeś się spotkać z Jonem? Razem tam pojedziemy. Marty podniósł głowę. Spojrzenie jego oczu było ostre i taksujące.

— Dobrze. Prosta sprawa, powiedział sobie w duchu. Jeśli uzna, że mu nie może ufać, po prostu będzie kłamał.

— Chodźmy.

— Nie mogę. Przykuli mnie do ściany. Ze smutną miną Marty podniósł ręce i ruszył prawą nogą. Cienkie, ale mocne łańcuchy przymocowano do obręczy na ścianie. Na każdym z nich wisiała duża kłódka.

— Mogłem się domyślić, skoro nie zostawili przy tobie strażnika.

— To nie było przyjemne — przyznał Marty.

— No myślę. Bili wyjął znów wytrychy i szybko otworzył kłódki. Marty masował sobie nadgarstki i kostki, Griffin zagwizdał cicho na dobermana. Pies przydreptał do nich z wysoko zadartym, wężącym czarnym nosem.

— Przyjaciel — wyjaśnił Griffin psu i dotknął Marty'ego. — Dobry. Broń go. Z zadziwiającą cierpliwością zazwyczaj nerwowy Marty zsunął nogi z kozetki i spokojnie pozwolił, żeby wielki doberman mógł obwąchać jego ubranie, ręce i stopy.

— Nazywa się jakoś? — zapytał, gdy wielkie zwierzę w końcu odeszło.

— Samson.

— Pasuje — uznał Marty. — Ale z niego byk.

— Racja. Prowadź — Bill rzucił komendę.

Samson wyszedł na korytarz, rozejrzał się i ruszył w stronę schodów.

— Idziemy — powiedział Griffin.

Pomógł Marty'emu dojść do drzwi. Na korytarzu Marty odtrącił jego rękę. Pokonali szybko schody i pustymi korytarzami przeszli — Griffin z przodu, a za nim kuśtykający Marty — do drzwi, niedaleko których Griffin zaparkował samochód. Mózg Marty'ego pracował teraz na pełnych obrotach, emocje sięgnęły szczytu. Miał mieszane uczucia co do dawnego kolegi. Ale przynajmniej wydobył go z tego obrzydliwego lochu.

Griffin zatrzymał się przy drzwiach, Marty chwycił go za ramię.

— Patrz, jakiś cień — szepnął. Wskazał na małe boczne okno.

Doberman zadarł głowę. Był czujny i nasłuchiwał, obracając uszy. Griffin dał psu znak ręką, żeby się nie ruszał. Pociągnął Marty'ego w dół. Przykucnęli obok siebie.

— To jeden z ochroniarzy — powiedział Griffin ochryplym szeptem. — Odbijał kartę. Za trzy minuty już go nie będzie, w porządku?

— Nie musisz mnie pytać o zgodę, jeśli o to chodzi — odezwał się zgryźliwie Marty. Czuł się zdecydowanie lepiej.

Griffin uniósł brwi. Podniósł się i wyjrzał przez okno. Skinął na Marty'ego.

— Idziemy. Marty wstał, a Griffin wypchnął go na zewnątrz. Doberman pobiegł naprzód w stronę czerwonego jeepa. Bill otworzył drzwi i Samson wskoczył do środka. Marty wgramolił się na tylne siedzenie, a Griffin usiadł za kierownicą.

— Na podłogę — rozkazał Bili, włączając silnik.

Przez ostatni tydzień Marty przeżył tyle sytuacji kryzysowych, że nie sprzeciwiał się, gdy ktoś z niezgłębionego świata przemocy kazał mu coś robić. Przykucnął na podłodze, a Samson usiadł nad nim na siedzeniu. Marty wyciągnął ostrożnie rękę. Potężny pies wsunął pod nią nos.

Marty uśmiechnął się i poklepał go po ciepłym pysku.

— Dobra psinka — pochwalił.

Griffin ruszył szybko i odetchnął z ulgą. Gdy wyjeżdżał z zabudowań, pomachał mu ochroniarz, a on odpowiedział tym samym. Odkąd tu wrócił minęło niecałe dwadzieścia minut.

Był pewien, że nikt nie zapamiętał wcześniejszego wyjazdu. Teraz skoncentrował się na jednym celu: musi dotrzeć do Jona, zanim zabije go Randi Russell.

W pośpiechu i w przyпіlywie zadowolenia zapomniał o trzecim ochroniarzu, który stał ukryty między topolami. Patrzył za oddalającym się jeepem, wystukując numer na telefonie komórkowym.

— Pan Tremont? Chwycił przynętę. Uwolnił Zellerbacha i właśnie odjeżdżają. Tak, proszę pana. Podłożyliśmy urządzenie naprowadzające. Chet czeka przy drodze i będzie go śledził.

Rozdział 42

13.02, Syracuse, stan Nowy Jork

Niech to wszyscy diabli! — Peter Howell pochylał się nad komputerem i wpatrywał z niecierpliwością w rozświetlony monitor. — W bazie danych Blancharda jest bardzo niewiele na temat surowicy i małpiego wirusa. Wszystko wygląda cholernie porządnie. Przez wybite okna samochodu wpadał ostry wiatr. Peter przesunął brązową ręką po siwych włosach.

— Nie ma nic o testach na ludziach? — Smith siedział na sofie z założonymi rękami i wyciągniętymi nogami. Drzemał. Zatknał berettę za pas, żeby móc szybko po nią sięgnąć.

— A o Iraku? — Randi też siedziała na sofie. I ona drzemała, póki głośne przekleństwo Petera nie wyrwało jej ze snu. Nagle zdała sobie sprawę z bliskości Jona. Poruszyła się, dyskretnie zwiększając odległość między nimi. Uzi leżało pod sofą, tuż za jej stopami.

Wystarczyło wsunąć nogi pod siedzenie, żeby poczuć jego uspokajającą twardość.

— Ani słowa — warknął Peter, nie odwracając wzroku od ekranu. — Możliwe, że idziemy złym tropem. Blanchard jest czysty jak lza. Nie mają wirusa, a surowica jest zgodnie z przewidywaniami szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

— Daj spokój. Randi pokręciła głową z niedowierzaniem.

— A co z pierwszymi dwunastoma osobami, na których ją przetestowano? — zapytał Jon. —

Ten, kto przeprowadził eksperyment dziesięć lat temu, miał wtedy wirusa, a w zeszłym roku surowicę, żeby wyleczyć Irakijczyków. I trzech Amerykanów w zeszłym tygodniu.

Zastanowili się nad wytłumaczeniem eksperymentu.

— Musi być jakiś inny zestaw dokumentów — Peter obrócił się na krześle. Rzucił im chmurne spojrzenie i podrapał się po zarośniętych policzkach.

— Chyba że nie prowadzili żadnych zapisków — zasugerowała Randi.

— Niemożliwe — zaproponował Smith. — Naukowcy muszą robić notatki, zapisywać wyniki, wątpliwości, każdy najmniejszy pomysł, inaczej nie byłoby w stanie posuwać badań do przodu.

Poza tym ich przełożeni muszą nadzorować prace, wyznaczać cele, zdobywać fundusze, a księgowi prowadzić dokładną dokumentację finansową.

— Ale naukowcy nie muszą wprowadzać wszystkiego do komputera — powiedziała Randi.

— Mogą pisać ręcznie.

Jon pokręcił głową.

— Nie w dzisiejszych czasach. Komputery stały się narzędziem naukowym. Do prognoz, symulowanych reakcji, analiz statystycznych... inaczej wszystko ciągnęłoby się w nieskończoność. Nie, dane komputerowe muszą gdzieś być.

— Zgoda, niech będzie — powiedział Peter — ale gdzie?

— Potrzebujemy Marty'ego. Tym razem zaklął Smith. Niebieskie oczy pociemniały z bezsilności.

— Spróbujemy czegoś innego — zaproponowała Randi. — Pójdźmy do Blancharda i na miejscu poszukajmy dokumentów. Jeśli ktoś tam będzie, przekonamy go, żeby uciał sobie z nami miłą pogawędkę.

Świetnie — mruknął Jon — czy jest jeszcze jakieś prawo, którego nie złamaliśmy?

Musieliśmy coś przegapić.

Nagle rozległo się gorączkowe walenie do drzwi, od którego zatrząsł się samochód.

— Chyba się starzeję. Peter chwycił pistolet. — Nie słyszałem, żeby ktoś nadchodził.

Randi i Jon w jednej chwili wyciągnęli broń.

— Jon! Głos z zewnątrz był cienki, znajomy i apodyktyczny. — Jon! Otwieraj te przeklęte drzwi. To ja!

Marty! Smith przyskoczył do wejścia.

Przez chwilę korpulentne ciało Marty'ego wydawało się wręcz atletyczne. Pchnął drzwi, wskoczył do środka i chwycił Jona za ramiona.

— Jon! Wreszcie. Uściskał go i szybko cofnął się zawstydzony. — Już myślałem, że nigdy cię nie zobaczę. Gdzieś ty się podziewał, na litość boską? Nie jesteś ranny? Bill mnie uratował, więc pomyślałem, że nic się nie stanie, jeśli go tu sprowadzę. Dobrze zrobiłem?

— Pułapka — warknął Peter. Wymierzył MP5 w Griffina, który spokojnie wszedł do środka.

Były agent FBI stał teraz samotnie w przeciwdeszczowej kurtce i spodniach, odwrócony plecami do zamkniętych drzwi. Miał puste ręce, lecz jego barczyste ciało było spięte i czujne.

Długie brązowe włosy wyglądały, jakby ich nie mył od wielu tygodni. Puste spojrzenie brązowych oczu zmroziło Jona.

Randi wsparła Petera swoim uzi.

— Nie! — krzyknął Smith, zasłaniając Griffina. — Wstrzymajcie się, oboje. Marty ma rację.

To jest Bill Griffin. Odłóżcie broń. Odwrócił się do Griffina. — Sam jesteś?

— Jesteśmy sami — zapewnił ich Marty. — Bill chce cię ostrzec. Podobno grozi ci jakieś szczególne niebezpieczeństwo.

— Jakie niebezpieczeństwo?

Randi i Peter nie spuszczaali Griffina z oczu, ale opuścili broń. Teraz Bill sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął glocka.

— Ona. Griffin wycelował śmiertcionośny pistolet w serce Randi i zatrzymał na niej puste spojrzenie. — Jest z CIA. Generał Nelson Caspar przysłał ją, żeby cię zlikwidowała. Jon.

— Co? — Uniosła wysoko jasne brwi. Spoglądała to na Griffina, to na Jona. — To kłamstwo! Wbiła wściekłe spojrzenie w Griffina. — Jak śmiesz! Pracujesz dla nich, ale zjawiasz się tutaj, żeby mnie oskarżać?

Jon podniósł rękę.

— Dlaczego zastępca szefa połączonych sztabów chciałby mnie zabić?

— Bo pracuje dla tych samych ludzi, co ja.

— Czyli dla Tremonta i Blanchard Pharmaceutical?

Bili kiwnął głową.

Przed nimi ostrzegałem cię wtedy w parku. Jon patrzył na niego.

— Ale nie ostrzegłeś nikogo więcej. Jego szeroka twarz wyrażała gniew. — Więc zabili Sophię.

— W takim świecie żyjemy — odparł z goryczą Griffin. — Nie ma białych charakterów.

Nikt już nie wierzy w dobro i zło. Chodzi tylko o to, żeby napchać sobie kieszenie. Ja też zamierzam dostać swoją działkę. Należy mi się.

Jon odwrócił wzrok i z trudem się opanował. Sophia nie żyła. Nie mógł jej wskrzesić. Ten ból zawsze będzie mu towarzyszył, ale może nauczyć się z nim żyć.

— Nikomu nic się nie należy, Bill — powiedział spokojnie. I mylisz się co do Randi. Nie wysłali jej, żeby mnie zabiła. Niemożliwe, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich się spotkaliśmy. Właściwie to uratowała mi życie. Posłał jej uśmiech i ze zdziwieniem zauważył, jak jej spięta twarz łagodnieje. — Tak samo jak ja chce powstrzymać Tremonta. Kto ci powiedział, że nasłał ją Caspar?

Słuchając Jona, Griffin odniósł dziwne wrażenie. Jakby przegapił ważny element w układance

zdarzeń. Nie był dokładnie pewien, co to było. Tyle tylko, że przez kilka chwil olśnienia dostrzegł ten brak i fakt, że nigdy nie potrafił odnaleźć wskazówek, które zaprowadziłyby go do tego, co stracił. Więc teraz, gdy patrzył na Jona i widział, jak drży, żeby się opanować na wspomnienie o śmierci Sophii, poczuł samotność i żal. Może za bardzo skoncentrował się na sobie? Może powinien ostrzec Sophię. Mógł też ostrzec innych...

Ale szybko się opamiętał. Co mógł zrobić? Przecież nie ocaliłby całego świata. Ale ten ostatni raz zrobi coś dla Jona, żeby w jakiś sposób powetować mu stratę narzeczonej.

— Za wszystkim stoi Victor Tremont — powiedział wreszcie. — Korzysta z usług Nadala al-Hassana. Razem... Gdy wymieniał ich nazwiska, w głowie rozdzwonił mu się alarm.

Przypomniawszy sobie rezydencję Tremonta. Kiedy się do niej włamywał, żeby znaleźć Marty'ego, była dziwnie pusta i bezpieczna. Jak sprawnie udało im się uciec!

Jak łatwo poradzili sobie z ochroniarzami!

Spojrzał szybko na Marty'ego.

— Czy Tremont lub któryś z jego ludzi dał ci coś? — warknął. — Zastanów się! Jakiś guzik, monety, pióra, może grzebień? Jon odwrócił się do Griffina.

— Myślisz, że...?

— Przeszukaj kieszenie — rozkazał Bill Marty'emu. — Może ktoś podrzucił ci coś bez twojej wiedzy. Na przykład Maddux.

Początkowo Marty nie rozumiał, o co chodzi, ale po chwili wszystko stało się jasne.

— Myślisz, że zamontowali mi pluskwę? Natychmiast wyłożył zawartość kieszeni na stolik w salonie. — Nic nie pamiętam, ale po ciosie tego dziobatego straciłem przytomność.

Pulchne ręce Marty'ego, tak sprawne przy klawiaturze i tak niezgrabne w prawie wszystkich innych sytuacjach, poruszały się z zadziwiającą prędkością. Bill obserwował je niecierpliwie, chciał zerwać z Marty'ego wszystkie ubrania, żeby przekonać się, czy jest czysty.

Zamiast tego wydawał mu polecenia.

— Zdejmij pasek. Szybko.

— Buty też — dodał Jon.

Marty zdjął pasek i rzucił go Jonowi do zbadania. Billa ogarnęła wściekłość, jego obojętna zwykle twarz nabiegła krwią.

— Oszukali mnie. Wiedzieli, że będę próbował cię ostrzec. Pozwolili mi uwolnić Marty'ego, żeby zaprowadził mnie do ciebie, bo nic z niego nie wyciągnęli. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Chyba podejrzewali mnie od naszego spotkania w parku Rock Creek. Powinienem...

Z zewnątrz dobiegło ich głośnie szczeknięcie psa. Pojedyncze szczeknięcie i cisza.

Bill zamarł. Twarz zastygła mu w bezruchu

— Są na zewnątrz. Al-Hassan i jego ludzie.

— Skąd wiesz? — Randi prześlizgnęła się pod ścianą do frontowego okna. Wyrzała ostrożnie. Szyba w oknie była nienaruszona.

— Pies — domyślił się Jon. — Doberman, którego miałeś w parku.

Bill przytaknął.

— Samson. Świetnie wytresowany: atakuje, prowadzi zwiad, trzyma wartę.

— Widzę ich — szepnęła Randi. — Chyba czterech. Chowają się między rzędem wozów przed nami. Jeden z nich jest wysokim Arabem.

— Al-Hassan — powiedział Bill grobowym głosem.

Peter cmoknął.

— W ten sposób do nas dotarli — wymamrotał. Podniósł małe nadajnik, który wydobył z obcasa buta Marty'ego. — Małe pluskiewka. Pokręcił głową z obrzydzeniem, wyrzucił

urządzenie przez okno i chwycił pistolet.

Randi nie odchodziła od okna.

— Nie widzę policji ani wojska.

— Jakie to ma znaczenie? — powiedział cierpko Bill. — Doprowadziłem ich tutaj. Jaki ja byłem głupi! Teraz was mają.

— Niezupełnie — powiedział spokojnie Anglik. — Teraz dopiero będą się musieli namęczyć. Sięgnął do przełącznika światła na ścianie nad kuchennym stołem, nacisnął przycisk.

Na środku salonu z trzaskiem uniosły się cztery winylowe kwadraty, których nie można było odróżnić od reszty płytek pokrywających podłogę. Z prędkością błyskawicy przypadł do włazu.

— Zawsze zostawiajcie sobie zapasowe wyjście. Jon, możesz być pierwszy?

Jon podniósł zapadnię i wskoczył do środka.

— Teraz ty, przyjacielu — Anglik zwrócił się do Marty'ego.

Marty kiwnął posępnie głową, spojrzął w dół na asfalt i skoczył. Pod samochodem leżał spokojnie wielki doberman. Obserwował wielkimi ciemnymi oczami polanę i las za wozem. W głębokim cieniu pod samochodem Marty przeczołgał się dalej, robiąc miejsce pozostałym. Za nim na asfalcie wylądowali po kolei Randi Russel, Bill Griffin i Peter Howell. Czujny doberman trącił nosem Marty'ego i Marty przysunął się do niego. Po chwili Samson wznowił wartę. Marty przykucnął obok i przesunął ręką po lśniąącym grzbiecie zwierzęcia. To dziwne, nie czuł strachu.

Podniósł wzrok. Zobaczył koła innych wozów i grube pnie drzew. Nie widział żadnych stóp i przez krótką szaloną chwilę miał nadzieję, że al-Hassan i jego zbiry dali za wygraną i odjechali.

Griffin przywołał psa.

— Przyjaciele, Samson. Przyjaciele — powiedział cicho. Pozwolił, żeby pies wszystkich obwąchał. Za Jonem przeczołgali się pod tylną część wozu. Od lasu dzieliło ich tylko dziesięć metrów.

— Możemy się tam ukryć — Peter kiwnął głową w stronę drzew. — Ustalimy, co robimy potem. Na mój sygnał pobiegiecie tak szybko, jakby goniły was piekielne ogary. Będę was krył.

Poklepał pistolet.

Z lasu wyłoniły się jakieś cienie.

— Na ziemię! — warknął Smith i padł na twarz. Pozostała czwórka przywarła do ziemi, zza polany otworzono ogień. Kule świstały i odbijały się od blachy wozu. Cofnęli się i ukryli za oponami.

— Ilu ich jest? — zapytał głośniejsz Griffin.

— Dwóch. Oczy Anglika zmieniły się w dwie wąskie szparki, lustrował las.

— Lub trzech — dodał Jon, oddychając ciężko.

— Dwóch lub trzech — powtórzyła Randi — czyli z przodu jest jeden lub dwóch.

— Dobra. Bill rozejrzał się. Na wszystkich twarzach malowało się napięcie i strach, lecz oczy błyszczały dzielnie. Nawet Marty'emu, mimo jego dziwnej choroby i jeszcze dziwniejszego umysłu. Marty nie był już tym samym mięczakiem, irytującym beksą, którego pamiętał ze szkoły. Zmienił się. Bill poczuł, że coś w nim pęka. Może to była ulga, a może gorycz wielu lat pracy dla ludzi o ograniczonych umysłach. A może jeszcze świadomość, że nigdy nie pasował do tego świata, który innym wydawał się tak ważny. Prawdopodobnie jednak chodziło o to, że nie zależało mu już na niczym i na nikim, nawet na sobie.

Rozpaczliwie pragnął, żeby znów zaczęło mu zależeć. Teraz zrozumiał, dlaczego tyle ryzykował, żeby uratować Jona. Miał nadzieję ocalić coś dobrego w sobie. Gdy pomyślał o tym, krew szybciej

popłynęła mu w żyłach. To było olśnienie. Nigdy, od czasu, kiedy byli z Jonem młodzi i mieli przed sobą całe życie, nigdy nie miał tak jasno wyznaczonego celu.

Wiedział, co zrobić.

Podpowiadała mu to każda komórka jego ciała. Całe jego zmarnowane życie.

Co ma zrobić, żeby odnaleźć siebie.

Bez słowa wyczołgał się spod samochodu, podniósł się i z głośnym gardłowym okrzykiem ruszył prosto na napastników, którzy przyczaili się na skraju lasu. Doberman pobiegł za nim.

— Bill! — krzyknął Jon. — Nie...

Ale było już za późno. Bill biegł w stronę drzew, z powiewającymi za nim długimi włosami.

Otworzył ogień. Czuł uniesienie i ogromną ulgę i zależało mu już tylko na jednym — żeby odkupić swoje winy. Doberman z obnażonymi kłami rzucił się na jednego z napastników.

Jon, Randi i Peter wyskoczyli spod samochodu z wyciągniętą bronią. Po kilku sekundach było po wszystkim.

Zanim Jon zdążył dobiec do Billa, on padł już na wznak na skraju lasu. Z piersi płynęła krew.

— Jezu — wydyszał Peter, omiatając jednocześnie wzrokiem drzewa i rzędy samochodów.

W odległości trzech metrów leżał bez życia niski gruby mężczyzna, który pierwszego dnia poprowadził atak w Georgetown. Drugi z martwych napastników miał przestrzeloną głowę.

Trzeci leżał na plecach z rozszarpanym gardłem. Doberman przemierzał las w poszukiwaniu pozostałych.

— Nie widać tego Araba, którego Bill nazywał al-Hassanem — zauważył Peter. — Może jest gdzieś w okolicy.

— Jeśli jest sam, nie będzie próbował działać na własną rękę — powiedziała Randi.

Spojrzała w dół i przybrała łagodniejszy ton. — Co z nim, Jon?

— Pomóż mi.

Peter został na warcie, mierząc dookoła z pistoletu, a Randi pomogła przenieść Griffina pod drzewa i położyć na suchych liściach.

— Trzymaj się, Bill — powiedział Jon z zaciśniętym gardłem i kucnął przy nim. Próbował

uśmiechnąć się do dawnego przyjaciela. Peter dołączył do nich, cały czas pełniąc rolę wartownika.

— Bill, ty wariacie — powiedział Jon łagodnym głosem. — Coś ty sobie wyobrażał?

Mogliśmy sobie z nimi poradzić.

— Tego... nie wiadomo na pewno. — Pociągnął Jona za kołnierz. — Tym razem... mogłeś zginąć. Al-Hassan jest tam... gdzieś. Czeka na posiłki. Uciekajcie stąd... jak najszybciej!

Uścisk Griffina był mocny, lecz na jego wargach pojawiła się różowa piana.

— Spokojnie, Bill. Obejrzę twoją ranę. Nic ci nie będzie...

— Bzdura. — Griffin uśmiechnął się słabo. — Jedź do rezydencji... Lake Magua. Straszne...

straszne... Zamknął oczy i oddychał płytko.

— Nic nie mów — powiedział z troską Jon i rozerwał mu koszulę. Bill otworzył oczy.

— Nie ma czasu... przepraszam za Sophię... przepraszam za wszystko. Otworzył szerzej oczy, jakby zobaczył otchłań.

— Bill? Bill! Nie rób tego!

Głowa Billa opadła bezwładnie na ziemię. W chwili śmierci jego nijaka twarz wydała się nagle młodsza, bardziej niewinna. Rysy, które tak łatwo przybierały różny wygląd, wygładziły się, uwidaczniając wydatne policzki i podbródek. Jon w milczeniu spuścił wzrok. Gdzieś zaśpiewał ptak. Brzęczały owady. Słońce przebijające się przez gałęzie grzało.

Smith zabrał się do roboty. Znalazł tętnicę szyjną. Nic. Gorączkowo przyłożył rękę do zakrwawionej klatki piersiowej. Ale nie wyczuł choćby najslabszego bicia serca. Usiadł obok przyjaciela. Najpierw Sophia, teraz Bill.

Nagle pojawił się doberman. Stał nad Billem. Pilnował go. Trącił go w głowę i wydał z siebie odgłos, który brzmiał jak cichy jęk. Marty wymamrotał coś i pogłaskał dobermana po grzbiecie.

Smith zamknął Billowi oczy i podniósł wzrok.

— Nie żyje.

— Musimy się stąd ewakuować. Głos Petera był życzliwy, lecz stanowczy. Podał Jonowi kolorową chusteczkę z jednej z licznych kieszonek u pasa.

Jon wytarł ręce z krwi.

— Przykro mi, Jon. Wiem, że był twoim przyjacielem. Ale zaraz będziemy tu mieli gości —

odezwała się Randi. Smith nie ruszył się.

— Jon — krzyknął piskliwym głosem Marty. — Idziemy. Boję się o ciebie!

Smith wstał, popatrzył na pokiereszowany samochód turystyczny Petera i martwe ciało.

Wciągnął głęboko powietrze, żeby opanować żal i gniew. Jeszcze raz spojrzął na Griffina.

Victor Tremont odpowie mu za wszystko.

Ruszył w głąb lasu.

— Tędy dostaniemy się do naszego samochodu.

— Świetny pomysł. Randi wysunęła się do przodu.

— Idziemy, Samson — zawołał Marty.

Pies podniósł głowę. Trącił martwego pana w ramię. Znów wydał z siebie cichy gardłowy dźwięk i trącił Billa po raz ostatni. Bezskutecznie. Obejrzał się, jakby na pożegnanie, i podreptał

za resztą do lasu.

Randi pewnym krokiem przecierała szlak przez zarośla i wśród drzew. Jon i Marty szli za nią, a Peter i doberman zamykali pochód. Peter obracał pistolet w jedną i drugą stronę.

Jon spojrzął na Marty'ego.

— Wiesz coś o tej rezydencji, o której mówił Bili? Lake Magua?

— Tam mnie więzili i zakuli w łańcuchy.

— Wiesz, gdzie to jest?

— Oczywiście.

Ich rozmowę przerwał głos Petera.

— Mamy gości. Ścigają nas. Zajmę się nimi. Uciekajcie!

— Ale nie bez ciebie! — zaproponował Smith.

— Nie bądź głupi. Masz przecież rozprawić się z Tremontem. Ja potrafię o siebie zadbać.

Na dźwięk zbliżających się kroków wielki doberman zatrzymał się i zawrócił do Petera.

Peter powiedział coś cicho do psa i obejrzał się na Smitha.

— Idźcie już! Razem z Samsonem spróbujemy ich powstrzymać. Szybko! Spojrzał na psa.

— Jesteś dobrze wytresowany, przyjacielu? Przyłożył rękę do jego boku i wykonał zdecydowany ruch. Pies natychmiast pognał w las na zwiad. Peter z zadowoleniem pokiwał głową. — Widzisz, nie będę sam.

— On ma rację — powiedziała Randi. — Tego właśnie chciałby Bill.

Jon znieruchomiał. Ciemnoniebieskie oczy spoglądały złowrogo w ciemny las. Muskularne ciało było napięte, gotowe do działania. Bill umarł, a teraz Peter chce osłaniać tyły, biorąc na siebie ogromne ryzyko. Jon poświęcił się ratowaniu ludzkiego życia, a nie odbieraniu go. Teraz okoliczności zamknęły go w beznadziejnej pętli śmierci.

Przyjrzał się poprzecinanej bruzdami, ogorzałej twarzy Petera i bystrym oczom, które zdawały się mówić jedno: Uciekajcie. Zostawcie mnie samego. To zadanie dla mnie.

Smith kiwnął głową.

— Dobrze. Marty, idziesz za mną. Powodzenia, Peter.

— Dzięki. Anglik odwrócił się. Omiatał wzrokiem drzewa, jakby całe jego życie skupiało się na tej chwili.

Jon popatrzył za nim przez chwilę. Potem razem z Randi i Martym pobiegli przez las. Za nimi rozległa się długa seria strzałów, a po nich okrzyk bólu.

— Peter? — ze zmartwienia głos Marty'ego stał się jeszcze bardziej piskliwy. — Ranili go?

Może powinniśmy wrócić?

— To były strzały z H&K — zapewnił go Jon, choć wcale nie był tego pewien.

Marty pokiwał głową. Myślał o niekończących się dniach obcowania z Peterem, jego ciętym języku i irytujących nawykach.

— Mam nadzieję, że to prawda. Ja chyba... polubiłem Petera.

Szli dalej. W lesie zrobiło się cicho, tylko od czasu do czasu rozlegały się odgłosy strzałów.

Każdy strzał przeszywał Smitha do szpiku kości. Cisza była jeszcze gorsza. Peter mógł leżeć gdzieś w kałuży własnej krwi i konać.

Wyszli w końcu na spokojną ulicę równoległą do szosy numer 5. Schowali przezornie broń pod ubraniami i skręcili w ulicę, na której Jon i Randi zaparkowali pod klonem wynajęty samochód.

Rozdzielili się i podkradli ostrożnie do samochodu.

Ale w okolicy nikogo nie było i nikt nie próbował ich powstrzymać. Marty westchnął ciężko i wgramolił się na tylne siedzenie. Jon wsunął się za kierownicę, a Randi usiadła obok niego z uzi na kolanach. Dwadzieścia minut później zajechali na lotnisko Hancock International. Kupili bilety na samolot do Utica. Stamtąd mieli już blisko do bezmiarów dzikiej przyrody parku stanowego Adirondack.

Rozdział 43

15.02, Lake Magua, stan Nowy Jork

Drewniana rezydencja Victora Tremonta prezentowała się okazale. Od wielkiego drewnianego garażu, ukrytego między drzewami, prowadził na tyły rezydencji wąski ceglany podjazd. Na straży stało trzech dobrze uzbrojonych mężczyzn. Po drugiej stronie rezydencji w otoczeniu sosnowego lasu lśniło krystaliczne jezioro. W górze płynęły duże białe obłoki, a popołudniowe światło rzucało długie cienie na zalesionych stokach.

Jon, Randi i Marty patrzyli na to z zarośniętego wzniesienia za rezydencją. Leżeli na brzuchach na grubym dywanie ściółki pod gęstymi sosnami. Starannie analizowali układ posiadłości i leniwe czynności trójki ochroniarzy.

— Mam nadzieję, że Peterowi nic się nie stało — Marty patrzył przed siebie, choć nie był pewien, czego dokładnie powinien wypatrywać.

— Peter wie, co robi — odpowiedział cicho Smith, cały czas rejestrując ruchy ochroniarzy.

Spojrzał na Randi. Obserwowała ze skupieniem scenę rozgrywającą się poniżej. Leżała wyciągnięta obok nich i nasłuchiwała w milczeniu.

Posłała mu życzliwy uśmiech.

Po tej nerwowej wymianie spojrzeń skupili uwagę na planach włamania do górskiej warowni Tremonta. Jeden ze znudzonych i ziewających wartowników okrążał budynek co pół godziny, sprawdzał drzwi i rozglądał się pobieżnie po posiadłości, choć jego spojrzenie raczej nie wychwyiłoby niczego, co w sposób oczywisty nie rzuciłoby się w oczy. Drugi ochroniarz siedział na krześle, palił i delectował się październikowym słońcem. Karabin M-16A1 leżał mu na kolanach. Trzeci rozsiadł się wygodnie w jeepie, pięćdziesiąt metrów od nich, przy małej polanie, która służyła jako lądowisko dla helikopterów. Karabin trzymał przy sobie.

— Od lat nie mieli żadnych gości — domyślił się Jon. — Jeśli w ogóle.

— Może nie ma tu czego pilnować — powiedziała Randi. — Może Griffin skłamał albo miał złe informacje.

— Nie. Uratował nam przecież życie. I wiedział, że umiera — Smith nie ustępował. — Nie mógłby kłamać.

— Kłamał nie raz, Jon. Sam powiedziałeś, że zblądził.

— Ale nie aż tak. Odwrócił się do Marty'ego. — Co zapamiętałeś z rozkładu budynku?

— Wielki salon i dużo małych pokoi. Pokój panoramiczny i kuchnia. I inne takie miejsca.

Przesłuchiwali mnie w pomieszczeniu na dole. Było puste, nie licząc krzesła i pryczy. A kiedy się obudziłem, leżałem w piwnicznym magazynie przykuty do ściany.

— To wszystko, co zapamiętałeś? — zapytała Randi.

— Nie dali mi broszury z dokładnym planem — burknął Marty. — No dobrze. Przepraszam.

Wiem, że nie miałaś nic złego na myśli. Widziałem też ludzi w białych fartuchach, wyglądali na lekarzy. Większość nosiła białe spodnie. Wchodzili na piętro, ale nie wiem dokładnie dokąd.

— Laboratorium? — zastanowiła się głośno Randi.

— Tajne laboratorium. Głos Jona był cichy, lecz podekscytowany. — To jedna z tych rzeczy, o których Bill mógł nam powiedzieć. Tajne laboratorium badawcze. Tam powinny być dokumenty dotyczące eksperymentu na dwunastu uczestnikach wojny w Zatoce i inne materiały. Pewnie dlatego nic nie znaleźliśmy w bazie danych Blancharda. Nigdy nic tam nie zapisali.

— Może nazwa firmy jest inna lub hasło — powiedziała Randi.

— Żeby się przekonać, musimy tam wejść — zauważył Jon. — Marty, ty zostajesz. Tutaj będziesz bezpieczniejszy. Jeśli kogoś zobaczysz lub usłyszysz, zaalarmuj nas jednym strzałem.

— Możesz na mnie liczyć. Marty zawahał się, jego okrągłe oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej. — Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałem. Tym bardziej, że powiedziałem to z entuzjazmem. Ścisnął w pulchnych dłoniach enflęda z nerwowym obrzydzeniem. Przed podróżą z Utica do Long Lake zażył nową dawkę leków. Wciąż był spokojny, ale wkrótce działanie leków miało minąć.

Jon i Randi postanowili poczekać, aż ochroniarz skończy kolejny obchód i wróci do kolegi od frontu na papierosa. Potem unieszkodliwią tego, który siedział w jeepie przy polanie, gdzie zachodzące słońce rzucało chłodne cienie wysokich drzew.

Nie musieli długo czekać. Po kilku minutach jeden z dwóch ochroniarzy wstał i zniknął za rezydencją. Dziesięć minut później pojawił się znowu, tym razem z drugiej strony budynku.

Rozejrzał się od niechcienia po lesie i okolicy. Odbił kartę w punkcie obok głównego tylnego wejścia i dołączył do swego towarzysza od frontu.

Tylko ochroniarz w jeepie pozostawał po tej stronie wielkiego budynku.

— Teraz — powiedział Jon.

Przemknęli między sosnami na skraj polany. Strażnik w jeepie był poza zasięgiem wzroku kolegów. Drzemał w ciepłym słońcu w fotelu kierowcy.

— Podejdiesz go od tyłu, Randi? — zasugerował Jon. Czuł, jak krew zaczyna mu pulsować za

uszami. — Będę go stąd obserwował i krył cię. Jak tam dotrzesz, daj mi znak, a ja odwrócę jego uwagę. Jeśli obudzi się za szybko i usłyszy cię, sprzątnę go.

— Pomacham chusteczką. Uśmiechnęła się lekko. — Jednorazową. Cieszyła się, że znów jest w akcji i nie musi myśleć o Sophii.

Z bijącym sercem patrzył, jak znika wśród drzew i z pola widzenia. Przykucnął w cieniu na skraju lasu. Z przygotowaną do strzału beretą obserwował drzemiącego ochroniarza i czekał. Po pięciu minutach zobaczył, że coś białego pojawiło się tuż za zaparkowanym jeepem. Strażnik poruszył się w fotelu, ale nie otworzył oczu. Znów ułożył się do snu, a wtedy Jon ruszył prosto w stronę przysadzistego, otwartego wozu.

Lecz gdy pokonał zaledwie połowę dystansu, ochroniarz otworzył oczy. Chwycił M-16. Za nim zmaterializowała się Randi. Jasne włosy tworzyły słoneczną aureolę wokół głowy, piękna twarz była bez reszty skupiona. Poruszała się z płynnością dzikiego kota. Podbiegła cicho do wozu, wskoczyła na tył, oparła jedną nogę o oparcie tylnego siedzenia, a drugą na ramie i przystawiła lufę karabinu do głowy ochroniarza. Jon nigdy nie widział, żeby kobieta tak się poruszała.

— Rzuć broń — powiedziała wyraźnym, spokojnym głosem. Ochroniarz wahał się przez chwilę, jakby szacował swoje szanse, ale po chwili odłożył karabin na siedzenie obok. Dłonie położył płasko na udach, jak ktoś, kto dobrze zna procedurę aresztowania.

— Słuszna decyzja.

Jon dotarł do jeepa i zabrał M-16. Razem z Randi odprowadzili strażnika do miejsca, w którym ukrywał się Marty. Cała trójka przystąpiła do działania.

Marty porwał koszulę ochroniarza na pasy, a Jon z Randi za pomocą paska i kawałków materiału zakneblowali go i związali. Skrępowany i zmuszony do milczenia leżał na sosnowych igłach i rzucał im wściekle spojrzenia. Smith odebrał mu klucze.

— Dwaj pozostali nie będą się spodziewali ataku z budynku.

— To mi się podoba — kiwnęła głową Randi, akceptując plan. Popatrzył na nią trochę dłużej, niż było to konieczne, ale chyba nie zauważyła.

Marty westchnął.

— Wiem, co chcecie mi powiedzieć. "Jeśli coś zobaczysz, strzelaj". Boże. I pomyśleć, że dwa tygodnie temu nie trzymałem jeszcze broni w ręku. Staczam się.

Zostawili Marty'ego, który kręcił głową nad unieszkodliwionym ochroniarzem, i zeszli po stoku do bocznego wejścia. Zapach sosen był miły, lecz nieco zbyt intensywny.

Randi stanęła na warcie, a Jon znalazł odpowiedni klucz i otworzył drzwi. Wślizgnęli się ostrożnie

do małego holu, do którego przez górne okna wpadało słońce. Jeszcze lepiej oświetlona była dalsza część korytarza. Po obu stronach mijali zamknięte drzwi. Gdy zbliżyli się do drugiego źródła światła, poczuli słaby aromat dobrych cygar.

— Co to było? — Randi zatrzymała się. Jej sportowe buty znieruchomiały na parkiecie.

Smith pokręcił głową.

— Nic nie słyszałem. Zamarła w bezruchu.

— Cisza. Teraz nic nie słychać.

— Wypróbujmy po kolei wszystkie drzwi.

Randi naciskała klamki po jednej, a Jon po drugiej stronie korytarza.

— Zamknięte. Pokręcił głową. — To chyba pokoje gościnne albo biura.

— Zostawmy je na później — postanowiła Randi.

Minęli schody, prowadzące na podest i wyżej. Szli dalej, nasłuchując. Woń cygar nasilała się. Jon rozglądał się niespokojnie. Stanęli przy drewnianych drzwiach do przestronnego salonu z rustykalnymi meblami z drewna i skóry, lampami z drewna i mosiądzu i niskimi drewnianymi stolikami. Prawdopodobnie był to salon, o którym wspominał Marty. Przez wielkie okno na przeciwległej ścianie wpadało słońce. Był tam też ogromny kominek, w którym dopalały się węgle, chroniąc pokój przed październikowym chłodem. Z okien rozciągał się widok na jezioro wśród drzew, podwójne drzwi między oknami wychodziły na kryty taras.

Bez słowa przeszli przez salon, stanęli przy drzwiach i wyjrzeli na taras. Przed nim, na trawniku po lewej stronie dwaj pozostali ochroniarze odpoczywali w fotelach. Palili i rozmawiali.

Karabiny trzymali na kolanach. Patrzyli na dolinę, gdzie jesienne kolory złota i czerwieni barwiły drzewa liściaste stojące wśród zielonych sosen.

Randi obserwowała strażników.

— Idealne cele — mruknęła.

— Leniwi idioci. Myślą, że skoro nie ma Tremonta, mogą robić, co chcą.

— Gdyby doszło do strzelaniny — szepnęła Randi — ja biorę tego z lewej, a ty tego z prawej. Ale jeśli się nam poszczęści, poddadzą się.

— I o to chodzi — przyznał Smith. Przyzwyczajał się do pracy z nią. Nawet mu się podobało. Oby tylko udało im się przeżyć.

— Idziemy.

Uchylili drzwi i wyszli na taras. Ochroniarze wciąż rozmawiali i palili papierosy. Słońce świeciło mocno. Jon utkwiał w nich wzrok. Siedzieli bezpośrednio przed nimi, niczego nieświadomi.

Wyższy strażnik rzucił papierosa na trawnik i wstał.

— Czas na kolejną rundkę. Zanim Jon i Randi zdążyli się poruszyć, zauważył ich.

— Bob! — zawołał przerażony.

— Odłóżcie broń powiedział Jon.

Głos Randi był szorstki.

— Powoli. I bez numerów.

Obydwaj zamarli. Jeden stał, lecz nie był do nich całkowicie odwrócony. Drugi nie zdążył

nawet wstać. Żaden z karabinów nie był wymierzony w Jona i Randi, a Jon i Randi trzymali ich na muszce. Fortel udał się. Jeśli ochroniarze nie mieli zamiaru popełnić samobójstwa, musieli dokładnie wypełniać polecenia.

— Cholera — mruknął jeden z nich.

Okolica była spokojna. Smith zamknął trzech związanych ochroniarzy w szopie za garażem.

Marty stał w cieniu przy szopie, a niewidoczna dla nich Randi obserwowała rezydencję. Na okrągłej twarzy Marty'ego malowała się troska, zielone oczy pociemniały, jakby przebywał w świetle, którego przecież nie chciał poznać. Wyglądał żałośnie w workowatych spodniach i kurtce.

Spojrzał na Jona.

— Chcesz, żebym tu został? — zapytał z rezygnacją, jakby znał odpowiedź.

— Tu będziesz bezpieczniejszy, a poza tym potrzebujemy wartownika. Nie wiem, co odkryjemy w laboratorium. Jeśli coś się z nami stanie, będziesz miał szansę ratować się ucieczką.

Marty pokiwał poważnie głową. Palce na karabinie poruszały się nerwowo, jakby tęskniły za klawiaturą.

— W porządku, Jon. Wiem, że po mnie wrócicie. Powodzenia. A jeśli coś zobaczę... —

uśmiechnął się dzielnie — ...na pewno strzelę.

Smith uścisnął mu ramię, żeby go pocieszyć.

Marty poklepał go po ręce.

— Nic mi nie będzie. Nie martw się o mnie. Idź już.

Z bronią w ręku Jon i Randi spotkali się przy wejściu do rezydencji, tym, którym weszli przedtem. Wymienili spojrzenia i coś między nimi zaiskrzyło. Jon odwrócił wzrok, a Randi zastanawiała się, co się właściwie dzieje.

Tym razem zatrzymali się przy schodach z długiego korytarza. Marty nie strzelał. Mieli nadzieję, że osoby pracujące na górze nie wiedzą, że ochroniarze zostali schwytani, a rezydencja spenetrowana. Celem ataku było jak najszybsze zdobycie potrzebnych informacji i ujście z życiem.

Ostrożnie weszli po schodach na podest i ruszyli dalej. Gdy doszli do szczytu, nadal panowała cisza.

Nagle zrozumieli dlaczego. Drzwi z grubego szkła oddzielały ich od niewielkiego przedsionka, za którym ciągnęło się przestronne, lśniące laboratorium z okalającymi je biurami i innymi pomieszczeniami. Z drugiej strony zobaczyli coś w rodzaju "czystego laboratorium" do przeprowadzania eksperymentów, które wymagały atmosfery wolnej od czynników skażających.

W innym pomieszczeniu stał mikroskop elektronowy. Wszystkie laboratoria sprawiały takie samo wrażenie — porządku z elementami kontrolowanego bałaganu, który tworzyły papiery, probówki, palniki, szklane zlewki, kolby, mikroskopy, katalogi, komputery, zamrażarki i inne przybory potrzebne naukowcom w ich pogoni za nieznanym. Laboratorium było też wyposażone w coś, co wyglądało jak futurystyczny spektrometr.

Ale wzrok Jona przykuły ciężkie drzwi pośrodku jednej ze ścian oznaczone jaskrawoczerwonym symbolem ostrzegającym przed zagrożeniem biologicznym. Widok ten przyprawił go o zawrót głowy z radości. Te drzwi prowadziły do gorącej strefy. Tajne laboratorium czwartego stopnia.

— Widzę czworo ludzi — szepnęła Randi.

Jon starał się mówić spokojnie.

— Pora się przedstawić,

Pchnęli drzwi i weszli do środka z wyciągniętą bronią.

Rozdział 44

Dwoje pracowników laboratorium podniosło wzrok. Na widok broni jedno z nich jęknęło. Na ten dźwięk dwoje pozostałych też spojrzało. Zbledli. Jon i Randi bez słowa skupili na sobie uwagę wszystkich.

— Nie strzelajcie! — poprosił starszy z dwóch mężczyzn.

— Błagam. Ja mam dzieci! — zawołała młodsza z dwóch kobiet.

— Nikomu nic się nie stanie, jeśli odpowiecie na kilka pytań — zapewnił Smith.

— Mówi prawdę — Randi wskazała karabinem w stronę małej sali konferencyjnej przy laboratorium. — Przejdźmy tam. Utniemy sobie małą pogawędkę.

Czwórka laborantów w białych fartuchach przeszła do pomieszczenia i zajęła miejsca przy stole konferencyjnym. Byli w różnym wieku — od dwudziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat i wyglądali na pracowników etatowych.

Nie przypominali naukowców o dzikim spojrzeniu i ziemistej cerze, którzy na całe tygodnie zamykają się w laboratorium, żeby doprowadzić projekt do końca.

Zwykli ludzie z obrączkami na palcach i zdjęciami rodziny na stolikach. To byli laboranci, nie naukowcy.

Z wyjątkiem starszej z dwóch kobiet, o krótkich siwych włosach, w długim białym kitlu. Od początku zachowywała milczenie i czujność. Musiała być albo naukowcem, albo kierowniczką.

Pot zrosił wysokie czoło łysiejącego starszego mężczyzny. Nie odrywał wzroku od broni, lecz teraz spojrzał na Randi.

— Czego chcecie? — zapytał drżącym głosem.

— Cieszę się, że pan zapytał — powiedziała. — Proszę nam opowiedzieć o małpim wirusie.

— I o surowicy, która, jak się szczęśliwie składa, leczy też ludzi — powiedział Jon.

— Wiemy, że wirus został sprowadzony z Peru dwanaście lat temu przez Victora Tremonta.

— Wiemy też o eksperymentach na dwunastu żołnierzach podczas "Pustynnej Burzy".

— Od jak dawna macie surowicę? — zapytała Randi.

— I jak doszło do wybuchu epidemii?

Rysy starszej kobiety zaostrzyły się. W jej wyblakłych oczach pojawił się bunt.

— Nie wiemy, o co wam chodzi. Nie mamy nic wspólnego z małpim wirusem i surowicą.

— Więc nad czym pracujecie? — zapytała Randi.

— Głównie nad antybiotykami i witaminami — odpowiedziała.

— To po co ta konspiracja? Odosobnienie? — dopytywał się Smith. — To laboratorium nie figuruje w strukturze firmy Blanchard.

— Nie należymy do Blancharda.

— Więc nad naszymi antybiotykami i witaminami pracujecie?

Starsza kobieta poczerwieniała, na twarzach pozostałych znów pojawił się strach.

Powiedziała więcej, niż chciała.

— Nie mogę powiedzieć.

W porządku. W takim razie zajrzemy do dokumentów — rzuciła Randi.

— Są skomputeryzowane. Nie mamy do nich dostępu. Mają go tylko dyrektor i doktor Tremont. Gdy wrócą, położą kres temu wszystkiemu...

W Jonie wzbierała złość. Ci ludzie, świadomie lub nie, przyczynili się do śmierci Sophii.

— Nikt tu nie wróci, przynajmniej w najbliższym czasie. Są zbyt zajęci przyjmowaniem medali, a wasi trzej ochroniarze leżą martwi — skłamał. — Chcecie do nich dołączyć?

Starsza kobieta wbiła w niego pełen nienawiści wzrok i uparcie milczała.

Randi starała się trzymać nerwy na wodzy.

— Może wydaje się wam, że skoro do tej pory byliśmy dla was mili, to was nie zabijemy.

Macie rację, pewnie do tego nie dojdzie. Jesteśmy dobrymi ludźmi. Ale — dodała pogodnie —

zadawanie silnego bólu nie sprawia mi żadnych problemów. Czasem popełnia się błędy. Czy wyrażam się jasno?

To do nich przemówiło. Przynajmniej do pozostałej trójki. Kiwali pospiesznie głowami.

— Świetnie. Więc kto z was poda mi nazwę firmy, dla której pracujecie, i hasła komputerowe?

— I — dodał Smith, wpatrując się w kierowniczkę — po co wam "gorąca strefa" do witamin i antybiotyków?

Kobieta pobladła. Ręce jej drżały, ale wciąż próbowała zastraszyć groźnym spojrzeniem pozostałą trójkę.

Niewysoki starszy mężczyzna zignorował ją.

— Przestań, Emmo. Jego głos był słaby, lecz stanowczy. — Teraz oni tu rządzą. Spojrzał na Jona. — Jaką mamy pewność, że nas nie zabijecie?

— Żadną. Ale możecie być pewni, że jeśli komuś stanie się krzywda, to teraz. Później będziemy zajęci demaskowaniem Victora Tremonta. Starszy mężczyzna z powagą pokiwał

głową.

— Wszystko wam powiem. Jon spojrzał na Randi.

— Skoro sytuacja jest opanowana, pójdę po Marty'ego. Przytaknęła ochoczo. Trzymała karabin wycelowany w czwórkę laborantów i myślała o Sophii. Była już blisko jej morderców.

Chciała ich ukarać, bez względu na wszystko.

— Mów — zwróciła się do starszego laboranta. — Ale szybko.

Marty siedział nieopodal szopy oparty o drzewo, z karabinem na kolanach. Nucił coś pod nosem. Przyglądał się roztańczonym promieniom słońca, które przebijały przez gałęzie. Oparty o pień człowiek z krótkimi nóżkami wyciągniętymi na sosnowym poszyciu, ze skrzyżowanymi stopami, wyglądał jak beztroski skrzat ze starej bajki. Chyba że spojrzało mu się w oczy. Na nich skoncentrował się Smith, gdy cicho i ostrożnie zbliżał się do niego. Zielone oczy Marty'ego przybrały niemal szmaragdowy odcień. Malował się w nich niepokój.

— Coś nie tak?

Marty podskoczył.

— Matko Boska, Jon! Następnym razem rób więcej hałasu. Pocierał oczy, jakby go piekły. Z radością melduję, że nikogo nie widziałem i nie słyszałem. W szopie też było spokojnie, ale ci trzej nie mają dużego pola do popisu, wzięwszy pod uwagę, jak dobrze ich związaliśmy. Mimo to stwierdzam, że nie nadaję się na wartownika. To jest nudne i mam zbyt dużą odpowiedzialność niewłaściwego rodzaju.

— Rozumiem cię. Może chciałbyś dla odmiany pobuszować trochę w komputerze?

Marty rozchmurzył się.

— Nareszcie. Oczywiście!

— Chodźmy do domu. Chciałbym, żebyś przeszukał dokumenty Tremonta.

— Ach, ten Victor Tremont. Wszystko przez niego. Marty zatarł ręce. Weszli do środka i minęli szybko rząd zamkniętych drzwi, Smith usłyszał jakiś dźwięk. Znajdowali się na korytarzu niemal w tym samym miejscu, gdzie Randi wydawało się, że coś usłyszała.

Staął i chwycił Marty'ego za ramię.

— Nie ruszaj się. Posłuchaj. Słyszysz coś?

Stali i powoli obracali głowy, jakby samym ruchem mogli wyostrzyć słuch.

Jon obrócił się.

— Co to było?

Marty zmarszczył brwi.

— Chyba ktoś krzyknął.

Dźwięk powtórzył się. Stłumiony głos z oddali. Męski głos.

— To tu. Jon przytknął ucho do drzwi. Były grubsze i solidniejsze od pozostałych, zamknięte na ciężką zasuwę. Z drugiej strony dobiegały ledwo słyszalne krzyki.

— Otwieraj! — powiedział Marty.

— Dawaj karabin. Jon przestrzelił zamek z wielkiego karabinu szturmowego.

W laboratorium dobiegły ich przerażone krzyki. Drzwi ustąpiły, weszli ostrożnie do środka.

Tuż za pierwszymi drzwiami natknęli się na drugie. W nich Smith też przestrzelił zamek. Znaleźli się w dużym salonie. Za łukowatą arkadą mieściła się kuchnia, jadalnia, barek i korytarz, który prawdopodobnie prowadził do sypialni. Hałas — teraz już wyraźny — dochodził z korytarza.

— Zostań tu i osłaniaj mnie. Marty nawet nie próbował protestować.

— Zrobię, co będę mógł.

Jon ostrożnie przekradł się do korytarza. Ten, kto krzyczał, zorientował się już pewnie, że ktoś nadchodzi. Rozległo się walenie w trzeciej drzwi. Jon nacisnął klamkę. Były zamknięte.

— Kto tam jest? — zawołał.

— Mercer Haldane! — ryknął wściekły głos. — Czy to policja! Aresztowaliście Victora?

— Niech się pan odsunie — zawołał Jon. Zwykły pokojowy zamek unieszkodliwił berettą.

Drzwi odskoczyły. W pomieszczeniu, które wyglądało na sypialnię, siedział w fotelu niski, starszy mężczyzna z grzywą niesfornych siwych włosów, grubymi białymi brwiami i gładko ogoloną twarzą choleryka. Przypominał małego zadziornego koguta. Był zakuty w kajdanki i przykuty łańcuchem do ściany, ale nie zakneblowany.

— Kim pan jest? — zażądał wyjaśnień.

— Podpułkownik Jonathan Smith. Doktor medycyny. To mnie wasi ludzie próbowali zamordować.

— Zamordować? Dlaczego, na litość boską... Przerwał. — Ach tak, Victor. Wiem, że martwił się o...

Doktor medycyny, mówi pan? Z Centrum Kontroli czy Inspektoratu Żywności i Leków?

— Z Instytutu Chorób Zakaźnych.

— Fort Detrick, oczywiście. Schwytaliście tego drania?

— Próbuujemy.

— No to pośpieszcie się. O piątej ma dostać ten piekielny medal. A pieniądze pewnie minutę później. I nie wiadomo, gdzie będzie o szóstej. Jeśli go dobrze znam, to daleko stąd.

— Musi nam pan pomóc.

— Oczywiście.

— Myśli pan, że to on wywołał epidemię?

— Pewnie, że tak. Po co by mnie tu więził? Nie wiem tylko, jak to zrobił. Jon kiwnął głową,

— Rozumiem. Teraz niech pan uważa. Przestrzelę łańcuch. Mercer Haldane skulił się ze strachu.

— Mam nadzieję, że ma pan dobre oko. Chciałbym pożyczyć jeszcze trochę, żeby rzucić Victora na kolana.

Smith przestrzelił zamek i pomógł staruszkowi wstać.

— Moja partnerka jest w laboratorium. Chcemy dostać się do dokumentów Tremonta.

— Gdzieś je ukrył. Też próbowałem je znaleźć.

Jon poklepał Marty'ego po plecach.

— Ale pan nie miał mojej tajnej broni.

Jon i Marty wrócili do laboratorium w towarzystwie niskiego staruszka o czerwonej i gniewnej twarzy pod burzą siwych włosów. Randi czekała na nich. Wcześniej zamknęła laborantów w sali konferencyjnej.

— Co to za strzały? O mało nie dostałam ataku serca.

Jon przedstawił jej Mercera Haldane'a.

— Co powiedział ci ten laborant? — zapytał.

— Pracują dla firmy Tremont & Associates. Hasło dostępu do komputera brzmi Hades.

Marty ruszył do najbliższego terminalu. Haldane deptał mu po piętach. Twarz Zellermana była odprężona. Cieszył się, że wraca do znanego mu świata. Nie patrząc nawet na Haldane'a, wręczył mu

swój karabin, usiadł, rozprostował palce i przystąpił do pracy. Haldane przysunął

stołek i usiadł obok niego. Jon odebrał byłemu dyrektorowi karabin. Nie ufał mu.

— Mercer Haldane jest byłym prezesem i dyrektorem wykonawczym Blancharda —

wyjaśnił Randi. — W zeszłym tygodniu Tremont zmusił go do ustąpienia i zajął jego stanowisko.

— Jak mu się to udało?

— Haldane twierdzi, że go szantażował. Ale mnie się wydaje, że go kupił za część zysków z programu Hades. Tak Tremont nazwał program badań nad wirusem i surowicą. Przez ponad dziesięć lat ukrywał go przed Haldanem i Blanchardem.

— Idealna nazwa jak na piekło, które rozpętali. Co ci jeszcze powiedział?

— Mniej więcej to, do czego sami doszliśmy. Tremont znalazł wirusa w peruwiańskiej Amazonii, sprowadził go do Blancharda razem z prymitywnym indiańskim lekarstwem: pełną antygenów krwią małp, które przeżyły chorobę. Niektórzy Indianie piją krew i co roku wielu z nich w ten sposób ratuje sobie życie. Tremont powołał tajny zespół, korzystając z personelu i pieniędzy firmy. Tutaj prowadzili większość prac nad wirusem. Chcieli, żeby mutacja następowała coraz wcześniej. Wyizolowali formę wirulentną, która mogła przetrwać nie zamrożona mniej więcej jeden dzień. W ten sposób opracowali surowicę.

— Tylko tyle ci powiedział? Była rozczarowana.

— Tak. Jest też pewien, że Tremont w jakiś sposób wywołał epidemię.

— To jest...

W laboratorium rozległ się okrzyk wściekłości.

— Do niczego! Wszystko do niczego!

Marty spojrzał na Haldane'a, a potem na salę konferencyjną, w której zamknięto laborantów.

— W archiwum Tremont & Associates nic nie znalazłem. Bełkot o antybiotykach, witaminach i lakierze do włosów! Ten laborant okłamał nas.

— Nie — Haldane zrozumiał coś. — To sprawka Victora. Firma jest przykrywką. Ci ludzie są laborantami. Wykorzystywał ich, ale nic im nie mówił. Myślą, że pracują dla Tremont & Associates. Hasło Hades to taki jego żart dla wszystkich, którzy będą chcieli włamać się do komputera.

Jon przytaknął.

— To podobne do kogoś, kto przeprowadził eksperymenty na ludziach. Ale gdzieś muszą być prawdziwe materiały, Marty. Szukaj dalej. Marty był zniechęcony. Lekarstwa jeszcze nie przestały

działać.

— Spróbuję, Jon. Potrzebuję tylko własnego...

Usłyszeli jakiś odgłos na zewnątrz. Niczym najbardziej zgrany zespół Jon i Randi ruszyli razem, żeby sprawdzić, co się dzieje. Górską drogą zbliżał się samochód, wzbijając obłoki kurzu.

Smith poczuł przypływ adrenaliny.

— Marty! Haldane! Pilnujcie laborantów.

Pomknęli do drzwi i zbiegli po schodach na podest. Padli na podłogę obok siebie i obserwowali korytarz między salonem i bocznym wejściem. Randi patrzyła na intensywne niebieskie oczy, szeroką, teraz kamienną twarz z mocnym podbródkiem, zaczesane do tyłu włosy Jona.

— Co robimy?

— Zaraz się dowiemy. Nie patrzył na nią. Nie musiał. Czuł jej obecność, jak życzliwego przyjaciela.

Dwa razy trzasnęły zamykane drzwi samochodu. Czyjeś kroki szybko zbliżały się do domu.

Usłyszeli cichy i niecierpliwy głos.

Rozdział 45

15.32, Lake Magua, stan Nowy Jork

Szybkie kroki, ciche i lekkie, zbliżały się do nich korytarzem.

— Co do... — zaczęła Randi.

Zanim Jon zdążył odpowiedzieć, pod schodami pojawił się wielki doberman. Samson spojrzał do góry, wyszczerzył kły i napiął potężne mięśnie.

Smith wstał, chowając za plecami berettę.

– Samson, siad!

Zdziwiony pies zadarł głowę. Jon powtórzył komendę i zwierzę rozpoznało w nim jednego z

"przyjaciół", których Bili Griffin kazał mu obwąchać pod samochodem turystycznym. Powoli usiadł na tylnych łapach, cały czas patrząc do góry.

Jon podniósł głos. Miał ożywioną twarz.

— Peter?

Były żołnierz specjalnych służb powietrznych, szczupły i ogorzały, w czarnym stroju komandosa pod zapiętym trenczem, wyszedł z ukrycia.

– A któżby inny? Chyba nie myślicie, że Samson podszedłby do wroga? – Peter i doberman zaczęli wchodzić po schodach.

Randi podniosła się szybko.

— Dobrze znów cię widzieć, Peter.

Smith uśmiechał się szeroko. Przez chwilę wyglądał dziesięć lat młodziej.

— Martwiliśmy się.

— Żadnych wartowników na zewnątrz. To wasza robota?

— Tak — spokojnie powiedział Jon. — Cała reszta pojechała chyba na uroczystość.

— Oprócz czterech laborantów, których trzymamy pod kluczem — dodała Randi. — I byłego szefa Blancharda, który pomaga Marty'emu przy komputerze.

Przerwała. Razem z Jonem patrzyła na lewe ramię Petera, które zwisało bezwładnie przy boku. Na nadgarstku i dłoni pod długim rękawem płaszcza widać było zaschniętą krew.

— Jesteś ranny! Coś poważnego? Pokaż to — polecił Jon.

— To tylko draśnięcie.

— Podejdź tutaj i zdejmij płaszcz.

Peter westchnął i z Samsonem przy boku wszedł po schodach na górę. Jon przytrzymał mu drzwi do laboratorium.

— Marty — zawołała Randi. — Przyjechał Peter.

Marty powoli obrócił się w fotelu. Na jego okrągłą twarz wypłynął radosny uśmiech. Anglik odwzajemnił go. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.

W końcu Peter odezwał się jako pierwszy.

— Nie musisz się o mnie martwić, przyjacielu. Pamiętaj, że byłem w gorszych opalach na tyłu kontynentach, że aż nie chce mi się ich wymieniać. A teraz wracaj do roboty. W jego głosie brzmiała prawdziwa serdeczność.

Marty'emu rozbłysły oczy. Kiwnął lekko głową i wrócił do komputera. Właśnie opowiadał

Mercerowi Haldane'owi o Peterze, gdy doberman podszedł do niego. Marty poklepał go, pies westchnął i rozłożył się zmęczony u jego stóp.

— Nie przesadzaj — szepnął Anglik. — Krwawienie ustało. Nic mi się nie stanie, zanim trafię do lekarza.

— Przecież ja jestem lekarzem, wariacie. Może wszystko inne funkcjonuje ci normalnie, ale z pamięcią coś słabiutko.

Peter zrobił kwaśną minę i położył pistolet na stole laboratoryjnym. Jon pomógł mu zdjąć płaszcz. Howell miał na sobie tylko spodnie i pas komandosa. Tors był nagi. Kule trafiły w bok i w ramię. Rany opatrzone były czymś, co wyglądało na podarte kawałki koszuli.

Odwinął opatrunki, a Randi sprowadziła z sali konferencyjnej starszego laboranta. Przyniósł

dobrze zaopatrzony zestaw pierwszej pomocy. Kula przeszła Peterowi przez klatkę piersiową między żebrami, poniżej pachy. Żebro było prawdopodobnie pęknięte, ale pocisk nie naruszył

żadnych ważnych organów.

Rana na ramieniu tworzyła płytki tunel w mięśniu. Krwawienie prawie ustało. Jon obmył

rany, zastosował antybiotyk, odpowiednio opatrzył każdą z nich i nakłonił Petera, żeby zażył choćby aspirynę.

— Trzeba cię wysłać do szpitala, ale na razie to musi ci wystarczyć — powiedział.

— Czuję się jak nowo narodzony — oświadczył Peter. — Mów, czego się dowiedzieliście.

— Jest prawie pewne, że to tutaj Tremont i jego pracownicy wykonywali większość prac.

Marty i Haldane próbują teraz włamać się do bazy danych. Dopiero w zeszłym tygodniu Tremont odsunął Haldane'a. Facet twierdzi, że był szantażowany, ale ja podejrzewam, że przystał na sporą część miliardów, które mieli zarobić. Potem zaczęło go gryźć sumienie.

— Byłoby fajnie, gdyby sumienie gryzło więcej ludzi — zauważył Peter. — Sprawdźmy, jak im idzie?

— Fatalnie. Randi pokręciła głową ze zniechęceniem. — Marty jeszcze jest pod działaniem leków i ma problemy z ustaleniem, jak dostać się do danych. Ten system nie jest połączony z terminalem Blancharda, więc Haldane nie może pomóc.

Pochyliła się nad Martym i Haldanem. Marty stukał w klawiaturę, a Haldane siedział obok niego i tłumaczył, co znaleźli.

— Powiedźcie naszemu przyjacielowi — Peter skrzywił się, jakby samo mówienie pogłębiało ból — żeby się pospieszył. Razem z Samosonem zatrzymaliśmy wroga, ale w żadnym wypadku nie wyeliminowaliśmy go. Ten Arab, którego widzieliśmy w górach, jest chyba szefem, jak mówił Griffin. Uciekł z co najmniej dwoma ze swoich ludzi. Reszta nie będzie zdolna do działań w najbliższym czasie, jeśli w ogóle.

— Mogli cię śledzić? — zapytała Randi.

— Nie sędzę. Ale w końcu pewnie domyśla się, że Griffin lub Marty powiedzieli nam o rezydencji i że tu jesteśmy. W każdej chwili mogą przybyć z posiłkami.

— Słyszałeś, Marty? — powiedział Jon.

— Próbowałem już wszystkiego — zirytował się Zellerman. — Teraz próbuję połączyć się ze swoim komputerem, żeby skorzystać z moich programów. Dajcie mi jeszcze kilka sekund.

Irytacja i coraz szybsze tempo wypowiedzi wskazywały, że lekarstwa przestają działać.

Czekali więc cierpliwie.

— Niech ktoś zejdzie na dół i obejmie wartę — powiedział Smith. — Nie ty, Peter.

— Samson może iść. Jest lepszym wartownikiem od nas wszystkich. Peter odesłał psa.

— Połączyłem się! — krzyknął Marty.

— Dzięki Bogu — szepnęła gorączkowo Randi.

— Sprawdźmy, do jakiej firmy należy ten komputer. — Marty postukał w klawiaturę i na ekranie zaczęły migać permutacje — zbyt szybko, żeby mogli je śledzić. W końcu na monitorze pojawiło się logo i nazwa Blanchard Pharmaceuticals Inc.

— To znaczy, że Victor zarejestrował to urządzenie na nas i że płacimy za nie — powiedział Haldane. Niewyjaśniony dodatkowy system komputerowy był jedną ze znalezionych przez księgowych pozycji, których nie mogli przypisać żadnemu programowi badawczemu.

Marty nie przestawał bębnić w klawiaturę. Na ekranie zmieniały się kolejne liczby. Wreszcie rozbłysła nazwa: VAXHAM Corporation.

— Co to jest do diabła VAXHAM? — zapytał Haldane.

Marty pochylił się w skupieniu. Kliknął VAXHAM, otworzyła się długa lista katalogów.

Jeden z nich miał nazwę "Raporty Laboratoryjne". Wcisnął klawisz i szybko przejrzał datowane wpisy aż do pierwszego: z piętnastego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

— Rety — szepnął. — Raport o pierwszej reakcji łańcuchowej polimerazy małpiego wirusa z Peru!

— Wreszcie do czegoś doszliśmy. Jon przysunął sobie stołek. Obejrzał genetyczną mapę wirusa i porównał ją w myślach z genetyczną mapą wirusa, który zabił Sophię. Zagwizdał przeciągle i podniósł wzrok. — Wreszcie mamy potwierdzenie. Są identyczne. Małpi wirus i ten, który atakuje ludzi.

— Victor Tremont wiedział o tym przez cały czas — powiedziała ze złością Randi.

Każdego roku podsumowywano techniczne wyniki badań nad wirusem i surowicą.

Wykazywały one stopniowe skracanie okresu inkubacji wirusa przed śmiertelnym atakiem i stopniowy wzrost skuteczności surowicy na etapie wirulentnym — przynajmniej w testach z płytką Petriego i później z małpami. Było to potwierdzenie tego, czego się domyślili. Marty nie znalazł jednak żadnych danych o eksperymentach w Iraku ani o tym, jak wirus rozprzestrzenił się nagle na całym świecie z odległego Peru lub z VAXHAM Corporation Tremonta.

— Ostatni katalog jest zabezpieczony hasłem wyjaśnił Marty. — Przemądrzali głupcy — dodał szyderczo — myślą, że mogą powstrzymać Magika Zellerbacha!

Uniósł dłonie, jakby był pianistą i rzucił się na klawiaturę. Za pomocą własnego oprogramowania wywoływał na ekranie kalejdoskop słów, pytań, poleceń i obrazów. Zabrało mu to kilka sekund.

— Jest! — zachichotał. — Co za absurdalny banał.

Na ekranie ukazały się dwa słowa: "Dom Lucyfera".

— Hades — jęknął Jon.

— Ludzie — oświadczył uroczyście Marty — są przewidywalni i pozbawieni wyobraźni.

Wpisał hasło. Pierwsze dokumenty były skrupulatnymi sprawozdaniami finansowymi i bilansami z każdego roku, począwszy od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego do dziś. Wymieniono członków zarządu: Victor Tremont z około trzydziestu pięciu procent udziałów, George Hyem, Xavier Becker, Adam Cain i Jack McGraw po dziesięć procent każdy.

Marty natychmiast to zauważył.

— VAXHAM to akronim z pierwszych liter imion i nazwisk: Victor, Adam, Xavier, Hyem i McGraw. Dodano "A", żeby nazwa lepiej brzmiała.

— To najlepsi ludzie w firmie. Haldane był przerażony. — Wszyscy są szefami wydziałów, a McGraw — ochrony. Nic dziwnego, że tak długo im się udawało.

Głównymi udziałowcami byli: generał major Nelson Caspar i generał porucznik Einar Salonen (w stanie spoczynku).

— Masz swoich wojskowych — powiedziała Randi. Pokręciła głową z oburzeniem.

— I członków rządu — dodał z wściekłością Haldane. — Nancy Petrelli. Jest sekretarzem zdrowia i opieki społecznej. Mamy też kongresmena Bena Sloata.

Marty nie przerywał poszukiwań.

— To wygląda na coroczne dane o postępach w realizacji programu. Raporty operacyjne.

Przerwał. — A tutaj są dane o wysyłce antybiotyków.

Jon i Haldane pochyliłi się niżej.

Haldane nie krył zdziwienia.

— To są antybiotyki z Blancharda. Wszystkie. A te liczby to chyba nasza pełna podaż z każdego roku.

Zaintrygowani czytali dalej. Smith wciągnął głęboko powietrze. Wstał. Kipiał ze złości.

— A więc to tak! Światło jarzeniówek uwypuklało napięte mięśnie twarzy i mocne kości policzkowe. Ciemnoniebieskie oczy zmieniły się w otchłanie bez dna. Zdawał się walczyć z wątpliwościami, gniewem i rozpaczą.

Mercer Haldane podniósł wzrok. Randi odwróciła się do niego.

— O co chodzi, przyjacielu? — Peter siedział z boku, zmęczony i zbolący, lecz wyraz twarzy Jona sprawił, że zapomniał o wyczerpaniu.

Głos Jona był lodowaty.

— Marty, wydrukuj to. Wszystko. Zaczniij od raportów o postępach badań. Pospiesz się!

— Jon? — Randi z niepokojem obserwowała ściągniętą twarz i puste oczy Smitha. — Co to znaczy?

Wszyscy na niego patrzyli. W laboratorium zapadła cisza. Powoli omiótł wzrokiem probówki, mikroskopy i stoły, przy których w ciągu ostatnich dziesięciu lat wykonano tyle nikczemnej pracy. Czuł ból w piersiach i miał wrażenie, jakby z jego brzuchem zderzyła się ciężarówka. W końcu zaczął mówić.

Rozdział 46

Mówił ochrypłym głosem, powoli, jakby chciał jak najbardziej precyzyjnie dobrać słowa.

— Tajemnica kryje się za antybiotykami Blancharda. Mówiłem, że wirus nie jest wysoce zaraźliwy, pamiętacie? Zastanawiałem się, w jaki sposób mniej więcej w tym samym czasie można było doprowadzić do choroby i śmierci tylu milionów ludzi. Zgodnie z naszymi domysłami za sprawą tą stoi Victor Tremont. Zawahał się. Zacisnął pięści. — Ten drań rozesłał

wirusa po całym świecie we wszystkich antybiotykach produkowanych przez Blancharda.

Antybiotyki, które miały leczyć ludzi, wywoływały u nich nieuleczalną, śmiertelną chorobę.

Tremont i jego banda zainicjowali program Hades dziesięć lat temu. Przez całą dekadę zatruwano antybiotyki Blancharda i zarażano nimi miliony osób. Co gorsza, Tremont wiedział, że gdy wirus wejdzie w ostatnią fazę rozwoju, może nie mieć jeszcze lekarstwa!

— O cholera — powiedział z niedowierzaniem Peter. Jon mówił dalej, nie słysząc niczego.

— Rozsyłali wirus, żeby wywołać epidemię, która miała rozpocząć się po dziesięciu latach.

Każdego roku zmieniali wirusa, żeby mutował coraz wcześniej. Wszystko po to, żeby w tym roku zaatakował miliony, żeby mogli zaproponować lek i zarobić na tym krocie. Zaplanowali to.

zanim jeszcze było wiadomo, czy będą mieli surowicę, czy będzie skuteczna i czy będzie nadawała się do transportu. Skazali miliony ludzi na pewną śmierć i liczyli na to, że wyciągną od nich pieniądze, oferując skuteczne lekarstwo. Randi była wstrząśnięta. Pokręciła głową.

— Wszystko po to, żeby Blanchard i Tremont zarobili miliardy dolarów. Żeby wzbogacili się i żyli

w luksusie. Głos dziewczyny załamał się. — Dlatego umarła Sophia. Była w Peru i pewnie spotkała tam Tremonta. To rozmowę z nim usiłowano skasować. Gdy zaczęła badać nowego wirusa, przypomniała sobie coś i zadzwoniła do Tremonta. Nic dziwnego, że postanowił przerwać jej dochodzenie.

Jon spojrzał na Randi. Po policzkach spływały jej łzy. Jego oczy też zrobiły się wilgotne i poczuł drapanie w gardle. Wyciągnęła do niego rękę. Kiwnął głową i uścisnął ją.

Haldane wstał. Trząśł się z oburzenia.

— Mój Boże. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy coś równie podłego. Biedni ludzie, którzy potrzebowali naszych antybiotyków, uwierzyli, że nauka i medycyna ulżą im w cierpieniu.

Zaufali mojej firmie.

Jon odwrócił się do niego ze złością.

— A ile pan miał na tym zarobić, panie Haldane? Zanim nagle zmienił pan zdanie?

— Co? — Haldane zamrugał oczami. Jego pomarszczona twarz przybrała gniewny wyraz. —

Victor fałszował moje podpisy. Oszukał mnie! Postarał się, żeby wyglądało na to, jakbym na wszystko się godził. Co miałem robić? Zapędził mnie w kozi róg, byłem bezradny. Zamierzał

przejąć moją firmę. Coś mi się należało! Ja... Przerwał, jakby po raz pierwszy usłyszał własne słowa i opadł z powrotem na krzesło. Zawstydzony ściszył głos. — Nie wiedziałem wtedy, co zrobił, i jak straszne będą konsekwencje. Ale kiedy przejrzałem na oczy, nie mogłem dłużej milczeć. Zaśmiał się szyderczo. — Za późno. Oto, co o mnie powiedzą. Chciwy jak cała reszta.

Odnalazł resztki sumienia zbyt późno.

— Dobrze to pan ujął — stwierdził z obrzydzeniem Jon. Odwrócił się od Haldane'a i spojrzał na Petera i Randi. — Musimy...

— Jon!

Krzyk był tak głośny i pełen grozy, że wszyscy obrócili się w tę stronę. Zapomnieli o Martym, który nadal pracował przy komputerze i wpatrywał się w ekran. — Oni nie przestali. O

nie. Nie tylko zatruwali wirusem antybiotyki w przeszłości, ale robią to nadal! Tu jest napisane, że dziś rusza kolejny transport zarażonych lekarstw razem z pierwszą dostawą antywirusowej surowicy!

Zapadła gniewna cisza. Patrzyli po sobie — Jon, Randi, Marty, Peter i Mercer Haldane —

jakby nie dowierzali własnym uszom. Niemożliwe, żeby to była prawda.

— Chce doprowadzić do tego, żeby epidemia nigdy się nie skończyła. Jon był oszołomiony.

— Bomba nuklearna w porównaniu z tym to dziecinna zabawka — dodała Randi.

Bładoniebieskie oczy Petera przeszywały laboratorium. Chwycił się za ranne ramię, jakby ból nagle się wzmógł.

— Musimy pokrzyżować plany tego drania.

— Powinniśmy się spieszyć. Marty nadal czytał dane z monitora. — W chwili, gdy pierwsza partia opuści jego firmę, Ameryka i wiele innych krajów dokonają przelewu ponad dwóch miliardów dolarów do Blancharda. Obrócił się w fotelu. Oczy błyszczały mu z wściekłości. —

Wygląda na to, że wasz Victor Tremont otworzył niedawno rachunek bankowy na Bahamach.

Prawdopodobnie na wszelki wypadek.

— Jeśli dziś go nie powstrzymamy — powiedziała Randi — wyślą kolejny transport z wirusem, a Tremont ucieknie z miliardem dolarów.

— Ale jak? — jęknął Mercer Haldane, widząc, że szansę odkupienia win szybko znikają. —

Za godzinę Victor dostanie medal i wyśle transport! A prezydent będzie w siedzibie Blancharda pod ochroną tajnych służb, FBI, policji stanowej i lokalnej.

Jon kiwnął głową.

— Prezydent! W głowie pojawił mu się pewien plan. — W ten sposób powstrzymamy Tremonta. Powiemy prezydentowi, co zrobił.

— Jeśli się do niego dostaniemy — powiedziała Randi.

— Z dowodami na piśmie — dodał Peter.

— I z kimś, komu uwierzy — zakończył Jon. — To nie może być zdyskredytowany naukowiec i dezterter taki jak ja.

— Albo agentka CIA, którą do tej pory spisano już pewnie na straty — zgodziła się posepnie Randi.

— Mogę zaproponować pana Mercera Haldane'a — rzucił przez ramię Marty, który drukował dane programu Hades — byłego prezesa Blanchard Pharmaceuticals, który, przynajmniej na papierze, należy do tego nikczemnego spisku.

Wszyscy spojrzeli na siwego dyrektora. Pokiwał entuzjastycznie głową, widząc w tym planie szansę odzyskania poczucia godności.

— Tak, to mi się podoba. Chcę powiedzieć prezydentowi wszystko. Po chwili jego zapał

osłabł. — Ale Victor nie pozwoli mi przecież zbliżyć się do niego.

— Chyba nikt nie dostanie się dzisiaj do prezydenta — zgodziła się Randi.

Jon zacisnął usta.

— No, to znów jesteśmy w punkcie wyjścia. Musi być jakiś sposób, żeby powstrzymać Tremonta.

I to szybko — przypomniał Peter. — W każdej chwili może tu się zjawić ten cholerny al-Hassan i jego ludzie. Co robimy?

— Kto jeszcze będzie na uroczystości? — zapytała Randi. — Naczelnny lekarz kraju?

Sekretarz stanu? Szef sztabu prezydenta?

— Będą strzeżeni równie dobrze. Smith był tego pewien. — Poza tym ludzie Tremonta dopilnują, żebyśmy do nich nie dotarli. Ochrona Tremonta nie zawaha się przed użyciem przemocy. Pod pewnymi względami są gorsi od tajnych służb.

— Szkoda, że żaden z zagranicznych przywódców nie będzie przy tym obecny — Randi zastanawiała się głośno. — Mielibyśmy wtedy szansę, żeby...

— Czekajcie. Jon wpadł na nowy pomysł. Siedział na stołku obok Marty'ego. — Marty, możesz włamać się do zamkniętej sieci telewizyjnej?

— Jasne. Kiedyś przerwałem transmisję CNN. Zachichotał na wspomnienie swojego numeru. — Była to tylko lokalna stacja kablowa, a ja siedziałem w innym studio w tym samym budynku. Nie wiem, jak będzie z ogólnokrajową siecią kablową. Jak się nazywa? Jakie są kody komputerowe? Oczywiście będzie też potrzebna kamera.

— W Long Lake jest studio — powiedział Mercer Haldane.

— Będzie zajęte — zaproponowała Randi. — Wszędzie kręcą się technicy.

— W razie potrzeby postraszymy ich bronią. Mógłbyś przejąć transmisję?

Chyba tak.

— Dobrze, więc tak zrobimy.

— W całym miasteczku roi się od policji — Peter miał wątpliwości. Ktoś poruszył się w rogu pokoju. Starszy laborant, który wcześniej przyniósł Jonowi zestaw pierwszej pomocy, zbliżył się do nich powoli. Zapomnieli zamknąć go z powrotem w sali konferencyjnej. Miał

poszarzałą twarz.

— Nic nie wiedziałem o tym, co odkryliście. Robię tu tylko rutynowe analizy. Wyciągnął rękę, jakby błagał ich o przebaczenie. — Sam zażywałem antybiotyki Blancharda. Mam rodzinę, oni... Przełknął ślinę. — Oni też je zażywali od czasu do czasu przez wiele lat. Chciałbym...

— Pewnie nie wiecie, ale pan Tremont ma małe studio telewizyjne w rezydencji. Zainstalował je, żeby łączyć się z fabryką i miejscowym studio w celach reklamowych i do transmisji na żywo.

Jest bardzo nowoczesne. Mogę pokazać, gdzie jest.

— Marty? — zapytał Jon.

— Stąd będę pewnie potrzebował trochę więcej czasu. Był niezdecydowany.

Pierwszy szok związany z odkryciem planu Tremonta zaczynał mijać, umysł Smitha rozjaśnił się. Wydawało mu się, że jego mózg nigdy nie pracował tak sprawnie. Zerknął na zegarek i wydał polecenia.

— Mamy czterdzieści minut. Randi, jedziemy na uroczystość z wydrukiem wszystkich dokumentów. Będziemy próbowali podać je prezydentowi. Jeśli nie zdołamy zbliżyć się do niego, przynajmniej wywołamy zamieszanie i damy Marty'emu trochę czasu. Odwrócił się do Petera. — Zostaniesz tu z Samsonem, żeby chronić Marty'ego i Haldane'a. Panie Haldane, przed kamerą wygłosi pan mowę swojego życia.

— Dobrze. Były dyrektor wykonawczy przytaknął. — Może pan na mnie liczyć.

— Łatwizna — wymamrotał blady od upływu krwi Peter.

— Zabierzcie laboranta, żeby pokazał wam, gdzie jest studio, pozostałych trzech zostawimy pod kluczem. Weźmiemy broń na wypadek, gdyby trzeba było narobić hałasu. Wszystko jasne?

Pokiwali głowami. Przez krótką chwilę patrzyli na siebie, jakby próbowali dodać sobie otuchy. Potem w mgnieniu oka wybiegli z laboratorium. Peter, Marty i Haldane ruszyli korytarzem za laborantem. Jon i Randi popędzili do wynajętego samochodu.

Randi jechała szybko górską drogą w popołudniowym słońcu. To dziwne, że świat wyglądał tak zwyczajnie i pięknie. Dwa kilometry od rezydencji zobaczyli przed sobą obłoki kurzu.

— Zjeżdżaj! — krzyknął Jon.

Z piskiem opon Randi zjechała z drogi między wysokie sosny. Gałąź oderwała boczne lusterko. Wskoczyli z samochodu uzbrojeni po zęby i cofnęli się w głąb lasu. Przez gałęzie zobaczyli trzy furgonetki pędzące drogą.

— Jest. Jon rozpoznał na przednim siedzeniu pierwszej furgonetki Nadal al-Hassana, którego widział w Sierra Nevada. — Wcale mnie to nie dziwi.

— Al-Hassan — potwierdziła Randi. Widziała go z samochodu turystycznego Petera i dobrze zapamiętała.

— Strzelaj wszystkim, co mamy, żeby myśleli, że jest nas dużo, ale nie celuj w opony.

— Dlaczego? — zdziwiła się Randi. .

— Muszą ruszyć w pościg za nami. Nie chcemy, żeby dotarli do rezydencji.

Strzelali oburącz ze wszystkich karabinów. Trafiali głównie w powietrze, ale narobili wystarczająco dużo szkód, żeby wszystkie trzy wozy zjechały z drogi. Gdy tylko koła trzeciej furgonetki skręciły na pobocze, Jon i Randi pomknęli do swojego samochodu. Randi wjechała znów na drogę i gdy mijali al-Hassana i jego ludzi, zauważyli, że jedna z furgonetek ma przestrzelone przednie opony. Stała porzucona wśród drzew.

— Cholera! — zaklął Jon.

— Peter i Samson poradzą sobie z nimi, jeśli będzie trzeba. Dwie pozostałe furgonetki miały powybijane okna, lecz poza tym nie ucierpiały zbytnio. Wtoczyły się z powrotem na drogę. W

lusterku zobaczyli, że dwaj mężczyźni z unieruchomionego wozu wsiedli do sprawnych wozów, które ruszyły za Jonem i Randi. Pędzili w stronę odległej o trzy kilometry autostrady.

— Niech za nami jadą aż do Long Lake — powiedział Smith. — Nie daj się dogonić.

— Łatwizna — mruknęła Randi, naśladując głos Petera. Uśmiechnęła się ponuro.

Rozdział 47

16.52, Long Lake, stan Nowy Jork

Słońce wisało nisko nad górami. W parku Adirondack trwało piękne popołudnie — jedno z tych, które przyprawiając przyjemne dreszcze miłośników przyrody. Liście wysokich drzew przybrały bogate jesienne barwy, a sosny zdawały się sięgać do nieba. Powietrze było czyste i rześkie. Kwitły ostatnie stokrotki. Na trawniku pośrodku rozległego kompleksu siedziby Blanchard Pharmaceuticais, na białych rozkładanych krzesłach w głębi sceny siedzieli dygnitarze. Z niecierpliwością czekali na rozpoczęcie wyjątkowej uroczystości. Przed podwyższeniem zebrał się ożywiony tłum.

Prezydent Samuel Adams Castilla czekał w ustawionym specjalnie dla niego namiocie. Z

zadowoleniem myślał o zbliżającej się ceremonii. Prezydent, który chciał wygrać kolejne wybory, miał wymarzoną publiczność. Składała się z miejscowej ludności, przedstawiciele większości państw świata, dziennikarzy i reporterów ze wszystkich największych sieci informacyjnych. Ta historyczna uroczystość transmitowana do każdego zakątka świata, a przede wszystkim do narodu amerykańskiego, powinna zapewnić mu zwycięstwo.

Obok niego stał Victor Tremont. Powoli przesuwając spojrzenie po falującym tłumie. Jego myśli były mniej optymistyczne. Dręczyło go przecucie, że stanie się coś złego, jakby ojciec stał

nad nim i powtarzał: "Nikt nie może mieć wszystkiego". Wiedział, że nie ma podstaw do takiego nastroju, ale nie mógł przestać się martwić. Ten piekielny Smith i siostra tej idiotki Russell znowu wymknęli się al-Hassanowi i jego ludziom. Zniknęli. Tremont od tamtej pory nie miał

żadnych wiadomości od al-Hassana.

Wiedział, że jest przygotowany na każdą ewentualność, a jednak niepokoił się i usiłował

wypatrzeć w tłumie groźną parę. Żałował, że odebrał telefon Sophii Russell. Że też zapamiętała króciutkie spotkanie sprzed dwunastu lat.

Przypadek. Zupełnie nieprzewidywalny element wszelkich ludzkich poczynań.

Ale on nie da się powstrzymać.

Właśnie analizował wszystkie swoje działania, kiedy zaczęła grać orkiestra dęta.

— Zaczynamy — powiedział z zadowoleniem prezydent. — To wielki dzień, doktorze Tremont. Radujmy się nim.

— Tak, panie prezydencie. Jeszcze raz dziękuję za zaszczyt.

Prezydent i Tremont wyszli z namiotu pod ochroną. Oklaski, najpierw pojedyncze, szybko zamieniły się w burzliwą owację. Obydwaj uśmiechali się i machali do publiczności. Tremont zgodnie z podanymi wcześniej instrukcjami trzymał się z tyłu, żeby prezydent mógł wejść na podwyższenie jako pierwszy. Szedł za nim i próbował zapamiętać szczegóły uroczystości.

Podwyższenie udekorowano metrami czerwonego, białego i niebieskiego materiału. Podium ozdobiono niebieskożółtą prezydencką pieczęcią. Za podwyższeniem wznosił się olbrzymi ekran telewizyjny, żeby wszyscy mogli obejrzeć dygnitarzy z całego świata, którzy mieli wystąpić z przemówieniami.

Weszli po schodach na scenę przy nie słabnącym aplauzie. Sześć rzędów dygnitarzy wstało, żeby przywitać prezydenta. Byli to członkowie gabinetu, między innymi rozpromieniona Nancy Petrelli, przewodniczący Połączonych Sztabów, generał major Nelson Caspar ze swoim zastępcą, delegacja kongresmanów z Nowego Jorku i ambasadorowie z pięćdziesięciu krajów.

Przy podium stał, górując nad całą resztą, naczelny lekarz kraju, Jesse Oxnard, z wielką głową i sumiastym wąsem. Klaskał razem z innymi. W końcu wstąpił na podium, żeby dokonać prezentacji.

17.03

Jon i Randi stali w tłumie w odległości kilku metrów od siebie. Udało im się umknąć osłabionym prześladowcom i pół godziny temu dojechali do Long Lake. Rozglądali się po zatłoczonych chodnikach w poszukiwaniu miejsca, w którym mogliby się przebrać. W końcu znaleźli sklep z ubraniami, potem sklep z zabawkami i drogerię na głównej ulicy, będącej jedną z niewielu tras przecinających park Adirondack. Zaopatrzyli się w tych trzech punktach i przebrali w publicznych toaletach. Gdy wreszcie byli gotowi, Jon miał ciemniejszą skórę i wyglądał na mieszkańca gór. Workowatej spodnie do polowania, kraciasty płaszcz i postrzępione czarne wąsy z dziecięcej maski uzupełniały przebranie. Randi ubrała się w szarą mysią sukienkę i buty na niskim obcasie, a włosy przyciemniła pastą do butów. Do tego założyła słomkowy kapelusz.

Nie zwracali niczyjej uwagi. Zainteresowanie budzili zagraniczni obserwatorzy i dziennikarze. Ale na obrzeżach tłumy i z samej sceny tajni agenci, agenci FBI i ochroniarze z Blancharda obserwowali czujnie publiczność na wypadek, gdyby zjawili się nieproszeni goście.

Jon i Randi często się przemieszczali. Trzymali nisko głowy, a na twarzach mieli spokojny życzliwy uśmiech. Starali się wyglądać na swobodnych.

Gdy zagrała orkiestra i wszyscy zwrócili oczy ku prezydentowi Castilli i Victorowi Tremontowi, którzy szli w stronę sceny, Randi przysunęła się do Jona.

— Ta kobieta z krótkimi siwymi włosami w wełnianej garsonce — szepnęła — to Nancy Petrelli, a generał w drugim rzędzie za admirałem Bose to Nelson Caspar.

— Podejrzewam, że Ben Sloat i generał Salonen też gdzieś tu są.

Plan był prosty: zamierzali przedrzeć się jak najbliżej sceny, żeby zwrócić na siebie uwagę prezydenta i spróbować wykrzyknąć, o co im chodzi. Pomachać dokumentami. Rzucić przy świadkach oskarżenia Tremontowi i jego poplecznikom. Być może któryś z nich straci głowę i przyzna się. Chcieli przynajmniej przekonać prezydenta, żeby ich wysłuchał. W końcu to publiczne zgromadzenie.

To wszystko, jeśli im się poszczęści.

Jeśli nie, dadzą szansę Marty'emu, żeby przechwycił transmisję. Mercer Haldane potwierdzi ich słowa.

Lecz najpierw musieli przecisnąć się przez tłum, nie zwracając na siebie uwagi setek ochroniarzy, którzy wypatrywali intruzów, awanturników, terrorystów... i ich.

17.09, Lake Magua

Marty szalał przy komputerze w nowoczesnej reżyserce małego studia telewizyjnego w wiejskim ustroniu Victora Tremonta. Mamrotał pod nosem i mówił do siebie.

— Gdzie jesteś, bestio! Wiem, że gdzieś się chowasz. Dawaj kod i hasło, niech cię diabli!

Jeszcze raz, firma telefoniczna...

Mercer Haldane czekał w studio z czterema laborantami i powiększonymi wydrukami komputerowymi. Za nimi rozciągała się malownicza panorama lasów Adirondack z wysokimi szczytami Whiteface i Marcy w tle. Haldane pocił się.

Bez przerwy ocierał twarz i jednocześnie obserwował Marty'ego za oknem reżyserki. Zerkał nerwowo na zegarek.

— ...w porządku, tak! Mam cię. Jestem w firmie telefonicznej. Teraz linia do lokalnej kablówki. No szybciej... szybciej... Wiem, że chcesz, żebym cię znalazł... Tak, to jest to... Do licha!

Na korytarzu przy drzwiach studia pełnił wartę Peter. Nasłuchiwał, czy Samson nie wydaje ostrzegawczych dźwięków. Od czasu do czasu spoglądał na zegarek i na gorączkowe wysiłki Marty'ego.

Aha! Mam cię. Teraz reżyserka. Już za momencik... Już za... Niech cię licho porwie! Nie powstrzymasz mnie... Nie możesz... Pot kapał mu z czoła, a palce śmigały po klawiaturze.

Gorączkowo szukał klucza dostępu do systemu.

17.12, Long Lake

Naczelny lekarz kraju wychwalał zalety Victora Tremonta i mądrość prezydenta. Jon i Randi przesuwali się do przodu i stopniowo zbliżali się do siebie.

Jon zauważył dziobatego mordercę Victora Tremonta, Nadala al-Hassana. Rozmawiał

właśnie z mężczyzną, który mógł być szefem grupy agentów FBI. Jedną ręką zakreślał szeroki łuk nad tłumem, w drugiej trzymał plik zdjęć. Jon domyślał się, kogo przedstawiały. Stłumił jęk.

Prezentacja dokonana przez Oxnarda dobiegła końca. Teraz na podium wstąpił prezydent.

Miał poważną twarz. Potoczył wzrokiem po zebranej publiczności i odwrócił się do siedzących za nim dygnitarzy. Zatoczył pełne koło, przesunął oczyma po czujnych plecach ochroniarzy i znów stanął twarzą do zachwyconej publiczności.

— Nastaly potworne czasy — zaczął. — Cały świat cierpi. Miliony umierają. Mimo to zebraliśmy się tutaj, żeby się radować. I nie ma tym nic niewłaściwego. Człowiek, którego chcę nagrodzić, przejdzie do historii nie tylko jako wizjoner, lecz również wielki filantrop...

Prezydent mówił dalej patetycznym, miarowym tonem. Jon i Randi przedzierałi się nieugięcie do przodu, czasem po kilka kroków, czasem po kilka metrów na raz. Uważali, żeby nikogo nie potraścić, nie zwrócić na siebie uwagi. Usiłowali sprawiać wrażenie zainteresowanych przemówieniem prezydenta, który szybko przeszedł do sedna sprawy.

...Z ogromną przyjemnością i wdzięcznością wręczam najwyższe cywilne odznaczenie naszego kraju doktorowi Victorowi Tremontowi. Jest on słońcem, które wkrótce rozświetli panujące na świecie ciemności.

Victor Tremont chciał wyglądać na poważnego, lecz zadowolonego, skromnego, ale silnego.

Miał też wielką ochotę po prostu roześmiać się głośno i triumfalnie. W rezultacie podszedł do podium z groteskowym grymasem na twarzy. Medal został wręczony i przyjęty ze skromnym zażenowaniem, a nad wszystkimi rozświetlił się gigantyczny ekran, ukazujący brytyjskiego premiera.

17.16

Czarne oczy Nadal al-Hassana powoli omiatały falujący tłum. Co kilka minut spoglądał na zdjęcia Jonathana Smitha i Randi Russell i wznawiał obserwację. Ciemna, wąska twarz bez wyrazu obracała się jak u polującej modliszki, co chwila zatrzymywał zimne spojrzenie na twarzy lub sylwetce przypominającej którąś z wypatrywanych w tłumie ofiar.

Był pewien, że gdzieś tu są. Smith okazał się bardziej pomysłowym i niebezpiecznym przeciwnikiem, niż się spodziewał. Nie ufał stanowej i miejscowej policji, starym żołnierzom i emerytowanym policjantom z ochrony McGrawa ani FBI. Praca tajnych agentów ograniczała się do zapewnienia bezpieczeństwa prezydentowi. Ochrona Victora Tremonta i programu Hades spoczęła na jego barkach.

Nie przestawał lustrować publiczności spod ciężkich powiek. W zimnym świetle zachodzącego słońca dzioby na jego twarzy zaznaczały się wyraźniej. Wciągnął gryzącą woń dymu, która unosiła się w chłodnym powietrzu. Zapach ten przypominał mu o jego koczowniczej młodości, którą spędził wokół ognisk w północnym Iraku. Nie były to wspomnienia, do których chętnie wracał. Przeszedł długą drogę od skromnych początków. Program Hades miał być kulminacją tej podróży. Nikt nie odbierze mu nagrody.

I nagle zauważył ich. Odetchnął głęboko.

Smith miał na sobie workowate spodnie, płaszcz w kratę i postrzępione czarne wąsy.

Agentka CIA przebrała się w szarą mysią sukienkę, założyła słomkowy kapelusz i przyciemniła włosy. Ale przed nim nie mogli się ukryć.

Szepnął coś do McGrawa i zaczął przedzierać się przez tłum. Ogarnęło go podniecenie.

17.16, Lake Magua

Z dzikim wzrokiem Marty pochylał się tak nisko nad klawiaturą, że pot skapywał prosto na klawisze. Próbował sforsować ostatnią przeszkodę i przejąć kontrolę nad transmisją.

Już dawno przestał mamrotać i pokrzykiwać. Pogrążył się w głębokim, pełnym determinacji milczeniu.

Mercer Haldane stał z laborantami przed jedyną kamerą. Była włączona, ustawiona i przygotowana do transmisji. Cały czas ocierał pot, który zalewał mu twarz. Nikt się nie odzywał.

W studio zawisło napięcie.

Peter nie obserwował już korytarza i słuchał tylko ciszy, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Nie wiedział, co się dzieje w Long Lake, ale zdawał sobie sprawę, że przemówienia musiały rozpocząć się co najmniej dziesięć minut temu. Miał nadzieję, że Jon i Randi zbliżą się do sceny, żeby wykrzyczeć oskarżenia przed prezydentem, publicznością, tajnymi agentami, Tremontem i telewidzami na całym świecie.

Oskarżenia, których nie zdołają udowodnić... jeśli w ciągu kilku najbliższych sekund Marty nie przechwyci transmisji.

17.17, Long Lake

Jon i Randi dotarli do drugiego rzędu stłoczonej publiczności. Przed nimi wznosiła się scena ozdobiona kolorowymi patriotycznymi symbolami. Cały tłum, wszyscy dygnitarze, Victor Tremont i prezydent wpatrywali się w przemawiającego z ekranu brytyjskiego premiera, który zasypywał Victora Tremonta pochwałami i podziękowaniami.

Jon westchnął i skinął na Randi. Przedarli się przez ostatni rząd ludzi. Zaczęli krzyczeć do odwróconego do nich plecami prezydenta.

— Tremont jest oszustem i masowym mordercą! — ryknął Smith. Pomachał wydrukami tajnych dokumentów. — Sam wywołał epidemię! Dla pieniędzy. Żeby wydrzeć miliardy całemu światu!

Zaskoczony prezydent odwrócił się na dźwięk pierwszych słów Jona.

Victor Tremont też.

— Mają broń! — zawołał. — Ten człowiek to dezertor, zbuntowany naukowiec i zabójca.

Zastrzelcie go!

Agenci zeskoczyli ze sceny i rzucili się w stronę Jona. Wtedy zaczęła krzyczeć Randi.

— Tremont cały czas zaraza miliony ludzi! Rozsyła wirusa w antybiotykach. Codziennie wysyła transport zarażonych leków. Nawet dzisiaj!

Nadal al-Hassan i jego ludzie przedzierali się przez tłum w ich stronę. Jack McGraw wydawał rozkazy ochroniarzom.

Jon wyrywał się agentom. Udało mu się pomachać papierami.

— Mam dowody! Mam dokumenty...

Chmara agentów przygniotła go do ziemi.

Inni rzucili się na Randi. Poczwała ostry ból w barkach. Znaleźli jej uzi.

— Jest uzbrojona!

Nadal al-Hassan nadciągał z ukrytą u boku bronią.

17.18, Lake Magua

— Jesteśmy na wizji! — krzyknął do mikrofonu Marty.

— Jazda! — zawołał Peter.

Mercer Haldane wciągnął głęboko powietrze i zaczął mówić.

17.18, LongLake

Na scenie pozostali agenci starali się odsunąć prezydenta. Wielki ekran nad kłębiącym się tłumem zgasł na sekundę. Po chwili ukazała się na nim pełna godności twarz Mercera Haldane'a o siwych falistych włosach. Stał w tajnym laboratorium. Za nim czterej laboranci trzymali wielkie powiększenia najbardziej kompromitujących dokumentów. Zdziwiony tłum uciszył się.

— Nazywam się Mercer Haldane. Jego słowa zadudniły jak grzmot. Marty'emu udało się jakoś zwiększyć głośność. — Do zeszłego tygodnia byłem prezesem i dyrektorem wykonawczym Blanchard Pharmaceuticals. Mam wiadomości o wirusie, których musicie uważnie wysłuchać.

Od tego zależy wasze życie. Victor Tremont uczynił nam wszystkim wielkie zło. Zaszokowani widzowie, a nawet tajni agenci, nie odrywali oczu od ekranu. — Dziesięć lat temu przystąpił do realizacji potwornego projektu. Nazwał go programem Hades. Podczas wojny w Zatoce zaraził dwunastu żołnierzy rzadkim śmiertelnym wirusem, odkrytym przez niego w peruwiańskiej dżungli. Potem zarażał żywym wirusem antybiotyki z firmy Blanchard i rozsyłał je po całym świecie. Ten wirus pozostaje w stanie uśpionym przez...

Prezydent przestał słuchać. Otoczony przez czujnych agentów wpatrywał się w gigantyczny ekran. Powoli dotarła do niego treść słów Mercera Haldane'a. Dygnitarze słuchali w skupieniu.

Tłum pogrążył się w pełnym grozy milczeniu, a tymczasem Mercer Haldane podawał dane, daty i liczby.

Tłum zaczął szemrać, początkowo cicho, jak ledwie słyszalne tornado w oddali, potem coraz głośniejsze.

Agenci puścili Jona i Randi.

Na potężnym ekranie Haldane pokazał listę członków zarządu i udziałowców VAXHAM Corporation.

Zebrani ludzie zdawali się rozumieć i wierzyć w jego słowa. Prezydent wydał rozkaz i agenci otoczyli Nancy Petrelli, generała Caspara, Bena Sloata, wściekłego generała Salonena i czterech członków zarządu VAXHAM.

Prezydent spojrział na zebranych.

— Sprowadźcie tych dwoje, którzy krzyczeli. Chcę zobaczyć, co chcieli mi pokazać — powiedział.

Randi minęła agentów, wskoczyła na scenę i wręczyła mu wydruki.

— Panie prezydencie, musi pan natychmiast aresztować Victora Tremonta. W przeciwnym razie ucieknie i przeleje miliardy dolarów na swoje zagraniczne konta bankowe.

Prezydent przejrzał dokumenty i wydał rozkaz. Agenci rozbiegli się w poszukiwaniu Tremonta.

Szef ochrony wbiegł na scenę.

— Nie ma go, panie prezydencie. Victor Tremont zniknął!

Randi rozejrzała się.

— Jon też! — powiedziała podniesionym głosem. Znajdźcie ich! — zawołał prezydent.

17.36

Podziemne korytarze pod głównym budynkiem Blanchard Pharmaceuticals były jasno oświetlone, zastawione skrzyniami, starym sprzętem i meblami biurowymi. Poniżej znajdował się kolejny poziom, gdzie światło było mniej intensywne. Tutaj mieściły się maszyny, które ogrzewały, chłodziły i zaopatrywały wielki budynek. Wydawały cichy szum.

Poniżej znajdował się jeszcze jeden poziom, nieoznaczony. Rzadko odwiedzany. Był

ciemny, wilgotny, poprzecinany wąskimi korytarzami. Nie było tam cicho. Od ścian odbijały się echem kroki Tremonta i Nadal al-Hassana. Biegli z szybkością i pewnością właściwą tym, którzy wiedzą, dokąd zmierzają. Mieli ze sobą broń. Minęli stalowe drzwi po prawej stronie. Nie zatrzymali się, lecz dotarli do ściany przegradzającej korytarz. Była gładka jak pozostałe ściany głębokiej wilgotnej piwnicy. Po prostu koniec korytarza.

Victor wyjął z kieszeni marynarki niewielką czarną skrzynkę.

Nadal al-Hassan z podniesioną bronią obserwował niespokojnie korytarz.

Tremont wcisnął przycisk. Ściana przesunęła się ciężko w lewo. Za nią ukazały się drzwi z najmocniejszej stali, jaka była dostępna w czasie, gdy zostały zainstalowane na rozkaz Tremonta.

Było to wtedy, kiedy produkcja Blancharda przeniosła się do parku Adirondack. Tremont przekręcił gałkę i masywne drzwi uniosły się kilka milimetrów na pneumatycznych podnośnikach. Powoli uchylły się.

— Sprytnie — powiedział Jon, wychodząc z głównego korytarza z berettą, którą pewnie trzymał w obu dłoniach. Patrzyli w wycelowaną w nich broń. Gdy Mercer Haldane przemawiał

do wstrząśniętej publiczności, Jon zauważył, że Victor Tremont ucieka. W tłumie Jon nie mógł poruszać się sprawnie, ale nie miało to większego znaczenia. I tak go znalazł.

Nadal al-Hassan nie wahał się ani chwili. Na wąską twarz wypłynął słaby uśmiech.

Przekręcił pistolet i strzelił, zanim przebrzmiało echo słów Jona.

Kula chybiła Smitha o włos.

Jon też się nie wahał. Ale nie chybił. Wszystkie potworności minionych dwóch tygodni wróciły do niego w jednej chwili. Nacisnął spust i al-Hassan padł bezgłośnie do przodu.

Rozciągnął się jak długi na ziemi. Na szarym betonie przy głowie Araba zaczęła się tworzyć kałuża krwi.

Kula Tremonta też nie chybiła. Jon poczuł piekący ból w lewym udzie. Rzuciło nim na ścianę. Kolejne dwie kule minęły go i odbiły się rykoszetem, świszcząc w głównym korytarzu.

Wsparty o ścianę Jon starał się nie stracić przytomności. Znów strzelił. Kula trafiła Tremonta w prawe ramię. Zatoczył się na wpół otwarte drzwi i wypuścił pistolet, który z metalicznym brzękiem upadł na ziemię. Dźwięk uderzającej o beton broni odbijał się echem jak krzyk umierającego. Jon ruszył w stronę zbrodniarza, powłócząc krwawiącą nogą. Tremont nie cofał

się. Podniósł głowę. Wciąż wierzył, że każdego można kupić.

— Dam ci milion dolarów! Pięć milionów!

— Nie masz miliona dolarów. Za późno. Już nie żyjesz. Wyślą cię na krzesło elektryczne.

— Nie znajdą mnie. W tym pokoju jest wszystko — kiwnął głową za siebie, w stronę na wpół otwartych drzwi. — To schron. Tak im powiedziałem. Potem zniszczyłem plany. Nikt o nim nie wie. Kazałem go zbudować cudzoziemcom. Mam jedzenie, picie, łóżka, książki, komputer, telewizję. Mogę tu przeżyć całe miesiące. Nawet rok, jeśli będę musiał. Pieniądze przelano tam, gdzie nikt ich nie znajdzie. Nie znajdą mnie. Kiedy wyjdę, będę innym człowiekiem, z brodą i kolorowymi szklami kontaktowymi.

— Wiedziałem, że masz jakiś plan awaryjny.

— Nie jestem głupcem, Smith. To jedyne miejsce, które nikomu nie przyjdzie do głowy.

— Nie jesteś głupcem — przyznał Jon — tylko wampirem. Mordercą milionów ludzi. Za to rozprawi się z tobą świat. Ale zabiłeś też Sophię, a to moja osobista sprawa. I za to zapłacisz.

Jednym skinieniem ręki przerwałeś jej życie, kazałeś ją zlikwidować. Teraz moja kolej.

— Połowę! Dam ci połowę! Albo cały miliard. Więcej! — Tremont skulił się przy potężnych drzwiach. Drżał ze strachu.

Jon skoczył do przodu. W obu rękach trzymał pewnie berettę.

— Kochałem ją, Tremont. A ona kochała mnie. Teraz...

— Nie, Jon — usłyszał za sobą głos Randi. — Nie rób tego. Nie jest tego wart.

— Co ty możesz wiedzieć? Ja ją kochałem, do jasnej cholery! Zacisnął mocniej palec na spuście.

— Już po nim. Jon. Jest tu FBI. Tajne służby. Mają ich wszystkich. Surowica jest już w drodze, żeby pomóc umierającym, i skonfiskowano wszystkie antybiotyki. Pozwól, żeby się nim zajęli. Niech świat się nim zajmie.

Smitha ogarnęła dzika złość. Oczy żarzyły się jak węgle. Zacisnął zęby. Zrobił jeszcze jeden krok. Od wykrzywionej twarzy Tremonta jego berettę dzieliły tylko centymetry. Dyrektor próbował znów coś

powiedzieć, ale zaschło mu w gardle. Wydobył z siebie tylko płaczliwy jęk.

— Jon? — głos Randi nagle zmiękł.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył Sophię. Cudowną twarz z dużymi, inteligentnymi oczami i słodkim uśmiechem. Zamrugał. Nie, to była Randi.

Sophia. Randi. Potrząsnął głową, żeby oczyścić umysł. Wiedział, czego chciała Sophia i czego życzyłyby sobie Sophia.

Znowu wciągnął głęboko powietrze. Popatrzył przez chwilę na trzęsącego się Tremonta.

Opuścił broń i cofnął się, powłócząc ranną nogą. Minął Randi i przedarł się przez grupę agentów.

Niektórzy z nich próbowali go zatrzymać.

— Dajcie mu przejść — powiedziała łagodnie Randi. — Nic mu nie będzie. Dajcie mu teraz spokój.

Jon słyszał ją, lecz oślepiły go łzy, które cisnęły mu się do oczu. Nie mógł ich powstrzymać.

Nie chciał. Spływały po policzkach. Skreślił w główny korytarz i pokuśtykał w stronę schodów.

Epilog

Sześć tygodni później, początek grudnia

Santa Barbara, Kalifornia

Santa Barbara... miasto palm i karmazynowych zachodów słońca. Miasto mew i lśniących jachtów z białymi żaglami łopoczącymi na turkusowych wodach kanału. Miasto pięknych młodych kobiet i przystojnych młodzieńców w skąpych strojach kąpielowych. Doktor medycyny Jon Smith, były wojskowy, starał się zająć umysł urodą tego leniwego raj, w którym wszelkie wysiłki wydają się bezcelowe, a głównym zajęciem jest rozkoszowanie się życiem, przyrodą i marzeniami.

Nieźle musiał się natrudzić, żeby wystąpić z wojska. Nie chcieli, żeby odchodził, ale wiedział, że tylko w ten sposób może odzyskać motywację do dalszego życia. Pożegnał się z przyjaciółmi w Instytucie, zatrzymał na dłużej w gabinecie Sophii. Jakiś gorliwy młodzieniec z szufladą pełną dyplomów porozkładał już swoje rzeczy tam, gdzie kiedyś leżały jej pióra, notatki i perfumy. Z mniejszym żalem zajrzał do swojego biura. Było puste i czekało na jego następcę.

Potem poszedł pożegnać się z nowym dyrektorem. Gdy stanął w drzwiach jego gabinetu, wydawało mu się, że słyszy tubalny głos generała Kielburgera, który ostatecznie okazał się przyzwoitym człowiekiem, o co nikt by go nie podejrzewał.

Potem zlecił agencji nieruchomości uporządkowanie domu i wystawienie go na sprzedaż.

Wiedział, że nie mógłby tam mieszkać, nie bez Sophii.

Przerażające kulisy programu Hades były pożywką dla mediów jeszcze przez wiele tygodni.

Wychodziło na jaw coraz więcej rewelacji o planach Victora Tremonta, donoszono o kolejnych aresztowaniach szacownych urzędników sektora prywatnego i publicznego. Po cichu wycofano oskarżenia przeciw Smithowi, Randi Russell, Martinowi Zellerbachowi i tajemniczemu Anglikowi. Nie przyjmowali zaproszeń na wywiady i oficjalnych podziękowań za ich wyczyn.

Szczegóły utajniono ze względu na bezpieczeństwo narodowe. Jon nie był zadowolony, gdy pewna przedsiębiorcza dziennikarka wyszperała fragmenty jego życiorysu związane z Instytutem, Somali, Berlinem Zachodnim i Irakiem, a potem próbowała powiązać je z faktem, że udało mu się zdemaskować kryminalną działalność Victora Tremonta i jego popleczników.

Pocieszał się tym, że z upływem czasu media zainteresują się innymi tematami i jeśli uda mu się wyjechać gdzieś daleko i w miarę możliwości zerwać więzy z przeszłością... zainteresowanie jego osobą w końcu osłabnie. I nie umieszczą go w podręcznikach historii nawet w przypisie.

Zatrzymał się na jeden dzień w Council Bluffs w stanie Iowa, żeby odwiedzić miasteczko swojego dzieciństwa. Zrobił sobie spacer po miejskim parku z fontanną i starymi drzewami.

Wyszedł na Bennett Avenue, żeby posiedzieć na parkingu przed szkołą imienia Abrahama Lincolna. Przypominał sobie dni dzieciństwa spędzone z Billem i Martym. Wtedy wszystko było dużo prostsze. Nazajutrz odleciał do Kalifornii i zamieszkał w tym spokojnym mieście, w którym domy kryte są czerwoną dachówką i gdzie panuje atmosfera dawnych czasów. Wynajął domek nad plażą niedaleko domu Remaków w Montecito i dwa razy w tygodniu grywał w pokera z grupą profesorów uniwersyteckich i pisarzy. Jadał w miejscowych restauracjach, spacerował nad oceanem i nigdy nie nawiązywał rozmów z nieznajomymi. Wydawało mu się, że nie ma nic do powiedzenia.

Siedział teraz boso na tarasie, ubrany tylko w krótkie spodenki, i wpatrywał się w spowite chmurami wyspy. Powietrze nasycone było morską solą i choć dzień był chłodny, słońce rozgrzewało go aż do kości.

Zadzwonił telefon.

— Cześć, żołnierzu. Głos Randi był pogodny. Początkowo dzwoniła prawie codziennie.

Trzeba było zająć się rzeczami i mieszkaniem Sophii. Oboje chcieli mieć to jak najszybciej za sobą i każde z nich wybrało kilka drobiazgów na pamiątkę. Potem Randi dzwoniła parę razy w tygodniu i zdał sobie sprawę, że sprawdza go.

O dziwo, martwiła się o niego.

— Cześć, szpiegu — odparł. — Gdzie teraz jesteś?

— W Waszyngtonie. Duże miasto, pamiętasz? Odwalam tutaj moją skromną, nudną robotę w biurze. Ech, życie pełne przygód. Chyba nie dostanę w najbliższym czasie nowego zadania w terenie, ale coś mi się zdaje, że szykują coś dużego. Tymczasem myślą chyba, że przyda mi się odpoczynek. Może przyjedziesz na święta? To słońce i piękna pogoda muszą ci już chyba działać na nerwy.

— Przeciwnie. Bardzo mi odpowiadają. A święta zamierzam spędzić sam na sam ze świętym Mikołajem.

— Będziesz tęsknił za mną i Martym. Na pewno. Spędzamy święta razem. Oczywiście nie ma siły, która wyciągnęłaby go z jego małego domku, więc muszę do niego pojechać.

Zachichotała. — Uczynił z Samsona element systemu ochronnego. Powinieneś zobaczyć ich razem. Marty uwielbia, kiedy Samsonowi ścieka ślina z kłów. Twierdzi, że Samson kontroluje tę funkcję fizjologiczną. Przerwała. — Jesteś lekarzem. Co o tym sądzisz?

— Sądzę, że obydwaj są stuknięci. Kto gotuje?

— Ja. W przeciwieństwie do nich, nie jestem stuknięta. Chcę przygotować coś jadalnego. Co lubisz? Tradycyjnego indyka? A może pieczone żeberka? Albo święteczną gęś?

Tym razem on się roześmiał.

— Nie dam się namówić na przyjazd. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Spojrzał na spokojne,

połyskujące w słońcu wody Pacyfiku. Tutaj, w Santa Barbara, wychowały się Sophia i Randi.

Pierwszego dnia przejechał obok ich rodzinnego domu. Była to piękna hacjenda wybudowana na skale, z której rozciągały się malownicze widoki na ocean. Randi nie zapytała go, czy tam był.

Pewnych spraw nadal nie chcieli poruszać.

Rozmawiali jeszcze przez jakieś pięć minut i w końcu pożegnali się. Po odłożeniu słuchawki Jon pomyślał o Peterze, który wrócił do górskiej siedziby w Kolorado, gdy tylko uzyskał

pozwolenie na opuszczenie Waszyngtonu. Jak przypuszczał Jon, odniósł powierzchowne rany i tylko pęknięte żebro sprawiało mu nadal ból. W zeszłym tygodniu Jon zadzwonił do niego, żeby zapytać, jak się czuje, ale odpowiedziała automatyczna sekretarka. Zostawił wiadomość. Po godzinie zatelefonował jakiś przemądrzały urzędnik z informacją, że pan Howell jest na przedłużonym urlopie i przez ponad miesiąc nie będzie można z nim rozmawiać. "Ale proszę się nie martwić, doktorze Smith. Pan Howell skontaktuje się z panem zaraz po powrocie".

Tłumaczenie: Peter wyjechał, żeby wziąć udział w jakiejś operacji.

Jon zamknął oczy. Ciepły wiatr od lądu wicherzył mu włosy i poruszał szklanymi dzwoneczkami w kącie tarasu. Gdzieś daleko na plaży zaszczekał pies. Słyszał śmiech dzieci, krzyk mew. Oparł boscie stopy o balustradę i poczuł, że robi się senny.

— Nie ma pan już dość tej sielanki? — usłyszał za sobą głos. Podskoczył. Nie słyszał

otwierania drzwi ani kroków na drewnianej podłodze wynajętego domu. Odruchowo sięgnął po berettę, ale przecież zostawił ją w waszyngtońskim sejfie.

Przez krótką chwilę znów znalazł się na tropie Victora Tremonta, czujny, ostrożny... i żywy.

— Kto to, do diabła! Odwrócił się.

— Dzień dobry, pułkowniku Smith. Jestem pańskim wielbicielem. Nazywam się Nathaniel Frederick Klein.

W otwartych przesuwanych szklanych drzwiach na taras stał mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w wygnieciony czarny garnitur. W lewym ręku trzymał walizkę z cielejącej skóry. Prawą chował do kieszeni marynarki wytrychy. Miał wysokie czoło, okulary w drucianej oprawce osadzone wysoko na długim nosie i bladą cerę, która nie wykazywała dłuższego kontaktu ze słońcem od zeszłego lata.— Doktorze Smith — poprawił go Jon.

— Prosto z Waszyngtonu?

Klein uśmiechnął się lekko. — Niech będzie, doktorze Smith. Tak, przyjechałem od razu z lotniska. Chce się pan dalej bawić w zgadywanke?

— Chyba nie. Wygląda pan na kogoś, kto ma dużo do powiedzenia.

— Naprawdę? Usiadł w rozkładanym fotelu. — Co za spostrzegawczość. Ale jak słyszałem, to jedna z pańskich zalet. Wyrecytował krótką historię życia Jona od urodzin, przez szkołę, do wojska.

Jon poczuł, że coraz bardziej zagłębia się w fotel. Znowu zamknął oczy. Westchnął.

Klein skończył i Jon otworzył oczy.

— Przypuszczam, że ma pan to w swojej walizce. Podczas lotu nauczył się pan wszystkiego na pamięć.

Klein pozwolił sobie na uśmiech.

— Właściwie nie. Zabrałem gazety z całego miesiąca. Mam zaległości w czytaniu. Podczas lotu mogłem je trochę nadrobić. "Field and Stream". Tego rodzaju pisma. Rozluźnił krawat i zgarbił się ze zmęczenia. — Doktorze Smith, od razu przejdę do rzeczy. Takich jak pan nazywamy "zerem z możliwościami..."

— Jak?

— "Zerem z możliwościami" — powtórzył. — Nie ma pan zajęcia. Przeżył pan właśnie straszną tragedię, która nieodwracalnie zmieniła pana życie. Ale nadal jest pan lekarzem i wiem, że to dla pana ważne. Zna się pan na broni, nauce, wywiadzie i zastanawiam się, co jeszcze jest dla pana ważne. Nie ma pan rodziny i tylko garstkę bliskich przyjaciół.

— Tak — odparł cierpko Jon. — I jestem niezdolny do pracy. Klein roześmiał się.

— Wątpię. Każda z nowych międzynarodowych agencji detektywistycznych przyjęłaby pana z otwartymi ramionami. Oczywiście taka praca nie jest dla pana. Jedno spojrzenie na pańskie CV

wystarczy, żeby każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, zorientował się, że jest pan kimś w rodzaju wolnego strzelca. A to oznacza, że mimo lat spędzonych w wojsku naprawdę ceni pan sobie niezależność. Lubi pan chodzić własnymi ścieżkami, ale nadal ma pan silne poczucie patriotyzmu i jest pan wierny zasadom, których nie znajdzie pan w żadnej innej firmie poza wojskiem.

— Nie zamierzam zakładać firmy.

— To dobrze. Prawdopodobnie skończyłoby się to fiaskiem. Nie twierdzę, że zakładanie jej nie byłoby przyjemne. Ma pan przedsiębiorczą naturę. Przeszedłby pan przez całe piekło organizowania firmy, zapewniłby pan jej wielki sukces, a gdy wszystko chodziłoby jak w zegarku, albo by pan ją sprzedał, albo zrujnował. Ludzie z inicjatywą z definicji są kiepskimi administratorami. Zbyt szybko się nudzą.

— Sądzi pan, że wszystko o mnie wie? Kim pan do diabła jest?

— Zaraz do tego dojdziemy. Powiedziałem: "zero z możliwościami". Myślę, że wyjaśniliśmy sobie drugą część tego terminu. Co do "zera", chodzi o to, jak nieszczęsne wydarzenia sprzed dwóch miesięcy wpłynęły na pana. Zmiany zewnątrz łatwo zaobserwować: porzucił pan pracę, sprzedał

dom, odbył pielgrzymkę do miejsc z przeszłości, izolował się od starych przyjaciół, przeprowadził się pan na drugi koniec kraju. Chyba niczego nie opuściłem?

Jon przytaknął w myślach.

— Dobrze, zaciekał mnie pan. Przejdźmy do zmian wewnętrznych. Ale jeśli to promocja sesji terapeutycznej, nie jestem zainteresowany.

— Jest pan drażliwy, mogłem się tego spodziewać. Jak mówiłem, nie wiemy... pan też prawdopodobnie nie wie... jak bardzo to wszystko zmieniło pana wewnętrznie. W tej chwili jest pan praktycznie taką samą zagadką dla siebie, jak i dla wszystkich innych. Jeśli mam rację, czuje się pan skłócony ze światem, jakby stracił pan w nim swoje miejsce. Nie znajduje pan też motywacji, żeby żyć dalej. Klein przerwał i przybrał łagodniejszy ton. — Ja też straciłem żonę.

Zmarła na raka. Musi pan wiedzieć, że bardzo panu współczuję.

Jon przełknął ślinę i nic nie powiedział,

— Stąd moja wizyta. Upoważniono mnie, żebym zaproponował panu pracę, która może pana zaciekać.

— Nie potrzebuję i nie chcę żadnej pracy.

— Tu nie chodzi o pracę lub pieniądze, choć będzie pan dobrze zarabiał. Chodzi o pomoc ludziom, rządowi, środowisku, wszystkim, którzy przeżywają jakiś kryzys. Zapytał pan, kim jestem, ale nie mogę tego wyjawiać, jeśli nie zgodzi się pan na podpisanie zobowiązania do zachowania tajemnicy. Powiem jedno: w wysokich kręgach rządowych mówi się o panu.

Tworzymy niewielką elitarną grupę wolnych strzelców takich jak pan, którzy mają wysokie morale, lecz niewiele zobowiązań na tym świecie. Praca może się wiązać od czasu do czasu z trudnymi warunkami bytowania, na pewno z podróżami i niebezpieczeństwem. Nie wszyscy na to idą. Niewielu ma odpowiednie kwalifikacje. Czy ta sprawa choć trochę pana zainteresowała?

Jon przyjrzał się Kleinowi. W okularach odbijało się słońce.

— Jak nazywa się ta grupa? — zapytał w końcu Jon.

— Chwilowo Specjalne Służby Polowe. Niewinna nazwa, która przypadnie w papierach.

Oficjalnie wchodzi w skład armii, ale naprawdę jest niezależna. Praca bez splendoru, ale bardzo ważna.

Jon odwrócił się, żeby spojrzeć na ocean, jakby mógł z niego wyczytać przyszłość. Wciąż towarzyszył mu ból po stracie Sophii, ale z upływem dni nauczył się z nim żyć. Nie wyobrażał sobie, że jeszcze kiedyś się zakocha, ale może któregoś dnia inaczej na to spojrzeć. Przypomniwał

sobie chwilę, w której zaskoczył go Klein. Sięgnął po beretkę. Była to całkowicie odruchowa reakcja. Nie przypuszczał, że zachowa się w ten sposób.

— Przebył pan długą drogę, żeby uzyskać odpowiedź — powiedział wymijająco.

— Naszym zdaniem to ważne pytanie. Jon pokiwał głową.

— Jak mam się z panem skontaktować, gdybym kiedyś chciał skorzystać z propozycji?

Klein wstał. Sprawiał wrażenie kogoś, kto wykonał swoje zadanie. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął zwykłą białą wizytówkę z nazwiskiem i waszyngtońskim numerem telefonu.

— Proszę się nie zniechęcać formalnościami. Niech pan tylko poda moje nazwisko i poprosi o rozmowę ze mną. Wtedy zaczniemy działać.

— Nie powiedziałem, że zadzwonię.

Klein pokiwał głową w zamyśleniu. Spojrzał na rozciągającą się z tarasu imponującą panoramę. Niedaleko przeleciała biała mewa z podwiniętymi nóżkami, niesiona powiewem znad oceanu.

— Ładnie tu. Ale za dużo palm jak na mój gust. Podniósł walizkę i ruszył w stronę drzwi. —

Niech pan nie wstaje. Znam drogę. I zniknął.

Jon przesiedział na tarasie jeszcze godzinę, potem otworzył furtkę i wyszedł na plażę. Piasek był ciepły. Odruchowo skręcił w lewo na codzienny spacer. Za nim było słońce, przed nim plaża ciągnęła się w nieskończoność. Spacerował i myślał o przyszłości. Doszedł do wniosku, że najwyższy czas coś zmienić.

KONIEC